DZIEJE
KULTURY POLSKIEJ

ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE KULTURY POLSKIEJ

TOM DRUGI

POLSKA U SZCZYTU POTĘGI

KRAKÓW MCMXXXI
W. L. ANCZYC I SPÓŁKA
ZWIERZYNIECKA 2

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ W KRAKOWIE
KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

CZĘŚĆ PIERWSZA

WIEK XVI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

SPOŁECZEŃSTWO

Stosunki narodowościowe. — Stany. — Szlachta i jej program. — Przywileje szlacheckie. — Mieszczanie. — Przemysł i handel. — Chłopi. — Żydzi. — Skarb. — Sądy. — Wojsko. — Bibljografja.

Nadzwyczajna ruchliwość, nieprzerwana wymiana ludzi i myśli, polityka morska i kolonjalna, oto cechy nowego wieku w Europie. Europa, do niedawna tylko pojęcie geograficzne, przekształcała się w żywy organizm o jednolitej kulturze, wspólnej polityce, wzajemności duchowej; partykularyzm średniowieczny ustępował uniwersalizmowi, panującemu do niedawna tylko w Kościele, i opadały szranki dzielące narody; oswobadzały się zarazem duchy z pęt średniowiecznego scholastycyzmu, z ślepej wiary w autorytety najwątpliwszej próby, z jednostronnego ascetyzmu, z dawnej szarzyzny życiowej; wyłaniały się nowe ideały: kult życia i uosabiającego je piękna antyku zastępował stałe *memento mori* średniowiecza, potworną jego nieforemność, eteryczną nadziemskość. Duchowieństwo, chrześcijaństwo, asceza, dotąd wszechwładne, uchodziły w dal; ludzkość dojrzała i zmężniała, wyszła z wiekowej opieki, kiedy za nią przemawiały, myślały, rządziły moce nierealne w imię haseł z innego świata.

Drogę ku tej nowiźnie utorował wiek poprzedni; wszak w piętnastym, nie w szesnastym, odkryto piękno antyku, druk książek, Indje Zachodu, ale dopiero teraz odmieniły te odkrycia tryb życia i myśli. Nowe zapory: waśni wyznaniowe, które do walk bratobójczych prowadziły; wzmożenie się literatur narodowych, co kładło koniec wszechwładzy esperanta-łaciny, wiodły wkońcu ku dojrzewaniu i uniezależnianiu duchowemu, które się nabywa tylko w ścieraniu się prądów, nigdy w zastoju i bezczynności.

W ten to wir pojęć, zasad, interesów wciągnęła się i Polska. Żyła dotąd jakby na uboczu; znano państwo coraz potężniejsze, mianowicie po zgnieceniu Zakonu, ale nie znano narodu: hiperboreje jacyś, ludzie północy, bez sztuki, literatury, własnej myśli, nie ciekawi jednem słowem. Teraz zaczął żywić się Zachód jej zbożem i bydłem; budować potężne floty jej budulcem; zbywać u niej wyroby swej myśli a jeszcze wiele więcej swego przemysłu; wzdychać do jej wolności sumienia; dziwić się jej młodzieży, garnącej się do uczelni zachodnich; zazdrościć jej mecenasów nauki i sztuki; pytać, czy Muzy dla niej nie opuszczą wyjałowiałego Południa, czy nie przeniosą się do «Septemtryonów»; cenić wysoko jej ogładę, towarzyskość, gościnność.

Dla Polski był nowy wiek ową różdżką z bajki, która ze snu zbudziła królewnę. Naród, dotąd niby niemy, zabrał głos w sprawach politycznych i wyznaniowych; w pytaniach nauki i moralności; pióra polskie świeciły w łacinie, a wywiodły literaturę narodową na wyżyny, których spółczesna czeska i niemiecka ani zdaleka nie dosięgały. Naród wiódł dotąd życie ciche, szare, skromne; wymienił je na strojne, szumne i barwne; złoto, które do niego w niesłychanej przedtem mierze za jego surowce spływało, wyrzucał na suknie, budowle, napoje; na broń, konie, korzenie; na uczonych i poetów, artystów z Południa i Zachodu. Naród, o którym tylko Kurja i Wenecja dla planów antytureckich myślały, nabrał dzięki polityce dynastycznej Jagiellonów niebywałego znaczenia: jedna dynastja panowała w Węgrzech, Czechach, Polsce, Litwie; zrównali się z nią tylko Habsburgowie, którzy się z nią wszelakiemi węzłami spajali.

Los nienawistny niebawem na zawsze uprzątnął politykę dynastyczną Jagiellonów pod Mohaczem i w Knyszynie. Szlachta, wiedziona trafnem przeczuciem, nie chcąc do dawnych wrogów nowych na siebie zwodzić, nie przystąpiła czynnie do świętej ligi, nie jakoby zarażona jakimś niewczesnym pacyfizmem, zupełnie jej obcym, ale ze wstrętu przeciw wszelkiej wojnie zaczepnej — sam hetman Tarnowski nazywał ją sprzeczną z rozumem i przeciwną Bogu, — i ze wstrętu przeciw poborom, niezbędnym dla wojny zaczepnej. Miała ona cele nierównie bliższe i ważniejsze: lenna pruskie, mazowieckie, kurlandzkie; egzekucję praw; unję z Litwą; elekcje; wojnę moskiewską; załatwiła się też z niemi wszystkiemi, choćby jako tako, dając nieraz dowody trafnej myśli politycznej, wielkiej miłości ojczyzny, silnej więzi społecznej, braterstwa niekłamanego, rozciągającego się nawet poza ścisłą granicę szczepową. A w miarę znaczenia politycznego i bogactw materjalnych rosły walory, mniej artystyczne, do których brakło jeszcze wychowania i upodobania, tem więcej myślowe, w nauce i literaturze. A to wszystko pociągnęło za sobą nadzwyczajne zróżnicowanie typów; gdy w wiekach poprzednich indywidua się wszelkie zlewały, teraz raziła wielorakość książąt Kościoła, wodzów zwycięskich, mężów stanu wytrawnych, demagogów niesfornych, poważnych myślicieli, wyznawców sztuki czystej, sumień wrażliwych, wierzących kornie i wątpiących dumnie. A pokój wiekowy, niezakłócony żadną większą wojną, umożliwiał nieprzerwany ciąg pracy materjalnej i moralnej, tworzył warunki dogodne, jakie się nigdy już nie powtórzyły. Był to wiek złoty dawnej Polski.

STOSUNKI NARODOWOŚCIOWE

W nowy wiek wstąpiła Polska jako państwo potężne i naród jednolity, bo pięciowiekowe trudy wydały upragniony owoc; z luźnych szczepów, spojonych bliskością siedzib, jednością bytu życiowego, tożsamością języka, stworzyli Piastowie całość organiczną, która mimo średniowiecznej decentralizacji i jej śladów niestartych, poczuwała się do jedności moralnej i mate-

rjalnej, mimo różnic szczepowych; do pełnej swobody w kierowaniu swojemi losami, mimo otaczających zewsząd wrogów; do wytykania sobie dalekich celów, mimo warunków niekorzystnych, granic otwartych, nierychłego pogotowia wojennego, marnej skarbowości, — spółrzędna największym mocarstwom europejskim, przedmurze Zachodu.

W Polsce rdzennej wrócono już do jednolitości narodowej, zachwianej poniekąd napływem niemieckim; obcy żywioł strawiono zupełnie po wsiach i miasteczkach, niezupełnie na Podgórzu (w Bieczu), nad granicą marchijską, w Krakowie i Poznaniu, Lwowie i Wilnie, dokąd handel ożywiony, widoki korzystne, związki pokrewieństwa zwabiały nowych przybyszów, wzmacniając dawnych. Ale Niemcy uczyli się pilnie po polsku, nazwiska ich już nic nie mówiły: gdy rada lwowska Benedykta Herbesta na mistrza swej szkoły powołała, musiała mu dobrać, mimo jego niemieckiego nazwiska, osobnego podmistrza dla niemczyzny, a Hose (Hozjusz) i Kromer z Niemców byli świecznikami duchowieństwa polskiego.

Niemców, rozprószonych po kraju, łatwo strawiono; nierównie większem i trudniejszem zadaniem była asymilacja żywiołu ruskiego; litewski dla drobnej liczby wcale nie ważył. Od półtora wieku ziemia czerwonoruska była przyłączona do Korony; od wieku zadzierzgnęły się węzły z Rusią litewską, lecz szerzyła się polszczyzna tu i tam w bardzo nierównej mierze. W Koronie stawała oporem — czego wobec Niemców nie było — wiara, odgraniczająca narodowości nierównie silniej niż język, ale przepaść, dzieląca doły, malała znacznie ku górze. Ruskie porządki ustąpiły polskim w administracji i sądownictwie; masowo ciągnęła szlachta polska na wschód; nadaniami królewskiemi i ożenkami zdobywała ziemię, a za nią szedł chłop na wieś i rzemieślnik do miasta; silną nogą stanął katolicyzm szczególniej we Lwowie i zaczęła się polonizacja kraju, rychła i skuteczna w mieście i śród dawnych bojarów, powolna i chwiejna

na wsi, dokąd chyba z dworku szlacheckiego polszczyzna przenikała, gdy kolonista Polak w ruskiem otoczeniu raczej się wynaradawiał, szczególniej jeśli brakło kościołów dla jego potrzeb duchownych.

Całkiem inaczej było na Rusi-Litwie. Tu właśnie polski żywioł wielkopański i szlachecki był wykluczony; nie było ani nadań królewskich, ani ożenków, ale za księdzem i za bernardynem zjawiał się po miastach i rzemieślnik polski, a mieszczaństwo niemieckie, acz obce, ale katolickie, nie miało wyboru, polszczało. Zato szedł tu od dworu królewskiego wpływ olbrzymi. Ten dwór, katolicki i polski, nie wykluczał wprawdzie Rusi-Litwy, ale rozsiewał tylko polszczyznę; w otoczeniu królewskiem dawni bojarzy, teraz panowie rada, przejmowali się mimowoli dworskim, t. j. polskim obyczajem, strojem, językiem; mówili i pisali z urzędu po rusku (język litewski tylko na wsi istniał, nie było go ani w sądzie i w urzędzie, ani w kościele i szkole), ale już zaczynała ruszczyzna z dworu wielkopańskiego za wzorem królewskiego ustępować; na zjazdach w Parczowie, a później i we własnej radzie, wobec króla szczególnie, odzywali się Radziwiłłowie, Ostrogscy, Chodkiewicze po polsku, a to szerzyło się od nich coraz dalej. Co nauki pragnęło, szło do Krakowa, albo do Niemiec; tylko pop i czerniec, Rusin (Litwinem przezywany, chociaż nic z nim nigdy nie miał wspólnego, ani języka, ani wiary), z miasta i wsi, stali przy wierze, trybie i mowie ojców. Z każdym dziesiątkiem lat przybywało tej polonizacji wśród szlachty; bratała się szlachta z polską to przeciw własnym wielomożom, to dla niebezpieczeństwa moskiewskiego. I katolicyzm, równoznaczny z polonizacją, brał górę wobec opłakanego położenia cerkwi ruskiej bez nauki, bez autorytetu, bez równouprawnienia z «rzymską». Powoli zaczynali panowie rzucać prawosławie, przechodzić na katolicyzm, bo myśl o unji z Rzymem, z zachowaniem języka i obrzędów w cerkwi, która odżyła w XV wieku, zamarła zupełnie w XVI-tym; dopiero przy

końcu wieku wznowiły ją inne czynniki. Pstra karta etnograficzna Polski zbogacała się o nowy jeszcze element: coraz liczniej napływali Ormianie do Kut i Lwowa, ożywiając handel wschodni, bogacąc siebie i miasto, żyjąc pod swojem prawem i w swoim Kościele osobnym. Tatarzy na Litwie, jeńcy i zbiegi, trzymali się opornie, wiary im nie tykano, ale w mowie ruszczyli się powoli, rozjeżdżali wiele po kraju jako furmani; dopiero przy końcu wieku i na początku XVII wieku wyłoniła się polemika (po polsku) o ich przywileje osobliwsze, które ich niby z szlachtą rdzenną równały. Zjawili się i Cygani i zaprzątali konstytucje sejmowe. O Żydach zob. niżej.

Poza politycznemi granicami utrzymywał się żywioł polski na Śląsku. Górny Śląsk był cały polski, chociaż szlachta i mieszczanie niemczyzną (rodową albo przejętą) przesiąkali; granica etnograficzna nie zmieniała się; tracono chyba polskie placówki rozprószone, sięgające aż poza Wrocław. Lud zachował nieskażoną polszczyznę piastowską, tylko naleciałości niemieckich, a szczególnie czeskich zjawiło się tu więcej niż w Polsce (język czeski był urzędowym w kraju, gdzie Czechów nie było), a sięgało to w oświęcimskie i zatorskie; Polacy rodem z tych okolic, np. tłumacz sentencyj Terencjuszowych (z r. 1545) używali czechizmów, jak *dvacet* (dwadzieścia) i t. p., rugowanych dopiero we dwu późniejszych wydaniach. Lud był pozostawiony samemu sobie, dopiero w XVII wieku zajął się nim bardziej zbór luterski; przynależność diecezji wrocławskiej do prowincji gnieźnieńskiej nie była zerwana, lecz raczej już tylko formalna. Zato ciążyła inteligencja miejska i szlachecka ku Krakowowi; jego uniwersytet był niemal krajowy, śląski; liczba mistrzów śląskich była znaczna; jeden z ostatnich znakomitszych, to grecysta krakowski Andrzej Schonaeus z Głogowy, wielbiciel Sokołowskiego; szczególniej początek wieku obfitował w wybitnych Ślązaków-humanistów, uczniów krakowskich, którzy i we Wrocławiu nie zrywali węzłów z «Sarmacją», która im nauką i dostatkami imponowała, na której wzór oniby swoją ojczyznę kształtowali (Wawrzyniec Corvinus z swoją *Kosmografją* 1496 roku otwierał ten długi szereg); w połowie wieku Adam Schroeter z Nissy sławił Wieliczkę i Niemen. Drukarze krakowscy niemal wszyscy Ślązacy, i Ślązaków zatrudniali, np. Fr. Mimera, lecz tegoż wiersze polskie silnie germanizmami trąciły. We Wrocławiu był żywioł polski bynajmniej nie nikły; pod nazwami łacińskiemi ukrywa się niejeden Polak, np. fizyk miejski Matthias Auctus jest Maciejem Przybyłą, rektor szkoły Marji Magdaleny Jan Rullus jest krakowianinem (obaj znani z zażyłości z Modrzewskim); łacinnik Modrzewski przesyłał swoje główne dzieło kupcowi wrocławskiemu, Danielowi Schilingowi (rodzina dobrze i w Poznaniu znana) z dedykacją polską. Książęta i szlachta odwiedzali chętnie wielką dawną ojczyznę; świadkiem tej zażyłości Henryk IX, książę legnicki, i *Memorialbuch* jego marszałka dworu, Hansa von Schweinichen, obfitujący w «popojki» z szlachtą polską.

W lennie pruskiem szerzyli się Mazurzy (jak i Litwini, którzy dopiero w XV i XVI wieku z Litwy właściwej do Prus napływali) na pustkowiach, wyludnionych przez wymarcie i przesiedlenia Prusów pierwotnych, którzy w ciągu tego wieku doszczętnie niemal wyginęli. Kolonizacja nie uszła uwagi ks. Albrechta, który swoich nowych poddanych starał się pozyskiwać dla wiary ewangelickiej i w tym celu katechizmy polskie (jak i pruskie i litewskie) wygotowywać kazał; Królewiec stał się dla Mazurów placówką umysłową, tu trudzili się Radomski i Kwiatkowski przekładami pruskich Agend i innych ksiąg liturgicznych; Królewiec posiadał kaznodzieję polskiego i wydawał wszelakie podręczniki (np. tu przeniesiono dalsze wydania «Wokabularza» krakowskiego) i liczne księgi polskie — już nie dla Mazurów, lecz dla całej Polski (zob. niżej).

Zacierały się w samej Polsce powoli rysy partykularne, plemienne czy dzielnicowe, ale to był proces nieraz świeży; au-

tonomiczne zupełnie Mazowsze wcielono dopiero po r. 1526 do Korony; [1] Prusy, Ruś i Litwa, Inflanty zlały się dopiero r. 1569 w jedno państwo, Prusy nie bez oporu, Litwa zachowując swoje prawo i autonomję. Stosunki gospodarcze i etnograficzne wywoływały znaczne różnice. Szlachta np. ruska odznaczała się gwałtownością, nawykiem do bezprawia, a tłumaczono to bliskością stepu i Tatarów; ona dostarczyła protestantyzmowi najliczniejszego kontyngentu i najskrajniejszego zarazem, chociaż dla swej bujności i butności nie najdłużej w nim wytrwała; inaczej litewska, poważna a powolna. Wielkopolska szlachta przewyższała ruską kulturą, równowagą, umiarkowaniem; ta anarchiczna raczej, tamta lojalna; miasta, nierównie liczniejsze i zamożniejsze (np. Poznań), przewyższały ruskie (z jedynym Lwowa wyjątkiem). Miast Mazowsze wcale nie posiadało, Warszawa zaczęła się dopiero w tym wieku podnosić, do czego się walnie przyczyniło, że ją obrano na miejsce elekcji i sejmowania. Ale Mazowsze było aż nadto ubogie; nie miało własnego handlu; przecinały je wprawdzie drogi z Wilna na Poznań, ale tylko

[1] Mazowsze z najuboższą i najliczniejszą szlachtą było wobec Korony nadzwyczaj zacofane; jego szlachcie nakładał despotyzm książątek piastowych większe ciężary niż wszelkim innym dzielnicom; były u nich i osobliwsze zwyczaje i ustawy, np. stanowisko wolnych śród przypisańców zależało w XIII wieku i od tego, czy ich było razem trzech lub więcej niż trzech: z takich *liberi* rekrutowała się po części ich szlachta chodaczkowa. Mimo to partykularyzm dzielnicowy opierał się wcieleniu do Korony; uśmiechał się jemu jako książę mąż ostatniej Piastówny (Odrowąż), ale król nie zważał na to i ustanowił dla nowej prowincji osobnego viceregenta, który Mazurów wcale krótko trzymał; dopiero w pół wieku po wcieleniu zniesiono ten urząd i zrównano Mazowsze, które np. koronnego sejmowania wcale nie znało (rozstrzygał sam książę z radą, a o gmin szlachecki nie pytał), z Koroną, ale i tak pozostały dla Mazowsza pewne osobliwości, «ekscepty», np. surowy zakaz, nieznoszący w ziemi żadnego kacerza. Jak twardo stało Mazowsze przy wierze, dowodziło, że nie był życia pewien, ktoby śród Mazurów w post z masłem czy nabiałem jadał.

furmani na tem zyskali; rozrodzona szlachta na drobnych udziałach gospodarowała jak najskromniej, uprawiała rolę, nie umysł, i w Poznaniu czy Krakowie wyśmiewano niekulturalność «ślepo rodzących się» Mazurów. Oto np. opowiadano o Mazurku, «co się doma dylągiem uchował i wielkim mazgajem urósł; ojciec, widząc że czysty dyląg, wysyła go w świat; on chce do *Zimu*, na co ojciec zezwala, bo słyszał, że tam miasteczko cudniejsze niż nasza Warsewka; osiodłali mu konia, matka dała mu kilka wiardunków; z gleniem chleba pojechał. Gdy mu się jazda sprzykrzyła, zapytał chłopa o *Zim;* chłop nic o nim nie słyszał. «O przysięboru (przysięgam Bogu), żem ci go już minął», i wraca do domu, gdzie wyżeł nań wesoło szczeka — poznałeś mię sachu! — ależ nie kpijmy z Mazurów; zgłupiać oni mówią, ale bez rozmysłu uderzy». Takie to o nich opowiadano dykteryjki prozą, wierszem, i pytano:

Mazurowie mili, Gdzieście się popili? i t. d.

Opaleński w *Satyrach* opowiadał o Mazurze, co u szynkarki o cenę wszelkich trunków pytał, a wkońcu «taśbiru za szeląg» zażądał, bo więcej w kalecie nie było. Ile śmiechu nabawili Mazurzy świat polski, gdy się w pełnym rynsztunku, t. j. z nasiekaną pałką i z gęsiem piórem za magierką pod Wolą okazywali, a Rdesta (Ernesta) nie chcieli! Z opisu Mazowsza przez Święcickiego (koniec XVI wieku) wynika zresztą, że Mazowsze wcale nie było równomiernem; były ubogie powiaty, np. rawskie i Pomroże, gdzie szlachta wręcz z rozbojów żyła; popędliwa była aż nadto i gwałtownością ruską przypominała; zato różnowierstwem się brzydziła i żydów nie znosiła. Magnatów nie miała wcale, którzy w Małej Polsce i na Rusi (i Litwie) rej wodzili; w Wielkiej było ich nierównie więcej, ale żaden z nich nie dorównał tamtym.

STANY. SZLACHTA I JEJ PROGRAM

Średniowiecznego, stanowego charakteru nie starło nowe państwo; rozwój szedł tu w przeciwnym od zachodniego kierunku. Wygaśnięcie Piastów, przywoływanie to Węgra, to Litwina (obaj nie zaaklimatyzowali się wcale), poderwało legitymizm; spolszczyli się coprawda synowie Jagiełły, ale Kazimierz popularnym nie był, dopiero syn Zygmunt; więc naród szlachecki przyzwyczaił się do paktowania z królem, do targowania się z nim (koncesja za koncesję), do skutecznej opozycji. Nie było w państwie siły, coby szlachecką zrównoważyła; krótkowidzące mieszczaństwo dało się z pośród czynników politycznych zupełnie wykreślić; król mógł się tylko na panach rad świeckich i duchownych przeciw szlachcie opierać, albo odwrotnie; próbowano jednego i drugiego. Szlachta czytać nie umiała, ale przetarła się znakomicie w okazowaniach zbrojnych, zebraniach sejmikowych, posiedzeniach towarzyskich, i ponosząc coraz mniej ciężarów publicznych, używała coraz więcej praw i przywilejów prywatnych. Już schodziło stanowe państwo średniowieczne na państwo jednego stanu; wielcy panowie, świeccy i duchowni, maleli wobec braci-szlachty. Monarchiczny, do niedawna absolutystyczny ustrój ustępował powoli demokracji szlacheckiej, a życie parlamentarne dochodziło do nadzwyczajnego rozwoju. Gdy w Europie, oprócz Anglji, parlamenty tylko dla uchwalania podatków zwoływano, sejm polski przeprowadził zasadę, że «nic na nas bez nas» mocy mieć nie może; on uchwalał i znosił pobory, prawa, przywileje; skrępowany niby królem i senatem, był w rzeczywistości ich panem, i maszyną ustawodawczą kierował po swej woli a zawsze z korzyścią dla siebie, nie dla państwa. Więc ukrócił wolność chłopa, zapobiegł jego ucieczce, ograniczył wysyłanie jego synów do miast i cechów, nałożył coraz więcej robocizny i przeszedł wkońcu zupełnie do gospodarki folwarcznej, nieznanej XV wiekowi, skupując łany sołtysie, karczując nowiny, zabierając grunty po zbiegłym przed uciskiem chłopie. Stanął również przeciw mieszczanom; zabronił im zakupna ziemskich posiadłości, wykluczał ich z kapituł, obciążał ich handel, warując sobie wolność od ceł, patrzył nieżyczliwie na cechy, które mu towary podrażały; odsądzał szlachtę od funta i łokcia, wyjmując z pod jurysdykcji miejskiej osobę i domostwo; wspierał świadomie obcych. Już w XV wieku zapowiadała się ta odmiana, XVI-ty jej dokonał — i Polska została rzeczpospolitą szlachecką z obieralnym, acz dożywotnim, królem.

Na podwalinach, rzuconych w XIV i XV wieku, głównie przy zmianie dynastji, wzniosła więc w XVI szlachta państwo, które trzy wieki przetrwać miało. Rozwiązała teraz główne zadania, acz w różnorakim stopniu. Świetnie wykonała pierwsze: unję z Litwą, zespół dwóch narodów i państw bez jakiegokolwiek przymusu, z dobrej woli obustronnej, przykład w dziejach świata nie powtórzony, skoro unja państw północnych (kalmarska) nie zdołała się utrzymać. Nie poszło to łatwo; cierpliwość, wytrwałość, ofiarność i zręczność znakomitego dyplomaty, Zygmunta Augusta, uwieńczyła dzieło w r. 1569, któreby już w r. 1501 załatwione było, gdyby obie strony zachowały pakt piotrkowsko-mielnicki, który wspólną elekcję i wspólną radę ustanawiał, ale wyłamali się z niego Litwini sami wraz z wielkim księciem Zygmuntem. Odtąd wlokła się sprawa coraz odraczana. Polacy żądali zupełnego wcielenia; Litwa o tem i słyszeć nie chciała, ale niebezpieczeństwo ze strony Moskwy uwidoczniało korzyść unji, a dalej uśmiechało się szlachcie litewskiej, zahukanej przez wielkiego księcia i radę jego, równouprawnienie z polską, jej wolność. Czemu się rada sprzeciwiała, bojąc się o utratę przywilejów i znaczenia, to przeciw Radziwiłłom i Chodkiewiczom przeprowadziła szlachta łącznie z wielkim księciem, który zrzekł się dziedziczności wileńskiego «stołu». Sprawy, która za Zygmunta Starego z miejsca nie ruszyła, dokonał szczęśliwie August, przełamując opór możnowładców, którzy Lublin opu-

ścili, przyłączeniem południowej Rusi, Podlasia, Wołynia, Kijowa, Bracławia do Korony, chociaż zostawała ta Ruś przy odrębnem prawie (Statucie litewskim) i języku urzędowym ruskim. Unja lubelska pozostawiła Litwie własne urzędy dworskie i ministerja, własne wojsko i skarb, własne prawo i trybunał, obok wspólnego sejmu, wspólnej elekcji i wspólnej polityki zagranicznej; nie rozszerzała «egzekucji» na Litwę ani na owe ziemie południowo-ruskie. Rzecz ściśle polityczna okazała się dla dziejów kultury polskiej wagi pierwszorzędnej, bo polonizacja Rusi litewskiej szła odtąd w przyspieszonem tempie; niebawem okazała się potrzeba przetłumaczenia Statutu litewskiego na polskie i zaczęło się powoli wycofywać ruskie najpierw pismo z obiegu: najbliższe pokolenie czytało jeszcze po rusku, jeszcze i na początku XVII wieku, ale już nie pisało, a w drugiej połowie i czytać zapomniało, i Statut obowiązywał nadal w polskiem brzmieniu. Narówni z językiem szerzyła się obyczajowość polska i asymilacja w sferach wyższych, tak że wkońcu wszelkie różnice etniczne wśród nich się zacierały. Mogli się Radziwiłłowie i Chodkiewicze i po unji lubelskiej nosić z myślą oderwania Litwy, poza sferę platonicznych projektów to już nie wychodziło; związek zaś kulturalny, także dzięki szkołom, zacieśniał się z każdym lat dziesiątkiem.

Unja z Litwą stanowiła punkt programu szlacheckiego, t. zw. egzekucji (praw), która miała wprowadzić w życie wszelkie ustawy dawne, nie wykonywane, i załatwić nowe niezbędne wymagania. Chodziło o wojsko stałe, nieodzowne przy otwartych granicach a czyhających od wschodu wrogach; nim zebranoby pospolite ruszenie, mógł nieprzyjaciel przejść całą Koronę bezkarnie; poczty, które król czy panowie własnym nakładem utrzymywali, nie wystarczały; półśrodki zaś, np. żeby województwa kolejno stałą straż na kresach pełniły, nie wiodły do celu. Liczniejsze wojsko stałe wymagało jednak znacznych kosztów, a od podatków na nie stroniła szlachta z zasady. Zrzucała ciężary z siebie na duchowieństwo, równie oporne; skrupiło się na królu: jego niegdyś olbrzymie zasoby ziemskie silnie się skurczyły, szczególniej za ostatnich Jagiellonów, którzy w ciągłych kłopotach finansowych zastawiali dobra, aby ich nie wykupywać, albo je rozdarowywali, opłacając niemi służby. Sejmy dalszego szafowania zabroniły, a przeciw możnowładcom głównie wystąpiły z żądaniem, aby zwracano dobra królewskie, szczególniej nabyte po r. 1504, t. j. kiedy ów zakaz uchwalono. Odzyskane w ten sposób dobra zwracano królowi, który się wzamian zobowiązał czwartą część, a właściwie piątą część, z tych dochodów obracać na wojsko, kwarcianem stąd nazywane, wojsko liczbą małe, ale ćwiczeniem, uzbrojeniem, duchem nad ruchawką szlachecką nieskończenie wyższe; rozłożone na kresach, czuwało nad bezpieczeństwem szlachty. Ale wkońcu nie przeprowadzono egzekucji; zadowolono się tem, że posiadacze królewszczyzn płacili całkowicie również jedną piątą dochodów do skarbu wojskowego w Rawie. Natomiast nie przyszło dla samolubstwa szlachty i duchowieństwa do istotnej reformy skarbowej, nawet nie udało się przeprowadzić ogólnej taksacji dóbr szlacheckich, zadowalając się zeznaniem właściciela; pomysły banku narodowego, który miał uróść z jednorazowych składek i dalszych stałych dopływów, pozostały na papierze; w razie naglącej potrzeby podwyższano kilkakrotnie łanowe.

Zwoływanie pospolitego ruszenia i stanowienie kwoty poborowej należało już bezspornie do prerogatyw sejmowych, które się stale rozszerzały. Po nieudałym zamachu możnowładztwa (rady) z r. 1501, sejm radomski r. 1505 stworzył podstawę parlamentaryzmu polskiego, konstytucją *nihil novi* warując izbie poselskiej jak senatowi, że bez ich przyzwolenia żadnej nowej ustawy wydawać król nie może.

I okazało się, że szlachcic polski jedynie wolny w Europie, bo on swemu królowi nie był nic więcej winien, jeno »podymne, pospolitą wojnę i tytuł na pozwie«. Z tej wolności wy-

pływała i równość, najoryginalniejsza cecha szlachectwa polskiego, nieznana w Europie, gdzie szlachta dzieliła się na wyższą, utytułowaną arystokrację, możnowładztwo, i na niższą; myśleli o wprowadzeniu tej różnicy panowie i u nas, wychylali się np. z podobnem żądaniem wśród wojny kokoszej pode Lwowem 1537 r., lecz oburzona szlachta rozsiekaniem zagroziła, i takim sposobem w Polsce żadnych dalszych różnic stanowych, a więc tytułów (książęcych, hrabiowskich i t. p.), nigdy nie było; zawarowano tylko w akcie unji lubelskiej, że te tytuły książęce, co przysługiwały oddawna panom litewskim, mają być i nadal zachowane, lecz w niczem równości szlacheckiej ubliżać nie mogą; ale i z tych tytułów szydzono niemiłosiernie jeszcze i w wieku XVII-tym, od kwiku świniego niby, i t. p.[1] Mogli obcy monarchowie panom polskim nadawać tytuły za doznane usługi lub w celu ich zaskarbiania; w r. 1476 nadał cesarz Rafałowi Leszczyńskiemu tytuł hrabiego na Lesznie (!), a Maksymiljan I za zjazdu wiedeńskiego 1515 r. poobdarzał Szydłowieckiego i Radziwiłła tytułami książęcemi *(principes sacri Romani imperii)*, Firlejów, Tarnowskich hrabiowskiemi («Kmita grabia na Wiśniczu»); oprócz Radziwiłłów inni w Polsce tych tytułów mało używali; Zamoyski żadnego zagranicznego nie przyjął; tem bardziej chełpili się niemi Tęczyńscy, Górkowie, Rozrażewscy; Myszkowski od papieża Klemensa VIII margrabiego tytuł otrzymał, a od Gonzagów mantuańskich do ich herbu przyjęty, odtąd Gonzagą Myszkowskim się przezywał, ale co on za to od rokoszan, jako regalista, nasłuchał się przymówek! [2]

---

[1] O jednym tylko domie zacny hetman (Zamoyski) wiedział
Książąt, a *de caetero* każdy dudki śmierdział,

— pisał Herburt przeciw książętom Zbaraskim r. 1607.

[2] Wystarczy przytoczyć ustęp z listu Zebrzydowskiego do Myszkowskiego *(Pisma rokoszowe* II, 197):

«Ty z ambicji swojej kondycją szlachecką pogardziwszy i oną wszeteczną mową swą (przekładając psa włoskiego nad dziesięć szlachciców polskich) zelżywszy, starałeś się o cudzoziemskie tytuły, których dostawszy a potem się marszałkowstwa doplątawszy, tem bardziej ten stan zniżać począłeś, cudzoziemce, cudzoziemskie obyczaje i regimenty wprowadzając».

Myszkowski owe *dictum* nazwał niewstydliwem kłamstwem, a co do tytułu, toć on nikomu nie ubliża, ale nim go przyjął, króla i senatorów o tem uprzedził, którzy nic do zarzucenia nie mieli, skoro obce tytuły i inni dawniej przyjmowali (Szydłowiecki «koronę książęcia i przydatek do starożytnego herbu», smoka), więc pogardzać tą łaską Ojca św. nie zdało się (II, 203). Herburt w paszkwilu (I, 113) o nim:

Źle inaczej rozumieć, jeno z Włoszkiem sprawa,
Imię dane Gonzaga prawdziwie znać dawa...
Gadajże mi Gonzago, jako cię rozumieć:
A naprzód umiesz zgoła żyć bez Pana Boga, i t. d.

Jak demokracja szlachecka nie znosiła tytułów ani orderów,[1] co niby wyłom czyniły w równości braterskiej, podobnie nie zgadzała się na wyłom w równem prawie majątkowem, tworzony przez ordynacje, ustawy zabezpieczające skupienie i zachowanie majątku rodowego, ograniczające prawa działu i dziedzictwa. Kusił się o to w ciągu wieku niejeden ród, lecz dopiero Batory (co sejm później, r. 1589, potwierdził) dozwolił Radziwiłłom na urządzenie ordynacji ołyckiej (nieświeskiej), a Janowi Zamoyskiemu zamoyskiej; 1601 r. przybyła ordynacja pińczowska Gonzagów Myszkowskich, a wkońcu największa, ostrogska (dubieńska), kasztelana krakowskiego Janusza księcia Ostrogskiego, złożona z 24 miast i 593 wsi; ordynaci utrzymywali własnych żołnierzy z własnemi fortecami, artylerją, oficerami w stale oznaczonej liczbie.

PRZYWILEJE SZLACHECKIE

Najwymowniejszym rzecznikiem wolności i równości szlacheckiej okazał się prawnik padewski, Jan Zamoyski; z niej

---

[1] Batory, Zamoyski, za ordery Złotego Runa zamyślali się odwdzięczać kłami (wieprzowemi) albo trzema włóczniami z herbów swoich własnych.

wywiódł zasadę powszechnego *(viritim)* głosowania przy obiorze króla; już przed nim rzucono myśl tłumnego obioru, przez masę szlachty, nie przez jej przedstawicieli, ale on ją uzasadnił: skoro każdy szlachcic obowiązany życie ofiarować za ojczyznę, więc każdy winien i ma głosować na króla; sejm konwokacyjny 1573 r. przymus do głosowania i rozstrzyganie przez większość głosów uchylił; odtąd każdy szlachcic stawał do głosowania, które się województwami odbywało. W wydrukowanej przemowie do Henryka (rozchwytywanej w Polsce) sławił Zamoyski r. 1574 ustrój Polski i wmawiał w możnowładców, że są niby rzymskim senatem (już w dziele *De senatu Romano* z r. 1563 to przeprowadzał); w szlachtę, że są patrycjusze; w posłów, że są trybunami ludu; o królu naturalnie zapomniał; inni w nimby tylko dożę weneckiego upatrywali; imię zaś Machiawela stało się straszakiem, choć *Księcia* mało czytano.

Z równości wypływało także pojęcie braterstwa, i zwrot o braci szlachcie nie był bynajmniej pustym frazesem; mimo wszelkich różnic majątkowych, towarzyskich, kulturalnych, mimo płaszczenia się jednych a wywyższania drugich, mimo dumnych tradycyj rodowych węzeł napoły mistyczny, zastępujący związki krwi, łączył setkę tysięcy szlachty polskiej, przekonanej, że należano do niej z tytułu istotnych zasług przodków, krwią własną niegdyś nabytych; że ich nie zastępowała własna zasługa; że więc i król nikogo szlachcicem polskim nie udziała, chociaż on obcym tytuły choćby hrabiowskie nadawać może; że zaszczytu tego dopiąć można raczej przez dobrowolne przyjęcie do herbu. Tego braterstwa wieki średnie nie znały; wykluczały je silne różnice stanowe między *barones* a *milites* (nie mówiąc o włodykach); lecz skoro przywilej koszycki nie wysokim jednostkom (jak było z dawnemi przywilejami), lecz całej masie szlachty bez wyjątku był nadany, było to pierwszym krokiem do zrównania, siłą faktu zwycięsko przez szlachtę przeprowadzonego.

Ukoronowaniem wszechwładzy szlacheckiej były «artykuły henrycjańskie», obok *pacta conventa* (umowy), podane Walezjuszowi do zaprzysiężenia, z bardzo ostremi wymaganiami. Tłumaczyła je nieufność szlachty: dysydent obawiał się króla, sprawcy rzezi hugenotów; narodowiec — cudzoziemca, z którym się ani mógł rozmówić, któremu zwyczaj polski był najzupełniej obcy. Nieufność przeciw dworowi-królowi nie dopiero z tej egzotycznej kandydatury się wylęgła; początek jej dało wygaśnięcie Piastów, przywoływanie obcych, których dziedziczności uznawać nie chciano; pierwszy Zygmunt Stary przełamał zasadę, że *vivente rege* nie można wybierać następcy, ale tylko ogłoszenie Zygmunta Augusta wielkim księciem litewskim wymusiło na panach polskich to ustępstwo. Nieufności przeciw królowi dała wyraz silny wojna kokosza 1537 r.; Tarnowski jako rzecznik króla i dworu nie był pewny życia. Jakżeż wzmogła się ta nieufność r. 1573! Musiał się więc Walezy wyrzec wszelkiej myśli o dziedziczności korony; musiał zwoływać sejm na kadencję sześciotygodniową co dwa lata dla uchwalania poboru; w przerwie między kadencjami czuwała rada z luzujących się półrocznie senatorów nad każdym krokiem króla, któremu nie było wolno się żenić bez zgody owej rady; ostatni artykuł *de non praestanda oboedientia* zwalniał poddanych od przysięgi wierności w razie, gdyby król owym artykułom uchybił; uprawniano niby rokosz przeciw niemu.

Nie zadowalała się szlachta politycznemi przywilejami, jeszcze wcześniej wymogła ekonomiczne, np. wolność od ceł. Przy końcu XV wieku uwolnił Olbracht w s z y s t k i c h poddanych od wszelkich n o w y c h ceł, ale już w r. 1501 odniesiono to na wolność od wszelkich ceł, tym razem tylko dla szlachty,— potwierdził to Zygmunt Stary 1507 r. i akt unji lubelskiej. Odtąd nie płacił szlachcic na komorze żadnych ceł, jeśli zaprzysiągł (on czy jego pełnomocnik), że wwozi i wywozi towary nie jako handlarz, lecz dla własnego, prywatnego użytku;

później nadużywano przywileju w ten sposób, że szlachcic przemycał bez cła towary dla żyda lub kupca, podając je za swoje. Ta wolność była dalszą podnietą do intensywnej gospodarki, która się teraz znakomicie opłacała; dochód z dóbr powiększał się dziesięciokrotnie; odpokutowali to chłopi. Zato podniósł się wysoko poziom życiowy ponad niskość piętnastowieczną.

W izbie poselskiej, r. 1493 po raz pierwszy ustanowionej, skupiło się życie polityczne narodu szlacheckiego — mieszczanie nie brali w niem udziału. Czas trwania sejmu nie był pierwotnie wyznaczony i król zwoływał go, wymieniając w uniwersałach przedmioty obrad. Posłów wybierano na sejmikach, w każdej ziemi, a na Litwie w powiecie, po dwu; zarazem poruczał sejmik swoje lauda, t. j. instrukcję, której poseł winien był się trzymać, ale te dopiero później krępowały posła istotnie; poseł od skarbu otrzymywał diety, «strawne». Marszałek izby poselskiej, wybierany przez aklamację (głosowania nie było), kierował obradami, ale ani przerywał zbyt długiej mowy, ani zmuszał posła do ścisłego trzymania się przedmiotu. Posiedzenia były publiczne. Propozycje od tronu przedstawiał kanclerz lub podkanclerzy; gdy nie dochodzono do jednomyślności, t. j. gdy mniejszość nie chciała się zgodzić z większością, sejm się zrywał. Obrady bywały, czem dalej w wiek, tem gwarniejsze; Skarga ubolewał: «jakie swary, zwady i wrzaski, broni dobywania między nimi bywają». Do ścisłego regulaminu nie doszło się, chociaż nieraz taki przedstawiano. Liczba posłów wzrastała, od redukcji z r. 1552 na 57, do zwykłej liczby dziewięćdziesięciu kilku, 119 w r. 1569, a z Litwą, po r. 1569, 158 z 2 delegatami krakowskimi.

Senat składał się z biskupów, wojewodów, kasztelanów (wyższych i mniejszych, drążkowych, co nie zasiadali w krzesłach) i ministrów (podskarbiowie weszli doń później); liczba wahała się wedle zmian terytorjalnych, dochodziła do 150, chociaż później zatrzymywano krzesło, mimo że utracono ziemię — województwo. Tylko w posiedzeniach senatu król brał udział; posłowie przybywali wszyscy do ucałowania ręki królewskiej przy rozpoczęciu obrad, lub delegowani przez sejm, z marszałkiem na czele. Biła z rozpraw w sejmie i senacie wielka powaga; tych mów wyśmienitych była jedyna wada, że nadto długie, «końca w owych oracyjach naleźć nie możecie», a obcy to potwierdzali, bo Polak 500 słów użyje, gdzie inny 5. Nie brak było ludzi ofiarnych, godzących tylko na pożytek Rzeczy pospolitej, chociaż i oni nadto podkreślali, że jak zbrodnia kary, tak cnota wymaga nagrody; z tego wywiedli wkońcu ów *panis bene merentium*, co się później we drwiny obrócił; już w XVI wieku omijał on zasłużonych, szczególniej za frymarków Bony, która wkońcu na przedajność sarkała, jakiej sama napłodziła.

Miłość ojczyzny, nieznana średniowieczu, które ojczyznę z partykularzem utożsamiało, objawiła się dopiero w tym wieku; w imię miłości ojczyzny łączyli się — niestety nieliczni, wybrani, gdy wobec mas tem hasłem tylko szermowano; pod płaszczykiem *pro publico bono* demagogowie, jak Zborowscy, szlachtę łacno zwodzili. Nie znało średniowiecze ideałów starożytności; teraz kształtował się i przeciętny szlachcic na obywatelu rzymskim. Lecz wzorowanie jego było jednostronne; szlachcica polskiego zachwycała tylko wolność, a zapominał on zupełnie o «karności, siostrze wolności»; jego zajmowała jedynie starożytna respublika, t. j. jej obrona przeciw wszelkiej tyranji, a przez tyranję rozumiał stale króla, dwór i karność, czyhające na wolność, i *se opponere*, zawczasu a skutecznie, stało się przewodnim motywem myśli i czynu. Zapominał przy tem zupełnie, że ta jego starożytność spoczywała też na stałym, silnym rządzie, na prawie nieubłaganem *(pereat mundus, fiat iustitia)*, na haśle niedwuznacznem *salus reipublicae suprema lex esto*, i nie wyniósł z niej żadnej nauki czy przestrogi; tak samo minął na nim bez najmniejszego śladu przykład zakonu Jezuitów z jego karnością żelazną, posłuszeństwem bez granic, zaparciem się

wszelkiej samowoli, złożeniem każdej na ołtarzu obowiązku. Truciznę raczej niż miód wysysał szlachcic z kwiatów antyku, a co najgorsza, przez antyk upewnił się o konieczności niewolnictwa; skoro niewolnikiem stał cały antyk, więc i wolny chłop chrześcijański spodlił się jemu na takiegoż niewolnika; żył więc szlachcic w świętem przekonaniu, że na ziemi polskiej urzeczywistniał ideały starorzymskie, a z każdym lat dziesiątkiem wcielał się ten anachronizm coraz pełniej w myśl polską; literatura łacińska przyczyniała się walnie do tego fatalnego nieporozumienia, obcego Zachodowi, który się z starym «Rzymem» wcale nie utożsamiał.

Skutki tego świeżego narazie obłędu wyłoniły się rychło; *hic regnum mutabitur* niedarmoż w Poznaniu odczytano; samowola szlachecka i możnowładcza objawiła się zaraz przy Walezym i próżno nastawał Batory, że on nie myśli być *rex fictus necpictus;* przecież gdy ofuknął Kazimierskiego: «milcz błaźnie!», ten mu się odciął: «nie błazenem, lecz królów wybieram a tyranów zrzucam» — rychła tylko śmierć Batorego wzbierające między szlachtą wrzenie uśmierzyła. Ale nie wywietrzała jeszcze zupełnie karność średniowiecza, i bezkrólewia (nawet pierwsze, przeciągające się długo, 1572—1574) nie pogrążyły Polski, nie wydały jej na łup postronnym, i mimo wszelkich intryg habsburskich, rzymskich, litewskich przewiódł naród szlachecki każdym razem swego kandydata: więź była jeszcze silna.

Wobec rozbudzonego patrjotyzmu razi chęć ekspatrjowania się, nieraz objawiana, lecz i w czyn wprowadzana. Nosił się i Erazm Ciołek z podobną myślą, może tylko z zawiedzionej ambicji i dotkliwych przycinków. Osmólski wyniósł się istotnie z całym znacznym majątkiem (nad 300.000 talarów), że mu króla nie po myśli wybrano, i osiadł na zawsze zagranicą. Sierotka pisał do Krzysztofa Radziwiłła 25. IV. 1586: «Ojciec mój (Mikołaj Czarny), ten i majętności już sobie przepytywał w obcem państwie, chcąc się stąd wynieść, oddawszy wszystkie

urzędy i, by był żyw, wiem, żeby to było doszło, bo i powiadał mi to i pisał, i nietylko ja, ale i drudzy to od niego *ad exteros principes in commissis* mieli. Drugi, nieboszczyk p. Wojewoda podolski (Mik. Mielecki), czego mam świadka p. Bieckiego (M. Firleja), spytaj go WM., a powiedz, że ode mnie to wiesz, ten ze mną w Warszawie mówił, że skoro dziewkę za mąż wyda, zaraz z żoną chce wyjechać i nigdy do Polski do śmierci swej się nie wrócić, i radził się też u mnie, gdzieby mu najzręczniej mieszkać, jeśli w Niemczech czyli we Włoszech» (ci nie chcieli być świadkami upadku państwa, objaśnia Sierotka; alеż u Mikołaja Czarnego jak i u Tarnowskiego, który się również do Moraw wysiedlał, urażona ambicja stanowiła przyczynę). Mikołaj Sapieha pisał do Lwa (20. XII. 1602): «Będzie drugi wolał z żoną i z uczciwemi dzieweczkami gdzie na stronę uciekać, a bodajby się drugi nie znalazł gdzieś do cudzych ziem, gdzie lepszy rząd, porzuciwszy i majętność, od takowych swawolników, których tu wszędzie pełno»; wybryki wojska, «że płacz ubogich sierot i nieba przebija», nastroiły go tak gorzko.

Zygmunt Stary, acz cieszący się nadzwyczajną powagą, doma i zagranicą, prawdziwy «pasterz ludów», patrjarcha, rządzący się hasłem «naj bude jak buwało», milczek, niemy prawie, panował za długo; w ostatnich latach «łątka» (lalka) Bony, złego ducha Jagiellonów, węża-kusiciela (miała go w herbie Sforzów nie daremnie). Zygmunt August, którego matka, chcąc po śmierci starego męża rządy dalej prowadzić, pókiby do ulubionych Włoch nie wróciła, świadomie znieprawiła, utrzymywał mimo wszystko majestat królewski w uszanowaniu, i przepraszali go kornie ci sami posłowie, co nań groźnie nastawali, a warchołowi Zborowskiemu odparł w r. 1569: «siedziało ich tu dosyć na tych stołkach (senatorskich), którzy się o to kusili, aby mnie osiodłali, ale nie uczynili temu zadosyć, a tak i ty się o to próżno kusisz». Ze śmiercią Augustową odmieniło się jednak wszystko; przepadł legitymizm, objawiający się chyba tam,

gdzie był całkiem zbędny, np. gdy narzucano Walezemu starą, brzydką Annę Jagiellonkę; narzucono ją Batoremu, który się przed żoną słusznie w lasy na łowy uchylał; legityzmem cukrowano i wybór Szweda, ale sam Zamoyski aż nazbyt rychło otrzeźwiał z fatalnego wyboru i jeszcze bardziej, niż niegdyś Jan Tarnowski, z przekonanego «regalisty» przeszedł w szeregi «malkontentów», opozycję szlachecką wobec intryg habsburskich rozbudził.

Nieufnem okiem patrzyła już szlachta na wszystko, w czem upatrywała zamach na swoje wolności. Wydał r. 1583 rektor krakowski, Jakób Górski, mowy, jakiemi Batorego witał; w jednej z nich wzywał jego silnego ramienia przeciw wszelakim wichrzycielom. Odezwał się r. 1589 na sejmiku wiszeńskim chorąży lwowski Jan Herburt, wychwalał wolność polską i dodał, że «wiele ich jest tak głupich i niebacznych, którzy hydzą ją *et in malam partem* obracają; są książki Górskiego nader sprośne i wszeteczne o tem, za które aby *poena* była i na potem *recedat*, godzi się i potrzeba tego», a Paprocki, sądząc Górskiego wedle siebie, napisał r. 1587 o nim, że «uprzykrzył się wam (szlachcie) w pisaniu swem dlatego, że kładł *voluntatem pro libertate*... odmienił się w starości swej z Polaka na Węgrzyna; zgrzeszył przeciwko ojczyźnie i krwi swojej dla ambicji». Już nie znosił szlachcic najmniejszego uszczerbienia wolności, np. praw przeciw zbytkom, przekonany, że

gdzie jest wolność gruntowna, trudny tam rząd będzie;
gdzie zaś wolność szczerbata, tam znajdziesz rząd wszędzie;

dziś zakażą mi stroju kosztownego, a na przyszły rok może ryby łowić tylko przy przystawie (urzędniku); wedle przodków ma nasza swoboda tę własność:

aby z gruntu prawdziwie była zawsze wolność. [1]

---

[1] *Rozmowa szlachcica polskiego z cudzoziemcem r. 1600.*

MIESZCZANIE

Wobec wszechwładztwa szlachty nie dziw, że znaczenia miast ludnych i bogatych nie doceniano już w tym wieku; szlachta zakopywała się na wsi lub po dworach pańskich, unikała miasta, bo Polak od pola rzeczon; jedyny stary Bielski inaczej, trafniej rzecz osądził:

By szlachta jako indziej po miastach mieszkała,
Takby też młódź z statecznem ćwiczeniem zrównała;
Strzegliby się srogości miejskiego urzędu,
Przestaliby zuchwalstwa i innego błędu.
Na wsi kto go ma karać? Prawa się nie boi, i t. d.

Ale stały jeszcze miasta w swojej ozdobie i powadze, obok Krakowa Lwów, Poznań, Lublin i Wilno. Trapiły je częste ognie i groźne mory, ale i one używały błogich wczasów tego wieku. Żywioł niemiecki niecałkiem spolszczał, jeszcze 1587 r. garbarze krakowscy za Maksymiljanem przeciw Zamoyskiemu gardłowali, ale to była ostatnia próba polityki partykularnej. Kraków brał udział w wyborach króla, wysyłał dwóch niemych delegatów na sejmy, poza tem nie występował politycznie. Miasta, szczególnie królewskie, kwitnęły, nie wydane jeszcze samowoli starostów, zachowujące autonomję sądu i rady; prywatne zależały od dobrej woli swych panów, ale któż drugi starał się tak o dobrobyt miejski, jak Zamoyski w Zamościu? On i obcych rękodzielników sprowadzał, aby ożywić przemysł i wyrobem krajowym (np. safjanu) zagraniczny zastąpić.

Rej, jako przeciętny szlachcic, nie miał wyobrażenia o znaczeniu miasta; w Krakowie posiadał kamienicę własną, ale tu uderzało go tylko, czem się ubóstwo gnaruje (pożywia), zresztą dzwon Zygmunt go wzruszył, o akademję też potrącał. Jedyny stary Bielski (ojciec) zostawił najbarwniejsze obrazki krakowskie z drugiej połowy wieku. Zaczynał od Sukiennicy, gdzie Włosi nawieźli wszelakiego sukna, i chrzcząc je najrozmaitszemi

nazwami, wyłudzali pieniądze; «niemczykowie» podobnie robili, poodmieniali nazwy dawnych dobrych sukien, a fałszowali pieczęci (z miejsca produkcji), wydawali Mittelfutter za Kerntuch; przy odmierzaniu tak naciągali sukno, że go i dwa łokcie ginęło. Pod krzyżami siedzące kramarki nie mogły się swych towarów nachwalić, swej dupli-kitajki (jedwabiu), płótna rąbkowego (na rąbki, t. j. zasłony) i t. d. Na piętrze siedziały smatruzianki, które lesz przedawały za zamsz, biorąc za skórkę 15, dawniej trzy grosze; «skóry z cielców wyprawią, a rzeką jelenie». Na trecie solne, maślne, owieśne i śledziowe jatki wyłudzały również grosze, nawet sienniczka «zwinie snopek (siana) by kądziel, we dwoje przepasze»; siedziały nad węglem, czerwieniąc się od gorąca i piwem się chłodząc. W szynku nierząd w mierze i cenie; za kwartę złego wina pięć groszy żądała szynkarka, a my dawniej w Mennicy małmazję po dwa grosze pili; a co przypisują na tramie (długu)! Śród cechów i rzemieślników złotnik «do grzywny srebra miedzi trzy łuty przysadza, natka wosku w sygnety, purysu w łańcuszki». Rymarz kazał sobie wszystko przepłacać, «dziesięć złotych wyrobi z jednej krowiej skórki«; wymawiał się cechem, który ceny ustanawia, i własną utratą, to na burkat, to na majstersztuk (musiał przytem w post wielką szczukę wystawić); «trzeci rzecze, ścinałem świec w poście trzydzieści, kosztuje mię to wiele, blisko złotych sześci».[1] U kuśnierza «nigdy się rękaw z szatą od niego nie zgodzi»; «natrze kretą wiewiórkę, rzecze: popielica»; jego czarne bobry, chociaż drogie, «rzadko który dobry». Krawiec «kredą kryśla, rozmierza, strzyże wielkie cwykle»; jeśli go nie schowa, zostaną przecież rozmaite płatki, «kiedy darmo, nie wadzi niemi upstrzyć dziatki»; pokrajawszy, szedł precz, trzeźwym bywał tylko do nie-

[1] To «ścinanie świec» utrzymało się długo; jeszcze Matuszewicz w pamiętnikach około r. 1750 o tem wspominał, ale jako o rzeczy szlacheckiej.

szporu, upiwszy się, ubije ucznia swego łokciem; jutro obiecał uszyć żupan, szarawary, ależ nie dawaj mu wiary. Czapniczki siedziały w swych kramnicach porządkiem wedle losu; ona konew piwa z imbierem wyczęstuje, przepije czapkę, a mężowi powie, że ją drabi we ścisku ukradli. U szewca buty pierwej dwa skoty kosztowały, dziś pół kopy; musisz mu zapłacić i kopyto, które popsuł ćwioczkami, gdy ci buty szył; zapłacisz i ich kolacje, bo wiele przepili tańcując z chorągwiami, gdy świece topili. Wielki nierząd w cechowych zabawach; kordy wprawdzie pochowali, ale za gardła się duszą; jeśli nowy towarzysz nie witał trafnie, winę płacił; dla ich błazeńskich ustaw zawżdy dziura w trzosie; zato zmawiali się w cechu na podwyższenie cen: mało pieniędzy w skrzynce (cechowej), już czas przyszedł ćwiczenia, będziem strzelać kurka; rycerskie to ćwiczenie, więc na szlachcie straty wetowali. Szkoda i od kupczyków z ich fraszkami, co wypróżniają nasze taszki: śrebro drótowe, co Włoszek nosi; «goldszlar» złote stopił, rozbijał malarzom na cieniuchne listki, potem się to obraca z obrazem na chwistki i t. d. Również możnaby wedle minjatur w kodeksie Bema życie warsztatowe wystawić.

Monopol Gdańska (zob. niżej) podkopywał miasta krajowe; żydzi handlem, pierwotnie wcale niedozwolonym (wolno im było tylko lichwić), dobijali je do reszty, zadowalając się najmarniejszym zyskiem przy najmarniejszem życiu; wojewodę i podwojewodziego samym szafranem i innemi towarami miewali zawsze po swojej stronie i panoszyli się kosztem mieszczan, a skargi były daremne.

Ustawodawstwo obniżało mieszczan na obywateli drugiej klasy. W kapitułach rezerwowano nibyto miejsca dla plebejuszów-doktorów prawa kanonicznego i teologji, ale od tego miał szlachcic pieniądze, aby w Rzymie kupił dyplom i wracał doktorem do kraju; więc jakżeż plebejuszowi docisnąć się do kapituł? Zygmunt Stary upatrzył swego długoletniego sekretarza,

Jakóba z Obornik, wydającego się za szlachcica, na kanonję poznańską przy najbliższym wakansie; gdy w roku 1535 dwa się otwarły, zgłosił się Jakób z nominacją królewską i listem Tomickiego, ale kapituła go odrzuciła, zadając mu nieszlachectwo. Obruszył się król i ostro zganił kapitule, że się nie rozmyśliła odrzucić człowieka zasłużonego, «jakich między wami mało», i przewiódł na swojem (r. 1536). Potrzeba było najsilniejszego wstawiania się króla Aleksandra, aby Erazma Ciołka, mieszczanina krakowskiego, bakałarzującego na uniwersytecie a sekretarza jego, mimo oporu kapituły, która jego wywód szlachectwa odrzuciła, wśrubować jako mniemanego Sulimczyka do kapituły. Jego znowu sekretarz, poznańczyk Czepiel, któremu uniwersytet kosztowny księgozbiór zawdzięcza, był już hrabią pałacu laterańskiego i proboszczem wrocławskim, doktorem praw znakomitym, a kandydatem na kanonję został dopiero, gdy go Łascy do swego Korabia przyjęli a król to potwierdził. W Prusiech nie było tego ostracyzmu, więc najzasłużeńsi około państwa i Kościoła mieszczanie, którym żaden szlachcic nie dorównał, Hozjusz i Kromer, mogli zostać biskupami pruskimi (przed nimi Dantyszek), co w Polsce i dla nich byłoby niemożebnem. W Prusiech mogli mieszczanie dobra ziemskie nabywać, więc pilznianin Szymon Maricius ożenił się z mieszczką, właścicielką dóbr ziemskich: gdyby się nie ożenił, byłby się Hozjusz dla niego o jaką kanonję pruską wystarał, ale przyjął go szlachcic pruski do swego herbu, co król potwierdził, — jego doktorat obojga prawa nicby mu nie był pomógł (we Francji doktorat nadawał szlachectwo!); tak pod karą 3000 czerwonych zł. nie mógł nikt jego szlachectwu ubliżać. Nie wadziło to jednak, by się i nieszlachta do biskupstw nawet nie dostawała: biskupom, Tylickiemu krakowskiemu,[1] Piaseckiemu i Baranowskiemu przemyskim,

[1] Wedle *Księgi Chamów* miał Tylicki w poczuciu swej nierówności nie przyjąć ofiarowanego mu prymasostwa.

zarzucał *Liber Chamorum* (zob. niżej) nieszlachectwo: furtką, którą się mieszczuch do szlachectwa dobywał, była prywatna nobilitacja królewska, którą łaską albo przy pustym skarbie pieniądzmi okupywano (dlatego warował sobie sejm prawo nobilitacji!). Uderza nieco, że Szczęsny Herburt, świadomy rzeczy, o Tylickim mówi: «ślachcicem *pewnie* jesteś, ojczyznę miłując» (I, 107), ale on stronnika swego może nie chciał na sztych wydawać.

Jawnem poniżeniem mieszczaństwa była uchwała sejmowa z r. 1538, nakazująca mieszczanom wysprzedaż dóbr ziemskich w ciągu lat czteru, a sejmy z r. 1542 i 1543 coraz usilniej dopominały się u króla o jej wykonanie. Mieszczaństwo polskie nawet nie powoływało się nigdy na Prusy, gdzie miasta wraz z szlachtą obradowały, i zadowoliło się (niemym) udziałem dwu delegatów krakowskich w sejmie; zachowywało się stale najlojalniej, a w sposobie życia naśladowało ile sił szlachtę, i daremnie ustawy zabraniały mu jedwabiów i szkarłatu, wprowadzały ograniczenia w stroju i zbytku.

Jeszcze jaskrawszem obniżeniem mieszczaństwa były uchwały sejmowe z r. 1538, drwiące wręcz z żądania królewskiego obostrzenia kary za mężobójstwo: gdy szlachcica mordującego szlachcica skazywano na rok i sześć niedziel więzienia *in fundo* i główszczyznę 120 grzywien, za zabójstwo mieszczanina on wieży nie odsiadywał i płacił 10 grzywien (t. j. mniej niż za konia lub psa), mieszczanin za zabójstwo szlachcica szyję tracił. Zżymali się obaj królowie i dwór na to niechlujstwo, ale nic nie przewiedli; przetrwało ono do r. 1768, chociaż prawo Prus Królewskich i Statut Litewski takiej jawnej wzgardy wszelkiej sprawiedliwości nie znały.

Dobrobyt mieszczan krakowskich niszczyli też włoscy rękodzielnicy, którzy napływali masowo, «gospodami mieszkając handle im wszystkie odjęli, wolności sobie jakieś wyjednawszy wielkie skarby do Włoch wysyłają»: sejm 1563 r. żądał, albo

żeby Włosi tu na stałe osiadali i tych samych praw zażywali, albo niech się im pobyt wypowie i niech do św. Jana towary wysprzedadzą. Nie dziw, że co mogło, stan miejski opuszczało; najbogatsi, najpoważniejsi, Bonary, Betmany, Morsztyni, i tak przez zakupno dóbr ziemskich i ożenki z szlachciankami dawno uszlachceni, już do miasta nie należeli, które w nich najwybitniejszych przedstawicieli na zawsze utraciło.

Kraków już się wyżej nie wznosił, ale utrzymywał się na dawnej świetnej stopie; zato Poznań urósł znacznie dzięki temu, że cały ruch handlowy z Górnych Niemiec dla husytyzmu omijał dawną drogę Norymberg-Praga-Wrocław, dla nowej drogi Lipsk-Poznań; Poznań skupiał cały handel, mianowicie skór i futer, z Litwy i Rusi; stosunki jego z Lipskiem były jak najściślejsze. Lwów pozostał i nadal środkowym punktem handlu ze Wschodem, poparty przez swój przywilej składowy, walcząc o to z mieszczanami kamienieckimi, nie dopuszczając ich na jarmarki lubelskie; nabierał coraz więcej bogactw i wpływu, polszcząc się bardzo powoli. Lwów sam i Ormianie lwowscy odznaczali się silnym ruchem umysłowym, dobremi szkołami, z których niepośledni wychodzili uczniowie, np. bracia Śmigleccy (jeden przeciw życzeniom Zamoyskiego jezuitą został, autor wojujący głównie z arjanami); późniejsi profesorowie akademji zamoyskiej Ursyn, Burski i in.; ojciec Simonidesa, mazur z Brzezin, człowiek światły, i inni. Ale nawet małe mieściny, takie Pilzno np. lub Kurzelów, o których później zupełnie głucho, wysyłały uczniów do Krakowa, którzy zasłynęli jako uczeni, np. Maricius lub Petrycy (pilźnianie); kurzelowczyków też był spory zastęp.

PRZEMYSŁ I HANDEL

Dobrobyt miast zależał od przemysłu i handlu, a tu nie zmieniły się organizacje średniowieczne jeszcze, cechy w przemyśle a przywileje w handlu (prawo składu; przymus drogi; cła i myta). Dla handlu polskiego otworzyły się teraz dopiero najkorzystniejsze widoki; wprawdzie dawny trakt handlowy z zachodu na wschód wskutek owładnięcia Czarnego Morza przez Turków utracił wagę tranzytu, ale dopiero gdy przez opanowanie całej Wisły dostęp do morza się otworzył, a na Zachodzie potrzeby żywności i surowców wzrosły, stała się Polska największą dostarczycielką jednego i drugiego. Już przy końcu XIV wieku zjawiały się po raz pierwszy okręty angielskie w gdańskim porcie po zboże polskie, i stale rósł popyt na nie, aż doszedł w XVI wieku do szczytu. W Anglji, a przedewszystkiem w Holandji, z powodu miast zwiększonych, wzmożonego uprzemysłowienia, upadku rolnictwa, potrzeba obcego zboża wzmagała się z każdym rokiem; po nie stawały okręty, holenderskie przeważnie, w porcie gdańskim, a do zboża przystępowały polskie towary leśne, budulec na okręty, maszty, pojazdy (wiosła), popiół dla sukienników, smoła. Tego wszystkiego dostarczała szlachta i kupcy (mieszczanie), ale zysk większy zapewniał Gdańszczanom ich przywilej średniowieczny. Oni mieli prawo składu bezwzględnego, t. j. szlachta i kupcy polscy musieli im wyłącznie odsprzedawać towar, a cudzoziemcy (goście) mogli go tylko u Gdańszczan kupować; nie wolno było pod żadnym warunkiem omijać pośrednictwa gdańskiego, nie śmiał polski producent znosić się z Anglikiem czy Holandczykiem, wywiedzieć się np. o stosunkach i wedle nich ceny normować. Gdańsk narzucał Polsce ceny jakie chciał i zabierał jako jedyny pośrednik wielkie zyski; nie wykorzystał jednak wcale świetnej swej pozycji, bo nie utrzymywał własnej floty handlowej większej; Holandczycy przewozili własną flotą polskie zboże i surowce i bogacił ich handel polski nierównie więcej, niż ich kolonje zamorskie. Najmniej zarabiała Polska.

Udało się przełamać podobny przywilej toruński, podobny wrocławski (dla handlu lądowego) po zaciętej walce; nie udało się nawet wszechwładnej szlachcie, nawet po buncie gdańskim,

przełamać tej zapory, co zyski polskie redukowała *ad minimum*. Nie brakło zakusów, ale na serjo stanowisku Gdańska nic nie zagroziło.

Ten handel przybierał olbrzymie rozmiary; w r. 1563 wywieziono do Gdańska 78.000 łasztów zboża (łaszt około 2000 kilo) — prawda, że cyfry bywały nadzwyczaj chwiejne (dla nieurodzaju, zarazy, wojny); spadały wyjątkowo i do 2000 (r. 1577). Gdańskiem (»okiem, którem patrzyła na wszystek świat») dała sobie Polska wydrzeć państwo na morzu, chociaż na 200 mil brzeg swój miała, bo szlachta o morzu ani myślała. Były jednostki, co znaczenie morza doceniały, np. Solikowski, który w *Rozmowie Kruszwickiej* r. 1573 pisał, że każdemu narodowi «więcej na morskiem państwie należy, niźli na ziemskiem, bo i większe i prędsze pożytki morzem niźli ziemią przychodzą, dlatego kto ma państwo morskie a nie używa go, z bogatego ubogim się staje, z pana kmieciem» i t. d., ale zadomowiony szlachcic o morzu nic słyszeć nie chciał, a mieszczanin nic przewieść nie mógł.

Gdy tak szlachcic najsilniejszy atut z rąk wypuścił, starał się przynajmniej dla siebie w lądowym handlu o największą korzyść; żeby najtaniej kupić a najdrożej sprzedać, wykluczał pośrednictwo miejskie: obcy kupcy mieli z nim bezpośrednio się znosić. Kupował taniej a sprzedawał lepiej już dlatego, że (jak i duchowni) żadnego cła nie płacił, ani «nowego» nawet, zaprowadzonego r. 1507 na eksport licznych artykułów, wcale wysokiego; mieszczanie musieli cła nowe płacić, gdy od starego, nierównie lżejszego, wielkie miasta wszystkie a i wiele mniejszych były przywilejami królewskiemi uwolnione; wolni od ceł bywali i wszyscy *servitores regis*, niby dostawcy i przemysłowcy dla dworu, sami cudzoziemcy, którzy i od wszelkich innych powinności miejskich wolni byli i dobrobytowi miejskiemu znacznie szkodzili. Tak oświadczyła się szlachta nieco krótkowzrocznie za wolnym handlem, gdy właśnie słaby jeszcze przemysł domowy

ochrony wymagał, bo z nierównie tańszemi wyrobami obcemi konkurować nie mógł. O żadnym monopolu szlachta ani słyszeć nie chciała; bojąc się zdrożenia artykułów, wszelkie próby uniemożliwiała; nawet w cechach rodzaj monopolu upatrywała, zmowy dla utrzymania wysokich cen, i nieraz, ale napróżno, ich zniesienia się domagała: najsurowsze edykty zostawały zazwyczaj na papierze. Nakładała na wojewodów ustalanie cen, taryfy, ile możności dwa razy do roku, ale nie spieszył się z tem wojewoda. Żydzi w handlu brali jeszcze mało udziału. Z obcych, oprócz Włochów i Niemców, a wyjątkowo i Francuzów, już od połowy wieku zjawiali się Szoci, albo wędrujący po kraju z «opałkami», albo rozwożący swój kram wózkiem jedno- lub dwukonnym; Polska okazała się im drugą matką.

Dochodami z ceł z powodu licznych uwolnień skarb się nie bogacił zbytnio. Głównym produktem handlu było zboże i towary leśne; czerwiec (dla farbowania wełny) znikł od drugiej połowy wieku zupełnie, wyparty przez koszenilę; z minerałów sól wszystkie inne znacznie wyprzedzała; wywożono ją szczególniej do Węgier, Czech i Śląska, chociaż własnych potrzeb nie pokrywała; cała północna Polska zaopatrywała się w sól zamorską, a wielkopolskie powiaty nawet w niemiecką; szlachta kupowała sól dla siebie po niższej cenie, ale nie zawsze jej dostawała. Po soli ołów, z Olkusza wywożony, wiele jeszcze znaczył. Na równej niemal mierze, jak zboże, stał wywóz wołów; pędzono je aż z Wołoszczyzny; «cło nowe» wybierano po złotemu od woła (bardzo wysoka opłata, niemal połowa ceny), ale przy złotym zostało, gdy wartość jego znacznie spadła, i to samo dotyczyło innych ceł, których nie podwyższano, choć wartość pieniądza strasznie się kurczyła. Szlachta i duchowieństwo pędziły swoje woły, czynszowe chłopskie (powołowszczyzna) i zimowałe (szlachcic kupował za pieniądze zimą i podkarmiał je nieco) bez cła; przysięgała sama lub jej faktor, że to chowu domowego (tak samo z innemi artykułami), a kupowała bez cła «dla własnej po-

trzeby»; nadużyć było przy tem aż nadto. Poznań był centrem handlu skórami i skórkami, w stałych stosunkach z Wilnem i całym ruskim wschodem, który się w Poznaniu we wszelakie artykuły, od nożów, sierpów do czapek, opatrywał; Warszawa rychło się wznosiła, zająwszy środek niemal państwa i to nad Wisłą, gdzie się krzyżowały szlak wodny i lądowy (Poznań-Wilno), jej port był znany, a most drewniany Zygmunta Augusta jeszcze słynniejszy (aż go powódź zniosła); Lublin, chociaż przywilejów (składów i t. p.) nie miał, na swoich dwu dorocznych jarmarkach największe i obcych kupców zbierał gromady; Jarosław mu w XVI wieku ustępował. Kraków był centrem handlu kruszcami i stał w najściślejszych związkach z miastami północnych Węgier; Brzeziny mazowieckie były centrem polskiego sukiennictwa, acz jego wyroby w porównaniu z obcemi mało ceniono (służyły np. dla służby niewybrednej); sitarze mazowieccy aż na Bałkan docierali. Komory celne były liczne, szczególniej nadgraniczne; kto się mógł wykazać kwitem jednej komory, w drugiej cła nie opłacał; myto zato wybierano wszędzie, bo miało służyć naprawie dróg, mostów, grobel, chociaż się z tym celem, mianowicie w dobrach prywatnych, często mijało. Ruch handlowy był znaczny, ożywiony.

CHŁOPI

Los chłopów pogarszał się z każdem dziesięcioleciem, szczególniej w dobrach pańskich, mniej w duchownych, najmniej w królewskich, gdzie urzędnicy nadużyć niezawsze bezkarnie się dopuszczali, gdy w pańskich czy właściciel czy dzierżawca tylko samowolą się rządzili, skoro chłopu w ich dobrach ucieczka do sądu była zabroniona; patrymonjalne sądownictwo, t. j. pan sam, rozstrzygało w pierwszej i ostatniej instancji. Gdzie pan na wsi siedział, tam sama tradycja z jej więzami

normowała poniekąd stosunki, ale biada tej wsi, co dzierżawcy się dostawała; system folwarczny, rozwielmożniając się, dolewał oliwy do ognia ucisku. W pierwszej połowie wieku były stosunki jeszcze jako tako znośne, pogorszyły się znacznie w drugiej, gdy szlachta coraz gorliwiej zamiast służby publicznej pługa się jęła. Więc u Reja, jako prototypa szlachica, jeszcze w r. 1543 śmiał wójt stanąć obok ziemianina i plebana z uprawnionemi skargami; później Rej o chłopie już nie wspominał, chyba z przekąsem. Jeszcze i Kochanowski, pomny patrjarchalnych stosunków wiejskich, «pijał z włodarzem», ale to ostatnie przebłyski dawnych stosunków. Rej wyliczał w dialogu z r. 1543 ciężary chłopskie; jako św. Marcin nastanie,

Dajże czynsz, dajże kokoszy,
Dajże sep, sery, gęś, jajca;
To w niwecz, com się narobił.
Dajże jeszcze przecież owies,
A to w niwecz, com dał winę
Leda o jaką przyczynę..
Urzędnik, wójt, sołtys, pleban,
Temu daj gęś, temu kokosz,
A przecież na tłokę robić:
Czasem proszą, czasem chcą bić.
Więc potem przyjdą pobory,
Bo dać, by z skóry wyłupić.
A nie daszli, wezmą ciążą, [1]
Abo cię samego zwiążą;
Więcej niż pan, wojnę służą,
Bo mu już naspiżuj wozy,
Daj rydl, siekierę, powrozy,
Daj wojenne sery, krupy.
Wrzeszczy baran, leci snopek,
I jałochnie wziąć pewno w róg...
Bo znowu nastanie nędza,
Kiedy czas przyjdzie na księdza,

---

[1] fantem.

Gdy chodząc snopki przewraca,
A co tłustszej kopy maca;
Natknieć wieszką, kopie w rogu:
Nie mnie to dasz, synku! — Bogu!
Muszą wieźć, a w łeb się skrobią.
Potem bieży po kolędzie,
W każdym kącie dzwonić będzie,
Więc woła *Illuminare!*
A ty chłopku musisz *dare,*
A nie daszli, wnet będzie kląć,
A nie chceszli, coć każe. daj!
Kto umrze, kto się urodzi,
Kto ślubi, kto się rozwodzi,
Musi okrężne postawić.
I kołaczać nie oświęcą,
Aż dasz łopatkę cielęcą.

To były jeszcze świetne stosunkowo czasy; chłop pragnął pokoju i sprawiedliwości, ale któż jej dotrzymywał? przy końcu wieku, u Klonowica, brzmi już nuta inaczej:

Kmiotaszek ubogi ustawnie do dwora
Robi sobą i bydłem aże do wieczora,
Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem,
Zimnem i upaleniem, łzami, dymem, potem.
Cierpi kuny, biskupy, korbacze, gąsiory,[1]
Osoczniki,[2] pochlebce, podatki, pobory,
I pany furjate, opiłe tyrany,
Pyszne, chciwe, wszeteczne, gorsze niż pogany.

Niewiele inaczej prawił stary Bielski (po r. 1566):

Sam Bóg wie, jak w swym stanie tak długo trwać mogą,
Nigdy nie odpoczynać ręką ani nogą.
Są oni u wszech ludzi jako niewolnicy:
Pan wołu zje, wilk konia, pleban dziesięcinę.
Jeszcze wsadzą, ubiją i założą winę:
Tak króla, jako pana kmieca skarga głuszy.

---

[1] nazwy kar. [2] oskarżyciele.

Najpierwej mu, niż komu, nie dostanie chleba,
Musi woły posprzedać, choć ich w pług potrzeba.
Jeśli go kto zabije, powiem statut o tych:
Człowiek za dziesięć grzywien, szkapa za sto złotych.
Dobrze, iż ich do pługa już nie zaprzągają,
Dlatego niebożęta wżdy woły chowają.

A sielanka Szymonowica, choć nieco później i na Czerwonej Rusi napisana, skreśliła bardzo wymowny obraz tej ciężkiej niewoli.

To poeci; w tym samym roku (1595) pisali minister i jezuita to samo. Turnowski (brat czeski) opowiadał w toruńskiem kazaniu synodalnem o ewangeliku, pytającym chłopa, dlaczego nie rzuca rzymskiego obłędu; na to chłop:

«azaż się nam czego chce w tej niewoli? Nie mamyć my czasu i o Bogu myśleć. Najdą panowie i w niedzielę nas czem zabawić. Już nas z tej ciężkiej niewoli ani Bóg, ani djabeł nie wybawi. W gorszemeśmy u swego państwa poważaniu niż bydło. *Psią krwią* nas nazywają a jeszcze bardziej swoje psy niż nas poważają. Już nam tak przyjdzie na tym i na onym świecie cierpieć».

A Skarga w ósmem kazaniu sejmowem:

«Ona krew albo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie bez żadnego zakreszenia ciecze, jakie wszystkiemu królestwu karanie gotuje? Powiedacie sami, iż niemasz państwa, w któremby bardziej poddani i oracze uciśnieni byli, pod tak absolutum dominium, którego nad nimi szlachta bez żadnej prawnej przeszkody używa... jako ziarna pod młyńskim kamieniem, takci kmiotkowie pod pany swymi. Jeśli nie kupni ani pojmańcy, jeśli Polacy tejże krwi, nie Turcy ani Tatarzy, jeśliż chrześcijanie, czemuż w tej niewoli stękają? Czemu ich, nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy? Na twej roli siedzi a źleć się zachowa, spędź go z swej roli a wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nię bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędziego nie czyń... A my wierne i święte chrześcijany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą zniewalamy i jako okupione bydło, gdy dla swej nędzy uciekać muszą, pozywamy i gdy żywności swej indziej ubodzy i znędzeni szukają, okup na nich jako Turcy na więźnie wyciągamy, czego we wszystkiem chrześcijańskie nie słychać».

Mnożyły się skargi w literaturze, *Lamenty chłopskie na pany* pojawiały się i w druku i w rękopisie na początku XVII wieku, powtarzając niby Reja i Klonowica. Drukowany *Lament*, rozmowa kilku chłopów o swej niedoli, odmienił jednak tragedję chłopską w komedję, przyczepiwszy europejską baśń o tem, jak to Bóg sam stany u potomstwa Ewinego rozdzielał, więc niedolę mieszczańską i chłopską uświęcał: to mógłby i szlachcic napisać!

ŻYDZI

Spływali coraz liczniej do Polski, rozradzali się coraz bardziej na Litwie; jeszcze w XIV i XV wieku uchodzili polscy (litewscy, t. j. ruscy, nigdy tak nisko nie opadli) za ciemny tłum, lichwiący, leczący i czarujący, pogardzany przez szpaniolskich w Carogrodzie i Rusi. Ale XVI wiek był i dla nich złotym. Mnożyły się ich dostatki, rosła pewność siebie; ośmieleni tem, rzucili się też do pracy umysłowej, i niebawem zasłynęli polscy i litewscy żydzi jako znakomici talmudyści, którzy, całkiem niby scholastycy średniowieczni, z niezmierną pracą a zdumiewającem uzdolnieniem dialektycznem i dowcipem ostrym wypracowywali najsubtelniejsze dociekania nad szczegółami wiary i obrządków, najpotworniejsze sylogizmy i kombinacje. Kraków był centrem ich druków, ale najznakomitsi mędrcy działali na wschodzie, np. taki Izak z Trok, co pisał r. 1593 *Twierdzę Wiary* (dokończoną przez innego talmudystę, Józefa Malinowskiego): z tej *Twierdzy* (przełożonej r. 1681 pod tytułem znamiennym *Ogniostrzały Szatańskie*) czerpali pełną garścią encyklopedyści francuscy w XVIII wieku, bo spokojny, wytrawny polemista nietylko bronił Mojżesza, ale napadał na chrześcijan, wykazywał sprzeczności ewangelistów, sprzeczności ewangelji a wiary, etyki a życia, i odsłaniał wszelkie słabe strony nauki.

Panowały wśród żydów zresztą dawne przesądy: z domu umarłego i sąsiednich wylewano wodę dla anioła śmierci, co w niej, zabiwszy człowieka, miecz obmył; palili przez siedm nocy świece na miejscu umarłego, dla duszy, co wraca żałować rozstania z ciałem; izbę wkoło kredą określali, aby nieszczęście nie wtargnęło; nie grzeszą, bo co noc udają się dusze ich do Jehowy i wyspowiadane wracają do ciał; w bóżnicy rano i wieczór każdy się z swojemi modłami spieszył, ale jeden z drugim to i owo rozmawiając a nieraz się i wadząc, nie dokończywszy modlitw.

Jakub z Bełżyc, rabin uczony, w polemice z Czechowicem (zob. niżej) r. 1581 prawił o ziomkach: «Nie mamy na tym świecie żadnej rozkoszy, jako w państwie tak w używaniu rzeczy rozkosznych, jeno zawsze w strachu a w przelęknieniu i buzowaniu jesteśmy i w łupiestwie albo karaniu okrutnem»; z tego, co żydom zarzucano, dowodził prawdy żydowskiej a słabości chrześcijaństwa, bo «chrześcijanie mówią i wielką wiarę w tem swą pokładają, iż żydzi potrzebują krwi chrześcijańskiej i chleba waszego świętego i bez tego żydzi nie mogą być. A ja wiedząc to, iż nam na tem krzywdę czynią, nietylko w uczynności,[1] ale i w pomyśleniu tego u nas nie mają», i t. d.

Daremnie użalali się mieszczanie na żydów; pod r. 1516 zapisał Decjusz, że niema już ani myta ani cła, któregoby nie dzierżeli; niema już prawie żadnego magnata, któryby nie powierzał żydowi zarządu domowego, nie pozwalał przewodzić żydom nad chrześcijanami i ich nie obraniał raczej niż chrześcijan, nawet i przed zmyśloną krzywdą; mistrzem był Piotr Kmita, któremu to żydzi, to mieszczanie opłacać się musieli. Da-

[1] Czechowic również nie wierzył, żeby żydom dla jakiego oczyszczenia krwi lub opłatka było potrzeba, ale czarnoksiężnicy niektórzy krwi potrzebują, a ci się i między żydami znajdują, więcej niż gdzie indziej, i stąd to mniemanie urosło. Czarty zaklinać Salomon nauczył, a z jego ksiąg tej mocy Chrystus nabrał, twierdzili żydzi, żałując, że Jego i apostołów zapóźno zabili — za to spotkała ich kara-tułaczka.

remnie skarżono się na konkurencję żydów-lekarzy, żydów-rzemieślników; kahały-gminy organizowały się między sobą, a szkoły rosły w liczbę i naukę; słyszymy nawet o autorce-żydówce z Tykocina. Wciąż rosła kultura i zamożność żydowska. Nie przeszkadzało to, coprawda, nagabywaniu żydów przez motłoch; przed żakami musieli się okupywać «koszykowem» (*kozubales*, bo opłaty szkolne na *-ales* się kończyły, *cretales* i t. p.), a bajki o nabywaniu i zbezczeszczeniu hostji albo krwi dzieci chrześcijańskich dla maces wielkonocnych krążyły upornie: historja o srogiem prześladowaniu za to żydów sochaczewskich dostała się nawet do druku (r. 1557). Mimo takich krwawych epizodów był to złoty wiek żydowstwa polskiego i opromieniła go późna legenda o żydzie Walu, co przez noc był królem polskim.

Rotundus (r. 1564), jako «Litwin», wręcz oskarżał Polaków, że stan miejski i wiejski w gorszej u nich pogardzie, niż żydowski; że prędzej ujmą się za wolność żydowską, niż za mieszczanina czy chłopa, i stąd tych nienawiść przeciw szlachcie; za nim powtarzał to Andrzej Wolan, który mimo różnicy wiary od katolika wiele przejmował. I już zbierało się wyraźnie na to, że Polska *paradisus Iudaeorum*, ale ten «raj» stanowiło, że dano im zupełną autonomję, że się sami między sobą sądzili (rzadko odnosił się żyd do urzędu królewskiego) i rządzili (podatki dzielili, przyczem bogaci, trzęsący kahałem, uciskali niegodziwie ubogich, nad którymi straszna groźba klątwy wisiała). Żyli zresztą w zupełnem odosobnieniu (w Krakowie na Kazimierzu), a żółte «bierlety» wystawiały ich już zdala na cel chłopcom swawolnym. Ale w porównaniu z Zachodem było to wcale znośne, np. dawne prawo polskie utrudniało bardzo skargi o zbrodnie rytualne.

SKARB

Bolączką państwa szlacheckiego pozostał i nadal skarb, królewski dawniej, teraz państwowy; świecił stale «opętaną nędzą». W początku rządów Zygmuntowych był stan jego rozpaczliwy, dobra i dochody sprzedane lub zastawione. Za poradą i czynną pomocą bankiera królewskiego, Jana Bonara, wybrnął Zygmunt poniekąd z tej cieśni, pospłacał wielu wierzycieli i uwolnił wiele dóbr królewskich, które potem Bona pomnażała kupnem, wprowadzając wzorową gospodarkę; jedyna to jej trwała zasługa. Za Zygmunta Augusta w związku z egzekucją przeprowadzano rewizję wszelkich królewszczyzn. Jedynym stałym podatkiem był pobór i łanowe ciężące na chłopach, bo folwarki szlacheckie były od nich wolne; dalej czopowe miast, obok ich szosu, i pogłówne żydowskie. Niestety, pobory nie dochodziły skarbu w całości,

A wie Bóg gdzie się to rozleci,
Biegając przez dziwne ręce.
Poprawi więc kto kołnierza,
Niźli dojdzie do żołnierza.
I on nasz domek odarty,
Co był we troje podparty,
Już wżdy dziś ma gładsze ściany
I komin w nim murowany.

Skargi na nierzetelność poborców były ogólne; tej bolączce nie zaradzono. O egzekucji i urządzeniu kwarty z dóbr królewskich na potrzeby wojskowe zob. wyżej. Do dochodów skarbowych należały dalej cła (i myta); żupy solne, obarczone wydatkami na pensje i wszelkie wynagrodzenia; w końcu stacje, t. j. opłaty zamiast goszczenia dworu królewskiego; ale i przy ich wybieraniu nie obchodziło się bez zysków prywatnych:

A cóż więc dzierżysz o owym,
Co owo na mycie siedzi,

Słucha furmanów spowiedzi:
Chodź sam,[1] bracie, po odprawę;
Warujże ceduły stracić.
Cóż kto wie, co na cedule,
A co zostanie w szkatule.
Regestr ni widzi ni słyszy;
Co chcesz, to tam weń napiszy.
A ów, co wlezie do soli,
I tegoć głowa nie boli,
Bo a co to wadzi duszy,
Gdy się drobiazgu nakruszy,
Iż się to miotełką zmiecie.
Nuż więc starostowie owi!
Wżdy jednak ostrzyżki będą;
Zlezie wina, zlezie poczta,
Z tego gąsior, z tego kwoczka,
Zabłądzi też jałowica,
Na starostę połowica,
A czasem się wszystka zejdzie;
Nie zawżdy też będzie wołać,
Iżby się kto ku niej przyznał.
Aż drugiego zciąży[2] z żoną:
Mamy więźnia gotowego,
Bo nie wydał czopowego, i t. d.

Na sejmie lubelskim 1569 r. policzyli sobie poborcy z dochodów na rok 1567 za swe utraty i prace 300.028 złotych, a gdy się skarżono, że pobór nowy wydał mniej niż poprzednio, co z starych rejestrów widoczne, odpowiedzieli: *es, tuz, dryja* dają spełna; *kwater, cynek,* już ten co chce; *zes,* ten już daje spełna, bo wszyscy nań patrzą (*zes* — król, *kwater, cynek* — magnaci, *es-dryja* — prosta szlachta). Podskarbi koronny zawiadywał skarbem koronnym, nadworny królewskim (z dóbr stołowych); koronny składał rachunki przed sejmem i otrzymywał pokwitowanie za zgodą ogólną; osobny trybunał skarbowy, ustanowiony

[1] tu [2] sfantuje.

r. 1590, roztrząsał skargi wnoszone. Szczupłość dochodów wymagała podwyższania poboru, co od sejmu zależało. Projektów zapobieżenia tej nędzy nigdy nie brakło, lecz nad żadnym serjo się nie zastanawiano; najczęściej wychodzono od jednorazowej większej ofiary, coby przez roczne wlewki wzrastała; radzono, aby podwyższyć ceny wywożonych surowców, żeby więc zagranica skarb polski fundowała. Ależ jakąkolwiek reformę skarbową winne było uprzedzić otaksowanie ogólne dóbr i dochodów, a na to się szlachta nigdy nie zgadzała; cnota nas otaksuje, wołał i Rej, chyba przeciw własnemu przekonaniu. Tu zawiódł wiek słuszne oczekiwania.

SĄDY

I z sprawiedliwością długi czas nie bywało lepiej. I tu skargi ogólne na przewlekłość prawa, na kosztowną procedurę, na uległość sądów wobec możnych, na ucisk słabych:

Daj od minut, daj na zapis,
Daj pamiętne,[1] dajże winę,[2]
Leda o jaką przyczynę,
Pozwy, minuty, membrany:
Kłusz się na wiece z powiatu.
Potem pociągniesz za dworem,
Rozwiążesz grzywnie czuprynę.
Potem cię puszczą do grodu
I tam ci buty podszyją,
Niż weźmiesz egzekucyją.
Lepiej się doma osądzić,
Niż w tym głuchym lesie błądzić.

A prawa fatalne:

Większa wina w statucie, gdy kto drzwi wybije,
Niż gdy jeden drugiego umyślnie zabije.

[1] sędziemu. [2] sądowi.

Ali głównik[1] zakupi świadki kłodą piwa;
Musi przestać przyjaciel czynić o zabicie.
Niemasz li forytarza, nie zyszczesz ni płata,
Bo cię wnet zdadzą w zysku sądowni panowie.
Jeszcze większe łupiestwa są w niemieckiem prawie.
Szepszelingi leda ocz wnet na cię założą,
Nuż zasię frystowanie, z komisji rotunki,
A jeśli się na siedm miast twoja rzecz odwlekła,
Już z kalety nie wyjmuj nigdy swojej ręki

Wedle świadka kompetentnego (Rotunda), stara się niejeden «towarzystwu cztami (ucztami), biesiadami zachować», aby w razie potrzeby z nim jechali przeciw sąsiadowi na roki albo na granice by na niedźwiedzia, aby i ubogiego, który podobnego zwodu (ludzi) mieć nie może, «ucisnąć, urząd ustraszyć i staroście i sędziemu grozić, aby tak skazał, jak ten mu rozkazuje, chceli cało z sądu wstać». To samo prawił Bielski:

Nuż zasię na granicach jakie ich utraty,
Stroi się by na wojnę w sąsiedztwie na braty:
Zbrojniej się wyprawiają w granice na swary,
Niźli kiedy do Moskwy albo na Tatary...
Patrzże jedno, skąd im te utraty przychodzą,
Stąd, iż wiele przyjaciół ku tej sprawie zwodzą.
Starostowie w granicach ściskają ziemiany,
Chciałby zwieść komisarze, trudno zwieść te pany.
Trzeba posłać jednemu dwa jednochodniki;
Po drugiego poślemy, bo chory, woźniki.

Podobnie pisano r. 1582: jeżeli sprawa sądowa z panem, to «jak na Podole tak się na poroczki, na sądy wyprawować przychodzi»; o ile lepiej było w sądach duchownych, gdzie nie sądzą ludzie, co czasem i czytać ledwie umieją, i «dekreta nie przez widzimisię marcowe, jak kostki rzucał, padają» *(Dyalog o Kompozycyej*, drukowany także w XVII wieku).

---

[1] zabójca.

Dawaliż się szlachcie w znaki starostowie dóbr królewskich, strzegąc ich niby a drapiąc szlacheckie:

Sieje, orze na cudzem słomiany starosta,
Żelazny ziemianinie, tu stój końcu mosta.
Pótyć pole zajechał, nie śmiej z pługiem chodzić;
Jeśli co poczniesz gwałtem, tobie będzie szkodzić.

Jak w sądach, tak i na sejmach bywało:

Boć i owi z pustą głową,
Co je rzkomo posły zową,
Więcej też sobie folgują;
Przecież z oną płochą radą
Na chromym do domu jadą.
Drugi też nie dba o sprawę,
Gdyby rychlej wziął na strawę...

To w roku 1543, a w roku 1566:

Posłowie, zjechawszy się, czynią z księżą spory,
Na ostatek sejm zatkną czopem i pobory.
Dosyć mamy, żeśmy się okazali w mowie,
Dobrze ci i też owi mówili posłowie.
Będzie na sejmie akcyj o kilka tysięcy,
Kilka ich król osądzi, a drudzy płaczęcy
Pojadą precz do domu, muszą się nieradzi
Jednać z tym, co im ojca, syna, brata zgładzi.

Żądał więc Bielski, żeby zbrodniarze, gracze, marnotrawce ostro karać, a prawnym poswarkom dawać rychłą odprawę,

By ludzie nie chodzili, jakoby w ciemności...
Porzućcie też na ten czas grace i motyki,
Porzućcież też myślistwo, sokoły i charty;
Owych długich kolacyj, pełnych, poniechajcie,
Takżeż kosztownym szatom miejsca nie dawajcie.
Jako łupią w kupiectwie, tak też i na mycie.
Daruj pierwej pisarka, kiedy pędzisz woły,
Jedzieszli też z szkutami, za tobą wołają:
Tratuj, tratuj, daj myto; nie daszli, targają.

Daj wojskie, daj duchowne wymyślone myta,
Lepiejby się do Gdańska odrzec wozić żyta.
A we Gdańsku jako chcą, tak u ciebie kupią,
Jeszcze cię na gospodzie za to dobrze złupią...

Czas jednak działał swoje, t. j. mimo wszelkich skarg nie brakło uproszczeń i ułatwień w przewodzie sądowym, czyto że wszelakie przestarzałości odpadały same jako zbędne, czyto że sejmy starały się o pewne ulepszenia, tak dalece, że twierdzą, jakoby ustawa z r. 1523 dzieliła proces polski na średniowieczny i nowożytny; mniej więcej około tego czasu skupił się bowiem szereg wszelakich nowych urządzeń a zanik ostateczny przestarzałych.

I tak, ponieważ wszelkie czynności sądowe starannie zapisywano, odpadło *pamiętne* (tresczne?), które dawniej płaciła sędziemu strona zwycięska, aby zapamiętał wyrok na jej korzyść wydany. Nie wymagano więcej, żeby ksiądz spowiadał (i komunikował) chorego, aby przed sądem jego choroby «łożnej» dowieść. Odpadli asesorowie, co dawniej otaczali sędziego, i personel ograniczał się do sędziego, podsędka i pisarza. Sądy wiecowe ginęły już w drugiej połowie XV wieku, napróżno je teraz wskrzeszano, ale i sądy ziemskie wychodziły powoli z stałego zwoływania, ustępując grodzkim. Na miejsce dawnej nagany wyroku sędziego wprowadzono stałą apelację i już nie składał apelujący *koca* (futra, różnej wartości wedle godności «naganionego») sędziemu. Już utarli się powszechnie płatni zastępcy stron, prokuratorowie (niegdyś *piercami*, później stale *patronami* przezywani). Ale takie cząstkowe ulepszenia i uproszczenia nie mogły zaradzić kardynalnemu błędowi, i nie pomagało dorywcze tworzenie jakichś sądów *ultimae instantiae*, aby zalewowi nierozpatrywanych skarg zapobiec.

Szlachcica zbrodniarza nie wolno było uwięzić, póki nie był prawem przekonany, a do tego z powodu natłoku tysięcy spraw nigdy nie dochodziło; więc nawet wedle bardzo trzeźwych

świadków, np. Górnickiego, stosunki bywały okropne. W *Rozmowie Polaka z Włochem o wolnościach i prawach polskich*[1] opowiada Górnicki: «słyszałem o jednym, którego nie chcę mianować, że za Zygmunta I dwadzieścia głów zabił i umarł swoją śmiercią, a do żadnej mu kaźni nie przyszło»; albo: trzej rodzeni bracia, ziemianie, jeden żył daleko, dwaj inni w sąsiedztwie; z tych dwu zabił jeden drugiego, aby posiąść jego imienie; gdy trzeci wrócił i chciał mordercę skarżyć, ten go zabił, i morderca siedzi sobie teraz najspokojniej; u was i starosty zabijają, więc przywiedzieli zbrodnia do zimnej wody (do ostateczności) starosta, już się strzec, już czujno spać musi. W Polsce więcej przysiąg sądowych w ciągu roku, niż u wszystkich narodów sąsiedzkich razem przez lat dziesięć; wszak wołają, ja gotów przysiąc, zapłać tylko. Zaskarżył sługa duchownego o zatrzymanie myta; ten znowu, że odszedł od niego przed zdaniem liczby; pierwszą skargę odesłano do sądu duchownego, drugą przeprowadził duchowny, ale w ostatniej instancji przysiągł sługa (przed tym samym sędzią!), że nigdy u tego duchownego nie służył. Inny, aby długu nie płacił, podstawił sługę, który pod przybranem nazwiskiem oskarżył wierzyciela, że banitów przechowywa, i przewiódł na nim prawo, choć ten o niczem nie wiedział. W Polsce sędzia ma być ślepy i niemy, t. zn. nie wolno mu badać prawdy, i t. p.

Że te skargi nie przesadne, dowodziły wszelakie inne głosy. Np. kalwin Andrzej Wolan wydał księgę *De libertate politica seu civili* r. 1572; z powodu bezkarności mordów — wywodzi — nawet los bydlęcia u nas lepszy, które tylko z wolą pana zabijają; synowie skarżyli się żartem, gdy rodzice przyrodzoną śmiercią umierali, że tracą przez to główszczyznę; u nas tyle morderców, że na sejmie chciano z nich wojsko osobne utworzyć; rzadko

---

[1] bez m. i r.; egzemplarz wrocławski taki jak Maciejowskiego, t. j. niema wydawcy, Suskiego, ani dedykacji J. Ostrowskiemu, str. IX.

który zadowala się jednym mordem, na szczęście ulega sam mordercy innemu; morderca nie traci bynajmniej czci, wszyscy mu przed sądem pomagają, nawet sędzia, zmuszając powoda do ugody; szlachcic, niepewny swego życia, otacza się licznym orszakiem i zawiera liczne przyjaźni, co nam nieraz tak dokuczliwe.[1]

Za Batorego, chyba za inicjatywą takiego prawnika jak Jan Zamoyski, przeprowadzono nareszcie nieodzowną reformę przez ustanowienie r. 1578 Trybunału Koronnego (osobnego dla Litwy r. 1581). Od sądów niższych szły dotąd apelacje do króla; sprawy główne zgóry do sądu królewskiego należały, ale król sądził tylko podczas krótkotrwałej kadencji sejmowej, t. j. spraw kilkanaście, a tysiące odkładał do dnia «sądnego», jak kanclerz umyślnie zamiast sądowego powiedział. Ten nowy najwyższy trybunał wybierała szlachta na sejmikach osobnych, deputackiemi później zwanych; było deputatów 27, po dwu lub jednemu z każdego województwa; sześciu duchownych deputatów dla spraw mieszanych wybierały kapituły; deputat urzędował przez rok, a ponownie mógł być obrany dopiero po czteru latach. Trybunał urzędował we dwu kadencjach, w zimowej w Piotrkowie dla Wielkiej Polski, a w letniej w Lublinie dla Małopolski i województw wołyńskiego, kijowskiego i bracławskiego (dla tych trzech urzędowano i pisano po rusku); miejscem sądowem był ratusz miejski; dla nawału spraw a wielkiej liczby deputatów urządzono z nich dwa ciała sądzące. Jeżeli wyrok nie zapadł jednogłośnie, powtarzano głosowanie i wkońcu rozstrzygała większość głosów. Brakiem było, że nie wymagano żadnej kwalifikacji (oprócz rozumiejących się samo przez się warunków: szlachectwa, osiadłości, nienaganności) dla deputata, zdanego na prawo obyczajowe i statuty je dopełniające; o jakąś poprzednią praktykę czy znajomość prawa nie pytano; był to sąd laików, dla «prokuratorów» bardzo dogodny. Mimo to postęp był nadzwyczajny i od r. 1578 można liczyć prawidłowo funkcjonujące sądownictwo.

[1] Przetłumaczył na polskie St. Dubingowicz r. 1606: *O wolności Rzeczpospolitej albo szlacheckiej* (!!). Razi skarga Wolana, który w trojakim ożenku wiele spraw familijnych dochodził, na nadmiar cudzołostwa; dzieci nieprawego łoża pozbawiają prawe majątku, żony trują mężów; ta bezkarność prowadzi do tego, że niejeden tem się chlubi, im więcej małżeństw rozwiódł. Dalej skargi na zbytek, na opilstwo i obżarstwo; na wywóz zboża, chociaż głód w kraju; na wysokie posagi (dawniej tylko 30 grzywien), przez co uboższe szlachcianki albo rutkę sieją albo za chłopowiczów wychodzą. Obok skarg projekty reformy sądownictwa wedle obcych wzorów (hiszpański podobnym się później okazał) i coraz odsyłanie do weneckich porządków.

WOJSKO

Wiek złotego pokoju, przelotnie zakłócanego, prowadził nieliczne wojny rotami dworskiemi, królewskiemi i magnackiemi, a głównie zaciężnymi «obrony potocznej», wzmacniając ich kilkakrotnie, gdy o zadanie stanowczego ciosu chodziło. Zapisały dzieje świetne czyny orężne pod Orszą księcia Ostrogskiego, pod Obertynem i Starodubem Tarnowskiego, niejedno nad Tatarami zwycięstwo (Kleck 1505, Glińskiego), ale dopiero pod koniec wieku, za Batorego i Zamoyskiego, otrząsł się chwilowo naród szlachecki z długiej gnuśności pokojowej.

Okazowania, poręczające sprawność wojenną szlachty, zaniedbywano, więc nie dziw, że wartość pospolitego ruszenia nadzwyczaj zmalała; uzbrojenie jego, dyscyplina, zdolność do akcji pozostawiały wszystko do życzenia. Satyry spółczesne malują dosadnie tę niegotowość, to zależenie pola; dawne uzbrojenie w ogromnej poniewierce, nad wyraz liche, zupełnie przestarzałe, nieodpowiednie nowym warunkom; zadomowiona szlachta mazowiecka, uboga, na popisach przedstawiała się karykaturalnie, po średniowiecznemu, a raczej całkiem prymitywnie; bogaty

strój mało- i wielkopolski nie nadawał się na wojnę; wedle słów Batorego *ad mascaras, non vero ad rem militarem.*

Nie pospolite ruszenie więc, lecz roty zaciężne stanowiły właściwe wojsko, a składały się z cudzoziemców i krajowców. Potrzebę stałego wojska, przy otwartych na oścież granicach a sąsiadach niespokojnych, jak Moskwa i Wołoszy, napastniczych, jak Tatarzy, żyjący wyłącznie z łupów wojennych albo haraczu, odczuwano oddawna, nie zdobyto się jednak nigdy na stanowczą reformę; wiedziano dobrze, że piechoty koniecznie potrzeba, w której szlachtaby nie służyła, więc ją z mieszczan i chłopów formowaćby należało, — ale i to kończyło się samą gadaniną. Pomysłów było wiele; kanclerz Jan Łaski, marzący zawsze o wielkim skarbie, znosił pospolite ruszenie a wprowadzał stały podatek dochodowy, ale szlachta o tem nawet słyszeć nie chciała; rozchwiały się i wszelkie inne pomysły, np. służby kolejnej województwami na kresach albo stałego pogotowia jednej trzeciej rycerstwa; pozostało przy tem, że w razie potrzeby sejm uchwalał pobory na zaciąg wojska, którem wojowano, a pospolite ruszenie pozostawało w rezerwie; obronę potoczną, niewiele nad tysiąc ludzi, król utrzymywał. Powiększono ją dopiero za Zygmunta Augusta, gdy po przeprowadzeniu «egzekucji praw» i częściowem zwróceniu dóbr królewskich król «z miłości przeciwko Rzeczypospolitej czwartą część wszystkich dochodów *totius corporis Regni* ku stołu naszemu należących» na obronę potoczną obrócił; tak powstało stałe wojsko kwarciane, około 4000 ludzi, przeważnie jazdy ciężkiej (husarji), do której z czasem lekka, t. zw. kozacka, przybywała.

Uzbrojenie było pierwotnie, mianowicie przed reformami Batorowemi, nader ciężkie; jeździec nieruchliwy, ledwie się mógł na konia wygramolić (opowiadał o tem Piotr Kmita z własnego przypadku); Lubieniecki dosadnie to kreślił: «siodła mieli tak wysokie, że pachołka zakrywały... na nim był pancerz, obrona taka, w której nietylko kijem, ale nahajką mógł rycerza dobić, a nadto tarcz ciężka, szyszak szeroki i wysoki jak pudło... co wszystko z wielkim ciężarem było i w najmniejszy wiatr rycerza zmordowało i konia osedniło. A do tego kopje albo drzewa były tak wielkie i tak ciężkie, że to ważyło więcej niż teraźniejszych dwie kopje, i innych rzeczy błazeńskich i wspominać się nie chce, które w zaleženiu pola i pokoju długim po staroświecku rycerstwo polskie utrzymywało».

Reformy Batorowe polegały na zmodernizowaniu rynsztunku ciężkiej jazdy (husarji), na jego ujednostajnieniu, na ustaleniu lekkiej jazdy kozackiej (później pancerną przezwanej), głównie zaś na wzmocnieniu piechoty-strzelców; włączył do niej silną rotę kozaków zaporoskich (500 ludzi) i w czasie wojny moskiewskiej piechotę wybraniecką, t. j. we wsiach królewskich wybierano z każdych dwudziestu łanów jednego zdolniejszego chłopa, zwolnionego od ciężarów i świadczeń (rozkładanych na innych dziewiętnastu), który stawał ćwierćrocznie u swego rotmistrza do «monstry», z rusznicą, szablą, siekierą, w barwie (uniformie), jaką mu rotmistrz naznaczy, z prochem i przyborami — piechoty tej było do 2000. Zaciężne wojska Batorego liczyły od 20 do 35 tysięcy; wiele w nich cudzoziemców, Węgrów (w piechocie, z berdyszami i rusznicami, i w husarji) i Niemców (rajtarów-arkebuzerów i pieszych spiśników i strzelców).

Na czele całego wojska stali hetmani wielcy (koronny i litewski), od czasów Zamoyskiego dożywotni, więc nieusuwalni; pod nimi hetmani polni (koronny dowodził wojskiem kwarcianem). Pod nimi rotmistrze z rotami o nierównej liczbie żołnierzy; oni ich zaciągali listami przypowiedniemi na rok czy ćwierci roku (nazwy hufów i pułków nie były ustalone); w polskich rotach (inaczej niż w cudzoziemskich) szlachcic-towarzysz wystawiał poczet (kilka koni lub kilku pieszych). Rota piesza składała się przeważnie ze sta «drabów» (spiśników i strzelców), dzielonych na dziesiątki; dalej puszkarze, z działami wszelakiego

wagomiaru (kule już żelazne, zamiast dawnych kamiennych) i z najrozmaitszemi nazwami; szancmistrze, dla robót oblężniczych; olbrzymi tabor — wozów ciężkich, towarzyszył wojsku, służąc mu w razie potrzeby jako ruchomy szaniec. Byli urzędnicy-oficerowie, pisarz polny, odpowiadający za ścisłość popisu rot; strażnik, wystawiony nad czatami; oboźny, nad porządkiem w obozie i marszu, i inni. Artykuły hetmańskie, odczytywane rotom, przestrzegały surowej dyscypliny, którą szczególnie Zamoyski bezwzględnie stosował.

Wojsko to nieliczne, ale nadzwyczaj bitne, ruchliwe, znakomicie prowadzone, porażało nierównie liczniejszych przeciwników; wytrzymałe na najcięższe trudy kampanji; wyjątkowo, przez Batorego, użyte do wojny zaczepnej, obcej instynktowi narodowemu, który tylko obronną pochwalał. Wyrobiło się w niem nadzwyczajne przywiązanie do matki-chorągwi; gdy hetman Mielecki młodemu Staszkowskiemu chorągiew oddawał i polecał, żeby nikomu jej sobie wydrzeć nie dał, on tylko odpowiedział: «djabełciby mu pomógł, jeśliby mi ją wydarł».

O szyku i taktyce daje wyobrażenie literatura pisana, niestety rzadko drukowana; przebijała z niej znajomość literatury wojennej rzymskiej, szczególnie Wegecjusza. Szereg rozpoczął traktat Stanisława Łaskiego, wojewody sieradzkiego, rycerza Grobu św. (był w Jerozolimie), co ratował króla Franciszka I w bitwie pod Pawią r. 1525, przedwcześnie r. 1550 zmarł, autor świetnego pisemka, nawołującego do zgodnej walki przeciw Turkom, oraz *Spraw i postępków wojennych,* drukowanych z lichego odpisu r. 1599 we Lwowie; żołnierz doświadczony, taktycznych i strategicznych uwag nie skąpił. Najzawołańszy wódz wieku, Jan Tarnowski, na stare lata *Consilium rationis bellicae* w swoim Tarnowie r. 1558 wydrukować kazał: tekst polski omawiał urzędy wojskowe; dalej szczególnie «naukę kładzenia obozu», który wzorem czeskim i za ruchomą fortecę służyć winien; porządek w ciągnieniu; jak walczyć z Tatarami i Turkami, używać fortelów, przezorności, karności. Rady wszelkie nadzwyczaj praktyczne; jedyny ich cel, ułatwić zwycięstwo bezwzględnie, niszczyć więc wroga na wszelki sposób. Po upadku Szygietu wydał stary żołnierz Marcin Bielski (walczył pod Obertynem) *Sprawę rycerską* i t. d. w Krakowie 1569 r., ale największą jej część zapełnił rzeczami starożytności, z ośmiu ksiąg tylko w siódmej o dzisiejszym sposobie walczenia prawił; w wierszu wstępnym oskarżał ziomków:

Kiedy na wojnę jedziecie, szable przegrawacie;
I zbroiczka u płatnerza leży zardzewiała;
Lepsze koni do rydwana pani zaprzągacie,
Niźli, kiedy trzeba, pod żywot go nie macie...
Więc i koni też naszy pląsać nauczyli,
Kiedyby chciał uciekać, ale siwy zmyli;

obiecywał wydać pismo o rycerzach maltańskich, przeciw naszym mnichom, bo ich walki święte; «pobożniejszeby to były *preces,* niźli nalewać *feces;* widząc naszą Polskę często złego sąsiada grać, a oni leżą próżnując, tyjąc jako wieprze, w klasztorach».

Księgi hetmańskie Sarnickiego w 10 księgach z r. 1578 czerpały przeważnie z kronik i z starożytnych, i materjału polskiego niewiele dawały; jest wyliczanie szlaków tatarskich, plan bitwy pod Obertynem i opis «starego porządku polskiego» z tłumaczeniem terminów fachowych. Na tem kończy się ta literatura, bo artykuły hetmańskie Jana Zamoyskiego i innych po nim hetmanów zawierały tylko regulamin wojskowy; jego *Rada sprawy rycerskiej* zaś powtarzała głównie *Consilium* Tarnowskiego.

Wobec nieregularnie wpływającego żołdu i niedostatecznej organizacji prowiantu nie może dziwić, że wojsko w przemarszach dawnym trybem średniowiecznym, mimo zakazów hetmańskich, wsi i chłopów nieraz niemiłosiernie łupiło; skargi na to były powszechne; wójt u Reja 1543 r. obszernie to opisał,

a potwierdzają to wszelakie świadectwa spółczesne, że wojsko koronne gorzej niż nieprzyjacielskie zagony pustoszyło, chałupy plądrowało: w mieście gwałt taki nie uchodziłby, ale wieś była mu wydana; łzy i przekleństwa słano na drogę żołnierzowi, a pogorszało się to złe coraz bardziej.

BIBLJOGRAFJA

W porównaniu z wiekiem XV-ym, płyną dla XVI-go, szczególnie od r. 1543 począwszy, źródła nierównie obficiej i rozmaiciej, bo obszerna literatura spółczesna, dzieła Modrzewskiego, Orzechowskiego, Wolana, Warszewickiego itd., przeważnie łacińskie, wyjątkowo i polskie, omawiają wszelkie stosunki. Do nich przybywają nieznane przedtem diarjusze sejmowe, od r. 1548 począwszy; nie wszystkie dotąd ogłoszone — źródło pierwszorzędnej wagi dla oceny ludzi i czasów; dalej wszelkie akty urzędowe, instrukcje, listy i t. p., czyto zebrane za kanclerstwa Tomickiego przez Górskiego (jeszcze nie całe ogłoszone), czyto zachowane w metryce koronnej, skąd je Teodor Wierzbowski począł wydawać. Literatura piękna, satyry, dialogi, wiersze okolicznościowe, dopełniają obrazu; ustępy, przytoczone w tekście, a odnosi się to jeszcze bardziej do następnego rozdziału o życiu rodzinnem i towarzyskiem, wybrano z Reja *Krótkiej Rozprawy* 1543 r., z *Satyra* Kochanowskiego, z *Rozmowy dwu baranów* Marcina Bielskiego, z wierszów Anonima-protestanta (z lat 1563—1570).

Wszelkie źródła, i archiwalne obce z Wiednia czy Królewca, wyzyskała nauka nowsza, nasza jak niemiecka (dzieło Z i v i e r a o obu ostatnich Jagiellonach, jako ciąg dalszy Roepella-Cara), francuska (o Walezym), rosyjska (dla dziejów litewskich szczególnie), których nie wyliczamy osobno. Literaturę polityczną wieku XVI (i XVII) omówił obszernie St. T a r n o w s k i w *Pisarzach politycznych;* St. K o t przedstawił *Andrzeja Frycza Modrzewskiego* (Kraków 1919 i 1923); jego i Chrzanowskiego *Humanizm i Reformacja w Polsce, wybór źródeł dla ćwiczeń uniwersyteckich* (Ossolineum 1927) objęło obok wyjątków z wielu innych źródeł także wyżej wymienione wiersze Reja i M. Bielskiego. Dzieła M. K u k i e l a (*Zarys historji wojskowości w Polsce,* Kraków 1929), R y b a r s k i e g o o handlu polskim XVI i XVII wieku (Poznań 1928), R u t k o w s k i e g o zarys historji gospodarczej (1924), właśnie ten wiek szczegółowiej wystawiły.

ROZDZIAŁ DRUGI

ŻYCIE RODZINNE I TOWARZYSKIE

Rodzina. — Towarzystwo. — Biesiady. — Gospodarstwo. — Stroje i stół. — Zabawy. — Stosunki higjeniczne. — Bibljografja.

RODZINA

Podstawy życia rodzinnego pozostały niezmienione; dawna nieograniczona władza rodziców nad dziećmi, dawne upośledzenie kobiety, dawne prawa opieki, dziedzictwa, majątkowe przetrwały u dołu, znaczniej złagodzone w warstwach wyższych. Już byłoby czemś niesłychanem, żeby szlachcic, jak w XV wieku, żonę ćwiczył batem, chociaż młodziutką, jak dawniej, pojmował. Już wybijali się synowie z pod władzy rodzicielskiej, która córki ugniatała, a kary cielesne były jeszcze na porządku dziennym i dla dorosłych. Mąż był po dawnemu panem wszechwładnym (Halżka Ostrogska i jej matka były świadkami), ale: «ja nie twoja służebna» już się niejedna ozywała; mąż nie nadużywał praw a kobieta powoli się emancypowała, co reformacja przyspieszała, bo mąż z żoną mogli różnić się w wierze, a nie mógł mąż zgody narzucać. Ileż razy odstąpił syn od zboru, przy którym ojciec wytrwał; przyczyniała się więc reformacja do rozluźnienia więzów rodzinnych i malała powaga rodzicielska.

Ale to były wyjątki; regułą było wzorowe pożycie rodzinne, szczególnie na łonie wsi spokojnej, wsi szczęśliwej. Wychowaniem dziatwy rządziła matka; jakie ono bywało, poucza idyla w *Trenach* Kochanowskiego: (dziecina)

Nigdy ono po ranu karmi nie wspomniała,
Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała;
Nie poszła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła...

Zawżdy przeciwko ojcu wszytkie przebyć progi,
Zawżdy się uradować i przywitać z drogi,
Każdej roboty pomóc...
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając...

Po kilku latach, gdy dziewczynka dalej pod bezpośrednim nadzorem matki zostawała, chłopczykom przybierano nauczyciela, jeśli ich do miasta do szkółki nie wysyłano, co się u mieszczan samo przez się rozumiało. Dziatwę psuli nieraz rodzice to zbytniem pobłażaniem, to (szczególniej w mieście) zbytniem strojeniem. Niewiele jednak na naukę łożono czasu, chyba jeśli syna zgóry do duchownego stanu przeznaczano; w mieście oddawano go do cechu, szlachcic wysyłał syna do dworu.

Dwór pański był jedyną akademją polską; w krakowskiej uczono się łotrować, w pańskiej nikt (jak rektor i profesorowie) przez szpary nie patrzył i każdy występek słusznie karano. Już w XVI wieku szkoła dworska dla młodzi szlacheckiej wszelką inną zastąpiła; było to o tyle szkodliwe, że wstępował w nią chłopiec bez szerszej podstawy naukowej, a tego braku niczem już później nie wetował. Zato przecierał się znakomicie w towarzystwie z innymi; od starszych uczył się praktycznie tego i owego, pisywania listów, układania regestrów, odbywania posług towarzysząc panu czy pani, mając się na baczności przed fraucymerem dworskim, który okiem i językiem nie próżnował i cichaczem wzorki zbierał, szydził i śmieszył. Z dworu pańskiego, nie z dworku ojcowskiego, otwierały się drogi w świat, do służby publicznej, bo pan polecał później do kancelarji królewskiej czy biskupiej, do podskarbiego czy żupnika, całkiem wyjątkowo do hetmana i obozu. Na dworze douczano się wszystkiego, czego początki już w domu zakładano: jazdy konnej, szermierki w palcaty najpierw, myślistwa, a przy braku nadzoru, i kart i kostek i innego łotrostwa. Kto w domu na niewielkim spłachciu siedział, zaprawiał się przy boku ojca do gospodarstwa niezłożonego, całkiem tradycyjnego. Wyjazd zagraniczny przerywał te wczasy domowe lub służbę dworską; to rodzice koszta łożyli, to pan zasilał je lub całe podejmował. Szczególniej biskupi szafowali na to hojną ręką; taki Tomicki rok rocznie co najmniej czteru lub pięciu zdolniejszych młodzieńców swoim kosztem utrzymywał — Włochom na podziw. Pobyt zagranicą przeciągał się do lat trzech i czterech; różnym różnie się udawał: ubożsi przysiadywali fałdów, zdobywali nawet tytuły naukowe, szczególniej pożądane z prawa i medycyny; panicze częściej używali swobody i świata.

Córki tymczasem dorastały w domu, szczególniej zamożnym; uboższe wysyłano do dworu, do fraucymeru, gdzie się pod ochmistrzynią douczały i robótek i muzyki i pląsów, jeśli w pobliskim klasztorze tych nauk nie odbyły, ale czytania i pisania już im nie broniono, chociaż do połowy wieku zbytnio o to nie dbano; reformacja dopiero uczyła katechizmu na książce. Dalsze córki losy: «że sobie swym posagiem pana kupiła, że przegróżek i cudzych fuków słuchała», albo:

Drugie po swych najmilszych rodzicach zostają
I ciężkiego sieroctwa nędzne doznawają;
Wypchną drugą za męża leda jako z domu,
A majętność zostanie, sam to Bóg wie, komu.
Biorą drugie i gwałtem, a biorą i swoi...

inne wstępowały do klasztoru: reformacja to przerwała, ale z końcem wieku znowu wzrastała liczba nowicjuszek.

Węzły rodzinne były silne, a rodzina nie kończyła się na najbliższych; nie tracono się z oka, choć olbrzymie rozdzielały przestwory; wspólny herb łączył jednoklejnotników: już ten wzgląd wymuszał u szlachty pamięć heraldycznych i genealogicznych związków; szczególniej o «stryjów» herbowych pilnie się dopytywano, bo nie opuszczali łatwo krewniaka po mieczu; wujowie tracili wobec nich na dawnem znaczeniu.

Synowie stawali teraz na rozdrożu; ci nieliczni, co prebendy duchowne łowili, nie żenili się; świeccy wychowaniem i życiem wstępowali zazwyczaj rychło na ślubny kobierzec. Pary łączyli rodzice czy krewni; rozstrzygały stosunki rodzinne i ekonomiczne; patrzono zacności, t. j. dobrego rodu, dla dalszego powodzenia i posagu. O średniowiecznem ubóstwie nie było już mowy, kiedy to sto grzywien posagu dla stanu senatorskiego, a dziesięć kop lub trzydzieści grzywien dla rycerskiego wymagano; teraz rosły posagi i wiana niepomiernie. O wychowanie, o piękność nikt nie pytał; wychowania nie było przecież, skoro się go praktycznie przy matce w gospodarstwie nabywało, a byle nie ułomna ani garbata, uchodziła już za nadobną; z głosem serca nikt się nie liczył, chyba starszy i bogatszy rządził się własnym wyborem, kusił się nawet o piękną, nie pytając o posag ani o «zacność» czy dostojność rodu (np. gdy się Krzysztof Szydłowiecki zakochał w pięknej Zofji Targowickiej, albo eksbiskup Dudycz w Straszównie). Szczególniej u panny, która już w szesnastym, rzadziej w siedmnastym roku zamąż wychodziła, nie mogło być mowy o «affekcie»; jej podobał się każdy, którego rodzice czy opiekunowie naznaczyli; zczasem przywykano do siebie zupełnie, a z przywyczką budziło się i przywiązanie. O miłości tylko śpiewano, w życiu roli nie odgrywała, chyba w mieście, a szczególnie w fraucymerze królewskim czy dworskim. Po miastach w kościele albo na odpuście poznawano się najpierw, a potem i serenady sprawiano, sąsiadom ku uprzykrzeniu. U dworu schadzki bywały łatwiejsze i dworzanie oświadczali się z affektami to pannie Wodyńskiej, to pannie Kryskiej (np. Kochanowski), ale «po przęckę», t. j. bez narażenia na plotki i obmowy. Mężczyznom służyły w mieście «panie wesołe» (żądano dla nich wyróżnienia w stroju), które do biesiad chętnie służyły. Kobiety na wsi żyły nienagannie; w mieście ulegały raczej pokusom, bo zwodnic nie brakło; czasami ostudzano lub zwabiano miłość i na wsi; z przesądów tych korzystały baby-wieszczyce, które i mężów truć pomagały.

Pożycie małżeńskie było wzorowe, przynajmniej na zewnątrz; pokus, szczególnie na wsi, było mało, a temperament, szczególnie niewieści, był raczej chłodny — nie darmoż skarżyli się ludzie, co świat zbiegali, taki np. Łaski Hieronim «żądał czegoś od Boga dla większego ciepła Polkom». Do swobody i wykształcenia włoskich było im daleko; Górnicki, przykrawając *Dworzanina* włoskiego do stosunków polskich, wykreślił poprostu kobiety z oryginału rozmów, przenosząc je coprawda na dwór biskupi, gdzie zgóry dla kobiet miejsca nie było, ale i opuszczając wiele szczegółów oryginału, coby uszy polskie raziły.

Były wyjątki; taki np. dwór Bony odbijał silnie od świata polskiego. Z Polek wyróżniała się na nim piękna Beata Kościelecka (matka Halżki), co swej pani nie wydała, intrygantka, żądna władzy i użycia; Włoszki Bony rozchwytywali panowie, żenili się z niemi Lubomirski, Skoruta, Morawiec i in. Najgorszej sławy zażywała Barbara Radziwiłłówna, po Gasztołdzie żona Zygmunta Augusta. Henryk Walezy za krótko na Wawelu gościł, żeby zepsucie francuskie mógł wydatniej rozszerzyć. Wymagania moralności od kobiety były niewzruszone; nie przebaczono Kościeleckiemu i innym po nim, że pojmowali ekskochanki królewskie, Telniczankę (matkę Beaty) i inne; przykład Zygmunta Augusta (lat późniejszych) nie znarowił nikogo.

Nie znał też wiek XVI dramatów miłosnych; w tragedji Halżki nie o miłość szło, lecz o skarby; miłostki, opiewane przez Kochanowskiego w *Fraszkach* i *Pieśniach*, były fraszkami. On sam rozumiał, że do ożenienia

Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości [1] tam wam szukać trzeba,

[1] piękności.

Jako wstydu a cnoty, darów przednich z nieba...
Przeto tak ważmy gładkość, tak dom i klejnoty,
Jakoby pierwsze miejsce zawżdy miały cnoty;[1]

musiał jednak przyznać, że w życiu zwyciężało zawsze dobre mienie,

Które ludzie dzisiejszy w takiej cenie mają,
Że gwoli temu wszystko insze zamiatają.

Dla konwenansu doczepił poeta ustępy o miłości, która roli nie odgrywała, i słusznie nazywał szlachcic żonę swoją stale «przyjacielem» albo «towarzyszem» dożywotnim; nie sprzeniewierzyła się jemu nigdy. W mieście bywało i inaczej, mieszczki

Szlachciankom się przeciwią, pstrzą się też by sroczki;
Twarz gore; trzewik skrzypi; brwi czarne i oczki;
Buciki sznurowane; tabinowa[2] szata;
Ma pierścienie, ma perły, klejnoty od złota,
Ostrzegajże się mężu, byś nie ciągnął kota,[3]
Bo w tych strojach ozdobnych, w tych kosztownych chuściech,
Rady chodzą na Skalkę panie po odpuściech.
Twarz cudna, szata świetna, obiad k temu hojny —
A jakoż jej młodzieniec nie ma służyć strojny?
Przeto gdy z domu jedziesz, ubogi nieboże,
Wiedz, jako jej odjeżdżasz; nie wszystkiegoć może
Wypowiedzieć na panią zielona papuga.[4]
Niechaj tam mnich i krasny nie postoi sługa,

[1] To samo za nim rozprowadzał nieudolnie M. Kobiernicki w *Historji o czteru młodzieńcach,* rozprawiających na podobny temat (r. 1589), tylko «gładkość» zastąpił «godnością», t. j. rozumem, bo mu o całe życie, nie o śluby tylko chodziło. Schemat obowiązywał ogólny: «dobra na trzy części mądrzy rozpisują, jedne w umyśle, drugie w ciele ukazują, trzecie z strony przychodzą, co szczęściem zowiemy» *(Dziewosłąb,* tak samo u Rotunda 1564 r., a za nim u A. Wolana).

[2] jedwabna. [3] nie zbłaźnił się.

[4] Wspomina tu Bielski nowelę w *Poncjanie* (zob. niżej), o sroce, co przestępstwa pani mężowi objawiała.

Ani się baba wdaje w rzecz z temi szafarki,
Gdy jedziesz na Podgórze z kramem na jarmarki.

Matka suszyła przedtem piątki, by córkę wydała; stara, blada, koło niej siędzie, z nią wabić chodzi,

Nauczy ją pięknie mówić,
Za wiechą dudki łowić.
Radaby ją wystawiła,
By nad nią żadna nie była.
Będzie ją ku temu ćwiczyć,
Jako ma u tańcu kroczyć:
Weźmi się, Józko, pod boki,
A ty jej graj na trzy skoki!
Ladaczem się barwi, maże,
Z młodu sobie twarz pokazi;
Nie wierz, by tak piękna była,
Ależ swą twarz ubarwiła.
By miała i kopę wydać,
Musi oblicze wymazać.[1]

W męskiem towarzystwie (oprócz tańców) udziału nie brały, chyba w wieku statecznym zawołane gospodynie do pewnej chwili, przed krążeniem «pełnych», u stołu siadywały; bardzo też niewysokiego był o nich Rej mniemania, czaplom je porównywał, bo ustawicznie jedzą, ustawicznie też chodzą dla chłodu na komórkę:

Gdy na wesele jadą, kmieć wiezie tłumoki,
Baba twarz uwałkuje, idzie w pląsy, w skoki,
Pomoże gonionego i gęsiego tańca,
Wygra czasem na głowę skoczonego szańca...
A gdy w sześci niedzielach która kiedy leży,
Poduszek pstrych do wierzchu nad sobą najeży,

[1] Legat papieski Ruggieri twierdził wprawdzie, że u Polek szminka i barwienie włosów jest czemś haniebnem, ale jego informacje nieco wątpliwe; odmawiał Polkom piękności, przyznawał powaby; są raczej szczupłe, niż otyłe; trudnią się gospodarstwem domowem, robią sprawunki w mieście równie jak Niemki.

Kobiercami ze wszech stron ściany zobijano,
Prześcieradła tkankami w koło zbramowano.
Przyjadą nawiedzając przyjaciółki miłe,
Ukażą co umieją, a zwłaszcza opiłe.
Ladaco powiadają, przy łożu siedzące,
Miód, wino, małmazyję z kosmatem pijące.
To będą pić maciorki; młoda pani mdleje;
Jedna z tyłu podnosi, druga na nią wieje;
Druga woła dyptanu, dobry na omdlenie...
Popiwszy się, to stroją rozliczne firleje,
Jedna drugą odczepi i oczy zaleje,
A drugiej zawijają mokrą chustą głowy. [1]

Nie brakło więc i cieniów w tych odwiedzinach kobiecych, męskie aż nadto w nie obfitowały. O higjenie nietylko przy biesiadach nie pamiętano; żyło się bez niej, na wsi regulowało się to samorodnie,, gorzej było w miastach większych, z wąskiemi ulicami, ciasnemi i ciemnemi komnatami, źle przewietrzanemi, więc grasowały w nich niemiłosiernie zarazy, każde «morowe powietrze», przed którem ratowano się samą ucieczką na wieś. Obok «moru» wymagało ofiar obżarstwo i opilstwo, czerstwa starość należała raczej do wyjątków, ale bywali już abstynenci (aż kroniki o nich wzmiankowały), tylko jaroszów jeszcze nie znano: wzdrygano się na włoskie «sałaty» — sianem chyba w zimie karmić będą, obawiał się Polak, tęskniący za baraniną, do której nie dopiero od Ormian nawykł. Zaszargano zdrowie i na podróżach zagranicznych, a podkanclerzy (Piotr Myszkowski) w propozycji rządowej na sejmie 1563 r. twierdził: «młódź się zależała a zbytkami tak potargała, że gdzie ich pospołu kilka albo kilkanaście będzie, ledwie się między nimi jeden całkiem zdrowy obierze». Stękania na złe zdrowie były też ogólne; w maju żyłę zacinano (krew puszczano); łaźni co tydzień używano; bieliznę mało odmieniano (panie miewały nierównie więcej sukien niż koszul; «nosek»-pończoch nie zrzucano, aż się zdarły); wymagania czystości sprowadzano *ad minimum* (miedziaki i w gębie chowano!); spuszczano się na leki domowe (o lekarza za miastem było trudno) — wiele ruchu, powietrza, ratowało niefrasobliwych.

[1] Zwyczaj niegdyś ogólny, zszedł dziś do ludu, nazywa się w poznańskiem i kaliskiem *popielin(k)i*, łączy się z darami (wiktuałów) dla położnicy, co przybierało w Niemczech w XVI wieku takie rozmiary, że ustawy rządowe to ograniczały. «Kosmato», nie gołą ręką, witano.

TOWARZYSTWO

Silne zróżnicowanie było cechą nowego pożycia towarzyskiego. Gdy na wsi u chłopa i w miasteczku jednostajny tryb średniowieczny popłacał, wśród warstw wyższych rozkleiła się dawna zgoda. Inaczej żył magnat i biskup, inaczej szlachcic, inaczej na piaskach wielkopolskich czy mazowieckich, inaczej na Rusi, gdzie hojność dostatków okupywano trwogą, a z córek szlacheckich

i w hordach część się wielka ich zostoi,
Gdzie w niewoli pogańskiej i w służbie sromotnej
Łzy swe piją, czekając śmierci wszystkokrotnej;

tej trwogi i na Rusi nie znał mieszczanin, bo rabuś tatarski murów nie dobywał.

Rozeszły się zupełnie mieszczaństwo i szlachta; dawniej dzielił je język, zamożność, ogłada; teraz ród, stan, znaczenie; łączyć ich już niepodobna. Doszła szlachta szczytów, ona rządziła i wyzyskiwała swe rządy; od miasta stroniła z zasady, kupiła się na dworach pańskich lub żyła po dworkach — tylko dwór królewski zmuszał do miasta, ale to było epizodem raczej niż czemś stałem. Skąd ta wyraźna awersja do miasta? Była ona po części dziedzictwem średniowiecznem, gdy miasto zdawało się czemś całkiem obcem, niemal wrogiem, po części skutkiem decentralizacji ustroju, która nawet wysokim dostojnikom, wojewodom, kasztelanom, pobytu dworskiego, t. j. miejskiego, nie narzucała; zjeżdżano się na sejmy, aby się po kilku tygod-

niach rozjeżdżać. Nie było zaś wystawnego życia dworskiego, coby np. panie ze wsi i dworów nęciło; był wprawdzie dwór królewski bardzo liczny, ale już dla samych rozjazdów między Krakowem, Piotrkowem (Warszawą) a Wilnem nie stworzył stałego środowiska, szczególniej nie za ostatniego Jagiellona, który z żoną nie żył, z komnat nie wychodził, w Knyszynie się zaszywał, klejnotami i końmi, nie festami się bawił. Nie miało więc życie towarzyskie wyższe jakiegoś punktu zbornego nigdy; obca Bona rządziła, sprzedawała (dostojeństwa) i kupowała (włości), o swoje Włoszki dbała; obcy Batory wolał łowy i obozy, niż Kraków i Annę, więc zamiast ścisku miejskiego używała szlachta swobody po zamkach i dworach. Droga do przemysłu i handlu, do urzędów miejskich, była jej zamknięta; o szkołę nie dbała; wieś dostarczała jej wszystkiego, bo z nadwyżki gospodarczej dokupywała się tego, co się we wsi nie rodziło. Wieś była podstawą ekonomicznego jej bytu, więc wsi pilnowała, gospodarstwu się oddawała, żyła z sąsiadami, cóż jej po mieście? Dobijać się większych swobód nie było sposobu, skoro wszystkie osiągnięto; nabożeństwo, katolickie czy zborowe, miało się u siebie; zapusty odprawiano kuligiem po sąsiadach; łowy i posiedzenia towarzyskie, przy nadmiernej gościnności, zapełniały czas wolny, więc cóż po mieście?

Żyło się wygodnie, ale bynajmniej nie wystawnie po staropolskich, niskich a szerokich dworach i dworkach drewnianych; liczne inwentarze z XVI wieku dozwalają wglądać w ich wnętrze. Umeblowanie najpospolitsze, stoły na kozłach lub nogach, około nich ławy, ławki, stołki (z poręczą), zedle; na ścianach listwy, t. j. półki (u Paca na głębokiej Litwie było tyle ksiąg, że już na nie listew nie stało, r. 1589); kredens «służbą» zwany, w nim za kratą dwie szafy. Obok izb świetlice i świotełki, t. j. pokoje; nieraz o 8 oknach; błony, t. j. okna szklane, «robione» w drzewo, najczęściej w ołów, ale są i błony płócienne. Uderza ilość komórek potrzebnych, tranzytami zwanych. U okien okiennice z zaszczepkami. W izbie łoże. Nie prawią inwentarze o szpalerach (obiciach), o oponach, o kobiercach adziamskich (perskich) i kilimach wschodnich, o poduszkach, które wszędzie słano. W ogrodzie stawał chłodnik (altana). Liczne zabudowania gospodarskie otaczały dwór, olejarnia, mielcuch dla słodu, stajnie i obory, gumna i lamusy, serniki, gołębniki. Wieś starczyła sobie sama; po rzeczy zbytkowne udawano się do miasta na targi i jarmarki, albo na tret i do sukiennicy; zjeżdżano się i na ustalone od wieku kadencje sejmowe i sądowe. U niejednego szlachcica kończyła się na podobnym wyjeździe znajomość świata, szczególnie na ubogiem, zacofanem Mazowszu; poziom umysłowy odpowiadał takiej «peregrynacji»: zwykle pisać nie umiano i z łaciny tylko terminy sądowe powtarzano, a znachodzili się nawet wśród zamożnej, starożytnej szlachty (Tęczyński, Szafraniec!), którym brakło «bezpieczeństwa» w łacinie, i dla nich Rej łacinę tłumaczył.

BIESIADY

Mile spędzano czas w gościnnej Polsce na posiedzeniach i biesiadach; powodów dostarczało sąsiedztwo, polityko manja, łowy, spory o wiarę. Życie polityczne, egzekucja, unja, elekcje, konfederacja, wciągały w swoje wiry całą szlachtę, nawet na Mazowszu, gdy «Rdesta» (Ernesta) nie chciano, a od kiedy Warszawę i Wolę miejscami sejmów i elekcji obwołano, wypłynęło Mazowsze z pod ciemnej gwiazdy na jasny widok polski i odczuli to boleśnie między innymi różnowiercy. Rozprawiano, nie jak w włoskim *Dworzaninie*, o zaletach doskonałego dworaka, o miłości platońskiej, o kobiecie, literaturze, sztukach pięknych, lecz o poborach (na Rusi o Tatarach), o wybrykach starostów, o dziesięcinach, o gospodarstwie stawowem, o myślistwie, jeśli karty «pisane» i kostki nie pochłonęły wszelkiego innego zaję-

cia. Oto na Rusi zimą zjeżdżają się w zapusty goście; gospodarz rad im i prosi ich:

Pójdźmyż do izby, niż będzie gotowo,[1]
A rzeczcie sobie jakie dobre słowo.
Dodaj gorzałki, mów: Boże daj zdrowie!
Są też i księgi, jeśli kto chce czytać;
Jest i kałamarz, kto ma pozew pisać;
Jest kreda, kto chce niech ściany maluje (!).
Zatem się jedni do kredy rzucili,
A drudzy zasię w pozwy uderzyli:
Ci swoje rymy po ścianach pisali;
Drudzy wczas sobie pozwy gotowali;

rymy, uszczypliwe, odnosiły się nieraz i do obecnych, jak znać z *Figlików* Rejowych. Tak było rano, później:

Jedni się wadzą, drudzy piwo piją,
Miasto śpiewania na ośm głosy wyją;
Szklenice tłuką, czasze przewracają;
Jedno wżdy dla kart przed sobą ścierają.
Drudzy, chociaż się bawią w zalecanki,
Przecież ochotnie wytrząsają dzbanki,
Drudzy dla trunku suropieczki[2] jedzą.

Szczególniej w zapusty, kulika szukając, nawiedzano tłumnie i gwarno sąsiadów, którzy nie zawsze zdołali napoić i nakarmić panów, pachołków i konie, i nieproszonych gości chętnie zbywali:

Więc tu ze wsi do wsi jadą
I przezwali to biesiadą,
Anoby lepiej zwać nędzą,
Co sobie szkapy wywędzą.
Azać ich więc mała rota
Stoi całą noc u płota?

[1] jedzenie.
[2] zraziki. — U Kochanowskiego: szperki niedopiekłe i twardy ser głodzą, co sobie gardła ostrzą na piwo, rydzem, śledziem, ogórkiem.

Rano pan woła gorzałki,
W stajni nie słychać opałki.
«Wywiedź konie, czas nam jechać,
Ale wżdy źle, nie pożegnać!»
Więc się wrzkomo porywają,[1]
Ano ich nic nie wściągają,[2]
Trzykroć się ode drzwi wróci.
Ano by jako co dano,
Jadłby przecię, chociaż rano.
Więc pod rękę upatruje,
Jestli co panna żałuje,[3]
«Ale snadź, by mi przyboleć,
Przecież za jej zdrowie wypić!»
To się czasem naczczo spiją,
Łby sobie piwem pomyją,
Kampustem[4] się popluskają,
Na ostatek podrapają.
Czeladź woła: «już czas wsiadać,
Boć nam nic nie dadzą śniadać!»
Koń stoi, podgina nogi,
Choć ma na łbie z pierza rogi,
A na szyi wisi dzwonek,
W tyle czerwony ogonek![5]
Więc wsiadłszy nań, chce, by skakał;
On, by umiał, snadźby płakał,
Bo to już nie jadł drugą noc;
Zginęły mu skoki i moc.

Więc to coś z błyszczącej nędzy, a nie lepiej bywało i z myślistwem. Królewska to zabawa, czasem nawet nie w Niepołomicach czy zielonej puszczy odprawiana, tylko szczwanie zwierza na miejscu, np. niedźwiedzia z klatki wypuszczonego, żubra śród wieżyc wystawionych (niby jak w Hiszpanji), co na zlecenie Ciołka Husowczyk miał Leonowi X opisać, lecz Bonie poświęcił. Chudopachołkom myślistwo źle się opłacało i szydził Rej dowoli z naszych Akteonów, których psy własne pożerały:

[1] niby odchodzą. [2] zatrzymują. [3] panna z fraucymeru dać raczy. [4] twarogiem. [5] farbowany.

Trąb co rychlej, a psy zwieraj,
Zwołaj czeladź, konie siodłaj,
Bo teraz dobra pogoda...
Więc gniją na polu kopy,
A pan w lesie wrzeszczy z chłopy,
Ze psy się po polu goni,
Żyto, owies, wszystko łomi.
«Był tu Pożar?» Owo lezie,
Bardzoć mu się więc chce łowić,
A on już trzy dni nie jadł nic.
I myśliwiec słabo trąbi,
Mróz ciśnie, w brzuchu przymiera;
Wlazszy w krzak, więc tarnki zbiera;
Czapkę straci, suknię zdrapie,
Oba boki odrze szkapie;
Wolałby piec, niż zająca.
Więc gwiżdże, na brzuchu leży,
A szkapa do domu bieży,
Uzdę straci, siodło stłucze;
Sam się milę pieszo tłucze.
Więc rzepy miasto przepiórek
Narwie w torbę i kapturek:
«Jednak też to nie złe pole,
Gdy jej niemaż doma w dole».
O temże cały dzień mówi,
Jako Pożar z Kruczkiem łowi;
To już na to do dna pije;
Wyga się skrobie a wyje:
«Nabierz mąki, niemaż tłuczy,
A do połcia kłódkę stłuczy,
Bo iście to zasłużyli,
Aż do południa gonili».
Więc jako połcia nie stanie,
Jedzże chudy groch, nasz panie!
A i kapusta będzie wczas.

Jest nawet wcale ciekawa literatura myśliwcza: Cygańskiego *Myślistwo ptasze* niełatwo i zagranicą równia znajdzie (1583 r.), tak dokładnie wypisało rody ptasze, i sieci na nie, i inne przyrządy, a Bielawski w *Myślistwie* 1595 r. łowy pruskie na ziemi i wodzie znakomicie wystawił. Chów koni nie stał jeszcze wysoko; lubował się w nich Zygmunt August, ale włoskich kawalkatorów do tego używał i słownictwo «końskie» w włoszczyznę obfitowało (*karerz, kawecan* i t. p.), zresztą i wschodnie, tatarskie terminy (od *łoszaka* począwszy), i nowe węgierskie a dawne niemieckie (*mundsztuki, krygi* i t. d.) obowiązywały.

To były kosztowne zabawy, ale już i karty i kostki poczęły mieszki wypróżniać; nastały nowe niemieckie gry z dawnemi czeskiemi nazwami; że to na Czechy szły do nas karty, nazwy (*kralka* i inne) świadczyły; teraz nastały:

Dziwne fluksy, turmy, rusze;
Klejnotki się pocierają: (kto przegrał)
Siedzi, podjął rękę, śpiewa,
Ciągnie się, rzkomo poziewa,
Ciągnie za palec drugiego,
Aby mógł zwlec sygnet z niego,
By mu jako stryjem[1] został.
Bo ślubi wrócić w godzinie,
Więc ledwy w rok, czasem zginie.
Bo acz wygra, wżdy niesporo,
Bo się wnet zbieży, co żywo:
Daj od kart, dajże na piwo,
Daj na świece, daj piszczkowi.
A to ktemu ma na pomoc,
Iż to już nie spał drugą noc.
Idzie, zbladł, spuchły mu oczy,
Jako pijany się toczy!

Ale długów karcianych jeszcze nie płacono pod honorem w dobę.

Najgorszym występkiem było pijaństwo; jak anarchja rokoszowa była prawem objęta, tak i w pijaństwie obowiązywał kodeks (spisał go Rojzjusz, mierny Hiszpan, w swojej *Bakcheis*), niby jak u burszów niemieckich. Znane są anegdoty Kochanow-

[1] od herbu na sygnecie.

skiego o kanclerzu w. kor., co spoił kanonika, a gdy się dowiedział, że ten umarł, tylko rzekł, iż mu był jeszcze jednej nie spełnił; gdy pito czyjeś zdrowie, wszyscy wstawali, i prosił biskup Myszkowski, żeby u niego tylko ci wstawali, co do siebie piją, bo jeśli i trzeci wstanie, to tak jakoby rzekł: pijcie też do mnie; a Kochanowski, żeby ciągłem wstawaniem nie trudził się:

Chłopie, wymknij ławkę moję,
Już ja tak obiad przestoję!

Toasty wymyślano nieskończone, od króla i dygnitarzy poczynając; drobna («równa») szlachta piła wyłącznie niemal tanie, bo domowe, piwo; jak te libacje dokuczały, opisał w osobnej pieśni Kochanowski:

Każesz mi pić przezdzięki[1] twe przemierzłe piwo;
Że do dna nie wypijam, patrzysz na mnie krzywo...
Kufle lecą jako grad, a drugi już jęczy,
Wziął konwią, aż mu na łbie zostały obręczy.
Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?...
Nazajutrz się jednają, przecież go nalewaj,
A kto z niebrzydkim głosem, przed panem zaśpiewaj.
Potem od melodyi aż posną na stole, i t. d.[2]

Ale «sieczenie» piwa nie niszczyło tak zdrowia i worka, jak przywoźne wino, na które się i chudopachołki sadzili, aby tylko panom nic przed sobą nie dali:

Ciągnij się, panie Walanty,
W piniole, w alekanty;
To słodkie, a to korzenne,
A to ma barwy odmienne,
«Bóg wiedz, już trzeci rok stoi».
A czasem drudzy nie znają,
Czego więc im nalewają,

[1] gwałtem.
[2] Skutki pijaństwa bywały fatalne; w lipcu 1553 r. w Sieradzu pięciu pijanej szlachty padło trupem we wzajemnej strzelaninie; opowiadał M. Bielski 1554 r.

Ipokras abo trywijał:
Co on dba, gdy szyję nalał?
Bo co panom nalewają,
Ktemu się więc wszyscy mają.
A gdy darmo pić nie czuje,
Przyjdzie się z mieszkiem pobracić...
Wszakeś Polak, dzierż się swego
Syropu przyrodzonego.
I na tem się, co uwarzysz,
Natańcujesz i naswarzysz.
A niechaj tego kramnego,
Boć się skazi płeć od niego.
Pić gorąco, korzenno jeść,
Musi drugi bez czasu zsieść.
Doktor stojąc w moździerz tłucze,
Więc mu leje w gardło syrop,
A on zdycha, opiły chłop.[1]

Wino drogo sprzedawali a fałszowali, ipsymując je i dolewając wody; szynkarki rade przypisywały na tramie, co niby u nich wypito; «chrońcie się z chorągiewką wieńca zielonego!» (wywieszano go na winiarni; krzyż na miód, a wiechę na piwo) — ale to były próżne przestrogi: już się wżerał nałóg we wszelkie stany i mierności włoskiej nie przestrzegano; przykład niemiecki wyjątkowo zwyciężył; na Niemców winę tę nawet zwalano.

Piło już gorzałkę, której jeszcze okowitą *(aqua vitae,* przedłużającą życie) ani wódką nie nazywano; gorzałkę pędzono z żyta; już słynęła gdańska; nią się witano, zanim do «sieczenia» piwa przystępowano; Czesi przyjęli od nas nazwę »gorzałka», którą objaśniano, jakoby Ka, pędząc wódkę, zgorzał (próbka war-

[1] Lepszy przykład szedł z góry; Zygmunt I. pijał tylko wodę, dopiero później za zaleceniem lekarskiem pijał nieco wina. Abstynenci byli tak rzadcy, że nazwiska ich przechodziły do kronik, np. szlachcica Jarzyny. Panowie, przeciwnie, zmuszali chłopa do opilstwa, aby dochody z browaru i złego piwska (z jarzu, nie z dobrego zboża) powiększać. I już mawiano (r. 1594), że w Polsce *vivere est bibere!* (żyć, to pić).

tości dawnej tradycji). Najogólniejszym napojem było zawsze jeszcze piwo, wobec którego miód znacznie ustępował. Każdy dwór miał browarnię i dbał, żeby chłopi nie pijali w sąsiedniej wsi; już żyd dzierżawił karczmę, a nieraz i do browaru już sięgał. Piwo jako *gramatka* (ciepłe z grzankami) służyło powszechnie jako śniadanie — nazwa łacińska, jak i u innych napoi czy potraw. W mieście prawa warzenia piwa ogólnego już nie było, mieli je piwowarowie i słodownicy; piwowar opłacał czopowe od beczki, cztery grosze od krajowego, sześć od śląskiego (świdnickiego i in.) i gdańskiego, a szelężne od wyszynku. Słynny był dubelt krakowski; na Mazowszu piątkowskie, nie wareckie, za najlepsze uchodziło. Warzono je z pszenicy samej albo z jęczmienia, przyczem dodawano mu pszenicy; podlejsze było żytnie; Kraków r. 1549 wywarzył 123.169 fur piwa, Skalmierz 13.296. Na stole ziemiańskim i miejskim panowało jeszcze przez cały wiek piwo, w fraszkach Kochanowskiego przeważnie o niem mowa, nie o winie. Gościa witano najpierw wielkim puharem, Wilkiem (z niemieckiego *Willkommen)* zwanym, musiał go do dna wychylić.

Używała szlachta życia. Przez cały wiek nie zwołano pospolitego ruszenia (skandal lwowski 1537 r. odstraszał), wszelkie wojny odprawiano żołnierzem zaciężnym, pocztami dworskiemi i pańskiemi, a «okazowanie» (popis zbrojny przed kasztelanem czy wojewodą) zaniedbywali ci «przypasani do miecza (!) rycerze», jak się poeta, kpiąc z własnej niewojenności, wyraził; wedle niego gotowość do wojny, zbroja mianowicie, takie:

Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,
A z drugiego już dawno w kuchni rożen długi;
W przyłbicach kwoczki siedzą albo owies mierzą;
Kotczy,[1] to nadzieżny[2] koń, a poczet zaś woły;
To już rotmistrz, co fuka na chłopy u pługa,
A jego przedniejsza broń — toczona maczuga.

[1] u powozu. [2] wojenny.

Tak było w zachodniej Polsce, spiącej bezpiecznie na oba uszy, ale niewiele lepiej i na wschodzie, mimo wiszącej nad nim grozy tatarskiej. Bo oto w ziemi lubelskiej zimą 1566 r. gotuje się szlachta do kuligu; wesołe przygotowania przerywa pacholę, wysłane o pomoc przez panów ruskich, bo po niewczesnem rozpuszczeniu wojska trzech carzyków tatarskich wpadło na Podole i Ruś i obległo hetmana Sieniawskiego w Międzybożu; więc szlachta zebrana biegłaby na odsiecz, lecz nieco zwlekać musi:

Koni iż jedni pocztowych nie mieli,
Na lada szkapach puścić się nie śmieli.
Drugim się uzdy, siodła zodzierały,
Podkłady od nich precz poodpadały.
Pancerze, miecze rdza drugim pojadła,
A zbroja prochem od trzech lat przepadła.
Szyszaków, przyłbic ile jedno mieli,
U płatnerza ich tak rok zapomnieli.
Oszczepy drudzy wszystkie połamali,
Kiedy z sąsiady do czapek ciskali.
Były też cztery nieprawie złamane,
Cóż było po nich, gdy nienawiązane?
A rusznic stolarz jeszcze nie naprawił,
Co je był szypląc[1] woźnica pokaził.
W wojennych tarczach wyżłowie legają,
Na drzewiech dętych[2] lada co wieszają.
Kordy i szable drudzy precz oddali,
Drudzy sobie szat drogich nasprawiali,
Na które wszystkie pieniądze udali...
Sami, że jeszcze gotowi nie byli,
Zbrój, koni, przyłbic sobie pożyczali,
Których u sąsiad ledwie dostawali.
Gdyż to jest zawżdy u nas nie nowina,
Bawić się z sobą pilnie w zalecanki,
A jeździć niemal co dzień w pożyczanki...

Ale do starcia nie przyszło, bo Tatarzy, nie zdobywszy

[1] dłubiąc. [2] kopje.

Międzyboża, popaliwszy i wyłupiwszy okoliczne włości — uszli. Spółcześnie (1569) pisał to samo stary Bielski:

Kiedy na wojnę jedziecie, szable przegrawacie,
I zbroiczka u płatnerza leży zardzewiała,
Lepsze koni do rydwana pani zaprzągacie
Niźli, kiedy trzeba, pod swój *żywot* go nie macie.

GOSPODARSTWO

Zamiast gotowości wojennej pilnowała szlachta wyłącznie gospodarstwa; przechowane do dziś regestra wydatków i inwentarze (opisy dworów) świadczą najlepiej o intensywności pracy gospodarczej. Szło w niej wszystko starym zwyczajem; trójpolówka panowała w Koronie; uprawiano wszelkie zboża; słynęła pszenica, szczególnie podolska; folwarki zagęściły się nadzwyczaj; brano teraz pod pług wykarczowane lasy; bartnictwo zaczęło się już z Korony wycofywać, popłacało jeszcze na Rusi (malały i miody wobec piwa). Kwitnęły obory i stadniny, liczące nieraz po kilka tysięcy sztuk; litewska stadnina Zygmunta Augusta miała 3000 koni rasy domowej, do której przyplątywały się i wschodnie, tatarskie i tureckie. Za przykładem Śląska rozwinęło się też gospodarstwo stawowe w Małopolsce i na Rusi, gdzie Lwów był centrem hadlu rybnego. Szlachcic i włodarz jego dozorowali folwarku, a pilnowali pańszczyzny, uciskając lud coraz nowemi wymogami.

Ogrody, z pod klasztorów, przeniosły się do dworów i dworków szlacheckich; były wirydarze, z ziołami wonnemi, i sady warzywne jak i drzew owocowych. Wirydarzy doglądały dziewczęta, sadząc w nich obrzędową weselną rutę, barwinek, rozmaryn, róże, szałwije, fijołki, gwoździki; w ogrodzie warzywnym rozsadziła się głównie włoszczyzna, kalafjory, selery, karczochy, szparagi, melony, pomidory, pietruszka, pasternak, pory, majeran (używany do kiełbas), szafran (morawski, krokosz, do ciast i juch- sosów). W sadzie szczepiono drzewa szlachetniejsze, jabłonie, grusze, trześnie, śliwy, morele: wystarczy przypomnieć, jakich rozkoszy zażywał Rej przechadzając się po ogrodzie, bacząc na każde drzewko, własnoręcznie sadzone, ciesząc się wonią i barwą owoców. I odmienił szlachcic naturę, zrzucił dawną wojowniczość, i skarży się poeta, a była to stała melodja moralistów wszystkich:

Niemaż dziś w Polszcze jedno kupcy a rataje;
To największe misterstwo, kto do Brzegu z woły,
A do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły...
Kopajcie wy karcz przedsię i budujcie stawy;
Wieźcie z borów do Wisły burtnice i ławy,
Palcie lasy na popiół, rąbcie na wańszosy!...
Mieniąc iż gospodarstwo Polskę zbogaciło,
A jako żywo złota więcej w niej nie było.

Pochłaniał je straszny zbytek:

Da kto pięćdziesiąt potraw, da on tyle troje;
Ty go upoisz, a on i woźnice twoje;
Ty w rysiu, on w sobolu; ty na czapce złoto,
On ma i na trzewiku, chocia czasem błoto.
U niego obercuchy szersze, niż u kogo.
Od kabata sto złotych, jeszcze to niedrogo.
Po kołnierzu go poznasz, bo błam futra bierze...

On i posagi wyniszcza,

Bo mu na aksamitne, szarłatne żupany
Siła wyszło, i owe próżne dybidzbany,
Co ich za nim rząd długi w nowej barwie[1] chodzi,

A skutek tego utracjuszostwa?

Drugi mówi: pojąłbych i świnię z obory,
Gdyby miała pieniądze i pełne komory.
Drugi godzi jakoby był wstępniem do baby; —

---

[1] liberji.

o tych babożeniach (dla pieniędzy) częste wzmianki. Nadmiar bezużytecznej służby (dziś pachołek «jeno za stół pospołu z swoim panem siędzie, Konia się sroma siodłać i butów wymazać») i stroje wymyślne niszczyły szlachtę i ich żony:

Jęły się pisma czytać, kądziele przestały...
Która nie ma własnych szat, ta indziej pożycza,
(By) się często odmieniać w cudzy strój w komorze (!);
A która na odmianę nie ma szat, ubioru,
Zada sobie chorobę, leży do nieszporu.
Panny takież mają swe kosztowne noszenie
I osobne od matek z karaniem ćwiczenie;
W łaźni, myjąc w sobotę, miotełką upierze,
A w niedzielę do tańca w aksamit ubierze.
Skacze panna w sobotę, skacze i w niedzielę...
Obciągnie się sznurkami, ledwo dychać może;
Łańcuchów pełno na niej, ledwo chodzić może...
(Dawniej zaś) nosiły nasze panie duszki
Pacierze bursztynowe, nie złote łańcuszki;
Na szyi prosty czecheł [1] albo było goło,
Na głowie toczenice, a chomlą [2] na czoło.

STROJE I STÓŁ

Największa panowała rozmaitość np. co do trefienia włosów i ubrania głowy. «Zygmunt I w czepcu z młodu chadzał, włosy długo nosił, brodę postrzygał, w lecie w wieńcu różanym rad chodził bez czapki» — więc zupełnie po średniowiecznemu. I dziewczęta jeszcze w pierwszej połowie wieku nosiły wieńce (choćby z dębowego liścia), albo łubek, czółko, ale w drugiej połowie, jak i panie, czapki, jak mężczyźni, obszyte futrem, albo birety, u mężczyzn bardzo bogate, z kosztowną zaponką i piórkiem zatknionem, z guzem drogim — feretem, noszone na ucho;

[1] płaszczyk. [2] kółko.

później magierka je zastępowała, za wzorem węgierskim. Starsi nosili kołpaki, kapelusze, wielkie czapki futrzane, jakie dziś jeszcze u starych żydów widzieć można.

Tak samo było z szatami; na spółczesnej ilustracji każdy naród ma swój strój, tylko Polak nie ma go, przykrawa sobie sukno jak mu się spodoba, a Bielski pytał r. 1566:

Hiszpany, Włochy, Niemce, ba, widzę i Uhry,
A Polacy kędy są z dawnymi Mazury?
Którzy na koń w karwatkach [1] z miekowskiem [2] wsiadali
I nóg sobie kitajką nie podwięzowali.
Chociaż nie po magiersku, przecięć dobrze było...
Kaptur, pas, diszak, harnas, tylczyk, szarszun, kusze,
A na głowie kapalin, na nim tkwiały pusze.
. . . . W takowym ubiorze
Także też i służyli na królewskim dworze.

Własnego stroju polskiego nie było, — były najrozmaitsze obce, «tak wiele, że im liczby niemaż; to po włosku, to po hiszpańsku, po brunświcku, po husarsku dwojako, staro i nowo, po kozacku, po tatarsku, po turecku drudzy... więc jedni golą brody, a z wąsami chodzą; drudzy strzygą brody po czesku; trzeci przystrzygają po hiszpańsku. I około wąsa zaś jest różność, bo go drudzy na dół głaszczą, a drudzy wzgórę jeżą. Jeśli zaś kto nic brody nie ustrzyga, we zbroi, powiadają, bardzo z nią źle. Świetno bywało pierwej, teraz nie wiem czemu czerń się zagęściła, żałobna maść, znak płaczu» (1566 r.).

Jeden się nad drugiego przekłada na stroje,
Musi mieć koń turecki, pozłociste zbroje,
Rząd i alsbant ze srebrem na swój koń przyprawi,
Ale wioskę z folwarkiem na ten strój zastawi.
Musi też być do ziemie i turecka szata,
Ciżmy, wielkie ostrogi nastały w te lata;
Kołnierz wielki, mały kraj czapką się nadstawi;

[1] kurtkach. [2] mieczem.

Więcej kołnierz kosztuje niźli wszystka szata.[1]
A już widzę u drugich aż do kolan wiszą.
Przejdą potem na żydy twe kosztowne stroje.
Włoch począł, żyd dokonał, na was się zmówili.

Rak zbytku toczył wnętrzności polskie już w tym wieku; zbytkowała i szlachta włoska czy francuska, ale jej złoto zostawało w kraju, polskie ginęło; wywiezione, wracało za surowce, aby znowu ginąć. Bo żeby ten zbytek zasadzał się tylko na kosztownych budowlach i ich dekoracji! — ale przeciwnie, szlachcic zadowalał się dworkiem drewnianym (misternie ułożoną kupą drew dla zgorzenia, szydził Włoch); zamiast obrazów, stiuków, luster, wystarczało mu kilka makat, kobierców, opon; sprzęty bywały najprostszej roboty, zato szaty, coraz mieniane, zbytek w trunkach, służba kosztowna darmozjadów i dybidzbanów pochłaniały fortunki;

Ojciec będzieli rządny, to syn marnotrawca,
Zostawi go duchownym przyjaciel podawca;[2]
Drugi na mnichy przyjdzie i w szarej kapicy
Włócząc się chleba będzie żebrał po ulicy.

Zbytek w stroju i stole oskarżała cała literatura spółczesna, ale nikogo nie otrzeźwiła; ustawy przeciw zbytkom można było tylko mieszczanom narzucać; szlachty nie obowiązywałyby i cła prohibicyjne, bo byłaby od nich wolna; więc wyjścia nie było. Szydził Rej:

Czasem drudzy krawca proszą,
Uczyń mi, jako dziś noszą.
A czemu nie jako wczoraj?
Więc do każdej[3] inna sprawa.

---

[1] Kochanowski pytał szyderczo: «Kołnierz-li to u delijej, Czy delija u kołnierza?» — a inny poeta:

Za jedne same tak wielkie kołnierze
Mogliby kupić po cztery pancerze.

[2] kolator. [3] szaty.

Zaż się dziś nie pstrzą sajany
Abo owe stradyotki?
Drugi więc swą wioskę mija,
Rozwiodła go z nią delija.
Aż już drugich i nie znają,
Jako je więc przezywają.
Owe haftowane kwiatki,
Więc rzezane nogawiczki,[1]
Więc aksamitne trzewiczki.
Natknął za biretek piórek.
(Noszą tylko) aksamit i hatłas,
Już dziś sukno stoi za nic,
Mówią, iż w niem ciężko chodzić!

Cóż dopiero stroje niewieście: «jakie zbytnie ubiory co rok wymyślają»!

Junkiery, saltarelle, mętlik, inderaki
Przywodzą ku utratom męże nieboraki.
Patrzże też, co kosztuje koszulka perłowa,
Pierścień, łańcuszek złoty grosza nie zachowa.
Dobry kożuch z pozłotką zimie chodzić paniej,
Haras z barchanem lecie, bo to weźmie taniej,
Dobra też i koszula po swojej robocie,

ale tego się wzdrygają.

Bo więc ów Ślęzak[2] z forbotem,
Listewka, bryżyk ze złotem,
Nuż kaplerzyk z obojczykiem,
Teperelle z gorgulikiem,
Iście skarbu nie umnoży.
Pani płaci jałowicą,
Abo siemieniem z nabiałem.

Nazwy same włoskie lub niemieckie, nieraz trudne do ścisłego określenia. W satyrze Piotra Zbylitowskiego *Przygana wymyślnym strojom białogłowskim* (r. 1600) przydan (t. j. drużba), zaproszony przez sąsiada na wesele, widzi damy wszelakie,

---

[1] spodnie. [2] handlarz.

ale żadnej Polki; niemasz «dawnej smukawicy», i jeśli się która schyli, wszystkie nogi jej widać; śmieją się młodzieńcy, obracając je w tańcu, azać to lekki kozub? Następują przepisy stroju: młoda mężatka, 20-letnia, co przed czterema laty przy ołtarzu ślubowała i córeczkę dopiero mówić uczy, niech chodzi w czarnej, poprostu skrojonej sukni aksamitnej; przy czepcu z pereł bramka kosztowna; z bobrem szuba; złoty łańcuch i manele; jeszcze młodszej mężatce wolny, jak dzięciołowi, biały lub czerwony kolor. U wdowy, by i najmłodszej, czarno wszystko aż do opon ściennych; panny, gładko wymuskane (uczesane), z tkanką czy wieńcem (z róż lub fijołków) na głowie; krezy pod szyją; suknia bez rękawów; płaszczykiem zakryje braki postawy. Nie niszczcie strojami mężów; pamiętajcie na liczną dziatwę, co jak konopie wzlot od ziemi odchodzi; pieniądze za mleczno na nie wydawajcie. To były pobożne życzenia; hiszpański kożuch ogonisty, kornufas na głowie, pasamony łąkotką (krzywo) w koło popisane i t. d. panowały w istocie, i nie spojrzałby już młodzieniec na ubraną po staroświecku w fałdowaną suknię. Satyra miała liczne wydania; oto cały jej skutek, jak przy każdej satyrze.

Jak strój, odmienił się i stół:

Zaż dziś nie dziwne potrawy,
Aż czasem owi, co siedzą,
Nie zawżdy wiedzą, co jedzą.
Ano jedna z złotą głową;
Jakieś torty trudnonosze;
Pozłocone marcypany;
Nuż uspaniny,[1] cenadry,
Pozłocisty baran z fladry i t. d.

Kuchnia polska odznaczała się zawiesistością, odpowiadającą żołądkom, bo jeden Polak jadał za pięciu Włochów, a rejestr potraw był bardzo długi; wesele w Knyszynie odprawiało się od niedzieli do czwartku, a pierwszego dnia potrawy na trzy

[1] galarety.

dania, na misy i półmiski były: słona zwierzyna, potrzęsiona wielkim cukrem i migdałami; kapłon z zieloną juchą cukrowaną; w czarnej jusze baranki angielskie; kiełbasy warzone z brunatną juchą; mostki cielęce nadziewane.

Odmieniła się zupełnie zastawa stołowa, dawniej nie znano półmisków:

jedli z jednej misy;
Na chlebowych talerzach bez serwet jadali,
Zwierzyny dosyć mieli, w piekarniach siadali,
Piwo a miód pijali, o wino nie dbali.

Teraz stół pokrywał biały obrus (i markotno bywało panu kanclerzowi, gdy gość obrus oplusnął) i serwety w dziwne kształty ustrojone, a kredens (służbą zwany) dostarczał kosztownych pucharów srebrnych i szkieł weneckich i czeskich. Kieliszki tłuczono o ziemię lub rozbijano o czoło, jeśli dla osobliwszej wagi (na wesele pierwszy, albo do króla pijąc) więcej go nie miano używać. Przy wielkiej ochocie i z trzewika bogdanki pijali, z czego już Rejowy Warwas szydził. Obrusy sprzątano, gdy po *czci* (obiedzie) *pełne* krążyć poczynały.

ZABAWY

Ale posiedzenia towarzyskie, co się od obiadu (dawano go bardzo wcześnie; ludzie starej daty już o 10 lub 11 z rana «obiedowali») nieraz do późnej nocy przeciągały, nie samem jadłem i piwem stały; czas skracano wszelakiemi «krotofilami». Najpospolitsze: karty, i pytał ksiądz biskup dworzan swoich, «azaby się nie mogła należeć jaka inna krotochwila, nie ta ustawiczna — karty?» Najściślejszy to dowód, że karciarstwo u nas odwieczne; już w XVI wieku spadły bowiem kostki do nizin społeczeństwa, woźnica i pachołki je miotali; szlachta, mieszczaństwo, już tylko karty grali, a cech kartowników, co od ręki karty malowali, sięgał już XVI wieku; r. 1526 wystąpił w Krakowie Benedykt «kar-

townik», a r. 1558 przedawali kartownicy na szmatruzie. Maści i figury miały osobne nazwy, z czeskiego wzięte (od XVIII wieku zastąpiły je francuskie, *as, dyska, nefka* i t. d.), *tuz (as)* właściwie dwójkę znaczy (bo dwa razy go na banderze wypisywano); króle konni; wyżniki i niżniki pieszy od tego nazwane, czy znak maści u ich głów, czy u ich nóg położony. Anegdoty, np. o Zygmuncie I, tylko o kartach wspominały; już Rej różne wyliczał; wszystkie z zagranicy przybywały, własnych zdaje się nie mieliśmy; stawki były niskie, o dudki grał opat z biskupami. «Odprawiano» tego, co się zegrał, «niedługo grając, wnet jeden *spadł z stołu,* iż mu i pieniądz w mieszku nie został» (1566). Rej (1543) powie:

Póki stołu stawa, kryśla,
Bo więc, kiedy się rozprawią,
Iż już jednego odprawią i t. d.

Nie hazardowano wiele, mimo to już się zgrywano. Nierównie rzadziej, dla braku skupienia myśli, a dla nęcących bardziej innych zabaw, grano w szachy i warcaby, i nie zmieni tego, że naśladując humanistę-Włocha Kochanowski znakomitą o szachach nowelę napisał, ale nie w podróż morską, jak mylnie z słów jego końcowych wywodzono; słownictwo (kuchnia, pop, roch i in.) było utarte, czeskie; mniej zwykłe nazwy drabów i fenrycha wziął Kochanowski z obozu. Nie z szachów słynęli Polacy.

Były dalej «gry rozmowne», «abo *o słomie*[1] *na co dobra*

[1] W tej grze *słomę* zastępowano chyba byle czem innem, pytając, na co dobre, czemu służy; grę zna Kitowicz w XVIII w.; dawał fant, kto dalej nie wiedział, co rzec; drugiej gry nie rozumiem. Literatura poskąpiła szczegółów; nieco więcej wiemy o grach dziecinnych, np. o graniu *sitka* czy *siewki,* przyczem miejsca zmieniano (kto kogo w tem ubiegł); częste są wzmianki o *czaczu,* gdzie zrzucano orzechy, owoce i t. p., co się zwycięzcy we grze dostawały, więc dzieci po orzechy do czaczu się wyścigały, i t. p.

(jako nieboszczyk ksiądz Tomicki doświadczał dowcipu pachołąt swoich), abo ona druga *nie będzie jej ten pił, niechaj ją on pije,* i innych takich jest wiele, jednoby wżdy troszkę foremniejszą wymacać» (r. 1566). W Padwie uprawiali padewczycy polscy za powodem młodego Kryskiego gry rozmowne w formie «akademji padewskiej». Z grami rozmownemi łączono opowiadania, dykteryjki, fraszki i żarty, jakich osad dały *Facecje* Rejowe, *Fraszki* Kochanowskiego i spółczesne anonima-protestanta. Dowcipy bywały bardzo rubaszne, nawet w ustach pań (np. pani Kochanowskiej-matki, mimo jej stateczności), cóż dopiero w Rejowych; prawiono i zagadki (Rejową bezwstydną Kochanowski zastąpił mniej bezecną). W fraszkach przeważały myśliwe, kłamstwa zazwyczaj i Münchhauzjady wszelakie, albo erotyczne («dobrym towarzyszom gwoli»). Żarty nietylko opowiadano, ale i wyprawiano nieraz bardzo dotkliwe psikusy; wystarczy przypomnieć z *Dworzanina,* jak p. Giżycki Szydłowieckiemu własną żonę za głuszkę udał a jej Szydłowieckiego za głucha, i jak oni ku sobie wrzeszczeli, — albo owa posyłka po mniemany owies do Raju i Suderwy, albo na obiad zmyślony u p. Chwalczewskiego, albo Skotnickiego Luli z Pukarzewskim, jako sobie piękne za nadobne oddali.

Dotkliwą frycówką bywało *rzezanie w koszu* lub *ciągnienie kota.* Gdy «nowak» u dworu coś przeskrobał, albo gdy zbyt prostym się zdawał, porywano go i wisiał w koszu nad wodą czy kałużą, póki powrozu sam nie przeciął. «Ciągnienie kota» opisał Rej:

Gdy kto więc tę sprawę miewa,
Przeciągną powróz przez wodę;
Przywiążą kota u końca,
Z drugą stronę drugi gońca.[1]
«Dawaj! dawaj!» zawołają,
Za powróz wszyscy chwytają.

[1] winowaty.

To się pan ani obaczy,
Gdy się hajwo przemknąć raczy;
Nie wie co rzec, szalony trup;
Łapa brzegu a woła hup!
Wywlecze chwastu na sobie,
Więc się tu stojąc w łeb skrobie.

Żartów na oba tematy u Reja i Kochanowskiego sporo; nawet gdy te barbarzyńskie frycówki ustały, pozostały po nich «ciągnął kota» i «postał na koszu» przymówką o zbłaźnieniu. Obie nie polskiego pochodzenia, przyszły z Niemcami do miast i dostały się i na wieś między szlachtę; również niemieckiem było ciągnienie kłody w środę popielcową przez (młodzieńców i) panny, które się w zapusty nie wyswatały; i ten zwyczaj aż na Ruś powędrował. Podobnie niemieckiego początku był *dyngus* i *śmigust (śmigus),* o czem zob. wyżej.

Rubasznością czy dzikością średniowieczną tchnęły i żarty-psikusy «towarzyskie»; zalać twarz *kompostem* (twarogiem), sadzą twarz pomazać, nakarmić czem brzydkiem (sówką, wroną i podobnemi specjałami — niewybredni bywali ludzie: anonim opowiedział fraszkę o dwu towarzyszach, co sobie nawzajem wyrzucali ku obrzydzeniu przytomnych, że jeden zdechłym pawiem, a drugi podobną jałowicą gości raczył), porzezać albo porwać czapkę, — żarty, co jak «żarty ks. Buczyńskiego» nieraz szubienicą pachły. W Wenecji wmówili towarzysze w podkomorzego sandomierskiego Tęczyńskiego, że zjadł kojec kotek, których widoku a nawet wrzasku nie znosił; przyszedł gospodarz z rejestrem, bo właśnie Tęczyński wyjeżdżał, gdzie przy każdym obiedzie czy wieczerzy było wypisane *costa* (tyle i tyle); pyta Tęczyński: a to ki djabeł? — powiedział towarzysz: to za białego *kota,* to za burego i t. d.; uderzył Tęczyński rejestrem o ziemię a do korda się na gospodarza targnął — ów to Tęczyński, co żadnego obcego języka nie znał (zob. niżej), a opowiadał to Ocieski (kanclerz), «Włoch» zawołany.

Do żartów wszelakich nadarzały szczególniej sposobność zapusty z obowiązkowemi (w mieście!) maszkarami. «Cąbrzyły się» (znowu wyraz niemiecki, *Schemper* — maska) baby krakowskie, biegając po rynku; ależ i szlachta przebierała się jako Cygani, Tatarzy, Żydzi, postaci mitologiczne, i szydził Rej:

Zszywa drugi one płaty,
Co ladanacz podarł szaty:
Na kuglarstwa, na maszkary,
Czyniąc cygany, tatary,
By prawym Polakiem został.

Osobliwszą nutę w zabawy zapustne wprowadzał kulik: szukano niby ptaszka kulika (bo to pierwotna forma) po dworach, do których hucznym orszakiem, na koniach albo sankach wjeżdżano, strojno, aby po dłuższej lub krótszej zabawie sąsiednie nachodzić koleją, bez opowiedzenia. Opisał to w ziemi lubelskiej zimą 1566 r. poeta-anonim:

Nużeż, panowie! Za tej sannej drogi
Zaprzężmy w sanki, włóżmy chomąt z rogi
Na tego konia choć brudnosiwego,
A nawieszajmy cymbałów u niego.
Sami kosztowne szaty na się wdziejmy,
Po czterech jezdnych wżdy przed sobą miejmy,
A odmiennych szat (kiedy) nabierzemy,
Bo byśmy w izbach z kołnierzmi zgorzeli,
Gdybyśmy z sobą tych letnich nie mieli.
A kiedy w tańcu przyjdzie nam wieść szyki,
Musimy z siebie zdjąć i kaftaniki.
Trzeba hazuki,[1] trzeba jednoradka,[2]
Bo wiecie, u nas za nic dziś karwatka [3]
Lepiej że sobie w ciżmach[4] pojedziemy,
A tam na miejscu trzewiki wzujemy;
Z torbą koszulę wziąć by nam i szczotkę.
U tych-tu sąsiad ze trzy dni zmieszkamy,
A czwartego zaś indziej się udamy.

---

[1] kaftan. [2] tož. [3] kurtka. [4] półbutach.

Kiedy się już zabawim z pannami,
Aby rozsiodłać, taki wam[1] znak damy.
Gdy się pełnemi zewsząd ostawiamy,
Patrzcież, byście się owsa domówili,
Żebyśmy jeżdżąc konie potuczyli...
Wy się też drugim pannom zalecajcie,
Tańcujcie, pląszcie, a czasem śpiewajcie i t. d.

Jak się przedstawiały obchody i zwyczaje we dnie świąteczne całego roku, Rej znakomicie opisał:

«Na dzień Bożego Narodzenia nie będzieli włócząc się całą noc wrzeszczał, drzwi wybijał a kiełbas nie nazbiera, albo iż całą noc kostki grając szczęścia nie szuka, już jakoby tego święta nigdy nie święcił. W niedzielę mięsopustną kto zasię nie oszaleje na urząd jako ma być, twarzy nie odmieni, maszkar, ubiorów ku djabłu podobnych sobie nie wymyśli, już jakoby nie uczynił chrześcijańskiej powinności dosyć. (W środopostną niedzielę kto się nie wyspowiada, już w rozpaczy chodzić musi, bo go już papież nie przeżegnał). W kwietnią niedzielę kto bagniątka[2] nie połknął, a dębowego Krystusa do miasta nie doprowadził, to już dusznego zbawienia nie otrzymał. W wielki piątek jeśli boso nie chodził, jeśli twarz umył, już męki Pańskiej nie wspominał. W sobotę wielką ognia i wody naświęcić, bydło tem kropić i wszystkie kąty w domu, to też rzecz pilna. W dzień wielkanocny kto święconego nie je, a kiełbasy dla węża, chrzanu dla pcheł, jarząbka dla więzienia, już zły chrześcijanin. A iż w poniedziałek z panią po uszy w błoto nie wpadnie, a we wtorek kiczką w łeb, aż oko wylezie, nie weźmie, to już nie uczynił dosyć powinności swojej. Dzień Bożego wstąpienia kto Jezusa lipowego powrozem jako złodzieja do nieba wciągnie, a djabła z góry zrzuci a potym z nim po ulicach biega, to wielkie odpusty sobie mamy. Dzień św. Jana bylicą się opasać, a całą noc około ognia skakać, i toć też niemałe uczynki miłosierne».

Dopełniał to Kraiński (r. 1611) opisem wielkotygodniowym:

«Dzisiaj grób ubiorą i włożą weń maleńkiego lipowego Jezuska ukrzyżowanego, albo osiełka lipowego, na którym także Jezusek siedzi, jako czynią w Krakowie u P. Marji, którego siepacze miejscy z kościoła św. Wojciecha (podle którego czapnicy czapki przedawają) do kościoła

[1] sługom. [2] od wierzby.

P. Marji przyprowadzają. A przedtym go sami rajcy krakowscy wiedli, ale im ten urząd siepacze odjęli. Przed tym tedy lipowym Jezuskiem dziatki pięknie i kosztownie ubrawszy się ręczniki i palmy wierzbowe miecą, rzucając wgórę kwiatki, nań palcem ukazują, mówiąc: tenci jest który miał przyjść dla zbawienia ludzkiego; przed nim rybałci krzyżem padają, owego ksiądz klęcząc przed nim rózgą z bagna i z trzciny uczynioną bije mówiąc: uderzę pasterza a rozproszą się owa. Potym wyjąwszy krucyfiks księża i on podniósłszy wszyscy śpiewają do onego».

I Grzegorz z Żarnowca w postyli 1582 r. wspomina, jak w palmową niedzielę

«robi się osła i usadza się na nim wizerunek Chrystusa; inni wierzą, iż ktoby w Wielki piątek historji męki Pańskiej słuchał, a całą noc na gołym kamieniu leżał, ze łzami i z biczowaniem samego siebie mękę Pańską opłakał, że taki miał być bezpieczen od ognia, od wody, od morowego powietrza, od gradów i gromów, od złej rany i od miecza nieprzyjacielskiego i t. d.».

Do zabaw «sezonowych» należała i Sobótka, palona w noc przed św. Janem; wzmianki o niej w literaturze częste, np. u Anonima około r. 1566:

Niewiasty na wsi Sobótkę nieciły,
Sobie i innym myśl dobrą czyniły;
Więc jedne stare piosenki śpiewały,
A drugie zasię przez ogień skakały i t. d.

Była to zabawa wyłącznie chłopska, szlachta uczestniczyła w niej w roli dziwowidzów, jak przy chłopskiem weselu (opis takiego u tego samego autora). Kochanowskiego *Pieśń świętojańska o Sobótce* mogłaby w błąd wprowadzić słowami (Sobótkę zapalono w Czarnym Lesie):

Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniowi;
Siedli wszyscy na murawie;
Potem wstało sześć par prawie[1]

[1] właśnie.

Dziewek jednako ubranych
I bylicą przepasanych.
Wszystkie śpiewać nauczone,
W tańcu także niezganione i t. d.

«Dziewki» (wiek XVII powiedziałby «wiochny», «sieluszki» i t. p.) urosły dalej w «panny», niby jakieś «ziemianki», o czem nie było mowy, skoro to obrząd wiejski, chłopski. Kochanowski, inaczej niż gruboskórny Rej, już wyczuwał poezję wsi, niedostępną dla spółczesnych gospodarzy-rolników; żegna się przecież u niego Urszulka w trenie szóstym z matką tak, jak «wiochna», gdy zamąż wychodząc rodziców opuszcza. Pieśni dwunastu «panien» należą do repertuaru stałego pieśni sobótkowych; są więc albo miłosne, albo kpiny z parobków (z tego co ciągnął kota i in.); albo balady, jak o Filomeli-słowiku, bo o słowiku wspomniał poeta u samego początku; w ramie pierwszej i ostatniej pieśni o treści najogólniejszej, zwyczajem poety, dbałego o kompozycję i całość staranną, ułożyły się znakomicie pieśni ludowe, wystylizowane wedle renesansu, który chłopów nie znał. Najniepotrzebniej przyplątano tu włoskie *maggia,* jakoby te włoskie ludowe widowiska (witania wiosny pierwotne) dały we Włoszech poecie «podnietę i neohumanistyczne uwierzytelnienie»; równie niepotrzebnie odnachodzono tu jakieś resztki mitologicznego na świat poglądu; bez «maggiów» i bez mitologji (której się sama nazwa chrześcijańska jawnie sprzeciwia), odezwał się w umyśle poetyckim najbardziej poetyczny obrzęd ludowy; ależ nie myślał poeta ani o jakiejś obronie starego zwyczaju przed nowatorstwem reformacyjnem, tępiącem stare zwyczaje, ani obok wzruszenia estetycznego działała jakaś chęć samoobrony, dlaczego-to właściwie dwór i zgiełk miasta rzucił a na cichej wsi osiadł poeta (nazwę *Sobótki* samą należy rozumieć jak np. niemieckie *Hexensabbath,* t. j. zgromadzenie w celu obrzędowym), całkiem wedle upodobania całej szlachty.

Ponad krotochwile wyrosła parodja Polski i jej ustroju,

znana pod mianem Rzeczypospolitej Babińskiej, urządzana w Babinie (pod Lublinem) p. Pszonki, Stanisława (zm. r. 1580) i syna, Jakuba (zm. r. 1622), i ich przyjaciela Piotra Kaszowskiego. Lublin, słynny od wieku jarmarkami a później trybunałem, bywał punktem zbiorowym szlachty, nietylko okolicznej, która po drodze Babin nawiedzała i trefności gospodarskie szeroko sławiła. Autentyczne tych trefności zapiski zaczynają się jednak dopiero, kiedy ta Rzeczpospolita wysiliła się i przekwitła; miały do niej należeć wszelkie znakomitości ówczesne, dostojnicy świeccy przeważnie (Pszonka i Kaszowski byli kalwinami) i literaci; wymieniano wszystkich, Zygmunta Augusta, króla w Polsce i Babinie, Reja, Kochanowskiego, Trzecieskiego, Zamoyskiego i in., ale nieraz silnie o tem wątpić wolno; ci literaci przynajmniej ani słówkiem, żaden z nich, o Babinie nie wspomnieli; w XVI w. jedyny Sarnicki, sąsiad Babina, w swych *Annalach* (1587 r.) szeroko się o tem rozpisał, a późniejsi (Wrześnianin, Kmita) go parafrazowali. «Kanclerz» Kaszowski i «starosta» Pszonka mianowali dostojnikami babińskimi każdego, kto miarę albo przekraczał, albo, co częściej, do niej się piął a jej nie dorósł, niemądrego mowcę, żołnierza próżnochwała, duchownego nieciekawego, ośmieszając tę jego wadę i uszczypliwym językiem materji dodając; trafne ujęcie tej wady było ich zasługą; przybywały formalności, wystawiano dyplomy mniemanej godności, a im więcej kto się na to dąsał, tem bardziej śmieszył. W wieku, kiedy satyra już się w druku panoszyła (*Satyr* 1563, *Proteus* 1564), a paszkwile najpospolitszą strawą umysłową bywały, nie dziwiły takie żarty, dziwiło raczej ich ujęcie w stałe formy, co miasto, nie wieś (z jej przelotnymi gośćmi) przypominało. Nie byłoż to żadnym cechem (jak «pijacki» Dantyszka, Zębockiego, Nipszyca z lat około roku 1510), było przypadkowem zebraniem, gdzie Stanisław Pszonka i Piotr Kaszowski w latach 1570—1580 rodzaj wesołej inkwizycji towarzyskiej uprawiali; to stało się rozgłośnem i z tego rozgłosu żył Babin późniejszy, o nierównie szczuplejszym widno-

kręgu; czy Pszonka i Kaszowski na obcych się wzorowali, można i wątpić. Korzystali z zupełnie przypadkowego zbiegu nazw, bo *babiński* zawsze znaczyło *babski* (mówiono babiński hetman o śmiesznym czy nieudolnym) i to mogło nawieść Pszonkę na ów koncept, charakterystyczny dla swobodnej Polski, a sławę jego rozniósł szeroko sąsiad-kalwin Sarnicki, wyśrubowawszy znaczenie Babina; wiadomo zresztą, że Polak raczej przyjaciela niż żart straci (r. 1566).

Przymówek bowiem nie znoszono, porywano się o to do korda, każdy przecież przy zbroi chodził, więc stąd rąbanina nieraz ogólna, i satyry spółczesne opisują podobne zwady i bójki. Ale pojedynków nie znano; uszczypnięty na honorze albo mścił na miejscu bronią czy obelgą, albo skarżył o obrazę do sądu. Dopiero przykład zagraniczny, włoski i francuski, wprowadził pojedynki, surowo przez prawo zabronione. Co innego była *odpowiedź*: obrażony czy skrzywdzony wysyłał przeciwnikowi pismo, do którego przyjaciele jego pieczęci własne przykładali, w którem mu zapowiadał, że krzywdy swojej czy obrazy na nim dochodzić będzie w każdem miejscu i czasie, oprócz jego własnego domu (i dni świątecznych), niechże się więc jego strzeże. Takich listów odpowiednich lub wypowiednich dochowało się kilka z tego wieku; o pojedynkach natomiast jest ledwie kilka wzmianek, o dozwoleniu ich przez króla, gdy wszelkie inne próby pojednania zawiodły. Wyzwany na pojedynek (Pszonka) nie potrzebował go przyjmować i na honorze przez to nie tracił. Broni palnej w pojedynkach nie używano, tylko korda; najpierw z koni, potem i pieszo się bito. W XVI wieku odczuwano ten zwyczaj niemal jako coś obcego; nie pochwalano go nigdy. Nigdy nie dochodziło do pojedynku między gospodarzem a gościem. Najczęściej przymawiano sobie o «łeż» i za to się po twarzy plaskano; towarzysze wkraczali, godzili, i na tem się zazwyczaj kończyło.

Żartami bawili gości i gospodarza błaznowie. U nas chyba Kazimierz Wielki pierwszy miał błazna; u Jagiellonów, od pierwszego począwszy, należeli oni stale do dworu królewskiego. Najsłynniejszy między nimi błazen starego króla, Stańczyk, który gorzkie prawdy mówić umiał (pyszna charakterystyka jego Gamrata i Maciejowskiego; docinał nawet królowi samemu); po nim Gąska za Augusta, co dożył sędziwej starości; miewali i magnaci błaznów: Szydłowiecki Bieńka, co się cieszył z senatorów-błaznów w swej komitywie; Kmita Jaśka, co umierającemu Kmicie obliczek dawny oddał; kardynał Maciejowski Głowę. Wyróżniał go ubiór: suknia szachowana, kukła na głowie, w niej uszy z dzwonkami, na pstrym kiju cepy z lisiemi ogonkami; oganiał się niemi albo glotami z rękawów sypanemi przed napastującą go dziatwą. Obok błaznów utrzymywali panowie karłów, co nieraz błaznów zastępowali, «szpaczkowali»; szczególniej panie lubowały się w karlicach i karłach; było ich sporo na dworze Zygmunta III. Odrębny cech tworzyli mietelnicy, t. j. kuglarze, linoskoki, akrobaci, niedźwiednicy (cygani między nimi nie rzadcy; ale i wszelacy obcy, np. Włosi); inni obchodzili domy i dwory z marjonetkami-łątkami.

Śpiewy i tańce głuszyły wszelką inną zabawę. Śpiewy szły i od południa, z Bałkanu; Serbowie, uchodząc przed uciskiem tureckim, zabawiali uszy panów, szczególnie ruskich, «dumami» o sławnych ludziach i bitwach, przygrywając na «gęślach» (rodzaju strunowego instrumentu). Tańce (nazwa obca, jak *reje, firleje* i in.) nie miały może wybitnej cechy narodowej, bywały raczej może kosmopolityczne, niejeden wręcz obcy, np. *cenar*, niem. *Zeuner*. Najczęściej wspominają źródła nasze gonionego, szalonego, z którego się zczasem mazurek wyrobił, o żywem tempie, w przeciwieństwie do chodzonego, suwanego, z którego poważny polonez wyszedł. Włoskich tańców dowodzą same nazwy: *padowany* i *galardy*. Lud tańczył przy bąku (dudach); innym przygrywali piszczkowie, skrzypkowie, bębennicy; tańcowano szczególniej na wsi, przyśpiewując; w wyższych sferach bez śpiewów (ale był i «śpiewany kowal»); cechy miewały osobliwsze

tańce. Świeczkowy zwano od tego, że tańczący zapaloną świecę przed sobą nosili. Tańce polskie nie znały swawolnych ruchów; damy polskie, towarzyszące Katarzynie Austrjackiej do Lincu (r. 1566), podobały się cesarzowej, «iż kiedy w taniec szły, nie dały się obłapiać (ściskać) ani całować, i Niemcom się to podobało; mówili, że to cnotliwa nacja polska». Ani Kościół katolicki, ani zbory protestanckie nie zdołały mimo wszelkich nawoływań tańców wykorzenić, chociaż kalwini (nie mówiąc o arjanach) chwilowo je rugowali. Świadectw o tańcach pełno w literaturze, obowiązywały w pewne pory szczególnie; nie obeszła się bez nich żadna sobótka (por. u Kochanowskiego pannę):

To moja największa wada,
Że tańcuję bardzo rada,
Powiedzcież mi, me sąsiady,
Jest tu która bez tej wady?

a cóż dopiero zapusty i kuligi. Tańcowały i dziewczęta same. Rusin tańcował swoje prysiudy, i Włoch u Zbylitowskiego 1600 r. opowiada:

A choćże Rusinowi zagra na bandorze,
A on przecię rozumie, że to na fujarze;
Woli skoczne drobuszki kołem sobie toczyć,
Niźli szybką galardę aby raz wyskoczyć,

w której właśnie Włoch mistrzem.

Śpiewy ruskie przewyższały polskie, które nie znały ani historycznych dum (sama nazwa ruska!), ani bogatszej liryki. O każdym «wstrząsającym» wypadku składano pieśni, niby gazety a raczej ich nadzwyczajne dodatki; śmierć Barbary, czy ścięcie Podkowy, zgon heroiczny Strusa,[1] czy mogiły sokalskie, dodawały literatom-żakom podniety do układania nowej pieśni-balady

---

[1] «Przychodzi do mnie z kobzą żałosny kobzista, zagraj mi dumę smutną» o śmierci Strusa od Tatar — śpiewał M. Kobiernicki r. 1589.

na znaną dawniej nutę (np. na Kochanowskiego *Wieczna Sromota* i pod.). Ruskie liryki wdzierały się w zbiorki pieśni polskich; młody Sęp Szarzyński zaczął skargę miłosną od wiersza ruskiego. Pieśni same przeznaczano raczej dla ludu miejskiego, gwarnego i ruchliwego, niż dla szlachty, śpiącej na łonie przyrody. Odbiło się to i na sporcie, który na wsi warunków korzystnych nie zdobywa. Nie znano żadnego nowszego, łyżwiarstwa ani wioślarstwa, nawet w piłkę nie grywano (dopiero Zygmunt III nią się bawił); ciskano kamieniami niegdyś i w zawody biegano; skakanie i inne podobne temu «nie do końca jeszcze zagasło» (Górnicki 1566 r.). Turnieje, gonitwy na ostre i gonitwy do pierścienia uprawiano przy nadzwyczajnych uroczystościach; ocalały artykuły marszałka wiel. kor., wydane na gonitwę do pierścienia 1578 r. przy przenosinach podkanclerzego Zamoyskiego i Radziwiłłówny w Jazdowie wobec Batorego i licznych gości (gdzie i *Odprawę* Kochanowskiego odegrano, a Zbygniew Ossoliński zapisał, jak Zamoyskiemu maszkar i *Odprawy* dopomagał): ozdobnie ubrani rycerze mieli po kolei w całym pędzie konia trafić kopją w zawieszony pierścień (innym razem «ścinali Turkom głowy»); była cała skala zręczności, od 1—6; powtarzali to kilkakrotnie, ale szranki winien opuścić, kto kopję złamał albo nią ziemi dotknął i t. d.

Bardzo poucza, co wszystko Górnicki, kreśląc *Dworzanina polskiego,* z oryginału włoskiego jako niepotrzebne odrzucił: dyskurs o malarstwie i rzeźbiarstwie, którego u nas nie znają; «aby malować umiał, bo mi się to widzi rzecz mało potrzebna a też naszym Polakom, którzy delikatne podniebienie niedawno mieć poczęli, nie szłoby to w smak... u nas z okna nie miłują (jako na wsi żyjący!); u nas komedyj takich, jakie mają być, ani tragedyj niemasz (więc Polacy, którzy *litteras* nie mają, nie wiedzą co to komedjant); u nas tego sposobu około maszkar, jaki jest we Włoszech, nie używają. U nas szlachta na skrzypicach, na piszczałkach nie grawa, a jeśli kto gra, tedy bardzo

rzadko». Był więc nasz repertuar sportów i zabaw męskich dosyć ograniczony, zastępowały go łowy i pijatyka.

Posiadamy opisy nadzwyczajnych obchodów, koronacyjnych, pogrzebowych, weselnych,[1] z całym ich kosztownym aparatem, z tradycyjnemi (przy pogrzebach szczególniej) obrzędami, jeszcze średniowiecznemi. Noszono liczne mary, do 30 i 40, obok trumny samej, pokryte suknami, które duchowieństwo rozbierało, nawet przybory wszelkie (lichtarze i t. d.) i konie od wozów pogrzebowych; jeździec w kościele kopję kruszył i z konia spadał; z misy pieniądze między lud rzucano i t. d., ale byli i magnaci (np. Sierotka), co tego wszystkiego zabraniali i tylko o ubogich myśleć kazali; od sutej *stypy* jednak nie łatwo się było wymówić; nazwa nieznanego początku zjawiła się już w XV w. i zastąpiła dawną *strawę*.

[1] Typowe to pochody renesansowe, z mnóstwem postaci mitologicznych i symbolicznych, z nadmiarem wszelkiej muzyki, z kosztownemi ubiorami. Wjazd np. i śluby krakowskie Anny Austrjaczki, pierwszej żony Zygmunta III, opisały spółczesne broszury niemieckie (polskich brak): brało udział 4900 jezdnych, 5700 pieszych, 262 w karetach; stoły zastawiono na zamku dwa, męski na 152 osoby, a dla pań na 120; między daniami mięsnemi były i niedźwiedzie i lwie; w sali balowej odprawiano szermierki i turnieje; był na sali i wielki lew; wieczorem puszczano ognie sztuczne przy świetnej muzyce. *Kronika* Bielskiego opisała również ów ślub i oba przedstawienia na Wawelu: w jednem przewodziła kapela szwajcarska z śpiewem następnie nimf; w drugiem wjeżdżały figury mitologiczne i symboliczne (np. Wisła) na złocistych rydwanach; dalej śpiewał Orfeusz, schodzący po żonę do otchłani; oba przedstawienia przetykali włoscy *zanni* (komicy) improwizowanemi scenami-farsami. Nie pierwsze to «maszkary», lecz najgłówniejsze; wyprzedzały je dawno inne, np. za Zygmunta Augusta przy weselu Kieżgajły, gdzie rachunki dworskie zachowały nawet ceny kostjumowe murzynów, dzikich mężów i t. p., a wyliczyły wszelkie drobiazgi, rękawice, czapki i t. d.; konia przysłał książę pruski. Słynny był fest na rynku krakowskim w śluby Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną, synowicą królewską: Mikołaj Wolski rozpoczął pochód z znakami herbownemi, otoczonemi «murzynami» z słoniem i wielbłądami; a za nim wóz Mikołaja Zebrzydowskiego czas przedstawiał z 24 godzinami

STOSUNKI HYGJENICZNE

Rodziny bywały bardzo liczne, prawda że śmierć wiele dziatwy sprzątała — tem więcej dziwi, ile to rodów starożytnych w ciągu wieku albo zaraz u początku XVII wieku powymierało. Możnowładztwo szesnastowieczne zupełnie odmienne od siedmnastowiecznego, tylko Radziwiłłowie w obu wiekach górowali, ale gdzież podzieli się Szydłowieccy, Kościeleccy, Buczaccy, Bonarowie, Górki, Kmity, Ostrorogowie, Krotoscy, Łascy, Zborowscy, Szafrańce, Spytki (Melsztyńscy)? Ich miejsce zajęli Lubomirscy, Pacowie, Sapiehowie, Potoccy, Wiszniowieccy, Sobiescy, którzy się świeżo wybili nad poziom szlachecki; majątki wielkie dawnych rodów przesunęły się do tych nowych.

Jakiś niby zanik rasy objawiał się i w małym wzroście; od hetmana Tarnowskiego do Tęczyńskich oni wszyscy raczej «mali derdołkowie« i pociesza się Rej tem, że «lichy bywa koń wsrokoczywy» (rosły); jeżeli Polkom odmawiano piękności, cóż dopiero mężczyznom; w albumie Rejowym rzadka wzmianka o przystojnych, częstsze może o brzydszych («żadnych»), a o «czarnych» liczne żarty, gdy rudzi do wyjątków należą.

i Saturnem; dalej wóz Stan. Mińskiego z Jowiszem i Minerwą i orłami; potem wóz Żółkiewskiego-Diany z orszakiem myśliwskim i nimfami; książęta Słuccy przedstawiali zwycięstwa trzechletniej kampanji Batorowej z bramą tryumfalną i wozami a przez bramę kroczyły świetne hufy żołnierskie, dalej wozy ze zdobyczami i jeńcami; za tem właściwy wóz tryumfalny, w cztery białe konie, znowu z jeńcami, między nimi kobiety z lampami, po każdym wozie liczni muzykanci, strojni w wieńce. Orszak kończył wóz sześciokonny z nieodzownym Kupidem, przy jego wozie szli chłopcy-śpiewacy. Szczególnie okazałe były gonitwy do ręki żelaznej u słupa na rynku krakowskim z czerwca 1592 r. z wozami mitologicznemi, których woźnice podawali kartelusze z oznajmieniem, kto mianowicie przybywał: Herkules i Atlas; Glaukus i Cyrce; Stadnickiego wóz przedstawiał ziemiaństwo, Opaleńskiego hydrę, Myszkowskiego Minosa i t. d.

Ślady degeneracji śród magnaterji dosyć wyraźne; żenią się po trzy i cztery razy, a potomstwo — jedynak (np. Zamoyski); stary Tarnowski miał pięciu synów, wszystkich Janów, z tych Jan hetman tylko jednego, suchotnika, z którym linja hetmańska wygasła. Konstanty Ostrogski miał trzech synów, ale na najstarszym, Januszu, już cały ród wygasł, co liczył wybitnych psychopatów i psychopatki; Halżka od ciężkiej melancholji do wybuchów namiętności przechodziła (już matka jej, Kościelecka z domu, była furjatką); dwaj młodsi synowie cierpieli «omamienia». Taki Olbrycht Łaski, babożeń i bigamista, co żonę latami srogo więził; taki Djabeł Stadnicki, to psychopata raczej niż człowiek normalny; gwałtowności niepohamowanej ich obu i Zborowskich nie wytłumaczyć kresami, gdzie istotnie od dzikich wybryków i ludzi się roiło, np. w takiej Bracławszczyźnie, na Pobereżu i Podolu, gdzie panów, Kozaków i Tatarów moralnie nie odróżnisz. Dla «kroniki skandalicznej» pole tu niewyczerpane; świadkiem akta sądowe. Wojna domowa wisiała też nieraz na włosku, np. między Konstantym Ostrogskim a Tarnowskimi i ich poplecznikami (Łaskim i in.) o Tarnów; wojna między Djabłem a Opaleńskim rozegrała się dopiero na początku XVII wieku; oblężenie Lanckorony przez Łaskiego wiele narobiło hałasu i t. d.

Wszystkie możliwe niedobory pokrywała przysłowiowa gościnność narodowa, zadziwiająca obcych, ułatwiająca najbardziej spółżycie. Już jej i nadużywano nieraz; wedle Reja:

Jadą, chociaż ich nie proszą
I pan ich czasem nie czeka,
Co najdalej precz ucieka;
Nie dba, by mu odeczcili,[1]
By go jedno w las puścili,

a Górnicki opowiada o Sobieskim: «gdy u niego kilka dni nadzwyczaj z wielą szkap i z wielą pachołków mieszkali, on przed

[1] rewanżowali się.

nimi począł się ubierać w buty, a gdy go pytali, czemuby to czynił? Gdyż wy, prawi, ode mnie nie chcecie, muszę ja od was jechać». W *Fraszkach* (I) czytamy:

W Polszcze szlachcic jakoby też na karczmie siedział,
Bo kto jedno przyjedzie, to z każdym pić musi,
A żona, pościel zwłócząc, nieboga się krztusi;

wedle innej (II):

Ja sobie brząkam w stronę,
Pieśń przyśpiewając onę,
«A dla twojej ochoty
Jeszczem tu od soboty».
«Panie, nie życz mi szkody;
Jeszcześ tu ode środy» —

poprawił go niefortunny gospodarz.

Nieszczególne były warunki hygjeniczne; najważniejszym środkiem była łaźnia, publiczna w mieście, na wsi przy każdym dworze w osobnym budynku; urządzenie wcale prymitywne; piec kamienny, *kamionka,* na który, gdy rozpalony, wodę lano, ławy jedna nad drugą; na *wierzchnicy* było najgoręcej. W łaźniach miejskich był już ścisły rozdział między płciami, czego w średniowieczu (np. na Zachodzie) nie zawsze przestrzegano; łaziebnik bił w miednicę, gdy łaźnia była gotowa; o wywieszanie miednic, o golenie były kłótnie między łaziebnikami a balwierzami-cyrulikami, którzy swych praw cechowych strzegli. Chodzono do łaźni raz na tydzień, szczególniej w soboty; inni częściej jej używali, Jagiełło co trzeci dzień, Witold jeszcze częściej; Świdrygiełło miał zezwolenie papieskie, aby mu i w niedzielę łaźnię urządzano; Ruś hołdowała łaźni jeszcze więcej, niż Polska (co o Jagielle opowiadano!). W drugiej połowie XVI wieku zaczęły kąpiele w wannie zastępować łaźnię (i u Jana Zamoyskiego np.). Górnicki w *Dworzaninie* opowiada o niewczasie w łaźni pospolitej, bo «jeden się maże gorzałką z mydłem, drugi maścią od urazu; więc ten puszcza bańki (dla krwi), a ów za-

się siecze się winnikiem; zasię jeden woła: zalej! a drugiby rad, żeby drzwi uchylono».

Klęsk morowych i głodowych nie brakło; poświadcza np. ks. opat Białobrzeski w *Postyli* z r. 1581, że po dwu głodnych latach rok 1572 był gorszy i głodniejszy:

«Aza do takowego głodu nie przyszło, że matki dziatki zabijały i jadły, które za to gardłem karane. W Sieradzkiej ziemi we dwu wsiach jedna swoje dzieci zabiła i zjadła już jedno i drugiego połowicę a połowicę znaleziono u niej w komorze, a druga jedno mając zabiła je i zjadła, po głowie tylko dziecięcej okrucieństwa doszto;[1] półtory mili od Krakowa zgłodzona niewiasta z dwojgiem dzieci wziąwszy one dziatki swe wrzuciła je w Wisłę i sama potym skoczyła».

Wiadomości o takich klęskach rozprószone wszędzie, np. w *Bellum theologicum... adversum Turcas instructum* (r. 1597 przedrukował St. Grochowski to dzieło Adama Lubelczyka z Bochni, kaznodziei tumu lwowskiego z r. 1544, który nie Osmana, lecz turków wewnętrznych jak zbytek[2] i t. p. wyzywał), czytamy, o posusze i morze krakowskim z r. 1543; o szarańczy na Rusi, co na skrzydłach *Ira dei* miała wypisane; o powodziach, ucierpiał nawet Lwów *perexilibus torrentulis Politui* (Pełtwy) *ac Capreolo*.

[1] doznano.

[2] Już ów Adam sarkał r. 1544 na nasz strój turecki; niedawno powiedział Turek we Lwowie, że widzi tu samych Turków, te napół ogolone głowy, gołe pod samo ciemię; opowiadał, że dawno przedtem narysowano na śmiech nagiego Polaka z postawem sukna i nożycami: kraj jak chcesz; wspominał obszernie o *Merkatorze* Naogerga, chwaląc go jako *homo mirae inventionis non christianae autem sed paganicae dispositionis* (jest to *Kupiec* Rejowy) i przytaczał wiersz Janicjusza; sarkał na chciwość i pieniactwo; na zaniedbanie szkoły przez (kanonika) scholastyka a śpiewu przez kantora; na luteran i t. d.; poświęcił Adam Janowi Tarnowskiemu. On pierwszy Polak, co się z Ormianami (o co we Lwowie nie było trudno) znosił, wydał tłumaczenie kilku rytuałów ormiańskich;' walczył i z Melanchtonem w osobnem pisemku. Wobec ubóstwa literatury teologicznej w pierwszej połowie wieku on niemal jedyny nieco ruchliwszy.

W literaturze częste o podobnych klęskach wzmianki, pominąwszy kronikę J. Bielskiego, ale nie należy ich nadużywać. Np. pieśń o zimie r. 1557, nowo uczyniona r. 1561, odnosiła się istotnie do mrozów 1557 r., które trwały 24 tygodnie («człowiek płakał, gdy na bydło odeszłe patrzał, drudzy z poszycia z domów dawali»), ale pieśń Kochanowskiego o Potopie nie odnosiła się bynajmniej do wylewu Wisły z r. 1551 i nie wtedy zaczął Kochanowski pieśń polską; mowa to o byle jakiem wylewie (Wisłę odmieniono później na Wilję wileńską!), a Pieśń o zburzeniu Sodomy (której w starszych śpiewnikach wcale niema) ani pióra Kochanowskiego (zob. niżej), ani do napadu Tatarów z r. 1551 należy.

BIBLJOGRAFJA.

Por. rozdział poprzedni; dodać należy jako prozaiczne źródło spółczesne, cytowane nieraz samym rokiem 1566, *Dworzanina* Ł. Górnickiego z r. 1566, którego znakomity przedruk zawdzięczamy R. Pollakowi w krakowskiej *Bibljotece Narodowej* r. 1925. Dodaj piękne szkice Kaz. Morawskiego, zebrane p. t. *Z czasów Zygmuntowskich*. Dzieła podstawowe Wł. Łozińskiego wymieniono przy wieku XVII-ym. Z. Glogera *Encyklopedji Staropolskiej* coraz częściej, acz bez osobliwszej wzmianki używano.

ROZDZIAŁ TRZECI

ŻYCIE RELIGIJNE

Spory z duchowieństwem. — Przesądy i zabobony. — Życie duchowieństwa. — Reformacja. Jej początki. — Wzrost reformacji. — Zbory ewangelickie. — Spory wewnętrzne. — Zdobycze różnowiercze. — Arjanie. — Reformacja doznaje zawodu. — Pierwsze rozruchy. — Kontrreformacja. Jezuici.

SPORY Z DUCHOWIEŃSTWEM

Około r. 1500 mogło się zdawać, że jeśli życie religijne będzie się rozwijało w tym samym kierunku, to przyjdzie chyba do zaśpiewania *De profundis* nad katolicyzmem, którego pustych, dawnych form żywa treść już nie wypełniała. Napozór stał on niewzruszony, nienagabywany przez nikogo; ale niższe warstwy nie miały religji, wegietowały w odwiecznych przesądach i praktykach, a w górnych nie było wiele lepiej. Potworne zeświecczenie duchowieństwa, mianowicie wyższego, goniącego wyłącznie za dostatkami, zatłumiało religję; kanonik starał się tylko o pomnożenie prebend — złośliwe języki prawiły, że np. M. Czepiel (zob. niżej) miał tyle prebend ile dni w roku! a o żadną w istocie nie dbał i była mu obojętna reguła jeszcze średniowieczna, że *clericus pluralis* (t. j. mający kilka prebend) *est haeres infernalis;* wtedy to powstała druga reguła: *omnis ksiądz avaritia.* Dyscyplina upadła; franciszkanie krakowscy zabili Włocha, przysłanego aby ich reformował; klasztory żeńskie stawały się miejscem rozpusty: arcybiskup Łaski oskarżał na synodzie gnieźnieńskim r. 1519 cysterki z Ołoboku o życie niemoralne; utrzymywała w klasztorze zakonnice tylko wygoda próżniacza, ale nie rzadko porzucały swe cele; męskie klasztory świeciły nieraz pustkami albo gorszyły zbytkami. Wyższe duchowieństwo opływające w dostatki «martwej ręki», politykowało i mecenasowało; niższe sarkało i zazdrościło; świeccy wiedli wojnę z duchownymi, tylko nie o wiarę, mianowicie w Wielkiej Polsce; w Małej było poniekąd lepiej, bo spory dziesięcinne tu mniej bróździły. Ta walka wzbierała z każdym dziesiątkiem lat; odzywały się głosy, że się dziesięcin płacić nie będzie; odgrażano się sekula-

ryzacją dóbr kościelnych, zniesieniem klasztornych; protestowano przeciw opłatom rzymskim. Znienawidziła szlachta duchowieństwo a to odpłacało pogardą; niższe duchowieństwo odrzucało nawet te ustępstwa, jakie biskupi dla ocalenia interesów duchownych szlachcie czynili. Z jakim rygorem duchowni szlachtę uciskali, dowodzą jej skargi na sejmie r. 1558; coraz rozszerzali kompetencje prawa kanonicznego, żądali np., żeby szlachcic zostający pod interdyktem, całkiem kanonom podlegał. Znęcali się szczególnie nad ubogą i ciemną szlachtą mazowiecką; doszło do tego, że proboszcz kapituły płockiej kilkaset rodzin szlacheckich w sieluńskiem obrócił w swoich wasalów: nieopatrzna szlachta sieluńska udawała się bowiem w ciągu wieku XV nieraz dla wygody i lepszych warunków do «grodu» proboszczowego w Sieluniu w sprawach swoich majątkowych i in., uchodząc przed uciskiem prawa książęcego; gdy po przyłączeniu Mazowsza do Korony chciała się z tej zależności wycofać, już tego nie przewiodła, a proboszcz Wolski odebrał gwałtem wszelkie jej papiery rodowe i nie mogła się odwieczna szlachta wylegitymować; proboszcz przybrał nawet wilczem prawem tytuł księcia *(princeps)* sieluńskiego i uważał tę szlachtę za swoich wasalów (podobnie zwał się biskup płocki księciem pułtuskim!), a sejmik szlachty różańskiej przyznał roszczenia proboszczowe przeciw szlachcie, co i w pospolitem ruszeniu i pod Wolą się okazywała; z tej niewoli wydobyto szlachtę sieluńską dopiero w r. 1790!

W istocie cała ta walka jałowa polegała na nieporozumieniu i skończyła się na niczem, bo «swoi swoich nie poznali». Gdy w latach 1520—1540 oba stany niby do walki na noże stawały, to przy końcu wieku wracały do niezamąconej harmonji, skoro tworzyły stan jeden; skoro całe wyższe duchowieństwo z szlachty się rekrutowało; skoro dostatki kościelne były jej przywilejem, a Kościół był «szpitalem» szlacheckim. Upadek katolicyzmu był niby niepowstrzymany; spory o lube grosiwo były zewnętrznym tegoż upadku objawem, ale utorowały drogę no-

wemu prądowi, który Europę z niechybnej moralnej zatraty wybawił; Luter, Zwingli i Kalwin ocalili katolicyzm i kulturę, bo o kulturze bezwyznaniowej nie mogło jeszcze być mowy.

Z reformacją znikła obojętność religijna i uśpienie moralności; powtórzyło się, nierównie szerzej, zjawisko czeskie; w wieku piętnastym bowiem jedyne Czechy były, z powodu husytyzmu, krajem o wyższem religijnem napięciu. Reformacja rozruszała sumienia, odwróciła oczy od kultu piękna, ciała, antyku i jego ideałów, zdjęła bielmo przesądów z oczu ludu, natchnęła nowemi myślami całe społeczeństwo i wyszlachetniła ludzkość, tonącą w najgrubszym materjaliźmie, w renesansowem używaniu świata. Gdyby nie reformacja, byłby Rej albo pióro rzucił, albo zabawiał się napisami na łyżki, herby i groby, narzekaniami na nierząd polski i facecjami trefnemi, a Kochanowski po rzymsku i grecku miłował i filozofował. Zamierające uczucia religijne ocuciła i oczyściła reformacja; wystarczy porównać episkopat polski pierwszej a drugiej połowy wieku, Krzyckich i Gamratów, a Hozjusza i Karnkowskiego. Reformacja wywołała Trydent, t. j. odnowę katolicyzmu, jezuitów. Reakcja katolicka napełniła nową treścią zużyte formy, a wydała w pierwszych jezuitach wyznawców-entuzjastów, którzy dla wiary-ideału poświęcali zdolności, pracę, życie.

Nabawiła się wprawdzie ludzkość w walkach wyznaniowych nowej ciężkiej choroby, nietolerancji i nienawiści dla wiary. W Hiszpanji palono marranów; z Włoch uciekało przed inkwizycją co żywo; w Polsce domagałby się synod sądu doraźnego i ścięcia (aby ich nie odproszono) wodzów szlachty protestanckich; w imię wiary zrywano stosunki poufałości, rąk nie podawano i nie siadano do spólnego stołu. Zato wiara się pogłębiła i ludzie urośli; taki Rej np. z płytkiego, jowialnego bajarza-wierszokletу na autora *Postyli* i *Żywota poczciwego człowieka;* taki Krowicki z przed r. 1550 i po 1550 r. — co za różnica między sługą Antychrysta a wyznawcą Pana!

Powoli zcichały burze wyznaniowe; dochodzono do jakiegoś *modus vivendi,* najpełniej w Polsce; egzaltacja religijna nie opuszczała jednostek, dawne przesądy i zabobony wracały u katolików do życia i już wiek XVI przygotowywał powrót reakcji na każdem polu. Oto po jakimś nienazwanym szlachcicu zamożniejszym ocalał diarjusz jego pielgrzymki do św. Jakóba w Compostelli z r. 1595, bez początku i końca, w późnym odpisie. Człowiek to wykształcony, bywalec, oczytany w literaturze starożytnej, ciekawy wszystkiego, sypiący cytacjami z antyku i nowej literatury, badający w podróży śródziemnomorskiej wszelkie wspomnienia starożytności, ale jakże przesądny, łatwowierny; 25 marca ogląda w Malcie relikwje: rękę św. Jana Chrzciciela,

«świeżuchną, jakoby ją dopiero od ciała odciął, dał mi ją (zakrystjan) ucałować, co i ja sobie grzeszny za największe którychemkolwiek przez wszytek żywot swój doznał błogosławieństwo Boże poczytam; także też dał mi całować sztuczkę nosa tegoż świętego, nogę całą św. Łazarza, palec św. Magdaleny, część głowy św. Urszuli — temu mi dziwno, bom i w Kolonji też zupełną widział i dotykał się niegodnemi usty swemi... może być część jakąś głowy, którejm ja nie dojrzał, bo mi nie ukazywano w Kolonji, tylko wierzch z skórą i z włosami, tam dalej nie wiem co było w śrebrze» i t. d.

A pozatem liczne odsyłacze na «psie zdrady heretyckie» i pewne potępienie ich i ich ojca, szatana. Jesteśmy na początku drogi, która do ogłupienia saskiego dowiedzie.

Tak się kończył przewrót religijny, najznamienitsza cecha duchowa wieku. Jeszcze w połowie wieku taki biskup Zebrzydowski, wychwalając królewieckiego rektora-poetę Sabina dodawał: ten list nie podobałby się niejednemu z naszych, którym wasza nauka podejrzana *ob hanc religionis quandam differentiam* (dla jakiejś tam różnicy w wierze!). *Erasmi discipulus et auditor,* jak wiatr zawiał, raz ostro różnowierców zwalczał, raz samym duchem łagodności się rządził. Należało to rychło do bezpowrotnej przeszłości.

PRZESĄDY I ZABOBONY

W wieku XV rządził Kościół duchem i sumieniem. Pisarzami-autorami byli wyłącznie duchowni; duchowni mistrzami w *studium generale;* nawet bakałarze się do tego stanu liczyli; pisma polskiego wyłącznie do ascezy używano; łacińskie, jak kronikę Długoszową, *ad maiorem Dei gloriam* tworzono; teologja i jej służebnica, filozofja, zatłaczały inne nauki. Praktyk religijnych przestrzegano pilnie; o nowinkach czeskich pozapomինano; autorytet duchowieństwa zdawał się niezachwianym. Od tej jasnej strony przewagi kościelnej odbijały rażąco jej ciemne. Najpierw co do wiary samej, którą przesądy i zabobony przesłaniały. Świętych np. wzywano, każdemu osobliwsze przysądzając zawiadywanie,

«poczyniwszy ich tem — szydził protestant — czem przedtem nie byli, jako konowałem Szczepana, owczarzem Wendelina, wołowcem Pelagjusza, końskim pastuchą Lenarta, Marka świnim, kokoszym Gawła, Bartłomieja bartnikiem, flisami Mikołaja i Barbarkę, szewcem Kryspina, krawcem Gudmana, tkaczem Seweryna, młynarzem Marcina,[1] myśliwcem Ostafieja, Jerzego żołnierzem, Andrzeja dziewosłębem; drugich cyrulikami, jako Otylją lekarką zębów, Apolonją oczu, Petronelę gorączki, moru Rocha i Sebastjana, kaduka Walentego, *morbi gallici* Joba i Jacka — nie lada cześć».

Przed Kraińskim (r. 1615) tak samo szydził Grzegorz z Żarnowca w postyli z r. 1582: katolicy

«tak żywioły jako i urodzaje i choroby, nauki a nakoniec wszystkie członki w człowieku między ludzie święte podzielil: Teodolusa jakiegoś

[1] «Nietylko Marcina tkają do młyna, aby w dzień św. młynarzom robić nie dał, ale im palce i cewy łamał, jeśliby się robić od godziny do godziny ważyli (młynarz zeznał, iż się im koła łamały, kiedy się dnia tego robić ważyli); ale też i o oczy do Otylji, o ogień do Wawrzyńca, o zęby do Apolonji, o naukę do Katarzyny, o kaduk do Walentego». Szczegóły z Legendy (np. o św. Katarzynie, która mistrzów pogańskich przedysputowała), albo od imienia (np. u św. Cecylji) rozstrzygały o takiem przydzielaniu.

mają od powietrza, gromu i łyskawic; Wawrzyńcowi z Agatą poruczyli ogień, przydawszy do nich Florjana z wiadrem; Mikołajowi morze z Krzysztoforem;[1] Urbanowi z Janem urodzaj wina; Gawłowi owce; Antoniemu świnie; Lenartowi konie; Gertrudzie myszy; Eustachiemu myśliwce; Katarzynie nauki wyzwolone; Petroneli gorączkę; Walentemu kaduk; Otylji oczy; Apolonji zęby; Błażejowi szyję; Rochowi brzuch».

Protestanci bili zawsze na to «bałwochwalstwo», wydali nawet około r. 1580 w Wilnie *Panteon* (nie zachował się jego egzemplarz żaden), a Łasicki korzystał z mitologji żmudzkiej, aby ją jako przykład dla «rzymskiej» wystawić.

Nie lepiej było z kultem rzeczy święconych:

«Prości ludkowie ognie[2] jedni za strzechę dla gromu układają, drudzy dla gradu między zboże głównie zanoszą, drudzy sobie dla bolenia głowy ożegają... jakie tam bywa ciśnienie do tej wody,[3] aby każdy co naprzód uchwycił i w domu w kącie postawił.. Jako pątniki i ich kije i mantyki[4] czarujecie,[5] jako owce żegnacie, kiedy zdychają, i oną sól, którą im podawacie; także nowe zboża i siemiona, chleby, domy, studnie, łaźnie, role, miecze, pierścienie, wieńce, suknie, stadło, sześciniedziałki, wdowy i ich rąbki,[6] ciasnochy[7] i koszulki... byście byli mogli i wiater ugonić, i o ten byście się byli pokusili...»

«Przy wyrzucaniu djabłów w Częstochowie, w Jarosławiu, na Skałce i na Zamku w Krakowie, w Sierpcu, w Prostyni i na inszych miejscach waszy zaklinacze mówią: wynijdź djable, Bożą mocą, Panny Marjej mocą i wszystkich świętych mocą. A djabeł zasię mówi, naśmiewając się, toć mię *Szeroka* piecze, i zasię kiedy kropicie, djabeł co najwięcej woła: o biadaż mnie, to mię parzysz, pleszowaczu (od pleszu, tonzury); jużci wynijdę, bo się boję *Szerokiej*.[1] A Boże uchowaj, włożyć na opętanego jaki płatek łaziebny miasto świętości; to dopiero krzyk będzie wielki. Wiele bywa takich, zwłaszcza między kmiecym narodem, którzy odstępują od pamięci; z takim każdym oni mkną do Częstochowy; mniszy tego przyglądają dla swego pożytku; dosyć też tego najdzie między babami, co się czynią takiemi, aby im dawano; niektóre z księdzem miały porozumienie, aby ludźmi szaliły. Świadczy też to obraz częstochowski, do którego się obiecujecie i z kilkadziesiąt mil każdego roku biegacie, głowy, ręce, nogi, dzieci srebrne i woskowe przed nim stawiacie, paciorki i facelety[2] oń wiążecie».

[1] Krzysztofor («Chrystusa nosiciel»), skrócony w Krzysztofa, uchodził za patrona podróżników i malowano go w postaci olbrzymiej (wedle legendy) na ścianach kościelnych czy gmachów (kamienica krakowska *pod Cristophorem,* dziś Krzysztofory); później chronił od nagłej śmierci. Św. Antoni u Łotwy dziś jeszcze opiekun prosiąt, *Tenis;* w piosnce ludowej pyta go *Usiń* (patron koni): gdzież idziesz ty w czarnej świcie z złotemi pierścieniami? «Przyszedłem prawować się z tobą, ubił mi koń prosiaka».

[2] święcone w wielkanocną sobotę. [3] święconej. [4] torby. [5] święcicie; o księżach mowa. [6] zasłony. [7] spodnice.

To znowu czyściec znaczną odgrywał rolę, ale widzenie «nowej prorokini Anny z Krakowa» i zeznania jej przed księżmi krakowskimi (jaka tam woda smrodliwa i t. p.), polegały i na zmyśleniu; toczyła się o to polemika z różnowiercami w r. 1577, brał w niej udział i biskup Białobrzeski.

Uskarżali się różnowiercy, że wiary nie uczono; istotnie, katechizmu nie znały średnie wieki; pierwsi bracia czescy u siebie go zaprowadzili, a Luter to naśladował z olbrzymiem powodzeniem; za nim dopiero katolicy, którzy się przedtem trzema głównemi modlitwami zadowalali. Więc sarkał Rej na duchownych:

[1] Ta nazwa Matki Boskiej w ustach opętanych przetrwała wieki. Jeszcze w ks. Benedykta Chmielowskiego *Nowych Atenach albo Akademji wszelkiej scienciej pełnej* z r. 1745 czytamy (w rozdziale o czartach i opętanych): «Na wspomnienie rzeczy świętych, na obecność relikwij i t. d. (opętany) wszystek trzęsie się, wrzeszczy; Matkę Boską zowie *Szeroką* od władzy po całym świecie». Tenże opowiada: «Za mojej pamięci jeden JO. prałat dewotce zmyślającej opętanie miasto relikwjarza pokazał tabakierkę, a ona się zaczęła wszystka trząść, wykrzywiać; poznał figle pijaczki; rózgami dobrze kazał odstraszyć czarta». «Na każdym odpuście w kościele można było widzieć opętanych, krzyczących głosem przeraźliwym po kilka słów, mówiących różnemi językami, napastujących kobiety, które przestraszone mdlały lub dostawały słabości; to znowu księży egzorcystów, zaklinających czartów opętanych do milczenia, a kiedy na nich kładli relikwje lub wodą święconą kropili, niesłychany krzyk i jęk i ryk wydawali i w ciele kontorsje i łamaniny robili».

[2] chusteczki.

Nic tam (u nich) nie było o wierze,
Jedno koronki, pacierze;
Nigdy sercem, jeno usty;
Więc suchoty,[1] więc odpusty,
Więc po kościele biegania,
Mniemał, by duszę wybawił,
Iż szedszy świeczkę postawił;
Skrzywiwszy czapkę na ucho,
Wrzucił też szeląg w tablicę
I naglądnął w kropilnicę.
Stąpa z góry, wargi kąsa,
A co krok to kołnierz strząsa;
W formie[2] co najwyższej stanie —
Więc sobie pośle po mnicha,
By potrząsł przed nim kielicha,
Bo lepiej za ten grosz kupić
Niebo sobie, niźli przepić.
Więc mnich dudkuje a pyta
A za grosz co rychlej chwyta;
A o czemże każesz, panie?
O Szymku, księże Urbanie!
Dobrze mu dla grochu służyć
I w inych go rzeczach użyć...
Więc tu lata miłościwe,
Listy, bractwa, plotki łżywe...
A cożkolwiek wymyślają,
To wszystko świętym oddają;
Temu owemu paciorek,
Pawłowi suszyć we wtorek,
We środę Mikołajowi:
Wilk barana nie ułowi;
W poniedziałek zwolennikom,
A we czwartek pomocnikom...

Toczyło katolicyzm zupełne zeświecczenie duchowieństwa, jego gruby materjalizm, nadużywanie przywilejów stanowych. Więc uskarżał się wójt Rejowy, że pleban w kazaniu powie tylko:

[1] posty. [2] w stalli.

Iż gdy wydam dziesięcinę,
Bych był najgorszy, nie zginę,
A damli dobrą kolędę,
Że z nogami w niebie będę...
Bo jestli mu[1] barana dasz,
Pewny pokój od wilka masz.
Dobry też Lenart dla koni;
Dla wieprzów święty Antoni;
Więc Michał, co liczy dusze,
Alić Masia z gęsią kłusze,
Mniema, że wszystko sprawiła,
Że już siedm dusz wybawiła,
Sama się ósma upiła...
Weroniki potrzesz chustą,
Kto ją rok uciera usta,
Nigdy mu nie śmierdzi z gęby,
A gdy ją w wodzie opłócze,
Chocia ślep, nią będzie widział...
Jeno kiedy przyjdzie święto
Usłyszysz, iżci zaklęto:
Świętopietrze u jednego,
A kolęda u drugiego;
Trzeci też pokupił winę:
Nie rychło zwiózł dziesięcinę.
Tak więc będzie fukał[2] srodze,
A tem zamknie wszystką wiarę:
Idźcież dziatki na ofiarę!
Acz nie trzeba, też kęs dajcie
A o Bogu nic nie słychać...
Podawce[3] więc rozkosz mają:
Gdy się do nich[4] ubiegają,
Tu się obiecują służyć,
Dom ten i potomki mnożyć.
Więc prawie mnożą potomki,
Obiegając cudze domki;
Urzędów swych używają,
Bo je 'ojcy' nazywają.

[1] św. Mikołajowi. [2] pleban. [3] kolatorowie. [4] księża.

Pewny kłopot w zysku będzie,
Gdy już z tobą we wsi siędzie...
Ma dwoje prawo za sobą...
To cię będzie przez rok straszył,
Dzwonek tłukł a świeczki gasił...[1]

ŻYCIE DUCHOWIEŃSTWA

Lecz wymowniejsze jeszcze świadectwo poszło z ust katolickich, instrukcja kapituły krakowskiej dla swoich delegatów na synodzie r. 1551, istny akt oskarżenia biskupów, opatów i plebanów; o kanonikach kapituła milczy, ale wiemy, że byli tamtych godni; przysłowiem było: żyje jak kanonik, t. j. rozpustnie. Po ogólnikowych uwagach, jakimi to bezecnikami biskupi dwory swoje obsadzają, jak udzielają krewnym nicponiom prebendy, jak dobra kościelne marnują, bogacąc krewnych, co potem wrogami Kościoła się stają i sami marnie giną, jak bratankowie Łaskiego, Lubrańskiego, Konarskiego, Oleśnickiego, Krzyckiego, Rzeszowskiego i Górki, co wszystkim wiadomo, obwinia się szczegółowo: Arcybiskup Dzierzgowski je i śpi, pije i miłuje, błaznów i komedji słucha, o wiarę nie dba, prowincji nie wizytuje, księża-heretycy żenią się, hostje depcą, krzyże wywracają; on całkiem nieczynny zamiast bronić zagrożonego Kościoła uchodzi od wszystkiego. Biskup krakowski (Zebrzydowski) komunję podoboją chwali, miał publicznie Mojżesza, Mahometa i Chrystusa trzema znakomitymi szarlatanami nazwać (ale to nie jego głowy wymysł), i o boskości Chrystusa wątpić, zowiąc go wedle «Maćka» (św. Mateusza) synem cieśli; żyje nieczysto (wymieniają panienki i zakonnice); zdziera ludzi; kupił biskupstwo, odstępując królowi Wawrzyńczyce (tak samo postępowali Gamrat i Maciejowski, na co kapituła gorzko się skarży). Poznański zdzierca okrutny i kutwa, bierze, nie oddaje, wierzycieli okpiwa. Płocki skandalicznie żyje, pieniądze handlem i flisem zbija, o biskupstwo nie dba, katedrę jak najrzadziej i najkrócej odwiedza; książek prócz rachunkowych nie czyta; o nieprawość księży nie pyta. Kujawski, Drohojowski, dla swej rodziny ruskiej i związku z warjatem Orzechowskim Rzym postponuje, bezbożność luterską z schizmą ruską połączył, w post mięso żre, komunikuje pod oboją, sakramenta trzy tylko uznaje (inne, to wymysły ludzkie i szatańskie), Ducha św. z Grekami od Ojca samego wywodzi, księży wyklętych chowa (protektor to Frycza). Kamieniecki, starając się o intratniejsze biskupstwo luterstwo swoje pokrywa, ale jako kaznodzieja u N. P. M. w Krakowie czyśccowi przeczył a świętych nie czcił. Uchański, administrator chełmski, jawny luteranin, ale że mało po łacinie umie, nie może za kacerstwem gardłować; długów nie płaci jak i inni biskupi, tak że szlachta o nich mówi: kto jeno zostanie biskupem, jakoby wziął żelazny list (o bezkarności); przeciw statutowi, który sam zaprzysiągł, którym przeciw innym gardłował, wieś i dom kapitulny mimo mianowania na biskupa zatrzymał. Jeśli nie nastąpi poprawa, to oskarżą kapituły polskie biskupów w Rzymie.[1] Stare, bogate opactwa znędzniały; mnichów mało,

[1] wyklinając.

[1] Króciej i dobitniej wyraził to samo autor owej instrukcji, Stanisław Górski, w *Żywocie Piotra Kmity;* oskarżał Bonę, że wysadziła na biskupstwa «Latalicium vanum ac temulentum hominem; Gamratum adulterum; Buczacium fornicatorem; Lucam Gorcanum avarissimum foeneratorem; Izbienskium homicidam; Branickium rabulam; Noskovium mercatorem; Dzierzgovium stupidum et telluris inutile pondus; Leonardum cifram (nulę, mowa o biskupie kamienieckim); Drohoievium haereticum; Uchanium fantasticum ardelionem ac hypocritum, pestem perniciemque ecclesiae». Włochów, których Bona obdarzała prebendami (Alphonsus Palamedes, Andreas de Valentinis, Alexander Hannibal citharoedus, Scipio, Carolus Metellus, Vitus, Franciscus) nazywa «fornicatores, sodomitas, cinaedos, atheos, epicuros» i t. d. Ale Noskowski płocki dbał o naukę, dał 10.000 zł. na bursę mazowiecką dla swoich Mazurów przy uniwersytecie,

samych nieuczonych do tego, świeckim na wzgardę i pośmiewisko, którzy też na przeszłym sejmie piotrkowskim domagali się ich zniesienia i oddania laikom, na co już król niemal się zgadzał, a biskupi milczeli, dopiero Przerębski ten cios odwrócił; za to mieli opaci u siebie wychowywać szlachtę i dla niej mistrzów i doktorów opłacać, co wielką szkodą grozi, bo nasza młodzież niesforna a ich rodzice, nawiedzając ich w klasztorze, wyłudzać będą od opatów opiłych lub ugłaskanych przez kobiety dostatki klasztorne; niech raczej opaci stypendja młodzieży dla studjów w Krakowie naznaczają a w klasztorze mnichów dla nauki mistrza krakowskiego opłacają. Opat mogilski dwa opactwa dzierży, wszelkiemi sposobami o biskupstwo zabiega, na to dobra klasztorne rozdaje, mnichów głodem morzy, sam zbytkuje, już szat biskupich i rokiety używa. Opat lądzki, z księży świeckich, reguły zakonnej nie zna; tyniecki znaków religijności żadnych nie okazuje, deboszuje zato. Komisarz franciszkanów krakowski, Lismanin (kreatura Bony, niebawem słynny herezjarcha), łupi klasztory, dom w Wenecji zato buduje, dokąd ożeniwszy się pospie-

a z uniwersytetu sprowadzał nauczycieli do szkoły pułtuskiej. Leonard (Słończewski) z gorliwego predykanta krakowskiego, na poły luterskiego (czego mu Górski przebaczyć nie mógł), odmienił się po r. 1546 (nominacji biskupiej) we wzorowego pasterza dalekiej i ubogiej, bo dającej tylko 150 dukatów rocznie, diecezji. Ten katalog skandaliczny jeszcze nie zupełny. Nepotyzm splamił Maciejowskiego, biskupa krakowskiego; doświadczył go na sobie Frycz Modrzewski, bo gdy miał przez Uchańskiego nadzieję pozyskania kanonji sandomierskiej, musiał zasłużony pisarz i obywatel ustąpić początkującemu chłopcu, którego Maciejowski tym kanonikatem opatrzył. Biskup płocki (jedno z najbogatszych biskupstw, a prepozyt płocki zwał się «wielkim» i nie mieniał się z niejednym biskupem, takie miał dochody — to ów «książę sieluński», zob. wyżej) był zawołanym myśliwym i przepędzał nieraz z tłumem myśliwych popod kościół podczas mszy św. — Że się w kościele katedralnym biskupi rzadko pokazywali i to na krótko tylko, było u nich w zwyczaju. Cóż dopiero taki Gamrat! że o niejedną reformę się starał, to charakteru jego moralnego w niczem nie odmieni.

szy; szczególniej zakonnice u św. Andrzeja prześladuje, bo nie chcą mu swych wsi wydać i nałożnicę jego, którą im powierzył, przedziewczyć dozwoliły; same rodzą i płody duszą. Wymaga dalej kapituła, by biskup na dworze swoim dla młodzieży mistrza lub bakałarza utrzymywał, coby ich obuczał (tak robił Tomicki); zaś przy katedrach kanonicy-doktorowie teologji i prawa kanoników i księży raczejby uczyli, niżby ci czas na pijatykach trawili; niech po ich dworach nie służą im (biskupom) dworzanie w trzy i więcej koni. Po kościołach brak mszałów i agend; księża nie mają postyl i kazań i wyśmiewają ich nieuctwo świeccy a nienawidzą ich dla skąpstwa: gdy w wielki tydzień komunikuje, pyta dopiero ksiądz, czyś oddał kolędę i świętopietrze, bo inaczej umyka mu z pod ust hostję. Sami wychodzą z owej młodzieży, która po szkołach i szkółkach miejskich zamiast nauce pijaństwu hołduje, a tę nawyczkę i do plebanji wnoszą; nasi plebani najwięksi pijacy i zawsze podchmieleni; po odprawieniu mszy i odmruczeniu godzinek przesiadują w karczmie przy kostkach między pijakami i kobietami, piją do północy, a podchmieleni idą na mszę. Krzywoprzysięstw, ran i morderstw w Polsce co niemiara, ale zbrodniarzy-szlachty nie pociągają do pokuty publicznej i zadośćuczynienia Kościołowi i krewnym; jeśli baba dziecko poroni albo chłopi nie z umysłu się pobiją, tych do tej pokuty zmuszają. Niech biskupi swych poddanych nie obciążają nowemi daninami dla byle powodu, ani karzą pieniężnie; niech dbają, by ich ekonomowie nie uciskali ubogich (objeżdżał Tomicki klucze biskupie i skarg ubogich wysłuchiwał). Skarżą się powszechnie, że się wybieranie dziesięcin przewleka; nie dziw, skoro biskup na wiele dziesięcin ma jednego poborcę, tak że wybieranie do św. Michała i dłużej się przeciąga, a zboże na polu gnije i je rozkradają, ale poborcy umyślnie odwlekają i zmuszają chłopów, by odkupywali te dziesięciny, aby tylko swoje zboże zwieźć mogli. Opaci znowu nie mogą się dosyć naskarżyć, że nieustannemi podwodami dręczą ich poddanych, że ci śmierć

nad życie wolą. Wobec takich stosunków nie dziw, że świeccy nas znienawidzili i na Kościół sam napadają i dostatki duchownym odbierać pragną; sami wyznają, że podbudza ich żal i gniew na księży.

To samo powiedział r. 1562 poeta-katolik: świątobliwość żywota zgasła w duchownych, bo się wdać woleli:

W rozkoszy nieprzystojne i próżne biesiady,
A proste ludzi gorszą ich te złe przykłady.
Drudzy do gospodarstwa wszystką myśl skłonili
A w pieniądzach najwyższe dobro położyli,
Więc też tam rychlej najdziesz rejestra na stole,
A spleśniałą biblją strzygą w kącie mole.
A jakoż uczyć mają, nie umiejąc sami?
Muszą pewnie nadłożyć kazania baśniami.

Podobnej cenzury uchodzili tylko dominikanie i bernardyni, przestrzegający dawnego trybu; dominikanie liczyli znakomitych kaznodziei, których Orzechowski i in. nie mogli dosyć wychwalać, takiego np. Łukasza ze Lwowa lub Melchiora z Mościsk. Bernardynom nie zapomniano jednak przykrej acz bez ich winy, sprawy wileńskiej (o mniemane zatajone skarby po wielkiej księżniczce Helenie, o czem Jan z Komorowa w kronice zakonnej obszernie pisze); jeszcze biskup poznański Izdbieński zarzucał r. 1549 swemu sufraganowi Dziaduskiemu, bernardynowi: znać żeś mnichem tego zakonu, co zwykł testamenty niweczyć i złożonych u niego depozytów się zapierać i je ukrywać.

REFORMACJA. JEJ POCZĄTKI

Gdy tak w Polsce symonja w najlepsze kwitła — zakładała się przecież Bona z prałatem o znaczną sumę, że zostanie biskupem — gdy biskupi politykowali i krewnych bogacili,[1] a kler z laikami o dziesięciny się wadził, jubileuszami zaś i innemi wszelkiemi odpustami wedle ścisłej taksy szafował, wybuchł w Niemczech ten ruch religijny, który miał zburzyć jednolitość wyznaniową Europy i życiu i myśli religijnej nowe wytykać tory. Polska nie była na ten ruch przygotowana; oświata ludowa stała tak nisko, że nowe hasła oddźwięku nie znalazły, a wśród oświeceńszych brakło żywego religijnego czucia. Ale cud się objawił: w wieku zapowiadającego się indyferentyzmu religijnego nagle pytania religijne zepchnęły wszystkie inne; wiekową śpiączkę wetowano teraz namiętnemi sporami; zatrwożone sumienia przestały już dowierzać dotychczasowym przewodnikom, poczuwały się do własnej odpowiedzialności; pytania, które dotąd tylko teologów poruszały, stały się najaktualniejszemi, najogólniejszemi. Ruch ten nie mógł ominąć i Polski, graniczącej o ścianę z jego głównem siedliskiem. Objął on i środkową Europę, pochłonął północ; nie Alpy ani Pireneje, lecz najsroższa inkwizycja broniła mu przystępu do Południa; tylko o martwotę szyzmy odbijał się bezsilnie, ale i śród niej nielicznych oszołomił.

I w katolickiej Polsce zdawało się, że ogarnięty wrzeniem religijnem naród szlachecki zerwie z wiarą ojców. Najmniej oddziałał ten ruch na warstwę najpowołańszą, na duchownych. Zeświecczeni, nie wydali z pośród siebie nikogo, coby objął ster ruchu: jedyny Jan Łaski nadawał się na sternika, powołanego życiem i wiedzą, powagą i zasługami, acz w Fryzji i Londynie zdobytemi, ale sterał siły poza Polską, wrócił złamany fizycznie i przedwcześnie umarł, w chwili rozstrzygającej o przyszłem powodzeniu ruchu. Żaden z biskupów, oprócz kijow-

[1] Wedle bardzo złośliwego, ale znakomicie poinformowanego Stanisława Górskiego, miał biskup krakowski Maciejowski tak rozrzutne i chciwe rodzeństwo, że ani ich majątek ani jego dochody biskupie im nie starczyły, więc kupił go Zygmunt August w sprawie Barbary 12 tysiącami zł. z stacji gdańskiej i innemi dochodami, co w żywocie tego biskupa szerzej wypisano (nie posiadamy go).

skiego Paca wątpliwej wartości i podobnego żmudzkiego Pietkiewicza, nie stanął jawnie po stronie nowinkarzy; ani ci, na których protestanci zgóry liczyli: Leonard i Uchański; z kanoników odpadł Lutomirski (obok Łaskiego) jedyny. Zamożniejsze mieszczaństwo miast głównych przylgnęło na długo do wiary «niemieckiej», ale nie ono nadawało ton życiu polskiemu; to było rzeczą szlachty, odbił się też znacząco ruch reformacyjny w jej temperamencie żywiołowym. Na razie, zacofana, nie brała w nim wcale udziału. Z północy, od Prus Albrechtowych, od Gdańska i Torunia szerzyła się zaraza najpierw i trafiała na Litwie na podatne subjekta, które jednak kraj opuszczały i do Królewca się przenosiły wobec barbarzyństwa litewskiego. W tej pierwszej, luterskiej, niemieckiej, mieszczańskiej fazie różnowierstwa zaważyły szczególniej stosunki z Frankfurtem nad Odrą i Wrocławiem, który w r. 1521 wiarę odmieniał gwałtownie; one rzucały nasiona w Poznaniu i Krakowie. Rozstrzygała dalej bliskość uniwersytetu: zamiast utartym do Włoch torem spieszyła młodzież szlachecka do Melanchtona i Lutra, później ściągał ją Królewiec i sławą poety Sabina i pieniężnemi zasiłkami książęcemi dla mniej zamożnych, jak Murzynowski lub Kochanowski. Duchowieństwo sprawy nie zasypiało, ale zbytnią żarliwością nie grzeszyło; Krzycki zadowalał się humanistycznemi deklamacjami przeciw Lutrowi, ale Melanchtona radby ściągnął do Polski. Zygmunt Stary zdobył się na energiczny krok wobec Gdańska;[1] później już tylko edyktami, na papierze, zabraniał przywozu ksiąg luterskich i odwoływał młodzież z Witenbergu. Władze duchowne wkraczały wyjątkowo, czujność ich obudzało chyba nadto jawne, gorszące występowanie takiego Hegendorfa w szkole lubrańskiej lub mnicha-kaznodziei u fary (dominikana) Andrzeja Samuela, którzy Poznań opuścić musieli; i w Krakowie na uniwersytecie znalazł się odstępca jeszcze przed nimi, Jakób z Iłży. Ale w czwartem dziesięcioleciu, ba, nawet do śmierci starego króla, nie zważano na pomruki nadchodzącej nawałnicy i niespodzianie nagle powstał wicher, grożący Kościołowi zerwaniem dachu z nad głowy. Nie darmo młodzież w Witenbergu przebywała; za powrotem do kraju szerzyła, ani jawnie, ani gwałtownie, nową wiarę i zwolenników, acz letnich, nie gorących, zyskiwała; tak przywarł do nich Mikołaj Rej i inna szlachta; mieszczaństwo i niższe duchowieństwo czerpało też z licznych książek, wprowadzanych mimo cenzury kościelnej. Ale ukrywano się z tem wszystkiem, czekano ze śmiercią starego króla na chwilę dogodniejszą.

Ta śmierć jakby maskę z twarzy zerwała; zaszumiało odrazu[1] od nowinek religijnych. Z początku szło: o język naro-

[1] W Gdańsku byli zakonnicy i księża, dominikan Jakób Knade, karmelita Maciej Bienewald, ksiądz Bonfeld i in. głosili kazania luterskie; biskup Drzewicki r. 1523 uwięził Knadego, lecz wskutek wzburzenia ludu uwolnił go a niebawem i sam z miasta umknął. Rada miejska, element konserwatywny, opierała się temu ruchowi, ale 22 stycznia 1525 r. zmusił ją lud do zwołania ogólnego wiecu, na którym katolicyzm zniesiono, z klasztorów zostawiono tylko jeden męski i jeden żeński, dobra duchowne pobrano, dawną radę usunięto. Poselstwo starej rady stanęło w szatach żałobnych przed królem z prośbą o ratunek; sejm piotrkowski i sejm pruski w Malborgu poleciły królowi osobiście sprawę załatwić. Wjechał więc Zygmunt (po hołdzie pruskim Albrechta) do Gdańska w kwietniu 1526 r. z znacznym pocztem wojskowym, zniósł nową radę, kazał inną wybrać a przywódców ruchu uwięził, poczem piętnastu kazał przed Artusem stracić i wróciło wszystko na razie do dawnego ładu; odstąpienie od prawej wiary miało być śmiercią karane; Albrecht obecny ocalił, padłszy Zygmuntowi do nóg, życie sześciu predykantom. Tak samo zgnieciono wszelki ruch w Toruniu i innych miastach pruskich — tak się na pozór zdawało. Wyjątkową srogość Zygmunta tłumaczyły względy polityczne: po dozwoleniu niesłychanem sekularyzacji W. Mistrza należało zamanifestować gorliwość katolicką.

[1] Jak szybko to się działo, wskazał choćby Rej; uchodził jeszcze r. 1546 za katolika (król nadał mu Temerowce a kanonicy kolegjaty św.

dowy, coby niezrozumiałą łacinę zastąpił; o zniesienie celibatu, coby niemoralności księży kres położyło; o sakrament ołtarza pod oboją postacią, jak jej ksiądz i starożytny Kościół używał. A miano to wszystko w własnym domu, i język cerkiewny, napoły ruski, i popów żonatych i sakrament z winem i chlebem kwaszonym. Łudzono się, że na tych ustępstwach spory się skończą; że w razie nieustępliwości Rzymu jakiś sobór narodowy to wszystko postanowi; że na tej drodze dojdzie do upragnionej jedności. Najznakomitsi katolicy, np. Hozjusz, nie przeczyli, wymagali tylko zgody na te zmiany Kościoła powszechnego, katolickiego, nie jakiegoś narodowego, 'polskiego'. Ale rzeczy zaszły już nierównie dalej.

Polska, przespawszy pierwsze trzydziestolecie ruchu, znalazła się wobec jego zupełnego rozszczepienia. Co Luter zaczął, poprowadzili dalej Zwingli i Kalwin, a podchmielone głowy polskie — ich dusza nie na suszy, powiedział ktoś współ-

Anny znaczną pożyczkę), ale już r. 1549 przestał płacić dziesięcinę plebanowi w Skrzydlnej, o ekskomunikę nie dbał i ujął się wraz z Remigjuszem Chełmskim i Mikołajem Oleśnickim za plebanem chrzczonowskim, który się ożenił; gdy Oleśnicki z Pińczowa Paulinów wygnał, bronił go o to przed królem w r. 1550; sam urządzał między r. 1560 a 1566 zbory w Babinie, Nagłowicach, Okszy, Popkowicach. Te postępki jawne wyprzedził powolniejszy nieco przewrót wewnętrzny: już w *Krótkiej Rozprawie* 1543 r. odzywał się acz nieśmiało pogląd luterski; do *Katechizmu* z 1543 r. (wedle luterskiego Urbana Rhegius'a), napisał wiersz wstępny (sam go nie tłumaczył, Trzecieski mu mylnie całość przywłaszczył), ale krakowską redakcję tego katechizmu, który bynajmniej po stronie luterskiej jawnie się nie opowiadał, mogliby i katolicy postępowi, a takich 1543 r. nie brakło nawet wśród kardynałów i arcybiskupów, podpisać; duchowieństwo też nie wystąpiło z niczem przeciw niemu. Należał Rej widocznie do kółka krakowskiego Trzecieskiego (ojca), już oddanego reformacji i z jego bibljoteki, obfitującej w druki zabronione, mógł korzystać (np. z *Mercatora* Naogeorgowego). Roku 1540 jeszcze wraz z teściem, Kosnem, o budowę kościoła katolickiego w Wywlu przed konsystorzem krakowskim zabiegał. Jeden przykład za wiele.

cześnie — chwyciły się tych nowinek; tym razem kobiety nie pozostały w tyle. Dorwawszy się broszurek popularnych, Seklucjana w Królewcu, jego satyr, dialogów, pieśni, śpieszyły z niemi po dworach i szerzyły ustnie propagandę drukowaną. Zawrzało na posiedzeniach od swarów o wiarę, tem namiętniejszych, że pierwotne żądania nie wystarczyły; że każdy rościł sobie prawo rozstrzygać o swojem zbawieniu i sumieniu; że unosił się chęcią drugim narzucać, co sam właśnie zdobył.

Katolicy na razie milczeli; chyba po łacinie odgryzał się Krzycki i in. w wierszach, inni w prozie; po polsku zdobyto się na marny wiersz z r. 1532: *Różnica sekty luterowej przeciwna jedności ś. wiary krześciańskiej spokojnej*, gdzie najszerzej opowiedziano, jak starego pielgrzyma pod Wiedniem turbowali «Lance». Niebawem miało się to odmienić.

Jakie były istotne przyczyny rozkwitu reformacji? Silny antagonizm przeciw duchowieństwu, spadek średniowiecza jeszcze, wzmógł się znacznie. Już w pierwszych dziesięcioleciach wieku oburzała się szlachta, szczególniej wielkopolska, na przywileje duchowieństwa; na to, że najbogatsze opactwa cysterskie (Bledzew, Ląd, Obra, Węgrowiec, Koronowo, Paradyż) i proboszcz miechowski wzbraniali się przyjmować Polaków; że duchowni nie płacili poborów; że sądy duchowne, nierównie sprawniejsze niż świeckie, rozstrzygały wedle prawa obcego a rozszerzały coraz swą działalność i niepokoiły szlachtę; oburzała nieustępliwość duchownych, szczególniej biskupa-kanclerza Tomickiego; miał wyrzec, że niech raczej Polska zginie, niżby naruszać skarbów kościelnych. Duchowieństwo, zadowoliwszy się edyktami królewskiemi przeciw szerzeniu ksiąg luterskich z roku 1520 i 1523 i krwawem zgnieceniem buntu gdańskiego, wymusiło r. 1535 edykt, odwołujący Polaków z Witenbergu. Reformacja przenikała chyłkiem do Poznania i Krakowa; od r. 1540 mnożyły się niepokojące objawy; duchowieństwo pewne starego króla a wiary «węglarskiej» ludu, brnęło dalej w starym trybie;

wiedział i Luter, że lud nie odstąpi wiary swego króla i niema co nań liczyć. «Ja wierzę jak Kościół powszechny». »A Kościół powszechny jak?» «Jak ja» — tak zbywał węglarz «filozofa». Ale była to cisza przed burzą.

Przemówiły po raz pierwszy do nieprzygotowanych hasła ideowe i pociągnęły nowością, najpierw najwykształceńszych, magnatów, jak w Wielkopolsce Ostrorogów i Górków, na Litwie Radziwiłłów i Kieżgajłów, za nimi ich dworzan, szlachtę możniejszą a dalej i uboższą. Młodzież z szkół niemieckich wracała z nowowierczemi książkami i nauką «heretycką», która odrzucała wszystko dawne, nazwę chrześcijanina (za to *ewangelik*), albo np. samą kościoła (za to *zbór)*, albo księdza, t. j. pana (przywłaszczone przez duchownych, którzy istotnych panów zdrobniałem 'książęciem' zbyli), za to *minister* albo *sługa słowa Bożego;* szydziła z 'plesza' (tonzury), z obrazów i świętych, ze mszy i czyśćca, wynalazków ludzkich dla obłowu. Ale i w kołach katolickich wołano o niezbędną reformę. Domagano się soboru powszechnego, ile możności razem z różnowiercami, dla ich pogodzenia; łudzono się nadzieją, że Rzym skłoni się do nieodzownych ustępstw; dalsze narażałyby ustrój państwowy; więc taki Jan Tarnowski cofnął się przed luterstwem, aby nie wpaść w łoterstwo, gdy głowy rozognione coraz dalej parły, szczególniej «słudzy słowa Bożego». Gdy zabrakło silnej ręki Łaskiego, rozluźniły się karby; szlachta wprawdzie nie poszła za ministrami, z nielicznemi wyjątkami, jak Radziwiłł Czarny, Kiszka, Mielecki; sama, szczególniej w Małopolsce i na Litwie, wymieniła luterstwo na kalwińbstwo samopas, bo w jej posiedzeniach, nie miarkowanych przez nikogo, wszystko co nowsze, radykalniejsze, bardziej rozumowe górę brać musiało. Oni choć wytrwali przy Kalwinie, ale ich ministrowie zaszli dalej jeszcze, jedni do anabaptystów, drudzy do trydeistów, dyteitów, a wkońcu do antytrynitarzy.

WZROST REFORMACJI

Odszczepieństwo szlachty było ogólne; gdy przy otwarciu sejmu parczewskiego 1564 r. mszą o Duchu św. wedle prastarego zwyczaju zagajono sesję, ledwie dwaj panowie świeccy byli na niej z królem, zato w izbie poselskiej dosyć było pienia nowego nowowierników słychać a jeszcze inni albo doma śpiewali albo śniadali albo grali. «Teraz król do kościoła a większa połowica senatu i dworu, jako złe z trzewika, króla o drzwi kościelne otarszy, do swych borów albo zborów się rozbieżają», pisał wójt wileński Rotundus 1564 r., który zamłodu podziwiał nabożność litewską, teraz zniszczoną przez przyniesioną z Polski herezję, i pytał oburzony: «z którejże się szubienicy ono łotrowstwo zerwało? z którego czarnoksiężniczego koła (w jakie wtedy ogólnie wierzono) djabeł porwał i do nas przyniósł Kosminos one, rzeczą i słowem prawdziwe Discordiae i Simoniacos Simones».[1]

Tak złożyły się na nagły wzrost reformacji i dawne spory z duchowieństwem i nowe hasła, szerzone: przez szkoły niemieckie; przez propagandę ustną młodzieży, studjującej w uniwersytetach niemieckich, a drukowaną książek pruskich; przez chęć do nowinek, nieprzepartą i u pań, zasiadających z córkami do wieczerzy Pańskiej u stołu zborowego; przez modę wkońcu i ślepe naśladownictwo. Tymczasem jednak umarł Luter i nikt jego miejsca nie zastąpił, najmniej Melanchton, przeciw któremu i jego ustępliwości opozycja staroluterska już wzbierałá, a spory dogmatyczne o drobnostki jedność luterską rozrywały. Tem bardziej imponował Kalwin, tem gorliwszą rozwijał agitację i propagandę, tem jawniej stawał na czele całego ruchu; on to zwrócił na siebie uwagę Polaków, ceniących jego

[1] Koźmińczyk, dawniej nadworny kaznodzieja Zygmunta Augusta; drugi Wawrzyniec Discordia; trzeci Szymon Proszowita.

skrajniejszą, racjonalniejszą naukę; z nim nawiązali stosunki i poddali się zupełnie jego wpływom; nie powstrzymał ich nawet Albrecht i Królewiec, żywo się z nim spierający.

Co wniosła reformacja? W pierwszej jej fazie uderza widoczne umoralnienie jednostek; może nie przejęło całego człowieka, nie wytrawiło zeń starego Adama zupełnie, ale w porównaniu z dawniejszym stanem beztroskim i bezmyślnym, powaga większa, skupienie myśli, wyrzeczenie się wszelakich zdrożności, gorące zajęcie wiarą (na którą dotąd tylko zewnętrznemi oznakami reagowano), korne rozpamiętywanie i bądanie sumienia wyróżniało nowowiernika; puste życie towarzyskie, pogoń za rozrywkami czy dostatkami ustąpiły przed bardziej chrześcijańskim trybem, a u jednostek dochodziło do zupełnego zrzeczenia się świata, do wypowiedzenia mu wojny, do uwalniania chłopów z poddaństwa, do pozbywania się dawnych dóbr, nabytych krwią, do wyrzekania się państwa, jego sądów i wojska, do życia skromnego, czynnego, miłosiernego, do naśladowania apostołów.

Nie brakło zato i panów, nieraz bardzo znacznych, Oleśnickich czy Stadnickich, którzy wprost dla zysków miotali się na kościoły, obdzierali ołtarze, wypędzali mnichów i plebanów, wprowadzali nową wiarę, zabierali dziesięcinę i łany plebańskie. Inni wpadali nawet do kościoła podczas nabożeństwa, lżyli księdza, deptali hostje. Inni gwałtem narzucali wiarę, karali chłopów, gdy ci milami krążyli do kościoła katolickiego; zmuszali do kazania i obsługi zborowej; mścili na katolikach krzywdy gdzie indziej doznanej. Ale to były wyjątki. Inni z odmianą wiary nie odmienili wcale nałogów; utyskiwali nietylko ministrowie, ale nawet tacy niepodejrzani świadkowie, jak Modrzewski, że z tytułem ewangelika nie godziło się wcale nieewangeliczne życie w strojach i zbytkach, w niedbalstwie około zboru, ministra i szkoły; że szlachcic-ewangelik darł tak samo chłopa jak katolik; nawoływania ministra tak samo nie odnosiły skutku,

jak kazania Skargi. Mimoto nabrało życie, nawet gdy pierwszy zapał ochłonął, nowego, głębszego tonu, spoważniało, wznosiło myśli ku niebu i prawdzie. Kultura umysłowa pogłębiła się znacznie, już przez to samo, że nowa wiara wymagała oczytania, zapoznania się z tem Pismem, o które zażarcie walczono, zdawania sobie sprawy, w co i dlaczego wierzono; żeby ewangelik był analfabetą, było niemożliwe. Najbardziej odczuło to szkolnictwo; każde wyznanie, unikając szkoły katolickiej, dla wychowania młodzieży w swoim duchu, dla przysposobienia ministrów, winno było dbać o własne szkoły (zob. niżej). Jeszcze rychlej niż szkoły, stworzyła sobie reformacja literaturę, polemiczną, apologetyczną, dogmatyczną, w języku narodowym, a zdobycze jakie osiągnęła, oddziałały korzystnie na literaturę i umysłowość narodową, nie wyznaniową tylko. Wydała pierwszą ewangelję i zabrała się natychmiast do całej biblji; wydawała katechizmy większe i mniejsze, z abecadłem, pieśniami, modlitwami; tłumaczyła albo tworzyła literaturę budującą; uczyła o prawdziwej pokucie; zabraniała tańców; przemawiała w licznych a obszernych postylach do sumień; pielęgnowała pieśń zborową, tłumaczoną (z niemieckiego) i oryginalną, nową czy dawną. Nie cofając się przed trudnościami niewyszkolonego języka, tworzyła literaturę dogmatyczną, o chrzcie (przeciw anabaptystom), o bóstwie Chrystusowem (przeciw non adorantom), o urzędzie i mieczu (przeciw «arjanom»); zwalczała dogmatykę katolicką, broniąc własnej. Krowicki *(Apologja)*, Gilowski *(Wykład katechizmu)*, Czechowic *(Rozmowy)*, Budny, Wiśniowski, Farnowski, Niemojewscy (Jakub kalwin i Jan arjanin) wydawali najrozmaitsze dzieła aż do mżonek chiljastycznych. Uprawiali literaturę popularną, wiersze, komedje i tragedje, satyry, alegorje, mniej lub więcej udałe, zwodząc harce z katolikami, ośmieszając ich (począwszy od *Kupca* Rejowego), albo oskarżając. I zdobyli książce, «pismu» polskiemu należyte miejsce, zmuszając katolików do chwycenia się tej

samej broni; wyłamali w uniwersalizmie kościelnym, łacińskim wolność i miejsce dla języka narodowego; łacina przestała być językiem «katolickim» w kościele.

O wpływie pism zagranicznych świadczył Frycz w liście do kolegi z ławy szkolnej, Pawła Głogowskiego:

«Przywożono do nas księgi (Lutrowe) z Niemiec, w samej nawet akademji krakowskiej publicznie je sprzedawano. Rozczytywało się w nich wielu miłośników wszystkiego co nowe, z potakiwaniem i pochwałami; nasi też teologowie ich nie potępiali. Aż wtem papież (Leon X r. 1520) zakazał ich czytania (pod karą ekskomuniki). Zdjęci przestrachem mistrzowie nasi nietylko że zaprzestali czytania ksiąg zabronionych, ale nawet rzucali je w ogień, obawiając się je przechowywać».

Na razie przycichł ten dowóz, aby się niebawem wzmocnić; żądano rewizji składów księgarskich, konfiskaty i zakazów; jawna sprzedaż ustawała, ale przemycano je, z Frankfurta, a szczególnie z Królewca, gdy się tam ustaliło Seklucjanowe wydawnictwo książek polskich, wyłącznie luterskich, co znów słabło, gdy luterstwo przed kalwińskim się cofnęło. Więcej zdziałały podróże i studja zagraniczne, zob. niżej; łatwo też wyobrazić, jak dodatnio się one zapisały w dziejach kultury polskiej.

Mniej korzystnie odbiła się reformacja w życiu politycznem, bo dotychczasową jednolitość, wyodrębniającą korzystnie Polskę od wschodu i szyzmy, teraz złamała i wniosła, jak we Francji, rozdział. Gdybyż stała się państwową, jak w Niemczech i na Północy, ależ nawet inteligencji nie opanowała i walcząc o swoje interesy, wadziła sprawom państwowym. Zygmunt August nosił się z planami bałtyckiemi, szlachta z soborem narodowym; sprawa egzekucji praw nie posuwała się naprzód, bo szlachta wciągała w nią problemy religijne; katolicki król narzucał szlachcie protestanckiej konieczność obwarowania swych wolności, a skrępowania władzy monarszej; kandydatury habsburgskie i ligę antyturecką zwalczała tęż ona najsilniej. Na

razie nie zwracała jeszcze wzroku za granicę; korzystała z łask «naszego miłościwego pana» (księcia Albrechta), ale nie wysuwała własnego kandydata do tronu ani myślała o jakiej protekcji zagranicznej, jak w XVII i XVIII wieku. Lecz już przy końcu wieku weszła w związki z szyzmą i jej odśrodkową tendencją, uczuła się niby nieswoją w własnej rodzinie i w szyzmie, zupełnie jej obcej, wzgardzonej, odnalazła sprzymierzeńca; ograniczyła się jednak w latach 1590—1610 literackiemi wpływami, t. j. szyzma wojowała argumentami, czerpanemi z literatury protestanckiej albo kryła się za protestantami, np. za owym Filaletem (kto to, nie wiemy? może Broniewski) z r. 1595, co z Skargą wojował, przenajęty od księcia Ostrogskiego.

Jakież były istotne rozmiary tego ruchu? czy odpowiadały szumowi i wrzawie po sejmach i posiedzeniach towarzyskich? czy byłoby go wstrzymało energiczne zgniecenie, jakiego się Rzym daremnie przez nuncjuszów, np. Lipomana, domagał?

ZBORY EWANGELICKIE

Ilość zborów w XVI wieku przedstawiamy w przybliżeniu. W Małopolsce było ich około 250, a z tych przetrwało do połowy XVII wieku 69, do Stanisława Augusta 13; do dziś jeden, Sielce; zborów arjańskich 20. W Wielkopolsce około 120 polskich (a 110 niemieckich); z tych 32 luterskie, 4 arjańskie; do 1650 dotrwało 21 helweckich, a 7 luterskich; do 1764 8 helweckich i jeden luterski. Na Mazowszu nie było ich wcale. Na Litwie razem z Podlasiem (wedle organizacji zborowej) około 206, wśród nich 8 luterskich i 7 arjańskich; do 1650 przetrwało około 140, do 1764 już tylko 40. Razem około 570 (oprócz ponad 100 niemieckich); z tych dotrwało do r. 1650 około 240, a do r. 1764 około 60. Natomiast parafij katolickich było w Mało- i Wielkopolsce około 3069, na rdzennej Litwie około

500, więc było parafij polskich różnowierczych około 600 wobec parafij katolickich około 3600, szósta część, ale nie ludności, lecz tylko szlachty, bo tylko panowie przechodzili na nową wiarę, zakładali zbory po wsiach i miasteczkach; lud przy starej pozostał. Zbory były wcale nierównie rozłożone; najgęstsze były w ziemi chełmskiej (56%) i w województwie lubelskiem (45%), w województwie inowrocławskiem i bełzkiem po 25%, w krakowskiem i poznańskiem już tylko 16%.

Jedna szósta część szlachty opuściła więc Rzym, ale rychło zaczynały się i odstępstwa od nowej wiary, np. w latach 1567—1570. W r. 1569 było senatorów świeckich protestanckich 58, katolickich 55, a 15 biskupów (więc 70 razem), 2 syzmatycy; liczba ewanielickich spada na 27—25 w latach ośmdziesiątych, w dziewięćdziesiątych wahała się między 16 a 14; spadła w wieku XVII najpierw na 10, aby od r. 1614 wahać się między 3 a 8; w r. 1659 umarł ostatni dygnitarz ewanielik.

Liczebnie więc nie groziło katolicyzmowi wielkie niebezpieczeństwo; gorzej było, że najpoważniejsze możnowładztwo (Radziwiłły, Firleje, Tęczyńscy, Tomiccy, Zborowscy, Ostrorogi, Górki, Szafrańce, Myszkowscy, Stadniccy, Oleśniccy), że najwymowniejsi posłowie, Ossoliński, Leszczyński, Sienicki i in., że wybitne siły literackie, Rej, Krowicki, Trzecieski, Lutomirski, Glicner, Wolan i in., mimo małości liczby powagą i wpływami, dostatkami i ruchliwością, wymową i piórem leniwych i ociężałych katolików przeważały; ratowało tylko katolików, że się różnowiercy między sobą wcale nie zgadzali.

Skoro wzrosła liczba zborów (bo tak przetłumaczono greckie *ekklesia)*, okazała się potrzeba jakiejś organizacji. Podzielono wkońcu Polskę kalwińską na prowincje, małopolską i t. d., a te na «dystrykty», pięć w Małopolsce; na czele prowincji stał superintendent (albo i dwaj, np. Feliks Krzyżak i Lizmanin r. 1556); w każdym dystrykcie byli senjorowie z ministrów albo pastorów i z świeckich, szlachty albo i mieszczan,

trzej lub więcej; oni zwoływali synod partykularny, superintendent synod generalny, dla nadzoru moralności, szkół i szpitali, nauki i druku, dla wyłączenia niekarnych od wieczerzy Pańskiej albo i ze zboru; tak wyklęto zasłużonego wielce bakałarza pińczowskiego, Grzegorza Orsacjusza, r. 1560 za jego nauczanie wedle Stankara o pośrednictwie Chrystusa wyłącznie wedle natury Jego człowieczej.[1] W kalwińskich zborach udział świeckich był znaczny, w luterskich go wcale nie było, duchowni rządzili sami, co się polskim «republikanom» mniej podobało; obawiali się i «papieskiej» przewagi — tyranji duchowieństwa.

Organizacja protestancka nabrała, w Polsce jedynej, osobliwszej cechy, szlacheckiej. Łaski umarł przedwcześnie, nie zdążywszy przewieść koniecznej zgody wyznaniowej, przekonany o jej niezbędności, ani zabezpieczyć przewagi ministrom. Zaraz po jego śmierci przesunęła się ta przewaga do obozu świeckiego, t. j. szlacheckiego. Ministrowie pochodzili z małomieszczan, szlachty między nimi nie było i późniejsi pamfleciści katoliccy z lubością wypisywali albo zmyślali dla nich przezwiska chłopskie (Matus Ciągniskóra, t. j. szewc, Koliweszka, t. j. krawiec starzyzny ze Czchowa, Erasmus Głodzigiża, Niedojadł z Mrzygłoda i t. p.); spoglądała więc szlachta zgóry na ministrów, ba z początku wyłączyła zupełnie ministrów z administracji, ograniczyła do samej służby, ale to nie dało się utrzymać. Musieli ich przypuścić do synodów, rej jednak wodzili sami, sami obierali sobie ministrów do swoich zborów. Nawet luteranie nie mogli przewieść swojej zwykłej organizacji z episkopatem, zadowolili się duchownym superintendentem z wcale ograniczonym wpływem. U kalwinów spoczywała i tak cała władza w synodzie, na którym szlachta, póki ją to zajmowało, gospodarowała; z czasem go zaniedbywała, pewna, że ministro-

[1] Trzecieski w drugiej księdze *Sylw* z r. 1568, w *Sylwie* szóstej, gratuluje Zacharjaszowi G. Orsacjuszowi narodzin synka w Pińczowie; do chrztu trzymali go minister Marcin i świeży Vitrelinus.

wie nie zdobędą się na nic, coby się szlachcie sprzeciwiało; ci mieli wolną rękę tylko w sprawach czysto religijnych, ale nawet tu, w rzeczy dogmatyczne, wmieszywała się szlachta, np. kasztelan Myszkowski, z uznaną powagą; inni, jak Rej, wycofali się rychło z synodów.

Spory o wiarę zaprzątały na razie umysły, skarżył się katolik r. 1562: świeccy widząc nierząd duchowieństwa

Jęli się sami kazać i żony wćwiczyli,
Więc teraz wszyscy każą a żaden nie słucha.
Spytajże, skąd apostoł? Duch, pry,[1] gdzie chce dmucha.
Wy każecie, wyprawcież na Podole mnichy!

a ewangelik w rok później:

wasze biesiady
Zwłaszcza na wety, o wierze dysputują rady,
A chcą ci być doktormi, co nic nie umieją:
Tym rozumu przybywa, gdy szyje naleją.
Fraszka u was, swarzyć się o Pańską wieczerzę.[2]
Powadziła was, słyszę, ona święta Trójca.
Chcecie wiedzieć, jako Syn urodził się z Ojca,
Chcecie wiedzieć, jako Duch z obudwu pochodzi,
A widzę, żeście bardzo w tych naukach młodzi...
Stąd wielkie zamieszania rostą i fasoły,[3]
Drudzy się korda radzą, nie prawdziwej szkoły.

«Prawdziwej szkoły» dostarczały książki, w Polsce więcej niż gdziekolwiek indziej, bo tu rozlegało się żywe słowo mniej donośnie, mniej szeroko. Predykantów wielu nie było, nie słychać też nigdy o jakiemś masowem odszczepieństwie: po cichu, powoli przechodziły jednostki od kościoła do zboru, jeszcze inni od Lutra do Kalwina, a krokami temi kierowała książka i z tego

[1] mówi.
[2] W Niemczech spierali się luterani i kalwini o Wieczerzę Pańską; w Polsce to za fraszki uchodziło, bo tu spierano się już o dogmaty, nietykane w Niemczech.
[3] przykrości.

już wynika, ile winna reformacja drukarstwu, jaką potężną dźwignią okazał się druk. Bo tylko na podstawie druku mogła się literatura poważyć skutecznej, czynnej propagandy. Książeczki drukowane w Królewcu i Magdeburgu, czy własne czy przerobione z obcych wzorów, służyły za broń skuteczną. Taki *Kupiec* Rejowy, którego Seklucjan nie wiedząc o autorze z odpisu nadesłanego w Królewcu ogłosił r. 1549: co za gorąca wymowa, jakie szczere przekonanie, ile najdotkliwszych przycinków złożyły się na ten przewlekły ale drastyczny, popularny aż nadto, wykład nowej nauki a potępienie dawnej. A te paszkwile, pisemka wierszem i prozą, nowinki pruskie tłoczyły się z taką szybkością, coraz nowe, że nie dochodziło do drugich wydań i po największej części zaginęły.

Napaści różnowierców należało równym sztychem odbijać i katolicy, księża niemal wyłącznie, odpowiadali podobnemi pisemkami, broniąc tradycji, wykazując lekkomyślność i niestałość nowinkarzy; ich pisma mniej liczne i mniej cięte, z wyjątkiem *Mnicha* Kromerowego, który jednak nauką, nie śmiechami narabiał i apologją wymowną katolicyzmu się stawał, tłumaczoną i na obce języki. W ciągu tej walki wypełniały się nakoniec zawstydzające braki literatury ojczystej, która posiadała tłumaczenia psałterza, legendy, modlitwy i pieśni, nawet apokryfy, a nie miała ani ewangelji ani biblji, których tyle Czesi posiadali; już przed 80 laty wydrukowali mieszczanie prascy r. 1480 (nie 1485) pierwszą biblję czeską, nierównie lepszą niż Leopolitowa z r. 1561! Właśnie obawa przed możliwem nadużyciem pisma św., stały wzgląd w Kościele, teraz bardziej niż przedtem krępowała, ale nie było sposobu, skoro różnowiercy występowali z tłumaczeniem ewangelji i nie obchodzili się bez wycieczek i dodatków wszelakich. Więc i katolicy wysadzili się na ewangelję, a zaraz potem ubiegli całą biblją nawet protestantów, ale nie święcili tryumfów, bo powtórzyli dawny, średniowieczny przekład, modernizując język, lecz nieraz nawet nie

poprawiając rażących jego myłek. I nie mógł się tekst katolicki mierzyć co do nauki i wysłowienia z kalwińską biblją brzeską, wydaną kosztem Radziwiłłowym, a opartą o wyniki krytyki biblijnej, pracą zbiorową ministrów polskich, kilkuletnią, wytrwałą. Nie dosyć na tem, nowego przekładu biblji dokonał niebawem Szymon Budny (niby Budiennyj, z Białej Rusi? znający teksty cerkiewne i na nie się nieraz odwołujący) w widokach własnego wyznania, arjańskiego.

SPORY WEWNĘTRZNE

Bo ruch protestancki, dlatego że z takiem spóźnieniem wniknął do Polski, nie uszedł rozbicia, które nie zapanowało ani w Prusiech książęcych, ani w królewskich, ani po miastach nawet, ale tem więcej wśród nowych ministrów i szlachty. Co w Witenbergu zaczęto, poprowadzono dalej w Szwajcarji i jej bardziej świecki kierunek (t. j. gdy laików dopuszczono do większego udziału w rządzie kościelnym, a od luteran oddzielono się dogmatycznie co do sakramentu ołtarza i co do predestynacji zbawienia), bardziej hołdujący racjonalizmowi, przypadł szlachcie do smaku i od jednego razu Małopolska i Litwa znalazły się w obozie kalwińskim; luteranizm ostał się wśród mieszczaństwa i kilku panów wielkopolskich. Na domiar zjawiło się w Wielkopolsce i trzecie wyznanie: bracia czescy, uchodząc z Czech i Morawy przed uciskiem habsburgskim, znaleźli u Górki, Ostrorogów, Leszczyńskich, Krotoskich najżyczliwsze przyjęcie i osiedli w Lesznie i indziej; skromni, pracowici, prości w życiu i nauce, etyczną, nie dogmatyczną wiarę słowem i czynem przepowiadając. Silna ich organizacja stawiała ich za wzór chwiejnym kalwinom i Małopolanie zgłaszali się chętnie do związku z nimi, aby o ich organizację oprzeć własną. Nie powiodło się to na razie, bo szlachtę odtrącał cichy, szary ich żywot, robota

ręczna ministrów, uchylanie się od polemik literackich, prostota tych rękodzielników.

Małopolska brała chwilowo górę; najliczniejsza i najruchliwsza szlachta (Rej, Trzecieski, Szafraniec, Oleśnicki, Stadnicki i tylu innych), najdzielniejsi szermierze piórem (Krowicki, Lutomirski z ministrów, Rej, Trzecieski z szlachty), a przedewszystkiem Jan Łaski, stawali na czele ruchu. Lecz właśnie śród nich, gdy Łaskiego zabrakło, wyłoniły się spory, grożące, a niebawem doprowadzające do zupełnego rozbicia zboru, do wydzielenia się z niego osobnego zboru «mniejszego». Wywołały to pisma Serweta a nauka Włochów, lekarza Blandraty, Ochina, Socyna starszego i in.

Lekarze i juryści występowali na razie ostrożnie przeciw podstawowym dogmatom o Trójcy św., o boskości Chrystusa i znachodzili, nie śród szlachty, co od samych dogmatów i wszelkiej scholastyki stroniła, lecz śród ministrów po niedługim oporze gorących zwolenników. Nawoływanie do czystej wiary apostolskiej, nie skażonej ludzkiemi wymysłami, mimowolnie nasuwało myśl i o życiu apostolskiem i do walki z trójczakami wszelkich obozów przybyło żądanie «chrystjańskiego» żywota, wolnego od wszelkiej niesprawiedliwości i nieprawości, rzucenia grzesznego świata, jego wojen i sądów, ucisku ludu, dostatków i używania; człowiek dorosły winien się przy ponurzeniu wyrzec marności świeckich. Te trzy etapy, luterstwa, kalwińska, antytrynitaryzmu z anabaptyzmem lub bez niego, przechodzili wszyscy pierwsi członkowie małego zboru, Grzegorz Paweł (ruchliwy z początku polemista), Czechowic, szlachcic Jan Niemojewski (brat Jakub przy kalwinizmie wytrwał), na Litwie ministrowie Budny, Kalinowski i inni.

Ten zbór mniejszy rozprzęgał się na coraz nowe sekty, coraz skrajniejsze: komunizm, judaizm, unitaryzm siedmiogrodzki (uznanie Boga jedynego, nonadorantyzm wobec Chrystusa). Ostatecznemu rozbiciu zapobiegł młodszy Socyn, który

poskromił zbyt dalekie zapędy i zgromadzonemu w Rakowie zborowi mimo protestu jednostek wyznanie narzucił, które w katechizmie rakowskim szeroko po świecie zasłynęło. Arjan i Socynjan nienawidzili szczerze inni różnowiercy, tak samo jak katolicy, którzy mogli z tryumfem ukazywać, że kto się papieża wyrzeka, i króla się wyrzeknie i z Turkiem łączyć się gotów (bo i o to «Arjanów» pomawiano); zwalczano ich też bezwzględnie już dlatego, że nie mieli wpływowych protektorów.

To rozszczepienie ruchu reformacyjnego odbiło się fatalnie na młodzieży różnowierczej, wychowywanej śród tych gorszących sporów. Mimowoli zachwiewał się niejeden, pytając co prawdą? imponował mu Kościół katolicki, nie znający żadnych wątpień, z organizacją niewzruszoną, uświęcony wiekami, działający na zmysły inaczej niż nagie mury zborowe i trzeźwy aż nadto obrządek, tem bardziej, że nowa wiara nie odradzała moralnie, przynajmniej nie wszystkich. Więc krytyczniejsi pytali i wątpili; słabsi za lada podmuchem, pod wpływem gorącego katolika lub we Włoszech i Rzymie odpadali od wiary ojca do wiary przodków i z reguły albo to samo albo następne pokolenie wracało na łono Kościoła. Synowie Radziwiłłów, Zamoyskich, Łaski, Zborowski, Tomicki, Ostrorogowie, Chodkiewicze, Sapiehowie, Gostomski, Mielecki i tylu innych wyrzekali się «błędów», odrabiali «winy» ojców lub własne. Ojcowie wyganiali księży, oczyszczali przybytek Pański z rzeźb i obrazów, z mszałów i ornatów, z organów i lichtarzy, zmuszali poddanych do nowego kościoła, zakładali szkoły i drukarnie; synowie albo oni sami przywracali tryb katolicki. Z rodów znacznych wytrwało niewiele przy nowej wierze, jedna gałąź Radziwiłłów, Firlejowie, Leszczyńscy, Gorajscy, Rejowie; Kiszka, Górka, Bonerowie wymarli bezpotomnie; chwiejni jak Tarnowski, biskup Uchański, Orzechowski albo nie odpadli wcale, albo wyparli się wkońcu nowinek. Wytrwali głównie miejscy synkowie, «szpekiem augsburskim» szyderczo przezywani, ministrowie zborowi i ich potomstwo — do niektórych miast, np. do Lwowa a nawet do całych województw, np. do mazowieckiego nie dotarła nowa wiara.

ZDOBYCZE RÓŻNOWIERCZE

Rozchwiały się nadzieje, że uda się młodego króla pozyskać; nawet niemożność rozwodu nie skusiła go do porzucenia Rzymu; wezbrana fala, nie rozbijając się o skały, zaczęła powoli opadać. Fanatyzm nie leżał szlachcie we krwi, więzy rodowe a nawet towarzyskie nie zrywały się dla samej wiary i nie mogli się Włosi nadziwić, jak nawet biskupi, nie mówiąc o laikach, wcale się «heretykami» nie brzydzili, u stołu swego ich sadzali; braterstwa szlacheckiego nie naruszała wiara. Inaczej było u dołu; biedne, ciemne tłumy nie trudno było podjudzać, ale do systematycznego prześladowania było jeszcze daleko i gdy Niemcy, a szczególniej Francja krwią o wiarę spływały, używała Polska błogiego spokoju; do niej spieszyli, kto w Czechach, Włoszech, Szwajcarji, Niemczech o życie dla wiary truchlał; francuscy kalwini oczekiwali ulżenia losu za przybyciem posłów polskich po Walezego. I powiodło się różnowiercom polskim dobić się rzeczy niemożliwej gdziekolwiek indziej na razie: trzy wyznania połączyły się w sandomierskiej zgodzie r. 1570, gdy zagranicą różnice o wiarę stale się potęgowały.

Zgoda ta była raczej pozorna i krucha, nie osiągnięto ani jednolitego kultu (liturgji), ani jednolitej organizacji (każde wyznanie zostało przy swojej własnej), ani nawet jednostajnej wiary (każde wyznanie uznawało swoje jako jedynie prawdziwe); zgodzono się tylko na wzajemne uważanie tych wyznań jako chrześcijańskich, nie sprzecznych w niczem z nauką pierwotną. Największy szkopuł tworzyła nauka o wieczerzy Pańskiej: czy to symbol tylko (jak u kalwinów), czy rzeczywistość

(jak u luteran); określenie jej łączyło jako tako a właściwie stawiało obok siebie formułki i wyrazy nieco chwiejne, co luteran, gdy kierunku pośredniczącego Melanchtona się znowu wyparli, nie zadowoliło. Po Sandomierzu mieli teologowie trzech wyznań na Zielone Święta w Warszawie przystąpić do spólnego opracowania *Compendium corporis doctrinae*, ale ani ten zjazd ani jakikolwiek inny nie przyszedł nigdy do skutku. Zgoda sandomierska *(consensus)* osiągnęła tylko, że trzy wyznania nie potępiały się nawzajem, że zgadzały się na synody generalne dla omawiania spraw wspólnych, t. j. obrony przeciw katolikom, szkół i szpitali, moralności i t. p.; zresztą utrzymywało każde wyznanie swą samoistność, nie upoważniało np. wyznawcy, by sakramentów u innego wyznania używał, by własny kult wedle innego odmieniał. Z czasem zatarła się niemal w pamięci ta zgoda (pierwszy krok ku uniwersalizmowi protestanckiemu) i należało w XVIII wieku wskrzeszać ją na nowo, po części z równie małym skutkiem.

Ostatni walny sukces różnowierców, zdobyty niemal zamachem stanu, to artykuł o wolności sumienia, poręczony przez konfederację warszawską r. 1573. Przyszły król ma to poprzysiąc:

«Pokój pospolity między rozerwanymi i różnymi ludźmi w wierze i w nabożeństwie zachowywać... a iż w Rzeczypospolitej naszej jest *dissidium* niemałe *in causa religionis christianae,* zabiegając temu, aby się z tej przyczyny, między ludźmi *seditio* jaka szkodliwa nie wszczęła, którą po inszych królestwach jaśnie widzimy, obiecujemy to sobie spólnie... iż którzy jesteśmy *dissidentes de religione*, pokój między sobą zachować a dla różnej wiary i odmiany w kościołach krwi nie przelewać ani się penować[1] i zwierzchności żadnej ani urzędowi do takowego progressu żadnym sposobem nie pomagać» i t. d.

«Wszakże przez tę konfederację naszę zwierzchności żadnej panów nad poddanymi ich, tak panów duchownych jako i świeckich, nie derogujemy i posłuszeństwa żadnego poddanych przeciwko panom ich nie

---

[1] konfiskatą, więzieniem i t. d.

psujemy, i owszem, jeśliby takowa *licentia* gdzie była *sub pretextu religionis,* tedy jako zawsze było, będzie wolno i teraz każdemu panu poddanego swego nieposłusznego *tam in spiritualibus quam in secularibus* podług rozumienia swego ukarać».

Już na sejmie warszawskim 1570 r. domagała się tego szlachta różnowiercza, a tu, na rozjezdnem niemal, udało się jej to przeprowadzić; podpisał to dla miłego spokoju jeden biskup (krakowski, Mazur Krasiński), 25 senatorów i 72 szlachty; natychmiast zaprotestowali wszyscy inni biskupi; Hozjusz wydał ostre pismo, które Reszka na polskie przetłumaczył; protestowali przeciw tej wolności wierzenia jako kto chce, i świeccy (szlachta mazowiecka szczególniej), a najdrastyczniejsze konsekwencje wyciągał młody Solikowski w broszurach agitacyjnych polskich. Taki «pokój» między poróżnionymi o wiarę nie był nowością; wyprzedzały go niemieckie i francuskie ugody; te jednak bywały ograniczone co do wyznań: obejmowały tylko dwa, katolickie i luterskie albo kalwińskie, a szczególniej co do czasu: były przemijające raczej, dopiero edykt nantejski 1596 r. i pokój westfalski 1648 r. rzuciły stałą podstawę. Tekst polski szedł najdalej; zostawiał wolność każdemu wyznaniu i trafiał dlatego na sprzeciw u niejednego różnowiercy, co się wzdrygał na myśl, że poręczono tu swobodę wyznania i anabaptystom i antytrynitarzom, ba, choćby adamitom i Turkom!

Ustawa ta odnosiła się jednak wyłącznie do szlachty; jej poręczała wolność sumienia i jej wydawała chłopa (wedle ogólnej zasady *cuius regio, eius religio),*[1] obowiązanego do daw-

---

[1] Że w Polsce obowiązywała ta zasada, jak wszędzie indziej, na to mamy sporo dowodów. Np. zarzucali ministrowie kalwińscy Andrzejowi Chrząstowskiemu (którego należy odróżnić od współimiennika Andrzeja Chrząstowskiego, uczonego polemisty, walczącego z Bellarminem i Skargą w dziele łacińskiem, drukowanem w Bazylei), że w jego wsiach Gołąbiu i Solcu ewangelja nie kwitnie; odpowiada on na to w *Obronie dialogu* z r. 1619 (unikat w Berlinie z bibljoteki Kurfirsta): nie mogłem tego

nego posłuszeństwa w rzeczach duchownych i świeckich. Wprawdzie na sejmiku relacyjnym szlachta sandomierska uchwaliła: «a gdzie się czyni wzmianka, że będzie wolno karać każdemu poddanego o nieposłuszeństwo, *tam in spiritualibus quam in secularibus*, żeby dołożone było *tam in bonis spiritualibus quam in secularibus*, a nie o wiarę», ale tej poprawki, co była tylko tautologją (powtarzała wzmiankę poprzednią o duchownych i świeckich panach), nie przyjęto do tekstu, a sama ta poprawka dowodziła, że rozumiano to *in rebus spiritualibus* etc., o rzeczach, nie o dobrach, i że po niewczasie odezwało się u Sandomierzan sumienie, czy to godzi się karać poddanego o nieposłuszeństwo w wierze. Konfederacja warszawska pozostała w swej sile, coraz nagabywana i potępiana przez duchownych (Skargę i in.), wyklęta na synodzie piotrkowskim r. 1577, broniona przez różnowierców jako jedyna prawna poręka ich wolności, chociaż właśnie katolicy przeczyli jej prawomocności, jako wydanej na zjeździe, co nie był do tego uprawniony; jako podpisanej przez mniejszość, a nie uznanej przez duchownych.

W jednolite dotąd społeczeństwo szlacheckie wnosiła reformacja pierwszy silny rozkład; po raz pierwszy obcy, acz lennik polski, książę Albrecht, zjednał sobie dla nowej wiary znaczne stronnictwo i wpływy pewne, a pomawiano, chociaż

---

uczynić w Gołąbiu, bo to moja wysługa od króla, królewszczyzna, tem bardziej w Solcu, ale u mnie we dworze moglibyście niejednego nawróconego widzieć, a gdyby Gołąb i Solec były moją własnością, byłbym naśladował przykład mego ojca, który mając w swoim majątku zbór, poddanym swoim najlepszego ministra zastąpił i niemal wszystkich do Jodłowskiego zboru pozyskał. Katolicy nieraz skarżyli, jak panowie lub ministrowie (np. Glicner) gwałtem chłopów do zboru przymuszali. W *Rozmowie o konfederacji* (r. 1592) Skarga twierdzi, jaka ta wolność sumienia u ewangelików: który chłop nie przyjdzie na kazanie do dworu, «albo winę dać musi, albo siąść w gąsiorze (kłodzie, dybach), aż nakoniec kijową pokutę odniesie».

niesłusznie, arjan o konszachty i przeszpiegi tureckie. Z walkami parlamentarnemi o reformę państwową połączono walkę o wiarę; protestanci, mając większość w izbie poselskiej, a licznych sympatyków za sobą, byliby gotowi do ofiar politycznych dla ustępstw wyznaniowych, boć Polska była niby zgóry przeznaczoną krainą tolerancji religijnej; na Rusi koronnej i litewskiej katolicyzm jako wiara gościa, przywoźna, uznawał siłą faktu szyzmę, nie kusił się o narzucanie jej jakiejś unji, choćby florenckiej; nawet żydzi, Tatarzy, Ormianie byli pewni swej wiary; jakżeż więc wydawać nowowierników duchowieństwu, przeciw któremu i tak już wierzgano! Opieszałość polska nie zawarła drzwi przed wstępującą reformacją, a niebawem było zapóźno wznawiać edykty średniowieczne, cesarskie, przeciw heretykom, penować o wiarę. Nawet takiemu ultramontanowi jak Hozjusz konfiskata majątków i infamja dla różnowierców na razie (r. 1555) wcale się nie uśmiechała.

Karty kultury polskiej bez reformacji utraciłyby na świetności. Nie jakoby Polska wniosła do niej wiele własnego; jedyny umysł twórczy, Jan Łaski, stawał godnie obok wielkich reformatorów ówczesnych i pamięć jego zagraniczna przetrwała o wiele krajową. Zresztą Witenberg i Królewiec, Genewa potem, nakoniec Włosi dostarczyli całego kapitału myślowego; cechą słowiańską zaś było, że nie zadowolono się teorją, że ją w życie wprowadzano, że nie jednostki tylko, jak gdzie indziej, lecz całe zbory utrzymano w karbach życia apostolskiego; z braćmi czeskimi zrównali się arjanie polscy. Reformacja wcisnęła w oblicze polskie rysy głębokiej powagi, nawet strój pozbył się krzykliwości i szlachta przybierała czerń nie dla Zygmunta Augusta tylko, a pieśń świecką rugowała duchowna, zaś tańce wywoływano — choćby to zbyt długo przetrwać nie miało; samych biesiad dla niej mniej przerywano. O zaborze dóbr duchowieństwa, kasacji klasztorów i t. p., o wzmocnieniu autorytetu królewskiego, wobec upadku reformacji samej i tak

mowy nie było. Bo upadek ten rychło się zapowiadał, jedno dziesięciolecie, 1550—1560, zaznało tryumf nowej wiary i coraz nowe zdobycze w głowach i sercach, ale na olbrzymiej równinie sarmackiej z nielicznemi miastami, a odosobnionemi dworami, rozlały się fale szeroko, lecz płytko i rychło w ziemię wsiąknęły. Był to raczej epizod, nie bez spustoszeń, bo odciągnął niejeden znakomity talent od pracy organicznej do jałowej. Taki Frycz-Modrzewski, bystry mąż stanu, prawdziwie postępowy polityk, niemal zmarnował ostatnich lat dwadzieścia w jałowej pracy teologicznej, godząc ogień z wodą; Jakób Górski z filologji, Erazm Glicner z pedagogji przeszli do teologji i bronili wiary zamiast wiedzy; Nidecki zaprzepaszczał uzdolnienie filologiczne w szumnych a pustych deklamacjach humanistycznych o wierze i Kościele; Orzechowski dla celibatu wpadał z jednego ekstremu w drugi, od *Repudium Romae* do wywyższania prymasa nad króla; Andrzej Wolan rozszafował w sporach z Skargą i Arjanami talent polityczny. Nie wielu trzymało się na uboczu, obawiając się od «łoterstwa» (bo szydzenie wzajemne z nazwisk było na porządku dziennym, uprawiali je i Włosi), rozluźnienia więzów państwowych i społecznych, a głównie cofnięcia do «barbarji średniowiecznej», do banicji nauk wyzwolonych i humanizmu, dla nieuchwytnych celów metafizycznych.

Nie brakło i przykładów przeciwnych. Reja dopiero reformacja na wyżyny wyniosła; pisarz ulotek raczej niż dzieł, w prozie parafrazy psałterzowej i w wierszach parafrazy *Kupca* spoważniał, przejął się głębokiem wzruszeniem i odtąd o większe rzeczy się kusił, na mentora, ba, na ministra-kaznodzieję sam się wyświęcił. Chwytali za pióro dla wiary i o wiarę protestanci czy katolicy, którzy zresztą grzędy i groduby pilnowali. Gdzieżby bez reformacji śladu po Seklucjanach, Krowickich i tylu innych, których nieraz tylko z nazwiska znamy, bo czas zniszczył ich twory. Ale nie na ilość tylko zyskała literatura (wystarczy porównać cyfry druków przed r. 1548 a po nim), lecz i na jakość, pod każdym względem.

Reformacja po raz pierwszy zmusiła piszących, aby język, bogaty dotąd dla kuchni (jak się Powodowski wyrażał), do terminologji naukowej się nagiął. Przeczył samej możliwości Hozjusz, nie pochwalał *Mnicha* Kromerowego, bo któż to będzie czytał, któż zrozumie, a w odpowiedzi na polski list Uchańskiego i polszczyźnie (zamiast języka «katolickiego», to jest łacińskiego) się dziwił i przyznał się, że ją słabo zrozumiał; jeszcze Skardze z przekąsem zarzucano, że po polsku pisze, aby żartami braki argumentacji ukrywał. Reformacja nauczyła cenić słowo polskie, wielkie księgi spisywać (przed r. 1548 tylko *Żywot Chrystusów, Psałterz* Wróblowy i *Zielnik* większemi były), o największe rzeczy się kusić, chociaż i ona nie przełamała oporu innych, np. Frycza i Wolana, którzy widocznie zapatrywania Hozjuszowe dzielili, polszczyzną pióra nie plamili. Gdzież bez reformacji postyla Rejowa? nawet *Wizerunku* i *Zwierciadła* bez niej nie zrozumiemy, bo dla niej uważał Rej za święty obowiązek wołać by kamienie, gdy powołani milczeli. Wobec bladości dawnej polszczyzny co za żar przebijał z pism Krowickiego, Orzechowskiego, Skargi! Pod jej wpływem zmienił się ton kaznodziejstwa polskiego; bajki i anegdoty, nieraz płaskie symbole i alegorje najwyszukańsze, mędrkowania niesmaczne ustąpiły miejsca słowu Bożemu, wyrazom miłości bliźniego, pokuty i pokory, nawoływaniom do przejrzenia, do ulitowania się nad nędzą chłopską, a protestant i przesądy gromił i praktyki nabożne.

ARJANIE

Tylko «Arjanie» wznieśli się do własnych koncepcyj, mniej w teorji, gdzie i im obcy przyświecali, niż w praktyce życiowej; ale sława i wpływy Braci Polskich, to kartka z dziejów siedmna-

stego wieku; w szesnastym dopiero przy jego końcu, wobec śmierci jednych (Budnego, Szomana i in.), a bezczynności drugich (Grzegorza Pawła, Czechowica, Niemojewskiego), przewaga Fausta Socyna nadała jednolitość wyznaniu, do którego po śmierci Jana Kiszki r. 1592 już nikt z magnatów nie należał, gdzie obok kilkudziesięciu rodzin szlacheckich mieszczanie i obcy rej wodzili, a szkoły arjańskie i drukarnie w Łosku, Nieświeżu, dawno umilkły.

Ale już tu należy zaznaczyć, że w arjaństwie polskiem (i to jest jego cechą oryginalną), zjednoczyły się dwa zupełnie odrębne prądy. Jeden, wyłącznie myślowy, dogmatyczny, wywodził się od Włochów, tej «zguby Polski», jak to wystraszeni Genewczycy (Beza) uznali; Socino (Leljusz i młodszy Faust), Biandrata, Gentile, Gribaldi, Alciato, Ochino, Negri (nie mówiąc o Stankarze i Lismaninie), to niby racjonaliści, co w imię wolnego badania podkopywali ostrożnie (szczególniej Biandrata za pobytu w Polsce), a potem i obalali podstawy wiary chrześcijańskiej. Drugi prąd nic nie miał z nimi spólnego; nie dbał o dogmaty, wywodził się z Niemiec (Monaster) i od komunistów z Morawy, żądał nie nauki, lecz życia chrześcijańskiego. Pierwszy u nas Piotr z Goniędza, mieszczanin z Biały Podlaskiej, połączył Serweta z Chelczyckim, tępił naukę o Trójcy a porządek społeczny ku oburzeniu synodu secemińskiego r. 1556 i znalazł tylko w magnacie litewskim, Kiszce, protektora, który i na druk jego książek nakładał i w swoim Węgrowie go utrzymał. Synody mogły go potępiać, mógł kat palić na rynku warszawskim r. 1564 ulotkę-tablicę bluźnierczą Grzegorza Pawła, który niebawem mistrza daleko wyprzedził, ale nie śród szlachty, lecz śród mieszczan znalazła ta nauka gorących zwolenników i obok wiary niemieckiej (luterskiej) i szlacheckiej (kalwińskiej), stanęła miejska (arjańska); kupiec lubelski, Walenty Krawiec, i wileński ławnik Mundius byli nieznużonymi jej krzewicielami. Krawiec, handlujący winami węgierskiemi, w Siedmiogrodzie przejął się nauką «zżydowionych» i w Lublinie ją krzewił; później handel porzucił i w obłędzie religijnym na apostołkę z pofałszowanemi pieczęciami królewskiemi, książęcemi, miejskiemi się rzucił i w więzieniu warszawskiem się powiesił; Mundius «komunistów» morawskich nawiedzał. Obok nich «ministrowie» zborowi, wszyscy mieszczanie (szlachectwo Krowickiego nieco podejrzane), Grzegorz Paweł z Brzezin (którego z poznańskiej szkoły farnej 1549 r. znany nam Jakób z Obornik Kwittenberg za różnowierstwo wyświecił przez biskupa Izdbieńskiego), Marcin Czechowic (syn rzemieślnika w Zbąszyniu, jakiś czas ministrujący w Wilnie, pierwszy niemal «ponurzyciel» dorosłych), Stanisław Paklepka (niegdyś uczeń Bazylei i Zurychu; z jego śmiercią opustoszał zbór lubelski, wydany na agitację Krawca) i cały szereg innych mieszczan i chłopowiców, chociaż się i przez szlacheckie *-ski* pisali (Kalinowski, Siekierzyński, Farnowski, Wiśniowski i t. d.); z pośród nich byli Grzegorz i Marcin Krowicki najruchliwsi jako pisarze, nietylko (jak Krawiec) przepowiadający słowo Boże. O reformacji na Rusi i Litwie zob. niżej.

REFORMACJA DOZNAJE ZAWODU

Reformacja rozbiła się jednak wkońcu między innemi i o obojętność ludu; chłopi byli obojętni już wobec starej wiary, ale nową gardzili i nienawidzili. Spółczesny autor dziwił się (r. 1595): «Czego się (u księży katolickich) z trudnością dokupywali, to teraz (u protestanckich) mają darmo, by jeno chcieli, lecz im nie smakuje ten pokarm»; «ten rodzaj mało się nabożeństwem porządnem wedle Boga bawi, okrom swych zwyczajów a nałogów dawnych, a wolą do lasu niż do kościoła, gdy na nie zadzwonią, a idą li do kościoła, tedy się cmentarzem za-

bawią na rozmowach, pokładszy się drudzy: takieć ich nabożeństwo. A będą li w kościele a spyta z nich którego, czego się nauczył, wnet odpowie: azaż ja ksiądz?» Inni opowiadali, że chłop aż milami drogi nakładał dla kościoła katolickiego (mając doma zbór), a oddawszy dziesięcinę pastorowi zmuszony, drugą dobrowolnie księdza raczył. Chłop i drobny lud miejski, nierozgarnięty, bez jakiejkolwiek skłonności ku mistycyzmowi (domowemu zresztą na północy), wierny tradycji, nie mógł się garnąć ku nowej wierze, która jego doli w niczem nie ulżyła, a natomiast pozbawiła go wszelkich wrażeń zmysłowych, nie budziła niczem jego fantazji a choćby ciekawości; już spoglądał z nieufnością na pana a więc i na jego nową wiarę. Gdybyż choć ten ruch był masowy, gdyby księża w większej ilości doń przystąpili, możeby porwali i chłopa, który sobą łatwo dawał powodować. Nie należy więc uciekać się do jakichś rasowych osobliwości słowiańskich; chłop polski nie czeski — przecież i w szlachcie ta sama różnica między mazowiecką, która przy katolicyzmie święcie wytrwała, a wielko- i małopolską — a przyczyną jej obojętności: brak zupełny przygotowania umysłowego; tak samo było i śród miast, gdzie tylko inteligencja do nowej wiary się garnęła. Dogmaty i spory o nie nie mogły rozruszać tych wielkich dzieci, wodzonych na pasku przez duchowieństwo.

Dalsza przyczyna upadku protestantyzmu, to miernota jego przedstawicieli. Jedyny imponował Jan Łaski, który zmusił nawet Orzechowskiego, że przed nim ukląkł, ale wszyscy inni, to rzesza niepokaźna; nie mogli zrównać się z własnymi świeckimi panami, np. z takim Rejem. Byli między nimi ludzie ruchliwi, ale fantazja ich rychło opuściła, skoro przyszło do zażartej walki wśród swoich. Literatura nowowiercza obiecywała więcej, niż dotrzymała, wysiliła się niby na bujny posiew królewiecki, ufna w rychłe zwycięstwo, ale wiodło się jej jak Seklucjanowi: po pierwszych tryumfach zupełne zapomnienie. Gdy katolicy coraz wymowniejszych bojowników wystawiali, protestanci cofali się z pola. Lecz głównie załamał się ich ruch wskutek ich niezgody.

Coraz nowe wątpliwości nękały zaniepokojone sumienia i już pierwsze pokolenie zaznało w latach 1567—1570 masowego niemal odpadu najznakomitszych przedstawicieli; Olbrycht Łaski (co najboleśniej dotknęło ministrów, bratanek ich bożyszcza, Jana Łaskiego), Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (syn «filara», acz bardzo nadwątlonego, litewskiego kalwińśtwa), Tomicki (syn «filara» ruchu wielkopolskiego), Starzechowski (z «dynastów» ruskich) i in. rzucali jeszcze za Zygmunta Augusta nową wiarę. Bo nie były czczym wymysłem słowa gorzkie, jakie Olbracht Łaski wyrzucał ministrom:

«Oto u was nieskończone zgorszenia, oto ustawiczne kłótnie, oto pełne bezwstydu mniemania zbrodniczych heretyków. Bezustanna tam walka o religję, bezustanna rozpacz biednego i znękanego sumienia. Zastanówcie się, jakaż u was rozmaitość sekt, jak liczne różnice między pisarzami, w religji oszustwo, w wierze bluźnierstwo, w uczynkach niewstrzemięźliwość. Niema porządku, niema stanu, niema władzy, niema godności w Kościele. Nic u was nie widzę, prócz zamieszania; niczego nie zaznałem, prócz niezgody. A przecież Bóg nie jest Bogiem niezgody, lecz Bogiem pokoju!... teraz dopiero (w katolicyzmie) ukoiło się moje sumienie, ustaliła się religja, uspokoiła wiara».

Pisał to ksiądz, zamiast Olbrychta, ale pisał prawdę. Wystarczy wymienić imię Stankara, niedawnego autorytetu ewangelików, który swojemi *Canones reformationis* z r. 1552[1] duchownym i świeckim narzucał «porządek naprawienia» a polemiką o pośrednictwie Chrystusowem największe zgorszenie w niespełna dziesięć lat później wywołał i sromoceniem przeciwników, katolikom (Orzechowskiemu np.) walnej broni dostarczał; walka między zborem większym a mniejszym była tylko wodą na młyn rzymski a żądaniu kalwinów i luteran, po-

[1] przetłumaczonego wnet na polskie; resztki unikatu znaleziono przed pięciu laty.

nawianemu od r. 1564, najusilniej na sejmie lubelskim 1566 r., aby wypędzić z kraju arjan (nowochrzczeńców i trójczaków), na co uzyskano już odpowiednią deklarację królewską, sprzeciwili się biskupi wraz z nuncjuszem (Ruggieri), «jeżeli równocześnie i inni, kalwini i luteranie nie mają być wygnani, a to było niemożliwem» — w imię zasady: wojna wśród heretyków, to pokój dla Kościoła, a wystąpienie tylko przeciw pewnym sektom byłoby uprawnieniem innych.

W poszukiwaniu czegoś stałego przechodzono od wiary do wiary; kalwinka Mielecka, córka Radziwiłła Czarnego, przebierała we wszystkich sektach, aż do pogano-żydowskiej (judaizanckiej, przenoszącej stary zakon nad nowy), nim ją jezuita Herbest do katolicyzmu nawrócił. Lew Sapieha, chłopcem w Lipsku (już luterskim) r. 1570 zapisany, odstąpił od wiary przodków greckiej (wytrwał w niej brat Hrehory, dawniejszy nieco uczeń lipski); potem (wedle własnych słów) «z Arjanem a potem z nowochrzczeńcy dzierżał a trwałem w tym błędzie czas niemały», aż r. 1586 na katolicyzm przeszedł. Tak samo było z A. Pociejem i in. Uniwersalizm rzymskiego Kościoła, jego stałość niewzruszona przez tyle wieków, wystawność imponująca jego obrzędów (wobec prostoty różnowierczej), poświęcenia pełna działalność jezuitów: o te szkopuły roztrącała się stale wiotka łódka różnowiercza, miotana na wsze strony. Taki Arias (Hiszpan jezuita), miał na dworze Batorego siedmdziesięciusiedmiu nawrócić, a Skarga, Laterna i inni jezuici dzielnie mu wtórowali, tak że padł postrach na różnowierców.

Mimowoli działał też wpływ otoczenia katolickiego na dworze królewskim, szczególniej za Batorego i Zygmunta III, gdy Zygmunt August myślał tylko o łagodności, o wynalezieniu jakiegoś środka, na coby się i różnowiercy i katolicy (!) zgodzili. Na ludzi chwiejnych nieco, a cóż dopiero na wyrachowanych, oddziaływało to z czasem fatalnie. Na razie nie przeszkadzało wprawdzie wyznanie posuwaniu się w dostojeństwach; Zygmunt III w pierwszych latach panowania mianował dysydentów bez różnicy senatorami, ale pod wpływem jezuickim niebawem to ustawało. Żarliwość jednak katolicka była oprócz u jezuitów wyjątkową; Hozjusz i Karnkowski nie byli wcale typowemi okazami episkopatu, a «zimnych» katolików, politykami przezywanych, było sporo; takim był Jan Zamoyski wśród mężów stanu, Jan Kochanowski wśród literatów, który ożenek arcybiskupa Dudycza obszerną elegją witał (Dudycz sam «nulli religioni addictus, sed vago cultu Dei vivens»), z protestantów jawnie drwił, ale i katolikom nie folgował, a wszelkie zewnętrzne cechy katolicyzmu tak strarannie omijał, że go jezuici w XVII wieku między heretykami osadzali; żona jego, Podlodowska z domu, a Podlodowscy byli żarliwymi protestantami, są w *Zwierzyńcu* Rejowym.

PIERWSZE ROZRUCHY

Na zacofanem Mazowszu był jeden krótkotrwały zbór, a Warszawa żadnego nie ujrzała w swoich murach. Po miastach, motłoch i młodzież, nietylko rękodzielnicza, ale i uniwersytecka, albo z kolegjów jezuickich, odzywała się gwałtownie na wszelakie podszepty i napastowała życie i mienie ewangelickie.

Ewangelicy krakowscy z kaznodzieją Grzegorzem Pawłem odprawiali nabożeństwa w ofiarowanem im pomieszczeniu od r. 1552 (przygodnie), a stale od r. 1557; wtedy po raz pierwszy żacy poturbowali orszak pogrzebowy żony Hier. Filipowskiego; dopiero r. 1570 po uzyskaniu przywileju królewskiego złożyli się na zakupno kilku parcel przy ulicy Świętojańskiej i przebudowali je na zbór, t. zw. bróg (z powodu swego stożkowego dachu), gdzie się wedle ugody sandomierskiej na dole luteranie, na górze kalwini mieścili, ale już r. 1574 na-

padli na bróg i splądrowali go (szkodę szacowali zborowi na 40.000 zł.) żacy i motłoch miejski; tylko tym razem nie uszło im to bezkarnie, bo wojewoda-kalwin, Zborowski, pomścił zbrodnię, którą Hozjusz wielbił, ścięciem pięciu murarczyków i ciesielczyków. To był tylko początek. R. 1575 napadnięto, bo odnowionego brogu pilnie strzeżono, cmentarz i sprofanowano zwłoki wojewody Myszkowskiego. W r. 1577 i 1578 mnożyły się podobne zajścia, aż je Batory zahamował ścisłą ordynacją, która wykluczała dotychczasową bezczynność urzędów miejskich pod karą.[1] Za bezkrólewia uległ bróg r. 1587 zupełnej zagładzie: na Wniebowstąpienie, co się odtąd stało terminem podobnych napaści, gdy żacy zwykłym trybem zrzucali wypchanego Judasza i po ulicach do brogu go wlekli, mimo obrony zborowych, zdobył rozjuszony tłum i splądrował bróg, wyrządzając szkody na 30.000 dukatów; dochodzenia sądowe skończyły się niczem. R. 1591, pod oczami młodego króla, bawiącego się w piłkę i nie przerywającego zabawy, zaczął się rozruch owem strącaniem Judasza z kościoła N. P. Marji, a zakończył zniszczeniem ostatecznem brogu, z którego gołe mury pozostały i już go nie odnowiono nigdy; ofiarą padła i druga «synagoga szatańska», zbór socynjan. A co w Krakowie się działo, powtarzała młodzież jezuicka w Wilnie i Poznaniu. Takie było echo konfederacji i «procesu na nią» t. j. jej utwierdzenia, który wiele sejmów zaprzątał (różnowiercy je zrywali, gdy się «procesu» dobić nie mogli) i srogą walkę na pióra (Skargi

[1] Dla uspokojenia wzburzonych scholarzów zwołał biskup Myszkowski wiec uniwersytecki, na którym stanęło 60 profesorów i około 2000 scholarzów; przed Batorym bronił wymownie i szczęśliwie Jakób Górski (zob. niżej) uniwersytetu (wraz z Marcinem z Pilzna) przeciw napadom różnowierców; zjednał Górski dla uniwersytetu łaskę Batorego, który go początkowo nie popierał; król wraz z senatorami przysłuchiwał się czterogodzinnej dyspucie teologicznej Stanisława Marenniusza i obdarzył uniwersytet patronatem nad probostwem św. Florjana.

i anonimów-protestantów) wywołał. Złowróżbnie kończył się wiek dla różnowierców. Nieznany autor wydał r. 1597 pisemko: *Oliva pacifera missa ad D. Adam Gorajski a Goraj* (od przyjaciela), zwrócone przeciw Skardze, potworowi rzeczą i nazwą, w obronie konfederacji, największej ozdoby Polski i warowni jej wolności. Autor wyliczał wszelkie poprzednie napady na zbory i bibljoteki: w Wilnie 1581 (gdzie bibljotekę spalono publicznie); po śmierci Batorego rybałci nasłani z Krakowa zapalili zbór wileński, dalej w Krakowie rozszarpano bibljotekę, to samo przygotowywano dla Poznania i indziej; krótko przedtem chcieli zebrani chłopi zbór w Kownie zniszczyć. Dzieci rodziców ewangelickich publicznie jako nieślubne się obwołuje. Nie wiele było pomogło, że 1593 r. wobec odjazdu króla do Szwecji, udało się Zamoyskiemu przewieść konstytucję, warującą spokój tymczasowy. Do istotnego obwarowania konfederacji, którego się różnowiercy stale dopominali, wcale nie przyszło; niemoc ich była już widoczną; nie przełamali oporu duchowieństwa, mogli jednak w odwet paraliżować rozprawy sejmowe i pokrzyżować plany królewskie. Zjazd toruński r. 1595, odprawiony mimo przedstawień królewskich, na który i dyzunici stanęli, był ostatnią tłumną manifestacją całego różnowierstwa (oprócz znienawidzonych arjanów oczywiście), ale i z jego skarg na ucisk nie wyłoniła się żadna akcja. A nienawiść wyznaniowa czyniła postępy, rzucano się już nie na zbory, lecz na domy prywatne,[1] na spokojnych przechodniów,

[1] Fausta Socyna, gdy chory w Krakowie w kamienicy złotnika Chroberskiego (kalwina) leżał, w dzień Wniebowstąpienia 1598 r. napadła młodzież akademicka, wywlekła bosego bez czapki w samym płaszczu tylko, zdemolowawszy mieszkanie, spaliła przed ratuszem książki jego i rękopisy, a samego powlekła dalej, aby go utopić; po drodze wyrwał go z ciżby profesor ks. Marcin Campius (Kępa) Wadowita (z Wadowic) i kilku innych profesorów (rektor, medyk Fontana; Sigonius, tłumacz Sokołowskiego i in.), uwiedli go do *Collegium maius,* a stamtąd do *Colle-*

na orszaki pogrzebowe, na cmentarze, gdzie wywlekano i rabowana trupów.

Ten fanatyzm miejski rzucał ponure światło i na stosunki rodzinne. Do niedawna rozdzielało wyznanie nieraz najbliższą rodzinę, lecz nie psuło zgody ani pożycia; takie przykłady wzorowej harmonji stawały się coraz rzadsze, przeciągało się różnowiercę do swojej wiary albo się go unikało — prawda, dalecyśmy jeszcze od nietolerancji zachodniej. Szczególniej panny, idąc zamąż, odmieniały wiarę wedle mężowej, tak samo i wdowy.

Z dziejów różnowierstwa polskiego wyłaniają się najciekawsze pytania. Nikt nie przeszkadzał od r. 1548 szerzeniu się nowej wiary; gdy na Zachodzie panujący, Habsburg czy Hohenzollern, rozstrzygał o wierze poddanych, zrzekał się król polski wszelkiego ucisku o wiarę. Pole działania stało więc dla różnowierstwa otworem, rzuciła się na nie szlachta — dlaczegóż na niem nie wytrwała? dlaczegóż okazała się w jedynej Polsce siła przyciągająca protestantyzmu tak nikłą, że już w XVI wieku u Paprockiego w *Herbach,* nie mówiąc o jezuicie Niesieckim w *Koronie* w XVIII wieku, można było w genealogjach rodzin szlacheckich ich protestantyzm wystawić jako epizod przemijający bez znaczenia, jako przejściowe zabłąkanie? Nie rozstrzyga bowiem wąskość podstawy tego ruchu, który ludu nie ogarnął; przecież lud ruski sprzeciwiał się i unji z Rzymem, a mimo to musiał ulec woli silniejszej, woli swoich jerejów. Otóż nie było wśród protestantyzmu polskiego takiej woli silniejszej; jedyny, co mógłby ją okazać, Łaski, wrócił do kraju, aby tu nie tyle działać, jak raczej umierać. Na męża o równej powadze już się

gium iuridicum, ale studenci już się zbierali, aby go odbić; deszcz ulewny im przeszkodził a Włoch katolik zabrał go na noc do siebie; o świcie następnego dnia przeprowadzono go do Cetysa (krewnego Buccelli, zob. niżej) do Igołomi; do Krakowa już nie wracał, żył w Lucławicach u Statorjusza w części A. Błońskiego. Ocalenie zawdzięczał Socyn głównie Wadowicie, który z okna kamienicy uniwersyteckiej tłum spostrzegł.

protestantyzm nie zdobył: Rej się o nią nie kusił, ministrowie do niej nie dorośli. Brak silnej ręki zastąpiła chwiejność wrodzona polska: szlachta, która nawet w sądach nawykła do widzimisię, przeniosła tę swobodę i na rzeczy wiary. Śród niej znachodzimy więc panów i panie, którzy wyznanie mieniają ciągle, aż się ockną między judaizantami i nonadorantami. Nowość oślepiła; moda pociągała; zasad silnych nie znano; napór nieznanych przedtem myśli i widoków zwyciężał, chociaż i sprawy sobie nie zawsze zdawano, jak ów sługa-arjanin, który zapytany: wy jako wierzycie? odpowiedział: «tak jako mój pan»; «a pan wasz jako?» «tak, jako pan Kozłowski». «A Kozłowski jako?» «wie go djabeł, jako pan Kozłowski wierzy; już to nie mojej głowy».

Przestraszono się zbytniej wolności w rzeczach wiary, której się w rzeczach potocznych dobijano; anarchja wyznaniowa rychło jakby obrzydła; zbyt lekko rzucano odwieczną wiarę i z równą łatwością do niej wracano; od r. 1570 nie mijał tydzień, żeby nie słyszano o dokonanem czy przygotowywanem nawróceniu; po stronie protestanckiej nie było ani Hozjusza, ani Skargi. Nie wytrzymała szlachta próby czasu; żyłka odwieczna zawisłości od duchowieństwa odezwała się rychło i silnie; różnowierstwo nie zapuściło takich korzeni, jak np. u Czechów, więc nietrudno było je wyrwać; ruch był rozlewny, ale płytki.

KONTRREFORMACJA. JEZUICI

Różnowierstwo polskie pogrążył Trydent, bo opłakanemu stanowi duchowieństwa katolickiego zaradził. Ustawy soborowe przyjęto, nie bez pewnych zastrzeżeń z powodu stosunków miejscowych; pozostawiono np. kumulację prebend, nieraz o wcale niskim dochodzie, a wskutek tego nie wymagano rezydencji osobistej. Obostrzenie dyscypliny i karności usunęło rozpuszczenie

średniowieczne i niebawem ucichły napaści różnowiercze przeciw klerowi o jego niemoralność. Wielu duchownych porwał swoją głęboką wiarą i żarliwem poświęceniem nowy zakon hiszpański Ignacego Loyoli, Jezuici, od przerażonych przeciwników Suitami, Wyzuwitami, Lojolistami przedrzeźniany. Zakon poświęcony wychowaniu młodzi i walce z heretykami, o wzorowej karności i czystości, działający kazaniem, spowiedzią, szkołą celowo i wytrwale, zagaił nową erę katolicyzmu polskiego. Wprowadził pierwszych, Hiszpanów, Włochów, Niemców, Hozjusz do Brunsbergu na Warmji, a biskup płocki Noskowski r. 1564 do Pułtuska; 1569 biskup Protasewicz do Wilna; Konarski (1570) do Poznania; 1583 prymas Karnkowski wwiódł ich do Kalisza, tegoż roku przyszli do domu św. Barbary w Krakowie, r. 1585 przez Solikowskiego arcybiskupa do Lwowa, r. 1596 przyszli do Torunia: wszędzie powstawało obok domu zakonnego kolegjum dla młodzieży i licząc w pierwszym roku jednego ucznia (w Brunsbergu), niebawem ich setki gromadziło; nawet protestanci im dzieci oddawali i napróżno ministrowie ich przed niebezpieczeństwem grożącem przestrzegali. Reguła zakonna była dla wszystkich prowincyj jedna; ten sam rozkład nauki, te same podręczniki, ta sama uległość wobec woli przełożonych, ta sama wolność w rezydowaniu poza domem zakonnym po dworach, jako kaznodzieje czy spowiednicy — wbrew wszelkim innym regułom zakonnym. Już w pierwszej generacji przeważyli Polacy; najgorętsi z księży świeckich wstępowali po dłuższej próbie nowicjatu do zakonu: Piotr Skarga, Stanisław Warszewicki (uczeń Melanchtona, tłumacz pierwszy romansu greckiego), Jakub Wujek (uczony tłumacz biblji, która napoły średniowieczną Leopolity nareszcie zastąpiła i przez wieki jedyny aprobowany tekst dawała, po śmierci autora nie najlepiej przez innych jezuitów «poprawione»), Benedykt Herbest (który pierwszy myśl o unji z szyzmą poruszył i pierwsze kroki na tej drodze stawiał), św. Stanisław Kostka (młodziutko zgasły r. 1568), Stanisław Grodzicki, dzielny polemista, Marcin Śmiglecki i in. Bronili wiary w pismach łacińskich i polskich, wyzywali na dysputy łacińskie i polskie, prawili kazania, odprawiali misje zakonne, łowili dusze, trafiając przez młodzież i do rodziców; wywierali ogładą, nauką, towarzyskością nieprzeparty urok; składali przełożonym ścisłą sprawę doroczną, drukowaną później lub przechowywaną w diarjuszach po prowincjach (u nas w Krakowie i Poznaniu) i poczynili niebawem takie spustoszenia śród różnowierców, że ci rychło na gwałt przeciw nim zawołali. U nas podszył się arjanin Wojciech z Kalisza pod szlachcica polskiego i wydał bezimiennie w Niemczech *Equitis Poloni in Jesuitas actio prima* r. 1590 (drugiej nie było), która wywołała natychmiast liczne odpowiedzi. Autor posądzał «Lojolitów» o służenie despotyzmowi hiszpańskiemu; oni ajentami króla, budują kolegja swoje jak fortece, by mu dostęp ułatwić; zachwalają absolutyzm (tem straszono najwięcej łatwowierną szlachtę); wynicował ich tryb życia, ubiór nie zakonny, rogate czapki, nowe szkoły, biadał, że nawołują do wytępienia protestantów mieczem i gwałtem, że burzą spokój publiczny, a kto ojczyznę miłuje, niech tej zguby dalej nie znosi. Nie jedyne to u nas wtedy pisemko antyjezuickie, ale najgłośniejsze. A wojowano przeciw jezuitom także sprośnemi plotkami, roztrąbiono np. po Europie, jakoby Batory dał ściąć w Krakowie czterech jezuitów za najbrzydszą zbrodnię, aż potępił tę niecną potwarz biskup krakowski w osobnym liście do arcybiskupa kolońskiego.

Pierwsi jezuici należeli do prowincji austrjackiej, ale już r. 1575 utworzono osobną prowincję polską, podzieloną niebawem na polską i litewską (obejmującą północ, a więc i Prusy królewskie); wkońcu także polską znowu podzielono. Początki liczyły się z trudnościami pomieszczenia po kilku budowach-klatkach, ale wnet przystępowano do budowy okazałych świątyń i domów; środki bywały nierówne; gdy taki dom poznański

wkońcu miljonowemi posiadłościami rozporządzał, zadowalały się inne domy niezbędnemi do utrzymania środkami. Zakon wyręczał duchowieństwo: rozbiegiwała się młodzież zakonna po całej okolicy na misje; opierając się o probostwo docierała do ludu, katechizując go wytrwale, a nader znikome bywały pojęcia ludu, który nawet modlitw głównych, a nieraz ani się przeżegnać porządnie nie umiał. Istotną chrystjanizację ludu można w pierwszym rzędzie jezuitom przypisać. Przez cały pierwszy wiek swego istnienia w Polsce (do lat około r. 1670) w świętym wytrwali zapale, surowi dla siebie, łagodni dla ogółu, szczególniej dla młodzieży, powierzonej ich opiece: przyjmowali i protestancką do nauki (nie do konwiktów!) i pozwalali jej zachowywać nabożeństwo własne zborowe, osiadali przecież właśnie w miastach różnowierczych (Toruń, Gdańsk i in.), co im nie przeszkadzało zdobywać młode dusze. Uprawiali gorliwie dysputacje z różnowiercami, ale nieraz ostrzeliwali tylko plac, bo zabraniano zborowym niebezpiecznego wychodzenia przeciw zręcznym szermierzom. Gorliwość ich granic nie znała; diarjusze zakonne wyliczają rokrocznie setki nawróconych (nieraz nawet ministrów; wyjątkowo i żyd się przyplątał); szczególniej kobiety ulegały ich urokowi, im zawdzięczali oni (po biskupach) najznaczniejsze zapisy. Z kolegjami jezuickiemi łączono i seminarja duchowne, np. w Brunsbergu (z bogatym zapisem Katarzyny Jagiellonki), przeznaczone dla Szwecji (aż Karol Sudermańczyk uniemożliwił Szwedom pobyt tamże), i seminarja papieskie, przez Possevina w Brunsbergu i Wilnie urządzone: przecież dopiero ustawy trydenckie wymusiły na episkopacie utworzenie seminarjów, coby duchownych godnie kształciły, gdy przedtem to wykształcenie, zawisłe od przypadku nieraz, zostawiało wiele do życzenia, polegało nieraz na byle praktyce u ks. proboszcza i bardzo powierzchownym egzaminie.

Pierwsi nasi jezuici, to sam kwiat duchowieństwa; wstępowali do zakonu ludzie dojrzali, nieraz czterdziestoletni mężowie; nie oddawali się, jak po innych zakonach, kontemplacji, trosce o własne zbawienie; obierali życie czynne, z całym żarem pierwszej wiary i przez to samo wywierali urok najgłębszy. Nie znali jeszcze dzisiejszego sugestji terminu, ale nią działali zwycięsko: taki Herbest np. wobec pani hetmanowej; ona umiejąc biblję napamięć szydziła z księży, aż tonąc we łzach przed Herbestem się błędów wyrzekła. Jej mężowi Skarga przepowiadał, że się nawróci; hetman omal go nie kazał zrzucić z mostu zamkowego, ale się nawrócił. I nikt się im nie oparł, tyranami dusz zwali ich przerażeni różnowiercy, a nieraz niechętnem okiem spoglądali na nich to inne zakony, to duchowni świeccy i między świeckimi panami-katolikami liczyli przekonanych przeciwników, obawiających się ich wmieszania w sprawy nietylko sumienia, ich wpływów i siły. Tak wzbił się zakon z drobnych początków do wszechwładzy, nie potrzebował na to wiele nad lat trzydzieści, chociaż umyślnie nie zbyt się wysuwał, np. w polemice literackiej ukrywał się chętnie pod pseudonimami, wystawiał autorów-księży, za których sam pisywał. Idealniejszych, gorętszych przepowiadaczy słowa Bożego, bardziej bezinteresownych, trudno nawet wymyślić. Najcięższe były tylko pierwsze lata, dla braku ludzi; świat katolicki ich rozrywał a jenerał zakonu albo odmawiał usilnym prośbom albo ściśle badał, gdzie wpierw wysyłać należało; wiedział Hozjusz najlepiej, kogo wzywał i polecał.

Trydent, jezuici, przywiązanie do dawnej wiary wobec rozgardjaszu różnowierczego, stworzyły kontrreformację, która z każdym dziesiątkiem lat coraz więcej stracone terena odbijała. Wizytacje diecezyj przez biskupów, niegdyś zupełnie zaniechane, docierały teraz do najdalszych zakątków, odzyskiwały utracone kościoły i fundusze, usuwały niegodnych księży, aż odmienił Kościół polski swą postać; wzmogła się gorliwość duchownych, wystawność obrzędów (szczególniej na Boże Ciało), liczba i osiadłość zapuszczonych do niedawna klasztorów. Tak urozmaiciło

się, pogłębiło i wyszlachetniało życie religijne; z wieku XVI wychodził naród bardziej chrześcijański, niż gdy weń wstępował.

Dziejom różnowierstwa polskiego odpowiadają w Europie tylko dzieje hugenotów francuskich — jak najdokładniej. I we Francji opanowała reformacja tylko warstwy wyższe, szlachtę i bogate mieszczaństwo, nie wieś ani uboższe mieszczaństwo i to ją zgubiło; i we Francji przeszli luteranie (co się jednak o wiele rychlej tu niż w Polsce objawili) odrazu, masowo, do kalwińskiej — ta jedność odbijała od różnolitości polskiej; edyktowi nantejskiemu odpowiadała o piętnaście lat starsza konfederacja warszawska; tej konfederacji nie zniesiono oficjalnie, jak edykt nantejski (w sto lat później), ale w praktyce wyszło to na jedno. Jedna walna różnica: w Polsce nie chwycili różnowiercy za broń, ani żeby nową wiarę krajowi narzucić, ani żeby własnej wolności bronić a o rzezi nocy bartłomiejskiej nawet najzaciętszy fanatyk nigdy nie pomyślał. Zato «politycy», co zgody pragnęli, występowali w Francji donośniej, niż w Polsce, tworzyli całe stronnictwo z dokładnym programem, gdy u nas tylko jednostki «politykami» przezywano; większe poszanowanie prawa raz przyznanego poręczało w Polsce lepiej swobodę sumienia, niż wszelkie programy i dopiero wiekowa praca duchowieństwa a szczególniej jezuitów przytępiła ten zmysł prawny.

Polemika religijna, która główną treść pism teologicznych drugiej połowy wieku wypełniła, przybierała rozmaite kształty. Między katolikami a różnowiercami toczyła się o tradycje, na których się Kościół obok Pisma św. opierał, gdy różnowiercy «zdradycji» przeczyli; o innowacje katolickie: celibat, komunja pod jedną postacią; o dobre uczynki, czyściec, jubileusze, kult świętych i Maryjny, pobyt Piotra św. w Rzymie, autentyczność listów papieża Klemensa, co wszystko różnowiercy odrzucali («Klimkiem rzucić» znaczyło u nich, a później ogólnie, «sfałszować»); szczególniej godziło w Rzym utożsamianie go z «merchą Babilońską» a papieża z Antychrystem, co najszerzej Krowicki za mniemanym Husem rozwodził a różnowiercy jako punkt wiary przyjmowali. Inna była sprawa, gdy katolicy z różnowiercami razem arjan zbijali; tu nie szło o tradycje, lecz o pismo samo i jego wyrozumienie, mianowicie o początek ewangelji św. Jana, twardy orzech do zgryzienia dla arjan. Nie ograniczano się jednak dogmatami i pismem; schodzono i do osób samych, i zaczepki o życie, zajęcia, śmierć stawały się zwykłą zaprawą polemiczną. Mianowicie katolicy nie mogli dosyć wymyślać protestantom na życie i rodzaj śmierci ich wodzów. Nie powtarzam, co Krzysztof Warszewicki o śmierci Lutra, Kalwina (piętnowanego liljami za zbrodnię a umierającego jak Herod), Wergerjusza (odkąsił ucho kuzynowi) i i. wypisywał, bo tu powtarzał plotki obce; wystarczy, co nasi katolicy o naszych różnowiercach komponowali: medyk Blandrata pigułkami swojemi z królika węgierskiego (młodego Zapolji siedmiogrodzkiego) duszę wystraszył, sam «od synowca na łóżku worami ciężkiemi przytłoczony jak pies zdychał; drugi minister, Franciscus Davidis, w więzieniu djabłu się oddał i zaraz oszalał i samże się obwiesił. Mączyński, on wielki tłumacz biblji Nieświeskiej (!), nurkiem zostawszy od wielkiego nabożeństwa obiesił się»; tak samo o Lizmaninie, Franciszku Negri (ministrze, zabitym przez chłopów) i i. nieraz troje niewidy pletli. Tak było ze zmarłymi, ale i żywym nie przepuszczali; szczególnie katolicy używali na ministrach zborowych; szczytu dopiero w XVII wieku dosięgli, w XVI chyba na arjan tak napadali, np. na Czechowica pisał jezuita: ty będąc ubogim kleryką, z poddaństwa uciekszy panemeś został, pieniędzy na lichwę dajesz, i w Zbąszyniu (miejscu urodzenia Czechowica) jeszcze twoje niecnoty, któreś sam pobroił, śmierdzą, a teraz na starość i przez skórę śmierdzisz tem plugawstwem, i nie mogli cię twoi nurkowie na starość od niewiasty odwieść, pojąłeś śmierdzący dziadu szlachciankę, itd. Pozwalali sobie i protestanci przeciw katolikom podobnych wycieczek, np. co Niniński w nowem wydaniu *Apologji* Krowickiego z r. 1584

(katolicy tę księgę pilnie palili) o nowej prorokini Annie z Krakowa i jej widzeniu czyśca napisał!

Ta polemika toczyła się nietylko w literaturze, ale i w dysputacjach publicznych, nie pod gołem niebem ani w kościele, nie przed tłumami, lecz w mieszkaniu senatora, w sali kolegjum przed nieliczną publicznością, na podstawie wyzwania, gdzie nietylko czas i miejsce, ale i pytania sporne wymieniano; każda z stron wojujących przypisywała sobie zwycięstwo i ogłaszała je drukiem, wywołując odpowiedź strony przeciwnej. Głośna była dysputa na sejmie piotrkowskim 1565 r., tocząca się na pięciu sesjach od 22 do 30 marca między kalwinami a antitrynitarzami; stronnictwa obrały dysputatorów, pisarzy, sędziów albo świadków i dwu «moderatorów»; obszerny protokół ocalał w Kołoszwarze we brzmieniu polskiem; jak zwykle, skończyła się dysputacja nie pogodzeniem, lecz rozjątrzeniem, bo każdy został przy swojem; panowie świeccy, szczególnie Myszkowski, kasztelan sandomierski, wrywali się nieraz w rozprawę ministrów, wnosząc i rzeczy uboczne; ale i ministrowie niezawsze się ściśle materji trzymali, a do uwag uszczypliwych byli wszyscy aż nadto skłonni. Liczniejsze były dysputacje, na które jezuici wyzywali protestantów, między innemi dysputa Jakóba Niemojewskiego z jezuitą Franc. Toletem r. 1572 na sejmie warszawskim wobec pierwszych dygnitarzy, między nimi wobec Jana Chodkiewicza, kasztelana wileńskiego, który po owej dyspucie swoje kalwiństwo na zawsze porzucił; spokojny i wytrawny Hiszpan nie dał się zbić Niemojewskiemu (chodziło głównie o znaczenie tradycji w Kościele), który frazesami i głosem napróżno narabiał; list łaciński z opisem całej dysputacji przez naocznego świadka (Gracjana) do J. Tomickiego wydali jezuici poznańscy z tłumaczeniem polskiem r. 1580 (*Prawdziwa sprawa o rozmowie albo dysputacji, którą miał pan Jakób Niemojewski* itd.), gdy się Niemojewski przechwalał, iż jezuicie na dowodach «nie stawało», i jezuitów poznańskich na nową dysputację r. 1575 wyzywał, ale zamiast ustnej rozprawy wydał książkę, którą jezuici szczegółowo w *Dialysis t. j. rozwiązanie albo rozebranie assercyj p. J. N.* itd., Poznań 1580, omówili i zbili.

To były całkiem rzeczowe sprawozdania; w inne wmieszywała się i poezja, t. j. satyra, np. u «Grzegorza Piotrowskiego» w *Pogromie Lewartowskim, t. j. o wygranej ks. Adryana Radzimińskiego Soc. Jes. theologa dysputacji* (w styczniu 1592 r.), w formie rozmowy między katolikami a sekciarzami; ewangelik opowiada oczekującym go o onej siedmiogodzinnej dysputacji, co się z konfuzją ministrów skończyła, a byli tam i rektor szkoły lewartowskiej, Wojciech Kaliszczyk, i Włoch Socyn w starej lisiej szubie; między panami był i Jan Koniecpolski, który prócz łaciny i greki dobrze po hebrajsku umiał; jezuitów było tylko trzech, ale ani stary Kurowski, na którego kalwini szczególnie liczyli, ani Niemojewski Jan, nadzieja arjan, nie obstali przed jezuitą. Ksiądz Radzimiński wyzwał nowochrzczeńców niebawem do nowej dysputy, o której «J. Przylepski» w książeczce osobnej *(Dysputacja Lubelska* itd., 1592) sprawę zdawał, o pogromie ministra Statorjusza przez jezuitę; chodziło o przedwieczne bóstwo Chrystusowe; do dysputy drugiej o wieczerzy Pańskiej kalwini nowochrzczeńca nie dopuścili. Napróżno Otwinowski w wierszowanej *Chlubie Jezuickiej* upadłej sprawy bronił, gdzie mianowicie Czechowicowi staruszkowi źle się powiodło, bo wywoływał oniemienie na usta kłamliwe, ależ sam nagle oniemiał! To rzeczy bardzo drastyczne, i rozumiemy, że zborowi później zabraniali ministrom wychodzenia na dysputacje. Ale nie te turnieje słowne (pomijamy inne, ks. Powodowskiego z Czechowicem i i.) rozstrzygnęły o sprawie przegranej; one walkę tylko urozmaicały.

BIBLJOGRAFJA

Z bogatej literatury o dziejach Kościoła, reformacji i kontrreformacji nie wymieniamy starszej, z XIX wieku, począwszy od angielskiego dzieła hr. Waler. Krasińskiego, przetłumaczonego późno i na polskie, aż do rosyjskich Lubowicza; zupełną bibljografję całych dziejów Kościoła polskiego podał Karol Völker, *Kirchengeschichte Polens*, 1930 (w zbiorowem *Grundiss der slavischen Philologie)*; podobnego podręcznika polskiego niema dotąd; szczególnie starannie są opracowane dzieje XVI i XVII wieku. Osobne czasopismo poświęcił tym badaniom Stan. Kot: *Reformacja w Polsce, organ Towarzystwa do badania dziejów reformacji w Polsce*, dotąd pięć tomów (1921—1928); zawierają one cenne rozprawy, źródłowe przyczynki, biografje, listy, protokóły (synodalne); wypisy z aktów, z metryk uniwersyteckich zagranicznych; oceny krytyczne; z tych roczników korzystałem obficie, źródła nie przytaczając bliżej. Obszernego, wyczerpującego przedstawienia całości tych dziejów dotąd nie posiadamy; dzieło ks. J. Bukowskiego, z katolickiego stanowiska, zbyt jednostronne; jedynie literacką stronę opracował Tad. Grabowski w szeregu dzieł, wydanych przez Akademję: *Literatura kalwińska*, 1906; *Literatura arjańska w Polsce 1560—1660*, 1908; *Piotr Skarga na tle katolickiej literatury religijnej w Polsce XVI wieku*, 1913 (por. J. Tretiak, *Piotr Skarga w dziejach Unji brzeskiej*, Kraków 1913); *Literatura luterska w Polsce wieku XVI, 1530—1630*, Poznań 1920; *Z dziejów literatury prawosławnej w Polsce*, Poznań 1922. Ogólniejszej treści jest i dzieło Kaz. Kolbuszewskiego, *Postyllografja polska XVI i XVII wieku*, Kraków 1921; dalej szkice moje p. t. *Różnowiercy polscy*, Warszawa 1905.

Liczniejsze są monografje; ks. I. Warmińskiego, *A. Samuel i J. Seklucjan*, Poznań 1906, była istną rewelacją; ksiądz katolicki oświecił przedmiotowo a z olbrzymim nakładem pracy działalność tych pierwszych luteran. Cały szereg szkiców, głównie na podstawie aktów królewieckich i zurychskich, wydał Teod. Wotschke po niemiecku; rozsypane po wszelakich czasopismach (*Altpreussische Monatsschrift* i in.); dalej wydał korespondencję polskich różnowierców z szwajcarskimi; nakoniec historję reformacji polskiej. Hozjusza i Kromera opracował Eichhorn; Jana Łaskiego Dalton; A. Frycza-Modrzewskiego (biografję i pisma teologiczne przeważnie) St. Kot, Kraków 1918; Szymona Budnego jako krytyka tekstów biblijnych H. Merczyng, Kraków 1913; Reja A. Brückner, 1905; Grzegorza Pawła z Brzezin (monografja z dziejów polskiej literatury arjańskiej XVI w.) K. Górski, Kraków 1929.

Teksty polskie, nieraz unikaty, wydała przeważnie akademicka Bibljoteka Pisarzy Polskich, między innemi *Kupca* Rejowego, *Mnicha* Kromerowego i wszelakie mniejsze pisma, *Rozmowy* Korczewskiego i Szczodrkowica; *Zwierzyniec* i *Zwierciadło* Rejowe (wydane również przez Akademję) są pośrednio w niejakim związku z reformacją. Nowe wydawnictwo, nakładem Kasy Mianowskiego, rozpoczęte przez Stan. Kota, zapozna nas z innemi rzadkościami; narazie wyszła nadzwyczaj ciekawa rzecz Budnego *O urzędzie miecza* z r. 1583, oświecająca rozterki wewnątrz zboru małego (Warszawa 1930). Kilka tekstów ważnych zawierają też wymienione już wyżej *Humanizm i reformacja w Polsce*, 1927.

Statystyczne daty zebrał H. Merczyng, *Zbory i Senatorowie protestanccy w dawnej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1905.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ŻYCIE UMYSŁOWE

Szkoły początkowe, wiejskie i miejskie. — Uniwersytet. — Wyjazdy do szkół włoskich. — Wpływ reformacji. — Szkoły jezuickie. — Plany Zamoyskiego. — Uniwersytety niemieckie. — Nauka krajowa. — Medycyna. — Filologja. Prawo. Historja. — Astronomja. — Geografja. — Podróże. — Teologja. — Literatura popularna. — Twardowski, alchemja, czary. — Mecenat. Zamoyski. — Książka. — Bibljografja.

SZKOŁY POCZĄTKOWE, WIEJSKIE I MIEJSKIE

Jak w XV, tak i w XVI wieku była szkoła początkowa oddana celom i opiece duchowieństwa; chodziło przecież w pierwszym rzędzie o chłopców do ministrantury i chóru; ale coraz częściej wmieszywała się rada miejska w rządy szkolne proboszcza, pana absolutnego w szkółce wiejskiej, którą on jedyny dysponował według swej woli, hamowanego w mieście przez radę. Przez niedbałość duchowieństwa — «scholastyk» mimo swego urzędu nigdy się o «szkołę» nie troszczył, zabierał tylko dochody swej prebendy — upadło szkolnictwo początkowe na wsi lub w mieście znacznie; «mistrz» guwernerował (był dyrektorem) u synów wielkich panów albo wcale się o szkołę nie troszczył; prywatni «pokątni» nauczyciele, np. dzwonnicy w Krakowie (a tak samo było i w Gdańsku) odbierali mu uczniów, bo ich przynajmniej czytać i pisać (po łacinie!) uczyli. W teorji wymagano od tych szkół wiele; w praktyce bywał ich plon wcale nieznaczny, i dopiero różnowierstwo, pielęgnujące z zasady szkołę początkową (aby ustalić wychowanków w katechizmie swego wyznania), zmusiło duchowieństwo katolickie do zajęcia się gorliwszego szkołą, chociaż badanie prawowierności, nie nauki, zajęło pierwsze miejsce w sprawozdaniach wizytatorskich z końca wieku.

Jak wyglądała około r. 1520 szkółka początkowa, opowiedział r. 1547 Jan z Siekluk (Seklucjan, pisarz niegdyś na cle poznańskiem, urodzony około r. 1515):

Jest mi to dziś na pamięci,
Jak w szkołach uczono dzieci:
Od *cum steteris* poczynali;
O Bogu mało wspominali,
Ani o jego przykazaniu,
Ani wiary świętej członków,
Pacierza i sakramentów:
Tych wykładu nie uczyli,
A snać sami nie umieli.
W piątek siekli o *recitare,*
A nazajutrz o *solmifare;*
W niedzielę abyś ministrował,
A chędogo mszej pomagał.
Skoro *dicentes* usłyszysz,
Tedy we dzwonek zadzwonisz.
Kapłana byś nie rozgniewał,
Kiedy będzie w kanonie [1] spał.
Tyć były za nauki fabuły:
Alexander, Donat i *Reguły;*
Tak był trudny ten ich *Donat,*
Nie nauczył się go do siedmi lat...
Już dzisiaj [2] inaczej nauczają,
Od Pana Boga poczynają,
Który raczył z swojej łaski
Otworzyć nam język polski,
Którym książki wydawają,
Słowo Boże okazują,
Które było zatłoczono
I przez księżą zatłumiono.
Zakazowali to srodze
Prostakom, badać się o Bodze;
Wymieniali ty za klęte,
Co czytali pismo święte,
Mówiąc: nie twoja rzecz, panie;
Wszak będzie w święto kazanie,

[1] *Kanon,* ciche modlitwy przy mszy, odprawiane przez kapłana; *solmifare* o śpiewie; *recitare: dic textum,* powtarzaj z pamięci, jedyne wymaganie szkoły średniowiecznej.

[2] 1547 r.

Na którym wszytko usłyszysz...
A przeto bądźcie wdzięczni wszyscy tego,
Żeście dostali pisma polskiego,
Które abyście wszyscy czytali
I dziatki swe nauczali.

Co bowiem wiek piętnasty dla szkolnictwa stworzył, przeszło z małemi zmianami (niezawsze ku lepszemu) do nowego. Bywała szkółka przy każdej parafji miejskiej czy wiejskiej, ale tryb jej i wyniki zależały od przypadku, bo od dobrej woli i wykształcenia jej «rektora»; od proboszcza i gminy, co się losem szkółki opiekować mieli; od rodziców, co nauczyciela opłacali. Bywał z reguły osobny domek szkolny z przydatkiem jakiegoś ogrodu czy roli, w siedmnastym i ośmnastym wieku nieraz opuszczony albo spustoszony; dochody mistrza były dosyć nieregularne: oprócz mieszkania, opału i światła, opłaty szkolne od dziatwy (kwartalne przeważnie) i ewentualna płaca od gminy; obowiązki jego w gminie ubogiej, wiejskiej, łączono z «duchownemi» klechy-dzwonnika i z służbą u plebana; stąd dochodziły go wszelakie «akcydencje», obrywki, przy kolędzie, przy pogrzebach i t. p. Wymagano od niego w drugiej połowie wieku niewiele nauki; miał dzieci uczyć wiary, śpiewu, czytania i pisania, początków rachunków; te latem zapominały, czego się zimą wyuczyły; w wielkie mrozy do szkoły wcale nie chodziły. Nierównie większe były wymagania w szkole miejskiej; tu chodziło o naukę łaciny, i mistrz czy rektor miewał też pomocnika, a płaca była stała; tu żądano od niego wykształcenia uniwersyteckiego, bakalarstwa czy nawet mistrzowstwa. Taki np. pleban brzeski a altarzysta biecki, Marcin Samborczyk, ustanawiał r. 1553 czynsz roczny dziesięciu grzywien dla rektora szkoły bieckiej (oprócz jego dochodów z «klerykatury», t. j. od śpiewania *Bogarodzicy* i innych pieśni): od uczniów, płacących, jeśli byli bieccy, po 6 groszy kwartalnie od starszych, a po 3 od młodszych; obcy płacili więcej nieco; fundator wymagał od niego

znajomości łaciny i niemczyzny co najmniej, jeśli nie greki; winien codziennie (oprócz soboty) wykładać w jednej godzinie rozdziały z autorów klasycznych i tłumaczyć je na niemieckie, w drugiej godzinie gramatyki uczyć a z dojrzalszymi ćwiczenia gramatyczne z wszelkich działów składni, prozodji, metryki odbywać; w soboty zaś tłumaczyć na łacinę mówki i listy greckie lub niemieckie; w niedziele i święta wyłoży im po niemiecku ewangelję dzienną, nie podczas kazania, gdyż uczniowie winni słuchać kazania niemieckiego; oprócz tego winien ich ćwiczyć, sam lub przez pomocnika, w cyziojanie (kalendarzu kościelnym) i śpiewie. Jeśli zaś po śmierci Samborczyka ustanie nauka niemieckiego lub nauczyciel nie będzie go świadom, wtedy przenosi się onych dziesięć grzywien na księdza przy kaplicy Kromerowej w farze bieckiej. Ciekawy tu nacisk na naukę niemieckiego, ale już zjawia się możliwość, że ustanie. Tak przedstawiał się program nauki miejskiej (oprócz niemiecczyzny, zastępowanej powszechnie przez polszczyznę). W ciągu wieku, z małemi po miastach wyjątkami (w Krakowie, Lwowie, Poznaniu i t. d.), stan szkół raczej upadał niż się wznosił, szczególniej po wsiach, gdzie przy ubożeniu chłopa i obniżaniu jego poziomu życiowego szkoły powoli zanikały a budynki szkolne (nawet po miasteczkach) pustoszały; latem ustawała i tak wszelka nauka, ograniczana do pory zimowej, którą znowu zbytnie mrozy przerywały; bywał wprawdzie «rybałt» (żak wędrowny) także «sufletą» (kalefaktorem, palaczem) w szkółce, ale należał już raczej do tradycji. Zeskromniała szkółka wiejska; dają o niej poniekąd wyobrażenie dwa wcale dowcipne utwory z końca wieku, *Wyprawa plebańska* r. 1590 i *Albertus z wojny* 1596: ksiądz proboszcz, poczciwy staruszek gdzieś pod Krakowem, wyprawia na wojnę, na Podole, swego żaka-rybałta Albertusa. Dowiadujemy się więc o jego właściwym rynsztunku: owe dwie linje, *rostrum* w kałamarzu, responsorje w kościele, *Proverbia Salomonis* i dystycha *Catonis* pisane z polskim przekładem (jedyne jego dwie książeczki), oraz parteski (nuty, jedna z czterogłosowych, jaką sobie «Labartus» z Finka, słynnego kompozytora, «skomparował»). Oto i wszystko. A główne dochody kościelnej próby, bo Albertus chwali sobie, jak mu się w Bochni przy szkole dobrze wiodło: dostawało mu się «to z rekordacyej, to z *funus* (pogrzebu), to z kolędy, to z wizytacyej», zachowano tam stary zwyczaj, że rybałci «kiedy chcą, *ovatum* (za jajami) biegają, nuż insze akcydenty». Ale później sam proboszcz wszystko zagarniał.

W miastach stały szkoły znacznie wyżej. Taki Kraków liczył ich czternaście, jedna z znaczniejszych była u Wszech Świętych, «było to miejsce za nas ni wasze Podole» (t. zn. bogate, nie nierządne, miał na myśli ów plebanik z 1590 r.), a «seniora» szkoły św. Jakóba na Kaźmierzu poważano, byli «nań łaskawi dzwonnicy, ba i Nosaliste» (1596 r.). W Krakowie czy Gdańsku była szkółka przy każdym kościele, a nieraz i przy klasztorze, np. u Franciszkanów gdańskich. Szczególnie wysoko stały szkoły miejskie w Prusiech królewskich, w Toruniu, Elblągu, Gdańsku; tu już myślano o jakimś przymusie szkolnym a zniesiono w XVI wieku szkółki pokątne, prywatne, *Schreibschule* (istniejące już w XV wieku, jak i szkółki dla dziewcząt), gdzie o łacinie mowy nie było, i zlano je z miejskiemi łacińskiemi, co dobrych wyników nie dało. Wyprzedził też Gdańsk wszelkie nasze programy szkolne, jak je Benedykt Herbest dla szkoły Marjackiej w Krakowie a różnowiercy dla swoich układali i drukowali; *Schola Dantiscana* napisał Wrocławczyk A. Aurifaber, powołany za poleceniem Melanchtona do szkoły gdańskiej. Personel nauczycielski bywał liczniejszy, nawet *cantor* miał obok siebie *succentora,* pomocnika; nierównie skromniejszy był i w Prusiech stan szkół wiejskich. Szkołami miejskiemi zajmowały się gorliwiej rady miejskie wraz z proboszczem, albo i przeciw niemu, jeśli zbyt obstawał przy swoich przywilejach, np. w kierownictwie szkoły katedralnej czy kolegjackiej. Nauczycieli w szkole miejskiej (np. lwowskiej,

w krakowskiej i in.) było kilku, oprócz rektora siły posiłkowe (np. dla nauki języka niemieckiego); program był szczupły, ale «Aleksandra» wyrugował już Perot i inne gramatyki; klasycy zastępowali autorów średniowiecznych; język narodowy przestawał być *malum necessarium* w samych początkach nauczania; rektorami tych szkół bywali prawdziwi uczeni, np. w szkole Marjackiej (w Krakowie) przez wiele lat znakomity Ślązak Jerzy Liban, grecysta i muzykolog, potem Benedykt Herbest, a podobnie bywało we Lwowie i Poznaniu.

Sposobności do nabycia wiedzy elementarnej nie brakło więc, lecz niezawsze z niej korzystano. Oto co donosi nieposzlakowany świadek, Szymon Starowolski, w (drugiem) *Braterskiem Napomnieniu* z r. 1646: dawni łagodni królowie nie karali dla wiary, «a skarali-li też kogo, w akta tego naonczas nie pisano, częścią *parcendo honori nobilitatis,* częścią że jeszcze naonczas nie pisano *personales actiones* w księgi, chybaby kogo znacznego sprawa się toczyła. Bo i pisać jeszcze naonczas niewiele ich z Polaków umiało, a zwłaszcza panowie wielcy, z których już za króla św. pamięci Stefana z przedniejszych stołków kilkanaście było, co się i podpisać na liście nie umieli». Jeśli jednak Falibogowski (r. 1625) o sędziu grodzkim Gnoińskim opowiada, że nie mógł czytać ani pisać, to dla słabości oczu, bo nosił dla nich płatek zielony; w sądzie siedział niby spał, strony się swarzyły, aż on pytał, o co? A to obwiniony nie chce płacić; a on: o j.... *redde quod debe* — taka była jego łacina.[1] Wykształcenie było wcale nierównomierne, tem bardziej nauka.

---

[1] Por. w *Dworzaninie:* «Naszych niemal większa część Polaków mają sobie nauki dobre za nic i prawie je oddzielają od szlachectwa, powiadając, iż szlachectwo tylko z męstwa rośnie; stądże i owo poszło, iż tak brzydkie rozumieją być to słowo *żak*» (szydzili niem i z Zamoyskiego!); Castiglione mówi to o Francuzach. A co Rej pisał o tych, co to rosną jako świnie, nie umiejąc nic po łacinie!

UNIWERSYTET

Co do nauki wyższej, pozostawał narazie niezmienionym i wyłącznym wpływ uniwersytetu; wzmogły się nawet tłumy studentów, nadciągających z zagranicy; mimo to wyczuwano już jakieś niedobory, z każdym lat dziesiątkiem coraz widoczniejsze. System nauczania pozostał średniowieczny: objaśnianie uprzywilejowanych tekstów i dysputy tygodniowe; ten sam zakres odczytów, uprawniający do składania egzaminów na bakalaureat i magisterstwo; ten sam rozdział kolegjum mniejszego i większego; to samo posuwanie się wolne profesorów po drabinie prebend. Ustąpiła zupełnie z lektury łacińskiej stęchlina średniowieczna; czytano wyłącznie klasyków, dbano o łacinę humanistów. Ale wydział medyczny funkcjonował słabo; prawniczy świecił lukami (dla prawa rzymskiego); teologja dogmatyczna i filozofja scholastyczna panowały wszechwładnie; uniwersytet przyciągał wkońcu tylko tych, co się stanowi duchownemu poświęcali, i stawał się coraz wyłączniej zakładem mieszczańskim; brak śród profesorów szlachty zupełnie, a śród uczniów jej coraz mniej; syn szlachecki albo, co bywało regułą, omijał tę szkołę, albo bawił w niej przelotnie, aby właściwej nauki szukać za granicą.

Brakowało wybitnych talentów; nie nęciło nędzne wyposażenie. Maricius r. 1551 twierdził, a Górski powtarzał w 30 lat później, że płacę wszystkich profesorów krakowskich razem przewyższała płaca jednej znakomitości włoskiej. Dawne dochody uniwersyteckie przy znacznym spadku waluty już nie wystarczały; wyższe duchowieństwo, samo kształcone we Włoszech, uznawało ten niedostatek i na każdym niemal synodzie radziło nad przysporzeniem funduszów, ale od zamiaru do wykonania było daleko. Sprowadzano wyjątkowo siły z zagranicy; Hiszpan Piotr Royzjusz, znakomity jurysta i niezgorszy poeta-

humanista, opuścił jednak rychło uniwersytet dla służby królewskiej; hebraista Stankar z Mantui, sprowadzony przez Maciejowskiego, hebraistów nie wychował, zato zaznaczył się najfatalniej w dziejach różnowierstwa.

Duch i system uniwersytecki panował w filjach, które zaopatrywał swoimi wychowankami; najznakomitszą urządził i wyposażył w Poznaniu biskup Lubrański r. 1519, gimnazjum czyli akademję lubrańską. Biskup, światły człowiek, wychowanek Italji (z drukarzem weneckim Aldem utrzymywał listowne stosunki), posiadacz cennego zbioru książek, myślał o zakładzie wyższym, coby dawał i stałą naukę prawa i teologji; rektorem jej obrał Poznańczyka, Tomasza Bedermana, prawnika; teologję wykładał Walenty Wróbel (tłumacz psałterza), siła wybitna; biskup odumarł niestety swej fundacji, nie dokończywszy nawet budowy gmachu szkolnego. Jego pierwszy następca, Tomicki, zajęty wyłącznie polityką, o szkołę nie dbał, dopiero drugi, Latalski, acz Kuflem przez złośliwego rywala (Krzyckiego) przezywany, zajął się szkołą energiczniej; sprowadzał nauczycieli, Francuza z Poitou i Niemca Nigra, luterana, zdolnego filologa; obaj niedługo popasali, i dopiero Krzysztof Hegendorfer z Lipska, znakomity latynista i grecysta, autor mnóstwa pism, mów, podręczników, tłumaczeń (np. Demostenesa albo greckich Ojców Kościoła), nadał szkole znaczenia i blasku; uczył dobrze, jak tego dowodzili jego uczniowie, Struś (słynny później medyk i grecysta) i Janicjusz. Dla nauki kanonów i teologji sprowadził Latalski Grzegorza Snopka z Szamotuł, zasłużonego prawnika, wydawcę kilku dobrych podręczników prawnych *(Processus iuris)*, ale zakału średniowiecznego (wykład prawa ułatwiał wierszami mnemotechnicznemi). Przyszło niebawem do starcia między oboma; Grzegorz prawowierny aż nadto, Hegendorfer jawny zwolennik luterski, co z tego powodu katolicki Lipsk opuszczać musiał. W Poznaniu na wykładach ukrywał się z luterstwem, ale w pałacu Górków przebywał w towarzystwie jawnie różnowierczem i wycieczek przeciw katolicyzmowi nie skąpił (jeżeli w *Progimnazmach*, ćwiczeniach swoich, właśnie o św. Marcinie prawił, to chyba z uwagi na mistrza). Zażywał najlepszej sławy, szlachta wielkopolska oddawała synów do niego. Ale czujny Szamotulczyk, który po śmierci staruszka Bedermana rektorem gimnazjum został, wyłowił wnet z dawniejszych dziełek jego zdania nieprawowierne, oskarżył go przed kapitułą; Hegendorfer wypierał się herezji, domagał się dysputy, w której się jednak nieświetnie spisał, spierał się z przeciwnikiem w licznych, jadowitych pisemkach (pierwsze to zapasy literackie w Polsce), ale wkońcu, wobec jasnych dowodów winy, mimo protekcji Latalskiego, co przeciwnika ile sił godził, i panów, z Poznania r. 1535 uchodzić musiał (umarł na zarazę morową jako superintendent luterski). Miejsca jego już nikt nie zastąpił i gimnazjum spadło na poziom szkoły katedralnej; stało odtąd wyłącznie zasobami krakowskiemi, walcząc z niedostatkiem materjalnym.

Co do Krakowa samego, już synod r. 1523 przepowiadał upadek szkoły z powodu wszelakich nadużyć: zbyt wysokie taksy przy promocjach; dobrze nadany profesor wyręczał się w wykładach byle bakałarzem; ubiegający się o wyższą posadę musiał wszystkich osobiście o to prosić, niby żebrać, choć korzyść była nieraz marna, co niejednego też odstraszało. A nauka sama? Nie nieuctwo proste mówiło z Reja, gdy się oburzał, że «tylko szczebiotać a słówek obleśnych wykręcać uczą i to z niemałem zatrudnieniem główek małych... jakoby z prawdy nieprawdę uczynić, a prawdę z nieprawdy»; on to o gramatyce i logice mówił, ale to samo o każdej innej nauce popłacało. Jeśli zaś szlachcic w piętnastym wieku wstydził się łaciny i szczycił analfabetyzmem, bo każda nauka «żakowstwem», t. j. duchowieństwem pachła, to wstydził się teraz nierównie więcej nieuctwa, ale nie w szkole domowej myślał się go pozbywać.

Starsi, szczególniej między duchownymi, nierównie rzadziej między świeckimi, znali Włochy, nową naukę i wymowę, i wiedząc, że nie w Krakowie ich się nabędzie, wyjeżdżali sami do Włoch i wysyłali krewnych i pupilów, a omijali szkołę krakowską, która, jak inne spółczesne uniwersytety, wiedeński czy lipski, do nowych wymagań tylko powoli i ze wszelakiemi zastrzeżeniami się naginała. Nikt nie pomyślał o podniesieniu nauki w kraju samym; wszelkie zabiegi kończyły się na papierze, np. statut Zygmunta Starego z r. 1535, który zapewniał profesorom czynnym *(actu legentes)* prawa szlachectwa, co i na dzieci przechodziło, jeśli ojciec przez lat dwadzieścia wykładał, ale tego statutu nie wykonywano ani uznawano, tak samo jak hojnych subsydjów, do których bogaty kler na synodach (np. w Piotrkowie 1542 r.) się obowiązywał, nikt nigdy nie wypłacał. Odrażał od Krakowa także tryb szkolny średniowieczny, całkiem scholastyczny, oraz niesforność żaków, na którą się spółcześni uskarżali, np. Jarosz Ossoliński r. 1563: «akademja w taką się jaskinię łotrowską obróciła, że ludzie stateczni chronią się synów swych dawać», acz to głos różnowierczy, więc stronniczy poniekąd. A arjanin Sienicki na sejmie 1565 r. skarżył się, «jako to wszystko opustoszało, jako z wielkim nakładem młodzież do innych krajów słać trzeba, bo doma w Polszcze niemaż się czem bawić... anoby czas już Polakom inną łaciną nauczyć się mówić aniż oną dawną polską, z której gdzie indziej się śmieją». Ale i katolicy nie byli lepszego o szkole głównej zdania: zagarnęli ją plebejusze, nienawidzący jak wężów nielicznych między nimi szlachciców (którzy ich z kapituł wykluczyli); gardzą nimi właśni uczniowie; oni przed jednym słuchaczem nieporządnie czytają barbarzyńskich Wojciechów, Cezarjuszów (słynni autorowie XIII wieku), mieszając wszystkie fakultety, a żadnego nie znając; upada już słynne niegdyś studjum astronomji, śmieją się z nas powszechnie dla rzeczy, których tu uczą. Mistrzowie promowują tylko swoich; starsi już nic nie robią,

ledwie raz w kilka tygodni czytają albo dają się zastępować; prawda, że filozofowie mają bardzo szczupłe dochody, a i tych im nawet nie płacą. Skargi te przesadne; szczególniej w drugiej połowie wieku zmieniło się niejedno; konkluzje rady uniwersyteckiej za rektoratu Jakóba Górskiego r. 1579 wymieniły dokładnie autorów łacińskich i greckich, których wykładać wolno: wyłącznie klasyków rzymskich (i mniej licznych greckich), wymagając tylko od profesorów królewskich (ordynarjuszów niby) co półrocze przynajmniej jednego wykładu arystotelesowego (scholastycznego); zamiast wykładów autorów mógł ordynarjusz ćwiczenia (dysputacje) prowadzić, których uczniowie słuchać i argumenty spisywać winni. Jedynie program matematyczny (obejmujący i astronomję) i «fizyczny» (filozofa Jakóba Carpentaria) wydaje się nadto szczupłym. Były uczeń szkoły głównej r. 1563 inaczej się o niej wyrażał:

> Tego baczyć nie mogę, dla której przyczyny
> Wolicie do Włoch albo do Niemiec słać syny,
> Mając swe szkoły doma, gdzie przedtem jeżdżali
> Cudzoziemcy, którzy się nauką parali.
> Ba, będą z nich po chwili gregoryjankowie,[1]
> Jeśli im i tę trochę wezmiecie, co mają —
> Na dziesięć grzywien jednak dosyć wymyślają.
> Ale niech ma zapłatę godność między wami,
> Ręczę wam, że zrównacie z ich tam Sorbonami.
> Nakoniec, ważcie doma taki koszt na dzieci,
> Ujrzycie, że się do was wszystka Padew zleci.
> Ale dla obyczajów podobno je szlecie?
> Wierzcie mi, że przy dobrych i złe tam najdziecie.

Zarzuty Sienickiego na sejmie piotrkowskim 1565 r. obruszyły duchowieństwo, zatem zwalało winę na egzekucję, która uniwersytet środków pozbawiła (ile wyderkaufów i prowentów żupnych odeszło!), i na to, że dziesięcin nie płacą: «co pierwej

[1] żaczęta.

kolegjat (profesor) miewał kilkadziesiąt grzywien, teraz ledwie kilka, a tak nie mogą na czem trwać godni ludzie, wolą się bawić służbami u panów, preceptorami być lada gdzie, aniż w kolegjum mieszkać; stroić sobie kabaty rzeżąc, aniż w bursie mieszkać a przestawać na tem, co tam jedzą». O bursie mazowieckiej biskupa płockiego zob. wyżej. Uchański arcybiskup «trzy szkoły osobne trzyma na swej strawie i upatrzeniu». Padniewski (biskup krakowski) chciał «przyjaciół swych, braci i innych dziatki do Krakowa pobrać, nakładem swym dać uczyć, a cóż, kiedy żaden nie chce, iżby go tam katechizmu uczono, ano ja takowych chować nie mogę, jeno aby się tak uczyli, jako starodawno było... jako Tomicki i Chojeński biskupi, którzy łaciną równali się z każdymi narody i byli *pro decore regni*». «Ale świecka rada (senatorowie świeccy) amarykowała na rozpustę studentów i omieszkanie szkół». Na tem się i skończyło. Tak samo było z wnioskiem sejmowym 1563 roku: «Prosimy WKról.M., abyś cztery osoby do tego godne tu na tym sejmie za zezwoleniem wszystkich stanów raczył deputować»; z radą krakowską mają (w akademji) taką uczynić reformę, «jakoby i dobrzy lektorowie czytali i karność na posłuszeństwo aby była»; tak corocznie na sejmie cztery osoby wybierać, coby z radą miejską sprawdzali stan zeszłoroczny, a którzy lektorowie zaniedbali obowiązki i nie karali słusznie, sami karze podlegną. «A także i w Poznaniu o naprawienie szkoły prosimy i o przywrócenie Stawiszyna, także i w Pułtusku».

Już to projektów nigdy nie brakło; konstytucje sejmu warszawskiego 1587 r. zaszły najdalej:

«Jakoż widząc, że obce ćwiczenia niewiele nam ludzi godnych do służby Rzeczypospolitej podają i owszem tem niepożytek Rzeczypospolitej stąd płynie, że się mnożą wystawy zbytnie», mają opaci rocznie pewne sumy składać na szkoły, gdzie «w greckim i łacińskim języku naprzód pilnie obojga tych języków a przytem i prawa koronnego uczono być ma, gdzie każdy młodzieniec ma trwać do ... roku, a w razie wojny mają żołnierską służyć i tu na sejmikach, sejmie i trybunale przypatrzywszy się rzeczom koronnym, w starszym wieku, gdy wojny tu nie będzie, może wyjechać zagranicę czy służyć w wojsku, czy przyglądać się rzeczom... Wyznaczamy z senatorów i posłów ... osoby (w razie śmierci dobiera się innych), co oszacują opatów i naznaczą, jakie nauki w jakim porządku mają być uprawiane, ilu ma być doktorów, w jakiem kształcie młodzież w pomierności dyscypliną miałaby być zadzierżaną; miejsce tej akademji w mieście ... Z tych sum należy najpierw wybudować kolegjum i lektorja; brak niema być, którejby religji kto był, równomiernie wszystkich dopuszczać, a każdemu jego religja wolna ma zostawać».

Projekt złoty projektem papierowym został.

Ogłosił spółcześnie ks. Jakób Górski swoją mowę rektorską jako *Apologję* akademji r. 1581 i rozprawił się głównie z oboma najcięższemi zarzutami, jakie jej czyniono, z niesfornością jej wychowanków i z niskim poziomem jej pracy uczonej. Zarzut pierwszy odparł dosyć niefortunnie: nie nasza wina, ta niesforność; wina tych (rodziców, czasów, t. j. herezji głównie), co nam taką młodzież nasyłają; my jej już nie poprawimy. Ależ ta młodzież napastowała, z przyczyny i bez przyczyny; ona przecież sprowokowała ów rozruch uliczny r. 1549 o kochankę ks. kanonika Czarnkowskiego, co tragiczne przybrał rozmiary i bojkot młodzieży wywołał, chociaż Orzechowski w *Annałach* sprawę zbyt ukoloryzował. A cóż był winien spokojny lekarz, Wincenty Łyszkiewicz, że go studenci porwali i omal życia nie pozbawili? ledwie go rektor Fontanus ocalił. Albo Socyn, którego studenci już do rzeki wlekli i z trudem go mistrz Wadowita zpośród tych zbójców wywlekał (a wiedziało się, że nie wszyscy koledzy wstawienie się mistrza za arjaninem pochwalali). Okrzykiem bojowym: *ad idem* (w ustach motłochu: *hadidam)* zwoływali studenci brać swoją dla pomsty czy napadu, przekonani o łagodności sądu rektorskiego; grożono dysydentom: «dobrzeby to panom studentom krakowskim powiedzieć!» Niestety, i drugi zarzut, o niskim nauk poziomie, ks. Górski nienajlepiej osłabił, oskarżając o to liche nad wyraz uposażenie.

WYJAZDY DO SZKÓŁ WŁOSKICH

Brakowi wyższego wychowania zaradzał w sferach zamożnych wyjazd zagranicę: o własnym koszcie, o zasiłku kapituły, o zapomodze od mecenasów, jak Tomicki czy Kmita, uczono lub bawiono się w Padwie i Bolonji,[1] zazierano do Rzymu, i z stopniem uczonym, zarobionym przez egzamina i promocję lub kupionym *(doctor bullatus)*, albo też bez niego, wracano; dla medyków innej drogi nie było; z kanonistą (a tego potrzebowała każda kapituła) bywało tak samo; ale i dla samej wymowy w prozie i poezji tu zjeżdżano. Była to celna młodzież, pilna, zdolna, obok paniczów, używających włoskiej swobody; występowała i publicznie, w przemowach, tworzyła osobną

[1] Jak ta młodzież np. w Bolonji żyła, opisał Jan Branicki, sługa prymasa Łaskiego, w liście do niego z r. 1515, zdając sprawę, co porabia siedmiu paniczów (dwu Radziwiłłów, dwu Łaskich i in.) i trzech sług, nad którymi miał dozór. Łacina tego listu okropna, i styl i ortografja, i wie o tem Branicki, przecież on «uczeń z Ruszczy», więc wystarcza mu, że go prymas zrozumie (logiczniej byłoby pisać po polsku, ale któżby wtedy wpadł na taki niesłychany pomysł!). Więc obliczał Branicki skrupulatnie wszelkie wydatki; raz na tydzień prowadził ich do fryzjera; sprawiał im równe ubrania; sprawił wagę dla dostarczanych produktów żywności, Radziwiłł Jan (starszy) będzie odważał; pyta, czy podczas postu ma chłopcom dawać z masłem; dla młodszego, Stanisława R., najął scholarza, który go uczy Donata i gramatyki, bo co Stanisław w Polsce umiał, w Wiedniu zapomniał; w domu rozmawiamy tylko po niemiecku, włosku i łacinie, polszczyznę na teraz zapomnieliśmy; przy stole czyta jeden z nas na głos dzieje czeskie (Eneasza Silviusa) — po klasztorach czytano legendy i t. p. Zapłacił ośm dukatów za dwa miesiące mistrzom: humaniście, legiście i medykowi; ośmnaście dukatów za dwa sajany i czamary dla Jana Łaskiego i Stanisława Radziwiłła; kupił siedm lamp cynowych, siedm stołów i pulpitów na klucz, żeby każdy miał swój i siedział przy nim do 9 wieczorem; mieli chłopcy, co z Wolskim przybyli, dwa dukaty, «kupiłem im za to lutnie dwie, żeby tych pieniędzy nie przegrali w kostki albo na coś gorszego wydali» i t. d.

nację, z komisarzami, dozorującymi porządku i skarbowości, zdającymi rok rocznie sprawę przed nowo obranymi; księgi jej pełne nazwisk najświetniejszych; tu wyrabiało się zamiłowanie do humanjorów, do włoskiego obyczaju, do włoskich (weneckich szczególnie!) porządków, które z domowemi porównywano; tu nawykano do istoty pracy naukowej, i z jej płodami można było występować przed światem europejskim, np. Nidecki lub Zamoyski; tu wyszkolił się jako filolog i grecysta Jan Kochanowski. Wpływy włoskie nie zacierały się i w dalszem życiu, i Włoch podziwiał «ludzkość» polską, wnoszoną przez tych humanistów wzorem dla domatorów. To czerpanie wyłączne wyższej nauki z źródeł obcych odbijało się jednak fatalnie na zaniedbaniu nauki domowej i szkolnictwa własnego.

WPŁYW REFORMACJI

Wegietowałoby szkolnictwo domowe bez nadziei poprawy, gdyby i weń nie wlała reformacja nowego życia. Jeśli starej wierze były szkoły potrzebne, to dla nowej stanowiły o jej życiu, bo miały w niej wychowywać młode pokolenie, co winno sobie sprawę zdawać, na czem jego wiara zależy; zarazem miały dostarczać duchownych, przyszłych «ministrów» własnego wyznania; że zaś wyznań było kilka, więc i szkół się mnożyło. Już na pierwszych synodach radzono, obok urządzenia gminy, o szkole, a obcy różnowiercy stale wzywali polskich do zakładania szkół jako najwalniejszej potrzeby. Pierwsza szkoła różnowiercza zjawiła się w Pińczowie, gdy Mikołaj Oleśnicki wypędził Paulinów, zagrabił kościół i jego dochody. Szkołą kierował rektor Grzegorz Orsacjusz, ale pracy jego nie starczyło. Sprowadził do niej Lismanin, obrany drugim superintendentem, r. 1556 z Genewy młodego Francuza, Piotra Statorjusza z Thionville, wychowanka szkoły lozańskiej Cordiera, a w roku 1558 drugiego Francuza, Jana Thénaud (Tenaudus), wycho-

wawcę młodych Dłuskich (letkiewiczów i nicponiów) w Zurychu. Szkoła pińczowska, Atenami sarmackiemi górnie przezywana, rozwinęła się dzięki szczególnie Statorjuszowi znakomicie pod czteru nauczycielami; niebawem narzucił synod Orsacjuszowi (który i pierwszą postylę łacińską krótką bardzo napisał; Trepka ją tłumaczył) przekład biblji, w czem mu obaj Francuzi, pilnie do polszczyzny się przyłożywszy,[1] pomagali.

Wydał też Statorjusz na usprawiedliwienie i polecenie nowej szkoły (r. 1558) pisemko, *Gymnasii Pinczoviensis institutio,* o rozkładzie nauki w czterech klasach (o kursie dwuletnim w każdej?) i o trybie nauczania, podziele lekcji i t. d. Przejął tryb szkoły lozańskiej, która język narodowy, więcej niż dotąd bywało, uwzględniała, co i Pińczów naśladował, chociaż i tu znajomość łaciny, lektura autorów, popisy pisemne, ustne, deklamacje i dysputacje łacińskie główne zajmowały miejsce. Francuz zauważył, że Polsce brak szkół liczniejszych i dlatego liczba uczonych nieznaczna, nie odpowiada zdolnościom narodu; dalej, że Polacy ważą koszty i zdrowie na wyłączne odwiedzanie dalekich szkół zagranicznych, zamiast o szkoły w kraju się starać. Program jego szkoły, szczególniej dla klasy najwyższej, był bogaty, obejmował nawet grekę.

Ale lata szkoły pińczowskiej były policzone. Orsacjusza oddalił niebawem synod od szkoły i biblja, bo okazał się stronnikiem Stankara (który w Dubiecku Stadnickiego bróździł); Francuzi prowadzili dalej szkołę (a w biblji pomagali im Szoman i Jakób Lubelczyk, przygodnie i inni, Trzecieski między nimi) w duchu humanistycznym — pierwsza to szkoła tego pokroju w Polsce, a jedna z głównych jej zasług, że starannie rozdzielała klasy, nie mieszała początkujących z starszymi, jak dotąd stale bywało. Nowy rektor, Statorjusz, nie wytrwał jednak w kalwińskie; już od r. 1561 skłaniał się ku antitrynitarzom i prowadził szkołę coraz wyraźniej w tym duchu, czego ścisły genewczyk (kalwin) Thénaud nie zniósł i Pińczów porzucił. Rychła śmierć Statorjusza (po r. 1568 brak o nim wzmianek) a obojętność Oleśnickiego sprowadziły zupełny upadek szkoły.

Thénaud przeniósł się do Krakowa, gdzie Krzysztof Trecy (Tretko, komiwojażer kalwińskiego polskiego) założył szkołę zborową, już nie w duchu lozańskim Cordiera, lecz według zasad strasburskiego Sturma, którego szczerze podziwiał; typ sturmowski zawładnął też szkołami polskiemi, szczególnie po miastach pruskich, jak w Gdańsku i Toruniu. Trecy, zajęty ciągłemi rozjazdami, chętnie zdał szkołę krakowską Thénaudowi, biorącemu również najżywszy udział we wszelkich zjazdach (np. w Sandomierzu 1570 r.) i rozprawach (z antitrynitarzami); r. 1572 został przez gminę mianowany rektorem i piastował ten urząd chyba do śmierci, zawiadując zarazem bogatą księgarnią (r. 1578 nadworny księgarz Batorego). Szkole kalwińskiej krakowskiej, która osobnego budynku nie miała, położył koniec, jak i brogowi samemu, tumult r. 1591.

Po pińczowskiej szkole zasłynęła śród protestanckich szkoła w Lewartowie (dzisiejszym Lubartowie, tak od XVIII wieku przezwanym dowolnie), nowo po napadzie tatarskim urządzona przez arjanina Mikołaja Biberstein Kazimierskiego, zięcia ewangelika, wojewody lubelskiego Firleja (herbu Lewart, którego żona była również arjanką, zbór arjański ufundowała). Rektor tej szkoły, Wojciech Kaliszczyk, znakomity pedagog, wy-

[1] Statorjusz wydał nawet r. 1568 pierwszą gramatykę polską po łacinie, czem nową zdobył zasługę, ale tajników języka polskiego nie zgłębił i nie poznał się na niejednym figlu dobrych towarzyszów; już z tego powodu nie mógłby być autorem satyry różnowierczej wierszowanej, *Proteus abo Odmieniec* z r. 1564, do której tylko wierszyk polecający dopisał. Nieznany nam autor *Proteusa* (naśladujący *Satyra* Kochanowskiego) był kalwinem, gdy r. 1563 Statorjus już wyznanie odmieniał i do trójczaków za wzorem Grzegorza Pawła i innych ministrów się skłaniał. Czy autorem *Odmieńca* nie jest przypadkiem wymieniony u Bielskiego w *Rozmowie dwu baranów* autor: «wołają *Pustelnicy* i my też wołajmy», t. j. Solitarius?

dał listy o niej (*Schola Levartoviana restituta* etc. r. 1593), zwrócone do jej pięciu nauczycieli; zasady szkoły były jak każdej Sturmowej: *sapiens atque eloquens pietas* (pobożność mądra i wymowna), i połączenie *literarum studium cum elegantia morum;* program tej pięcioklasowej szkoły był wcale obszerny, obejmował i grekę; porządek ścisły, dobór lektury łacińskiej bardzo staranny, ale nauce katechizmowej, śpiewaniu psalmów (i Kochanowskiego), czytaniu Nowego Zakonu i w języku greckim, wiele miejsca udzielono. Odgłos tego programu może się da nawet odszukać u Zamoyskiego, w programie jego własnej akademji, bo i Wojciech należał do jego doradców. Zasłużył się też około szkoły senjor lubelskiego zboru, Jan Balcerowic, ale szkoła upadła rychło, ustąpiła rakowskiej. Z licznych innych szkół różnowierczych żadna nie dorównała pińczowskiej i lewartowskiej, chociaż były przy każdym zborze; słynniejsza była bełżycka i in.

Posiadamy po niejednej programy, np. szkoły w Iwiu na Litwie, gdzie później Smotrycki uczył, gdy ruską się stała. Arjanin Kiszka wezwał starego ministra Kryżkowskiego: panie Wawrzyńcu, otwórzcie szkołę dla młodzieży; Kryżkowski mnie wezwał, opowiada Jan Licinius Namysłowski, r. 1585; zacząłem w sierpniu wykłady w ciasnym domu u ministra (jest nadzieja na przyszły osobny budynek); uczyłem najpierw przepisów gramatyki, potem listów Cycerona, dalej tegoż *Officia* i Terencjusza (szkoła nie zważała na niemoralność komedji rzymskiej, nie mogła się bez niej obchodzić dla jej potocznego języka). Szkoła nabiera rozgłosu, posyłają chłopców, ja im *Wojnę myszy z żabami* Homerową tłumaczę. Dalej objaśniam wybrane figury Mosellana (ulubiony podręcznik) i sentencje cycerońskie, nie zaniedbując *Bukolik* ani *Eneidy,* listów św. Pawła i Jana; podaję nakoniec (w roku czwartym) *rudimenta* logiki Peruty; nigdy Iwie tylu uczni nie miało; była tu już dawniej szkoła, ale upadła. Dla uczni swoich wydał Licynjusz r. 1589 w Łosku,

w drukarni Kiszki, *Sententiae* życia powszechnego dla użytku młodzieży szkolnej, łacińskie, polskie, niemieckie; poświęcił je swoim uczniom, którym je w szkole wykładał; jest ich 225, z biblji i in.; polszczyzna ich dobra, czysta, ale łacina nierównie okazalsza. Szkoła w Iwiu ustała chyba z śmiercią Kiszki, bo byt tych szkół nie bywał trwały; z śmiercią założyciela znikały, skoro syn lub dziedzic inny porzucał wyznanie ojcowe i szkołę odmieniał; tylko szkoły miejskie, toruńskie gimnazjum, gdańskie i inne pruskie (Elbląg szczególniej) wypiastowały stałą tradycję. Synody troszczyły się gorliwie o szkoły: wedle krakowskiego z r. 1573 «za obrzydłość to ma być miano, gdzieby krześciańskich a ewangelickich ludzi dziatki do bluźnierskich (tj. j. arjańskich) a bałwochwalskich (t. j. katolickich) szkół na naukę chodziły». Więc była przy każdym zborze i szkółka. Nie dosyć na tem, synod piotrkowski z r. 1578 uznał za rzecz ku budowaniu kościoła bożego wielce potrzebną, «żebyśmy mieli w Polszcze szkołę generalną (akademję więc!), z spólnej szczodrobliwości panów patronów postanowioną»; patronowie obecni obowiązali się w tym celu płacić przynajmniej od każdego chłopa swego po złotemu, co na papierze zostało; ostatni wielki synod, toruński (1595), wybrał osobną komisję dla zastanowienia się «nad szkołami partykularnemi i jedną akademją generalną, nad jej miejscem i kosztami na nią». W swoich postanowieniach wyłączał synod «*publice* od używania wieczerzy pańskiej a społeczności zboru Bożego» rodziców, coby dawali synów do szkół i ćwiczenia arjańskiego i inszych (t. j. katolickich), w którychby szczera nauka ewangelji Pańskiej podawana nie była, w kraju czy zagranicą. Dalej uradził: «jedna ma być generalna szkoła *in meditullio* na miejscu sposobnem; w dystrykciech też, jako owa przedniejsza, tak i partykularne szkoły od zborów opatrywane być mają»; każdy patron z własnej skrzynki ma złożyć od kmiecia po złotemu, od dworskich

i ratajskich pługów po kopie. Alež i to pozostało nabożnem życzeniem. Jedynie burmistrz toruński, Henryk Stroband, światły i ofiarny mąż, podjął usilne starania, aby przynajmniej toruńskie gimnazjum (założone r. 1568, podupadłe nieco, przez Strobanda za pomocą nowych nauczycieli, rektora Friesego, a szczególniej konrektora, Ślązaka Szobera, znakomicie prowadzone) do takiej akademji pruskiej podnieść, i układał się o to gorliwie z Gdańszczanami i Elblążanami, ale i tego planu czy dla rywalizacji miast, czy dla obaw zbytnich kosztów nigdy nie wykonano. Usiłowania Strobanda wydały jednak w Toruniu owoce; on, gorący wielbiciel Sturma, przeniósł jego system do Torunia; gimnazjum liczyło, jak sturmowskie, klas dziesięć i doborowych nauczycieli; on założył dla niego świetną bibljotekę, jaką się żadne inne polskie gimnazjum szczycić nie może, i bursę-ekonomję; dalsze plany (np. nowy przekład biblji polskiej) tego ruchliwego, oświeconego i wyrozumiałego męża śmierć przerwała; gimnazjum toruńskie stało wysoko, miało sporo uczonych.

SZKOŁY JEZUICKIE

Trwałą a ogólną podstawę wyższego (gimnazjalnego) wykształcenia rzuciły szkoły jezuickie; one to uskrzydlały owe starania zborowe o podniesienie szkół własnych, aby z jezuickiemi zawodniczyły. Szkoły jezuickie, ułożone wedle normy powszechnie obowiązującej *Ratio studiorum*, były podobne do Sturmowych; wychować pobożnych a wymownych szermierzy katolicyzmu, przez synów trafić i do rodziców, było ich celem, który w Polsce w pełni osiągnęli. W porównaniu ze szkołą średniowieczną, obowiązującą dotąd w kraju, postęp był widoczny; ścisłe rozgraniczenie nauki wedle klas, budzenie wszelkiemi sposobami zawodnictwa śród młodzieży i kształcenie jej w zamkniętym konwikcie, obok przyjmowania obcych uczniów z pensji

miejskiej;[1] przygotowywanie do występów publicznych; polerowanie jej w przedstawieniach dramatycznych, kilkakrotnie nawet do roku w obrębie konwiktu, rzadziej wobec sproszonych gości odprawianych; gorliwy nadzór moralny; praktyki nabożne — to były główne cechy ich systemu wychowawczego. Nowego nie wymyślili nic; nie wyszli zpośród nich pedagogowie ani nawet pisma pedagogiczne znaczniejsze; korzystali tylko z doświadczeń dotychczasowych; nawet ich podręcznik łaciny, Alwar osławiony, nauki bynajmniej nie ułatwiał. Ich szkoły dawały, jak wszystkie ówczesne, jednostronne zupełnie wykształcenie gramatyczno-retoryczne; metoda była wyłącznie pamięciowa a dyscyplina surowa; próżności młodej schlebiano wszelakiemi wyróżnieniami; dbano o poprawność i czystość stylową, dobierano skrupulatnie tekstów *(editiones castigatae)*, aby w niczem moralności nie naruszały (dawna szkoła o to nie pytała); nawet bajki mitologiczne objaśniano alegorycznie. Już w tym wieku cieszyły się rozgłosem ich kolegja, z nauką bezpłatną, bo kolegja powstawały z szczodrobliwości prywatnej, głównie

---

[1] Najzupełniejszy opis polski dawnej szkoły jezuickiej zawdzięczamy ks. Jędrzejowi Kitowiczowi *(Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III,* str. 21—40 w wydaniu Bibljoteki Narodowej); opis o półtora wieku późniejszy, ale wobec niewzruszoności systemu jezuickiego i dla XVI stosowny. «Emulację» pobudzał najpierw rozdział każdej klasy na *pars Romana* i *Graeca,* zawodniczące między sobą o liczbę *laudes* (przeciw *errores),* udzielanych przez profesora (patra, starszego; magistra, młodszego); dalej wyróżnianie dyktatora (na osobnej ławce siedzącego), imperatorów (na pierwszych miejscach po ławkach), cenzorów; nieuków sadzono na ławce oślej; *nota linguae* zawieszano temu, co się po polsku odezwał; karę brał, kto ją ostatni zatrzymał. Dopiero w XVIII wieku urządzono za wzorem rzymskiego kolegjum «sodalicje maryjne», z osobliwszym, gorliwszym kultem N. P. M.; pobożne to bractwo studenckie przywilejów szczególnych, prócz honorowych, nie miało, ale *sodalis Marianus* i w życiu świeckiem odznaczał się pobożnością. Walnym środkiem pedagogicznym były też nagrody (w książkach czy obrazkach), pilnym uczniom przy popisach publicznych uroczyście udzielane.

biskupów, darzących je wsiami dostatniemi, a rodzice nie skąpili darów pieniężnych czy *in natura*, i nietylko katolicy, ale nawet protestanci (przy braku własnych gimnazjów) oddawali do nich dzieci i narażali je na szwank; rodzice przypuszczali, że, skoro oddawali tam młodzież nieco dorosłą (początkowej nauki jezuici nie udzielali), niby już w wierze ustaloną, więc apostazji nie mieli się obawiać. Pokazało się przeciwnie; z kolegjów wychodzili gorliwi katolicy, i już wcześnie w Niemczech wydawali protestanci przestrogi przeciw posyłaniu synów do szkół jezuickich; tłumaczono je i na polskie, ale wielkiego skutku nie odniosły. Wkońcu pokryła kraj cała sieć kolegjów jezuickich, które aż w same środowiska luteranizmu pruskiego, np. do Torunia (r. 1596 otworzono tu kolegjum), docierały, a odezwami rozrzucanemi do tych doskonałych szkół zapraszały; liczba uczniów rosła niepomiernie, dochodziła np. w kolegjum poznańskiem do tysiąca (1200 w wieku XVII).

Tak pokrył zakon Koronę i Litwę swojemi szkołami, dzięki zapałowi, co się niczem odstraszyć nie dał, i energji niespożytej: musiał walczyć z uprzedzeniami i plotkami; rodzice z początku nie posyłali synów do ich kolegjów dla plotek, jakoby jezuici więzili młodzież przez lat siedm, nie dając się jej na świat wychylić, a potem co zdolniejszą sobie przywłaszczali. To znowu posyłali wielkopolscy panowie synów do jezuitów, że się niemieckiego nauczą, bo łaciny mogliby i w Krakowie się nabrać. I radzili jezuici na wsze strony, strzegąc się własnej próżnej sławy i tem podbijając umysły. A wychowywali i dzielnych uczniów; oto np. taki Jurgiewicz, uczeń akademji wileńskiej, później kanonik wileński, niezmordowany szermierz z «browarczykiem z Lwówka» (jak Andrzeja Wolana, «papieża kalwińskiego» na Litwie, przezywał); pisał najzjadliwiej, wyłącznie po łacinie, np. *Piątą Ewangelję*, zwalczając ułudę zgody różnowierczej, sandomierskiej, *Najstarsi wyznawcy piątej ewangelji*, *Żaden i Nikt*,

ukryci w niewidzialnym kościele protestanckim a przez Lutra, Cwingljusza i Kalwina z ciemnic wyprowadzeni (r. 1599, tłumaczone na niemieckie, czeskie, na francuskie r. 1608), dla obalenia wywodów różnowierczych, jakoby ich Kościół był pierwotnym.

PLANY ZAMOYSKIEGO

Najciekawsze karty z dziejów szkolnych zapełnił Jan Zamoyski. Gdy się okazało, że duchowieństwo dla szkoły krakowskiej tylko *pro forma* na ofiary się zdobywa, a w istocie o nich ani myśli (a okazało się to i w ofiarności synodu z r. 1577), poradziła sobie szlachta w ten sposób, że wymogła na Walezym, iż powoła do szkoły najuczeńszych obcych i z własnej kieszeni ich opłacać będzie; dalej zobowiązała go do wychowywania jego kosztem stu młodzieży polskiej, w Paryżu czy Rzymie. Natchnął szlachtę Zamoyski, wychowany w Paryżu (gdzie cztery lata bawił), uczeń Sturma w Strasburgu, Padewczyk wreszcie (uczeń osobliwszy słynnego Sygonjusza), który na sobie samym najlepiej doświadczył, co obce szkoły, wolne od pęt scholastycznych (inaczej niż w Krakowie), uczniom swym dają; sam nawet, bawiąc w Paryżu 1573 r. przy poselstwie polskiem, nakłonił słynnego prawnika, Franciszka Balduina, do objęcia profesury polskiej; Francuza wybierającego się do Polski nagła śmierć spotkała. Nie dowierzając, i słusznie, synodowi piotrkowskiemu r. 1577, podał Zamoyski Batoremu plan inny, większy. Znał dobrze stosunki paryskie, podobał mu się wielce założony przez Franciszka I przeciw średniowiecznej Sorbonie *Collège royal* z znakomitymi nauczycielami (Ramus i in.) i nowożytnym humanizmem, powziął więc myśl urządzić w Krakowie przeciw akademji *gymnasium regium* i przywołać do niego w braku sił domowych najcelniejszych uczonych obcych, filologów jak Sygonjusz, Muret i in., później nawet teologów, jak Bellarmin, Grzegorz z Walencji (uczący w Ingolstadzie) i in., obiecując im

wysokie płace i wszelkie ułatwienia; w imieniu królewskiem wystosowano do nich oficjalnie pisma. Zachody r. 1577 i 1578 okazały się zupełnie daremnemi, Muretowi np. papież zabronił wyjazdu z Rzymu a podwoił płacę, Sygonjusz wymówił się podeszłym wiekiem i brakiem zdrowia i t. d., a co może najważniejsze, sam Hozjusz podkopał cały plan. Chwaląc zamysł Zamoyskiego i polecając mu nawet uczonego teologa, zaalarmował króla, prymasa (Karnkowskiego, wroga Zamoyskiego) i Myszkowskiego (biskupa krakowskiego, więc kanclerza akademji); obaj duchowni nic nie wiedzieli o całej sprawie. Obawiał się bowiem Hozjusz, że nową uczelnię przejmie nowowierstwo, powoływał się na *Collège royal* właśnie, które wyhodowało przeciwników katolicyzmu, i udaremniał zabiegi Zamoyskiego, oburzonego na przeciwników; plan pogrzebano zupełnie. Przekonany o konieczności naprawy wychowania, o ważności jego pierwszorzędnej dla państwa, nie dał za wygraną, i gdy Kościół i król zawiedli, powziął imponujący pomysł założenia własnej szkoły w tym swoim Zamościu, który od r. 1580 rozbudowywał. Zamość, wobec odległości Krakowa, nadawał się jako placówka nauki i kultury polskiej na wschodzie śród owej mało kulturalnej, zawadjackiej Rusi, ale Zamość nie miał wcale zawodniczyć z Krakowem, miał wychowywać nie księży, lecz obywateli, być szkołą polityczną raczej niż teologiczną. Ten nowy pomysł wielkiego i ambitnego pana przechodził jeszcze wszelakie koleje, nim go kanclerz ostatecznie uformował i jako «akademję zamoyską» za patentami papieskiemi i królewskiemi w życie wprowadził. Nazwa nie odpowiadała właściwie rzeczy; zamiast uniwersytetu, było to pierwotnie raczej tylko gimnazjum z niższemi i wyższemi klasami; otworzone r. 1595 *de facto* (patenty są późniejsze, z r. 1600 i 1601), należy w swojej działalności do następnego wieku.

UNIWERSYTETY NIEMIECKIE

Wobec niedostatku wyższych szkół domowych rozpoczął się był od lat trzydziestu istny wylew młodzieży za granicę. Po raz pierwszy i na wieki ostatni, zwabiły młodzież uczelnie niemieckie, w wieku piętnastym wyjątkowo odwiedzane; teraz nęciły nowinkami religijnemi i bliskością wygodną. Bo Wielkopolskę okrążyły wieńcem świeżo założone Witenberg saski (*Leucorea* humanistów) z jasną Melanchtona gwiazdą; Frankfurt (*Viadrina*) brandenburski; najmłodszy Królewiec (*Albertina*) pruski z stypendjami księcia Albrechta dla młodzieży polskiej i litewskiej; Wielkopolan nęcił Lipsk dla ścisłych związków handlowych Poznania z Lipskiem; dalej Altdorf (*Palaeocome*, długi czas tylko gimnazjum Norymbergi; gdy uniwersytetem został, już Polaków utracił); Heidelberg (*Ruperta*); Strasburg. Nie przypadkowo skupiali się tu Polacy; były ich przypływy i odpływy stałe, dla wszelakich powodów. Witenberg np. z śmiercią Melanchtona i przeprowadzeniem ścisłego luteranizmu (po zgnębieniu umiarkowanego filipizmu) odpadł odrazu dla przeważnie kalwińskiej młodzieży polskiej; zakaz odwiedzania Zygmunta Starego, niebawem zniesiony, przelotnie tylko skutkował. Te trzy uniwersytety (Witenberg, Frankfurt, Królewiec) wabiły później tylko luteran; gdy kalwinizm u nas zwyciężył, przestała je młodzież nawiedzać, garnęła się teraz do kalwińskiego Heidelbergu, który również utracił siłę przyciągającą, gdy luterskim został. Przybywało rok rocznie po kilku lub kilkunastu Polaków; sami lub, jeśli z bogatego domu, z preceptorami Polakami lub Niemcami; najmowali gospody, często u profesorów, szczególniej jeśli ci konwikt utrzymywali; oddawali się studjom, przez rok lub kilka, ale często zmieniali szkołę. Pierwsi zgłaszali się mieszczanie, poznańscy (Riedt, Watt, Lindner) i krakowscy (Gutteter, Schilling, Diez); za nimi szlachta. Witano ich chętnie; przy-

sparzali miastu i szkole dochodów, licznym orszakiem nieraz imponowali; prowadzili się dobrze, chociaż nie obywało się bez ekscesów, np. w Witenbergu około Latalskich: ich preceptor, Geschkau (niebawem opat oliwski), przy *prandium aristotelicum*, wydawanem przez nowych magistrów dla fakultetu, wskoczył podpity na stół i lżył sromotnie rektora i profesorów, że jego Latalskich tylko baronami, nie hrabiami, zatytułowali. To znowu prowokowali Niemcy Polaków, np. w Heidelbergu na *Philosophensteg* potrącił silnie Westfalczyk Oyenhausen Ostroroga tylko dla narodowości, co trzydniowym karcerem odpokutował. Wojna trzydziestoletnia, co zniszczyła kulturę niemiecką, odwróciła na zawsze Polaków od uczelni niemieckich; upadek różnowierstwa w kraju i tak uszczuplił nadzwyczaj ich szeregi; jedyny Frankfurt widywał w swoich murach od czasu do czasu Polaka, dzięki bliskości. Ale wpływy tych uniwersytetów sięgały głęboko; Witenberg więcej niż pięćset, Frankfurt nad trzystu, nawet Altdorf (co wkońcu stał się gniazdem tajnego socynjańskiego stwa) może dwieście kilkadziesiąt uczniów polskich wykazać, a każdy z nich to pionier kultury zachodniej. Wkładali się w łacinę głównie, w filozoficzne i teologiczne studja, łacińskie dysputy i wiersze; raczyli ich profesorowie wierszami na powitanie i na pożegnanie, szczególnie synów znakomitych rodów; z tych wybierano nieraz rektora (honorowego; urzędował prorektor za niego). Byli to nietylko pionierzy kultury miejskiej i naukowej, ale w pierwszym rzędzie apostołowie nowej wiary, którą w domu szerzyli, jeśli ich dalsza podróż do Włoch i Rzymu nie odwracała od nowinek. Uniwersytety mieniali często; szczególniej Frankfurt bywał tylko pierwszym przystankiem wędrówki, zdążającej dalej do Strasburga i Szwajcarji. Dawna matrykuła strasburska zgorzała r. 1870, więc nie możemy dopływu rocznego śledzić, ale list profesora Juniusa (następcy Sturma) z r. 1590 wymienił uczniów z całej wysokiej szlachty, co tu dłużej lub krócej się uczyła. Do Strasburga nęcił wielki pedagog Sturm, jak do Witenberga Melanchton, a Sabinus do Królewca. Lecz nie kończyły się na Niemczech wycieczki młodzieży polskiej; wabiła Szwajcarja, najpierw Bazyleja słońcem Erazmowem, jeszcze przed reformacją; po niej Zurych i Genewa dla Kalwina, Bezy i innych znakomitości. Kończono te wycieczki (jeśli ich nie zaczynano) Włochami; Padwa, Bolonja, Rzym były etapami włoskiego pobytu, — nader hałaśliwego w Padwie i Bolonji, gdzie o burdy i waśni narodowe trudno nie było, cichego w Rzymie. O Francję zaczepiano wyjątkowo, ale Orlean, Paryż widywały Polaków; Belgję i Holandję, katolickie Lowanjum i protestanckie Leyden dopiero w wieku siedmnastym nawiedzano tłumniej (nieraz po kilkunastu w jednem półroczu), jak i niemiecki Ingolstadt i Gratz (oba katolickie, poczęści jezuickie).

Uderza nadzwyczajna ruchliwość młodzieży, mieniającej coraz uniwersytety, nieraz po kilku miesiącach; prawda, że niekiedy przyczyny zewnętrzne, np. wybuch zarazy albo spory studentów z radą miejską, przyspieszały wyjazd; to znowu długi czy obawa przed uwięzieniem płoszyły innych. Można też wątpić, czy studja bywały głębokie, czy pilni nie należeli do wyjątków, czy panicze możnych rodów nie dla mody i popisu tylko wyjeżdżali. Wyjeżdżali bardzo młodo, w czternastym lub piętnastym roku życia (wyjątkowo jeszcze wcześniej), tak że wolno przypuszczać, iż wrażenia, jakie w tych latach odnosili, nie zmieniały przyrodzonych skłonności, co po powrocie w otoczeniu domowem odżywały. Ależ nieraz nasuwają się domysły, iż pożycie śród wysoce kulturalnych ludzi, śród gorących wielbicieli wolności sumienia, wpływało tak dodatnio na wychowanków, że nawet po odstąpieniu od nowinek a powrocie na łono katolicyzmu nie wyzbywali się tolerancji zasadniczej wyznaniowej (Jan Zamoyski przedewszystkiem), nie pałali nienawiścią przeciw opuszczonemu zborowi; wyrozumiałość wynosili np. z Bazylei, od Włochów tamtejszych, gorszących się srogim rygoryzmem genewskim, zaciekłością Kalwina i Bezy; tu wchodzą w grę wsze-

lakie *imponderabilia,* które łatwiej wyczuwać niż stwierdzać. Wiele zależało i od preceptorów-guwernerów tej młodzieży; byli tacy, co się systematycznie tem parali, np. Łasicki lub Tręcy; skargi na nich są wyjątkowe (np. nieludzkie skatowanie ucznia).

Ze szkół, czy akademickich, czy jezuickich, czy różnowierczych, wychodzili łacinnicy, co się uczyli dla szkoły, nie dla życia, głównie pamięć ćwiczyli, wyrabiali styl, wierzyli w nieomylność starożytnych, których przewyższyć niesposób, którzy kanon sztuki i wiedzy stworzyli. I nasiąkała umysłowość wyłącznemi reminiscencjami «klasycznemi», zapatrzona we wzory nieprześcignione cnót obywatelskich (domowych mniej), a język narodowy naginał się do normy łacińskiej w składni, w szyku słów (nienaturalne przedzielanie przymiotnika od rzeczownika przeróżnemi wstawkami; czasownik na końcu zdania i t. p.), w ich doborze, pstrząc się tą obczyzną. Ta jednostronność, ogólna w Europie, hamowana tam poniekąd przez coraz rosnący, niebawem wyłączny wpływ języka i literatury narodowej, przybrała u nas, pomiatających językiem narodowym, formy ostrzejsze.

NAUKA KRAJOWA. — MEDYCYNA

Wedle świadectwa Kromerowego starali się «do szkół i mistrzów posyłać chłopców i łaciną wczesne ich lata napawać wszyscy, ubodzy jak bogaci, szlachta i lud, szczególnie miejski; wielu utrzymywa w domu nauczycieli; więc nawet śród Włoch nie znalazłby ktoś tylu w pospólstwie, z którymi mógłby po łacinie mówić. Dziewczęta szlachty i mieszczan albo w domu albo w klasztorach uczą się czytać i pisać po polsku, a nawet i po łacinie», a Francuzi Walezego nieraz to ze zdziwieniem stwierdzali. Ale poziom naukowy nie stał u nas wysoko, mimo uzdolnienia, jakiem Polacy za żadnym narodem upośledzeni nie byli. Dlaczego?

Winą niedbalstwo polskie, wada narodowa, której wielu

byli świadomi aż nadto (co np. Rej o tem pisał!), ale jej nie zwalczali; ludzie jak Jan Zamoyski, który wszelkie niedbalstwo tępił, byli takiemi wyjątkami, że według nich sądzić wieku nie wolno. Jeszcze r. 1518, po raz coprawda ostatni, obcy przybysz, wędrowny humanista angielski Jan Coxe, wysławiał w obszernej przemowie uniwersytet *(De laudibus celeberrimae Cracoviensis academiae,* druk spółczesny), ale już opuszczał młody Szwajcar, Rudolf Agricola, uniwersytet wobec braku zachęty, i znikali z niego nietylko obcy uczniowie; liczba nowo wstępujących, 508 w r. 1500 (najwyższa), 476 w r. 1517, od drugiej połowy wieku 200 nie przekraczała, przeważnie mieszczanie z Oświęcimia, Biecza, Kościana, korzystający z różnych fundacyj dawnych. Więc już r. 1551 zaznaczył Maricius (w przedmowie do dziełka o Akademjach), że «albo należy raz nakoniec wesprzeć akademję od tylu lat zaniedbaną, albo każdy dojrzy z łatwością, że nie z winy profesorów kwiat naszego gimnazjum upada, lecz z winy głów państwowych, które nie wiem jak wszelką niemal troskę o gimnazja porzuciły». Dziesięć lat później stwierdzał i Jakób Górski, że w Polsce «nie przedłożono uczniom sztuk wyzwolonych żadnych nagród, żadnych zaszczytów, a mimo to je uprawiamy, zaniedbując pożytków dla samego honoru». Zrozumiemy więc skargę Orzechowskiego (w liście do przyjaciela, grecysty i jurysty Przyłuskiego): u nas ci, coby chcieli, nie mogą pracować, a ci, coby mogli, o nauki nie dbają. Podobną złą wróżbą tchnęły uwagi Kromera i Nideckiego; wedle Kromera «i nasi, gdy ujrzeli, że w cenie są zajęcia językami, wymową i ogładą, chciwie ich się chwycili, ale więcej dla użytku społecznego i powszedniego, niż dla sławy», a dalej: «mają nasi zdolności, ale raczej przyswajają sobie zdobycze innych, aniż by się sami do badań własnych przykładali» (a więc pewna bierność umysłowa). Nidecki zaś twierdził: «skoro na coś w naukach trafimy, pochłaniamy je gorączkowo, nie w spokoju, chwytamy raz jedno, to znowu drugie, bez wszelkiej stałości w uprawianiu

jednego działu nauki i tak chcąc być wszechstronnymi, stajemy się niczem».

Nie brakło ludzi uczonych, brakło nauki, bo do niesprzyjających warunków psychologicznych (wytrwałości niedostatecznej, rozpraszania się zbytniego, niedbałości) przybywały równie niekorzystne zewnętrzne: obojętność sfer rządzących, duchownych czy świeckich, a przedewszystkiem brak warsztatu naukowego, bez którego nauka chromać musi. Główna warstwa inteligencji, szlachta, omijała miasta starannie; w Czarnolesiu czy w jakiem innem ustroniu można tworzyć liryki i morały, pisać psalmy i erotyki, tłumaczyć *Eneidę* i *Metamorfozy*, ale nie pracować naukowo, przy dotkliwym braku książek i ludzi; tego nabywano tylko po miastach. Imponują też mieszczanie swojemi bibljotekami; inwentarze sporządzane dla spadkobierców po jakim lekarzu krakowskim, np. po Różance, zastanawiają ilością i doborem ksiąg, nietylko fachowych. We wczesnem średniowieczu tylko klasztory i kapituły były zasobne w rękopisy; w XV wieku uniwersytet ich dostarczał, ale w szesnastym? Zebrał Zygmunt August znakomitą bibljotekę w Wilnie (przeniesioną do Tykocina), gdzie już ojciec niebogatą w druki, raczej w rękopisy cerkiewne, posiadał (wedle spisu z r. 1510); zakupywał dla niego np. Lismanin książki zagranicą, ale z nich korzystał Nidecki chyba czy Górnicki; książki imponują liczbą i doborem, ale gdyby nie oprawa, pozostałyby chyba nierozcięte — nikt ich nie czytał. Mieli znaczne bibljoteki Kmita, Tarnowski, Ostrogski, cóż dopiero Zamoyski, ale one gubiły się na olbrzymich przestworach, gdzie miast wcale nie było. Bywało o książki trudno; jak uwijał się np. Kmita, aby wydostać z bibljoteki po nieboszczyku Krzyckim ów różnowierczym jadem lekko zaprawiony *Fasciculus rerum expetendarum et fugiendarum* z r. 1535; jak poszukiwanym był *Zodiacus Vitae* Palingenjusza; jak przypominał Kochanowski prymasowi Uchańskiemu, aby mu psałterz obiecany przysłał. Były liczne księgarnie w Krakowie, Lwowie, Poznaniu (o miastach pruskich nie wspominamy), ale z nich korzystali głównie mieszczanie. Spory wyznaniowe rozruszały literaturę, ale przerzedzały jej zasoby; syn odstępca od wiary ojca palił jego książki różnowiercze; motłoch palił, co w brogu lub u arjan znalazł, a nieraz już i kata na rynku dla tego fatygowano; różnowiercy płacili wet za wet, tępili dzieła katolickie, np. Skargi. Po dworkach szlacheckich książki bywały raczej zbytkiem; na Mazowszu czytano, ale polskie, groszowe. Że poza miastami brakło wszelkiego aparatu naukowego, rozumiało się samo przez się, chociaż na zbiory, muzea czas jeszcze i w miastach nie przyszedł; przy uniwersytecie tylko były globusy, astrolabia, inne astronomiczne przyrządy; zbiory roślin przywoźnych były u aptekarza, krajowe lecznicze i inne u bab na trecie; narzędzia miernicze u podkomorzego; książeczka Grzebskiego o miernictwie z r. 1557 jest elementarna, podobnie jak *Algorytm* ks. Kłosa z r. 1538, lub Wojewódki z r. 1554. Przy średniowiecznem traktowaniu nauk ścisłych, zawsze jeszcze oderwanem, książkowem, postępu istotnego nie było; architektury, malarstwa uczono się w praktyce; postępy zagraniczne nie docierały do kraju, bo chyba tylko w mieście, przenigdy na wsi, mogło utrzymywać się jakieś zbliżenie do ruchu umysłowego zagranicą. Całkiem wyjątkowem było znakomite dziełko Olbrychta Strumieńskiego z Mysłowic, rządcy w Balicach, *O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów, także o przekopach, o ważeniu i prowadzeniu wody* z r. 1573: gospodarstwo stawowe, przeniesione ze Śląska, miało w XVI i XVII wieku nadzwyczajne znaczenie, bogaciło kraj istotnie, i Strumieński wywiązał się z swego zadania znakomicie, korzystając z własnego doświadczenia. Podobną wartość techniczną miało dziełko Mateusza Cygańskiego, *Myślistwo ptasze* z r. 1583, najdokładniejszy opis wszelkich możliwych sieci i klatek na łów ptactwa krajowego, którego opisał 136 gatunków: tu odżyła cała zmyślność średniowieczna, co nastawianiem wszelakich sideł i strzały i śruty za-

stępowała. *Księgi o gospodarstwie*, kompilacja średniowieczna Krescentyna, dla Włoch, nie dla Polski były przeznaczone, o co tłumacz (nie Trzecieski, który tylko wierszyk polecający napisał) nie pytał. Natomiast *Gospodarstwo* wojewody rawskiego Anzelma Gostomskiego (r. 1588 i częściej) było raczej instrukcją ekonomiczną, czego wymagać od ekonoma-dozorcy i chłopów, jak prace rozdzielać i t. p., ściśle do rolniczej praktyki polskiej zastosowane, bardzo «umiejętnie» wyzyskujące bezpłatną robotę pańszczyźnianą, ale liczące się — w dobrze zrozumianym interesie własnym — z ludzkiem traktowaniem chłopa, bez zbytniej pobłażliwości coprawda. Jedno z nielicznych oryginalnych dzieł polskich, których brak odczuwano.

Niedarmo wołał Krzysztof Warszewicki: cokolwiek wiemy i umiemy, zawdzięczamy obcym szkołom i nauczycielom. Jeżeli do której innej dziedziny, toć najbardziej do medycyny te słowa należały; byli słynni lekarze, nawet sławy europejskiej, jak Poznańczyk Józef Struthius, którego Soliman II z Carogrodu nie chciał wypuścić, a Filip II napróżno do Madrytu wzywał, ale nie było «medycyny» (nauki) w kraju. Od pierwszego doktora medycyny padewskiego (magister Aimericus Polonus), promowanego na początku XIV wieku, nie było lekarza, któryby nie z zagranicy dyplom doktorski przywoził: wszyscy nasi lekarze, to Padewczycy albo Bolończycy, rzadziej z Montpellier, i wielu obcych między nimi, Niemców, Włochów, Szkotów (Fox, lekarz i astrolog Zygmunta Augusta), Węgrów, Żydów. Praktyce lekarskiej i zbieraniu obcych dzieł lekarskich oddawali się nasi; sami nie pisywali nic, chyba jakieś tłumaczenie jakiegoś tekściku greckiego, bo odżycie skostniałej medycyny polegało w pierwszym rzędzie na odnowieniu znajomości bezpośredniej dzieł greckich; oryginalne prace należały do białych kruków, np. Józef Struthius zasłużył się badaniami tętna, jego *Artis sphygmicae* księgi wydano zagranicą (w Bazylei i Wenecji) trzykrotnie; sam uczył przez dziesięć lat w Padwie i niechętnie się

z nim tam rozłączono; zresztą wiele tłumaczył Galena i in. Mniejszej sławy i zasługi był inny Poznańczyk, Stanisław Niger Chróścieski, lekarz Górków; jego oryginalne dziełka niewiele znaczyły. Lekarzem miejskim w Krakowie był między innymi Ślązak Anzelm Ephorinus, co z Krakowa wyjechał jako «filozof» (tłumacz Plinjusza) i mentor młodego Bonera i Ajchlera, których i do Erazma do Fryburga odwiózł, a wrócił po kilku latach jako doktor medycyny padewski. List polecający do Erazma wręczył mu inny lekarz krakowski, jeszcze słynniejszy niż Anzelm, Jan Antonin z Koszyc, który nawet Erazma leczył. Zięciem tego Antonina był Szwajcar z Zurychu, Antoni Schneeberger, który najwięcej z lekarzy w Polsce pisywał: o powietrzu morowem (szwagier przetłumaczył to na polskie r. 1569); o zdrowiu żołnierskiem, jak je wspierać; o używaniu soli w medycynie; o pijaństwie i in.; drukowano je jeszcze w XVII wieku; uczeń i przyjaciel innego Zuryszanina, słynnego polihistora Gesnera, ułożył spis roślin łacińsko-polski, wydany r. 1557, i przysłużył się do ustalenia imiennictwa botanicznego. Padewskimi doktorami medycyny byli Walenty z Lublina, wydawca dzieł swego mistrza Montana, i Stanisław Różanka, Krakowianin; Różanka był lekarzem Tarnowskich, wydawał dziełka innych. Takich doktorów filozofji i medycyny było sporo; między innymi kanonik krakowski Joannes Solfa Benedicti, Stanisław Picus Zawadzki (wkońcu profesor medycyny) i in. Jak się lekarze włoscy, Blandrata, Alciato, Ant. Niger, zapisali w dziejach wyznaniowych polskich, o tem była wyżej mowa; godni ich byli i następcy, lekarze Batorego, Buccella i Simonius, słynni i z polemiki z powodu leczenia króla, i z arjańskiego wyznania.

Sztuka lekarska odgrywała w życiu spółczesnem walną rolę; spustoszenia świeżej choroby przywoźnej (np. u biskupa Zebrzydowskiego i in.), nadmiar używania napojów a niehygieniczne życie wydawały inteligencję lekarzom na łaskę i niełaskę; hymn Kochanowskiego do «szlachetnego zdrowia» świadczył,

jak je ceniono; to też wzmianki o lekarzach częste. Ile razy przewijała się np. osoba krakowianina Jakóba Montana, doktora bolońskiego, w *Fraszkach* Kochanowskiego, jak bogato był ten plebejusz nadany za lekarskie usługi Padniewskiemu biskupowi, a gdy zawakował kanonikat teologiczny, zawinął się doktor medycyny tak prędko z doktoratem teologicznym, że uczciwi kanonicy daremnie przeciw wygodnym aż nadto rygorozom protestowali. Nazwisk lekarskich pełno; podszył się i Rej pod lekarza «Adriana brandenburskiego» (tego samego, na którego zgon Kochanowski fraszkę napisał), gdy drugie *Facecyj* wydanie przygotowywał, które Rojzjuszowi dedykował; ależ to byli wszystko praktycy i wkład ich do literatury medycznej bardzo nieznaczny; taki np. doktor kapituły poznańskiej, Stefan Mikan, świecki powiernik Hozjusza, napisał dobry podręcznik dialektyki, kilkakrotnie wydawany, ale tylko jedno marne pisemko medyczne, a medyk Zygmunta I, Adam Bochyn, napisał pierwszą napoły oryginalną dyskusję dramatyczną (o wyborze stanu, żenić się czy nie, i t. d.) r. 1507, lecz w medycynie o nim zupełnie głucho.

FILOLOGJA. PRAWO. HISTORJA

Nieco lepiej miała się rzecz z drugą nauką, którą szkoła szesnastowieczna głównie, jeśli nie jedynie, uprawiała, z filologją klasyczną. Niema tej bez greki; jakże było z nią w Krakowie? Zagaili ją dwaj Włosi, świeżo do Krakowa przybyli, jurysta Joannes Sylvius Amatus Siculus (w głębokiej starości niezdarny nauczyciel Zygmunta Augusta za fatalnym wpływem Bony) i lekarz-humanista wędrowny, Constanzo Claretti de' Cancellieri z otoczenia Ciołka; zapaliła się nowością młodzież; Sylvius zamawiał u Alda w Wenecji 100—200 egzemplarzy tekstów i zapewniał go, że, skoro Arystoteles i inni Grecy zaczną przemawiać, będzie w Krakowie do tysiąca słuchaczów, a w państwie całem niezliczone ich mnóstwo; po dwu latach twierdził Claretti, iż

ustalił tu takie podstawy greczyzny, że pamięć ich długi czas przetrwa; kilku uczni istotnie wychował. Oficjalnie jednak nie przedostała się greka wcale do uniwersytetu i chyba prywatnie jej uczono; dopiero r. 1520 ogłosił na uniwersytecie wykład gramatyki greckiej Ślązak z Legnicy, Jerzy (Libanus), filolog i muzykolog, co jednak uniwersytet rzucił,.a wydał nawet 1535 r. osobne pisemko, *Upominanie do uczących się greki (Paraclesis i. e. adhortatio* etc.); równocześnie z nim Hegendorfer w Poznaniu w gimnazjum Lubrańskiego ją wykładał i zjawiały się odtąd co kilka lat na uniwersytecie luźne wykłady autorów greckich; Maricius dwie mowy Demostenesa na łacinę przełożył, 1546 i 1547, poparty udziałem słuchaczów, wykładał i Albertus Novicampianus Greków, ale obaj porzucili wnet niewdzięczną służbę: Maricius studja wszelkie pożegnał, Nowopolczyk jeszcze teologją przed rychłą śmiercią się bawił. Grecystą był też prawnik Przyłuski, Mazur, który wiersze greckie kleił i *Iljadę* na łacinę tłumaczył. I takich uczonych było przez cały wiek sporo: Jan Kochanowski i Szymon Szymonowic (wdzięczny uczeń Skaligera, mniej fortunny wydawca rękopisów greckich zamoyskich, które Herburt z Konstantynopola przywiózł), Stanisław Warszewicki (uczeń Melanchtona, później jezuita, przetłumaczył pierwszy na łacinę romans grecki Heliodora), Andrzej Trzecieski (poeta humanistyczny jak Kochanowski i Szymonowic), Stanisław Iłowski (uczący greki w szkole płockiej), Stanisław Grzebski (kolega Kochanowskiego z Królewca, uczący na uniwersytecie greki obok Jak. Górskiego i Grzegorza Samborczyka), i inni. Ale u tych wychowanków obcych uniwersytetów trudno ocenić, co z kraju wynieśli. Najbardziej zasłużyli się około krzewienia nauki starych języków (i hebrajskiego) obaj biskupi krakowscy, kanclerze uniwersytetu, Tomicki i Maciejowski; Tomicki opłacał z własnej kieszeni nauczyciela hebrajszczyzny, neofitę Leonarda Dawida; Jan van den Campen dla niego gramatykę hebrajską wydrukował; on wspierał Libana i in.; Maciejowski powołał dla hebraj-

szczyzny Stankara, a dla łaciny Włocha Piotra Illicina, który rychło umarł. Mimo tych zabiegów nie zakorzeniła się greka w murach krakowskich, nawet zabiegi jezuitów rzeczy nie poprawiły.

Jedyne samoistne dzieło filologiczne wydał Nidecki, uczeń padewski; zebrał w Bieżanowie u kanonika Myszkowskiego, który nadzieje humanistów jako biskup krakowski niezupełnie urzeczywistnił, fragmenty Cycerona i ogłosił w Wenecji z obszernym komentarzem r. 1561, a znacznie rozszerzone r. 1565, praca, o której niesłusznie nowsi zapomnieli; przy filologji i on nie wytrwał. Jeżeli kilka przyczynków do realjów starożytnych (Zamoyskiego i Grzebskiego) pominiemy, jakiż to ubogi plon naukowy; spór Jak. Górskiego i Ben. Herbesta o budowę okresów-perjodów retorycznych, czy mają zawierać zupełnie zaokrągloną myśl czy się tego nie wymaga, był dosyć jałowy, chociaż wiele piór poruszył; pierwszy to turniej «literacki» a raczej «gramatyczno-dialektyczny» w Polsce — i ci obaj przeciwnicy, za wzorem innych, filologję dla teologji, pedagogikę dla polemiki religijnej porzucili.

Drugie najcelniejsze dzieło filologiczne, to łacińsko-polski słownik Jana Mączyńskiego, *Lexicon latino-polonicum ex optimis latinae linguae scriptoribus concinnatum* (Królewiec 1564), wielki foljant, zapełniający nakoniec dotkliwą lukę. Nie było dotąd w Polsce najniezbędniejszego dzieła słownikowego; średniowiecze przekazało tylko drobne jego próbki, zbiory słówek fachowych, np. prawniczych albo botanicznych (tych było najwięcej, najznakomitszym był spis Stanki, doktora medycyny i kanonika, z r. 1472, obejmujący 423 roślin a 219 zwierząt), albo wybór trudniejszych słów Nowego i Starego Testamentu, t. j. mamotrepty: Czesi wyprzedzili nas wtedy olbrzymio. W XVI wieku zaczęły się pojawiać małe słowniczki, wokabularze, nieraz kilkujęzykowe, łacińsko- niemiecko- (węgiersko- włosko-) polskie, i rozmówki elementarne, wedle wzorów obcych, Murmeljuszów i in.; jeden z nich, dla dziewcząt krakowskich, żeby postępami w polszczyźnie rodziców radowały, często przedrukowywano, później w Królewcu, gdy w Krakowie dziewczęta i bez wokabularza po polsku mówiły. Młodego Mączyńskiego wysłał poznański biskup Branicki dla dalszych studjów zagranicę; był w Witenbergu u Melanchtona; w Strasburgu w gimnazjum Sturma wpłynął na niego znakomity słownikarz Dasypodius (który wydał też wcale ceniony łacińsko-niemiecki słownik, drukowany jeszcze w XVII wieku), że pomyślał o podobnym łacińsko-polskim, i korzystając z gotowego wzoru, uwzględniając i niejedno inne źródło, w Zurychu chyba do jego wykończenia przystąpił. Między Niemcami przejął się zupełnie różnowierstwem, w Szwajcarji został kalwinem i o słowniku zapomniał, nawet pobyt włoski (w Padwie) umocnił go tylko w antyrzymskim kierunku. Po powrocie do kraju, świetny latynista, wstąpił do kancelarji litewskiej dla listów łacińskich i do służby sekretarskiej u Mikołaja Radziwiłła Czarnego, kanclerza; z pod jego pióra może wyszła cięta odpowiedź Radziwiłła na list Lipomana, mający go nawrócić; śród prac i rozjazdów leżał słownik odłogiem, gdy dwaj «Prusacy», Malecki i Radomski, zgłosili się z wydaniem łacińsko-niemiecko-polskiego Dasypodiusa i poczęli się starać przez księcia Albrechta o uzyskanie przywileju-monopolu u Zygmunta Augusta, któryby ich prawo autorskie wieczyście warował. Ubiegł ich Mączyński, podejmując druk swego dzieła w Królewcu, Maleckiego zbył korekturą. Słownik zalecali gorącemi pochwałami katolicy, jak Doktor Hiszpan (Rojzjusz) lub Jan Kochanowski, była to istotnie znakomita praca, acz nie wolna od narzeczowych (sieradzkich) naleciałości, od przejmowania miejscami czechizmów i germanizmów, od niezawsze szczęśliwych nowotworów (szczególnie słów złożonych), od wycieczek przeciwkatolickich — te zastrzeżenia nie zdołają uchybić zasługom istotnym dzieła, niedocenionego ani przez spółczesnych, ani przez późniejszych; żywa to kopalnia staropolszczyzny, której najjędrniejsze zwroty szczę-

śliwie łacińskim przeciwstawia. Dział drugi, polsko-łaciński, pozostał w zapowiedzi autora, którego spory wyznaniowe zupełnie pochłonęły; przeszedł wkońcu, co i protektor jego Radziwiłł zamierzał, do arjan.

O literaturze politycznej, mianowicie o podstawowych dziełach Frycza-Modrzewskiego, Wolana, Warszewickiego, Goślickiego zob. niżej; obok nich były liczne, napoły deklamacje humanistyczne o królu, hetmanie i t. p.; dalej o sprawach aktualnych, np. o tureckiej. Szlachta (i króle obaj) przezornie się od niej odsuwała, ale publicyści wszelacy za nią gardłowali, szczególniej po każdej katastrofie, więc gdy Buda padła r. 1541, lub gdy przy końcu wieku Habsburgowie o Węgry tureckie walczyli; nie kuszono się jednak r. 1595 o nowe *Turcica,* lecz poprostu przedrukowywano dawniejsze, np. *Tranquilli Andronici Dalmatae ad optimates polonos admonitio* z r. 1545 (do J. Tarnowskiego; powtórzył «Łazarz» r. 1584 z przedmową Jakóba Górskiego); wydawano wszelkie mowy posłów austrjackich i papieskich. Najsłynniejsze były *Turcica* Orzechowskiego z r. 1541 i 1544, odrazu na polskie i niemieckie tłumaczone, a przez Łazarza przedrukowane; najwytrwalej walczył Krzysztof Warszewicki, począwszy od obszernego poematu polskiego *Wenecja* z r. 1572 aż do trzech, a później czternastu *Turcyk* (niby na wzór *Filipik),* wydawanych i u Łazarza i w Pradze. Schemat wszelakich turcyk ten sam: najpierw nawoływanie mocarstw chrześcijańskich do zgody, do ligi, bo jedno nie podoła, wraz z utyskiwaniem, że herezja sprzyja Turkowi; dalej groźba, że Turek zabierze jeden chrześcijański kraj za drugim, jego zapewnienia pokojowe to złuda do czasu; nakoniec, że ludy bałkańskie czekają hasła, wstaną jak jeden mąż; to się odmieniało na wsze łady. Temi deklamacjami pacyfizmu szlacheckiego nie wzruszono, szlachta przeciwnie znienawidziła kozaków, że zagrażali dobremu z Portą pożyciu przez swoje wycieczki; znoszono nawet dlatego nabiegi tatarskie, zdobywano się na wiersze:

«Wieczna sromota i nienagrodzona szkoda» i t. d., ale nikomu się nie śniło (oprócz ludziom kresowym) wychodzić poza platoniczne oburzenie. I jeszcze przez najdłuższy czas miało to tak pozostać; nawoływania literatury zawiodły zupełnie — nie w tym jednym razie zresztą. A zadawała sobie nieraz rzetelną pracę, szczególniej ks. Piotr Grabowski w *Zdaniu syna koronnego o pięciu rzeczach Rzeczypospolitej Polskiej należących* (r. 1595), gdzie jak najstaranniej obmyślał środki finansowe dla wystawienia stutysięcznej armji, bo zwykły pobór ledwieby na balwierzów dla tej armji starczył a pospolite ruszenie na Turka tak «niestworne jako cielę na zając»; i on prawił o tem proroctwie, co Turkowi zgubę od północy wieszczy; jeśli nas stłumi, to i Moskwa turecką się stanie, tem łatwiej, że już i tak «wiele mohameckich obyczajów używa». Jeszcześmy silni, mamy więcej niż 300.000 wsi, sami chłopi miljon włók osiadłych mają i t. d. Lecz i liczne memorjały, jakie senatorom podawał, i obliczenia (sangwiniczne) wszelkich możliwych podatków i dochodów wrażenia nie wywołały.

Byli prawnicy liczni, kilku obcych — np. Hiszpan Garsias Quadros, którego sprowadził Ciołek, Petrus Royzius, wezwany przez Gamrata, — wielu swoich, lecz studjum prawniczego nie było. Widać to np. z biografji Piotra Tomickiego, słynnego z humanizmu biskupa krakowskiego (1523—1535). Wuj, Andrzej Szamotulski, wojewoda poznański, wysłał chłopię do najlepszej szkoły wielkopolskiej, gnieźnieńskiej, potem na cztery lata do Lipska, dla niemczyzny, dalej do Krakowa; robił młodzian nadzwyczajne postępy, jego dysputacjom przysłuchiwały się tłumy młodzieży, które go solennie odprowadzały do stancji. Ale wuj nie chciał mieć z niego bakałarza, wysłał go do Bolonji, aby «prawa się uczył a wymową je okraszał»; słuchał humaniora u Filipa Beroalda, a prawa u Hiszpana Antoniego Burgo i po czteru latach doktorat uzyskał, poczem dla nabycia praktyki do Rzymu się udał; sam później przy swojej kaplicy

prebendę o 24 grzywnach dla profesora prawa rzymskiego ustanowił i patronat kanonistom oddał. Tak mniej więcej kształcili się wszyscy prawnicy polscy, oddani zazwyczaj praktyce, teorji (jak i Tomicki) nie piastując wcale; nic dziwnego, skoro prawa rzymskiego chroniono się jak trucizny: Orzechowski gratulował Polsce, że się tego jadu nie chwyciła, i sarkał na obcych, co go do Polski zawodzą.

«Doktor Iszpan»[1] Royzius, którego Gamrat w Rzymie dla Krakowa 1542 r. pozyskał (pobierał około 300 zł., ale wspierali go Gamrat i Maciejowski), nie wytrwał przy uniwersytecie, przeniósł się do służby królewskiej w Wilnie i wydał kilkanaście wyroków *(Decisiones rotae)* — wzorów praktyki sądowej w kilku materjach; ciągu dalszego nie było; ten humanista nie był wcale poetą, wierszów mnóstwo panegirycznych płodził, obrońca katolicyzmu (przeciw Trzecieskiemu inteligencji katolickiej w swojem *Chiliastichon* świadcząc). Zresztą trudniono się i zbieraniem dawnych praw (począwszy od Statutu, wydanego przez Jana Łaskiego 1506 r.), korekturą ich (Taszyckiego, z polecenia komisji sejmowej, odrzuconej przez sejm, obawiający się o swoje przywileje), opracowaniami: najobszerniejsze w istnej encyklopedji prawniczej, w Statutach Jakóba Przyłuskiego (klienta Kmity), który w olbrzymim foljancie wtaczał do praw wycieczki nieskończone na wszelkie tematy społeczne, polityczne, wyznaniowe nawet, ale po raz pierwszy komentarz do tych praw wygotował. W zwykłej praktyce posługiwano się zbiorem statutów kasztelana Herburta i jego polskiem tłumaczeniem, systematycznem, lecz w abecadłowym porządku ułożonem, więc nie zadowalało, i przy końcu wieku podjęło się kilku tej pracy, której sejmy (od r. 1587 do 1600) się domagały (ułożenia w języku polskim, skrócenia procesu i korektury praw lokalnych), ale rzecz do

———

[1] Polak w słowach obcych, szczególnie niemieckich, *h* nagłosowe stale omijał, więc *alzbant, antfas* 'Handfass' i t. p., więc zawsze *Iszpan.*

końca nie doszła. Więc wydał eksminister kalwiński i historyk St. Sarnicki r. 1594 *Statuta i metryka* (teksty i formularze) *przywilejów koronnych,* przełożywszy je pięknym językiem polskim i ułożywszy systematycznie w dwunastu księgach (o królu; duchownych; wojewodach; marszałkach i t. d., i ich funkcjach), ale układ jest wcale prymitywny a tablice systematycznego ujęcia nie trafnie zestawione (wedle kategoryj prawa rzymskiego); w każdy sposób był to postęp wobec Herburta. Ks. Januszowski pod wpływem Sarnickiego r. 1600 wydał *Statuta,* bardziej systematycznie, lecz króciej. Najlepiej, górując prawniczem ujęciem nad oboma poprzedniemi, Paweł Szczerbic (pod patronatem J. Zamoyskiego) wykonał swoje *Promptuarium* r. 1604. Mniejsze broszury prawne, gęstsze na początku XVII wieku, z tego samego prądu kodyfikacyjnego wynikłe, pomijamy. Nie wydał więc wkońcu ten prąd bynajmniej dzieła, coby oficjalnie przyjęto, i zostało wszystko po dawnemu.

Podstawowego dzieła historycznego, jakieby się z Annałami Długoszowemi równać mogło, wiek wcale nie dostarczył, chociaż sam kunszt dziejopisarski, o wzory obce oparty, znaczniej się wzniósł. Długosza nietylko nie zastąpiono, ale nawet nie wydano. Już Orzechowski skarżył się, «iż ten polski tak zacny historyk na świat ludziom wydany nie jest, a iż się on po kąciech u panów tylko walca»; za przyczynę podawał «zmazy wielkie Polaków i domów polskich, czemu ludzie folgując Długoszowi na świat dotychmiast nie dali». Dla tych samych powodów wstrzymano i w następnym wieku druk najpatrjotyczniejszej księgi! I inne mamy okazy nadzwyczajnej drażliwości co do drukowanego słowa; nie dosyć duchownej, i świecka cenzura (panów rad koronnych) obruszyła się np. na kilka ustępów w kronice Miechowity, o pięknej Zośce, o klęsce bukowińskiej, o życzeniach poddanych, aby króla (Aleksandra) niebo rychło przyjęło; wymogła cofnięcie wydania pierwotnego i dozwoliła nowego po skreśleniu owych ustępów. Miechowczyk był to je-

dyny profesor, co Długosza zlecenie swego dzieła uniwersytetowi zbożnie wykonał i, skracając je, do r. 1506 opowiadanie doprowadził. To samo uczynił również kanonik krakowski Biernat Wapowski, ale i jego skrót Długosza a poprowadzenie wątku dalszego nie ujrzało światła dziennego; korzystał z rękopisu Marcin Bielski. Zresztą w pierwszej połowie wieku nie okazało się żadne większe dzieło historyczne; jedyny Decjusz (Dietz), przybysz z Alzacji, sekretarz i wierny sługa Zygmunta, opisał pierwsze tegoż dziesięciolecie i śluby z Boną, a poprzedził to dwutomikowem streszczeniem dawniejszych dziejów, prostą kompilacją. Nie poskąpił wszelakich rysów obyczajowych, o odmianach w życiu i stroju polskim, o żydzie badanym w kościele N. P. M. przez inkwizytora-dominikana wobec profesorów, broniącym się dzielnie, potem spalonym (spalono r. 1539 siedemdziesięcioletnią kobietę o judaizm posądzoną, Katarzynę Weiglową Melchiorównę, za bluźnierstwo, która na stos jakby na wesele poszła). Z dalszego ciągu rękopiśmiennego korzystał też Wapowski.

W drugiej połowie wieku odmieniło się wszystko, milczenie pierwszej wetowano. Z polecenia królewskiego pisał St. Orzechowski dzieje pięciolecia po śmierci Zygmunta, żywo, barwnie, lecz przesadzał w szczegółach, wysuwał np. dzieje swego ożenku jako rzecz najwalniejszą; naturalnie pozostało i to w rękopisie, aż się nad nim Herburt zmiłował. Do druku dostały się dwa bardzo pożyteczne dzieła Marcina Kromera, który biskupem warmijskim umarł; jedno *(Polonia)* z r. 1577 opisywało kraj i ustrój, sumiennie i dokładnie, z wielu trafnemi uwagami (niejedną powtórzyliśmy); w drugiem skracał Długosza i Miechowitę i ubrał dzieje polskie w tę wyborową łacinę, której nasi humaniści dawno dla nich wymagali; niemieckie tłumaczenie pojawiło się natychmiast, polskie w pół wieku później (nieco cięższe, bo nadto dosłowne). O własnych studjach nie było u Kromera mowy, chyba u samego wstępu zdobył się autor na trafne

uwagi o pradziejach, protestował przeciw szafowaniu niezdarnemi etymologjami, przeciw mieszaniu Germanów i Słowian, ależ to nie znalazło posłuchu, bo odzierało naród z sławy; *Dzieje* same, które Kromer, gdy Hozjusz się ich zrzekł, za podszczeniem Z. Augusta dawnem (1544) spisał, aż do Naruszewicza cieszyły się w kraju i zagranicą największem uznaniem, stworzyły kanon historji polskiej do r. 1506, bo dalej przezorny historyk nie sięgał, którego szlachta i tak za jego nieposzanowanie izby poselskiej («dudy nadymywane przez panów») niechętnie widziała. Kromera dzieje skrócił i poprowadził do roku 1548 kasztelan Herburt (1571, liczne wydania), co dla Walezego i Francuzów 1573 r. na francuskie przełożono; był wtedy w Europie większy popyt na rzeczy o Polsce, więc Jan Krasiński filologowi Sygonjuszowi i Włochom Polskę szlachecką króciej wystawił.

Po nich już tylko Stanisław Sarnicki, kompilator, o całość dziejów polskich się pokusił *(Annales* 1587 r. w ośmiu księgach, do r. 1586), ale nie zadowolony «Sarmatami», aż do Noego i Assarmota sięgał; opisywał i sam kraj, dał jego obszerną mapę r. 1585; wkońcu, sam nie żołnierz, z lektury starożytnych *Księgi hetmańskie* (nie drukowane, aby tajemnic nie zdradzać! szerzone w odpisach tylko) wypisał. Ciekawy to człowiek, bo z gorliwego ministra kalwińskiego, jedynego, co bronił gorąco zboru przeciw Grzegorzowi z Brzezin, zakopał się na wsi i tu przeszedł na historyka i prawnika, pisząc po polsku i łacinie; zamłodu w Królewcu chował się kosztem księcia Albrechta, na starość od Zygmunta III 1000 fl. za usługi jako pisarz otrzymał. Dobry patrjota, ale słaby historyk, czerpiący z obcych (np. Stryjkowskiego, chociaż go nie wymieniał), zato dosyć górnego o wartości dzieła mniemania; jedno jego zdanie z *Ksiąg hetmańskich* było arcytrafne: pogardzał pospolitem ruszeniem i zaciągał do wojskowej służby chłopów i mieszczan.

Najszersze pomysły roztaczał oddany Habsburgom Krzy-

sztof Warszewicki, który się wkońcu z losem, Zygmuntem i teologją pogodził. Jedyny u nas, którego dzieje powszechne stale nęciły, układał tablice synchronistyczne, pisał jak Plutarch paralele-biografje pierwszych i ostatnich królów rodu tego samego, czy kraju, wiele rzeczy zaczynał, z dziejów po r. 1572 wykonał tylko księgę I, III i XIII; próbował się i jako mówca, czyto naród szlachecki «turcykami» do św. ligi wzywał, czy za wiarą przodków piorunował; pierwszy spis autorów polskich sporządził.[1]

Nie był liczniejszy zastęp tych, co dzieje spółczesne kreślili. Dzieło kalwina Orzelskiego łacińskie o bezkrólewiu 1572—

[1] Warszewicki jest niezwykłem zjawiskiem śród pisarzy polskich; żaden z nich nie obejmował tak szerokich widnokręgów; Warszewicki znał dzieje wszystkich państw europejskich i coraz z tych dziejów korzystał, niewyczerpany w anegdotach, porównaniach, maksymach. Jego *Paralele* Plutarchowe z r. 1603, poświęcone cesarzowi Rudolfowi II, wywołały w Polsce ostry sprzeciw. Dwie trzecie całej książki zawarły portrety i porównanie pierwszego i ostatniego Jagiellona, z widoczną przeciw Zygmuntowi Augustowi niechęcią, wywołaną klerykalizmem autora, który nie mógł wybaczyć królowi niezwalczania różnowierstwa. Był on wedle autora intrygantem; w nocnych schadzkach z posłami pobudzał ich do opozycji przeciw magnatom; ubliżał ojcu, aby się z pod tegoż opieki wyswobodzić; rozrzucał pieniądze na konie i kawalkatorów; protegował ludzi nauki przeciw ludziom czynu; zabobonnik, ciężyła nad nim fatalna siódemka (umarł 7. VII., siódmy Jagiellon); wierzył astrologowi belgijskiemu, że będzie lat 72 żył, skoro przekroczy 1. VIII. 1572 r., i z niecierpliwością każdego dnia o kalendarz pytał. Opinja, wrażliwa aż nadto, nie zniosła tych (niezawsze ścisłych czy pewnych) bogatych informacyj; St. Grochowski w *Jagielle wzbudzonym* r. 1603 dialog króla z kanclerzem Dębieńskim zmyślił, gdzie król siebie bronił i wykazywał, jakie czyny jego Warszewicki pomijał; i stary sługa króla, Okuń, ujął się za swym panem. Pierwsza to polemika literacka obok zwykłych teologicznych czy politycznych. Z politycznych dzieł należy tu Warszewickiego dialog między Orzechowskim (anarchistą) a kanclerzem (konserwatystą) o «najlepszej wolności»; liczne teologiczne prace (rozmyślania i t. p.) nie miały większej wartości. Poplecznik to Habsburgów.

1574, bardzo staranne, obszerne, sumienne, zaległo niestety w rękopisie. Drukiem wydał, i licznych napaści się nabawił, Prusak Reinhold Heidenstein, prawa ręka Zamoyskiego, pisane na wzór Cezara *Komentarze o wojnie moskiewskiej*, całkiem w duchu Batorego i kanclerza, czerpane z źródeł urzędowych, z listów Piotrowskiego, poważne i wymowne; sam Zamoyski brał w tem dziele znaczny udział. Inne obejmowały drobniejsze okresy i sprawy, wojnę Gdańską i t. p.; o polskich rzeczach Bielskich, Stryjkowskiego, Paprockiego zob. niżej. Z powodu Stryjkowskiego wymieniamy i Włocha, rotmistrza Aleksandra Gwagnina, którego Stryjkowski o plagjat oskarżał: jego *Sarmacja Europejska* opisywała nierównie obszerniej i dokładniej niż niegdyś Miechowita Wschód Europy; tłumaczenie niemieckie pojawiło się natychmiast, czeskie po dziewięciu latach, polskie po trzydziestu (r. 1611).

ASTRONOMJA. GEOGRAFJA. PODRÓŻE

Brakło w innych działach nauki oryginalności, zastąpiła je wszystkie stokrotnie astronomja; jeśli bezstronny obcy r. 1495 zapisał, że kwitnie ona w Krakowie tak, iż w całych Niemczech nie znaleźć słynniejszej, to rok 1543 obdarzył świat najdojrzalszym jej płodem, dziełem *De revolutionibus caelestibus* toruńczyka Kopernika. Nie tu miejsce rozwodzić się nad znaczeniem odgadnięcia tajemnicy mechanizmu systemu słonecznego, nad zastąpieniem odwiecznego geocentryzmu przez nowy heliocentryzm; książka wyszła zagranicą, poniekąd sfałszowana przez wydawcę, ministra luterskiego Osiandra, który apodyktyczne twierdzenia Kopernikowe w niewinną formę przypuszczeń osłabiał; u nas ona narazie zupełnie przemilczana (Luter odzywał się przeciw niej). Ani tu miejsce pytać, czy sam pobyt krakowski byłby wystarczył na wypielęgnowanie owego odkrycia — nas obchodzi tu Kopernik jako przedstawiciel spółczesnej

kultury. Bo był to typowy wyższy duchowny (kanonik) renesansowy: wszechstronny, ruchliwy, mąż nauki i czynu, nie zasklepiony w pracowni i obserwatorjum. On zarządzał kluczem kapitulnym jako wzorowy gospodarz, budował wodociągi (w Frauenburgu), walczył jako delegat kapituły na sejmikach pruskich, zaradzał przeciw spodleniu monety pruskiej w traktatach łacińskich i niemieckich, świetnie, z głębokiem zrozumieniem całego problemu napisanych; wiersze łacińskie tylko zamłodu układał, ambicji wygórowanej nie posiadał, zadowolił się frauenburskim kanonikatem na całe życie, ziemicy swej pruskiej oddał się zupełnie. Umysł jasny, przejrzał sprzeczności geocentryzmu, ale nie zadowolił się tem, jak inni, lecz usunął je wraz z całym systemem, stworzył na jego miejsce inny, jedyny prawdziwy, i myśli ludzkiej nakreślił nowe tory.

Obok niego, acz bez jego genjuszu, pracowali na tem polu inni wychowankowie studjum krakowskiego, Marcin Biem z Olkusza, którego traktat o poprawie kalendarza z r. 1517, zapomniany, po wiekach wydobyto: krakowska to odpowiedź na zapytanie soboru laterańskiego, wystosowane do akademji, wcale trafna, zgodna poniekąd z istotną późniejszą reformą gregorjańską. Tę przyjęła katolicka Polska bezzwłocznie, broniła jej przeciw szyzmie, obstającej (jak poniekąd i różnowierstwo) przy kalendarzu juljańskim niby jako artykule wiary; jezuici bronili grzegorzowego, poniekąd i przeciw akademji, bo śród niej mistrz Latosz wystąpił z ostrą tegoż krytyką, zbyt nalegając na pewne jego niedomagania,[1] gdy Poznańczyk Swinarski w dziełku wydanem w Niemczech lepiej się mu przysłużył. Do kolegów i znajomych Kopernika należał jeszcze Biernat Wapowski, kanonik krakowski, zawołany w obserwacji, która kwitła w Krakowie przez

[1] Słusznie jednak protestował Latosz przeciw zarzutom o niewiarę, bo kalendarz «nie z wiary, ale z nauki i demonstracji ustanowienie i utwierdzenie swoje bierze».

cały wiek, ale bardziej znany jako historyk (streszczający i prowadzący dalej dzieło Długoszowe) i pierwszy geograf: wydał przecież Ungler w Krakowie jego mapę Polski w trzech kartach (przywilej królewski z r. 1526), dziś nieodszukaną, równie jak późniejsza mapa Grodeckiego: z obu korzystał kartograf holandzki Ortelius. A były w tym wieku i inne mapy, Litwy Macieja Strubicza, mapa Pograbskiego, i t. d.

W wieku odkryć nowych kontynentów nie brała Polska w nich udziału, chociaż mistrza krakowskiego Jana z Stobnicy *Introductio in Ptolomei cosmographiam* (r. 1512) dała, jedna z pierwszych, obszerne wiadomości o nowych krajach. Wydrukował przy niej mistrz Jan pierwszy opis Ziemi św. i Jerozolimy przez Polaka, bernardyna Anzelma, który w r. 1507 wyjechał i cały rok tam zabawił, a potem, jak przed czteru wiekami Rusin Daniło, porównywał miejsca i rzeki z krajowemi; opis ten wydawano później często (w przekładzie polskim r. 1596). Nie jest to opis podróży własnej, lecz staranne wyliczanie miejsc, ich odległości, odpustów i t. p. Oryginalnem dziełem zupełnie innej wartości było natomiast Macieja Miechowity, kanonika krakowskiego, słynnego lekarza («Miechowicine grzyby», podobnie jak gruszki Virchowa, znano przez cały wiek, jeszcze Zamoyski je przypominał; niby: omyć, obłupić i wyrzucić), *Tractatus de duabus Sarmatiis* (t. j. europejskiej i azyjskiej) z r. 1517 (liczne wydania, łacińskie, włoskie, niemieckie; polskie 1534 r. *Wypisanie dwojej Sarmatskiej krainy*). Po raz pierwszy w Europie pojawił się prawdziwy, nie «hiperborejski», opis jej Wschodu, co uprzątnął nakoniec bajki Ptolomeuszowe o jakichś rypejskich górach, z których miały wypływać wielkie rzeki wschodnie; książeczka obfitowała w najciekawsze szczegóły o życiu-bycie, tatarskim mianowicie, i da się dziś jeszcze odczytać z przyjemnością; nie zastąpiły jej późniejszy opis «Litwina Michalona» (nie zachowany w całości), ani Broniewskiego *Opis Tartarji Perekopskiej* (1595, oba dzieła łacińskie), bo nie obejmo-

wały równie obszernych połaci. Z historyków tylko Matys Stryjkowski baczył pilnie na topografję, podróżował wiele, był na Bałkanach, w Konstantynopolu, zdejmował pomiary, np. Adrjanopola, zbierał podania i pieśni ludowe, interesował się wykopaliskami, np. broni i czaszek.

Nieproduktywność objawiła się właśnie na tem polu jaskrawo. Nikt tyle nie jeździł ani posłował co Polacy, do Moskwy albo Carogrodu, do Paryża i Rzymu, ale nikomu ani przez myśl nie przeszło zapisywać co widział. Wystarczy przypomnieć opisy austrjackich posłów do Moskwy i Carogrodu, począwszy od znakomitego Z. Herbersteina, którego zapiski cenne źródło dla Rosji samej stanowią, a skończywszy na Busbekjuszu, aby wagę i ciekawość podobnych opisów ocenić (Busbekjusza u nas Licinius przetłumaczył r. 1598). Jeździli Łascy, Tarnowscy, Tęczyńscy po całej Europie i dalej nawet, do Włoch tylu księży i żaków rok rocznie, lecz co pozostało z tych podróży? Wojewoda Stanisław Łaski [1] przynajmniej Niemca królewieckiego natchnął i Bernard Holtorp wydał w wierszu łacińskim pierwszą księgę jego podróży europejskiej (r. 1548), ale — chyba wskutek rychłej śmierci wojewody — dalszych, o Azji i Afryce,

[1] Wojewoda sieradzki ogłosił drukiem (pod imieniem Walentego żołnierza cesarskiego z Brukseli) 1545 r. ciekawe pisemko: *Napomnienie polskie ku zgodzie do wszech chrześcijanów wobec,* nie po łacinie, choćby temu wydołał, bo co wszystkich dolega, niech każdy czyta bez tłumacza (zasada złota, obca niestety naszym pisarzom politycznym, ale tu właśnie nie na miejscu, bo jego *Zgoda* przemówiła ku całemu chrześcijaństwu). Na wstępie zaznacza, że kasztelan łądzki, Zbygniew Łaski, na Cyprze umarł, kasztelan gnieźnieński Jan, Patrycego jamę (w Irlandji) nawiedził, prymas Jan był u Bożego Grobu, a on sam drogę doń zarosłą utorował. Styl znakomity, żołnierski, rąbany; zadziwia tylko naiwność, z jaką wojewoda, obyty z sprawami europejskiemi, do zgody europejskiej nawoływał, jakby była kiedykolwiek możliwa (i Dantyszek coprawda podobną baśń w wierszu, łacińskim przynajmniej, kleił). W szczegóły wojewoda nie wchodził, aby Turkom nic nie zdradzić, ale ogólniki same wyłożył wcale realistycznie: jedyny to wkład Łaskich do piśmiennictwa polskiego.

już nie ogłosił. Dopiero w drugiej połowie wieku zanosiło się na poprawę.

Najznakomitsze dzieło wykonał Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (Sierotka), wojewoda wileński; wyjechał, dla dopełnienia dawnego ślubu w czasie ciężkiej słabości, r. 1582 w licznym orszaku i wrócił 1584 do Nieświeża, zwiedziwszy Ziemię św. i Egipt. Po drodze spisywał krótki diarjusz, co potem opracował dokładniej i odpisami znajomych raczył. [1] Rzecz podobała się nadzwyczaj, bo książę, wykształcony i oczytany, ciekawy ludzi i ziemi, nie zadowolił się wyliczaniem świętych miejsc i odpustów, lecz żywo i barwnie wszelkie szczegóły notował, najobszerniej z Kairu; był na piramidzie i w grobach faraonów, spotkał się na cle naturalnie z Żydem, ziomkiem z Chełma, spotykał i Polaków, podróżnych i księży. Pobożny pielgrzym patrzył na wszystko trzeźwo, spokojnie a dokładnie, i opis jego, do dziś godny czytania, musiał ówczesnych nadzwyczaj pociągać. Ale książę sam o druku nie myślał, dopiero kanonik warmijski Tomasz Treter wydał w przekładzie łacińskim tę *Hierosolymitana peregrinatio* etc., przerobiwszy wpierw diarjusz na cztery listy, pisane niby z podróży do jakiegoś przyjaciela; ten tekst łaciński (wydany jeszcze trzykrotnie później) przetłumaczył ks. A. Wargocki, tłumacz wielu dzieł łacińskich, na polskie r. 1607 (liczne wydania późniejsze; są i przekłady niemieckie

[1] Posiadamy np. list Lwa Sapiehy, w którym Radziwiłłowi dziękował za przesłanie «terminatury *Peregrynacji*», którą odeśle przepisawszy. Takich było więcej, wspomina o nich i tłumacz Wargocki; różniły się nawet częściowo między sobą (późniejsze dopiski i t. p.) — Stosunki zawiązywane z Turcją już od XV wieku, były przeważnie przyjazne, chociaż nigdy do jakiegoś istotnego związku-przymierza nie doszło, o co nieraz Polskę jej wrogowie w Europie pomawiali; byliż posłowie do Carogrodu (słynny wjazd Fredry na białym rumaku, co chrześcijanom było zabronione), ale pozostało tylko, naturalnie w rękopisach, sprawozdanie Erazma Otwinowskiego o Carogrodzie, janczarach i t. d., i Taranowskiego, krótsze, obydwa wydane dopiero przez J. I. Kraszewskiego.

i rosyjski). Oryginalny rękopis polski wydano dopiero r. 1925 i dzieło zyskało dla barwności języka pierwotnego nadzwyczaj; jest to najlepszy opis egzotyczny całej dawnej literatury, może nawet odstraszał poniekąd późniejszych turystów od chęci próbowania sił własnych. Opis nieco wcześniejszej podróży do Ziemi św., jakiegoś Jana Goryńskiego, krótkiej i uciążliwej (dla braku grosiwa), wydany z rękopisu r. 1914, nie zawierał nic ciekawego ponad opis nędzy i ucisku, jakich pielgrzymi doznawali.

Wierszowań geograficznych łacińskich było więcej, np. *Roksolanja* Klonowica (1584), albo *Częstochowa* Samborczyka; łacińska *Roksolanja* zawiera najpełniejszy opis kraju, ludzi, urodzaju, zabobonów i zwyczajów; polski *Flis* tegoż Klonowica raczej Baedekera przypomina, opisując drogę wiślną od Warszawy do Gdańska, chociaż i jemu nie brak rysów obyczajowych, np. o gwarze flisowskiej i t. p.

Strasznie nieudolne są *Księgi peregrynackie* z r. 1584, w których mazur-bakałarz, przydany do synów St. Kryskiego wojewody mazowieckiego, opisał ich podróż włoską, ślepo powtarzając wszelkie baśni, jakie przewodnicy włoscy łatwowiernym Mazurom pletli; styl i pisownia odpowiadały godnie inteligencji autorskiej. Nierównie wyżej stoi *Peregrynacja* włoska, hiszpańska, portugalska, nienazwanego autora z r. 1595, nie dochowana w całości (w jedynym, późniejszym odpisie);[1] turysta porównywał nieraz porządki a raczej nieporządki polskie; najbardziej Hiszpanję podziwiał. Nic z tego wszystkiego nie dostawało się do druku, jakby tych rzeczy nie ceniono. Krzysztof Pawłowski dopłynął z Lizbony do Goa i Indyj wschodnich i pisywał listy z drogi do przyjaciół w Krakowie, r. 1596, ale tylko jeden taki list ocalał przypadkowo w późnym odpisie;[2] szlachcic w «bekieszce bobrowemi brzuchami futrowanej» i takiejże czapce wytrwał wszelkie niepogody «segen legen» (ubogi chłop, węgierskie) i niesłowność «ziemka z Warszawy Hansa Tregiera», któremu w Lizbonie pieniędzy pożyczył; wypada tylko żałować, że nie mamy więcej ustępów z tego ciekawego bardzo opisu «nawigacji indyjskiej».

[1] zob. wyżej. [2] Wydany poprawnie w *Roczniku Orjentalistycznym* III, r. 1925.

TEOLOGJA

Największej odmiany dokonała druga połowa wieku na polu teologji. Pierwsza połowa świeciła pustkami, pozostawała daleko wtyle za wiekiem piętnastym; przedruki mszałów, brewjarzy, agend, nie stanowiły nauki, którą parę pisemek, np. W. Wróbla, *Propugnaculum fidei* (1536) i in. przypominało; dopiero po r. 1550 reformacja i walka z nią nową stworzyły naukę. Używała ta literatura, szczególnie po stronie katolickiej, języka «katolickiego»; protestanci wyjątkowo się nim posługiwali, np. uczony Andrzej Wolan; obcy, Włosi, Blandrata, Socyn, Paleolog, Davidis, tylko po łacinie pisali. Zagaił nową literaturę Hozjusz, przedstawiając swoją *Confessio fidei catholicae christiana* synodowi piotrkowskiemu z r. 1551, rozwodząc się krótko nad rzeczami niespornemi, tem obszerniej nad spornemi, wydrukował ją r. 1553 i olbrzymie w całej Europie katolickiej zdobył powodzenie, ubiegając nią protestantów polskich, którzy mieli narazie tylko Seklucjanowe katechizmy luterskie i dopiero później na książkę Lutomirskiego się zdobyli. Obok Hozjusza wystąpił Andrzej Novicampianus, z mistrza krakowskiego wychowawca siedmiogrodzkiego Zapolji, z swoim *Scopus biblicus* i *Apologia pro catholica fide*, dowodzącemi prawdy katolickiej, znakomity uczony, grecysta, ale rychło zmarły; dzieła (i zagranicą) wyszły już po jego śmierci. Frycz zagaił niemal tę literaturę jeszcze r. 1546 mową o wysłaniu posłów na sobór i dalszemi dialogami, które wywoływały coraz ostrzejsze, napastliwe

dialogi Hozjusza, np. *Rozmowa o tym, godzi-li się laikom kielicha, księżom żon dopuścić a w kościołach służbę bożą językiem przyrodzonym sprawować* (tłumaczenie polskie r. 1562 z oryginału łacińskiego 1558 r.). Niebawem wmieszali się jezuici energicznie w te spory dogmatyczne i posługiwali się również łaciną, już dlatego, że w pierwszych ich szeregach cudzoziemcy przeważali, np. Toledus i in.; szczególniej ich łacińskie dysputacje poznańskie różnowiercom krew psuły. Do takich dzieł, jak Bellarminowe, nasi sami nie doszli, chociaż hojną ręką z nich czerpali. Dogmatycznemi dziełami zajmowano się mniej, obszerne katechizmy wydawali inni po polsku; po łacinie uprawiano głównie polemikę z różnowiercami. Na tem polu zasłużył się świecki ksiądz, Stanisław Reszka, wychowanek Hozjusza, którego cztery łacińskie dzieła, wydawane między 1590 a 1596 rokiem, wielkiego nabrały rozgłosu, *Spongia qua absterguntur convicia equitis Poloni* (przeciw znanej *Akcji* antyjezuickiej), *Ministromachia,* a szczególniej *De atheismis et phalarismis,* gdzie wyszperał z całej literatury, dawnej i nowej, wszelkie możliwe sekty, ich nauki, i do spółczesnych stosował. Wielkiej powagi zażywał kaznodzieja Batorego, Stanisław Sokołowski, niepozornej postaci, ale świątobliwego życia i wielkiej wiedzy oraz wymowy, szczególniej przez swoją *Censura ecclesiae orientalis* (1582 w trzeciem wydaniu!), gdzie przechwałki różnowierców, jakoby patrjarcha carogrodzki z nimi sympatyzował, na podstawie oryginalnego listu tegoż z gruntu zbijał.[1] Ks. opat Ostrowski bronił przeciw arjanom dogmatu o św. Trójcy w obszernem i uczonem dziele; tu popisywał się i jezuita Marcin Śmiglecki, walcząc ze Stoińskim arjaninem, który mu i po polsku odpowiadał.[1] Jak dzielnie jezuici poznańscy swoją szkołę prowadzili, dowiedli ich wychowankowie w polemice z kalwińskim ministrem Chrząstowskim, cytując Arystotelesa i Platona w oryginale greckim a obeznani najgruntowniej z Ojcami Kościoła i literaturą najnowszą — z uniwersytetu nie byliby już takiej nauki wynieśli. Nie najszczęśliwiej natomiast walczył Skarga z kalwinem Wolanem o Sakrament Ołtarza. Były i humanistyczne deklamacje, *Christus Cicerone vestitus,* takiego Nideckiego, który najszumniejszą łaciną niedobory teologiczne maskował, gdy

[1] Sokołowski, uczeń i profesor krakowski (najwięcej Cycerona wykładał), który i Włochy zwiedzał, nietylko był kaznodzieją zawołanym (w druku kazania te obciążał licznemi cytacjami, których na kazalnicy nie prawił), ale dał podręcznik kaznodziejstwa, *Partitiones ecclesiasticae* r. 1589; mistrz krakowski, humanista, pyta, Sokołowski odpowiada na podstawie własnych doświadczeń i powołując się na obcych, naszych i Włochów; nieco ogólnikowe są te wywody, ale świadczą o wielkich wymaganiach Sokołowskiego od kaznodziei. Pisma jego nietylko teologiczne (np. *Justus Joseph,* medytacje o Józefie i Chrystusie; *Nuntius salutis,* o wcieleniu Chrystusa; o różnicy prawdziwego i fałszywego Kościoła — w wydaniu zbiorowem I, r. 1591, str. 330, wiersz Kochanowskiego, najbardziej ze wszystkich katolicki, bo mieni szczęśliwym tego, kto słyszy autora obecnego, szczęśliwym i tego, kto go czyta — w wydaniu osobnem z r. 1583 niema tego wiersza), ale i moralizujące, szczególniej *Quaestor seu de parsimonia atque frugalitate,* co Januszowski r. 1589 po polsku wydał: *Szafarz* i t. d.). W tym traktacie oskarżał Sokołowski jak najostrzej zbytek polski; pozory jego łudzą, my zubożeli zupełnie, nazywamy się właścicielami wsi, ale pożytek z nich zbiera lichwiarz, żyd, obcy; kupujemy obce towary, zbędne; wino aż do woźniców dotarło; wielkie posagi i zbytek kobiecy niszczą nas dalej; domaga się praw przeciw zbytkowi, karania tych, którzy lekkomyślnym kredyt na ich zgubę otwierają, sprzedają potem ziemię z kośćmi przodków; wszyscy żyją nad stan, wstydząc się mierności; marnotrawstwo niszczy ludzi i sprawiedliwość i t. d. Z traktatu tego korzystali inni: Wężyk-Widawski, Starowolski. Popierał nadzwyczajnie jezuitów; popadł wkońcu w niełaskę królewską i wycofał się z dworu na kanonikat krakowski; cierpiał długie lata (um. r. 1593). Jego kazania luźne i traktaty tłumaczono spółcześnie na polskie, a wydawano zagranicą (w Nissie i in.); bronił w dialogu *Peregrinus* osobę króla Stefana przeciw obmowcom. Pisarz to wcale wybitny.

[1] Śmiglecki znany jako autor książki o lichwie i wyderkach, z powodu nauki kościelnej potępiającej wszelką lichwę; komisant Lwa Sapiehy donosił mu, że autor prosił go o 20 zł. na wydanie tej książki, którąby rad Sapieże przypisał.

Orzechowski, nie teolog, lecz rabulista, dawnego przyjaciela, Frycza, niepomny jego usług, za kacerstwo szkalował (i szlachectwa odsądzał), a wroga Stankara w *Chimerze,* która zjadliwością tonu wszystko przechodziła, wyzwiskami, nie teologją, która mu obcą była, o ziemię rzucił i po nim tratował; tak z jednej sprzeczności w drugą wpadając, nieobliczalny, ba i nie zawsze przytomny, zacierał Orzechowski błędy lat dawniejszych, gdy o chrzest Rusi, o celibat, o wszelkie nadużycia Rzym napadał i poklaski Uchańskiego i różnowierców zbierał. Od tych humanistów odbijał Hozjusz, najzaciętszy «Rzymianin», który nie znał żadnego ustępstwa, przyjaciela młodości (Jana Łaskiego) czy dawnego dobrego znajomego (Frycza, szczególniej tego, obawiając się jego wpływów) z biegiem lat coraz ostrzej napadał. Jego *Wyznanie Wiary* było pierwszem wielkiem powodzeniem książki z Polski: wydania rozchwytywano, tłumaczenia pojawiały się liczne, imię biskupa było na wszystkich ustach; ascety, już z postaci, bali się różnowiercy, którzy mu, prócz wiary i nauki, nic zarzucić nie mogli; śród episkopatu polskiego był on jakiś czas jedyny szermierz, podtrzymywany chyba przez kapitułę krakowską; — wyboru wielkiego narazie nie było, przecież i Hozjusz wyświęcał na biskupa człowieka (Lubodzieskiego), który zrazu nawet mszy odprawiać nie umiał a do wszystkiego się lenił — prawda, że zasadził mu u boku mentora, Mariciusa. Z teologów katolickich wyróżnił się były filolog, rektor wielokrotny uniwersytetu, Jakób Górski, obok Sokołowskiego ostatni jego luminarz w tym wieku. Po wszelakich podręcznikach retoryki i dialektyki (i zagranicą wydawanych) przeszedł jako kanonik płocki do pięciu tomików «prelekcyj płockich» (wygłaszanych w katedrze tamtejszej), gdzie od r. 1572 do 1583 rozbierał wszelkie sporne pytania (o chrzcie niemowląt, o odkupieniu, sakramencie ołtarza i t. d.). Ostro zwalczał eksjezuitę Franckena, który w Polsce jakiś deizm bez dogmatów propagował, w obszernym *Apologetyku* za św. Trójcą, a Sokołowskiego,

przyjaciela swego, wsparł, gdy protestanci tubińscy (Crusius i in.) na jego *Cenzurę* napadli, gromiąc go, że podstępem listu carogrodzkiego patrjarchy doszedł, że ich «heretykami» nazywał i t. d.; w obszernem dziele *(Animadversio sive Crusius)* nietylko sprawę carogrodzką, ale i wiele zasadniczych z protestantyzmem sporów omówił. Imię jego było znane w Europie; drukował go Cholinus koloński.

Śród różnowierców Bracia Czescy z zasady nie ogłaszali ani postyl ani innych druków, zadowalając się przekładem polskim swej konfesji, którą Herbest zwalczał. Między luteranami odznaczył się gorliwą pracą superintendent Erazm Glicner, uczeń śląskiej szkoły Trocendorfa w Goldbergu, odwiedzanej przez wielu Polaków, walczący i z anabaptystami o chrzest niemowląt po łacinie i broniący do końca życia «konfederacji» warszawskiej po polsku; ostatnia jego książka, to *Appellatia którą się popiera i znowu wywodzi obrona dołożna Konfederacji* itd., Królewiec 1598 r.[1] Nierównie obfitsza była praca umiejętna kalwińska; do harców z jezuitami i arjanami występowali poważny i uczony Andrzej Wolan i Andrzej Chrząstowski (przeciw mszy «papieskiej» głównie) w obszernych dziełach łacińskich, ale z olbrzymim rozgłosem *Konfesji* Hozjuszowej żadne kalwińskie pismo zrównać nie zdołało. Większe zasługi miały ich dzieła popularne polskie, np. postyla Grzegorza z Żarnowca. Arjanie polscy niemal wyłącznie po polsku pisali, np. taki kom-

[1] Broniąc prawowitości swego wyznania, uderzał między innemi na kult świętych katolicki, a szczególniej i na obrazy pań świętych, co raczej «kortyzankę włoską niż świecicę niebieską wyrażają»; widział raz obraz u nowego ołtarza, w którym ksiądz gospodynię swoją dał wykonterfektować. Napadał na obraz częstochowski: nie mogła tak wyglądać Matka Boska «i z oczyma tak nie strzygła, jako ten obraz ma oczy ciekawe, patrząc w każdą stronę za każdym, gdzie się kolwiek obróci: dziwno, że tej mataninie tak wieldzy i roztropni ludzie wierzą». Glicner tłumaczył i historyków łacińskich (Eutropjusza) i in.

pilator Grzegorz z Brzezin, gruntowniejszy nierównie Piotr z Goniędza albo Szymon Budny i inni mieszczanie.

To byli niemal wszyscy mieszczanie; z szlachty Jan Niemojewski (wraz z młodszym bratem, Jakóbem, kalwinem, który wystylizował konfederację warszawską 1573 r., przywódca nowowierstwa na Kujawach) oddał się pod wpływem eksministra wileńskiego, Czechowica, zupełnie anabaptyzmowi i komunizmowi, złożył sędziostwo ziemskie, posiadłości przodków nabyte dla rozlania krwi, pojawił się w szarym, lichym ubiorze na sejmie lubelskim 1566 r., wycofał się zupełnie z polityki i pracował do końca życia (1598) w lubelskim i rakowskim zborze, mistyk-idealista, chiljasta, przeciwny racjonalizmowi Socyna, poważny, łagodny, głęboki badacz prawdy ewangelicznej, nieznużony polemista i dysputator, piszący wyłącznie po polsku (*Obrona przeciw Wędzidlu ks. Powodowskiego* r. 1583, *Odpowiedź na potwarzy dr. Wilkowskiego* renegaty, *Ukazanie iż Kościół rzymski papieski nie jest apostolski* itd. 1583), postać czcigodna, której nawet jezuici nie szarpali («wielkim patrjarchą nurków» obezwał go uszczypliwy Łaszcz); on to ideały moralne kazania na górze (Mateusz V) stosował w całem swem życiu, w nakazy etyczne je odmieniwszy (niesprzeciwianie się złu, zwalczanie zła dobrocią i cierpliwością, nieprzelewanie krwi, niewalczenie, niesądzenie), a rozszafowawszy majątek na ubogich, z pracy rąk własnych się żywił (nie godzi się żyć z cudzego potu) i poddaństwa, niewoli chłopskiej nie uznawał.

Innego, wojowniczego temperamentu był Erazm Gryf Otwinowski, zamożny i skoligacony szlachcic lubelski. On to r. 1564 wypadł w Lublinie z domu St. Paklepki, ministra lubelskiego kalwińskiego, ale nachylającego się ku antitrynitarzom, na procesję Bożego Ciała, na księdza z monstrancją, zmusił go do wypowiedzenia: Ojcze nasz któryś jest w niebie, więc nie w tej puszce, wydarł mu monstrancję i hostję podeptał, poczem schronił się do domu kalwina Suchodolskiego i uszedł z Lublina. Obronił go Rej przed królem: za obrazę Boga Bóg sam karę wymierzy, za obrazę księdza pan Erazm go przeprosi i szkodę zapłaci; to wystarczyło wtedy! Wydał wierszem polskim *Dysputację piekarza i malarza o swych bogach* (druk zaginął) przeciw bałwochwalstwu papieskiemu w kulcie hostji i obrazów, przypisując zwycięstwo malarzowi, którego bóg malowany dłużej trwa, gdy upieczony więcej zawisł od wszelakich przypadków. W polskim wierszu opiewał *Bohaterów chrystjańskich* (chyba niedrukowany utwór, rękopiśmienny, zaginął, znany z cytatów tylko, u Lubienieckiego, u Węgierskiego w drugiem wydaniu), t. j. wyliczał i określał wielkości zboru małego: Piotra Kazimirskiego; Dudycza, dla pobożności życia i śmierci, dla darów umysłowych, dla godności i urodzenia; Piotra Statorjusza, gramatyka (por. wyżej), o jego rychłej śmierci i odmienności w nauce o Duchu św.

Najsystematyczniej wyłożył Marcin Czechowic ze Zbąszynia, wódz Rakowian, nim Socyn jego znaczenie uszczuplił, naukę zborową w *Rozmowach Chrystjańskich* z r. 1578 i licznych innych dziełach, walcząc z ks. Powodowskim i jezuitami.

LITERATURA POPULARNA

Obok literatury uczonej, łacińskiej, wyjątkowo i polskiej, szczególnie teologiczno-polemicznej, występowała, acz nieśmiało, literatura popularna polska. Ludzie XVI wieku dbali nadzwyczaj o zdrowie, więc księgi lekarskie polskie mogły liczyć na odbyt. Takiemi były oprócz marnych pisemek o puszczaniu krwi, o dobrem zdrowia rządzeniu (wiersze «szkoły salernitańskiej») itp., głównie zielniki-herbarze, które opisywały zioła, zwierzęta, kamienie, ale dla celów leczniczych, wszelkie «ogrody zdrowia» (*hortus sanitatis,* tak brzmiał ich niemal urzędowy tytuł); pierwszy z nich, to przetłumaczenie kompilacji średniowiecznej, dokonane przez Stefanka Falimirza (nie Rusina, jak

mylnie twierdzono) z r. 1535, nieraz wydawany, i drugi, bardziej oryginalny, Marcina z Urzędowa (późno, bo dopiero r. 1595, drukowany). *Lekarstwa doświadczone* Biernata Lubelczyka wydał z rękopisu niewykończonego Marcin Siennik, nie znając autora, r. 1563.

Popularyzatorem z zasady był uczony ksiądz, wcześnie zmarły Andrzej Glaber z Kobylina, który kompilację średniowieczną, krążącą pod imieniem Arystotelesa, r. 1535 przełożył i przerobił. Jego *Gadki* (pytania) objęły pytania i odpowiedzi z «przyrodzonej nauki» (t. j. fizjologji) i lekarskiej, z anatomji porównawczej (ludzkiej i zwierzęcej), dalej z hygjeny kulinarnej, nakoniec z fizjognomiki (wywody o charakterze człowieka z barwy uwłosienia, z kształtu rąk i innych członków i t. p.). Pytania bywają równie naiwne jak i odpowiedzi, np. w rozdziale o uszach brzmią: Czemu wszelkie zwierzę chyba (t. j. oprócz) człowieka, uszyma rusza? Czemu człowiek między inszemi zwierzęty sam ma uszy okrągłe? («Gdy cała głowa okrągła, godzi się, aby też części jej ku okrągłości ciągnęły»). Czemu natura zwierzętom dała uszy? (dla słuchu i aby się uszyma mózg czyścił od kolery, jaka się nosem czyści od flegmy). Czemu ptacy uszu wielkich nie mają? (szerokie uszy wadziłyby im ku lataniu). Czemu nietoperze, chociaż latają, mają uszy? (bo mają dwoję naturę, ptaszą i myszą). Czemu osieł, gdy często uszy wznosi, tedy deszcz znamionuje? (zimna a sucha melancholja osłowa przeciwia się wilgotnemu a ciepłemu deszczowi, czuje więc deszcz przyszły i nastarza swe uszy, znamię jego przyjścia ukazując). Co ciekawe: opuszczał Glaber wszystko z łacińskiego wzoru, coby uszy Polaków a szczególniej niewiast obrazić mogło; ta nadzwyczajna pruderja drukowanego słowa polskiego odbija najsilniej od łaciny, w której wszelkie bezeceństwa wydawano.

Popularyzatorem w wielkim stylu był Marcin Bielski; on z czeskiego *Żywoty Filozofów* (średniowiecznego Burleja jeszcze) r. 1535 wyłożył, gdzie lwia część na Aleksandra Macedończyka wypadła, bo jego losy wdzięcznym dla filozofowania tematem się okazywały; on moralitetem *Komedji o Justynie i Konstancji* niemoralnego Terencjusza chciał zastąpić (w tej dosyć nudnej chryi najładniejszy wstęp, gdzie autor dziełko na wędrówkę po całej Polsce wysyłał); on nakoniec znaczną lukę wypełnił, bo pierwszy z najnowszych źródeł historję powszechną zebrał (*Kronika świata* itd. r. 1557, kilka wydań; tłumaczona na ruskie z polecenia Zygmunta Augusta — co zaginęło, po raz wtóry w XVII wieku dla Moskwy; zastąpiło jej Chronografy dawne).

TWARDOWSKI. ALCHEMJA. CZARY.

Renesans był nietylko odrodzeniem, ale i wyrodzeniem: rozpasany indywidualizm, zrzuciwszy wszelkie więzy, przekraczał granice wiedzy i doświadczenia w nieposkromionej niczem żądzy wiedzy i użycia; łudził się, że dosięgnie obu w przymierzu z siłami nadprzyrodzonemi, którym się za to odda z ciałem i duszą. Co myśli i żądze przodujących trapiło i mamiło, przybrało naiwnie ciało w podaniach o Fortunacie i jego cudownej czapce; znaczniej skupiły się, znowu w Niemczech, około Doktora Jerzego (później Jana) Fausta, u nas około Twardowskiego; obaj spółcześnicy, Faust osobistość historyczna, wędrujący humanista, przekonany o swej wielkości i w innych ją wmawiający; podania krążące o znakomitościach, średniowiecznych jeszcze, przyczepiano do jego osoby, i w ostatniem dwudziestoleciu tego wieku spisano o nim tradycję. Nie wystarczała mu zwykła wiedza, potęgowały ją czary, więc stał się czarnoksiężnikiem (pomieszano nekromancję z nigromancją; stąd ta nazwa, niby od czarnych ksiąg, których nigdy nie było), a tej nauki zaczerpnął w uniwersytecie, której i w krakowskim uczono; u Górnickiego (1566) żałował dworzanin królewski, «że się na-

tenczas nie urodził, kiedy czarnoksięstwa w krakowskich szkołach jawnie uczono». U nas podania o czarnoksiężnikach skupiły się około «Twardowskiego», jak w Niemczech około Fausta, który miał i w Krakowie swego rzemiosła się uczyć, ale nikt u nas niczego o nim nie zapisywał; jest tylko prosta wzmianka o psikusie, który jeden dworzanin drugiemu łatwowiernemu wyrządził («o jednym, który się u Twardowskiego uczył i tak wiele jako on umiał, umie») — psikus sowizdrzalski, nie faustowski. W literaturze XVII wieku jest kilka gołosłownych o nim wzmianek, i o kobyle Twardowskiego, co chyba świat w mgnieniu oka zleci, ale nieco bliższych szczegółów dał tylko rękopis Posseljusza z r. 1624; ludowa tradycja obfitsza, ale późna, stoi czasem pod widocznym wpływem ballady Mickiewiczowej, albo opery J. N. Kamińskiego; zahacza dowolnie i o podanie o człowieku na księżycu, i bywa ilustracją zasady *verbum nobile* etc. [1]

[1] Mniemana księga Twardowskiego w Bibljotece Jagiellońskiej okazała się encyklopedją średniowieczną czeskiego pochodzenia. O osobie Twardowskiego niema żadnego świadectwa; są tylko wzmianki o czarodzieju; najstarsza u Górnickiego z r. 1566, odnosząca się do lat około 1540 r.; następna, w owem dziele medyka królewskiego, Joachima Posselja (zmarłego w Gdańsku r. 1624); *Compendium historiae* (rękopis) Meklemburczyka opowiada o zjawisku Barbary przed Zygmuntem Augustem (Faust Helenę wywołał, ale z nią obcował; król porywał się z krzesła, aby ją uścisnąć, ale go Twardowski przytrzymał, aż zjawisko znikło); dalej o ubogim szlachcicu w Bydgoszczy, którego Twardowski pouczył, by całą noc w jakiejś pustej chałupie odliczał dziewięć groszów (od 1—9 i od 9—1) i nie dał się niczem odstraszyć, ale djabeł w postaci Twardowskiego go naszedł, pozdrowił, on pozdrowienie oddał i czar złamał (byłby otrzymał grosze, coby ciągle do niego wracały); bardzo poturbowany odtąd w klasztorze pokutował. O zwierciadle Twardowskiego, które on przy zgonie biskupowi krakowskiemu Krasińskiemu (z nim z Niemiec do Krakowa przybył) zapisał, są dwie notatki nieco podejrzane niby w rękopisie Jak. Wereszczyńskiego (?) i Mar. Szelutty (?); dalej wiadomość o grobli, którą kazał w Tykocinie dla Barbary usypać (Opis Tykocina z r. 1684 jakiegoś Michałowskiego?); wreszcie dwie ogólnikowe wzmianki o czarodzieju z XVIII wieku — oto i wszystko (por. Jan Kuchta, *Lud,* XXVII, str. 112—124; rodziny Twardowskich są wszelakie). Czy *twardość* ‘zapis’ tu w grę nie weszła, bo o zapisie mowa i u Twardowskiego (do miejscowości, Rzymu, przyczepiony, wedle znanego u innych motywu) i u Fausta (u tego latami określony, co trafniejsze)? Razi wręcz spółczesność obu postaci: Górnicki 1566 mówi o nieżyjącym już, Faust historyczny przed r. 1540 umarł. Między obu postaciami znaczna jednak różnica: Faust nierównie głębszy, bada, uczy, używa; Twardowski używa, szlachcicem został, bo do znaczniejszej roli tylko szlachcic się nadawał. W istocie postać to zupełnie blada, nie wysiliła się fantazja zbytnio na nią; renesansowe jej rysy pierwotne u nas zupełnie wyblakły. Wobec zupełnej mglistości naszego «Fausta», wypełniła najnowsza beletrystyka wierszem i prozą, tercynami Staffa i powieściami «historycznemi» Wołoszynowskiego, Tatarówny, Sieroszewskiego te białe karty własnemi wymysłami: historycznego, autentycznego, prócz samego nazwiska, nic w nich niema; dowolność autorska przekroczyła wszelkie granice; ich Twardowski uszczęśliwia ludzkość i t. d.; wolność Tomku w swoim domku.

Wiek szesnasty był też wiekiem alchemji; nigdy nie uleciało więcej majątków w dymie laboratorjów, niż wtedy, bo dobijał się renesans władzy i mocy nadprzyrodzonej. Początki alchemji były nierównie starsze, jeszcze Arab hiszpański nakreślił jej nieprześcigniony program, ale dopiero teraz silili się górnicy, lekarze, filozofowie o odnalezienie kamienia filozoficznego i eliksiru, coby kruszce szlachetniły a ludziom zdrowie i życie zapewniły. U Czechów zajmowali się alchemją już cesarz Karol IV, arcybiskupi prascy, Barbara Cylejska (wdowa po cesarzu Zygmuncie): skupiali się około nich przeważnie awanturnicy i szarlatani włoscy; literatura czeska posiada traktaty alchemiczne czeskie z drugiej połowy XV i z XVI wieku (wydawał je O. Zachar za naszych dni). U nas dominikanie bawili się eksperymentami i od nich zgorzał r. 1462 konwent i część miasta, a gdański dominikan Wincenty Kowski napisał traktat o antymonie jako o «pierwszej materji kamienia filozoficznego». W XVI wieku u nas o alchemikach, przetwarzających srebro czy inne kruszce w złoto, mało słychać; są wzmianki gołosłowne o alchemikach, co się, potraciwszy, wyrzekli al-

chemji; z Anglji przybyli na dwór Batorego dr. Dee i Kelley, którzy później nierównie wspanialej na dworze praskim Rudolfa II zażyli (Kelley po uwięzieniu samobójstwem skończył). Czescy panowie rujnowali się na alchemików, Wilhelm z Rozenbergu i Jan z Hazemburgu krociowe potracili majątki, a Jan Bawor Rodowski w drukach i rękopisach alchemję dzielnie piastował; miljonowe sumy potracił na nią cesarz Rudolf II; dopiero następca, Ferdynand II, ochłonął w tym zapale. Na dworze Rudolfa i Ferdynanda odznaczył się i nasz rodak, jedyny Polak zapisany świetnie w dziejach alchemji.

Michał Sędziwój z Skórska (1566—1646) z dzieł swoich w kraju mało znany, tem więcej zagranicą, radca cesarski, zażywał po szocie Sethonie, którego z więzienia saskiego wybawił i do Krakowa przywiódł, jako jego uczeń, największej sławy; dokonał on w Pradze cudów (po szalbiersku, z podwójną monetą). Autor to kilku dzieł, wydawanych kilkanaście razy w oryginale łacińskim i w tłumaczeniach angielskich, francuskich, niemieckich (jest i rosyjskie z r. 1785, brak polskich); po polsku nie pisał, ale w tytułach dzieł widniał stale *Polonus* (obok anagramatu «Divi Leschi genus amo»). Zaczął drukować od r. 1604: *Novum lumen chymicum* i *De lapide philosophorum*, dwanaście traktatów; do tego dodał: *Dialogus Mercurii, Alchemistae et Naturae; Tractatus de sulphure* (obok czteru żywiołów są trzy pierwiastki: siarka, sól, rtęć). *Księga Chamów* wymienia imiennie kilku alchemistów w Krakowie i Oświęcimiu, ale bliższych szczegółów nie daje; po Sędziwoju pozostał znaczniejszy wkład polski do alchemji, ale szczegóły jego dzieł i życia zawierają wiele obcego; utrzymywał stosunki z Olb. Łaskim i z marszałkiem Mik. Wolskim.

O właściwych czarach słyszymy wyjątkowo, np. stanęli przed sądem rektorskim r. 1505 dwaj bakałarze, Petrus de Nivis i Kasper de Gdana, pomówieni «in certis actibus nigromanticis», a dwaj scholarze «ob exercicium ciromanciae» (wróżenia z rąk). St. Poklatecki wydał r. 1595 *Pogrom czarnoksięskie błędy, latawców zdrady i alchimickie fałsze jako rozpłasza,* odróżniając cuda godziwe i niegodziwe (niby jak magję białą, z pomocą świętych, i magję czarną, z pomocą djabelską); złoto robić niepodobna; rozmawiał z alchemikami, «co potraciwszy znaczne sumy, alchemji się zarzekali»; szydzi z nich i z kabały, bo gdyby alchemja i kabała cośkolwiek mogły, dlaczegóż wszyscy alchemicy ubodzy a kabaliści dziś ani dla siebie, ani dla swego wzgardzonego narodu (żydów) żadnych cudów czynić nie mogą. Szydził z astrologów, ale wierzył święcie w inkluzów-latawców i obszernie o nich rozprawiał. On wydał r. 1594 *Snów dobrych obronę a szkodliwych przestrogę z potrzebnemi naukami rodzajowi ludzkiemu,* z podobnem rozróżnianiem snów od Boga i od czarta nasyłanych, bo obok wszelkiego dobrego nasadza czart swoje złe, tak obok wiary herezję i t. d. Sny mogą przyszłość wróżyć; sny starożytnych czart wywoływał; narabiał stale biblijnemi. Często przedrukowywano *Sny Danielowe,* najzwyklejszy króciutki spis alfabetyczny łaciński średniowieczny, w XVI wieku przełożony — dzieł obszerniejszych, jak czeski *Snarz,* nie posiadaliśmy. Ze *Snów Danielowych* wiele wykładów dziś jeszcze się utrzymało. Były i inne sposoby wróżenia; najpospolitszy: otwierano na traf psałterz, ewangelję lub biblję i z strony czy zdania na pierwszym wierszu lewej stronicy wróżono; dotrwało to w pospolitem używaniu od średniowiecza (zwano to *sortes* i w kościele nad ołtarzem robiono) do naszych dni; używano w tym celu i byle innej książki, np. Wergiljusza. Raczej żartobliwym był inny sposób: pierwszą literę takiego słowa odszukiwano w kluczu wierszowanym, np. trafiono literę *p,* w kluczu czytano: «Możesz ten dzień czyście pląsać; Nie będzie cię gniewnik (djabeł) kąsać» itp.

Zresztą przyplątywano wszędzie czary i wróżby (szczególnie astrologiczne); z czarów miłosnych zginęli obaj ostatni książęta mazowieccy, młodzi siłacze, i wiemy, co za straszną

śmiercią zginęły oskarżone o to czarownice; czarami przywróżyła serce Zygmunta Augusta Barbara; astrolog przepowiedział Janowi Tarnowskiemu koronę polską, i dlatego popierał on śluby Zygmunta Augusta z Barbarą, licząc na to, że król koronę straci (tę potworną plotkę zmyślił czy powtórzył zły język St. Górskiego); Olbrycht Łaski, a później Mik. Wolski i Jerzy Mniszek i z astrologami i z alchemikami się kumali; byliż owi Anglicy dr. Dee i Kelley i na dworze Batorego w Krakowie, ale prócz samych nazwisk nie dowiadujemy się wiele.[1] Rada miasta Biecza posłała r. 1600 groszy 30 astrologowi krakowskiemu, dr. Fontanie, dla wykrycia złodzieja w ratuszu. Oddawały się rzemiosłu czarów głównie baby, szczególnie dla czarów miłosnych; w *Peregrynacji Dziadowskiej* (zob. niżej) mówiono o nich:

Rozmaitych ziół dosyć przy sobie miewają,
Któremi, ludzi kadząc, wiele pomagają.
Do tego u szlachcianek mają zachowanie...
Nuż która chce, by się jej wszyscy zalecali,
Da i czerwony złoty, by jej udziałały.

Takiemi babami-czarownicami były u Zygmunta Augusta Budzikowa, Korycka, Orłowska i in.; gdy po nie posyłał, przestrzegał posłańca, aby u Budzikowej niczego nie jadł. Najpospolitsze były czary miłosne; szukano po górach i lasach «ziela miłości, rzeczy wietrznej, nocnego cienia»; zielniki szesnastowieczne, aż po Syrenjusza (zob. niżej), obfitowały w zalecenia, do czego roślina która służy, często tylko do odganiania czarów i uroków. Same nazwy zdradzały wiarę w skuteczność rośliny, np. *Nie to ta* lub *Tojeść (To je)*, *Nasięźrzał* (nazwany też *Pódź za mną* lub *Szalona miłość*), *Lubczyk* (nazwa, przekręcona ostatecznie z łac. *levisticum*, wiele się do siły tej rośliny przyczyniła); *Dziewięciornik* albo *Przywrót* (wznawia miłość), też *Wyrwitańcem* zwany; *Firletka* (roślina południowa, późno przybyła); *Odolan* (mniemane magiczne ziele), *Czartopłoch* i in. Dla skuteczności należało te rośliny zbierać pod pewnemi aspektami albo w osobliwszy sposób (nucąc, przymawiając np.: «Nasięźrzale, Nasięźrzale rwę cię śmiele, Pięcią palców, szóstą dłonią, Niech się chłopcy za mną gonią» i t. d.); nazwy nie zawsze były ustalone, przenoszono je i na inne rośliny. Czary roślinne odmieniały afekty (noszono je dla ułagodzenia wroga czy przełożonego; dla przyjaźni i biesiady), poręczały płodność, rozweselały, usuwały strachy; baby niemi czyniły, «co nie będzie nigdy dzieci rodzić»; kasza na podołku warzona, jabłko przecięte (noszone pod pachą, dane do spożycia), były silnemi środkami miłosnemi; kości z nietoperza, szczątki trumien, święcona kreda i in. tak samo działały.

[1] Przywiózł obu Anglików do Niepołomic, do Batorego, Olbrycht Łaski, który, zdaje się, r. 1583 umyślnie po nich do Londynu jeździł, licząc na ich sztukę, że bankruta wspomoże. Mamy przemowy ich namaszczone do Batorego i tegoż odpowiedź, ale nie przyszło już do nowej audjencji: Batory nie był Rudolfem II i Anglicy opuścili Kraków, udali się do Pragi. Łaski nie miał już środków, aby ich zatrzymać; Wolski wytrwał dłużej przy alchemji; to on w Wiedniu uwagę Łaskiego na owych Anglików zwrócił.

Wiek szesnasty pełen czarów, od Wawelu do chaty zagrodniczej, ale nie znał jeszcze procesów o czary, hańbiących wieki XVII i XVIII. Nie wytaczano ich jeszcze w Polsce i bardzo słusznie zastrzegł je sejm z r. 1543 sądom duchownym; dodał jednak nieopatrznie, że mają sądy świeckie prawo mieszania się do procesu duchownego, skoro wynikała z czarów jakakolwiek szkoda. Na tej to podstawie zagarnęły sądy miejskie wkońcu wszelkie procesy o czary, przeprowadzały je wedle postępku prawa magdeburskiego i doprowadziły do strasznych nadużyć, jakie w sądzie duchownym byłyby niemożliwe. Statut litewski oddawał je, z równym skutkiem, starostom (r. 1564). W wieku XVI palono za herezje i bluźnierstwa żydów i in. (już r. 1315 był pierwszy tegoż przykład), ale nie za czary, o których prawo polskie nic nie wiedziało; ta wiara i te sądy przy-

szły do nas z Niemiec, a rozkrzewiły się dopiero później; książeczki ludowe o Fortunacie, przeszczepiona wiara w latawców i odmieńców, kalendarze i zielniki szerzyły epidemję czarowniczą, rozbujałą w całej Europie w XVII wieku; mówią tam o kilku miljonach, do dziesięciu, ofiar tego obłędu.

MECENAT. ZAMOYSKI

Opiekowali się nauką i literaturą magnaci i biskupi; nietylko schlebiało to dumie pańskiej, co oczekiwała hojnego odwdzięczenia od wychowanków, którzy mieli uświetnić dziełami i dedykacjami ród i imię; poczuwano się wręcz do obowiązku wspierania mniej zamożnych, czyto ułatwiania im podróży zagranicznej, czy zapewnienia im wczasów dla pracy; szczególniej poeci dopraszali się łaski pańskiej, zaręczali, że Maronów nie zabraknie, skoro Mecenasi się zjawią, i chętnie z dziękczynnem uznaniem tych łask występowali. Oto Kochanowski «opowiada na czasy potomne» łaskę Piotra Myszkowskiego, biskupa krakowskiego, «który swą hojną ręką podeprzeć mię raczył, żebym wygnawszy niedostatek z domu, tem głośniej śpiewał a nie podlegał nikomu»; psałterz ofiarował on temu, «którego dobrodziejstwem czuję uwiązane swe serce»; nierównie większą była zawisłość Janicjusza od Krzyckiego i Kmity.

Mecenat kulturalny, szczególnie literacki, był dawnej Polsce nieznany; że się np. Oleśnicki uniwersytetem żywo zajmował, — pełnił on tylko jako kanclerz swój obowiązek; że od króla począwszy wszystkie stany zawodniczyły w uposażaniu burs czy katedr, to było chyba rodzajem pobożności, jak kościoły i klasztory fundowano: służył przecież uniwersytet jako zakład duchowny, Kościołowi przedewszystkiem; podobnie zamawiało bogate mieszczaństwo ołtarze u Wita Stwosza, inni wspaniałe grobowce: tu cel bezpośredni zasłaniał sobą wszelkie inne względy.

Zbyt krótko panowali Olbracht i Aleksander, aby się wybitniej w dziejach kultury zaznaczyć, do czego Olbracht, pierwszy wykształcony Jagiellończyk, miłośnik dziejów i sławy chciwy, miał wszelkie przesłanki. Długie panowanie Zygmunta Starego odbiło się przedewszystkiem w mecenasostwie dla sztuki, architektury i muzyki; wspaniałe budowle wawelskie, urządzenie kaplicy rorantystów, świadczyły o zamiłowaniu królewskiem. Od niego rozpoczął się i mecenat literacki: iluż to autorów, Czechów, Polaków, Niemców, poświęcało jemu dzieła, a odbierało pierścienie czy medale, ale król nie ograniczał się Polską, pamiętał o zagranicy, np. o Erazmie. Była to jakby zobopólna służba: król obdarzał Erazma, ten sławił króla, nieśmiertelność będzie obu udziałem. Co najdziwniejsze, co niesłychane, że w wieku łacińskim «rymarzowi» polskiemu król ofiarował Temerowce — ani przypuszczał, że mu ten właśnie dar nad wszelkie inne się policzy; miał pobudzić poetę, który właśnie *Józefa* ulubionej córce królewskiej poświęcił, do dalszej wydatnej pracy; król otrzymał też niebawem cudną parafrazę psałterzową. Zygmunt August nie wsławił się żadnym podobnym czynem; poświęcali mu liczni liczne dzieła, znaleźli się między nimi Rej, Jan Kochanowski, Mączyński z foljałem swego słownika, alež dwojakie były dedykacje. Jedne były rzeczowe, t. j. wymagała czy usprawiedliwiała je rzecz sama, treść cała czy jakie jej szczegóły. Np. poświęcał Frycz Modrzewski księgi *O poprawie Rzeczy Pospolitej* królowi nie dla pochlebstwa, lecz dla treści; podobnie Kochanowski *Zuzannę* pani wojewodzinej, a szyki walczące *Szachów* synowi hetmańskiemu, choćby żartobliwie, lecz *Fraszki* albo *Pieśni* nikomu w szczególności (kto inny byłby to niechybnie uczynił), zato całemu ogółowi oddawał. Obok «rzeczowych» przeważały dedykacje całkiem przypadkowe: chciało się komuś przypomnieć albo mu się odwdzięczyć, i posyłało mu się rzecz byle jaką. Oto np. poświęcał Kochanowski Mieleckiemu *Proporzec*, z równem prawem byle in-

nemu dostojnikowi z sejmu lubelskiego, chociaż nadzwyczaj zgrabnie udał, że rynsztunek hetmański powiększy i o proporzec, pięknie tkany:

I z Helikonu podany
Od córek wdzięcznej pamięci,
Bez których łaski i chęci
Hetman, niech jaki chce, wstanie,
Sławy trwałej nie dostanie!

Otóż i aksjomat poezji humanistycznej, która wieńce nieśmiertelnej sławy jedyna rozdawała, zwiedziona przykładem antyku, jakby ten jeszcze obowiązywał! Więc dedykacje dedykacjom nierówne, wedle odwiecznej zasady, że nie jest jednem, jeśli dwuch jedno czyni.

Zygmunt August mecenasował, mianując literata sekretarzem, służby istotnej wcale nie albo wyjątkowo wymagając, podwyższając jurgielt i przykazując, żeby raz na zawsze, bez osobnych poleceń, go wypłacano. Tak postąpił z Fryczem, gdy «w uwzględnieniu wiernych jego usług i wyjątkowej nauki» podwyższył mu r. 1555 pensję do 200 zł.; było przecież całe dzieło Fryczowe *ex mente regis* napisane. Podobnie i z Kochanowskim, chociaż ten mu tylko *Satyra* dedykował, co właśnie zamiarom królewskim jak najtrafniej służył, ależ wiemy, że król się i postępem psałterza zajmował: gdyby nie jego śmierć, kto wie, komuby go Kochanowski przypisał? Kosztowności Augusta więcej pociągały; na literaturę, a na polską specjalnie nie był zbyt wylany, mimo swego kolekcjonerstwa książek, do których nie zaglądał, ale które coraz pomnażać kazał; przeszły one wkońcu poczęści do bibljoteki jezuitów wileńskich, inne rozprószono po świecie. Z Augustem zakończył się mecenat literacki królewski, bo następni panujący, obcy rodem czy wychowaniem, dalej go nie pielęgnowali. Inne stany zajęły ich miejsce.

Najpierw duchowni; ich mecenat dla pierwszej połowy wieku najznamienniejszy; z Lubrańskim, Ciołkiem, Tomickim

i Maciejowskim nie zrównał żaden świecki, a nie na nich kończył się szereg wykształconych dostojników Kościoła, dbałych o naukę. Nikt nie wysyłał tyle młodzieży zagranicę na swój koszt, co Tomicki, i dziwili się Włosi tej królewskiej hojności; on, Gamrat, Maciejowski sprowadzali uczonych wybitnych do uniwersytetu, chociaż zardzewiałej machiny nie uruchomili. W drugiej połowie wieku nie zrównali już z nimi ani uczeń Erazma Zebrzydowski, ani Padniewski, ani Myszkowski; świetna akademja, jaką Maciejowski dla swoich dworzan urządził a Górnicki wysławił, z jego zgonem upadła; obok tej akademji patronował Maciejowski uczonym, wyliczył ich Przyłuski w *Carmen gratulatorium* z r. 1545: Myszkowski, Trzecieski, Koźmińczyk, Novicampianus, Leonard (z Wyszogrodu) i in., z obcych Rojzjusz, jurysta i poeta, Anglik Filip i in.

Zaczął się ten mecenat duchowny u samego początku wieku; uczony Erazm Ciołek dochody bogatego biskupstwa płockiego zużywał i na kosztowny księgozbiór i na zamawianie u krakowskich minjaturzystów artystycznego, pysznego wykonania swoich ksiąg liturgicznych (słynnego pontyfikału i mszału) i na wspieranie swoich sekretarzy i dworzan, dla których w Rzymie urządzał prelekcje płatnych lektorów; przeważali jednak obcy, Włosi, w jego otoczeniu, im drogę w Polsce torował; z polskich autorów związany z jego nazwiskiem Husowczyk, niezgorszy poeta-latynista. Lubrański górował nad Ciołkiem przywiązaniem do kraju (Ciołek myślał raczej o wyniesieniu własnej osoby) i uwzględnianiem jego potrzeb: niestety, naśladowców znalazł mało, na równie szeroką skalę (zob. niżej) żaden z późniejszych się nie zdobył. Biskupi krakowscy małe około siebie zbierali grono; Padniewski, były żołnierz, w Bodzętynie zbierał chętnie ludzi uczonych na kilkotygodniowe ferje i rozprawiał o nauce i sztuce. Przykłady dałyby się mnożyć.

Poza biskupami stanął jako mecenas kanonik Jan Łaski, który i Francuza przygarnął (zdolny młodzieniec rychło umarł)

i bibljotekę swego podziwianego Erazma zakupił, pozostawiając mu dozgonne z niej korzystanie, który wielki gest chyba dopiero Katarzyna II powtórzyła; Hozjusz, Modrzewski, ów Francuz Anjan byli świadkami jego mądrego szafowania dochodami.

Między świeckimi panami wyróżniali się w pierwszej połowie wieku Kmita i Tarnowski, szczególniej pierwszy, protektor Janicjusza, Przyłuskiego, Mariciusa; kanclerz Szydłowiecki nie literaturę, lecz sztukę gorliwie pielęgnował. Magnaci wspierali literatów, albo ich do swego dworu włączając, albo im drogę do urzędów torując, albo jurgielty wypłacając; Orzechowski np. pobierał jurgielty i od Radziwiłła i od biskupów; puszczali im (a tak samo i duchowni) wygodne dzierżawy, np. Frycz miał od biskupa wójtostwo wolborskie, a od Lasockich probostwo brzezińskie; probostwami raczyli literatów i kolatorowie świeccy i biskupi z kapitułami; Kochanowski był proboszczem poznańskim, gdy mu Myszkowski bezinteresownie tę dochodną prebendę odstąpił, i plebanem zwoleńskim: bez wyższych święceń kapłańskich utrzymywał dla *cura animarum* wikarego z części swych dochodów i dziesięcin; składał jednak te urzędy, gdy się żenił. Licznych innych mecenasów wymieniały druki spółczesne w dedykacjach ksiąg wszelakich.

W drugiej połowie wieku zaćmił wszystkich, duchownych czy świeckich, Jan Zamoyski, *homo novus*, z kalwina rychły katolik (jezuici nawrócili mu i żonę, Radziwiłłównę), który dzięki zdolnościom i pracom własnym, nadzwyczajnej popularności u szlachty, nadwerężonej później, dalej dzięki poparciu Batorego, na czoło społeczeństwa się wybił. Zamoyski, to największy Polak wieku; w nim ideał Polaka najpełniej się objawił. Patrjota szczery, gorący wielbiciel wolności i równości; umiarkowany, bezstronny, sprawiedliwy, nadzwyczaj taktowny (jak się obchodził z swoim więźniem Maksymiljanem!), energiczny (ściął Zborowskiego warchoła); dyplomata zawołany i żołnierz doświadczony; uczony o szerokim na świat poglądzie; czynny i usłużny, niezawisły; snujący wielkie plany, a mimo to trzeźwy, wyzyskujący każdą okoliczność, szybki w wykonaniu: czysty typ renesansowy co do wiary, zasad, etyki; hojny i otwarty — musiał popaść w konflikt to z demagogją szlachecką anarchiczną (co mu wielu wrogów zjednało), to z mrukiem, upartym, fanatykiem, jakiego wychowali w Zygmuncie III jezuici i więzienie zamkowe, i odkrył konszachty króla habsburskie i do opozycji przeszedł. Na jego dworze zamoyskim odżył na większe nierównie rozmiary krakowski dwór Maciejowskiego; politycy, żołnierze, uczeni i literaci (Szymonowic; Cikliński, znakomity komedji Plautowej przetwórca; Klonowic; Herburt i tylu innych), panicze oddani przez rodziców na wychowanie, tworzyli jego otoczenie; on wysyłał zdolniejszych zagranicę o własnym koszcie i, o czem żaden z duchownych, oprócz Lubrańskiego, ani świeckich nie pomyślał, powołał własną szkołę do życia. Co go do tego skłoniło, oświadczył przy jej otwieraniu:

«Przekonany, że w życiu tylko o chwałę, zacność, dobro ogólne dbać należy, oddałem się cały studjom; te żywiły mi młodość, słodziły starość, zdobiły powodzenie w urzędowaniu, w niepowodzeniu pocieszały, prowadziły na wojnie, uczyły w zawieraniu przymierzy; one ze mną nocowały, podróżowały, gospodarowały — dlaczegóż nie miałbym was upominać, że wam tą samą drogą kroczyć wypada? Gdybym był tak bogatym, żebym mógł wszystkich bogacić, bogaciłbym, lecz, skoro dobre wychowanie dziatwy droższe nad złoto wszystkie, otwieram wam trwałe jego źródło, akademję, gdzie go synowie wasi poddostatkiem czerpać mogą».

I wchodził kanclerz-hetman w najdrobniejsze szczegóły; dbały, jak Batory, o dobrą łacinę, poprawiał prace wychowanków swej szkoły, które mu nawet do obozu przysyłano; w Zamościu sam szkołę coraz nawiedzał, bywał przy egzaminach, sam pytania stawiał, kazał rozgrywać dialogi na tematy starożytne, szczególnie rzymskie, podając tylko treść, którą uczniowie sami opracowywali; kanclerz, hetman, i Sturmem polskim niby został; ależ nie dosyć na tem, on i kolonizator pierwszo-

rzędny, na dalekim wschodzie grody zakładał (Szarogród), kolonistów sprowadzał, opieki im dzielnej użyczał.

Jako prawy syn szlachecki nie lubił Niemców, dla «grubości» ich obyczajów; nienawidził Habsburgów, dla ich absolutyzmu, fiskalizmu i nietolerancji; brzydził się Moskwą, dla jej sprosności; jego sympatje słowiańskie nie wykraczały poza pobratymców-Czechów. Był katolikiem i bolał nad rozdarciem wiary, nie tuszącem dobrze Rzeczypospolitej, ale żeby dla wiary uciskać brać szlachecką, nigdyby tego nie dopuścił; więc raził go fanatyzm jezuicki, i dobrze wiedział «Filalet», dlaczego kanclerzowi poświęcał księgi o obronie szyzmy starej przeciw nowej unji (Skargi), chociaż ta dedykacja była zupełną niespodzianką dla kanclerza. Nie był porywczy ani namiętny, umiał się hamować, ale swego dochodził i rzeczy lekko nie brał; jeżeli u którego Polaka, to u niego *salus Reipublicae suprema lex esto* było godłem życiowem; jego patrjotyzm był bez skazy czy rysu. I godnie reprezentował cały naród przed Europą; z jego nierychlonym zgonem zgasła jasna gwiazda wschodu, i nie dla datku opłakiwali humaniści niemieccy nawet w dalekim brunświckim Helmstadzie męża stanu, wodza i mecenasa; wiersze i prozy, łacińskie i greckie, znakomitych filologów niemieckich, Caseliusa, Rhodomana, Diepholda i wielu innych, świadczyły o tem wymownie. Drugiego podobnego szlachecka Polska już nie wydała; jedyny jego godny uczeń, Żółkiewski, przewyższał go cnotą, hartem charakteru, patrjotyzmem, poświęceniem, sztuką wojenną, ale daleko mu do nauki, mecenasostwa, kunsztów wszelakich pokoju; inni z szkoły kanclerskiej, czy Zebrzydowski czy Herburt, zdradzili zupełnie mistrza. Ile z nim Polsce ubyło, odczuł Zamość, ludzie i szkoła, najsilniej.

Wszyscy literaci spółcześni, Jan Kochanowski czy Szymon Szymonowic, przemijająco czy trwale, zostawali z nim we związku. Jego dwór łączył prawników, historyków, filologów, literatów nierównie liczniej i ściślej niż dwory Tomickiego czy

Maciejowskiego, a z znakomitościami włoskiemi i belgijskiemi utrzymywał kanclerz żywe stosunki. Justus Lipsius w Lowanium i Jan Douza w Lejdzie (który i synów do Polski wysyłał), Francuz Scaliger, Jan Caselius, filolog helmsztadzki, a szczególniej liczni Ryżanie, w pierwszym rzędzie prawnik i pisarz Dawid Hilchen, pedagog Frencelius i inni sławili gościnnego, hojnego, usłużnego kanclerza, który i stosunków z uniwersytetem swoim, padewskim, nie zrywał; jeszcze w XVII wieku sława jego zagraniczna nie wygasła, świadkiem Hugo Grotius. Wychowaniem syna (zbyt młodego niestety odumarł) sam kierował, ludzi zdolnych wysyłał zagranicę, Ursyna, Cieszanowskiego i in. I przezwano go słusznie Medyceuszem polskim; z nim zszedł ze świata ostatni wielki humanista-mecenas.

Ależ obok Zamoyskiego byli i inni, «z grona onego ludzi chędogich, którzy ozdobnego wieku kwitnęli», których zagranica (np. szlachta francuska poselstwo polskie po Walezego) podziwiała dla ich nauki, obejścia, taktu. Jak podobał się np. Olbrycht Łaski w Londynie u królowej i dworu, z jakiemi go honorami nawet Oksford przywitał: ślady tego są i u Giordana Bruno i w dziełach angielskich. Humaniści, od wielkiego Erazma począwszy, sławili Polaków i Polskę, króla i dwór, i możnaby zestawić długi katalog wszelakich wzmianek pochlebnych z dedykacyj i listów. Nie brak coprawda i sądów ujemnych, wywoływanych przez okoliczności; jeśli np. zawiedzeni Francuzi Polskę potwarzali. [1]

[1] Najdrastyczniej poeta Filip Desportes w swojem *Adieu à la Pologne,* na co J. Kochanowski odpowiadał. Franzuca przeraziła sroga zima, srogi ścisk, sroga wolność sarmacka; szydził z uzbrojenia, ale Batory to samo prawił; zarzucał krajowi ubóstwo, domom zawalenie bydłem (ależ to tylko w piekarni i u chłopów bywało), wszystkim opilstwo, że i przy stole zasypiali, albo na ziemi, dalej chełpliwość i niestałość i zbytnie szermowanie samemi słowami. Zawód i zły humor podyktowały Francuzowi niewieściuchowi te wyrzuty słabo uzasadnione; nie brakło też i oprócz Kochanowskiego odpowiedzi.

KSIĄŻKA

Czem był Kraków dla Polski szesnastowiecznej, dowodziła najwidoczniej książka, stojąca wyłącznie, do połowy wieku przynajmniej, jednym Krakowem. Księgarzy, bibljopolów, co zarazem np. winem handlowali, było sporo w Poznaniu, Lwowie czy Wilnie, ale nakładców i drukarzy znał tylko Kraków i starał się przywilejami królewskiemi swój monopol wydawniczy zabezpieczyć, szczególniej Jan Haller, zrazu tylko księgarz i nakładca, drukujący w Niemczech i Francji mszały, brewjarze i t. d. dla diecezyj polskich, aż wkońcu i drukarnie krajowe urządził.[1] Drukarstwo, to sztuka czy przemysł niemiecki,

[1] Jan Haller wyrobił sobie r. 1505 ogólny przywilej królewski, zabraniający każdemu innemu sprowadzania lub druku książek, któreby on wydawał; nie zadowalając się nim, wystarał się u arcybiskupa o specjalny przywilej dla druku agend i mszałów gnieźnieńskich, a u biskupa poznańskiego o podobny dla wszelakich ksiąg kościelnych poznańskich, i używał tych przywilejów przy każdej sposobności. Więc gdy zamożni mieszczanie poznańscy, Tylszowie, wydrukowali r. 1515 własnym nakładem brewjarz poznański, zjawił się Haller z swojemi przywilejami przed radą poznańską z protestem i Tylszowie musieli mu cały nakład po cenie własnych kosztów odsprzedać. Tak się tłumaczy, że wobec monopolu krakowskiego nie powstawały gdzie indziej, np. w bogatym Poznaniu, drukarnie przez czas najdłuższy, przecież w Poznaniu dopiero w r. 1577 otworzył drukarnię introligator-bibljopola Melchjor Nering; podobnie we Lwowie, Wilnie i indziej. Haller, rajca i księgarz krakowski, posiadał już w r. 1494 przywilej od kardynała Fryderyka na mszał krakowski i rozszerzał odtąd przywileje podobne na wszystkie diecezje, wystarawszy się wprzód o poprawę tekstu i przystosowanie do diecezyj krajowych przez uczonych kanoników. Dopiero z początkiem XVI wieku zaczął sam w Krakowie drukować, najpierw w oficynie Kacpra Hochfedera z Mecu, który już przedtem w Krakowie bywał, potem w własnej; przywilej z r. 1505 zaświadcza, że sztukę drukarską pierwszy Haller z niemałemi fatygami i pilnością do Krakowa wprowadził, więc żeby ją krzewił bez zawady zewnętrznej i t. d.

Przywileje zawierają nieraz cenne szczegóły, np. o przełożeniu niezrozumiałego już tekstu niemieckiego prawa miejskiego na łacinę

więc zalali drukarze Niemcy, szczególniej Ślązacy, Polskę: Ungler (Bawarczyk), Scharffenbergerów i Siebenajcherów rodziny w kilku pokoleniach, Wietor z Libentalu, między nimi najznaczniejsi; krajowe papiernie, pod Krakowem i indziej, dostarczały materjału, «buksztaby» odlewano zagranicą, a później i na miejscu, a drzeworytami zaopatrywano się obcemi, nim właśni znakomici krakowscy «formkrawacze» (po których zbiór klocków do dziś się zachował) dorośli. Dzieła drukowano w bardzo nierównej liczbie egzemplarzy, nakłady kalendarza liczyły od 3000 do 6000, dzieł uczonych od 300 do 500 egzemplarzy (np. słownik Mączyńskiego). Jeszcze w pierwszem dwudziestoleciu bito wyłącznie po łacinie dla duchowieństwa i żaków (podręczniki naukowe i wiersze łacińskie, pisemka autorów starożytnych — pierwszy druk grecki r. 1536), całkiem wyjątkowo coś polskiego (np. modlitewnik r. 1514); dopiero od r. 1521 stale drukowano po polsku dla dorosłych dzieci; po łacinie dla dojrzałych.

przez sekretarza miejskiego Mikołaja Jaskiera r. 1535; jeden egzemplarz na pergaminie winien on złożyć w skarbie koronnym. R. 1540 oskarżyła wdowa po Unglerze przed rektorem Macieja Szarffenberga i Hieronima Wietora, że przedrukowali Psałterz polski (Wróblowy), który ona drogo opłaciła i drogo wydała, ale obaj wymówili się, że r. 1539 wszyscy drukarze krakowscy zrzekli się przed królem swoich przywilejów i odtąd bezkarnie przedrukowują; r. 1542 zdobył Szarffenberg ukradkiem egzemplarz wydrukowanej już, ale nie puszczonej w obieg *Farrago iuris civilis*, co Unglerowa autorowi drogo zapłaciła i z wielkim kosztem wydała, i przedrukował i wydał dzieło przed nią: daremnie go o to skarżyła. Mikołaj Szarffenberger został pierwszym drukarzem królewskim r. 1577 i zobowiązał go Batory, że przy kanclerzu, dla ulżenia pracy kancelarji królewskiej, winien zawsze utrzymywać towarzysza z zupełnym warsztatem drukarskim dla druku uniwersałów i t. p., skarb go będzie opłacał, a marszałek o gospodę wygodną się starał; otrzymał za to Szarffenberger przywilej na druk statutów, przywilejów, historyj i kronik. R. 1580 z powodu paszkwilów gdańskich zakazał Batory druku, bez swej wiedzy i zezwolenia, tekstów czy obrazów dotyczących państwa, w kraju czy zagranicą (sprzedaży).

Ale ruch wydawniczy był słaby, liczby druków doroczne były stale niskie, dopiero za reformacji nagle wzrosły. Szerzyła się ona narazie propagandą książkową (udzielała np. Bona Lizmaninowi druków Ochina), którą tamowały edykty królewskie, rewizje biskupie, cenzura duchowna, stale obostrzane, ale mało skuteczne. Wychodziły zagranicą. Książę Albrecht wystarał się już r. 1533 i 1535 o pierwsze katechizmy polskie i przesyłał egzemplarze biskupom polskim, ale były bardzo niezdarne (pierwszy wypadł najfatalniej z powodu germanizmów). Od przybycia Jana Seklucjana do Królewca zaczęli drukarze królewieccy, Weinreich, Augezdecky, Daubman, zalewać Polskę protestanckiemi drukami, tak dalece obliczonemi tylko na wywóz do Polski, że w całych Prusiech książęcych, w Królewcu np., ich niemal ani jeden nie ocalał egzemplarz; aksjomat najpospolitszy, że książek należy poszukiwać na «ojczyźnie», t. j. w miejscu ich druku, tu zupełnie zawodzi. Na lat siedm, ośm (1545—1552) stał się Królewiec centrem druków polskich. Jeszcze w r. 1551 mogły władze duchowne w Krakowie wycofać z druku księgi Fryczowe o Kościele i szkole, które on wydał w Szwajcarji, ale niebawem zerwano wszelkie zapory, i pińczowskie, brzesko-litewskie (radziwiłłowskie) druki, wkońcu i krakowskie Wierzbięty-Weidnera zalały całą Polskę. W najdalszych zakątkach, Szamotułach, Grodzisku, Nieświeżu, Węgrowie, Łosku i t. d. urządzano drukarnie dla wszelkich zborów. Każda «sekta» bowiem dbała o własne kancjonały, modlitwy, wyznania wiary, jej apologję i polemikę z innemi.

Ale czasy się rychło odmieniły; Batory już udzielał ogólne przywileje drukarskie (na lat kilka) pod warunkiem, że drukuje się książki, co się religji katolickiej i obyczajności nie przeciwią. Doświadczył zaraz na sobie drukarz poznański Nering wagę tego zastrzeżenia, bo gdy drukarczyk jego zwierzył się jezuitom, że Nering drukuje *Diatrybę* kalwina Niemojewskiego przeciwko jezuitom, ci wymogli na biskupie wystąpienie z zakazem druku wobec rady miejskiej, a gdy ta zwlekała z sprawą, zdemolowali słudzy biskupi drukarnię, i Nering uszedł do Grodziska a stąd niebawem do Torunia pod opiekę swego krewniaka Strobanda (zob. wyżej), gdzie wspomożony przez Strobanda założył bardzo piękną drukarnię, ale ją rychło odumarł. Miejsce jego w Poznaniu zajął prawowierny katolik, Jan Wolrab, z drukarzy lipskich i budziszyńskich pochodzący, sprowadzony przez jezuitów z Budziszyna, drukujący przeważnie elukubracje jezuickie i ks. Powodowskiego w swojej zasobnej drukarni, ale już r. 1592 umarł; mimo to drukarnia wolrabowska w Poznaniu i Kaliszu jeszcze w XVII wieku pracowała; wdowa, synowie prowadzili dalej interes ojcowski. Ogólnych przywilejów już nie utrzymywano, tylko specjalne na każde wydawnictwo.

Druki szesnastowieczne przedstawiają się okazale, przynajmniej w znacznej liczbie; dobry papier, czcionki nie zużyte, staranna korekta zalecają je powszechnie; druki Łazarzowe, katolickie (Łazarza Andrysa lub Andrysowica), i Wierzbięcine, protestanckie, równają się najlepszym paryskim. Do dzieł większych i kosztownych brali się jednak nasi drukarze mniej chętnie; r. 1562 pisał Jakób Górski do Camerariusa, że wyda swoją *Dialektykę* zagranicą, bo «nasi drukarze drukują tylko, co kilku arkuszy nie przekracza, i to nie bez naszego kosztu». Drukarstwo uchodziło za celną sztukę i nie podlegało cechom; nierzadkie też nobilitacje drukarzy; Paprocki w *Herbach* pisze o drukarstwie, «które jest *ars* między innemi tak, iż nie tylko *plebeium*, ale *vere ipsum nobilem* nie szpeci». Drukarnie polskie zniszczyła w wieku XVII konkurencja zakonnych, szczególnie jezuickich, wolnych od podatków, i introligatorów, dalej i zagranicznych. Najbardziej popłacały kalendarze profesorów krakowskich, Mikołaja z Szadka i innych, przez cały wiek; księgarz Jan z Sącza (późniejszy Malecki w Prusiech) utracił przywilej na ich druk, bo nie urządził własnej drukarni, do czego się był zobowiązał, lecz drukował je w Niemczech.

Wychodziły te kalendarze rok rocznie pod wszelakiemi tytułami, np. *Wysłowienie znaków niebieskich... na rok 1528 złożone, Osądzenie spraw niebieskich sławnej nauki krakowskiej na r. 1529* i t. d.: badamy przyszłość, aby dobremu pomóc a złe odwrócić, mimo wszechmocy Bożej, która wszystko wedle zasług odmieniać może, i mimo omylności naszej wiedzy; przetłumaczyłem (Jan z Sącza, bo niecne czechizmy jego zdradzają) z łaciny na polskie, aby pospolity człowiek polski mógł czytać, a osobno panny, panie, których matka Ewa to im po sobie zostawiła, żeby każda z nich wiedzieć tajemności chciwa była, a to co wie, aby żadnym obyczajem nie zataiła (jak Ewa słowo wężowe). Skargi na złe czasy już wtedy były ogólne; «nie rozumie syty łacznemu a bogaty ubogiemu». — Sława «almanachów» krakowskich przetrwała wieki, jeszcze w połowie XIX w. wydawano stale w Wiedniu obszerny *Krakauer Schreibkalender*.

W Poznaniu introligator, potem księgarz Jan Patruus z Koła, szczególniej zaś syn jego Jan, byli obaj katolicy, gdy inni księgarze, np. Feniki, byli luteranie (z Fenikówną ożenił się Seklucjan); młodszy Jan, nakładca dzieł Hozjuszowych, drukowanych w Moguncji i Dylindze, jeździł z książkami po wszystkich jarmarkach polskich a utrzymywał filje księgarskie w Łęczycy i in.; sam jednak mało drukował, człowiek bardzo ruchliwy, handlujący jak inni «bibljopole» poznańscy i innym towarem (lnem, futrami). Najciekawsza postać, to Rafał Skrzetuski, poznańczyk, około r. 1555 *exul* w Niderlandach, który osiadł w Wiedniu i tam zasłynął jako Hofhalter najpiękniejszemi drukami; r. 1562 przeniósł się do Siedmiogrodu, jako *typographus regius*, drukował tam dzieła antitrynitarskie i umarł r. 1568; ale jako drukarz obcy on Poznaniowi i Polsce.

BIBLJOGRAFJA

Zupełnego przedstawienia dziejów szkolnictwa, mecenasostwa, książki nie posiadamy dotąd; są zato liczne monografje, np. Ant. Danysz, *Studja z dziejów wychowania w Polsce*, Kraków 1921 (o Marycjuszu, Glicnerze i in.; wydał także dziełko Marycjusza *O akademjach* z r. 1551 w przekładzie polskim i ze wstępem obszernym, Kraków 1925); St. Kot o szkołach pińczowskiej i lewartowskiej i inne przyczynki, szczególniej w *Reformacji;* W. Czermak, *Uniwersytet Jagielloński w czterech ostatnich wiekach*, Kraków 1900; St. Łempicki, *Działalność J. Zamoyskiego na polu szkolnictwa*, Kraków 1922; K. Mazurkiewicz, *Akademja Lubrańskiego*, Poznań 1919; *Monumenta Poloniae typographica XV et XVI saeculorum, I: Cracovia impressorum XV et XVI saec., edidit* J. Ptaśnik, Lwów 1922; Dr. M. Wojciechowska, *Z dziejów książki w Poznaniu XVI wieku*, Poznań 1927; A. Kraushar, *Czary na dworze Batorego*, Warszawa 1889; tenże, *Olbrycht Łaski*, Warszawa 1883; St. Kot, *Adieu à la Pologne*, Kraków 1930.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ŻYCIE LITERACKIE

Środowisko literackie. — Czytelnictwo. — Literatura łacińska. Poezja. — Proza łacińska. — Literatura polska. Początki. Rej. — Reformacja. — Proza naukowa i polityczna. — Wymowa. Skarga. — Poezja. Kochanowski. — Dramat. — Język. — Bibljografja.

ŚRODOWISKO LITERACKIE. CZYTELNICTWO

Wobec późnego obudzenia życia literackiego, któremu ani dwór królewski ani miasta nie użyczały podpory, skupiało się ono około uniwersytetu, który mu jednak wskutek wyłącznego kierunku scholastyczno-dogmatycznego nie sprzyjał, a poza Krakowem nie było dla niego jeszcze miejsca w kraju. Obcy stworzyli tu jego pierwsze ogniska, Kallimach i Celtes, a nawet gdy ów rychło umarł a ten jeszcze rychlej Kraków opuścił, tliło tu dalej światełko, mniej literackie, niż humanistyczne; nie rozsprzęgło się odrazu kółko, w którem duchowni i świeccy (niejeden Ślązak między nimi) wymieniali myśli i książki, lecz brakło śród nich samych ducha twórczego; nieproduktywność słowiańska wytykała wprawdzie braki, lecz sama nie podejmowała niczego dla ich usunięcia. I w wieku XVI narazie nic się nie zmieniło; do lat dwudziestych skupiano się dalej około uniwersytetu, szczególniej gdy «poeci», swoi i obcy (Agricola, Coxe i inni), na katedrach zasiedli albo prywatnie uczyli. Szczupłe grono powiększali księgarze i drukarze obcy, wykształceni, którzy niebawem miejscowe siły, bakałarzy i in., zaprzęgali nie do gadulstwa tylko, lecz do istotnej roboty literackiej; przykładali się chętnie i inni, taki rajca miejski Spiczyński; obradowali nad pismem, językiem, książką; przystępowali lekarze, piastunowie nauki, jeden i drugi prawnik miejski (Tucholczyk); nie brakło Ślązaków (Mimer i in.). Inne kółko tworzyły dwór i kancelarja królewska, gromadząca ludzi pióra, którzy się nie ograniczali

pracą zawodową. Król, magnaci świeccy i duchowni za wzorem zagranicznym oczekiwali i wynagradzali hołdy literackie; magnatowi jak Krzysztof Szydłowiecki dedykowała nawet sława światowa, Erazm Roterdamczyk, rzecz o *Języku* (później spolszczoną) r. 1526, a drukarz krakowski historję o *Fortunie i cnocie* 1526; za niemi cały szereg innych dzieł jemu ofiarowano; inny drukarz pani kasztelanowej ofiarował książeczkę, bo końmi pana kasztelana z błota wybrnął.

Pierwsze zalążki ruchu, to znajomości zawarte na ławie szkolnej krakowskiej czy zagranicznej, podtrzymywane i nadal; spólna służba w kancelarji królewskiej czy magnackiej zadzierzgała nowe węzły między bracią literacką, która się wzajemnie wspierała. W Krakowie rozbudzał się obok uniwersytetu samoistny, coraz większy ruch literacki; podnietą świeżą była reformacja; coraz śmielej odzywały się głosy wymagające naprawy; około r. 1540 umysłów nic jeszcze nie dzieliło; sprowadzano książki zabronione (na serjo nikt tego nie tępił) i rozprawiano w kółku poufnem; obok kółka miejsko-szlacheckiego tworzyło się inne u franciszkanów krakowskich, a kaznodzieje królewscy albo farni przylewali oliwy do ognia. Jeszcze literatura nie była potęgą, chociaż polskie «złosłowie« już tak bezlitośnie nicowało panów rad duchownych i świeckich, że edykt królewski z r. 1537 paszkwilów pod karą śmierci dla autora zabraniał, a nagrodą stu dukatów donosicieli zwabiał. Podobnego odgłosu poważne pisma jeszcze nie budziły; bez większego wrażenia przesuwały się i polskie dialogi Reja i łacińska publicystyka Frycza i Orzechowskiego; należało publiczność dopiero stworzyć. Reformacja silnie to poparła; spory o wiarę torowały drogę i innej literaturze, nie teologicznej tylko. Ale literatura nie żywiła człowieka, literat oglądał się stale za opiekunem szczodrym, a czerpał nadzieję i podtrzymywanie śród jednomyślnych kolegów, bo już rozeszły się do niedawna spólne drogi i w imię wiary stawali przeciw sobie niedawni przyjaciele.

Skupiali się na dworze królewskim, około Zygmunta Augusta, co rad pismo polskie witał (o którem Batory i słyszeć nie chciał); około biskupów krakowskich, Tomickiego niegdyś i Maciejowskiego, o wiele wyprzedzających pod tym względem swoich następców, Zebrzydowskiego i Padniewskiego (dopiero Myszkowski tamtych nieco przypominał); około magnatów, szczególniej Piotra Kmity, nierównie mniej Jana Tarnowskiego, tem więcej Radziwiłła Czarnego, łożącego krocie na drukarnię i księgi (np. Biblję, której Małopolanie bez niego do końca dowieść nie mogli).

Co się nie łączyło bezpośrednio z religją i teologją, nie liczyło na odbyt, i najgłębsze dzieła mijały bez odgłosu, czy Frycza księgi *O poprawie Rzeczypospolitej*, czy *Dworzanin* Górnickiego, czy *Żywot poczciwego człowieka* Rejowy; dopiero Jan Kochanowski swej Muzie baczność, uwielbienie nawet zapewnił — poza kółkiem literatów; dziwić tylko może, że pierwszy prawdziwy poeta bynajmniej o pochwały publiczne nie dbał, mało pisał, a jeszcze wiele mniej drukował, jakby prywatne poklaski zastąpić mogły hołdy ogółu. Koło znawców było widocznie szczupłe, należało nierównie szersze wybojować, ale Kochanowskiego natura była raczej bierna; on sobie śpiewał i Muzom. Krytyki w Europie także nie było, zastępowały ją wzajemne pochwały autorskie, ale we Włoszech i Francji zdobyła już, na podstawie dawnej tradycji, literatura nierównie większe znaczenie, niż na mroźnej północy bez kultu piękna i sztuki. To chyba tłumaczy ten dziwny fakt, że do druku nie spieszyli tylko ci, co mieli coś do powiedzenia, Kochanowski czy Szarzyński. Dla tej niechęci do druku, przetrzebił czas strasznie zasoby literackie; słyszymy o najrozmaitszych autorach, wymienianych z pochwałami, ale dotąd nie odnaleźliśmy po nich ani wiersza! I Kochanowskiemu starczyło «nacieszyć uszy domowe swych panów», a rzadko i późno o tem myśleć, «żeby się też to między gmin podało». Mimo wszystko zdobył Kochanowski po-

słuch ogółu, ale za mało to wyzyskał, a po nim już żaden inny poeta nie stworzył koła ani życia literackiego; każdy szedł już samopas.

Rozszczepiła się literatura nietylko wedle wyznania (nie lubili Reja katolicy, a protestanci Skargi), ale i wedle języka. Jedni pisali niby tylko dla Europy, t. j. po łacinie, nawet rzeczy, co tylko Polskę obchodziły, wszelkie cenne dzieła polityczne i historyczne, Frycz, Wolan, Warszewicki i tylu innych, co rozumiemy, jeśli piszący był obcokrajowcem, np. Gwagnin, Socyn, Heidenstein, lub rzecz była zupełnie uczona tylko, np. filologa Nideckiego lub jurysty Przyłuskiego, chociaż łaciną swoją krzywdził Polskę, nie dając jej do rąk jej własnych statutów we własnym języku. Nierównie lepiej przysłużyli się ci, co wyłącznie, systematycznie po polsku pisali, obaj mili Mazurowie, Paprocki i Stryjkowski, małopolanin Rej i humanista Górnicki, Wolscy czy Bielscy (ojciec i syn), a wyprzedził ich wszystkich Biernat Lubelczyk. Najczęściej mieszali oba języki, nawet humanista Kromer (tylko nieugięty Hozjusz nie uznawał żadnej koncesji dla języka narodowego), nawet poeta narodowy Kochanowski, nawet mieszczanin Klonowic, kierując się w wyborze języka czy treścią czy osobą, dla której rzecz przeznaczano (np. dla Batorego lub papieżów), czy łatwością łaciny a trudnością polszczyzny.

W każdy sposób mogła książka polska w drugiej połowie wieku liczyć na zrozumienie i względne powodzenie; już nawykał naród szlachecki i ludek miejski, szczególniej i kobiety, do książki; biesiady i myślistwo, polityka i gospodarka, kądziel i nadzór domowy z nią się nieraz godziły. Była, dzięki Kochanowskiemu, wielka literatura, ale nie było koteryj literackich, zazdrości (chociaż «zoilów» wszędzie upatrywano i oczekiwane ich sztychy zgóry odbijano), polemiki (oprócz wyznaniowej), szkoły osobnej. Co ważniejsze, wyrobił się język jednolity a obfity i w drugiej połowie wieku ustawały skargi dawne na jego

ubóstwo; jeszcze Wawrzyniec z Przasnysza rozpisywał się szeroko w *Nauce o pokucie* z r. 1559, «dla niedostatku słów języka naszego, dla którego jedno słowo łacińskie musi i trzema języka naszego wyłożyć dla łatwiejszego wyrozumienia ludzi prostych, dla których ja jako prosty najwięcej te księgi pisał, *mądre do mądrych odsyłając*». Już zaczęto omijać słowa narzeczowe albo przestarzałe; powtórne wydania czy Biblji Leopolity, czy rozmów z Terencjusza, czy *Żywota Chrystusowego*, zastępowały potocznemi słowa niezwykłe oryginałów; już Budnemu wydawał się język ewangelji Seklucjanowej grubym, a Januszowski odrzucał mazuryzmy Górskiego; opadały na dno dawne (słowiańskie i niemieckie) słowa, niema ich u Orzechowskiego, Kochanowskiego, Szarzyńskiego, chociaż autor (szczególniej Szarzyński) na osobliwsze się sadzi (powie *opaczyste* za *opaczne* i t. p.).

Przygotował więc wiek XVI dla XVII-go to, czego sam po XV-ym nie odziedziczył; stworzył literaturę, literatów, język, formę; dowiódł, że i pismem można ojczyźnie służyć, budzić myśli poważne, bawić i cieszyć, sławić i karcić. Dopiero ten wiek uniezależnił literaturę, ustały dawne silne wpływy czeskie: teraz, odwrotnie, zaczynali Czesi przyswajać sobie dzieła polskie i cofnęli się z naczelnego niegdyś stanowiska. Droga na wyżyny była dla niej otwarta — czy się na niej utrzyma?

Złowróżbną oznaką było, że z trudem tworzono istotne czytelnictwo. Był głód książki polskiej, ale — nieobszernej; Polak cknił sobie w długiem czytaniu i nie przypadkiem tylko przeważna liczba publikacyj polskich (nieco inaczej miało się z łacińskiemi), to broszury o kilkunastu ćwiartkach, nie księgi obszerne, z wyjątkiem głównie postyl, ale te rozkładały się same na niedziele i święta, nie czytano ich w jednym ciągu. Autorowie w przedmowach wyraźnie zaznaczali, że folgują krótkości, by nie zrazić czytelnika polskiego. Szlachcic pytał w przejeździe, w kramie, co tam nowego, ale do wielkich dzieł, jak do

Modrzewskiego, nie sięgał, i wiedział Orzechowski lub Solikowski, że broszurami tylko trafią do szerszej publiczności. Średniowieczna nieufność do książki jeszcze nie wywietrzała zupełnie; było właśnie zasługą reformacji, że wcisnęła książkę do rąk ogółu, ale i ona wojowała, szczególniej z Królewca, broszurami, rychło zapomnianemi. Liczba kwartantów i foljałów polskich dziwnie mała, a w wieku XVII-ym miał się stosunek liczebny jeszcze pogorszyć, potrzeba książki coraz maleć; w XVI-ym jesteśmy jeszcze na linji wstępującej i paroćwiartkowe ulotki nie zawładnęły jeszcze targiem księgarskim, ale i teraz nie było łatwo o nakład dzieł obszernych.

LITERATURA ŁACIŃSKA. POEZJA

Przewaga łaciny średniowieczna trwała i nadal niezachwiana; urzędowym pozostawała językiem, mimo wszelkiej niedogodności, gdy u Czechów i Niemców, nie mówiąc o dalszym Zachodzie, już narodowemu ustąpiła. Kancelarja królewska wydawała po łacinie wszystkie akty, instrukcje, rachunki (dworskie i inne), prowadziła po łacinie całą dyplomatyczną korespondencję — tylko z Mołdawją i Tatarami pisano po rusku, a dla dworzan, nie umiejących po łacinie, spisywano instrukcję po polsku. Urzędowanie kościelne innego nie znało języka; w szkole i naukowości nie tykano jego wszechwładzy, nietylko u nas. Prawnik, sędzia i pierca (prokurator) odwoływali się do łaciny praw i przywilejów; całe ustawodawstwo, wszelkie prace nad reformą albo nad systematyzacją prawa obowiązującego tylko łaciny używały, od korektury Taszyckiego do Przyłuskiego, nawet prawa mazowieckiego; konstytucje sejmowe zaczął jednak Januszowski obok łaciny i po polsku wydawać. Dopiero teraz można prawić, dzięki niezliczonym szkołom i szkółkom, o istotnej znajomości łaciny po całym kraju; znały ją i kobiety nieraz, cóż dopiero kupcy i rzemieślnicy. Znajomość jej sięgała nierównie szerzej i głębiej niż w Czechach albo Niemczech; było tak, jak w Węgrzech; tu i tam cierpiał pod tem język narodowy.

Nie zmienił się więc język, odmieniły się styl, ton i treść. Prozę naukową uprawiali po dawnemu mistrze krakowscy, Sacranus i in., ale już i w murach *studium generale* powiało innym duchem; szczególniej odczuła to poezja uczona — innej narazie nie było. Popisy poetyckie weszły w modę; modnym był i ich język, wzorujący się teraz na oryginałach rzymskich bezpośrednio, nie na ich odwarze średniowiecznym. Poezja nabrała odrazu cech humanistycznych, szła w tropy Horacego i Owidjusza, jak mówca za Cyceronem; frazeologja humanistyczna z bóstwami i pojęciami czy terminami rzymskiemi pokrywała myśl chrześcijańską i urządzenia polskie, zniekształcała je mimowolnie. Obok wzorów obcych latynistów włoskich, stawały i domowe, np. takiego Pawła z Krosna, z niemieckich mieszczan, syna burmistrza Proclera, który aż w Gryfji studjował, a w Krakowie i na Węgrzech uczył, niby obu krajom służąc swym wierszem. On tylko liryk-etyk, także legendy i apokryfy (o zejściu Pana do otchłani) uprawiał; te rodzaje poezji i nadal przeważały; o epopeję, o poematy opisowe większe, rzadziej się kuszono; sięgano wtedy i po tematy polskie, po Grunwald; po polskich świętych Pańskich; polowanie na żubry w rodzaju walki byków hiszpańskiej opisał dla papieża Leona X Husowczyk z polecenia Ciołka.

Najwięcej było wierszy okolicznościowych; każde zwycięstwo (Orsza 1514 r.), zaślubiny i urodziny na dworze, mianowania i wjazdy dostojników duchownych i świeckich rozruszały «poetów», rzadziej dworaków, zawsze bakałarzy; pochlebstwo i satyra, parenetyka i drwiny, anegdoty przywoźne i domowe wypełniały karty, z któremi niezawsze do druku spieszono; liczne odpisy dostarczały ich przyjaciołom i przeciwnikom; nuta osobista biła w nich nieraz silnię, a w nieprzeznaczanych do

druku także humanistyczna erotyka najpodlejszego gatunku. Talentów było mało, wprawy wiele, boć to poezja-rzemiosło, którego wyuczono się jak każdego innego; pilność zastępowała natchnienie, formę dawali starożytni, nagrody oczekiwano od mecenasów. Ci ściągali i obcych, z Niemiec, Francji czy Węgier, i mieszały się tych wiersze i nazwiska (Gundelius, Franconius i t. d.) z naszemi.

Byli między nimi nawet chłopscy synowie, jak Klemens z Januszkowa (Janicjuszem się przezywający, któregośmy po śmierci na Janickiego uszlachcili), najzdolniejszy między nimi, prawdziwy poeta, rychło zgasły, podziwiany dla treści żywotnej i sztuki znacznej, spowiadający się z wrażeń włoskich i przejść osobistych, z tęsknoty niekłamanej. Najciekawszy śród nich Krzycki, który i wierszami i przekupstwem na prymasa urósł, pochlebca i szyderca Bony, sam niby Włoch namiętny, pornograf, libertyn (jakżeż mu w djabła wierzyć, kiedy ledwie w Boga wierzy?), choć i Lutra gromił. Nierównie poważniejszy w wierszu, nie w życiu, Jan Dantyszek (Gdańszczanin), który i Ziemię św. widział i w Madrycie posłował, biskup potem, nawołujący rozwichrzoną Europę do walki tureckiej i prawiący morały Gdańskowi i pupilowi (Knobelsdorf). Lecz tylko pierwsza połowa wieku należała bezspornie tym poetom, darzącym wszystkich nieśmiertelnością, która ich samych najmniej czekała, boć z nader małemi wyjątkami pamięć ich natychmiast gasła. Dziś zna tych poetów i ich dzieła, naszych i obcych (nieraz dzielnych humanistów jak Vadianus, R. Agricola i in.), przeważnie już tylko *Bibljografja* Estreichera, ale była to niegdyś poezja żywa; obcy, nie mówiąc o naszych, sławili Polskę i Polaków na wsze łady; rosło znaczenie kraju i narodu; język uniwersalny, nierównie wydatniejszy niż wszelkie esperanto, zbliżał, spoufalał z zagranicą. Działa się przez to wielka krzywda narodowemu, niby partykularnemu językowi, spychanemu byle gdzie; humaniści krakowscy obruszyli się nawet, że biskup Maciejowski

kazanie żałobne nad trumną Zygmunta Starego po polsku, nie po łacinie, wygłosił; zbliżaliśmy się całkiem do stosunków panujących na Węgrzech, gdzie nie węgierski język panował. I u nas co żywo po łacinie pisało, niby egzamin ogłady czy uczoności składając; i Jan Kochanowski przed r. 1550 w kraju tylko po łacinie pisał, o polszczyźnie ani pomyślał.

W drugiej połowie wieku stosunki się o tyle odmieniły, że przybywało talentów, dzieł wielkich, jakich pierwsza połowa wcale nie znała, mimo to rozgłos tej łaciny nieco zmalał. Różnie się wobec niej zachowywano. Taki Jan Tęczyński, wojewoda sandomierski, prawił na sejmie 1553 r.: «bom się w Polszcze urodził i w Polszcze się chował, innemu językowi nie rozumiem, jeno polskiemu, i z tego może każdy rozumieć, iż ja innego pana nie chcę mieć, jeno któryby mnie rozumiał i ja jemu». Innym razem, gdy marszałek izby poselskiej w polską przemowę wtrącił *accusatus*, werwał mu się Szafraniec w mowę: Panie! mów W. M. po polsku, wszakeśmy tu wszystko Polacy.

Mimo takich wyjątków (wiemy skąd inąd, od Reja, że Szafraniec był istotnie nietęgi łacinnik), mogła szlachta (o duchowieństwie rozumie się to samo przez się) i wykształcone mieszczaństwo (w pierwszym rzędzie mistrzowie i bakałarze) uchodzić za dwujęzykowe, tylko rozdział obu języków bywał bardzo nierówny. Kto wyłącznie muzę uczoną uprawiał, t. j. antykowi chrześcijanizowanemu służył, nie myślał o polszczyźnie nigdy, albo tylko na najkrótszą metę (wiersz np. dla pani jakiejś): poezji było w tem wierszokletwie tak mało, że autor jeden i ten sam wiersz dwom pokolei dostojnikom poświęcał (prawda, i w polskim wierszu XVII wieku zdarzały się podobne ekscesy). Byli więc prozaicy i poeci, co polszczyzną pióra nie plamili (chociaż przez to Parnas polski mało ucierpiał), trzymając się ślepo tradycji z przed r. 1550. Tak np. zręczny wierszokleta i płodny, mistrz krakowski, Grzegorz Czuj (Vigilantius) Samborczyk, który jakoby całą Biblję przewierszował i sielanki

alegoryczne na wjazdy arcybiskupów lwowskich i t. p. i nagrobki i epigramy płodził. Co dziwniejsza, Andrzej Trzecieski wiersze polskie pisywał, ale tylko dla zborów, pobożne, psalmy i in., natomiast gdy w nutę panegiryczną uderzał, tylko po łacinie śpiewał, bo wielkich panów sławił, więc jakżeż się przed nimi w zaniedbanym polskim stroju ukazać? Hiszpanowi Rojzjuszowi nie dziwimy się, że swoje himenee, epicedia, polemikę z Trzecieskim (wychwalającym pod niebiosa obóz akatolicki), *Bakcheidę*, t. j. prawa pijackie polskie (niby koment burszowski), po łacinie ogłaszał, albo że Głogowczyk Schonaeus, rektor uniwersytetu, teolog i jurysta, swoje ody i gratulacje w języku «akademickim» drukował, ale dlaczego Niegoszewski i in. od polszczyzny stronili? Były między tymi łacinnikami niezwykłe talenty, taki np. Szymon Simonides, lwowianin, wszystkich polskich latynistów sztucznym wierszem łacińskim przewyższał; zagranica drukowała jego «złote poematy» i znano go w Francji i Belgji; on, liryk przeważnie, bronił Zamoyskiego przeciw uszczypliwości ziomków, a świętych wysławiał i proroka (Joela) parafrazował; zdobył się nawet na dramaty łacińskie humanistyczne, bo prócz *Józefa Czystego*, którego Gosławski niezdarnie r. 1597 przetłumaczył, i *Pentesileę* (z tematów trojańskich) utworzył, ale «Pindara polskiego» zagranica ceniła wyżej niż ziomkowie, którzy o jego łacinie zbyt rychło zapomnieli. Wyjątkowo i Szymonowic i Rybiński (obaj mieszczanie; ten sekretarz toruński, gryzmolący ody łacińskie jakby dla popisu) zmuszali się do uwzględnienia wiersza polskiego, jeśli np. wiersze weselne klecili, aby je i oblubienica zrozumieć mogła, więc zdobył się Szymonowic r. 1593 na ślub Sieniawskiego i Kostczanki, aby pannie wyłożyć, dlaczego się wesele odkłada, na polski mit o Adonisie, a Rybińskiemu każe Muza na wesele Ostroroga z Firlejówną pisać nie zwykły wiersz ateński czy rzymski, lecz:

Teraz spraw rym wierszowny z polska a chędogo!

Inny mieszczanin, Sebastjan Klonowic, który się z ubogiej, piaszczystej Wielkopolski za przykładem Mazurów (np. ojca Szymonowicowego) przeniósł na opływającą mlekiem i miodem Ruś, jest autorem dwóch największych dzieł latynizmu polskiego. Bogactwo i osobliwość życia ruskiego odtworzył w *Roksolanji* (1584 r.), w najciekawszym płodzie naszej łacińskiej poezji; opisał tu kraj (zwierza i łowy na niego) i ludzi, od kolebki poprzez czary miłosne aż do listu-paszportu, jaki umierającemu Iwanowi pop do ręki dla św. Piotra wkładał. Nierównie obszerniejsze (kilkanaście tysięcy heksametrów!), ale nieskończenie mniej ciekawe jest jego *Victoria Deorum* (1587), gdzie mieszczuch przeciw przywilejom rodowym wychowanie i przyrodę istotnego bohatera wychwalał, z wycieczkami na inne pola, na plagę żydowską, niszczącą miasta, na ucisk chłopów, na grozę turecką i t. d.; tytuł dopasowany do jednej z takich wycieczek, walki bogów z olbrzymami. Nie przypadek, że mieszczanie właśnie (Samborczyk, Klonowic, Szymonowic i t. d.) najgorliwiej uprawiali poezję łacińską, niby egzamin dojrzałości literackiej składając, żeby nie uchodzili za nieuków, gdy szlachta coraz rzadziej nią się bawiła; zmalał i przypływ obcych; prawda, i ręce mecenasów się kurczyły. Ale była inna walna przyczyna: oto w drugiej połowie wieku dopomniał się nareszcie wiersz polski praw przyrodzonych i dzięki Kochanowskiemu zepchnął łaciński na skromniejsze miejsce.

Zabawką humanistyczną był i t. zw. makaron, t. j. wiersz łaciński z wplatanemi weń słowami polskiemi z końcówkami łacińskiemi, figiel włoski, wynaleziony przy końcu XV wieku, który się w Polsce przyjął może wcześniej niż gdziekolwiek indziej; przynajmniej już Krzycki opiewał około r. 1520 zgon makaronizującego poety.[1] Po dłuższej przerwie próbował się

---

[1] *Epitaphium poëtae mortui:* Aulae deliciae poëta nostrae, Condens ingenio cito, iocoso, Arguto, memori poëma mirum, Miscendo patriis

i Rojzjusz w dwu wierszach; najpiękniejszy ułożył Kochanowski, radząc o wyborze stanu (duchownego, zakonnego i in.). Język polski nadaje się znakomicie do tej zabawki (nie niemiecki ani angielski), bo ma pełnię form jak łacina, więc nie razi niczem; makaron Kochanowskiego (dziś najniesłuszniej podawano jego autorstwo w wątpliwość) jest ze wszechmiar znakomity. Najdłuższe i najliczniejsze satyryczne makarony (dotąd nie wydane z licznych rękopisów) złożył Wielkopolanin Orzelski około r. 1625; jeszcze w XVIII wieku układali krótkie Załuski i Minasowicz.

PROZA ŁACIŃSKA

Nierównie obfitszą i ważniejszą okazała się proza łacińska, uczona (w mnóstwie podręczników, gramatycznych i filozoficznych i in.), polityczna i teologiczna, w nieprzerwanym ciągu przez wiek cały. Taki Maciej Miechowczyk skracał i dalej prowadził Długosza; pierwszy dał Europie wierny, nie fantastyczny, jak od starożytności bywało, wizerunek jej Wschodu, «obojej Sarmacji», który odrazu na obce języki tłumaczono; pierwszy to okaz podobny!); Biernat Wapowski również dziejów polskich się podjął, a obaj i na innych polach pracowali, jeden jako lekarz zasłużony, drugi jako astronom. Wielkie dzieło Kopernika rewolucji w całym poglądzie na mechanizm świata dokonało. Andrzej Frycz mądrze i wymownie wady ustrojowe poprawiał, gdy jego przyjaciel, Stanisław Orzechowski, skończony demagog, w świetnych przemowach to Ojczyźnie kazał strofować rady koronne, to sam «wierny poddany» króla młodego pouczał; wywlekał wszystko, i ucisk chłopów, których skargi niebo przebijają, i wolności a zachłanność żydowską, i nie-

latina verbis. Demulcere nimis solebat omnes — Exstinctus teneris repente in annis (ofiara obżarstwa).

rządy w skarbie, obronie i sądzie; królowi wytykał miękkie wychowanie; bronił wyboru biskupów przez kapituły, nie z naznaczenia królewskiego. Nic już średniowiecznego nie było w treści i tonie tych pism — poważnych, umiarkowanych Fryczowych, i namiętnych, świetnych Orzechowskiego, które się w r. 1543 zaczęły (obaj wtedy po raz pierwszy wystąpili). Dla literatury historycznej i politycznej stała się łacina obowiązkową, jakby dla Europy, nie dla Polski jej dzieje kreślili Orzechowski czy Orzelski, Warszewicki czy Sarnicki, Heidenstein czy Solikowski, Kromer czy Gwagnin.

Dzieła i losy jednego z tych pisarzy rzucają dziwne światło na ludzi i czasy. Andrzej Frycz, przezywający się Modrzewskim, wychował się w kółku Łaskich, Jarosza wojewody i kanonika Jana, na krytyka wad Rzeczypospolitej i na badacza wiary i sumienia ludzkiego. Około r. 1540 toczył dwór królewski zaciętą walkę o karę na mężobójstwo, bo mordowano się w Polsce szlacheckiej dowoli i temu bezprawiu chciał dwór zaradzić, wprowadzając karę śmierci na szlachtę, która się temu zawzięcie opierała. Aby podziałać na opinję publiczną, zabrał głos człowiek prywatny, ale obstawił swoje wystąpienie jak najstaranniej: nie jego to głowy, to słowa zmarłego niedawno, powszechnie opłakiwanego Jarosza, domagającego się niby z za grobu usunięcia potwornej niesprawiedliwości; rzecz samą prowadził pozornie całkiem objektywnie, niby dysputę szkolną, jak najspokojniej, nie wystawiając nawet wszelkich jej sprosności. Skutku nie osiągnął, bo jakżeż nie-posłowi mieszać się w takie rzeczy, chociaż wydano tę i inną mowę i w przekładzie polskim (jeśli tak niezdarnym, jak przekład «Turcyki» przyjaciela, nie dziwimy się temu nadto). Akcja dworska przepadała na sejmach, ale Frycz coraz chwytał za pióro, zwracał się z przemową, coraz ostrzejszą, do senatu, do duchownych, a skończył *Skargą na pogardę prawa boskiego* (bo i ono, jak inne ustawodawstwa, domaga się śmierci winnego), gdzie wyznawał, ale

nie uznawał braku powołania swego; tu zadzierzgnął się ów fatalny węzeł; mężom nauki, «filozofom», wytykającym wady, przyznawano nawet rację w teorji, odmawiano jej w praktyce: tyś mądry po łacinie, a głupi po polsku; dobre to dla szkoły, nie do senatu, — tem ubijano krytykę i argumenty, tak że napróżno odwoływał Frycz sprawę przed trybunał rozumu.

Zaatakował Frycz inną także niesprawiedliwość, ustawę nakazującą mieszczanom wysprzedaż dóbr ziemskich; koło filozofów obraduje nad tą ustawą i wykazuje jej sprzeczność z ustawami boskiemi i ludzkiemi; nie występował autor od siebie, lecz zakrywał się dysputacją rozważną ludzi nie zainteresowanych bezpośrednio; odgłosu i ten dialog nie znalazł. Przerwał autor niewdzięczną pracę publicystyczną, bo widział, że na opinję wobec jej zacietrzewienia nie wpłynie, zato zwrócił się do ujęcia ogólnego całego systemu i rządu i wydał w Krakowie 1551 r. *Commentariorum de republica emendanda libri quinque*, ale dzieło niezupełne, bo brak było komentarza o Kościele i szkole, były tylko o obyczajach, prawach i wojnie. Najpoważniejsza to i najmądrzejsza księga XVI wieku, lecz w kraju mniej miała powodzenia, niż zagranicą, gdzie spotykała i tłumaczów i słowa najżywszego uznania. Przyczyna słabego a raczej żadnego odgłosu w kraju była tym razem inna; książka wyszła bez zapowiedzianej księgi o Kościele właśnie w tym roku, gdzie tylko o Kościele rozprawiano, gdzie reformacja spychała każdą inną sprawę. Hozjusz i uniwersytet (jako piastujący cenzurę) zakazali rozpoczęty już druk rzeczy o Kościele, bojąc się uszczerbku Kościoła i wiary, a Hozjusz polemizował nawet wyraźnie z autorem (acz nie nazywając go wcale) w swojej *Confessio*, i próżne były starania Frycza, aby mógł się usprawiedliwić z czynionych ogólnikowych zarzutów. Ogłosił on księgi o Kościele i szkole w drugiem, szwajcarskiem wydaniu *Poprawy Rzpltej* (r. 1554, 1559 trzecie, tłumaczenie niemieckie 1557, polskie 1577).

Księgi o poprawie Rzeczypospolitej wychodziły z tej samej obawy, co i owe pierwsze dialogi, o byt jej, zagrożony niesprawiedliwemi prawami; kierowały się wprawdzie pojęciami Arystotelesowemi, ale w szczegółach uwzględniały stosunki spółczesne, zapuszczając się do najdrobniejszych szczegółów; były rozumne i przekonywające; nie schlebiały jednostronności szlacheckiej; wymagały własnej zasługi, nie herbowej; pragnęły ładu i rządu; odrzucały, co niemoralnem czy nierozumnem osądziły; starały się o bezstronność. Księga o Kościele nie traktowała o dogmatach, lecz o duchowieństwie i koniecznej tegoż poprawie; wyprzedził ją i nastąpił po niej długi szereg krótszych i dłuższych dialogów i traktatów o spornych kwestjach, np. o komunji pod obiema postacią, o programie soboru powszechnego i t. p. I ta księga była na ustach ludzkich, oburzyła duchowieństwo (arcybiskup odebrał autorowi probostwo brzezińskie), wywołała ostrą polemikę Hozjusza. Pracę publicystyczną, polityczną, zarzucił odtąd Frycz i zagłębił się w teologicznej; narazie nie przyłączał się do żadnego wyznania wyraźnie, ale z latami skłaniał się coraz bardziej ku kalwińskiemu, lecz dał się wciągnąć w polemikę Stankarową, aby wkońcu w swoich *Sylwach*, już po śmierci wydanych, zająć stanowisko zbliżone do antitrynitarskiego, podjąć te wątpliwości, które w jego duszy zasiał jeszcze w r. 1546 Belgijczyk «Spiritus» (dziś domyślają się w nim profesora lowańskiego Nanniusa). Wszędzie starał się Frycz zachować miarę, powodować się rozumem, uchylać gwałt i jednostronność (dlatego cenił go Zygmunt August i polecił mu nawet godzenie zwaśnionych o wiarę), i właśnie dlatego ujrzał się wkońcu odosobnionym. Zwalczali kalwini jego teologję, Hozjusz prześladował zawzięcie byłego przyjaciela, odwrócił się od niego i Uchański, którego dawniej za podżegacza Frycza uważano, stracił mir śród szlachty, której gorzkich prawd (o niechrześcijańskiem życiu przy nauce chrześcijańskiej) nie skąpił, ale «prawdolubca» (Filaletem nazwał się w jednym

dialogu) płynął śmiało przeciw prądowi, zwalczał tyranję, lecz jeszcze bezwzględniej anarchję, sobkostwo szlachty, demoralizację duchowieństwa, lekkość obyczajów, nieposzanowanie prawa. Jego księgi, niedocenione przez spółczesnych, to świetny pomnik prawdziwego patrjotyzmu, troski o Rzeczpospolitą, obaw o jej upadek.

Obok dziejopisarstwa, zastąpionego poważnemi, acz nielicznemi dziełami, przedstawiała się dobrze literatura polityczna, między innemi i przez znakomite uogólnienia, jakimi mają też być senator, poseł (dyplomata), sekretarz; dzieło Goślickiego o najlepszym senatorze tłumaczyli jeszcze Anglicy w XVIII w.; Warszewicki znów posła i poselstwo (kogo do kogo wysyłać itp.) bardzo trafnie określał, a Heidenstein obowiązki sekretarza przedstawiał; wiek XVI lubował się w podobnych ogólnikach (począwszy od *Dworzanina* Castiglionego) i nie mógł dosyć dostarczać obrazów króla i przełożonych. Do dzieł o politycznych stosunkach polskich należy Andrzeja Wolana o rządzie polskim i Krzysztofa Warszewickiego *O najlepszym stanie wolności,* w formie dialogu między warchołem-demagogiem Orzechowskim a monarchistą Ocieskim. Także żywoty pisywano po łacinie; tak Padniewski, niby na wzór Neposowy, kreślił żywoty działaczy za Zygmunta Starego, ale w dymie ogólników i kadzideł niknęły rysy właściwe, zato Stanisław Górski, który się dziejom znakomicie przysłużył olbrzymim zbiorem tak zwanych Tomicjanów (zbiór aktów i listów urzędowych w 27 tomach), pofolgował najostrzejszej krytyce w *Żywocie Piotra Kmity,* gdzie wszystkim łatki poprzypinał; sądy jego nadzwyczaj ostre, zgryźliwe. Są niektóre biografje spółczesnych, wyjątkowo literatów, np. pyszna Trzecieskiego o Reju (ale to polska), późna o Kochanowskim; więcej ich o wysokich duchownych, np. Hozjusza o Tomickim, Reszki o Hozjuszu (1587).

Nie kwitła nowa pisemnictwa gałęź, pamiętnikarstwo, obce średniowieczu. Posiadamy krótkie nieraz diarjusze podróży włoskich, albo krajowych, księży kanoników czy Ocieskiego (późniejszego kanclerza), ale one zazwyczaj bardzo lakoniczne. Wydano np. diarjusze Reszki z lat 1583—1589, ale pisane dzień za dniem, tylko wyjątkowo szeroko rzecz ujęły, najszerzej i najciekawiej dni pożogi i popłochu, gdy Maksymiljan ze Zborowczykami następował na Kraków, gdy Zborowczycy wśliznęli się na Garbary do heretyków, żeby się ukryć u nich, aż liczniejsze hufy na Kraków lojalny uderzą, aby w mieście popłoch wywołać; żołnierze kanclerzowi tropili ich po domach, ukrytych w piwnicach, w poszewkach od łóżek, w skrzyniach, i wszystkich wymordowali a Garbary splądrowali; ciekawe opowiadania o kanclerzu, o jego przesłuchiwaniu więźniów, o nadzwyczaj taktownem obchodzeniu się z Maksymiljanem — ale tych kilkanaście wartościowych kart nie ocali całego diarjusza.

Brak liczniejszych pamiętników, w które dopiero w. XVII obfitował, zastąpiły nam listy, ale tu już niesposób przeprowadzać rozdziału między łaciną a polszczyzną, bo jedni i ci sami pisywali w obu językach. W pierwszej połowie wieku panowała jeszcze wyłącznie łacina, list polski przed r. 1550 należał do wyjątków i bywał przeważnie krótki; dopiero od drugiej połowy stawał się czemś zwykłem. Nie u duchowieństwa, to posługiwało się i nadal «swoim» językiem; biskupi Zebrzydowski, Padniewski, Myszkowski, Karnkowski i t. d. pisywali wyłącznie po łacinie, nawet «narodowiec» Uchański; i dla jezuitów, nawet dla Skargi, był to język potoczny; ale mężowie stanu, od Radziwiłłów do Zamoyskiego, Sapiehy, panowie litewscy (t. j. ruscy, Chodkiewicze, Ostrogscy) już przenosili polszczyznę, szczególniej korespondując między sobą. Przesyłali sobie listy osobnymi posłańcami, którzy na odpowiedź czekali, ale już popłacała i «poszta» publiczna, utrzymywana przez Montelupich w Krakowie, szczególnie jeśli o zagranicę chodziło. Listy bywały przeważnie obszerne, poświęcane odrazu wszelkim możliwym sprawom, prywatnym i publicznym, wiadomościom zagra-

nicznym (sprawy np. francuskie bardzo zajmowały z powodu walk różnowierczych) i plotkom domowym, ale bywały i nic nie znaczące, garść frazesów gotowych. Cechowała je wielka uniżoność; tytulatur i zapewnień osobliwszych względów, tudzież owego wszędzie wstawianego *raczyła* (raczył umrzeć czy chorować!), było aż nadto; jeszcze wodziła piórem nadzwyczajna dyskrecja (o jakichś przypadłościach fizycznych, choćby najniewinniejszych, bez «uczciwszy uszy Waszej Miłości» mowy nie było). Mimo równości szlacheckiej, albo właśnie dla niej, Wasza i Jego Miłość zagęszczały wiersze i przeniosły się stąd do rozmowy ustnej, chociaż przez cały wiek szesnasty tylko przez «wy» do siebie prawiono, nawet w rodzinie mąż i żona; «pana» czy «pani» późniejszych jeszcze nie było i słychu; król każdego «tykał».

Listy kolejno spisywane mogłyby zastąpić niejeden całkowity diarjusz-pamiętnik, np. listy, jakie ks. Jan Piotrowski z wyprawy Batorego pod Psków marszałkowi koronnemu, Andrzejowi Opaleńskiemu, wysyłał (r. 1581): żaden pamiętnikarz nie opisałby żywiej i barwniej ciężkiej kampanji. Z Opaleńskiego, zbijającego na uboczu pieniądze a ciekawego, co się też w Rzeczypospolitej dzieje, utrzymującego więc licznych korespondentów, żartowano z powodu tej nawyczki. Te wynurzenia osobiste, panów i pań (bo i płeć żeńska brała już żywy udział w listowaniu, nie kusząc się narazie o literaturę właściwą), szczere i udane, to kronika domowa drugiej połowy XVI wieku, prawiąca o wszystkiem w języku jędrnym, dosadnym, rażącym uszy pieszczone, ale mimo niedomagającej zawsze jeszcze pisowni pełny to obraz wieku i ludzi, ich zajęć i kłopotów, ich dążeń i zamiarów, ich zasobów umysłowych i materjalnych, bo bez obsłonek stan istotny malowały; one dozwalają wglądnąć w sprawy najdrobniejsze, najpoufalsze, skoro je nasza niedyskrecja z archiwów rodzinnych powydobywała. Dla dziejów kultury skarb to nieprzebrany; każda nowa ich publikacja spoufala

nas z wiekiem. Znakomity też język, przeważnie barwny, o toku staropolskim, mniej nam zwykłym, bo nie uległym jeszcze frazie łacińskiej, posługującym się chętnie przysłowiem, obrazowem omówieniem, ale nie gardzącym niestety i wstawianiem gotowych zwrotów łacińskich (np. nawet w liście prywatnym Kochanowskiego), chyba że kobieta pisze, chociaż i ona (np. Barbara) sekretarzem się wyręczała.

Przeważały jednak listy osobiste, które dają poznać «korespondenta» ze wszech stron; Zamoyski ma najrozmaitsze sprawy na oku, zamawiania i przymawiania się (on, wielki «poproszajka»); Pociej tylko sprawy swej unji i prześladowania od prawosławnych a niedostatecznej opieki rządowej; Chodkiewicz uciera się z wrogami i z nieufnością królewską; Sapieha ostrożnie między przeciwnikami koluje; Sierotka zdradza osobliwsze zamiary ojca (wysprzedania się z Litwy; czy gdy nadziei na czapkę wielkoksiążęcą niestało?); karlica opisuje, jak się przed Zygmuntem broni i t. d. Wobec listów mów łacińskich coraz mniej, a te, które są, są przeważnie fikcyjne, np. wszelkie mowy Orzechowskiego, czy do papieża przeciw celibatowi, czy do szlachty przeciw Turkom, tak samo mowy Warszewickiego, Sokołowskiego i innych.

LITERATURA POLSKA. JEJ POCZĄTKI. REJ

W narodowym języku, inaczej niż w łacińskim, nie było właściwie ciągłości rozwoju, tradycji; pieśń czy modlitwa przechowywały się ustnie, książek nie było, i narazie nie mógł się młody Rej niczego doczytać; gdy potem wziął do rąk takiego napoły średniowiecznego Ezopa, jego polszczyzny wedle własnego zeznania ani rozumiał dobrze. Literatura polska pierwszej połowy wieku, to zbieranina przypadkowa wszelakich tłumaczeń; charakteru narodowego jeszcze nie miała; w drugiej połowie, chociaż urosła na naśladownictwie antyku i włoszczy-

zny, mimo przeładowania reminiscencjami klasycznemi (jak rażą łzy Heraklitowe i mit o Niobie w *Trenach*, a mit o Tereuszu w *Sobótce*!), stworzyła odrębny typ kulturalny o spólnem podłożu dla wszelkich objawów, czego nie było w literaturze łacińskiej, gdzie się rysy indywidualne zbyt zacierały. To jedna walna różnica, wewnętrzna; zewnętrzną tworzy, że łacinę druki i rękopisy niemal zupełnie przechowały (o większych stratach nie słyszymy), gdy zasoby polskiej strasznie przerzedzone, zob. niżej. Jakżeż tak rychło urosła?

Powstała i szerzyła się niegdyś ustnie. Pieśń polska rozbrzmiewała po ulicach miejskich i po dworkach szlacheckich, przenosili ją rybałci wędrowni i bakałarze-klechy zasiedzieli, obok prastarej wiejskiej pieśni ludowej. Ale z tego repertuaru nic nie ocalało, chyba wszelakie wiersze początkowe, wypisane nad utworami muzycznemi (zob. niżej), albo cytacje przypadkowe, jeśli np. Orzechowski wymieni jako «pieśń staroświecką»:

> Sześć dni rozkoszy przedawam,
> Siódmy djabłu oddawam;

Kochanowski przytaczał:

> Chciejże pomnieć a dobrze baczyć, namilejsza!

albo:

> W czerwonej czapce chodził,

albo:

> Radabym śmierci, by już przyszła na mię,

albo: «Pieśń przyśpiewując onę:

> A dla twojej ochoty
> Jeszczem tu od soboty;

Albertus (na wojnie) słyszy «onę dawną»: ‘Miło więc, kiedy się zagrzewa’, albo też o ‘Cyprydzie’, bądź o ‘Dzbanie pisanym’; Węgier cytuje: ‘Byś ty wiedziała’ i in. — ależ to same urywki, daty niepewnej.

Wierszy okolicznościowych, rodzinnych, na obchody uroczyste (koronacje, pogrzeby, wjazdy i t. p.), dalej humorystycznych i satyrycznych było sporo; cóż dopiero religijnych dawnych i nowych, których się nawet dwa zbiorki obszerniejsze dochowały, a luźne i w druku się pojawiały; Polak pisywał i listy miłosne wierszem, co wszystko czas zatłoczył.

Nie było wcale poważnej książki polskiej. Na sejmie walnym 1534 r. przedstawiono skargę sejmiku średzkiego (wielkopolskiego): «prosimy, aby nam księża nie bronili po polsku imprymować historyj, kronik, praw naszych i też inszych rzeczy, a zwłaszcza o biblją, albowiem każą bić sobie rzeczy rozmaite, a czemuż też nam nie mają bić naszym językiem... każdy język ma swym językiem pisma, a nam księża każą głupimi być». Wymowny to, urzędowy wyraz głodu książki polskiej, nie pierwszy. Było to skargą ogólną; sami drukarze (Niemcy) dziwili się, od r. 1521 począwszy, że jedyni Polacy ksiąg własnych nie mają, «gdy wszystkie inne narody, Włosi, Niemcy, Czesi swoje biblje mają, a w mądrości niewymownie się kochają«; tę piosnkę powtarzali na wsze łady: «ta sławna Korona ksiąg żadnych językiem swym nie mając tak sławnym, tak była sierociała, iż też innym obcym narodom całkiem w pośmiech i dziwowanie było». Albo: «ten język wasz w niedbałość ludzką przyszedł a snadź przez obcy naród (Czechów chyba?) mało nie w upadek». «Będąc ja wmieszkanym a nie urodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje, szerzy, krasi i poleruje, czemu sam polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać». Istotnie, po łacinie drukowano w Krakowie już od r. 1474 (z znacznemi coprawda przerwami); Czesi drukowali po czesku już od r. 1469 (z mniejszemi przerwami), ale książek polskich jak nie było, tak nie było, i mogli Czesi jeszcze r. 1545 prawić o chropowatości

i nieruchliwości języka polskiego. Czemu ten zastój przypisać, oprócz stałego opóźniania się i zacofania?

W poprzednim wieku miejskiej inteligencji polskiej jeszcze nie było; szlachta, zakopana po wioskach, czytać nie umiała; Górnicki w *Dworzaninie* 1566 r. wzdychał coraz do dobrych czasów, kiedy Polakowi wstydno było umieć czytać po łacinie, bo to rzecz księża. Mężczyźni obywali się istotnie bez wszelkiej książki; łowy i biesiady, polityka i gospodarstwo zajmowały im czas; pieśń religijna szła od ust do ust. Książki wymagała kobieta, nie biorąca udziału w hałaśliwych zgromadzeniach męskich, i całą niemal literaturę rękopiśmienną dla niej przeznaczano, od psałterza Jadwigi, biblji Sońki i t. d. Teraz z dostatkami przybywało rozumów; kądziel stawała od parady; piosnka i muzyczka niezawsze się podobały; słyszało się o mądrych albo zabawnych książkach; łacinnicy coś o nich wiedzieli, kobietom ich zazdrościli (tak mężczyzn pomawiano istotnie — poco kobietom książki i pisma, chyba dla listów miłosnych?); zapragnęłyż ich kobiety i cała niemal literatura polska do r. 1548 orjentowała się głównie wedle kobiety. Dla niej układano modlitewniki, księgi lekarskie (bo ona chorych pilnowała), wybierano legendy, księgi luźne starozakonne (Józef; Tobjasz); dla Niemek krakowskich wokabularze (rozmowy polsko-niemieckie, przeniesione później do Królewca), chociaż nie zapominano i o młodzieży męskiej, tłumacząc dla niej rozmówki łacińskie, maksymy Katona i Seneki; Niemcy śląscy to tłumaczyli (czasem wcale źle), Niemcy krakowscy drukowali. Tak roztasowała się gruba średniowieczczyzna, wyświecona dawno z łaciny, w polszczyźnie jak w najlepsze. Najwięcej popłacała popularna beletrystyka, zbiory nowelek i powiastek wykładanych alegorycznie, z strasznem naciąganiem sensu, które utarte w średniowieczu, dla polskich czytelników były nowinkami. Np. powieści (wschodniego początku a zwyczajem wschodnim antyfeministyczne) o *Siedmiu Mędrcach* (u nas o *Poncjanie),* co o przebiegłości narodu kobiecego i ich chuci dosadnie prawiły; dalej *Historje rzymskie* (w istocie nie-rzymskie anegdoty i nowelki, obieżyświaty); *Sowizdrzał* (polskie jego tłumaczenie z niemieckiego, jedno z najwcześniejszych w Europie); *Marchołt* (najwcześniejszy, z r. 1521: rozmowy trefne mądrego Salomona ze sprośnym chłopem, wręcz mistrzowskie tłumaczenie — czeskie się do niego ani umyło). Wszystkie te druki zaczytano, z pierwszych wydań nic albo strzępki ocalały, dopiero po drugich i trzecich (bo szybko po sobie następowały) unikaty przed kilku laty odnaleziono, a drukowały się one do XIX wieku. Tak odżywały niby baśni-romanse średniowieczne, lecz w Polsce nie krzyżowały się z nowemi prądami literackiemi, pozostawały całkiem na uboczu.

Łacina zabijała poprostu polszczyznę; kto się zabierał do pisania choćby listu prywatnego, łaciny używał, bo pisać do kogoś po polsku znaczyłoby posądzać go o brak prymitywnego wykształcenia; biskup poznański Izdbieński obraził się, gdy mu Zebrzydowski po polsku napisał; z całego duchowieństwa jedyny Uchański łaciny nieco unikał, tłumacząc się, że jej nie zgłębił (pisze «prosto po łacinie, jako ten ksiądz, który we Włoszech nie bywał»; pisze po polsku «jako częściej tym naszym domowym językiem mawiam, a podobno też i wy wszyscy — do kapituły gnieźnieńskiej się zwraca — takież, luboście tam bywali, gdzie ja nie najrzał»). Wedle Decjusza (1540) umieją wszyscy Polacy po łacinie, bo w narodowym języku żadnych pism czy dzieł pamięci nie przekazano, a wedle Kromera (1577) piszą wszyscy po łacinie, prywatnie czy urzędowo, «gdyż język nasz ani tak obfity jak inne, ani łatwy do czytania i pisania». Takie uprzedzenia panowały ogólnie, niemi usprawiedliwiano wstydny brak literatury narodowej.

Otóż było właśnie zasługą tych niepokaźnych książeczek, że usuwały ten przesąd. Średniowiecze przekazało istotnie orto-

grafję polską w stanie zupełnego chaosu; druku nie było i każdy po swojemu 36 brzmień polskich 22 znakami łacińskiemi (dwa: *q, x,* były nam zupełnie zbędne) oddawał. Temu chaosowi zaradzili drukarze, nie wedle pisowni Zaborowskiego (1518 r.), który czeską (mniemaną Husową) z kropkami i linijkami nad literami naśladował, bo nadto druk pstrzyła (nam potrzebaby ich jeszcze więcej niż Czechom, którzy naszych *ć, dź, ź, ś, ł* nie znają), ale kombinując system składania znaków łacińskich *(cz, sz)* z systemem kropkowania (*ć, ś* i t. d.), nie nadto szczęśliwie, bo *w* zamiast *v* nam niepotrzebne, a jeśli się *koń, dać* pisało, toć i *końa, ćało,* można było tak pisać. W rękopisach utrzymywała się dłużej dawna chaotyczność, świadczą o niej autografy (choćby Rejowe) i pisma wszelakie nawet z lat 1550—1560. Drukarze spierali się o zaszczyt, który z nich pierwszy owe podstawy (obowiązujące z niewielu odmianami do dziś) rzucił, czy Hieronim Wietor (Ślązak z Libentalu), który *Marchołta* 1521 r. «nigdy nie bywałemi bukształy» wydrukował, czy Florjan Ungler (drukarz wiedeński pierwotnie), który «tego (braku pism polskich) bardzo litując pracem się tej naprzód i przed innymi podjął, potem inni ze mnie przykłady brali». Istotnie zaczął to Haller, ale on był nakładca, nie drukarz, i Unglerowi chyba ten zaszczyt przypadnie; obaj, Ungler i Wietor (tłumaczenie to łacińskie niemieckiego Dreher czy podobnie), wybijali też r. 1522 *Żywot Chrystusów,* jaki niegdyś królewna Elżbieta (córka Kazimierzowa) mistrzowi krakowskiemu Balcerowi Opecowi przetłumaczyć kazała; oba wydania zawodniczyły też o wystawność i rozmiary.

Dalszą zasługą tych książeczek było «wypolerowanie» języka; nie było przecież tradycji (chociaż pierwsze drukowane psałterze z r. 1532 i 1535 średniowieczny przekład z lat około r. 1480 powtarzały), wzorów, norm; każdy wedle zdolności zabierał się do przekładu; o oryginalnej twórczości mowy nie było, chyba ksiądz Paterek spisywał swoje obszerne kazania Maryjne. Bróździła po części czeszczyzna, z obfitszą i dawniejszą literaturą, z bogatszą kulturą, narzucająca się polszczyźnie drukiem i pismem; Polak się często i chętnie nią popisywał (jeszcze śród dworzan Zygmunta Starego), terminów czeskich używał *(stawy* zamiast *stany, sniem* zamiast *sjem-sejm*); jeszcze Rej nieraz z czeska zarywał, a był jeden i drugi, co świadomie przeciw polskim czeskie formy i słowa stosował, np. Jan z Sącza (wychodźca dla wiary do Prus, gdzie się Maleckim przezwał, fararz luterski, jak i syn jego, Hieronim), którego przekłady i wydawnictwa po niemożliwych iście czechizmach poznajemy (np. ewangelijka z lat około r. 1525, po czechizmach jak *przatel* 'przyjaciel', *od tamtud sem* i t. p.).

Któż «się na to pierwej obrał, drogę impresorom podał, pisma polskie imprymować»? Marcin Bielski, niegdyś Wolski, to sobie przypisał r. 1557, chyba na tej podstawie, że 1535 r. *Żywoty filozofów,* zaśniedziałą średniowieczczyznę, z czeskiego wytłumaczył; inni o Reju to twierdzili — dla nadto krótkiej pamięci. Istotnie wydrukował Ungler r. 1514 pierwszą książkę (całą) polską, modlitewnik *Raj duszny* czy *Hortulus* (Ogródek) *duszny,* który w kilkunastu wydaniach do XVII wieku przetrwał, dzieło XV-go, po całej Europie rozszerzone. Tłumaczem był Biernat z Lublina, pierwszy Polak, co świadomie i konsekwentnie polszczyznę w piśmie uprawiał. On dał literaturze świetnego *Ezopa* (żywot fantastyczny tego Sowizdrzała starożytnego i paręset bajek) z silnemi wycieczkami przeciw zdworzałemu duchowieństwu, przeciw panom wielkim, których radby powywieszał (pierwszy nasz demagog), przeciw cudzoziemcom-zdrajcom, zalegającym dwory pańskie — dziwnie niekonsekwentny zresztą, bo przy nader postępowych myślach o chrześcijaństwie właściwem i o przesądach wszelakich nie wahał się zatrzymywać i powtarzać w swych księgach lekarskich najobskurniejsze praktyki średniowieczne. *Ezopa* posiadamy tylko w wydaniu

okrzesanem z wycieczek owych, z r. 1578, ależ i to dla wycieczek przeciw mnichom i teologom-wilkom szarym i t. p. dostało się między księgi zakazane w XVII wieku. Ci pierwsi literaci, to przeważnie bakałarze, lekarze, księża; pierwszy szlachcic, który się między nimi zaplątał z oryginalnemi utworami, to autodydakta, na głębokiej Rusi urodzony, lecz do ziemi krakowskiej przywrzały, Mikołaj Rej. Wsłuchany w pieśń ludową ruską, sam sypał z rękawa wierszami okolicznościowemi, napisami na sprzęty (łyżki) i części domu, witaniami i t. p., przechodząc do dialogów satyrycznych, które niemal tylko z tytułów albo z przekładów czeskich znamy, obejmując «lirę swojską» po Biernacie.

Cóż skusiło tego nieuka, który szkoły lwowskie i krakowskie nawiedzał tylko dla «bursowania» (łotrowania), do występów literackich? Ciekawy, ruchliwy, towarzyski, gdy z pod bezowocnej feruły szkolnej dostał się pod ostrzejszą dworską, przyuczał się łaciny praktycznie, a rozczytywał w owych pierwszych książeczkach polskich, szczególniej w Biernatowych, w jego *Ezopie* i in., w *Sowizdrzale*, znęcającym się chłopie na mieszczanach, płatającym im «psie kusy». I odezwała się w nim żyłka dydaktyczna, cecha całego dawnego pisemnictwa (nawet u Kochanowskiego jawna); nabywszy wprawy w wierszowaniu obojętnem, towarzyskiem, sięgnął wyżej, a że był sam nadzwyczaj rozmowny, więc rozmowy-dialogi zaczął pisywać na tematy moralizujące, o kosterze i pijanicy (te wady znał sam wyśmienicie), o lwie i kocie (na temat wolności, której i złota klatka nie zastąpi), o szewcu i śmierci, o płci pięknej i jej słabościach; koroną tych dialogów była *Krótka rozprawa między trzema osobami, panem, wójtem i plebanem, którzy i swe i innych ludzi przygody wyczytają* (wyliczają), *a takież i zbytki i pożytki dzisiejszego świata* (r. 1543, utajając, jak zawsze, własne imię). Pierwsza to oryginalna zupełnie rzecz polska, dziełko dla historji kultury i obyczajowości nieprzepłacone, jedyna satyra polska, która na morały i zrzędzenia nie zbaczała.[1] Wszystko co ją wyprzedzało, było tłumaczeniem, czy proza Opecowa albo Jana z Koszyczek bakałarza (*Poncjan*, *Marchołt*, *Historje rzymskie* i t. d.), czy wiersze Biernatowe (mimo swobody w przeróbce); tu po raz pierwszy Polak Polakom ostro przyganiał, dolegliwości jednych, zbytki drugich wykazywał i ośmieszał. Pierwsze to szerokie płótno dawnej obyczajowości; żadnej poezji w niem nie było, były prawda i życie. Zasmakował też autor w rzemiośle, tem bardziej, że nie widział obok siebie towarzyszów pióra i gniewało go to milczenie, to niedbalstwo jawne, jak to później sam niejednokrotnie wyznawał. Ale już zbliżała się odmiana zupełna, tym razem z zewnątrz.

REFORMACJA

Grom niby wiosenny, co ziemię rozkuwa, to reformacja; od niej rozlały się potoki słowa polskiego. Niewiele z tego zalewu broszur i wierszy do naszych dni ocalało; znamy autorów, których dziełka poginęły (np. dominikana Andrzeja Samuela z Poznania); znamy dziełka (choćby w strzępach, wydobytych z starych okładek), nie znamy autorów, bo tu należy zgóry wystąpić przeciw przesądowi, jakoby ta literatura ograniczała się do tych niewielu pisarzy nam dobrze znanych, — było ich nierównie więcej, lecz albo ich druki zaginęły, albo ograniczali się odpisami, przesyłanemi «dobrym towarzyszom», co stałe pożary dworów szlacheckich pochłaniały. Dla tego to przesądu wszystko, co antykatolickie, Rejowi przypisywano, a co jego styl poniekąd przypominało (np. *Historję w Lądzie* o ukaranej niewdzięczności dzieci z r. 1568), jego imieniem zna-

[1] Przeszła bez rozgłosu, nie doczekała się nawet drugiego wydania, zagłuszona przez swary wyznaniowe; jedyny Marcin Bielski w własnej satyrze wiele z niej skorzystał.

czono, chociaż on nigdy nowelek nie pisywał. To Kochanowskiemu, to Trzecieskiemu podsuwano z byle powodu wiersze, jakby nie było całej litanji innych «poetów» — czas i niedbałość polska opustoszyły nasze łany literackie, gdzie o wiele więcej imion, niż dzieł.

Narazie wydawano wiersze, katechizmy i t. p. zagranicą, np. w Królewcu Seklucjan, który z Poznania uchodzić musiał przed biskupem Branickim; w pierwszym ferworze nie liczono się z słowami. Tak rozprawiał się grzesznik z szatanem (Kościołem) i prawił mu:

Msza twoja, czarcie! fałszywa;
Księża za grosze czytają,
Nikomu nic nie dawają,
Jeno przez głowę ukażą,
Potem sami spośnikują, [1]

a dalej wyszydzał drastycznie procesję Bożego Ciała. W innym dialogu pop ruski i ksiądz spierali się o obrządek, wytykali sobie błędy, ale przez popa mówił ewangelik, który szydził ze wzywania świętych:

Wasz Stanisław, nasz Mikuła —
Staśka oświęciła buła [2]
Wybornego muła!

a błędy rzymskie gorsze niż greckie;

Niecnotliwy ślub czystości,
Czyśccowy ogień, odpusty,
Z czego tyje wasz wieprz tłusty,
Tem czyniąc lud pusty;

wedle Rzymian Piotra w Rzymie Neron zabił, aleź ten lat sześć przedtem umarł, więc chyba Neron:

Z góry nań spaść zdechły musiał,
Czapką go ściął, w której leżał;
Ściąwszy go, w grób wbieżał.

[1] zjedzą. [2] bulla papieska.

Rej, który się teraz w swoim żywiole znalazł, łagodniej się wyrażał, straszne napaści swego wzoru luterskiego w *Kupcu* znacznie osłabiał. Więc chyba nie jego pióra paszkwil polityczny na króla «szalonego», jego Barbarę i ich zwolenników (Maciejowskiego, Tarnowskiego), gdzie Zygmunt August:

Kładzie złoto [1] na parszywe ciało,
Które płodu już nie będzie miało,
Bo ten żywot czart zapieczętował.
I planeta [2] odstąpił żywiołu,
Wolał przystać do głupiego wołu, [3]
Który jeszcze w rogach swoich miał mało,
Czapki rzymskiej [4] też się mu zachciało.

Stańczykowi takowa czapka przystoi:

Co kosztują czapki, paliusze!
Żołnierz drabik bez pieniędzy kłusze!
Lepiejby mu dać, wziąwszy i z ołtarza,
Niż bogacić łakomego łgarza... [5]
Orliczek [6] mu pomaga,
Z żółtemi nogami;
Jeśli sowa czy orzeł, nie wiemy napewne.
Drugi stroi firleje a snadź go tak zową, [7]
Opuściwszy sokoły, pobratał się z sową...
Nasiekaj z nich bigosu, ty ostry toporze; [8]
Aby zgaga nie była, nasól dobrze woły,
Boć się już w tych bestyjach namnożyły wszoły...
Z nabożeństwa wielkiego niewiastom hołdują, [9]
Rokieta i ciasnocha jednakie odzienie, i t. d.

Oto próbka tonu, a paszkwilów podobnych moc było; pisał Radziwiłł: «jeśli królestwo do Wielkopolski pojadą, upstrzą kolebki (powozy) paszkwilami; trzeba będzie osobnych stafierów (lokai), coby je oddzierali». Rozpasała się świeża muza polska, jeszcze tak nieśmiała, że nazwisk przy utworach autorowie nie dawali, prawił Murzynowski r. 1551, bo «niektórzy za

[1] koronę. [2] Tarnowski. [3] Maciejowskiego. [4] kardynalstwa. [5] papieża. [6] Radziwiłłów. [7] Firlej. [8] Tęczyński. [9] księża.

lekkie sobie ludzie ważą tych, którzy po polsku piszą, skoroż tylko z łaciny dziś pospolicie naukę sądzą, jakoby polskie pisanie było niepoważne i krom wszelkiej trudności każdemu, ktoby chciał, przychodzi».

W ciągu jednego dziesięciolecia (1550—1560) wszystko się, dzięki reformacji, odmieniło. Po podjazdowej walce wierszami, które się i na przykładach obcych, niemieckich, wzorowały, następowały najpierw krótkie, dalej coraz obszerniejsze traktaty prozą, mniej lub więcej uczone, znowu przeważnie obce, Brencjusza, Wannjusza, Wergerjusza, Ochina, katechizmy krótkie i obszerne (Seklucjana, z wycieczkami przeciw Rzymowi); ewangelje (z podobnym komentarzem); kancjonały (pieśni zborowe, czeskie, oryginalne rozmaitych ministrów, ale i Reja, Trzecieskiego i in.); postyle, t. j. wykłady na ewangelje niedzielne i świąteczne, obce (Corvina) i własne; Rejowa nie sławna nauką, ani skalana zbyt ostremi wycieczkami przeciw katolicyzmowi (jak nieraz późniejsze, np. Kraińskiego), ale ujmująca prostotą, szczerością, miłością bliźniego, pogodna i ciepła, wzruszająca, odkrywająca złote serce, powagę i statek Rejowy. Okrążał go cały sztab różnowierczy, luterski i kalwiński, pod opieką Albrechta pruskiego, Radziwiłła litewskiego, zborów małopolskich i wileńskich, harcujących w drukarniach królewieckich, magdeburskich (Lottera), brzeskich, pińczowskich. Luteranin Ostafi Trepka, poznańczyk, nieznużony tłumacz (i tragedyj Ochinowych przeciwko papieżom i mszy), Biernat Wojewódka, krakowianin, Murzynowski, wspierający swą wiedzą nieudolnego Seklucjana, Nowomiejszczyk (tłumacz dzieł Erazmowych), Krowicki, niesłychanie namiętny w walce z «Antychrystem» rzymskim, autor oryginalnych zjadliwych utworów — wszyscy spółcześnie rozbijali taranami obcemi i własnemi mury rzymskie. Zwykłe spóźnienie, tym razem tylko o lat trzydzieści, nagradzała Polska jakby gorączkowo wierszami i prozą, obcą i własną, i zdumiony świat różnowierczy, genewski szczególniej,

witał nowego sprzymierzeńca a z dalekich kantonów szwajcarskich, od sędziwych Włochów, co umknęli przed inkwizycją, wysyłano książki z dedykacjami panom polskim i królowi, pokładano w nich nadzieje, wymieniano nazwiska i dzieła (np. Rejowe), o których dowiedziano się od młodzieży polskiej.

Rozmach pierwszego dziesięciolecia powoli słabł. Rozrywały go spory wewnętrzne; wprawdzie połączyły się trzy wyznania w zgodzie sandomierskiej, ale teraz walczono mniej ze znienawidzonym Rzymem, niż ze stokroć gorszem arjaństwem. Wychodziły więc dalej obszerne katechizmy (np. Gilowskiego), wymowne postyle (szczególniej ulubiona Grzegorza Żarnowczyka), gruntowne wywody (kalwina Jakóba Niemojewskiego przeciw jezuicie Herbestowi), wykłady Pisma św., np. Rejowa *Apokalipsa,* acz cudzemi wołkami orał; *Historja o srogiem prześladowaniu Kościoła bożego* (tłumaczenie Cyprjana Bazylika), między innemi o husyctwie i Łaskim; tłumaczenie postyli Lutrowej i in. Ale już musieli Glicner, Sarnicki, Lismanin bronić dogmatu Trójcy przeciw Blandracie, Statorjuszowi, Grzegorzowi Pawłowi, Budnemu; Sarnicki porzucił wkońcu niewdzięczną teologję, aby w swojem Lipiu dziejów i prawa pilnować; bo oto najruchliwsi i najzdolniejsi ministrowie opuścili zbory kalwińskie dla arjaństwa, i już Rej gorszył się nimi bardziej niż «Rzymianami», a katolicy tryumfowali: zaczęliście spory o posty i świętych, a dokądeście zabrnęli?

Przerzedzały się znacznie szeregi; nie zapełniali ich Bracia Czescy, acz niejeden między nimi za pióro polskie chwytał: taki Polak Łasicki, który się ich wzorowem życiem i dyscypliną zbudował, taki Czech Turnowski czy Rybiński, którzy po polsku pisali. Katolicy nacierali coraz żwawiej, musiał Żarnowczyk bronić Reja przeciw napaściom jezuickim, szydzącym z «dworzanina i doktora apostackiego Kościoła, co swój żywot w żarciech, karciech a rymowaniu strawił, nie teologji się uczył»; Żarnowczyk sam cieszył się dla «cnót prawie ewangelickich»

największem uznaniem, jego postylę przetłumaczono r. 1587 na niemieckie. Coraz rzadsze bywały wypadki doniosłego nawrócenia, np. takiego szlachcica-rycerza (z pod Pskowa) Chrząstowskiego, który z gorliwego katolika najgorliwszym ministrem-kaznodzieją został i aż na Bellarmina się porywał; coraz częściej przechodził minister od jednego wyznania do drugiego (Bieliński, Franken i in.). Należało się bronić przeciw wszelakim szyderstwom: w ministrze Sudrowskim odkrywali katolicy kata lwowskiego Suderka, a papieżowi kalwińskiemu na Litwie, Wolanowi, zarzucali, że djabła wzywał, gdy mu sto złotych skradziono, a znajomy jego próbą serową chciał złodzieja wymacać.[1]

Milczeniem zawieruchy różnowierczej nie można było zbywać, więc chwycili się katolicy tego samego środka, pisma. Najpierw na satyry, żarty, dialogi, dramaty odpowiadali tem samem; dialogi prowadził im Prusak, «bowiem z Prus najpierwej kacerskie pismo do Polski polską mową poszło», albo dworzanin, bo do przedniego «dworstwa» należały napaści na Kościół i księżą. Gdy innowiercze teksty zaginęły, ocalały katolickie choćby w unikatach; dosyć one niedołężne i naiwne; dopiero Marcin Kromer okazał się w *Mnichu* pierwszorzędnym szermierzem, gruntownością wiedzy, spokojem a pewnością pióra. Hozjusz coprawda pisał tylko po łacinie, ale tłumaczono jego dzieła i na polskie. Przybywały oryginalne obszerne katechizmy-apologje Herbesta, Kuczborskiego i in., a jezuici poderwali kredyt postyl Rejowej i Grzegorzowej własnemi, Wujka (obszerniejsza i krótsza; uczona bardziej niż popularna) i Skargi, z którego piorunującą wymową nikt inny się nie zrównał; on stworzył też w *Żywotach Świętych* pierwszą księgę domową budującą, na której się liczne pokolenia wychowały. Na

[1] Przesąd to odwieczny, czy od ordaljów jeszcze? «Jeżeliś ser dawał święcić i on w piątek ludziom jeść dawał dla doświadczenia się w kradzieży?» pytano jeszcze r. 1776 w *Zbiorze generalnym grzechów*.

liczbę nie wyrównała literatura katolicka różnowierczej, ale jej wpływy były nierównie trwalsze. Dzieła główne tłumaczono i na inne języki, np. litewski (postyle Rejowa i Wujkowa). Liczne głównie jezuici pisali, zastępując niemal całkowicie kler katolicki. Oni tłumaczyli wiele ascetyków, np. Ludwika z Grenady; bronili reformy kalendarzowej przeciw szyzmatykom i pedantom katolickim (Latosz). Ton obopólnej polemiki, gdy pierwszy ferwor minął, łagodniał; wydając na nowo zgryźliwą *Apologję* Krowickiego, tłumaczono się, że to na pokrzywy rzymskie takiego było potrzeba mrozu; tylko arjan napadano zewsząd bezwzględnie, i jezuici i kalwini; nie było wyzwiska, któregoby przeciw nim nie wywlekano.

Osobna wzmianka należy się pieśni religijnej. Istniała ona dawno przed wszelką reformacją, pojawiała się w drukach począwszy od *Hortulusa* polskiego z r. 1514, ale rozbujała za jej podnietą, bo reformacja właśnie piastowała najusilniej pieśń zborową, i wszelkie nasze kancjonały, począwszy od małego Seklucjanowego 1547 r., były protestanckie. Obok kancjonałów zjawiały się liczne luźne druki, katolickie przeważały nawet na liczbę (w braku kancjonałów katolickich); w takim jednym r. 1557 lub 1558 wychodziło więcej pieśni, niż przedtem w całem półwieczu. Pieśni to autorów znanych (Reja, Trzecieskiego i in.) i nieznanych, tłumaczone z niemieckich, Lutrowych przeważnie, i oryginalne, nie celują natchnieniem ani formą, ujmują nieraz serdeczną prostotą (np. pieśń z refrenem: «Pan Bóg ucieczką, ratunkiem, Pan Bóg obroną naszą», parafraza psalmu 45 jakiegoś A. P.), a nawiązują niekiedy do wypadków spółczesnych. Dzisiejsi wydawcy mylą niejedno, np. Pieśń: «Ach miła śmierci, co ci po twej złości» i t. d. złożono pierwotnie na śmierć nie Jana, lecz Jarosza Łaskiego (1541 r., autor Rej?); «Pieśń o potopie» J. Kochanowskiego (osobne wydania r. 1570?) nie łączyła się bynajmniej z wielkim wylewem Wisły 1551 r. i nie wtedy powstała, jak nieraz przypuszczano, — co innego, jeśli

w samej pieśni data wyrażona, np. Pieśń o zimie 1557 r. (nowo złożona r. 1561). Chciano z tych pieśni zbogacić nawet puściznę Kochanowskiego, przypisano mu np. «Pieśń o zburzeniu Sodomy», ależ sam prozaiczny tok wysłowienia temu przeczy, np. «zaledwie samoczwartego Lota», albo rymowanie takie jak «z lasy i zwierzątka Pożarł do szczątka», «O cięć gra idzie, gore u sąsiada, W smakżeć biesiada?», «dobry — szczodry» i t. d. Przeczymy również, żeby ta pieśń odnosiła się do napadu tatarskiego 1551 r.; brak jej zresztą w najstarszych kancjonałach. Na tem polu zaznaczył się po raz ostatni silny wpływ czeski; przekłady z pieśni Braci Czeskich, u nich nadzwyczaj obfitych (obfitszych i dawniejszych, niż u protestantów), pojawiały się i w drukach ulotnych i w obu kancjonałach, przełożonych z czeskich (królewieckiego z r. 1554 Walentego z Brzozowa, i krakowskiego, rozszerzonego, drukowanego r. 1569 u Wierzbięty); przekłady wcale liche, dosłowne.

PROZA, NAUKOWA I POLITYCZNA. WYMOWA. SKARGA

I inne pola nie pozostawały odłogiem. Już Marcin Bielski wypełnił zawstydzający brak podręcznika dziejów powszechnych, kompilując w *Kronice Świata* Carionów i inne powagi, a syn, Joachim, obszerną kronikę polską aż do Zygmunta III doprowadził, chociaż przeważnie samem kreśleniem strony okazowej się zadowalał. Nierównie ciekawsze dwa inne dzieła i ludzie. Matys Stryjkowski, niby Długosz XVI wieku, z największym mozołem uzbierał wszystko, ruskie, łacińskie, niemieckie, co Litwy i Żmudzi dotykało, schodził między lud i pieśni jego, rozpatrywał miejscowości i wykopaliska, aby wyczerpać dzieje Pogoni, i w zapędzie krasomówczym przerywał wierszami efektownemi tok swojej prozy; druk nie oddał nawet całego ich bogactwa, a dzieło zyskało kanoniczną powagę.

Godnie stanęły obok *Herby rycerstwa polskiego* Bartosza Paprockiego. Herby ceniła szlachta jako klejnoty rodowe i już w XV wieku pstrzyła je wszelakiemi baśniami, wywodząc je to z obczyzny, to przypisując im osobliwsze znaczenie-początek. Szlachectwo było od herbu nieodłączne, i gdy Rej w *Zwierzyńcu* 1562 r. niby album znajomych układał, nad każdym herb jego dał wymalować. Zbieranie herbów liczyło się już od Długosza i innych XV-wiecznych zestawień, ale to wszystko było niedokładne i niepełne; studjom herbowym, t. j. genealogicznym, oddawał się i Zamoyski w archiwum koronnem. I od niego, i z nagrobków, i z dyplomów korzystał Paprocki dla swojego zbioru, podstawowego dla heraldyki polskiej; chociaż łacińskiemi aktami wojował, użył języka polskiego, aby dzieło jego każdego szlachcica dojść mogło. A trafił on do herbów, jak Stryjkowski do dziejów, okolną, moralizatorską drogą, bo obaj wysławiali najpierw cnotę, stali się jej gońcami, iż ona prawego szlachcica, nie sam ród, zdobić winna. Odrodził się tylko Paprocki od szlachty mazowieckiej przywiązaniem do Habsburgów arcykatolickich, co go i z kraju między Czechów wygnało, i tam hołdował dalej herbom i genealogjom i stworzył Czechom, Morawie, Śląskowi ich heraldykę. Pierwszy to Polak, co do dwuch literatur słowiańskich należy, bo Czechom, ubogim od XV wieku w literaturę świecką, także wiersze polskie, własne, Kochanowskiego i in., z *Fraszek* przeważnie, wybierał i tłumaczył; wszystko, co w kraju po polsku pisywał, o kobietach, o św. Kiju i nabożeństwie do niego, o Dziesięciorgu przykazań mężowych i t. p., Czechom w szeregu pisemek od 1597 r. powtarzał. Sięgał i do dziejów postronnych, w *Ogrodzie królewskim* dopowiadając dzieje rodów panujących w Austrji, Moskwie i t. d. Od dobrej prozy jego odbijały fatalnie wiersze, satyryczne (pamflety zaciekłe na Batorego i Zamoyskiego), historyczne (opis pogromu tatarskiego r. 1575), moralizujące (bajki), panegiryczne (o paniętach ruskich w *Panoszy),* które

płodził nieskończenie a niezdarnie, gorsze wiele niż Rejowe. Ciekawy, ale niebardzo sympatyczny literat.

Popularną literaturę polityczną zastąpili świetnie Orzechowski i Solikowski. Orzechowski drukował dialogi *O egzekucji, Quincunxie,* gdzie dojadał Litwie tak zjadliwie, że inny katolik, wójt wileński Rotundus, jej przeciw tym napaściom bronić musiał; zwalał na protestantów wszelką winę, i w teokratycznym ustroju jedyne zbawienie Polski widział, jak zawsze do ekstremów skłonny. Solikowskiego wsławił mniej *Ziemianin* (drukowany bezimiennie), niż jego niedrukowane, w odpisach szerzone broszury, broniące elekcji Walezego: *Rozmowa kruszwicka* (Piasta z Mazurem), *Gąski* (błazna) *z św. Bartłomiejem, komornika Ferfeckiego z Burmistrzem,* błyszczą dowcipem i talentem.

Na szczyt prozy polskiej wszedł Skarga w *Kazaniach Sejmowych* (dodanych r. 1597 do *Kazań przygodnych),* tworzących pewną całość, bo po pierwszem, wstępnem, uczącem zgromadzone stany, gdzie mądrości potrzebnej szukać należy, drugie o miłości ojczyzny przeciw prywacie prawiło; trzecie brak zgody dla różnicy w wierze wytykało; czwarte i piąte groziły dla kacerstw roztrąceniem państwa, opartego o skałę Piotrową; szóste wykazywało potrzebę władzy w przeciwieństwie do anarchji złotej wolności. Siódme traktowało o prawach, nieważnych, jeśli brak wykonania, bo «my karty mażem a po staremu w nierządzie żyjem; mówić, pisać, wywodzić umiemy, a czynić najmniej»; obok sprawiedliwych są prawa niesprawiedliwe, a między niemi prawo o wolności sumień, bo Skarga, chociaż do gwałtów nie wzywał, tolerancji nie uznawał. W ósmem, końcowem, wyliczał wszystko co uchodzi bezkarnie, a w tem głównie straszny ucisk kmieci: jakoż się wszystkiego chrześcijaństwa nie wstydzić, jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy Boskie ukazać? i dodawał straszne groźby przyszłej niewoli jako kary za te grzechy: «ustawicznie się mury Rzeczypospolitej waszej rysują, a wy mówicie nic, nic, nierządem Polska stoi! lecz gdy się nie spodziejecie, upadnie i was wszystkich potłucze... mam to poruczenie, abym wam złości wasze ukazował i pomstę za nie, jeśli ich nie oddalicie, ukazował».

Odmieniła się zupełnie wymowa kaznodziejska. Odrzucono postyle i kazania średniowieczne, owych *Dormisecure,* Baraletów i in., któremi się ksiądz stale posługiwał, z ich budującemi anegdotami i baśniami (o św. Grzegorzu kazirodczym, o cesarzu zarozumiałym i t. d., co do dziś między ludem ostały), i nauczono się «allegować» jedynie słowem Bożem i apostolskiem, a było to zasługą protestantów. Skarga, Powodowski przed nim, utworzyli nawet rodzaj kaznodziejstwa politycznego, którego ministrowie protestanccy naśladować nie śmieli, nie zażywając równej im powagi; roztrząsali sprawy państwowe, publiczne, ściągając na siebie zarzuty protestantów, że odstępują od słowa Bożego.

Obok wymowy duchownej stanęła świecka. Prozopopeje Orzechowskiego i in., cięte przemowy wkładane do ust Rzeczypospolitej czy komu innemu, były łacińskie, polskie natomiast były debaty parlamentarne, które zaczęły się z sejmowaniem w końcu poprzedniego wieku, a teraz rozbujały. Luźne druki i rękopiśmienne diarjusze sejmowe zachowały w skróceniu albo w oryginalnem brzmieniu, szczególniej od r. 1548 począwszy, pomniki tej wymowy, która najpierw na polu rokoszowem za wojny kokoszej r. 1537 święciła demagogiczne tryumfy. Jak ów język parlamentarny był wyszkolony, jak on jeden świadectwo wydawał przeciw mniemanemu ubóstwu myśli i słowa polskiego, można sprawdzać na licznych okazach mów Górki, Ossolińskiego, Sienickiego («arjana»), Leszczyńskiego, Radziwiłłów, Chodkiewiczów i in., szczególnie z czasów walk o egzekucję praw i unję litewską. Śmiałe występy wobec Zygmunta Augusta; żądania, żeby dosyć czynił zobowiązaniom własnym, a potem dopiero od poddanych tegoż wymagał; wyrzuty przewle-

kania spraw; stałe podnoszenie, że wolno go wybrano, że on żadnej mocy do tronu nie miał, że on nie dziedziczny, wobec ciągłych zapewniań wiernej służby, cechują te przemowy, których najczęstszą i największą wadą zbytnia rozwlekłość, powtarzanie fraz, nieścisłe ujęcie tematu. Chętnie powoływano przykłady z dziejów domowych i ościennych, węgierskich i czeskich, rzadziej dalszych, ale najchętniej zasilano się klasycznemi; już wyrzucano, że Polacy chorują na *morbus comitialis*, na parlamentaryzm. Mówcy protestanccy chętnie też Pismem św. narabiali; przeważały wywody ogólnikowe, z rzeczywistością i potrzebą chwili mało nieraz uzgodnione. Już kiełkowała wada «makaronizowania», nazwanego tak mniej słusznie, bo makaron istotny, to odmiana słów rodzimych na ład łaciński i pstrzenie niemi łaciny, gdy nasi mówcy do mowy polskiej luźne słowa lub całe frazy łacińskie wplatali, woląc gotowych użyć, niż na własne się silić. Ale daleko jeszcze tym mowom do późniejszego barbarzyństwa, które język skaziło. Już nawykano do łacińskiego szyku słów, do pewnych terminów — zamiast ojczyzny nawet *patria* pierwsi «wymowcy» (i Kochanowski pierwotnie) prawili, ale z terminami rzymskiemi pojęcia też rzymskie łączono i gromkich fraz klasycznych nieraz dla bardzo wątpliwych sprawek nadużywano. Wymowa parlamentarna najwyżej stała; obok niej mowy okolicznościowe, szczególniej weselne (ceremonjał weselny spożywał ich aż nadto) i pogrzebowe; coraz częściej brano do nich asumpt od herbów pary ślubnej czy nieboszczykowych; nakoniec mowy sądowe; zmyślał takowe Górnicki.

Ślepa wiara w cudowną moc słowa, nauki, przestrogi, wzoru, wypiastowała literaturę parenetyczną, moralizującą, wychowawczą; wiele tłumaczono spółczesnego, np. Reinharda Lorichiusa o wychowaniu i ćwiczeniu każdego przełożonego (na życzenie książąt Słuckich przełożył to sekretarz Barbary, Koszucki); Marcina Płachty, co się Kwiatkowskim przezwał, *Książeczki rozkoszne o poczciwem wychowaniu dziatek*, r. 1564, tłumaczone z czternastowiecznego Wergerjusza (starszego), owianego duchem nowszym; Hessa J. Schottena *Vita Honesta* (o cnocie albo żywocie człowiekowi przystojnym) wydawano w Krakowie co parę lat w oryginale łacińskim, a przy końcu wieku i po polsku: narabiał cytacjami z klasyków przeważnie, gdy dodane dziełko Barlanda z biblji czerpało; w Polsce zażywały te dziełka większego rozgłosu, niż w Niemczech. Najznakomitszą pozostała przeróbka oryginału włoskiego, *Il Cortegiano* Baltazara Castiglione, wydanego r. 1528, więcej niż 40 razy przedrukowanego w wieku XVI, tłumaczonego na wszystkie języki Zachodu; polskie 1566 r. jest piąte zkolei, lecz wyszło pod piórem Górnickiego na *Dworzanina polskiego*. Rejowy *Żywot poczciwego człowieka* był godnem tej literatury zakończeniem (1568 r.).

Gdy na Zachodzie beletrystyka w prozie stale się rozszerzała, romans rycerski a niebawem i pasterski spore tomy zapełniał (*Amadisy* i in., tłumaczone powszechnie), u nas tę gałąź zastąpiły tylko powieści ludowe, w których roztopiła się i dawna epika średniowieczna. Wszystkie niemal tłumaczono z niemieckiego, a więc *Fortunata, Cesarza Ottona (Oktawianem* w przekładzie niemieckim z francuskiego oryginału przezywanego), *Meluzynę, Magielonę, Gryzeldę;* mazur Paprocki przetłumaczył z włoskiego (a to poszło z hiszpańskiego) nowelę o Ekwanusie królu (tytuł on dał), gdzie się dworzanie z paniami o winę miłosną spierają; dla braku żywszej akcji nie spodobała się, gdy wszystkie inne coraz przedrukowywano aż do XVIII w., a nawet i do dziś w literaturze straganowej. Zdaje się, że one powieści wszystkie tłumaczył Marcin Siennik, wyrobnik literacki, przez nakładców i księgarzy krakowskich do wszelakich prac zaciągany. Obok średniowieczczyzny popłacała i starożytność: romans o Aleksandrze Macedońskim (posiadamy go w rękopisie z r. 1510 z bibljoteki Zygmunta Starego i w druku z r. 1551: rękopis a druk, to piekło, nie ziemia, a niebo; druk

powtarzano do XVIII w.); romans o Troi; inne znamy tylko z tytułów, z inwentarzy po księgarzach. Już zjawiały się zbiorki *Facecyj*, towar przywoźny, ale znakomicie spolszczony; *Ezop* prozaiczny zastąpił wiersze Biernatowe. Całą tę literaturę, pochłanianą przez kobiety i dworzan, zanim między lud opadła, przeoczali umyślnie ludzie smaku i wykształcenia; żaden literat o nich nigdy nie wspomniał, chyba z pogardą, aleź iluż to literatów one przetrwały, a drogę przez Moskwę aż na Sybir znalazły, głód powieściowy u nas i w Moskwie zaspokajały; w lud wsiąkły tak, że o Łokietku opowiadano, co w *Aleksandrze* wyczytano. Za cel wystawiały sobie te powieści (a do nich przybywały z pierwszej połowy wieku *Marchołt, Historje Rzymskie, Sowizdrzał)* morał, mimo nieraz wcale niemoralnej treści. Nie przyznawano się do nich, ale znano je powszechnie, takie np. Marchołtowe drzewo — każdy rozumiał, o co chodzi.

Mimo całego bogactwa ilościowego tej prozy do końca wieku panowało, co Murzynowski r. 1551 wyraził, niedocenianie, lekkie jej ważenie w porównaniu z łacińską, i przylewanie wody do morza łacińskiego uchodziło za właściwe zadanie literata, bo z łaciną występował niby przed Europą, z polszczyzną tkwił w zakamarku. Inaczej było z poezją polską. Gdy o wierszach łacińskich zapominano natychmiast po ich wyjściu (z Janicjuszem robiono wyjątek) i nawet wiersze łacińskie Kochanowskiego tonęły bez śladu, jego polskie nieśmiertelność osiągły.

POEZJA. KOCHANOWSKI

Byłyż przed nim wiersze formą, nie treścią ni językiem, domorosłe, które pisało albo prawiło wszystko, co po łacinie nie umiało. I Kochanowski zaczął szkolnemi wierszami łacińskiemi, ale we Włoszech Petrarka i Petrarkiści oderwali go od Horacego i Tibulla. Miłość, nie popis erudycji, zrobiła go poetą, a chociaż «Lydia» (imię zbiorowe) z jego wierszów «sarmackich» tylko się śmiała, nie dał się poeta zbić z tropu, w którym utwierdzali go i Francuzi (Ronsard i szkoła tegoż), gdy w Paryżu stanął. Do kraju wracał z wiązanką wierszów polskich, ale z łacińskiemi zjawił się przed Tarnowskim i Firlejem. Do druku nie spieszył, w odpisach szerzyły się daleko, i świadczyło znakomicie o kulturze ówczesnej, że zdołała odrazu ocenić talent wybitny.

Poeta układał widocznie zbiorki różnorakich utworów, niby pierwsze ich wydania, i te rozsyłał. Taki prowizoryczny zbiorek jego wierszy ocalał istotnie w rękopisie Osmólskiego. Jeszcze widoczniej to u Szarzyńskiego. On był już sławny, już pokładano w nim wielkie nadzieje, ale druk pierwszy dopiero we dwadzieścia lat po jego śmierci (r. 1601) się ukazał. Tymczasem w rękopisie u Zamoyskich ocalało takie jego «pierwsze wydanie», zbiór różnolity, erotyków, gnomików, wiersza historycznego (balada o Strusiu, poległym od Tatarów), który miał dać poetę poznać u znajomych i znawców. Tylko dlatego, że czas a raczej pożary przetrzebiły niesłychanie wszelkie zbiory prywatne (i Pretfic pokazywał wiersze Szarzyńskiego, których nie znamy), zaginęły takie rękopiśmienne wydania, w których krążyły np. skotopaski (idyle) Porębskiego, cenione przez Kochanowskiego, wiersze Chwalibogowskich, Paca i in.; inne podobne «wydanie» Erazma Otwinowskiego z r. 1563 i następnych, erotyki i fraszki, ocalało również w owym rękopisie Zamoyskich.

Czytając wiersze Rejowe i innych, mimowoli zapytasz, czy nie lepiej prozą by to wydano, tem bardziej, że nadto często dodawano wiersze dla rymu tylko; nie dbano, czy treść, czy wysłowienie, poetyckie. Wierszami trafiano najłatwiej do ogółu, i stąd ta wierszomanja drugiej połowy wieku. Wierszowano wszystko: ustępy z biblji; zdarzenia świeże (bitwy, sejmy, pogrzeby, stracenia); historje (noweli wierszowanych liczymy tuzinami); morały; alegorje; podróże; zajścia rodzinne (wesela

i t. p.), i z każdym dziesiątkiem lat rosła fala wierszowa i wytworzył się niby jakiś podział: po łacinie, prozą, wszystko poważne; wszystko «pocieszne» polskiemi wierszami. Wygładził się język poetycki, wyrobiły pióra, około Reja roiło się od poetów, ale dopiero Kochanowski stworzył poezję, bo dobierał treści, myśli, formy; trzymał pióro na wodzy, nie powtarzał, nie gawędził; z najlepszych wzorów przejął układ, kompozycję, cieniowanie; nie spadał do marnej prozy, szlachetną myśl piastował, odrywał od ziemi ku górze, ideałom hołdował sam, i innych do nich wdrażał.

O wytrawnym smaku ludzi XVI wieku nic tak znakomicie nie świadczy, jak nadzwyczajne uznanie, którego się prawdziwy talent odrazu dobił. Cóż wymowniejszego, niż ośmiowiersz Rejowy w uznaniu młodego poety z *Zwierzyńca* r. 1562, t. j. z czasu, kiedy Kochanowski z druku jeszcze nikomu nie był znany, gdzie więc tylko z kopij mógł Rej osądzić poetę. Że go z Tibullem porównał, którego nigdy w życiu nie czytał, zawdzięczał to Trzecieskiemu, który Kochanowskiego «sarmackim Tybullem» przezywał; w *Silvarum liber secundus* z r. 1568 poświęcił «archipoeta» drugą sylwę «książęciu poetów polskich»: nie pragnę bogactw ni zaszczytów, dni spokojnych natomiast i życia wiejskiego w służbie muzom, jak ty, Tybulu sarmacki, zadowolony ojcowizną: w twe ślady wstępuję. Przed dwunastu laty już sławił go w tryumfującej elegji różnowierczej. Zmyślono później jeszcze inne uznanie Rejowe, ale niezręcznie, bo «pieśń bogini słowiańskiej» nie licuje wcale z umysłowością Rejową. Protestanci i katolicy w zawody mu hołdowali, a na grób wojskiego sandomierskiego posypały się polskie i łacińskie nenje; nawet gdy na polu elekcyjnem nie po myśli ani szlachty, ani Zamoyskiego przemawiał, wysłuchano go powolnem uchem przez uszanowanie dla osoby poety. Zdobył to uszanowanie rzetelnym trudem.

Rej i Kochanowski kusili się z latami o coraz wyższe zadania. Ów przeszedł od dialogów do swobodnej, acz miejscami naiwnej albo satyrycznej parafrazy Palingenjusza w *Wizerunku* (trzykrotnie wydanym, bo tak popłacały wiersze, gdy prozaicznego *Żywotu* w XVI wieku nikt nie powtórzył), i do *Zwierzyńca*, gdzie w formie luźnej bardzo mądre a nieraz dowcipne uwagi o ludziach, stanach, urzędach prawił. Kochanowski wzniósł się od fraszek, pieśni, psalmów do kompozycji *Trenów*, jakiej literatura świata dotąd nie znała, wywodząc z osobistej klęski skargi na ułomność ludzkiej mądrości, na karę za winy niepopełnione, i kończył zdaniem się pokornem na łaskę Pańską, wiodącą nas torem nieprzewidzianym. Był to szczyt poezji XVI-wiecznej, narazie niedoceniony przez niejednego, kto poza obszernemi wywodami o dzieciątku i jego stracie przeoczał, dokąd poeta zmierzał. On wytknął dalsze drogi poezji: wszyscy jakby w zmowie jego tylko naśladowali, czy *Treny*, czy *Fraszki*, czy erotyki, czy *Satyra*, a *Psałterz* bez różnicy wyznań wysoko cenili; jego nagły ubytek boleśnie odczuli. O Reju — nie bez winy był i jego antykatolicyzm — w kilkadziesiąt lat zupełnie zapomniano; urok Kochanowskiego, stojącego ponad wyznaniami, potężniał z latami; tylkoż następcy mu nie dorównali. Naśladowali go, gdzie nie należało, w reminiscencjach klasycznych, których się humanista nie ustrzegał, uważając antyk za jedyny a niedościgły wzór; nie naśladowali go, gdy rozwijał skrzydła do własnego, polskiego lotu, np. w *Sobótce*. Zresztą przypadała poezja jego ogółowi już tem do smaku, że była ziemiańską, nie miejską; sielską, nie dworską; patrjotyczną, nie polityczną; pobożną, nie ascetyczną; że, jednem słowem, odpowiadała najlepiej szlachcie, jej ideałom i tendencjom. Po Kochanowskim i obok niego powstał bezlik poetów, nawet na dalekiej Litwie (Pac i in.); wielu znamy tylko z nazwiska, jak Pac, Dzierżanowski, Porębski i in.; innych posiadamy dzieła, nie znamy nazwiska, np. anonim-protestant, piszący między 1563 a 1570 r.

i nieco blade erotyki i znakomite swoim realizmem flamandzkim fraszki-powieści z życia szlacheckiego, lubelskiego przeważnie.[1]

Sęp Szarzyński, wiele obiecujący, zbyt rychło zgasł; ozwała się po śmierci autorskiej i domorosła muza starego Bielskiego, Reja jeszcze przypominająca, satyryczny obraz szlachty i mieszczaństwa. Między wierszującą szlachtę zabłąkali się też mieszczanie, szczególnie Sebastjan Klonowic, który z piasków wielkopolskich na Ruś, do Lwowa i Lublina, podążył i w obu językach rymował, w polskim rzeczy pośledniejsze, *Flisa*, o wiślanej drodze pouczając, a w *Worku Judaszowym* wykręty i szalbierstwa miejskiej braci wystawiając, dopełnienie niby muzy szlacheckiej. Smutnym znakiem czasu i jego drażliwości było, że «poeta» wieszał same łotrzęta, ale gdy do łotrów i ich lwiej skóry wypadało przystąpić, cofnął się:

Więc mam-li o niej pisać, namyślę się na tym,
Bym się zaś nie uprzykrzył Judaszom zębatym.

Jak wysoką jeszcze była kultura miejska, dowodził właśnie ten samouk, który także greckie wiersze pisywał.

Przeważała szlachta między «poetami», np. dworzanie, jak Andrzej Zbylitowski, który i *Drogę* (Zygmunta III) *do Szwecji* zrymował, a najzbędniejszym balastem mitologicznym (śród fal Bałtyku!) rozepchał, lecz dwór porzucił i wiejskie wczasy sławił; Jan Smolik i Sebastjan Grabowiecki, którzy już Włochów tłumaczyli albo naśladowali; nadużywali oni, szczególniej Zbylitowski, a podobnie brat czeski Rybiński, poezji do klecenia coraz nowych epitalamjów i innych wierszydeł gratula-

[1] Przytoczone wyżej imię tego autora odkrył prof. Kot. Erazm Otwinowski, zamłodu kalwin, później arjanin, porzucił erotyki i obrazki rodzajowe, ilustrujące świetnie życie szlachty lubelskiej i ruskiej; wymienił je na wiersze polemiczne, wyznaniowe i moralizujące; trybem u arjanów mniej zwykłym sławił także *Sprawy znacznych niewiast* i *Bohaterów chrystjańskich* (t. j. arjańskich).

cyjnych, zawadniających coraz bardziej niwy poetyckie, a zaczęli już i psuć język złożonemi wyrazami, «zgodnociągłemi» strunami na «różnorymnych» gęślach. Wtórował im ksiądz Stanisław Grochowski, niewyczerpany we wszelakich żalach i planktach, najpilniejszy uprawiacz wierszów ascetycznych, przekładający hymny i prozy kościelne, wierszujący Tomasza a Kempis i legendy o świętych, mistrz w płynnej gładkości słowa, nią zastępujący braki inwencji własnej, najprzyjemniejszy, gdy z wysokiego stylu na jowialny schodził i potoczne wrażenia kreślił.

Obok zwykłych wierszów uprawiano sztuczne, wzorem antyku i średniowiecza, najrozmaitszego kroju: np. *raki*, czytane wspak, dają sens przeciwny, z pochwały naganę; *echo* powtarza ostatni wyraz, nieco zmieniony i obala poprzednie; przedłużenie wiersza uchyla sprosności lub wyrzuty, np. rym wymaga *babo*, zamiast tego wstawią *Barbaro;* w rakach to każdy wiersz zosobna należy czytać tak i wspak, to cały poemacik; Stanisław Niegoszewski, mistrz improwizacji łacińskich wierszy (imponował niemi w Wenecji na każdy temat, niby jak po wiekach Deotyma w Warszawie), napisał nawet dwuwiersz, który niezmieniony, w jakim go czytać porządku, wkońcu do zamawiań między ludem służył! Raków i echa używano głównie po paskwiluszach politycznych, np. przeciw jezuitom. Bardzo ulubione były odwieczne akrostychy, t. j. litery początkowe wszystkich wierszy albo tylko zwrotek dawały imię albo autora samego, albo osoby, do której się zwracał, np. «Jan Dziki lutenista gdański», «Christina żona jego», albo «Pomóż Panie służce twemu Andrzejowi Trzecieskiemu», albo «Zofja Oleśnicka z Pieskowej Skały» (ona nie autorką, jej wielbiciel to złożył; w XVI wieku panienki wierszów jeszcze nie pisały, dopiero w XVII); albo «Lament Jeronima Szafrańca» (na śmierć syna), albo «Jeronim Bużeński» (żupnik wielicki, różnowierca), «Basaj rusak z Szczebreszyna» i in. Uprawiali to i autorowie pieśni religijnych, np. w kalwińskim kancjonale nieświeskim z r. 1563 akrostych: «To-

masz-So-ko-łow-ski»; a drugi: «T-o-masz-Cho-do-ski»;[1] później to ganiono jako niezgodne z celem pieśni, i psuto akrostychy.[2] Z akrostychów niewinnych wysnuwano w zamiarach polemicznych całe romanse, np. są w kancjonale kalwińskim wileńskim z r. 1594 obok siebie dwie pieśni o sprawiedliwości i o dobrodziejstwach Syna Bożego; akrostych pierwszej daje: S-t-a-n-i-s-ł-a-w Zostro-łę-ki (t. j. znany minister kalwiński Stanisław Sudrovius); drugi: Z-o-f-j-a-W-o-l-a-n-o-w-a; na podstawie obu akrostychów wierzono, że to Sudrovius na stare lata rozkochał się w Wolanównie! Akrostych świadczył tylko o autorze pieśni i o redaktorze-wydawcy całego kancjonału.

Nierównie ciekawsza rzecz z innemi akrostychami. Kochanowski przeczuwał, że w pismach jego będą zczasem wielbiciele jego talentu doszukiwali się wynurzań jego osobistych i dlatego wykreślał starannie wszelkie wyraźniejsze poszlaki, nazwy osób lub miejscowości, gmatwał następstwo i wyznał to sam otwarcie (*Fraszki* III):

> Obrał-liby się kiedy kto tak pracowity,
> Żeby z was[3] chciał wyczerpać umysł mój zakryty,
> Powiedzcie mu, niech próżno nie frasuje głowy,
> Bo się w dziwny labirynt i błąd wda takowy, i t. d.

Wbrew tej przestrodze układano z jego wierszy miłosnych romanse, np. o jakiejś «drugiej wielkiej miłości do Bezimiennej», co poetę wyszlachetniła, i odnaleziono ślady wszelakich jej przejść od nielicznych chwil radosnych poprzez zwątpienia

[1] Sokołowski, to znany dobrze z dziejów propagandy różnowierczej Falconius; Chodoskiego «poetę» wymienił A. Trzecieski w chwałośpiewie, jakim powitał roku 1556 różnowierców, całą niemal spółczesną inteligencję do nich zaliczając.

[2] «Aby *in publicis cantionibus* nie ludziom pamiątka, ale Bogu chwała rosła», ażeby «się zabieżało uszczypkom adwersarzów, którzy takie pieśni zwykli szacować i z nich szydzić» (*Psalmy Dawidowe* z r. 1619).

[3] fraszek.

i rozczarowania do ostatecznej, gorzkiej rozłąki. I nicby przeciw tym wywodom erotyczno-psychologicznym zarzucić nie można, gdyby nie dwa wiersze, z pozostałych po śmierci poety (odrzuconych albo nie odmienionych przez niego), przez wdowę i księgarza w *Fragmentach* ogłoszone. Korzystano i z nich dla owego romansu, aleź jedna pieśń daje akrostych: «K-a-t-a-r-z-i-n-a-J-a-n-W-o-d-i-n-s-k-a» (poeta wstawił swoje imię w ów akrostych), a drugi: «J-a-g-n-i-e-s-k-a-K-r-y-s-k-a-I-b-n» (to może myłka zamiast «J-a-n», czytaj może *abo* zamiast: *bowiem*). O żadnej wielkiej, płomiennej miłości ku jakiejś Bezimiennej mowy nie było; tak samo zapewnienia o niezrównanej piękności: Katarzyna «gładkością wszystkie (dawne piękności) tak minęła, aż i przyszłym nadzieję na wieki odjęła», a Jagnieszce jabłko Parys by oddał, bo «żadna jeszcze nie wstała, którаćby go odjąć miała», — jak i o szczerości: «uprzejmości» własnej służby dozgonnej, były tylko komplementy dla ładnej twarzyczki, a ślub stałości — słowa na wodzie pisane;[1] namiętnych uniesień tak samo nie było, jak np. w wierszach miłosnych Sępa Szarzyńskiego do Basi i Kasi; — jedyny z pośród naszych literatów Erazm Otwinowski hołdował jednej, bez zwykłej męskiej motylomanji.

DRAMAT

Kwitły więc wszelkie rodzaje poezji polskiej i łacińskiej, liryka erotyczna i ascetyczna, gnomiczna, epopeje dydaktyczne, rzadziej historyczne — brak tylko dramatu, nie przypadkowy. Byłyż jego zalążki, misterja średniowieczne, jasełkowe i pasyjne,

[1] Jakie przypadek figle płata! Te same dwie nazwy, w tym samym porządku, powtórzyły się u p. Ossolińskiej (trzeciej żony wojewody), co była *primo voto* Wodyńska, a *secundo voto* Kryska (St. Kryski, wojewoda mazowiecki; jego synowie z bakałarzem, co to opisał, Włochy zwiedzali; por. wyżej).

w wieku XV, i przetrwały do szesnastego, chociaż reformacja ich kredyt poderwała; w XVI wieku przystąpiły do nich widowiska humanistyczne: żacy, krakowscy szczególnie, przedstawiali przed Zygmuntem czy przed magnatem, a po miastach przed radą miejską, obce łacińskie dramaty, np. humanisty niemieckiego Löchera r. 1522 przed królem *Sąd Parysów* (alegorja życia rozmyślającego, czynnego i rozkosznego), i tegoż *Wizerunek narad i uchwał chrześcijańskich przeciw Turkom*. Przez cały wiek słyszymy o podobnych przedstawieniach, i tak uświetnił Kochanowski *Odprawą posłów greckich* fest w Jazdowie 1578 r., oryginalną tragedją z wątku w *Iljadzie* podanego, całkiem na wzór Eurypidowy z chórami w osobliwszem metrum, nawet z aluzjami do spółczesnej znarowionej młodzieży i niegotowości polskiej do wojny: sztuka mimo znakomitego naśladowania stylu antycznego dramatu przebrzmiała bez echa, i nawet przyjaciel, Górnicki, nie wspomniał o niej wcale, gdy *Troadki* Seneki tłumaczył, t. j. rozszerzał i obniżał. Były przekłady polskie dramatów humanistycznych, *Parysa* Löchera i *Syna marnotrawnego* Gnapheusa; Piotr Ciekliński przenicował *Potrójnego* Plauta na stosunki polskie i lwowskie; Szymonowic wypracował starannie dramat o *Czystym Józefie*, wnet niezgrabnie dosyć przełożony na polskie, ale takie tłumaczenia (np. *Jefte* Buchanana, liche) teatru nie stworzyły.

Nie stworzył go ani dramat szkolny jezuicki. *Ratio studiorum* wymagała widowisk teatralnych, żeby studentów otrzaskać z występami publicznemi; jedne odbywały się dorocznie wobec sproszonej publiczności, rodziców i honoracjorów; drugie, mniej wystawne, w ciągu roku szkolnego parokrotnie; tematy — bez ról kobiecych, z biblji, legendy, misyj jezuickich, alegoryj; wiersze stale łacińskie; widzom podawano krótkie scenarjusze; śpiewy pobożne (choćby polskie) rozpoczynały grę i kończyły; dla urozmaicenia treści wstawiano między aktami polskie intermedja, sceny komiczne z życia żaków, chłopów, żydów i t. p., anegdoty wszelakie, odbijające stylem burleskowym, żartobliwym, od patosu innych scen. Wszystko wygotowywał z urzędu profesor poetyki; kolegja wypożyczały je sobie nawzajem, jak i dekoracje albo kostjumy; do druku nie były przeznaczone; posiadamy ich rękopisy już z XVI wieku, więcej z XVII i XVIII. Intermedja nabierały też własnego życia i dostawały się do druku; najsłynniejsze z nich *Albertus z wojny* i *Wyprawa plebańska* (Albertusa na Podole), od r. 1590 coraz przedrukowywane i nader popularne: humorystyczny opis zbrojenia klechy i jego przygód niby wojennych, wcale udałe; zagaiły cały szereg intermedjów, przez wiek XVII się ciągnący. Ale dramat jezuicki pozostał szkolnym i nie wykraczał poza mury kolegjum.

Misterja również nie wydały teatru. Widowiska przeważały chyba nieme albo ograniczone do tekstu liturgicznego; dopiero z XVI wieku słyszymy o dialogach z licznemi scenami i osobami. Zachowało się tylko jedno misterjum, *Historja o chwalebnem zmartwychwstaniu Pańskiem*, w redakcji, jaką dla niego ułożył Mikołaj z Wilkowiecka dla Częstochowy, gdzie to misterjum do XVIII wieku z nieznacznemi odmianami wystawiano; rzecz to najsprośniejszej średniowieczczyzny, z apokryfów czerpiąca, naiwnie rubaszna, śmieszna w scenach djabelskich czy żołnierskich, ale ludowa, ciekawa też dzięki wskazówkom reżyserskim. Podobną, mniej drastyczną jednak, była Komedja o niepłodności Anny św., przeznaczona na jej dzień na scenę («Prosim o trochę czasu, byście jej słuchali» i t. d.), pasterze (z chłopskiemi nazwami) i służba zastąpiły element komiczny. Nawet polemika wyznaniowa tej formy używała, przynajmniej w rękopisie przechowana *Komedja o mięsopuście* ma na końcu aktów pieśni nabożne; wyszydza nowowiernika, jego nieuctwo i lekkomyślność. Są dalej wiadomości o dramatach biblijnych; jest jedna i druga komedja nad wyraz licha *(Komedja o Lizydzie, jak za mąż wychodzi)*; najciekawsza, *Tragedja*

żebracza, ocalała w całości tylko w przekładzie czeskim, który nieskromności polskiego tekstu (z r. 1553) uchylał: chłosta mataniny żebraków, których kupiec oskarża; realistyczny aż nadto obrazek cechu żebraczego, ciekawy dla obyczajowości ówczesnej. Moralitet spółczesny Marcina Bielskiego, *Komedja o Justynie i Konstancji*, o wychowaniu młodzieży i na jakie ona niebezpieczeństwa narażona, z których zwycięsko wychodzi, jest nieco blady i rozwlekły w wyrazie i zbyt schematyczny.

Były więc najrozmaitsze próby-zadatki, dlaczegoż nie przyszło do teatru? jak mógł Rej, tłumacząc znakomity dramat (*Kupca* Naogeorga), nawet nie poznać, że to osobny gatunek literacki, i psuć kompozycję wzorową, tworząc z niej jakieś opowiadanie w dialogach? Brak dworu i miasta, które są warunkiem dla trwałej sceny, tłumaczy to poniekąd; niemieckie w XV wieku miasto nie sprzyjało polsko-łacińskiemu misterjum, a spółczesny dwór świecił nieobecnością; Bonę również nie mogłoby polskie widowisko zająć, a starego męża bawiła tylko tańcami i śpiewami; Zygmunt August w swej czerni żałobnej niewiele się ukazywał (sam nawet jadał), więc o maszkary nie dbał; o Batorym niema co i wspominać, nudził się na *Odprawie posłów greckich*, a Zygmunt III teatrem niemieckim się bawił. Szlachta, niepomna przestróg i uwag Bielskiego, od miasta stroniła zawzięcie, więc dla kogóż było pielęgnować scenę? Szkoła dostawiała w danym razie uczniów do odegrania komedji; *Odprawę posłów* przedstawiali panicze — nigdy nie wyrobiła się stała tradycja, scena, aktorowie; każdy zaczynał na nowo. Wystarczały poniekąd jasełka, jeszcze do kościoła przyczepione, i figury Ukrzyżowania, połączone ze zrzucaniem Judasza — ale to mimiczne przedstawienia, nie teatr. Wkońcu zastępowały marjonetki (łątki) jakiś teatr; obchodził z niemi grajek dworki i miasteczka, ku uciesze dziatwy i ludku. Nieproduktywność słowiańska na żadnem polu literackiem nie okazywała się tak jawnie, jak na tem: mały Dubrownik (Raguza), miasto-rzeczpospolita tylko, ale żyjące całkiem włoskim trybem, miało nierównie obfitszą literaturę dramatyczną, niż cała wielka Polska wraz z Słowiańszczyzną.

Wobec takiego niedoboru na polu dramatu i teatru należy zaznaczyć wszechstronną zabiegliwość genjalnego kanclerza, Jana Zamoyskiego (zob. wyżej). Gdy w pierwszej połowie wieku słyszymy o przedstawieniach wobec Zygmunta I (za Augusta żadnych nie było!), to zbiera się w ostatniem ćwierćwieczu całe zajęcie dramatem około Zamoyskiego i Zamoyszczyków. Gdy np. Zygmunt III r. 1592 przy uroczystościach weselnych na balach dworskich tylko widowiska raczej mimiczne ze śpiewami i kapelą urządzał, śród których trzej włoscy błaznowie *(zanni)* farsy włoskie krótkie odgrywali, wystarał się Zamoyski na swoje przenosiny z Katarzyną Radziwiłłówną r. 1578 o całkowitą sztukę klasyczną, ową *Odprawę*. Bynajmniej nie jakoby poecie sam poddał temat «polityczny» nieco, ani Kochanowski jakieś polityczne żywił zamiary (co Heidenstein przeciwnie twierdził, było mylne, jak i tytuł on pomieszał: *Odprawę* z *Orfeuszem)*, o czem sztuka humanistyczna (chybaby o przymierze przeciw Turkom chodziło) nigdy nie myślała; były dydaktyczne tendencje przeciw zepsuciu młodzieży, ale Kochanowski je stale uprawiał. Dalsze sztuki, oryginalne Szymonowica (acz mało udałe) i przekłady pochodzą, z wyjątkiem *Troad*, od ludzi kanclerzowych, nawet zaufanych sekretarzy, jak Ciekliński: jak jego *Potrójnego* witano w kółku Zamoyszczyków, dowodziły wiersze przyjaciół, śród których najciekawszy innego powiernika kanclerzowego, Średzińskiego, co Cieklińskiego porównał z dawnymi komikami polskimi, którzy pisali:

Na jeden dzień wielu lat dzieje zgromadziwszy,
O rzeczy i podanie ich kształtne nie dbając,
Osób i zapędów serc wyrazu chybiając.
Własnych słów, gładkiej mowy i w żartach wdzięczności

Do mowy pospolitej wierszów podobności
Nie patrząc...

O kim to mowa? Moralitet Bielskiego starego i Rejowe trudno w owe «komiki» wliczać. Cieklińśki nierównie ostrzej niż Kochanowski spółczesnym docinał, u niego utratnik powiada:

Będę umiał z inszymi mówić na sejmiku,
Że drugim pójdzie w pięty... i posłem zostanę,
Muszą mi przecież co dać, choć z niedobrej woli!

Niestety, i te starania Zamoyskiego i kółka jego nie znalazły odgłosu, i raczej zamożni mieszczanie, nie szlachta, smakowali w komedjach (świadectwo Klonowica).

Jeszcze bardziej niż dramat zawiodła epika, szczyt marzeń poetów renesansowych; nikt nie napisał *Eneidy*, jeden ją niedobrze przetłumaczył (z tłumaczenia *Georgik* ocalał tylko *Pasiecznik)*. Brak dramatu tłumaczyły zewnętrzne okoliczności, jemu nie sprzyjające; braku epiki inna przyczyna: młodość tej literatury bez tradycji, a rozmach epicki wymagał przygotowania, uprawy; miałaż i *Eneida* poprzedników. Górnicki o Grunwaldzie myślał, a nie wzniósł się ponad «baladę», okaz drobnej, minjaturowej epiki; szerokiego tchnienia epicznego i sam pokojowy czas i tryb, wiedzący o wewnętrznych, nie o zewnętrznych walkach, nie budził; Kochanowski sił próbował, ale nie dopisały; literatury Zachodu miały za sobą setki epopei, polska ani jednej, więc nie dziw, że w epoce Ariosta i Tassa (a o Ariośćie słyszał pewnie w Padwie Kochanowski) nic się im w Polsce nie odezwało, bo przewierszowania nowelek biblijnych czy mitologicznych, albo relacje wierszowane o sejmie Unji czy o *Jeździe do Moskwy* nie w słońcu *Orlanda* czy *Jerozolimy* wyrosły.

Całą kulturę poetycką XVI wieku mierzymy więc Kochanowskim, ale jakżeż wysoko wystrzelił on ponad spółczesnych; przecie i żaden z późniejszych aż do XIX wieku mu nie dorównał. Bez tradycji i wzorów (chyba obcych) stworzył poezję; wiersze i bez niego klecono, ale w nim jednozgodnie (on rzadki

tego przykład) mistrza niezrównanego uznano i od pokolenia do pokolenia rosła jego sława. W czem jego zasługa? na czem polegała jego poezja? Już przed nim umiał Rej postaci swe charakteryzować; miny zgranego gracza wystawił on nie gorzej niż Kochanowski minę Fiedora przegrywającego stawkę, a na wydanie uczuć religijnych i przed nim się silono. Ale nikt przed Kochanowskim nie posiadał tej wysokiej kultury artystycznej, jaka się u niego niby cudem objawiła. Nabył jej w obcowaniu z antykiem i renesansem, na ziemi włoskiej, dokąd tylko jej zadatki z sobą przywiózł, które tu dojrzały i wyszlachetniały. Rej, który z Polski (dosłownie i przenośnie) ani nosa nie wytknął, był oryginalnym, nawet gdy Palingenjusza parodjował; ależ i Kochanowskiego z żadnym Włochem ani Rzymianinem niepodobna pomieszać; szczery to Polak, choćby pozory łudziły. Klasykowi uczucia religijne były obce, ale Kochanowski chrześcijanin (nie katolik) wierzący, najwyżej się wzniósł, gdy temu uczuciu, zrzuciwszy więzy klasyczne, z serca pofolgował. Natura pogodna, łagodna, poważna, a mimo to do śmiechów i żartów zamłodu skłonna, których granicę szerzej niż my posuwał; słów nie skąpił, ale wielomownym nie bywał nigdy uczeń Horacego; głęboko myślał, rzewnie czuł i jasno się wyrażał. Umiar zachowywał znakomicie; takt jakiś przyrodzony wodził jego językiem, w którym nie znajdziesz solecyzmów Rejowych; ten język ani archaizuje, ani dziwaczy: szlachetny, z drogiego kruszcu ulany, rozbrzmiewał donośnie a błyszczał świetnie, bo był to po raz pierwszy język poetycki; treści dobranej odpowiadała forma poprawna; spółczesnych poraził, późniejszym imponował; tchnienie wielkiej sztuki biło z kart jego. I obok wielkiego obywatela, Zamoyskiego, stanął godnie wielki poeta; nie ich wina, że z ich zgonem zapadł się wiek złoty; nikt już po Bekwarku lutni nie uchwycił.

JĘZYK

Odmieniły się w ciągu wieku nietylko styl i forma (ileż np. w poezji nowych miar wprowadził Kochanowski; pojawiły się między innemi i tercyna i sonet w francuskim i włoskim układzie), ale i sam język. Język złotego wieku pozbył się i w potocznem używaniu i w literaturze dawnego słownictwa w znacznej mierze; liczne słowa rodzime, prasłowiańskie, i obce, niemieckie, ulotniły się prawie już w pierwszej jego połowie. Zubożał przez to język co do wielu wyrazów, znanych jeszcze w XV wieku; pożegnał się z niemi na zawsze, nieraz bez śladu. Np. *golemy* 'wielki': *spodziewalić się naszy golemszej* (większej) *gromady* było jeszcze w *Pogromie Lewartowskim; czędo* 'dziecię' (ocalałe w wyrazie *szczątek* 'potomstwo'). użył jeszcze jezuita w polemice; prasłowo dla konia, *orz,* zapomniano doszczętnie,[1] podobnie *szłom* 'hełm', *podźbiega* 'żona napędzona', *chąźba* 'złodziejstwo', *snębić* 'zaślubiać', *skomroszny* 'rozpustny' i tyle, tyle innych. Reja język obfituje nieco w przestarzałe czy narzeczowe słowa, *derdołkowie, wsrokoczywy, sklabiony* i t. p., ale język Kochanowskiego zupełnie od nich wolny, jedyne może *skutniejszy* 'skuteczniejszy', 'smaczniejszy', się wyróżnia. W czasowaniu jeszcze u Reja borykały się formy na *-chmy* z poprawniejszemi na *-śmy: mychmy* i t. p.; liczby podwójnej częściej, niż my, używali; z przysłówków wychodziło *toczuż* 'to jest', *ciem* 'bowiem' i in. powoli z obiegu.

Sam język literacki odżegnywał się od wszelkich prowin-

[1] Ocalał do dziś tylko w nazwie dwu dopływów Narwi, *Orz* i *Orzyc* (t. j. mały koń; pierwiastek tego słowa ten sam, co w *orzeł*); nazwy te może mitologją trącą, są takie same jak *Wieprz* lub *Swinia* (podczas gdy *Bobr* lub *Biebrza* od licznych bobrów wprost nazwane); właśnie zacofane Mazowsze ma takie antyki, jak *cędo* i *orz* i tyle innych. Natomiast dla *Rawy* (stąd i nazwa herbowa dalsza *Rawicz,* zamiast *Rawic*?) już tylko poza Polską znaczenie potoku istnieje.

cjalizmów, np. od mazurzenia, i jak najmylniej pomawiano go w XX wieku o taką niechlujność, opierając się na rymach *nocy* i *oczy* i t. p. (niby mazurskie ocy!), ale to nie prowincjalizm, lecz odwieczna licencja poetycka, i u Czechów (którym się o jakiemś mazurzeniu nigdy ani śniło) uchodząca; nas taki rym razi, dawniej nikogo, szczególniej w piśmie, gdzie niegdyś *c* i *cz* przez jedno *cz* pisano. «Poprawność» języka Kochanowskiego nadzwyczajna — że go dzisiejsi wydawcy często nie rozumieją, nie jego wina, boć 350 lat nie minęło bez śladu; *prawie* znaczy nam dziś *omal,* Kochanowskiemu *zupełnie; pry* 'mówi' w przytaczaniu obcych słów nam dziwne, i t. d. Język pisarzy Zygmuntowskich prawdziwie złoty. Wydoskonalił szczególnie budowę zdania, która dawniej bardzo szwankowała, krótkością się przeważnie ratowała; teraz budowali okresy iście cycerońskie.

Nie dziwi nas więc, że Rej, wedle własnego zeznania, pierwsze polskie książki (Biernatowe, Wolskiego i in.) ledwie rozumiał: tak nagłym i stanowczym był postęp, szczególnie w Krakowie, gdzie u dworu, w kapitule, uniwersytecie, zborze, na rynku, wypolerowała się polszczyzna. *Postyla* Rejowa, *Kazania Sejmowe,* dialogi Orzechowskiego i Solikowskiego, wiersze Grochowskiego — żeby ich językowi 350 lat minęło, trudno aż wierzyć. Górnicki i in. bywają dla dzisiejszego czytelnika czasami mniej przystępni, razi go ich *acz nic* 'przynajmniej', *na imię* 'mianowicie' i t. p., niejedno słowo stare czy miejscowe, *tecz, mietelnik;* Klonowic na ziemi lubelskiej rusyzmów także nie skąpił, umyślnie, inni znów czechizmów, nieraz dla żartu (np. Kochanowski), używali; wypowiadano wojnę dawnym germanizmom, np. *frywołty, gasa, wardęga, bulga* (w Wieliczce ocalała), *szyndować* 'rozbijać', *gweśny* 'pewny' (wszystko u Leopolity jeszcze) i wszelakim terminom miejskim *(fołdrować, gwar, wet, rumrycht* i t. d.). Już zaczynało dawne bogate słownictwo pokrewieństwa ustępować, *surzego* 'szwagra' już do Mazurów odsyłano, ale *dziewierze, świeści, jątrewki, zołwice* jeszcze

się odzywały, gdy o *nieci* i *nieścierzy* dawno zapomniano. Już się zgłaszały pierwsze rusyzmy, np. *siolo,* zamiast *siodla (sielski, sielanka,* do tego), *prasol* (już dawniejszy), ba, i pierwsza tatarszczyzna, *bachmat, jasyr, cymbory* i in. Nierównie więcej dawała węgierszczyzna (dla stroju, żołnierza); szczególnie zaś zalewała włoszczyzna ogrody, muzykę, stajnie. Czasem ozywało się w jakim zakątku jeszcze staropolskie *justro* obok *jutra* i t. p., ale to wyjątki; język nabierał jednolitości nadzwyczajnej i niebawem wyśmieje Mazur Grochowski Mazura pruskiego, że śmie używać narzeczowych słów, którychby się nawet Mazur powstydził; prowincjalizmy wyszły stanowczo z mody; wyłowimy je czasem u jakiegoś pastora, np. u Glicnera, ale polszczyzna arjańska świetna, z wyjątkiem Budnego, który szczególnie w przekładzie biblji wyrazami słowiańskiemi (cerkiewnemi) narabiał. Pod piórem Kochanowskiego szczególniej wyszlachetniał język, i słusznie podziwiali go spółcześni, trawestując, co Karol V o hiszpańskim powiedział («bogowieby nim mówili!»).

BIBLJOGRAFJA

Dziejom literackim złotego wieku poświęciły wszelkie dawne i nowe «Historje literatury polskiej» obszerne rozdziały; z dawnych zachowały do dziś dzieła Wiszniewskiego i Maciejowskiego dla obfitości materjału walne znaczenie; Maciejowski uwzględniał jednak wyłącznie literaturę w języku narodowym, Wiszniewski całą łacińsko-polską; *Historja* Ign. Chrzanowskiego (wydanie dziesiąte 1930) połączyła historję z wypisami. Z wydawnictw zbiorowych wypada wymienić pięć tomów *Corpus antiquissimorum poëtarum Poloniae latinorum* Pol. Akademji Umiej., zawierające wiersze Krzyckiego, Husowczyka, Pawła z Krosna, Jana z Wiślicy, Rojzjusza. Z wydań luźnych wyróżniło się warszawskie jubileuszowe dzieł J. Kochanowskiego, cztery spore tomy (1884 i n.), dalej Górnickiego w Bibljotece najcelniejszych utworów (Warszawa 1886); Skargi (dotąd nie dokończone). Z akademickiej Bibljoteki Pisarzów Polskich należą tu najliczniejsze numery, wiersze owego «anonima» (Otwinowskiego), Szarzyńskiego (niesłusznie podano w wątpliwość jego autorstwo erotyków i wierszy w rękopisie Zamoyskich), Orzechowskiego, *Historji w Landzie* (niesłusznie Rejowi przypisanej), beletrystyki ludowej *(Poncjana, Historyj Rzymskich* itd.), Reja *(Kupiec; Zwierzyniec; Rozprawa; Józef)* itd.; kilka numerów (Bielskiego i in.) ma także i Bibljoteka zapomnianych poetów Wierzbowskiego; pomijamy dawniejsze. Monografij posiadamy liczbę pokaźną; najwięcej poświęcono Kochanowskiemu, szczególniej w lata jubileuszowe 1884 i 1930 (St. Windakiewicza krótki ale nader treściwy i piękny zarys 1929 r. na osobliwszą wzmiankę zasłużył); dalej Ł. Górnickiemu (Ign. Kozielewski, *Ł. G., studjum historyczno-literackie,* Lwów 1929); M. Bielskiemu (Ign. Chrzanowskiego dzieło o nim, w wydaniu osobnem); Rejowi (liczne studja, a w r. jubileuszowym 1905 r. wydawnictwo zbiorowe *Z wieku M. Reja);* L. Bernackiego studja o *Marcholcie* i *Najdawniejszej książce polskiej* (Hortulus); St. Tarnowskiego *Pisarze polityczni polscy XVI wieku;* W. Hahna *Literatura dramatyczna w Polsce XVI wieku; Pamiętnik literacki* lwowski we wszystkich 28 tomach; pisma wydawane na uczczenie pamięci uczonych pracowników (Dobrzyckiego, Tretiaka, Tarnowskiego i t. d.).

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ŻYCIE ARTYSTYCZNE

Muzyka. — Architektura. — Rzeźbiarstwo. — Malarstwo.

MUZYKA

Jedyna to z sztuk pięknych, której uprawa, stała i obfita, w ciągu wieku oryginalną twórczość wydała, gdy się w innych sztukach pięknych poza wpływy obce i ich nikłe naśladownictwo nie wyszło. Muzyce hołdował najgorliwiej w wieku XV Kraków, mieszczaństwo, mniej dwór, najmniej uniwersytet, gdzie nawet wykłady o muzyce, t. j. objaśnienia Boetiusa i paru przestarzałych traktatów, niezawsze dochodziły. Także w XVI wieku teorji muzyki na uniwersytecie lepiej nie dawano, a podręczniki drukowane w Krakowie, obce i domowe (np. Sebastjana z Felsztyna diecezji przemyskiej), elementarnych wymagań nie przekraczały. Teoretyków więc nie było, ale kompozytorów nie brakło, a wykonawców, swoich i obcych, z powodu ich mnogości, nawet wyliczać trudno. W Krakowie tworzyli cech osobny, dla którego ustawę, obowiązującą już oddawna, Zygmunt August r. 1549 na nowo potwierdził; ustawa obracała się w zwykłych ramach (o poddawaniu się prawom miejskim, wpisie do cechu, udziale w nabożeństwach i wkładkach i t. d.), z jednym charakterystycznym wyjątkiem: gdyby cechowy instrumentalista grał żydom na weselach ich lub ucztach, za pierwszym razem poniesie winę trzech kamieni wosku, a za trzecim go z cechu wyrzucą; ustawa nie obejmowała kapeli pańskich; kaplica cechowa była u franciszkanów.

Nierównie znaczniejszą rolę odegrał dwór królewski, bo im mniej Jagiellonowie literaturze służyli, tem więcej w mu-

zyce się kochali; od Jana Olbrachta i Aleksandra ciągnie się nieprzerwana tradycja i ofiarność królewska dla instrumentalistów nadwornej kapeli. Potwierdzają to i świadectwa obce: kompozytor saski, Herman Finck, dedykując Górkom swoją *Practica Musica* r. 1556, wyrażał wdzięczność i cześć narodowi polskiemu, bo dziad jego (stryjeczny, Henryk Finck, najznakomitszy kompozytor niemiecki) «dzięki wspaniałomyślności króla Olbrachta i jego braci do tak wysokiej w sztuce doszedł doskonałości». Jeżeli chłodny z temperamentu Zygmunt I miał ogółem jaką trwałą namiętność, to chyba do muzyki, i w rachunkach dworskich królewicza, jakie ochmistrz jego Krzysztof Szydłowiecki prowadził, coraz napotykamy podarki dla piszczków, trębaczy, bębnistów, lutnistów, dla wszelakich grajków i tancerzy, co «krzepczyli» ówczesne tańce, np. moryską, cejnary i in.; miał Rusina Czuryłę, niby bandurzystę swego (ruskich śpiewaków nigdy u Jagiellonów nie brakło), i gdy bawił w Krakowie w domu Bara przez czas dłuższy, nachodzili go stale, przy obiedzie i wieczerzy, obok muzykantów krakowskich wszelacy inni, trębacze kardynała (Fryderyka), ks. Konrada mazowieckiego, biskupa płockiego (Ciołka), kapela królewska, jazłowiecka (bo każdy pan miewał swoją kapelę) i inne. Stary jego klawicymbalista Marek, gdy się w lutnistę przedzierzgnął (1504 r.), znacznie swą płacę polepszył i mógł się zrównać z Wirowskim, mistrzem na *virginale* (rodzaj fortepianu). Kapelę króla Aleksandra znamy poimiennie: trębacz Jan Bojarzyn (któremu już Olbracht nadał folwark Andryszki pod Sandomierzem) i in.; ulubieńcem króla był Miklasz Ciele z Krzywian, który 1505 r. pensję dożywotnią otrzymał.

Z Boną, tancerką i lutnistką, przywędrowali muzycy włoscy, Gaëtani, dyrektor kapeli dworskiej, czem po nim ks. Wierzbkowski, słynny śpiewak, został; Jan Balli i in. Roku 1520 wysłał król piszczka Muchę do Niemiec, aby skompletował kapelę. Rok 1543 zaznaczył się, jak w literaturze, tak i w muzyce, doniosłym czynem: król ustanowił przy kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu kolegjum śpiewaków, chór, z dyrektorem-proboszczem, z dziewięciu śpiewakami-kapelanami i jednym klerykiem, nazwane rorantystami (od śpiewu na Roratach); bogato je ufundował (fundację powiększyła między innymi córka Anna), a ci rorantyści przypominają — na znacznie mniejszą skalę — śpiewaków kaplicy Sykstyńskiej; z ich grona wyszli celni kompozytorowie; oni uczyli systematycznie pacholęta w chórze śpiewu. Obok nich utrzymywali obaj Zygmunci znakomitą kapelę dworską, do której należał przez lat ośmnaście najsłynniejszy lutnista swego czasu, Walenty Bakfark (Niemiec siedmiogrodzki, uwieczniony i w przysłowiu polskiem; wydał w Krakowie u Łazarza r. 1565 i królowi, najdobroczynniejszemu patronowi wszystkich muzyków, poświęcił tom I *Harmonij muzycznych*). Każdy biskup i magnat utrzymywał kapelę, Rejowa np. produkowała się na Nowy Rok przed Zygmuntem I i otrzymała kolędę; kogo na to nie stało, przynajmniej lutnię w domu chował, nieodstępnego towarzysza myśli smętnych i wesołych. Reformacja na polu muzyki instrumentalnej nie wywarła u nas wpływu, tem większy w muzyce wokalnej, bo pielęgnowała najusilniej śpiew gminy — chorał, za wzorem niemieckim; ona go nie stworzyła, bo już w latach trzydziestych wychodziły w Krakowie luźne pieśni katolickie (innych nie było jeszcze) z nutami, ale od reformacji pojawiają się całe ich zbiorki przy katechizmach różnowierczych albo w osobnych «kancjonałach», krakowskich, wileńskich i in., którym katolicy dopiero później przeciwstawili *Harfę duchowną* jezuity Laterny (ofiary prześladowania szwedzkiego), powtarzaną w coraz nowych wydaniach.

Kompozycyj polskich z pierwszej połowy wieku ocalało mało, między innemi msza, kilka hymnów i chórów owego Sebastjana z Felsztyna, nie wychodzące ponad zwykłą robotę cechową, bez rysów indywidualnych, trzymające się melodji gre-

gorjańskiej niewolniczo. Nierównie ciekawsze rzeczy, bo i świeckie, zawierają dwie tabulatury na organy, jedna z r. 1540 mnicha-organisty Jana z Lublina, u kanoników regularnych w Kraśniku, druga z r. 1548 z klasztoru św. Ducha w Krakowie. Przechowały one wszelakie kompozycje, między innemi trzy owego Henryka Fincka, «którego *ingenium* za młodości w Polsce wykształcono, a później hojnością królewską ozdobiono»; dalej kompozycje mistrzów flamandzkich, francuskich i włoskich, a co najważniejsze, kilkanaście jakiegoś bliżej nieznanego Mikołaja z Krakowa: czternaście z muzyki kościelnej (między niemi motet-pieśń z legendy o św. Stanisławie, drugiej jej zwrotki, i parafraza pieśni 'Nasz Zbawiciel'), dalej jedna pieśń świecka (madrygał), której tekstu tylko wiersz pierwszy ocalał: «Aleć nade mną Wenus», i wszelakie tańce, obce i nasze, Hajducki; dwa dają pierwsze wiersze piosenki, *Zakłółam się tarnem* (cierniem) i *Idzie szewczyk po ulicy szydełka niosąc,* co więc zbogacają nasz nikły repertuar pieśni tego wieku (przed Rejem i Kochanowskim).

Dopiero druga połowa wieku zebrała plony z dawniejszego posiewu, do którego się i grecysta krakowski, Jerzy Liban, zarówno pisemkiem *O chwale muzyki mowa do uczących się jej* (1528), jak i teoretycznemi podręcznikami przyczyniał. Do kapeli królewskiej przyjęto młodziutkiego Wacława Szamotulczyka r. 1547, pozostał w niej do 1555, poczem z rachunków podskarbiowskich znika; zachowały się po nim motety, pieśni, psalmy, *Lamenty Jeremiaszowe* (w jednym głosie, nie w czterech, jak na tytule zapowiedziano, z r. 1553); motet *In te Domine speravi,* to pierwszy utwór polski, drukowany zagranicą w IV-ym tomie *Wybranych Psalmów* (Norymberga 1554); drugi, *Ego sum pastor bonus,* dali ci sami nakładcy w zbiorze *Thesaurus harmonicus* z r. 1563; bibljoteka rorantystów (?) posiadała, wedle inwentarza po śmierci «kleryka» Jurka Jasińczyca (Zygmunt August nazywa go stale 'nasz kleryka' i ściąga go nawet do

Knyszyna), dyrektora kapeli krakowskiej, mszę jego na 8 głosów; sam ceniony jako kompozytor «wysokiego stylu, głębokiej powagi i wzorowej konstrukcji», nie miał jednak głosu, co wtedy najwyżej ceniono; leczenia, na które i król go zasilał, może nie skutkowały, i może dlatego z kapeli się usunął. Zostały po nim i melodje do psalmów i pieśni, umieszczane także po kancjonałach protestanckich, ale te nie wyróżniają się niczem śród powodzi ówczesnych pieśni nabożnych, jedno- lub wielogłosowych, najprostszej techniki. Starowolski, niemal jedyne nasze źródło biograficzne muzyków polskich, sławił go nadzwyczaj, lecz dodał, że spółcześni niemal wszyscy go nie zrozumieli, nie odpowiadał bowiem pospolitemu smakowi.

I drugiego, nierównie większego, to samo spotkało. Mikołaj Gomółka wstąpił dzieckiem do służby dworskiej (1546 r.); król polecił go r. 1549 fistulatorowi (piszczkowi) Niemcowi, Hansowi Klausowi (który od r. 1530 do kapeli należał) na naukę; z rachunków skarbowych można śledzić jego bytność w kapeli dworskiej do r. 1563, poczem ją na zawsze opuścił, — kompozytor, nie wirtuoz, czynny może po dworach magnackich. U Łazarza w Krakowie wyszły r. 1580 *Melodiae na psałterz Polski przez Mikołaja Gomółkę uczynione,* dzieło, które pod względem muzycznym ma dorównywać poetyckim wartościom przekładu czarnoleskiego, ofiarowane temu samemu biskupowi krakowskiemu, Piotrowi Myszkowskiemu. Te melodje, na chór czterogłosowy napisane, «są łacniuchno uczynione, Prostakom nie zatrudnione, Nie dla Włochów, dla Polaków, Dla naszych prostych domaków» — twierdził Gomółka, co potwierdza muzykolog. Formalnie bliskie chorałom protestanckim, przewyższają je nieskończenie ciągłemi odmianami stylu, przystosowanemi do tekstu, wyrażającemi to żal i smutek i skruchę, to ufność i radość i tryumf. Z bogatego repertuaru kapeli królewskiej, skupiającego utwory całej muzykalnej Europy (niderlandzkiej i włoskiej przeważnie) swobodnie korzystał, pozostając zawsze sa-

mym sobą, w skromności założenia i formy, imponując mimo to siłą inwencji; odnachodzą w nim «duch muzyki ludowej»; brak mu wyższego wykształcenia teoretycznego, zato stworzył dzieło najoryginalniejsze, muzykę narodową polską, godząc rytmikę i formę niemal taneczną (ludową) z powagą i stylem religijnym. Ale i na nim się nie poznano, i wpływu żadnego nie wywarł, chociaż niektóre kolędy pomawiają o styl Gomółki.

Do kapeli królewskiej należał «Marcin organista» Zygmunta Augusta, ze Lwowa (Lwowczyk), o którym Starowolski entuzjastycznie twierdził, że do wszystkich pieśni kościelnych całego roku dorobił muzykę, «że nikt w Europie, nie mówiąc o Polsce, chóralnej muzyki nie spoił lepiej z figuralną»; tabulatura organowa z końca XVI w. je zachowała, z kapeli królewskiej pochodząca (mieściła i rzeczy słynnego wirtuoza, Krzysztofa Claboni, muzyka czterech królów, który i do *Epinicion* Kochanowskiego z r. 1583 muzykę dorobił, mistrz-dyrektor kapeli). Posługiwał się Leopolita gotowemi melodjami kościelnemi chorału gregorjańskiego i ludowych pieśni nabożnych; od ścisłej imitacji początków uniezależniał się w dalszym przebiegu kompozycji. Mniej samodzielnym był dyrygent rorantystów, Krzysztof Bork; wyżej stanął inny rorantysta, ks. Tomasz Szadek, przechodzący od uświęconego wiekami, sztucznego aż nadto stylu polyfonicznego w skomplikowanych formach do prostoty i subjektywizmu, przebijających się w utworach charakteru ludowego. Mniej zostało po Marcinie Warteckim, co zbiegł z kapeli królewskiej (dwa motety).

Więcej niż reformacja zaważyli jezuici w rozwoju muzyki polskiej, bo starając się o okazałość obrzędową, dbali o orkiestry, urządzali szkoły śpiewaków i organistów, fundowali wspaniałe organy, dawali widowiska sceniczne z muzyką specjalnie do nich ułożoną; tragedja *Achab*, wystawiona w ich wspaniałem pułtuskiem kolegjum r. 1578, była wprawdzie słynnym utworem Hiszpana, ale jezuita Marcin Łaski, a może i sławiony

z swych pieśni łacińskich i polskich (?) jezuita Jan Brandt z Poznania są autorami wcale melodyjnych recytatywów i chórów po innych dialogach pułtuskich. A tak samo bywało po innych ich kolegjach.

Wszystko wymienione odnosiło się do muzyki kościelnej. W świeckiej zasłynął lutnista Wojciech Długoraj, Wojtaszek bandurzysta Samuela Zborowskiego, ulubieniec jego, który wykradł swemu panu listy Krzysztofa Zborowskiego i Zamoyskiemu oddał, co Samuel gardłem przypłacił; przyjęty z bardzo wysoką płacą do kapeli Batorego, wkońcu «uwolniony z dworu» (?). Jego *wilanelle* są w wydawnictwie Jana Bésarda, *Thesaurus harmonicus* (Kolonia 1603) i w rękopiśmiennej tabulaturze lutniowej lipskiej z r. 1619; w formach i charakterze swoich wdzięcznych kompozycyj uległ zupełnie wpływom włoskim.

Batory przejął kapelę Zygmuntowską; składało się na nią (np. r. 1583) dziesięciu kantorów, sześć pacholąt-dyszkancistów, sześć piszczków (fistulatorów), organista i skrzypek, kilku solistów, między nimi dyrektor kapeli, Krzysztof Klabon z Królewca, który 1565 r. z pacholąt między piszczków przechodził; Batory wysoko go cenił, nadał mu dobra Góry pod Wilnem, a miał on i kamienicę w Krakowie. Kapelą kierował Klabon z wielkim rygorem, pacholęta karząc chłostą, na towarzyszów nakładając karę pieniężną za byle spóźnienie lub pomylenie. Oprócz kapeli nadwornej miał Batory orkiestrę wojskową z dwunastu trębaczy i dwóch bębnistów, ich dyrektorem był Andrzej Dusza, służący od r. 1545 jako bębnista, później trębacz. Z rachunków skarbowych możnaby moc szczegółów o składzie tych i dawniejszych kapel wyczerpać.

Niejeden Polak odznaczał się i zagranicą nadzwyczajnem wirtuozostwem, np. Jakób Polak, pierwszy lutnista na dworze królewskim; już we wczesnej młodości przybył do Francji i umarł w Paryżu około r. 1605; grał najlepiej silnie podchmielony; w niemieckich i francuskich wydawnictwach muzykalnych

z lat 1615 i następnych są jego kompozycje dla tańców (galardy, kuranty, *volta polonica,* czy jego?, prototyp późniejszego mazurka, w Fuhrmanna *Testudo gallo-germanica* r. 1615). Tak wymieniono w r. 1555 w Stralzundzie czteru polskich skrzypków znakomitych, a inny Niemiec uwiódł dwu młodych Polaków, dobrych muzykantów. Kwitnęły w Krakowie również wyroby instrumentów muzycznych, np. pracownia lutnikarza Bartłomieja Kiejchera albo skrzypiec Marcina Groblica, dochowanych do dziś. Z samej muzyki świeckiej nic nie ocalało, «nie wiemy co grywali muzykanci miejscy, kiedy ktoś zażądał ich muzyki, ani też w jakich utworach popisywał się dworzanin na lutni».

Muzyka XVI wieku była jeszcze międzynarodową, t. j. nie kusiła się o cechy indywidualne albo narodowościowe; pierwsze ich przebłyski odnachodzą u Gomółki; zresztą stała w Polsce pod wpływem obcym, nie tak niemieckim, jak niderlandzkim i włoskim, ale doszła już do takiej doskonałości, że dorównywała obcej, znakomicie wyszkolona. Żadna inna gałąź sztuki nie stała w Polsce tak wysoko, jak właśnie muzyka, a o «tańcach polskich» (chociaż to termin może nieco konwencjonalny) słyszano w Niemczech już przy końcu tego wieku.

ARCHITEKTURA

Wiek szesnasty pokrył Polskę, zachodnią przeważnie, od Krakowa do Poznania i Chełmna, znakomitemi budowami renesansowemi włoskich budowniczych. Pożar w r. 1499 zniszczył zamek krakowski; nową wspaniałą budową kierował Włoch, Franciszek della Lore, a po jego śmierci, wedle jego planów może, Bartłomiej Berecci z Florencji, który między latami 1518 a 1530 stworzył i kaplicę Zygmuntowską na Wawelu, przeznaczoną na mauzoleum dla króla. Kaplica należy pod względem

proporcji i umieszczenia kopuły, pokrytej później przez Annę Jagiellonkę miedzianą łuską pozłoconą, do arcydzieł renesansu i wywołała wiele naśladowań (Tomickiego biskupa i in.); jak ta dla kościelnej, tak stał się zamek wzorem dla architektury świeckiej. Imponował dziedziniec z arkadami na dole i na obu piętrach, szczupłe a silne kolumny drugiego piętra dźwigają rzeźbiony pułap; ozdobne odrzwia i marmurowe schody prowadziły do wielkich sal, senatorskiej, marszałkowskiej, poselskiej (dla przyjmowania obcych posłów, później sejmowej; w suficie jej mieściło się 196 głów, snycerską robotą wykończonych i pomalowanych). Okazale i harmonijnie wyglądały okna i dachy. Zamek królewski podał wzór dla zamków pańskich (np. Krzysztofa Szydłowieckiego) i budowli mieszczańskich z obszernemi dziedzińcami, otoczonemi krużgankami na arkadach; nie brakło dawnych gotyckich motywów w ozdobach okien i drzwi. Znakomitym wzorem budowli miejskich były Sukiennice krakowskie, które przebudował Jan Marja Padovano; spadzistość dachu zakrywała attyka, rozczłonkowana arkadami, aby dostroić całość do wymaganej przez renesans linji horyzontalnej; albo ratusz poznański, wybudowany około r. 1550 przez Giovanniego Battista di Quadro di Lugano, z loggiami i wieżą renesansową (nie strzelistą gotycką), z wspaniałą salą przyjęć z dekoracją stjukową. Podobnych ratuszów, acz mniejszych rozmiarami, jest więcej; najpiękniejszy między niemi w Chełmnie na Pomorzu, wzniesiony między latami 1567—1597, łączący motywy odrodzenia z późnym gotykiem (pomorskim). Wiele znakomitych budowli zaginęło, np. pyszny pałac Górków w Poznaniu, albo zamek tęczyński; ocalał baranowski, a w luźnych budowlach aż na wschodzie, np. w synagodze żółkiewskiej albo w bramach i wieżach w Ostrogu na Wołyniu, utrwaliły się cechy renesansowe.

Nawet w mniejszych miastach budowali miejscowi murarze wygodne domy o pięknej fasadzie z podcieniami; facjatę zdobiły rzeźby albo sgraffita; ozdobę każdego domu stanowił

portal z gzymsem na kolumnach, z napisami na gzymsie, z godłami rzeźbionemi. Najwybitniejszym architektą Polakiem był krakowianin Gabrjel Słoński (1520—1598); kształcił się u Antoniego de Fiesole, pracującego w Polsce, i z jego córką się ożenił; wybudował szereg domów krakowskich z pięknemi portalami.

Architektura renesansowa była niemal wyłącznie świecką, gdy kościelna w Polsce, a mianowicie drewniana, dalej formy późnego gotyku stosowała, nie bez pewnych ustępstw nowemu stylowi; hełmy wież przybierały formy kopuł, kościoły się rozszerzały i dostawały podcienia, które się nawet u miejskich drewnianych domów pojawiały, także u zajazdów i spichlerzy. Z budowli drewnianych należy się osobna wzmianka drewnianemu mostowi warszawskiemu, wykonanemu przez Zygmunta Augusta (Kochanowski uczcił to kilku fraszkami) na kratach, zniesionemu r. 1603 przez krę lodową; był długi na 1050 stóp i uchodził za cud świata.

RZEŹBIARSTWO

Pierwszą znakomitą rzeźbą włoską był grobowiec króla Jana Olbrachta na Wawelu: płyta z postacią królewską jest gotycką, ale nyża, niby łuk tryumfalny pokryty rzeźbą, już renesansowa; bogata dekoracja (owoce, rogi obfitości, zbroje i t. d.) była dobrze obmyślaną. Nierównie wspanialszą jest ornamentacja roślinna i rzeźba figuralna we wnętrzu kaplicy Zygmuntowskiej, płaskorzeźby, groteski (aż nadto nieraz «klasyczne», t. j. nagie) i arabeski, dłóta Giovanniego Cini, pracującego w Krakowie z Włochami i kamieniarzami miejscowymi od roku 1519—1564, twórcy wielu grobowców na Wawelu (Konarskiego, Chojeńskiego), w Poznaniu (Lubrańskiego) i Gnieźnie (Krzyckiego) i in. Grobowce w kaplicy Zygmuntowskiej i posągi św. Zygmunta, Florjana i Wacława . tamże wykonał inny Włoch, Jan Maria Fabruzzi Mosca (albo Padovano, od miejsca urodzenia); wezwany z Padwy przez Zygmunta około r. 1530, tu do śmierci pracował (r. 1574); wykonał też Padovano liczne inne grobowce, Tarnowskich, dla Barbary do Wilna, Tomickiego, Gamrata i in.; wystawił znakomite cyborja (najświetniejsze w kościele N. P. M.); był również medaljerem, wykonał r. 1532 medale rodziny królewskiej; ozdobił Sukiennicę attyką, często w Polsce naśladowaną.

Jak Słoński w architekturze, tak wybił się w rzeźbiarstwie nad pospolitych kamieniarzy Jan Michałowic z Urzędowa, rzeźbiarz grobowców biskupów krakowskich Zebrzydowskiego i Padniewskiego, poznańskiego Izdbieńskiego, arcybiskupa Uchańskiego, kaplicy krakowskiej Padniewskiego, kaplicy Tomickiego i in. Wszystkie te dzieła, to perły rzeźbiarstwa polskiego. Odlewano też w Polsce rzeźby w bronzie; najpiękniejsze, to płaskorzeźby w bronzie kaplicy Zygmuntowskiej (Madonna), albo wielkie płyty grobowcowe Seweryna Bonara, burgrabi krakowskiego i kasztelana bieckiego, i żony jego, Zofji Betmanówny, w kaplicy marjackiej, dzieło nadzwyczajnej powagi. Słynne były odlewy bronzowe wielkiego przemysłu, a więc dzwony (najsłynniejszy, największy «Zygmunt» krakowski, któremu i Rej oktawę poświęcił), dalej działa, kraty i inne.

W rzeźbie kamiennej panowali Włosi niepodzielnie, bo i kamieniarze miejscowi zupełnie ich naśladowali i ich renesans, gdy tymczasem w snycerstwie utrzymał się późny gotyk, Wit Stwosz i jego szkoła (z synem Stanisławem na czele). Przez cały wiek XVI powtarzały się po naszych kościołach, szczególnie wiejskich, dawne tryptyki (owe trójdzielne ołtarze z ruchomemi jeszcze lub nieruchomemi skrzydłami), a po tumach ozdabiał snycerz stalle kanoniczne rzeźbami bogatemi: stalle marjackie na zapleckach miały sceny z życia N. P. M., stalle pelplin-

skie (dzieło cystersa Szymona Lojsewica?) z życia Chrystusa; szczyty stall jeszcze osobno bogato ornamentowane. Realizm gotycki, Stwoszowy, ustępował powoli konwencjonalnemu pięknu (bez prawdy życiowej), patosowi i teatralności barokowej.

Wiek XVI obfitował także w znakomite okazy medaljerstwa, niemal wyłącznie włoskiej roboty; oprócz Padovana wyróżniali się Jan Jakób Caraglio z Werony, osiadły od r. 1539 na stałe w Polsce, ulubieniec Zygmunta Augusta (nobilitowany r. 1552), i wenecjanin Dominik; specjalnością Caraglia były też gemmy, w których się król tak kochał. Modelowano i bito medale dla rodziny królewskiej (od r. 1520, od urodzin Zygmunta Augusta) i dla wszelakich magnatów, Szydłowieckiego, Bonera i in. Medale wykonywano także zagranicą, np. Stefan van Holland dał serję medali Jagiellonów i ich małżonek r. 1561.

Rozkwit medaljerstwa odbił się dodatnio i na monecie polskiej. Artyści rzeźbili orła i popiersie króla na stemplach, i nietylko dukaty zygmuntowskie (od r. 1528), ale i trojaki i szóstaki okazałe były najpiękniejszemi monetami polskiemi. Pomijamy wyroby złotnicze, chociaż szczególniej poznańska familja złotnicza Kaminów już od XV wieku i przez cały XVI wysoko stała; Erazm Kamin wydawał nawet *Kunstbuchy*, t. j. wzory dla złotników: jeden z r. 1532, z polską sentencją na karcie tytułowej; księgę ze wzorami herbów poznańskich i in. z r. 1575; trzeci kunstbuch z r. 1592 wydał po śmierci Erazma brat jego, również złotnik.

Skarbiec Zygmunta Augusta przechowywał najkosztowniejsze zbiory królewskie; nuncjusz papieski, któremu je król pokryjomu ukazywał, opowiadał o nich, że było na stole szesnaście szkatułek z klejnotami, cztery po Bonie, cztery z własnego zakupna (w nich między innemi rubin, własność niegdyś Karola V, kupiony za 80.000 szkudów), reszta po przodkach, z kamieńmi drogiemi — skarb bogatszy niż wenecki czy papieski. Sreber było w skarbcu do 30.000 grzywien (= 150 cetnarów), wanny, zegary wielkie z posągami, organy, nalewki, tace, puhary pozłociste, jakie królowi ofiarowywali dostojnicy po mianowaniach na urzędy. Szpalery, arrasy Zygmuntowe, słynne z wykonania i wielkości. Ani skarbiec katedry krakowskiej, dla którego osobny przybytek, niby świątynię gotycką, biskup Jan Rzeszowski wybudował (szafy jego złocone i malowane sprawił kardynał Radziwiłł r. 1596), nie mógł się równać z temi bogactwami, chociaż posiadał niejeden wartościowy zabytek, np. między ornatami ornat z daru Piotra Kmity, który na krzyżu przedstawiał w siedmiu obrazach złotem haftowanych męczeństwo św. Stanisława (ósmy — portret Kmity).

MALARSTWO

Jesteśmy narazie całkiem w tradycjach XV wieku, bo dawne malarstwo minjaturowe dopiero z początkiem nowego wieku najwspanialej się rozwinęło. Najwyżej wzniósł się cysters mogilski, Stanisław z Krakowa, zmarły około r. 1540, zatrudniany przez dwór i biskupów. Dla Erazma Ciołka wykonał pontyfikał, t. j. ilustrował opis ceremonij kościelnych biskupów od koronacji królewskiej i in. Kodeks, pisany przez Baltazara Behema, notarjusza krakowskiego (zm. r. 1507), ozdobiono 27 minjaturami, które przedstawiają życie cechowe (herby, warsztaty, sklepy, z licznemi figurami rzemieślników, publiczności i t. d.);[1] skarb to nieoceniony dla historji kultury miejskiej, bo życie w pracowniach odmalowane z nadzwyczajnym, flamandzkim realizmem: wszystko gotowe sceny rodzajowe, proszące się

[1] Kodeks zawiera zbiór przywilejów miejskich i ustaw cechowych; niewykończony, wskutek nagłej śmierci Behema. Iluminator nieznany, zgadywano i owego Stanisława cystersa, dla podobieństwa stylowego. J. Ptaśnik (*Kwartalnik historyczny* 1930, str. 1—25) monogram *I I Z* odczytał jako *Illuminator Ioannes Zirnicski*, notarjusz Łaskiego (?).

o podpisanie tekstu, — czy u szewca, z panią szewcową przy kądzieli z olbrzymiem pudłem na głowie, z towarzyszem przymierzającym buciki i t. d., czy u hurtownika, co odbiera właśnie nadeszłe paki i bele, czy scena na celstacie (strzelnicy miejskiej), czy kram uliczny z kupcową i bosym kobzistą, i t. d. Cały szereg ksiąg liturgicznych (ewangeljarz biskupa Tomickiego i in.), modlitewników (Zygmunta I, Bony, Szydłowieckiego, Chojeńskiego, dziś w Anglji, Medjolanie, Monachjum), serje biskupów krakowskich i arcybiskupów gnieźnieńskich, serje familji Szydłowieckich, słynny przywilej dla kolegjaty opatowskiej i in., to dzieła jego ręki, którą nad innych malarzy sławił Tomicki. Wiele fantazji, humoru nawet, twórczości artystycznej, zupełnie świeckiej w kodeksie Behema, gdzie tylko tytułowy wizerunek (Ukrzyżowanie) religijny; wpływy renesansowe już widoczne.

Z cystersami zawodniczyli minjaturzyści dominikańscy; ich pracownią, gdzie odpisywano i zdobiono księgi liturgiczne, kierował brat Abraham, po nim Wiktoryn; stąd wyszedł czterotomowy antyfonarz gnieźnieński. Prawdopodobnie próbowali zakonnicy-minjaturzyści sił swych także w klasztornem malarstwie ściennem: u franciszkanów, dominikanów, augustjanów krakowskich, w Mogile, pokrywali oni krużganki, bibljoteki, refektarze albo ornamentacją albo portretami (słynne franciszkańskie) albo obrazami religijnemi, a nawet świeckiemi freskami, np. zwycięstwa nad Tatarami z r. 1513. Tu należą i polichromje dawnych kościołów, szczególniej drewnianych, ocalałe w Krużlowej i Libuszy (pod Bieczem), niegdyś i w Kozach na granicy śląskiej, w kościele św. Krzyża w Krakowie.

Zresztą górowały w malarstwie cechowem, które żadnego znakomitszego artysty nie wydało, wpływy i wzory niemieckie, przedstawiane nawet przez Niemców samych, którzy się w Krakowie osiedlali, jak Michał Lenz z Kitzingen na usługach biskupa Konarskiego, malujący na drzewie, Hans Dürer (młodszy brat Albrechta, jego uczeń i pomocnik), Hans Sues von

Kulmbach, obaj mistrze i w obrazach stalugowych. H. Dürer, w służbie Zygmunta I i Tomickiego (pyszny tegoż portret w krużganku franciszkańskim), osiedlił się na stałe w Krakowie i tu umarł r. 1538; był głównie dekoratorem i polichromował komnaty wawelskie fryzami (np. przedstawiającemi życie ludzkie lub turnieje) i ornamentacjami, popiersiami żywych osób i alegorjami na bogatem tle roślinnem, wszystko zręcznie skomponowane i pięknie kolorowane: stroje renesansowe, kształty ciała klasyczne, dowodzą wpływów włoskich. Najznaczniejszem dziełem dalszem jest ołtarz srebrny (wykonany wedle jego rysunków w Norymberdze przez Flötnera r. 1535) z malowanym tryptykiem o skrzydłach nieruchomych (Męki Pańskiej): szereg pięknych swobodnych postaci na tle krajobrazowem; wszystko wykonane z największą ścisłością, dziś jeszcze rysunkiem i kolorytem podobać się może. Wpływ jego na malarstwo cechowe, szczególniej na licznych dekoratorów ściennych, był widoczny.

Jak Dürer królowi, tak służył Kulmbach Bonarom. Uczeń Wolgemuta norymberski pracował w Krakowie od r. 1514—1518, stworzył kilkanaście obrazów, między niemi, dla polyptyku marjackiej kaplicy Bonarowej, scenę z życia św. Katarzyny i Jana Ewangelisty, cykle o ośmiu i pięciu obrazach, do których mu krakowscy mieszczanie i mieszczki pozowali. On jeszcze przed Dürerem wpłynął silnie na malarstwo cechowe, reprezentowane przez licznych mistrzów-Polaków, ale niesposób nam przydzielać nieliczne ocalałe obrazy poszczególnym mistrzom, co nie umieszczali (jak Kulmbach lub Dürer) swoich monogramów. Tak np. w kościele krakowskim św. Katarzyny jest tryptyk z scenami z życia św. Jana Jałmużnika; grupa żebraków, otaczających go w głównym środkowym obrazie, jest wykonana z realizmem niemal holandzkim (autora nie odgadniesz); podobnie ma się rzecz z tryptykiem (Wniebowzięcia) w kościele farnym szamotulskim i z innemi obrazami szamotul-

skiemi (Zwiastowanie, z małą figurką Górki i większą jego herbu; Anna Samotrzecia, z figurką wojewody Szamotulskiego).

Przez cały wiek wzbiera liczba portretów, średniowieczu niemal nieznanych; widoczna w nich szkoła niemiecka, w słynnym portrecie Benedykta z Koźmina, rektora krakowskiego, wpływ Holbeina znać się daje; imponują w nich stroje i kosztowności, oddawane z największą starannością, jakby dla nich portret tworzono; wyjątkowo spotykamy między niemi obraz jakiś włoskiego artysty, np. minjaturowy portret Zygmunta Augusta z r. 1570, na blasze.

W drugiej połowie wieku wybitnych artystów tej miary, co Kulmbach i Dürer, już nie spotykamy, roli czy Zygmunta I czy Bonara już nikt nie podejmował; jako portrecista Batorego i Zygmunta III występował Mikołaj Koeber z Wrocławia; malarz lwowski Jan Ziarnko (Körner) przeniósł się do Paryża i odznaczył tam jako rysownik i rytownik.

Zebrane tu z dzieł dyr. Feliksa Kopery szczegóły nie odzwierciedlają bynajmniej artystycznego blasku Polski szesnastowiecznej; czas, pożogi, rabunki i niedbałość poczyniły w samych zabytkach najstraszliwsze spustoszenia. Ileż to zamków, pałaców, zniszczało do cna; albo ich dla śmierci fundatora czy dla braku funduszów nie wykończono, albo, u wykończonych, zaczęła się ruina od dachów i okien, aż wkońcu ludność okoliczna rozebrała resztki na budowę własnych browarów czy domów. Z opisów tylko, swoich i obcych, możemy wnosić o pysznych budowlach ówczesnych, świetnych salach z malowidłami ściennemi, z arrasami flamandzkiemi, z wyrobami przemysłu artystycznego, robotami złotniczemi i ślusarskiemi. Pałace biskupie, np. Gamrata, Zebrzydowskiego, Padniewskiego (szczególnie), zawodniczyły co do przepychu z zamkami-pałacami Szydłowieckich (w Ćmielowie i Szydłowcu), Kmity (Wiśnicz), Tęczyńskich (Tęczyn i Kraśnik), Tarnowskich (Wewiórka), Górków, Ostrorogów, Ostrogskich — z czego wszystkiego chyba krótka wzmianka w pamiętnikarzu czy w liście jakimś pozostała. Przykład królewski, Wawel i kaplica Zygmuntowska, dawały wzory, ale te były właśnie odmienne: innym hołdował ojciec (Zygmunt I), innym syn.

Zygmunt pielęgnował sztukę monumentalną, architekturę i rzeźbę, i cała pierwsza połowa wieku jego naśladowała; monumentalną «budową» była i jego muzyczna, rorantystów; nierównie mniej zajmowało go malarstwo; zadowalał się niemieckiem, gdy do budowli i rzeźby Włochów sprowadzał. Zygmunt August przeciwnie — był obojętny dla sztuki wielkiej, był zawołanym kolekcjonerem, w guście Bony, kochał się w klejnotach (co wszystko dworzanie i «sokoły» wkońcu rozkradli), kameach i gemmach, zatrudniał niemi swoich Włochów (Caraglia przed innymi), i za przykładem królewskim ustawały w drugiej połowie wieku owe budowle monumentalne z pierwszej. Po nich obu ustał narazie impuls, bijący dotąd od dworu; druga połowa wieku znacznie od pierwszej uboższa, szczególniej w rzeźbie i malarstwie: uboższa co do wartości, nie co do ilości, gdyż warsztaty cechowe pracowały nieustannie. Ale brak dat ściślejszych; jest wiele portretów, Batorego, Anny Jagiellonki, nieraz imponujące starannem wykonaniem akcesoryj, jakby dla nich, nie dla osoby, malowane, przeważnie po zbiorach obcych, w Wiedniu, Norymberdze, we Włoszech, ale często nie wiemy nawet gdzie, tem bardziej przez kogo wykonane; ponieważ Koeber swego monogramu używał, trudno przypisywać jemu portrety jego szkoły, ale bez jego monogramu. Dawna polichromja ścian kościelnych, np. w krakowskim kościele św. Krzyża, albo i w katedrze wawelskiej, stale się powtarza wedle dawnego typu, wyjątkowo i w budowlach świeckich, np. w dworku szlacheckim z r. 1544 w Jeżowie na Podgórzu: ściany świetlic były pokryte (lub są dotąd) krajobrazami, wysokie drzewa, niskie

domki, rzeka z szkutami, — czy wszakże polichromja właśnie z tego samego roku, wolno wątpić. Są jej ślady i na domach krakowskich. — Na nich pojawiły się też pierwsze sgraffita polskie: na potynkowanem białem tle rysunek czarny, same kontury; był to świeży wynalazek.

BIBLJOGRAFJA

Patrz dzieła wymienione w tomie I, str. 323 i 625. Pozatem Feliksa Kopery *Malarstwo w Polsce od XVI do XVIII wieku (Renesans, Barok, Rokoko)*, Kraków 1926.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WPŁYWY OBCE. WNIOSKI OGÓLNE

Włochy. — Hiszpanja i Francja. — Niemcy. — Czesi i inni Słowianie. — Węgry. — Uwagi ogólne.

WŁOCHY

Z Włochami znano się od wieków; wyjazdy na studja, podróże rzymskie (a niegdyś i awiniońskie), przypływ legatów, komisarzy, sekretarzy papieskich, były tego podkładem; od XIV i XV wieku zjawiali się coraz liczniej kupcy, górnicy, awanturnicy, uczeni; dawniej raczej luźnie, od końca XV wieku masowo Wyjazdy do Włoch i inwazja włoska połączyła dziwnie oba kraje mimo wielkiej odległości ziemi a odmienności typu. Polak wzdychał do Włoch; one zdawały mu się jedynym krajem szlachetnych, naśladowania godnych obyczajów, środowiskiem nauki i sztuki, wzorem urządzania państwa i życia. Tu uczył się wytworniejszej towarzyskości, trzeźwości, mierności; oduczał się pijatyki, kosterstwa, żarłoctwa; tu przyjmował mody, tańce, muzykę; podziwiał przyrodę i sztukę, bił kornie czołem żywym wspomnieniom świata starożytnego, czy świętościom chrześcijańskim.

Trwał przez cały wiek ten nieprzeparty urok; wszystko, co włoskie, od stroju i mowy, od kapeli i kawalkatora, od towarów (bławatów, sukna) i wiktuałów (włoska ogrodowizna), do urządzenia służby i stołu — imponowało samem swojem pochodzeniem; każdy przywoził z Włoch coś więcej, ogładę, dworskość, wykwintność; przed «Włochem», Tomickim Piotrem, wstydził się kardynał Fryderyk sporych polskich kielichów, kazał je chować; od nich uczono się nawet skracać biesiady i mniej hołdo-

wać «materji». Przekonanie o wyższości Włochów było ogólne; oni nadawali ton w życiu, sztuce i nauce; Włochów powoływano na katedry; z Włoch sprowadzano budowniczych, rzeźbiarzy, medaljerów; wszelki zbytek, rękawiczki i perfumy, szkła i krezy, obrazy i serwety, sajany i facelety, dochodziły nas z Włoch. Jedni Włosi ściągali za sobą drugich, a rok 1518, kiedy w orszaku Bony około 280 Włochów i Włoszek wjechało do Krakowa i rozpanoszyło się na Wawelu, był niemal zwrotnym. Bona otaczała się najchętniej rodakami, chociaż, mądra, nie wyzywała zbyt ogółu nagłem, jawnem wysadzaniem swoich pupilów; żenili się panowie polscy w jej fraucymerze, te Włoszki dla połogu do Krakowa zapraszała w swej troskliwości; ona starała się dla swych Włochów o tłuste prebendy, poczem się, niewdzięczni, z kraju wynosili.

Wpływ był uszlachetniający, dobroczynny, dodatni; nie winą włoską stało się, że Zygmunt August najnieodpowiedniejszego Włocha za nauczyciela otrzymał; że niejeden inny Włoch (Stankar, Blandrata) w dziejach różnowierstwa najfatalniej się zapisał; że zachwycano się lekkością obyczajów włoskich, ale zapominano o twardym mundsztuku prawa, który hamował wybryki; co najgorsza, że nauki włoskie (wzory rządu, administracji, prawa) szły zupełnie w las. Jakież korzyści wynosiły jednostki? jak zdobywały wiedzę, nietylko prawniczą i lekarską, fachową, lecz jak się kształciły w tych samych humaniorach, dla których przecież i w Krakowie było miejsce? Co wogóle Nidecki czy Zamoyski, Kochanowski czy Górnicki (nasuwa się szereg nieskończony imion) wynieśli z Padwy i Bolonji? jak na nich oddziałali np. Petrarkiści, widowiska sceniczne, Włoszki o tym animuszu, którego Polkom brakło? Że się nie we wszystkiem zgadzały włoskie i polskie obyczaje; że niejedno rozumiało się we Włoszech, czego nie pochwalał albo nie pojmował Polak; że niejeden nauczył się lekceważyć wszystko polskie; że drugi zbytkom, rozpuście się tam oddał i tylko zdrowie i kieszeń zepsuwał, to w rachubę nie wchodziło. Nuncjusze i ich sekretarze godnie Rzym przedstawiali; za nimi roje kupców, przelotnie goszczących lub na stałe osiadających, co dali początek znanym z dziejów miejskich rodom, co urządzali pierwszą pocztę tygodniową (Montelupi w Krakowie); obok kupców lekarze, muzycy — całe słownictwo muzyczne włoskiemi terminami przesadzone świadczy o tem wymownie, od gorgów i rycwerków («strzępienia gardł») aż do nazw tańców i instrumentów. Nie w Niemczech, we Włoszech napatrzono się pochodów tryumfalnych, i naśladowano je w kraju, a przy końcu wieku już się zjawiały pierwsze przekłady albo naśladowania z włoskiego. Niewiele było dziedzin, w których wpływ włoski wcale się nie objawiał, np. wojskowość (choć bywali Włosi w polskiej służbie), gospodarstwo, dla zupełnie odmiennych klimatu i ziemi warunków. W polityce chroniono się raczej Włochów; «rady Kallimachowe», czy autentyczne czy zmyślone, odstraszały podejrzliwą szlachtę, która niewolę włoską trafnie oceniała, a własnego króla na poziomie doży weneckiego radaby widziała, która dawnego Rzymu z papieskim nigdy nie równała, dziedzictwa jakiegoś między niemi nie uznawała. Ależ i moralność włoska (renesansowa!) była bardzo podejrzana, nietylko płciowa (nigdy Polka nie rościła sobie praw do włoskiej «wolności»), ale i społeczna; włoskie zdrady, intrygi, mściwość (o truciźnie i sztylecie mowy w Polsce być nie mogło) odrażały synów Północy, mniej skrytych, szczerych, dobrotliwych. Brakło więc zupełnej harmonji; miał Polak we Włoszech co chwalić, ale i ganić; dodatnich wpływów było nierównie więcej; szkoła była dobra, a uczeń pojętny; najbardziej nęciła go swoboda i lekkość towarzyska, ogłada. Nie brakło jednak obok chórów pochwalnych (np. u Janicjusza) i głosów przeciwnych; tak sądził o włoskich drogach stary Bielski (r. 1566):

> Ale dziś leda szlachcic, by się też zastawić,
> Musimy się do tych Włoch, widzieć świat, wyprawić;

Już się wrócił do domu, przywiódł dwa dzianety,
Trzy tysiące czerwonych[1] wypadło z kalety.
Ali koń zwiesił głowę, chocia dzianet włoski —
Przetrwał go lichy rusak albo wałach polski...
Pierwejci tu tych Włochów nigdy nie bywało,
Franca, piżmo, sałata, z nimi to nastało.
Owe pludry opuchłe, pończoszki, mostardy,
Niedawno to tu przyniósł włoski naród hardy.

A podobnie, twierdził Górnicki: «z Włoch, powiem prawdę, więcej niektórzy złego przynoszą niż dobrego; nie przyniosą coby Koronie było zdrowe, ale to przyniosą, czego nie umieć zdrowiej było».

Wysokie ceny a towar nieraz lichy odstraszały od kupców włoskich; gniewano się, że Włoch, zbogaciwszy się, kraj rzucał; szydzono z włoskiej mierności i wstrzemięźliwości, ale uznawano wyższość włoskich «rozumów». Nie było jednak najmniejszej obawy, aby Polska «zwłoszała», bo w porównaniu z masą szlachty i mieszczaństwa kółka «włoskie» nadzwyczaj szczupláły: niższe warstwy nic o Włoszech nie wiedziały, a różnowierców sam Rzym od nich odstraszał. Ograniczały się więc wpływy i wzory włoskie do sfer wyższego towarzystwa, męskich wyłącznie: do niższych sfer i do kobiet dolatywały tylko słabe, całkiem zewnętrzne, jak je moda właśnie narzucała.

HISZPANJA I FRANCJA

Z Hiszpanją bezpośrednich stosunków, bezpośredniego wpływu kultury i literatury hiszpańskiej, tak silnej nawet i we Włoszech, nie było. Jednostki, od dyplomatów jak Dantyszek i biskup płocki Wolski począwszy, do podróżników jak Tęczyński lub Chodkiewicz, zaznajamiały się z trybem hiszpańskim, który im nierównie bardziej imponował niż włoski; po biskupie Wolskim (długoletnim rezydencie przy Filipie II) posiada do dziś książnica Jagiellońska znakomity zbiór dzieł hiszpańskich, jakiego we spółczesnych Niemczech niktby się nie doszukał. Z reguły jednak rozstrzygało pośrednictwo włoskie; co Jakób Górski, Paprocki i inni z hiszpańskiego tłumaczyli, poszło z przeróbek włoskich, ale jeszcze Chodkiewicz pod Chocimem r. 1621 odezwał się dumnie po hiszpańsku — nikt więcej po nim!

[1] dukatów.

Z Francją były nierównie ściślejsze stosunki; drogę do Paryża znano już od średniowiecza; były to stosunki dyplomatyczne raczej (obiór Walezego!), niż kulturalne; roli przyszłej Paryża jako pana świata nikt jeszcze nie przewidywał; przesłaniały go Włochy zupełnie. Ale już Kochanowski z podziwem Ronsarda wspominał (bo pełnił Ronsard we Francji rolę, jaką Kochanowski dla siebie w Polsce nakreślał), a anonim-protestant francuską piosnkę naśladował; filologom imponowali filologowie paryscy, co u Szymonowica widzimy. Ogółowi szlacheckiemu (mianowicie paniom) nie był Paryż jeszcze wyrocznią.

NIEMCY

Wobec nowych wpływów włoskich osłabły znacznie dawne niemieckie, objawiające się przeważnie po miastach. Jeszcze zaciągali się obcy przybysze w obywatelstwo miast zachodnich, w Krakowie, a szczególniej i w Poznaniu, ale coraz mniej było ich na wschodzie, np. we Lwowie; takie szeregi wychodźców, jakie w XV wieku wysyłają frankońskie czy szwabskie mieściny (Landau, Weissenburg), owych Bonarów, Betmanów, Decjuszów, Schillingów, już się nie pojawiały. Zniemczony Śląsk zaopatrywał Kraków w drukarzy, nauczycieli, poetów (łacińskich), lekarzy; Poznań utrzymywał ściśle stosunki z Frankfurtem i Lipskiem; górne miasta węgierskie z Sączem i Krakowem. Miasta niegdyś niemieckie polszczały nagle, t. j. proces dawno przygotowany występował jawnie, lecz tradycja przechowywała słownictwo

miejskie w radzie i sądzie, cechowe w rzemiosłach; ale znajomość niemczyzny, podtrzymywana na zachodzie, nad granicą marchijską i pruską, dla sąsiedztwa, widocznie ginęła, chociaż szlachta, nietylko wielkopolska, synów niemczyzny uczyć kazała. Co w XV wieku ogólnie używano, opadało teraz z miasta na wieś pobliską, albo ginęło zapomniane — przecież jeszcze biblja Leopolity obfitowała w germanizmy średniowieczne, których w drugiem jej wydaniu już niema; wyrazy jak *gasa, wardęga* i t. p. znalazły się, zamiast na chodniku miejskim, w kolędzie mazowieckiej, na śmiech układanej; żadnych nowych już nie przyjmowano.

Wzmógł się antagonizm narodowy; Habsburgów znienawidzono już dlatego, że Niemcy; raziła «Włochów» polskich nieokrzesaność, «grubość» niemiecka; zapominano o ich rządności, o wystawności ich kościołów i domów. Nawet reformacja, wytwór niemiecki, nie zgładziła nierówności; pociągały wprawdzie niemieckie nowinki, rosła nadzwyczaj popularność księcia Albrechta, ale wybitnie niemiecki luteranizm ustąpił nagle i doszczętnie kalwińSTWU o mniej typowym charakterze niemieckim; różnowierstwo potępiano później i tem, że je wiarą niemiecką zwano. Literatura niemiecka oddziałała tylko przez katechizmy i pieśń zborową; jak późno zjawiła się postyla Lutra po polsku! Na samym początku ruchu, do r. 1560, było kilka przekładów z niemieckiego, po r. 1560 już tylko Niemcy Polaków tłumaczyli. Popularną jednak beletrystykę, owe «Volksbuchy», oprócz *Marchołta, Historyj Rzymskich, Poncjana* i *Aleksandra,* z niemieckiego tłumaczono, a w *Facecjach* polskich nader wiele niemieckich; świeżo nawet dowiedziono, że *Peregrynacja Maćkowa* (1612 r.) przeważnie niemieckiemi wołkami orała; Hans Sachs w przeróbkach i tłumaczeniach się odzywał. Jakie na Polaku miejska kultura niemiecka wrażenie wywierała, dowodzą słowa księdza Piotrowskiego na widok Dorpatu:

«Mniejszy niż Toruń, kamienice wszystkie z szczerego muru (t. zn. nie z pruskiego), nakształt toruńskich; drewnianego domu żadnego niemasz, lecz cóż po tym, kiedy całego żadnego niemasz; wojna w niwecz obróciła, sklepy popsowano, izby one kosztowne połamano, kletki drewniane dymne naczyniono; trzeba wielkiej reformacji. Znać, że tu ludzie przedtem bogaci i rządni byli. Jeśli tu będą mieli nasi Polacy osiąść, wątpię, aby od wojny w gospodarstwie poprawić się mieli; trzebaby tu onych rzadkich niemieckich kupców, ja wątpię, byśmy z tem wiedzieli co rzec».

Znajomość języka niemieckiego była dosyć rozpowszechniona, szlachta posyłała dla niej synów chętnie do Brunsbergu; osobna rola przypadła Wiedniowi i Pradze Rudolfowej. Najwyższa arystokracja wysyłała synów na dwór cesarski przez cały wiek; Janusz Ostrogski, który ku największemu umartwieniu ojca prawosławie dla katolicyzmu porzucił, wychowywał się razem z arcyksiążętami; Tarnowscy (syn hetmana) i inni bawili tu nieraz całemi latami, a czasem przyjmowano tu i mniejszą szlachtę, która potem w kraju habsburskim służyła celom. Tak np. Krzysztof Warszewicki służył u dworu cesarskiego przez wiele lat za pazia u Ferdynanda i Maksymiljana, i t. d.; w licznych dedykacjach swoich pism wymieniał podobnych: Biernat Maciejowski, późniejszy biskup krakowski, młodość strawił na dworze cesarza Maksymiljana; Mikołaj Wolski, marszałek nadworny, wychował się na dworze Maksymiljana i Rudolfa; inni służyli w wojsku cesarskiem, np. Sebastjan Lubomirski, którego cesarz Rudolf za to tytułem hrabiego na Wiśniczu (jak niegdyś Karol V Piotra Kmitę) zaszczycił; wszystkie tytuły hrabiowskie i książęce na takiej najczęściej służbie się zdobywało. Szlachta posyłała synów chętnie do katolickiego Wiednia; tak się tu dostał i młody Orzechowski, którego potem przed Turkami do Witenbergu wywieziono, gdzie zlutrzał. O nawiedzaniu masowem uniwersytetów niemieckich wyżej była mowa; tu zawiązywano znajomości, które Niemcy zużytkowywali później, aby rodaków na służbie u panów polskich poumieszczać, albo się łasce magnata czy arcybiskupa przypominać; taki Caselius z Helmstadu zapewnia, że cierpiałby głód na starość, gdyby nie upominki panów polskich i arcybiskupa

Solikowskiego (a znajomość z nim zawarł studentem w Witenbergu), które go poniekąd ratowały. Obok stałych wpływów uczelni zaczęła się od końca wieku nowa kolonizacja niemieckich chłopów, z Holandji szczególnie, na kresach wielkopolskich, na błotach nadnoteckich, dla których osuszenia i uprawy właśnie Holandowie (Olędry) znakomicie się nadawali. Cały kraj przebiegali Ślązacy i Szkoci, handlujący drobnym towarem bławatnym, których dopiero znacznie później Żydzi mieli zastąpić. Przenikały więc wszelakiemi drogami wpływy niemieckie, które nowa wiara silniej wzmacniała.

CZESI I INNI SŁOWIANIE

Powoli ginęły wszelkie wpływy czeskie. Już rozłam religijny zaczął je w XV wieku nadwerężać, ale w XVI proces ten potoczył się raźniej. Jeszcze w pierwszej połowie mogli się Czesi łudzić, jakoby dawne stosunki były niezmienione; patrzyli jeszcze z góry na początki literatury polskiej; dedykowali pisma czeskie panom polskim i królom, jakby się znajomość czeszczyzny sama przez się rozumiała. Byliż jeszcze w Polsce, którzy dawnej przewagi czeskiej na każdem polu, szczególniej w wojskowości, nie mogli zapomnieć, tacy, którym się zdawało, że język czeski polerowniejszy, gładszy i obfitszy; jeszcze Rej i Mączyński niejednego «wlaza» czeskiego cierpieli; Jan «Malecki» w nieomylność czeszczyzny wierzył ślepo, a niejeden dworak i w Krakowie z słowem czeskiem wyjeżdżał; zjawienie się Braci Czeskich wzmogło chwilowo ten ruch: Walenty z Brzozowa okradał niemiłosiernie ich kancjonał (w Królewcu 1553 r.), — ale to wszystko już niedobitki. Czesi zwracali już sami oczy ku Polsce, nietylko dla wolności sumienia i politycznej, znoszonych przez Habsburgów, ale i dla płodów myśli polskiej; w drugiej połowie wieku niema u nas tłumaczeń z czeskiego, tem liczniejsze są czeskie z polskiego (posiadamy niejeden tekst polski tylko w przeróbce czeskiej!), a Paprocki tłumaczył w wierszach czeskich nietylko fraszki Kochanowskiego i własne, ale i jakiegoś nieznanego W. P. Co tradycja uświęciła, tego się już nie pozbywano; dawne czechizmy pozostały w języku naszym, świadectwo innych stosunków i czasów. Sąsiedztwo przypominało słowiańską brać czeską; polityka właśnie budziła te wspomnienia, bo ucisk fiskalny i polityczny, gniotący Czechów, nie mówiąc o religijnym, przestraszał szlachtę polską i wskazywaniem na nie uniemożliwiano kandydatury habsburskie. Tą drogą powstawały sympatje słowiańskie: biadano nad bracią czeską, a przy tem i nad innymi Słowianami, bałkańskimi mianowicie, mniemanymi sprzymierzeńcami przeciw Turkom; niepoczesne były ich losy chwilowe, ale pocieszano się myślą o ich pierwotnym zasięgu olbrzymim, boć nie wieczne panowanie tureckie; z północy go groźny los wyczekiwa. Oto i cały, nieco sztuczny i chłodny, panslawizm uczonej Polski XVI wieku; nie był nigdy popularnym, już dlatego, że o wojnie tureckiej marzył tylko Rzym i Wiedeń, przenigdy Kraków.

Co do najbliższych Słowian, wschodnich, nie oddawano się żadnym mżonkom. Rozróżniano ściśle Ruś polsko-litewską od Moskwy; straszna tyranja (za Groźnego najsurowsza) i dzikość odstraszały od Moskwy, i kandydatura Groźnego czy Fiedora poza platoniczne pomysły nie wykraczała nigdy; nawet przykład unji polsko-litewskiej nie działał pobudzająco, chyba chwilowo u mówcy, dla gładkiego słówka. Ale symbioza z Rusią stwarzała inne stosunki, tylko tu nie było mowy o wpływach ruskich, były tylko polskie na Ruś (zob. niżej). Właśnie wiek XVI widział olbrzymi rozlew polskości już nietylko na Ruś koronną, ale i litewską, i szlachta litewska (t. j. ruska) wyszła z XVI wieku zupełnie odmienną od tej, która weń wstępowała.

Za Rusią jednakże odchylał się step, z swojem państwowo organizowanem rabusiostwem, z Tatarami. Co to za dzicz była, trudno nawet wyobrazić; jeszcze Decjusz (r. 1521) opowiadał, że przy planowanym napadzie Tatarzy pierwszemu rudobrode-

mu, którego natrafią, wyrywają i smażą serce; mułłowie ich pilnie się jego kurczom przyglądają, a jeśliby nagle z panwi wyskoczyło, za złą wróżbę to mają i napad wstrzymują. A godne tego i to poselstwo tatarskie na Wołyń, o którem Górnicki opowiadał: chcieli Tatarzy wiedzieć, czy biskup wileński Janusz (syn Zygmunta I) ma dwie głowy? Dzicz tatarska i niekulturalność Rusi odbiły się szkodliwie na kulturze tych nielicznych stosunkowo osadników polskich, co się gubili w olbrzymich przestworach; życie materjalne opływało w dostatki, marniało moralne w fatalnem otoczeniu. Dostrzegano tego nawet w drobiazgach, tak np. Pińczuk Protasowicz twierdził, że dawniej u Polaków mężczyźni całowali się przy witaniu:

Dzisiaj ten zwyczaj prawie[1] ustał u Polaków,
Lecz tylko jeszcze został u Rusi prostaków,
Bowiem się przywitawszy, radzi pocałują.

A jak na Rusi zwydrzała szlachta polska, o tem Djabeł Stadnicki najlepiej świadczy.

WĘGRZY

Węzły z Węgrami były ścisłe. Jeszcze panowali Jagiellonowie w Budzie, a żenił się Zygmunt z Barbarą Zapoljanką, nad której przedwczesną stratą i król i naród bolał. Łączyła oba narody spólna służba wojskowa: służyli Polacy u Węgrów, — taki Adam Czahrowski z drobiazgu, co się nawet w literaturze zbiorem niewybrednych wierszów zapisał (ułożył nawet dwuwiersz węgierski); przychodziło także do sporów, np. Węgier zarzucał Polkom, że są wszystkie nierządnice, na co Sieniеński odparł: nasze nierządnice rodzą cnotliwych synów; wasze cnotliwe Węgierki samych łotrów. O Węgrach w służbie polskiej jeszcze więcej słychać, por. pamięć arjanina Bekiesza w Wilnie, górę i wierszem, niby spowiedzią jego, uwieczniono. Ale i bez służby bawili

[1] t. j. całkiem.

Węgrzy w Polsce; pierwszy poeta węgierski, Walenty Balassi (1551—1594), dzielny żołnierz (Zamoyski wzywał go do zorganizowania hufca węgierskiego przeciw Turkom), przebywał wiele w Polsce, a w zbiorze jego wierszów (wydanych z jedynego odpisu w r. 1879) znachodzimy melodje polskie. I tak: nr. 15 ‘Do pszczół’ (z prośbą, by nie siadały na ustach kochanki) ma się śpiewać na polską nutę *Byś ty wiedziała;* na tę samą nutę i nr. 22 (poeta przesyła jej sygnet z pelikanem: tak on gotów krew wylać); nr. 50, o awanturze miłosnej wiedeńskiej, śpiewać na nutę polską *A pod liesem* (lasem?); nr. 72 wiersz religijny: ‘pieśń polska od słowa do słowa i na tę samę melodję *Blahoslaw* (!) *nas* etc.’; przy końcu wiersz o polskiej lutnistce, w której się gorąco rozkochał: Zuzanna w mem sercu ogień ku sobie nieci, Przez Kupida mnie w miłość wpędza; Jej lice piękne Jak piwonje świeże, Jej jasny włos Jak słońca promień, Albo żółtość szczerego złota; Szczupła jej postać... (tekst pierwszej zwrotki, ale o Zuzanie śpiewał on już w swej wiedeńskiej pieśni). Nakoniec wiersz o jednym rymie, jakiś *Versus latricanus* (?), utwór jakiejś kortyzanki *Annuśki Budowskionki;* między innemi pyta: Jędrna Annuśko, Czemu mi się srożysz... Patrz, jak ochocze wszystkie co tańczą, i t. d. Te pieśni, zdaje się, ogólnie tańcami były. Autor wymienia jakiegoś Malgrudiana (?), którego tłumaczy.[1] Działali w Siedmiogrodzie jezuici polscy, np. ksiądz Wujek; właśnie z Siedmiogrodem łączyły naszych arjan ścisłe stosunki wzajemne. Obok wyznaniowych były i inne: siedmiogrodzkie konie (*sekiel* farbowany) i prasy winne były u nas znane.

[1] Wiadomość tę zawdzięczam Węgrowi, p. Aleks. Eckhartowi, zajętemu pracą o tym poecie. Pierwsza zwrotka modlitwy owej brzmi (oryginału polskiego, z którego tłumaczona, nie odnalazłem): «Błogosław nas Boże z Twojej dobroci, Oświeć nas z Twego miłosierdzia Światłem Twego oblicza, darem Twego ducha, Byśmy w życiu po prawdzie kroczyli». Balassa znał i inne narzecza słowiańskie, bo wiersz o Zuzannie wiedeńskiej i Annie Marji śpiewał mu się i na melodję *Dokej sem sze diwiczkom bila.*

Silniejsze nierównie były wpływy, co od nas do nich szły. Kraków w pierwszej połowie wieku był zawsze jeszcze uczelnią węgierską; uczniem krakowskim był i słynny Siedmiogrodzianin Honter, apostoł protestantyzmu węgierskiego, autor gramatyki łacińskiej, drukowanej w Krakowie; to ustało, gdy Węgry «zheretyczały»; jeszcze pojawiały się druki węgierskie w Krakowie. Mohacz i Buda silnie się w Polsce odbiły (o Budzie długi wiersz się przechował); przez Izabelę, Zapolję, i ich syna, domniemanego dziedzica po Zygmuncie Auguście, splotły się z Węgrami losy niejednego magnata (Jarosz Łaski!) i wojaka, który na dwór siedmiogrodzki spieszył (Gruszczyński np., co niemal album Polaków siedmiogrodzkich za wzorem Rejowym wypisał); wybór Batorego te węzły wzmocnił — mimo zaciętych przeciwników, na których później trafił.[1] Ale to były wpływy, jeśli wojskowość pominiemy, zewnętrzne: strój narodowy, *kontusz* i *delja, magierka* i *kopieniak* (płaszcz), *katanka (katona* 'żołnierz') i *ciżmy, forga* (kita) i *kołpak* — to wszystko węgierskie, jak nazwy dowodzą; dalej pojawiała się już na dworach pańskich służba węgierska, hajducy, rekrutujący się nie tak z Węgrów, jak z Słowaków-Matjasów, których nieurodzajne góry między «Lachów» spychały; z ich trybu niejedno słówko w obieg poszło, dziś znowu zapomniane;[2] węgierską piechotę utrzymywali panowie świeccy i duchowni; opierał się o nią Batory.

[1] Mazur Paprocki twierdził, że z Batorym

Zacząłek nędzy i niewoli wszelki,
Wolności ucisk, nieporządek wielki,
Wionął na Polskę przez Tatry wysokie...
Jenoćto wino, panowie Polacy!
Z tych krain dobre; mów lepiej, kto raczy.

[2] Np. takie *segen legyen* 'chudy pachołek', *harum palcat* 'w trzy kije' (biją *Matjasa,* co *matjasno* żyje), *beszte bizon* 'bizun'; z przysłówka 'naprawdę' na znaczenie batów przeszło; *beszte* 'bestja', stąd nasze *besztać), uram* 'moi panowie'; ogólnie znano *sabatów,* żołnierzy-opryszków, których kupy swawolne na Podgórze wpadały. Na Podgórzu było madjaryzmów nierównie więcej, *widek* 'powiat' (znany i w Krakowie, gdzie i *hejnał* węgierski rano z wieży otrębywano), *jerer* 'tysiąc', *sakał* 'brodacz'; liczne wyrazy stajenne, *kotczy* 'wóz', *logosz* 'foryś', *forgocz* 'pobocz' i t. d.

Już od poprzedniego wieku zjawiali się między Karpatami i Bieszczadem wołoscy pasterze, tworząc całe wsi wołoskie z kniaziami na czele; od nich to otrzymały nasze góry nazwy wołoskie; ich osobliwsze gospodarstwo, zanim się wkońcu nie wynarodowili, swojem odrębnem słownictwem przetkało nasze mleczarskie, do dziś w górach używane. Z dziczą wołoską samą, co nieraz celem dla fantastycznych wypraw pańskich i kozackich służyła (a nawet jeszcze w pierwszej połowie wieku Pokuciu strasznie się we znaki dawała), stosunków kulturalnych jeszcze nie było; jeszcze tkwiła ona sama zupełnie w pisemnictwie słowiańskiem (bułgarskiem).

UWAGI OGÓLNE

Kulturę tworzy nie wieś, lecz miasto, Ateny i Rzym, Carogród i Wenecja, Paryż i Londyn, Kijów i Moskwa; kultura polska szesnastowieczna stawała się, przeciwnie, coraz wyłączniej szlachecką, ziemiańską, wiejską, rozrzuconą daleko a płytko; dla braku skupienia sił podnieść się też nie mogła ponad raz uzyskany poziom, który się stał niebawem tradycyjnym, niewzruszonym, dziedzicznym. Przewaga szlachty, nigdzie tak licznej, jak w Polsce, rozstrzygnęła; było parę miast, setkami mil od siebie odległych, z wysoką narazie kulturą, przewyższającą szlachecką, ale politycznie zupełnie zdeklasowanych, co później także ekonomiczną ruinę za sobą pociągnęło. Olbrzymia liczba szlachty gubiła się w olbrzymich przestworach, śród których, oazy w pustyni, świeciły dwory świeckie i duchowne, liczniejsze na zachodzie, na wschodzie całkiem wyjątkowe; ponad

niemi wszystkiemi dwór królewski oczy na się zwracał, ale sympatji, siły przyciągającej nie miał; kto mógł, omijał go.

Bo do jednego niekorzystnego warunku przybywał drugi: wygórowany indywidualizm szlachecki, nieznoszący zależności, dobijający się ile sił swobody, jakiej ani miasto, ani dwór nie dostarczą. Taki wysoce kulturalny Modrzewski musi się zagrzebać żywcem na niekulturalnym partykularzu, a Kochanowski zrzekł się wszystkiego, zakopał się na wsi, by być swoim panem, chociaż zarazem zerwał związki literackie, pleśniejąc niby w Czarnym Lesie; kółko dawnych Padewczyków zupełnie się rozbiegło; żyło się głównie tem, co się w młodości, na studjach zagranicznych, uzbierało; w kraju samym podniety brakło nadto często. O jakiejś spólnej pracy nie było i mowy; gdzie się jej ośrodki tworzyły, rozbijało je jakieś fatum: Lubrański umarł, gdy jego akademja ledwie weszła w życie, «kufel» Latalski go nie zastąpił; skonał Zamoyski, i nie było rzeczą opiekunów Tomaszowych prowadzić dalej, wyżej, jego dzieło w jego duchu: dobrze, że mu nie dozwolili całkiem upaść. Nici słabe, więc zawsze się rwały; ani Maciejowski w Krakowie, ani Mikołaj Radziwiłł Czarny w Wilnie godnych następców nie znaleźli.

Dalej widoczna młodość cywilizacji. Zadaniem XVI wieku było dokonać zeuropeizowania Polski, aby Zachodu dogoniła; wydobyć ją z zaśniedziałości średniowiecznej i zastąpić przestarzałość myśli, jednostajność ubogiego życia, brak interesów umysłowych nowym wzlotem, nowemi ideałami, szlachetniejszą towarzyskością, podniesieniem materjalnem, moralnem, umysłowem. Świetnie dokonano tego — w astronomji!, w znacznej części i w życiu religijnem; mniej znacznie w życiu towarzyskiem i umysłowem; ależ na tem i koniec. Więzy stanowe dawne skrzepły niesłychanie, jeden stan podeptał prawa innych, warując sobie wszelkie wygody. Europą przesiąkła istotnie szlachta wielkopańska (od Lubrańskiego i Tomickiego aż po Zamoyskiego i Mikołaja Wolskiego) i umysłowa, choćby z mieszczuchów, od

Ciołka, Hozjusza, Kromera, Górnickiego aż po Szymonowica, ależ ta warstwa okazała się wkońcu zbyt cienką. Z dworów magnackich i biskupich (niestety, bynajmniej nie wszystkich), z pism Reja i Modrzewskiego, Kochanowskiego i Górnickiego biły promienie światła w dalekie zakątki, ale gasły z ich śmiercią — co zostało po Tarnowskim i Kmicie? ordynacja zamoyska trwała, ale gdzież duch pierwszego ordynata? A jakież echo po Reju, Modrzewskim, Kochanowskim? Bo okradanie wierszów czy myśli, a naśladowanie formy, toć jeszcze nie zwycięstwo ich ducha.

Ci Europejczycy czy Włosi (boć to było narazie jeszcze jedno), przewodnicy kulturalni i duchowni narodu, dokonali istotnie cudu, bo cóż za różnica między Polską z r. 1500 a 1600! Nie co do miast, bo np. Kraków z 1600 podupadł chyba w porównaniu z dawnym Krakowem i zgubił się z jego ulic tłum wielojęzyczny, audytorja opustoszały, nawet już Włochów mniej, a Bonary, Betmany, Decjusze, Morsztyny albo powymierali, albo jako szlachta miasto opuścili. Nie co do wsi, bo pogorszył się, nie poprawił, los kmiecy. Zato co do szlachty i duchowieństwa: w r. 1500 nie umiała szlachta czytać i władzy umysłowej, prócz duchownej, nie znała żadnej, a rozpasane duchowieństwo tylko materjalnym interesom służyło; w r. 1600 szlachta zrzuciła jarzmo duchowne, rozbłysła talentami i wiedzą, a szczególnie owym polorem włoskim, odbijającym od dawnej prostoty; duchowieństwo zaś, karne i ofiarne, o Bogu znowu wspomniało. Od kobiety i teraz niewiele wymagano: po dawnemu cnoty, wstydu i *pokory* (!), dalej czytania (nie pisania!) i muzyki jakiejś; one same strojami (obok gospodarstwa) się zabawiały i mężów nieraz rujnowały; poza rodziną i Kościołem się nie ukazywały; towarzystwo dzieliło się zawsze jeszcze wedle płci.

Cudu dokonały Włochy, t. j. masowy wyjazd młodzieży, która albo wręcz włoskie stroje, obyczaje, muzykę przywoziła, albo, bez ślepego naśladowania cudzoziemszczyzny, duchem ob-

cym się przejęła, nie tracąc własnej rodzimości, kojarząc szczęśliwie jedno i drugie. Polak z r. 1500 tylko po polsku mówił, teraz, od królów począwszy, bywał czterojęzykowym, albo (bez niemieckiego) o trzech językach; w r. 1500 o książkach polskich nie słyszał, — r. 1600 miał bogatą literaturę własną; r. 1500 biedził się z słowem, jak z ortografją, — r. 1600 dawno już nie rozumiał pierwszych pism swoich (Rej to wyraźnie poświadczył, a wiemy to i bez niego) i nagiął nowy język do wymagań skończonego krasomówstwa, duchownego i świeckiego. Nie było też pochlebstwem tylko, co Górnicki r. 1565 o Zygmuncie Auguście pisał: «za żadnego polskiego króla tak wiele uczonych ludzi w Polszcze nie było jako za panowania WKM... ma Polska tyle ksiąg swoim językiem, ile się ich pierwej nigdy nie najdowało». Nie przykładał się wprawdzie Zygmunt August bezpośrednio do pracy Górnickiego, nie natchnął go do przeróbki «grafa Castiglione», ale powiało od tronu (Temerowce Rejowe!), od Radziwiłłów, Firlejów, Myszkowskich włoskie niemal zrozumienie ważności i zasług pisma i pióra.

Ciekawe widowisko, to powolne wzbieranie fal kulturalnych w ciągu wieku. Pierwsze dwudziestolecie, niby ciąg dalszy piętnastego; nawet Kraków trwał w dawnem znaczeniu, przyciągał swoich i obcych; wyjeżdżali tylko duchowni jak dawniej, dla «kanonów» głównie. Przyjazd Bony z licznym orszakiem włoskim, to zmiana dekoracji; Wawel stanowczo zwłoszał, a młodzież cała wyjeżdżała, czy dla wiary, czy dla wiedzy, czy dla poloru. «Jako Polacy do Włoch się jęli przejeżdżać, to Rzeczpospolita nasza inakszy kształt wzięła» (Górnicki). Nie każdemu on smakował; taki stary Podlodowski (teść Kochanowskiego) «i Włochów i rzeczy od nich wynalezionych» nie dolubiał, i kładł mu Górnicki w usta:

«póki naszy Polacy czytać nie umieli, póty w Polszcze było więcej cnoty; teraz za tą nauką namnożyło się obłudności, wykrętów; porządku nie znać, każdy podług swej głowy Rzeczpospolitą stanowić chce... więc ci uczeni, gdy osobno mówią, widzą się być bardzo mądrymi, a skoro do kupy przyjdą, to on rozum nie wiem gdzie zginie, bo z ich rady nic dobrego nie wychodzi — (chyba) długie mowy, co czynią długie sejmy, gdzie ojcowie naszy nie umiejąc pisma więcej dobrego postanawiali za cztery, pięć dni, niż dziś za niedziel siedemnaście, ośmnaście».

Innemu może było za mało tej włoszczyzny i niezadowolony wynosił się z «Sarmacji».

Pierwsze fale humanizmu i renesansu wyrzucały na brzeg polski duchownych, którzy, oprócz święceń i tonzury, duchownego niewiele mieli: Ciołek, Dantyszek, Nipszyc, co się aż do spodni zgrywał, Krzycki, Gamrat, który nadzwyczajny przepych rozwijał; [1] niechęć pana Lupy przeciw wszystkiemu, co włoskie, była poniekąd usprawiedliwiona. Całej rozwiązłości renesansowej, jej bestliwości, skrytobójstwa, trucicielstwa, Polska nie zaznała, ale i tu nie brakło cieni, padających głównie od Bony i jej dworu. Bona i na Polki odpowiednie trafiała, lubiła nadzwyczaj np. panią Dzierzgowską, z domu Sobocką, arcyłotrzynię obok męża-ciołka; nawet w jej portrecie się kochała! Takich szumowin w drugiej połowie wieku już znacznie mniej, chociaż nepotyzm trwał dalej; nawet taki Samuel Maciejowski zachłanności swych krewnych nasycić nie zdołał.

Powoli więc wyjaśniało się niebo polskie z mroków średniowiecza i z oparów renesansowych; ludzie tężeli umysłowo i moralnie, patrjotyzm nie był już tylko płaszczykiem dla bardzo egoistycznych rachub; nie brakło warchołów (Zborowscy!), ale już nie szła im na lep szlachta, tak jak w r. 1537; już można było skupiać ludzi w imię dobra ojczyzny. I w Europie nie uchodziły już dawne uszczypki o Polsce, jużby nikt nie powtórzył

[1] Roku 1543 witał w Krakowie pierwszą żonę Zygmunta Augusta najwspanialszym pocztem, lśniącym od srebra i złota, a roku 1544 wydał obu królom ucztę równie wspaniałą (trwała od 1-ej do nocy); ofiarował im puhary z 1500 dukatami, ale też długi wspaniałe zostawił po śmierci, a anegdoty o niepłaceniu obiegały powszechnie.

za Eneaszem Sylwiuszem (Piusem II) drwin o troistości Polaków; z rana pobożni, pijani w południe, a mężni pod wieczór; inaczej ich teraz oceniano; mawiano powszechniej o «zacnym narodzie». Otwarte przerzucenie się ku Zachodowi, wchłanianie jego uszlachetniających pierwiastków, wyzbycie się przesądów, rozstrzygnęły o przyjęciu Polski do wielkiej rodziny europejskiej, przyczem się Polak bynajmniej nie zrzekał swoich właściwości, dodatnich, jak i ujemnych. Odznaczał się swobodą i taktem i patrzył nieco z góry na obyczajowość niemiecką, stosując się do wyższej, romańskiej; taki «stary student strasburski», książę Sierotka, nie pochwalał Krzysztofowi, że wysłał tam syna: «w tamten kraj zacnym cudzoziemskim panom szkoda jeździć, oprócz Norymbergu, Lipska i Drezna tedy to tam nikczemne kąty i ludzie sprośni, nieobyczajni; w Strasburgu też, wyjąwszy obronę a rząd miejski, tedy nauka błaha a ostatek ze strony obyczajów a policji *omnia redde ioco*» (wszystko błazeństwo; list z r. 1596).

Odwrotnie widzieli cudzoziemcy (Ruggieri), że Polak łatwiej uczy się tego, co inni odkryli, niż żeby sam się o to starał; że nie dąży do zupełnej doskonałości w niczem, t. j. że brak mu wytrwałości. Przeciętny Polak odznaczał się pewną niedbałością; co o nim mówią i sądzą, zbywał lekko (ostry sąd Reja o tem!), zato była mu obca wszelka pedanterja, wszelka drobiazgowość uprzykrzona. Brał rzeczy lekko; sangwinik, był z zasady optymistą; pocieszał się nawet tem, że Polska nierządem stoi, bo już obawiał się wszelkiej odmiany, co mogłaby zagrozić ubóstwianej nad wszystko wolności. Potrzebę reform uznawał w teorji, w praktyce ich nie dopuszczał. Szczęściło mu się, bo przez cały wiek nie zaznał zakłócenia złotego pokoju; wolny od wszelkiej napastniczej myśli, szczycił się, że nie przez wojny czy zabory podwoił swe państwo, że garnęły się pod skrzydła orła białego w imię unji obce ziemice.

Nigdy już nie powtórzył się podobny wiek złoty; wyzyskano go też znakomicie. Wyjarzmił się duch polski z pod feruły księżej; rozejrzał się swobodnie po świecie; wybierał, co mu było dogodne. Wpadał przytem i w przesadę, naśladował obce nie dlatego tylko, że dobre, ale i dlatego, że obce, a pomiatał swojem — błąd Słowian niemal organiczny; cudzoziemszczyzna u nich powszechna; wygoda, leń umysłowa, jej nader sprzyjają (wystarczy przypomnieć rolę niemczyzny w XV, łaciny w XVI i XVII wieku). Miało się okazać, że Słowianin, nie wyzbywając się swojej przyrody, da się zasymilować kulturze europejskiej, i tego Polska XVI wieku dokazała zupełnie. Nie odmieniła natury, co pozostała otwartą, popędliwą, gościnną, szczodrą, beztroską, dobrotliwą, wolną od fanatyzmu, ruchliwą, powierzchowną nieco, nieco zarozumiałą (już dla swojej nieocenionej wolności), mimo wszelkiego zewnętrznego raczej «cudzobiesia» ceniącą dawny obyczaj, rodzinę i jej cnoty, życie wiejskie (nie dla frazy klasycznej, lecz w istocie), przywiązaną do własnej ziemi, a niepragnącą obcej. Te cnoty rodzime, ale i wady lenistwa, niedbałości, zmienności, okraszono polorem europejskim, szczególnie umysłowym: nawrót do dawnej umysłowości, biednej, niedołężnej, zdawał się wykluczonym. Stał się więc Polak równorzędnym członkiem rodziny europejskiej, i śród niej Słowianina przedstawiał: stał bezspornie na czele całego Słowiańska, zasłaniał je sobą; wysoko kulturalne Czechy odpadały od niego wyraźnie, niemcząc się w szlachcie i mieście, Dubrownik był niby ekspozyturą włoską na Bałkanie, który cały ukrył się pod ławą turecką, gdy Moskwa tylko chrześcijaństwem od dziczy tatarskiej się różniła. Droga do szczytów znaczenia i sławy była otwarta; wytknęły ją renesans, obok reformacji i nowej, trydenckiej reakcji.

Renesans polski był nierównie mniej błyskotliwym, niż jego prototyp włoski; nie wylewał się równie silnie na zewnątrz, ani ogarniał tylu dziedzin; sztuki plastyczne, w których renesans włoski się najświetniej odzwierciedlał, nie były w Polsce zako-

rzenione i nie możemy tu mówić, jak gdzie indziej, o osobliwszym północnym renesansie. Był on w Polsce mniej głośnym i mniej barwnym — szlachta nosiła się przeważnie w czerni, a o ozdobę mieszkań mało dbała już dlatego, że raczej unikała miasta i dworów, zgiełku ulic i izb pańskich, że «wieś wesoła» była u niej nie frazesem, lecz treścią jej życia — nie mówiąc o klimacie, który surowością swoją tłumił niemal przez całe pół roku życie poza domem. Ważniejsze zaś były temperament i skłonności narodowe, łagodniejsze niż włoskie, mniej zachłanne i nieoględne, dobrotliwsze i spokojniejsze; — dla zbrodni renesansowych nie było miejsca, nawet Bona w Polsce nie dorównywała Katarzynie Medici w Paryżu, a «rad Kalimachowych» nikt w Polsce nie stosował: amoralizm renesansowy pozostał jej obcym.

O zwycięskim pochodzie renesansu u nas można więc rozprawiać tylko z pewnemi zastrzeżeniami. Humanizm, który go wyprzedził, nierównie silniej się zaznaczył; on istotnie surowość średniowieczną, od stylu i życia począwszy, wygładził; Andrzej Modrzewski, Jan Kochanowski, Jan Zamoyski, aby przemilczeć o mniejszych (Górnickim, Nideckim i tylu innych), wyobrażali humanizm raczej, niż renesans; nie miasta i dwory zgiełkliwe, lecz cicha wieś i ścisła rodzina nadawały życiu narodowemu rysy właściwe. Nie do renesansu, ani jego wykwintnej kultury należała przyszłość narodowa, ale cnoty starorzymskiej, bez frazesów humanistycznych, złożyli niebawem wzruszające dowody Żółkiewski i Chodkiewicz, dziedzice XVI wieku i jego haseł najwznioślejszych; ich bohaterstwo mógł cały świat podziwiać, choć nie przemawiał z nich Włoch renesansowy; najszlachetniejsze to okazy polsko-słowiańskiej przyrody (w Chodkiewiczu, jak w Radziwiłłach i in., nic już ruskiego nie było, oprócz imienia i popędliwości chyba).

Wysoki poziom kultury szesnastowiecznej tłumaczył się i najżywszą, stałą, bezpośrednią wymianą ludzi i myśli: z literatury Zachodu czerpano hojną ręką; rzecznicy polszczyzny skarżyli się nawet, że czyta się u nas i podziwia niecnego Machiavella,[1] czcząc go wyżej niż statut. Nie było jeszcze takiej wymiany w wieku XV, przynajmniej nie sięgała szeroko; zatracała się powoli w XVII, gdy do rąk i uszu ogółu dochodziły tylko przesiane przez jezuitów myśli i księgi i zwężyło się znacznie podłoże kulturalne, najszersze właśnie w wieku XVI, gdzie nic zachodniego nie pozostawało obcem myśli polskiej. Żył więc wiek następny z tego, co XVI-ty uzbierał; nad sztukę Kochanowskiego, nad teorję polityczną Modrzewskiego, a nad praktykę polityczną Zamoyskiego nie wzniesiono się wyżej, a w czem się ci trzej u Zachodu zadłużyli, wiadomo powszechnie. I ustalił się w myśli polskiej wiek ten słusznie jako wiek «ozdobny» (tak go już Szymonowic, pogrobowiec niby tego wieku, ochrzcił), albo, jak później mawiano, «złoty».

Mimowoli nasuwa się pytanie, jak silną liczebnie była warstwa oświecona? jak daleko i głęboko sięgała ta oświata? czy nie było zbyt ostrych, nagłych nierówności? Że były w obrębie całego państwa nadzwyczajne, że Kijów z Dzikiemi Polami odbijał strasznie od Krakowa i Poznania, nietajne to, naturalne; choćby pytanie ścieśnić, to i tak np. Mazowsze pozostawało daleko wtyle za Małą i Wielką Polską i Prusami, ależ i u tych statystyka zawiedzie. Można w przybliżeniu obliczyć młodzież polską, wyjeżdżającą na studja zagraniczne i wracającą dojrzalszą i kulturalniejszą: do Niemiec około 2000, do Włoch dwa razy tyle, wedle albumów uniwersyteckich, lecz liczby te nie objęły całej młodzieży, boć nie wszyscy tylko na studja wyjeżdżali, a dalej powtarzają się w obu spisach nieraz te same osoby. Więcej znaczy, że szkoły były nadzwyczaj liczne (w porównaniu szczególniej z latami 1650—1750), chociaż znowu i tu jednego, równego

[1] *Krótkie rzeczy potrzebnych z strony wolności zebranie* z r. 1587. Toż samo powtarzali rokoszanie 1607 r.: «sofistowie dworscy pilniej go (Machiavella) czytają aniż *privilegia* i statuta koronne».

stopnia-programu nie było, skoro brakło zwierzchności, któraby jednolitości programu strzegła: dobra wola duchowieństwa nie wystarczała. Liczby młodzieży uczącej się możemy wydobyć dla końca XVI wieku i dla diecezji małopolskiej (krakowskiej) wedle danych wizytacyjnych, ale brak ich narazie dla innych diecezyj; pomijamy cyfry uniwersyteckie, jedyne dokładniejsze.

Jakież były różnice w obrębie jednego stanu (szlacheckiego czy miejskiego)? Że ich nie brakło, na to mamy świadectwa choćby u Reja. Zupełnej niwelacji, coby dzisiejszą przypominała, napewne nie było; w obrębie samym obu stanów zachodziły silne różnice — mimo to, właśnie z literatury, z diarjuszów sejmowych (chociaż na sejmach elita towarzystwa przemawiała), z protokołów synodalnych, widnieje wcale nie niski stopień ogłady: szczególnie w walkach wyznaniowych, wymagających pewnego oczytania, przetarli się ludzie. Duchowieństwo polskie nie stało bynajmniej niżej od niemieckiego czy włoskiego; szlachcic polski (nie myślimy o chodaczkowym) niemieckiego napewne przewyższał; mieszczaństwo stało na równi z niemieckiem, chociaż powoli lenistwo i lekkomyślność zaczęły rugować dawne przymioty pracowitości i zabiegliwości.

Postęp, osiągnięty w ciągu wieku, był nadzwyczajny; przyszłość dopiero miała okazać, czy podłoże, z którego urósł, i nadal dostarczać mu będzie tych korzystnych dla niego warunków, swobody myśli i życia, związku ciągłego z Zachodem, dobrobytu materjalnego?

ROZDZIAŁ ÓSMY

RUŚ I LITWA

Ruś. — Litwa rdzenna

RUŚ

Nie rozróżniamy tu Rusi koronnej od litewskiej, chociaż się politycznie zupełnie rozbiegały: Ruś litewska rządziła się automatycznie, pod swoim wielkim księciem, Ruś koronna była wcielona w rządy i sądy polskie; aleź kultura tu i tam była niemal jednakowa.

Odmienna wiara odcięła Ruś od Zachodu, i gdyby chodziło tylko o lud prosty i niższe, wiejskie duchowieństwo, oraz o nieliczne monastery, to dla nich trwałoby dalej średniowiecze, nie to dawne, kijowskie, bogate, lecz nędzne, z XIV i XV wieku. Ale obok tych «prawosławnych», żyjących wedle starego trybu bez nauki i pisma, bez myśli i wiedzy, bez sztuki i piękna, byli mieszczanie ruscy, była szlachta ruska, zrównywana powoli, jeżeli przy prawosławiu ostała, w prawach i obyczajach z polską, nakoniec duchowieństwo wyższe, władyki, które się niby z czerńców (mnichów), w istocie z szlachty rekrutowało i zupełnemu zeświecczeniu uległo.

Poczucie narodowościowe obudziło się najpierw u mieszczan, nie śród rozprószonych na wielkich obszarach ziemian. Mieszczanie, sąsiadujący gęsto obok siebie, wzorowali się na niemieckiem, zachodniem, rychło się polszczącem. Łączyli się za jego wzorem w bractwach, które z początku wyłącznie celom religijnym i humanitarnym (szpital, opieka nad wdowami i sierotami) służyły; udział w nabożeństwie, w pogrzebach, dozór cerkiewny, były pierwotnemi ich zadaniami, ale wobec wszela-

kich ograniczeń w cechach i handlach zwierano się i do spólnej akcji przeciw radzie miejskiej; do petycyj, podawanych Majestatowi; do składek pieniężnych na podróże delegatów, na koszty procesowe, na zaskarbienie protekcji. Bractwa religijne przekształcały się w polityczno-narodowościowe ośrodki całej gminy ruskiej, prawosławnej, a gdy nacisk następował, np. gdy arcybiskup Solikowski chciał Rusi gwałtem narzucić nowy kalendarz, stawano energicznie do spólnej obrony. Niebawem też spostrzegły bractwa, czego Rusi najbardziej brakowało: pisma, książek, ludzi biegłych w nauce, coby łacinnikom odpór stawiać mogli, coby wyższości prawosławia bronili.

W tem właśnie panowało najstraszliwsze zacofanie; nie było książek — o literaturze ani co myśleć. Były w niedostatecznej liczbie księgi wyłącznie cerkiewne; po nieudałym eksperymencie krakowskim zaopatrywano się w druki południowosłowiańskie, z Wenecji, Cetyni, Wołoszczyzny, gdzie prócz cerkiewnej słowiańszczyzny rumuńskiego nic jeszcze nie było (chyba w samym marnym zalążku, przez Sasów siedmiogrodzkich, w celach wyznaniowych). Znalazł się nawet prywatny przedsiębiorca, który chciał zaradzić najwalniejszemu brakowi, ruskiego Pisma św., bo tych niewiele rękopisów, co się między ludźmi błąkały, spisywano nie w ruskiem, lecz w cerkiewnem, bułgarskiem narzeczu, silnie przestarzałem. Takim przedsiębiorcą okazał się padewski doktor medycyny, Franciszek Skorina, z rodziny bogatych mieszczan-kupców połockich, uczeń krakowski 1504—1506, doktor włoski 1511, który w Pradze czeskiej w latach 1517—1519 wypuszczał luźne księgi biblijne, poprawiając ich język nieco na ruski ład; Białorusin, korzystał i z czeskiego przekładu, a naznaczał swe księgi dla użytku ludu pospolitego. Całej biblji nie wydał, może dla braku środków, gdyż wydawnictwo praskie nie mogło się dobrze opłacać; przeniósł się do Wilna i po kilku latach zaczął tu znowu drukować, ale wydał już tylko *Apostoła* i «książkę podróżną» (rodzaj brewjarza). Potem zaprzestał drukarstwa zupełnie, starał się o służbę u księcia Albrechta, zrobił mu silny zawód (pozbawił go Żyda-lekarza i drukarza, uwiódłszy ich do Wilna), handlował wraz z bratem skórami z Poznaniem i był wkońcu sekretarzem i lekarzem biskupa wileńskiego (prawdopodobnie już nieprawosławny; żona Małgorzata, wedle nazwiska nieprawosławna również).

Po Skorinie zamarły zupełnie na Litwie wszelkie próby; podjęła je Moskwa z Iwanem Groźnym, urządziła dla cerkwi drukarnię, ale ten wymysł «luterski» narazie się nie powiódł; gawiedź, podburzona przez diaków-kopistów, tracących przez druk wygodny zarobek, wymogła zamknięcie «pieczatnego dworu» i zmusiła do ucieczki drukarzy, Mstisławca i Iwana Fedorowicza, którzy się na Litwę do Wilna i Chodkiewicza udali. Fedorowicz osiadł potem we Lwowie, skąd go książę Konstanty Ostrogski, wódz prawosławia, powołał do swego Ostroga na Wołyniu dla drukowania pierwszej biblji ruskiej (cerkiewnej).

Bo uprzytomnili sobie nareszcie Chodkiewicz i Ostrogski, że grozi Rusi największe niebezpieczeństwo z powodu zupełnego braku nauki, szkoły, książek, popów, coby coś więcej niż na psałterzu sylabizować umieli. Już zarzucał protestantyzm swe sieci na Rusi; dwa kalwińskie druki Budnego nie były wprawdzie groźne, skoro Ruś czytać nie umiała, ale ustna propaganda szerzyła spustoszenia śród szlachty. Nie chce się dziś wierzyć, co Skarga i prawosławni twierdzą, że szczególniej na Litwie i Wołyniu setki rodzin rzucały prawosławie dla kalwińof stwa (a nawet antitrynitarstwa), że szlachcic ruski, w niczem nie ugruntowany, przechodził od wyznania do wyznania, zanim na katolicyzmie nie kończył. Książę Kurbski, były wojewoda moskiewski, który przed Groźnym skrył się wkońcu na Wołyniu, a na stare lata jeszcze się łaciny wyuczył, aby bronić prawosławia przeciw nagabywaniom zachodnim, nalegał najbardziej i sam świecił przykładem, jak nauka niezbędna dla cerkwi.

Tak bowiem złożyły się stosunki, że w XVI wieku nawet

popi i czerńcy, nie mówiąc o świeckich, nie znali języka starego, bułgarsko-słowiańskiego, cerkiewnego, przy jakim Moskwa wytrwała. Ludowy język ruski całkiem inny, a dla mniemanej «literatury» (której wcale nie było, bo akty urzędowe to nie literatura) wyrobił się osobny język ruski, t. j. mieszanina podstawowego cerkiewnego z ludowym, przy coraz znaczniejszej domieszce polonizmów. Gdy Moskwicz Kurbski na Wołyń przyszedł, starał się o tłumaczy na cerkiewne, ale tych nie było; sam zaznaczył: znajdę tu takich, co po łacinie albo grecku umieją, ale niema tych, coby cerkiewne znali. Sam więc zabrał się do tłumaczenia, posłał jedno Ostrogskiemu; bardzo się Ostrogskiemu podobało, ale cóż, radził, aby to «dla lepszego wyrozumienia na polszczyznę dał przełożyć». Tiapiński w przedmowie do przekładu arjańskiego ewangelji wyraźnie twierdził, że «duchowni najmniej (cerkiewne) rozumieją, nawet się go nie uczą». Pismo wprawdzie ruskie znali wszyscy, nie znali polskiego, więc powstała myśl pisać dla nich polskie ruskiem pismem, ale tego wybiegu się nie chwycono, chociaż niejeden «przekład» znacznie ku takiej polszczyźnie się zbliżał. Więc ta t. zw. literatura ruska XVI wieku całkiem od polskiej zależna; jest kilka przekładów ewangelji i *Apostoła* na język ruski, ale wszystkie z polskiego, np. t. zw. *Apostoł Krechowski* powtarza tekst Biblji brzeskiej; wszystkie niemal ewangelje «uczytelne», t. j. postyle, czerpały z postyli Rejowej — szydzili później uczeni popi z popów nieuków, co «świętego Reja» słuchać kazali, — a jest ich kilkanaście; każda nowo odszukana potwierdza tę regułę. Przekłady to dosłowne, ale nieraz błędne, np. 'ryby w odmęcie' jeden przełożył dobrze 'ryby w kołomutie', ale drugi zatrzymał niezrozumiane polskie 'ryby w otmietie'. Polonizmów nie ustrzegł się nawet najgorliwszy miłośnik języka cerkiewnego, «Bogu najbardziej miłego, ponieważ bez pogańskich chytrości i podręczników, t. j. gramatyk, retoryk, dialektyk, prostem pilnem czytaniem ku Bogu przywodzi» — Iwan z Wiszni; i w jego «posłaniach» znajdziemy *zapewne, do szczety* = do szczętu, *ohyda* i t. d. Tak wsiąkała polszczyzna i do mowy ruskiej (jej wpływy po dziś dzień widoczne), i do «literatury», służąc jako wzór do naśladowania, czy wręcz jako oryginał do przekładu.

Najpotężniejszy magnat ruski założył w swoim Ostrogu i «akademję», powoławszy do niej na nauczyciela Smotryckiego (ojca) i innych, i drukarza Fedorowicza; tak wyszła r. 1581 pierwsza biblja cerkiewna, a z nią i inne księgi, polemiczne, zwracające się przeciw katolikom. Przykład książęcy porwał też miasta: bractwa lwowskie i wileńskie zakładały szkoły dla młodzieży, najpierw grecko-słowiańskie, a później słowiańsko-łacińskie, i wydawały księgi swoim nakładem. Tak po raz pierwszy od czasów kijowskich zaczął się ruch umysłowy śród Rusi we Lwowie, Ostrogu i Wilnie, szerząc się coraz dalej. Nie brak było wprawdzie prawosławnych, którym te nowe nauki wcale się nie podobały, którzy upatrywali grożące odstępstwo od prostej wiary ojców; między nimi najwymowniejszy i najgwałtowniejszy ów czerniec na Athosie, Iwan z Wiszni, który w różnych «posłaniach» napadał na nauki, na odstępców (i śród własnych władyków), na rozluźnienie obyczajów; wzywał do skruchy i poprawy, wyśmiewał wszelkich nowinkarzy i chłostał biczem dosadnej satyry odszczepieńców, panów nielitościwych, dręczycieli ludu. Obok mnicha byli i świeccy starowiercy; wyszydziła takiego starowierca satyra z początku XVII wieku (około r. 1610), wydająca się za przemowę w senacie kasztelana mścisławskiego Iwana Mieleszki z r. 1589; data niemożliwa już dlatego, że kasztelan chwali się, jakoby nie całował panny Urszuli w rękę (jest to znana ochmistrzyni na dworze Zygmunta III, Niemka, co dzieci królewskie piastowała i wpływów niemało miała, ale w r. 1589 jeszcze o Polsce ani słyszała). Że to satyra, dowodzi choćby to, że pan kasztelan coraz «kułakom w mordu» bije, broniąc starych porządków, a natrząsając się z nowych wynalazków (np. zegarków, psujących się), z dworzan polskich, babia-

rzy znakomitych, których się nie ustrzeżesz, ze strojów, szczególnie kobiecych; gdyby nie wzmianka o Urszuli, możnaby satyrę nawet znacznie późniejszemu czasowi (po r. 1610) przypisać.

Nasunęły się tymczasem całkiem inne widoki. Już w XV wieku poruszono na soborze w Konstancji, a na soborze we Florencji przyprowadzono do skutku unję obu Kościołów, ale ani Carogród, ani Moskwa unji nie uznały, metropolita unjacki Izydor musiał z Moskwy uciekać i sprawę unji zagrzebano, chociaż myśl coraz się kołatała. Poruszano ją na nowo w XVI wieku; zwycięski w swoim nowym pochodzie katolicyzm zamarzył o zdobyciu Wschodu; Iwan Groźny łudził papieża i Possewina jezuitę majakami unji; cerkiew ruska w Polsce i na Litwie pragnęła wydobyć się z upadku moralnego choćby ceną unji — miałaż zatrzymać żonatych popów, liturgję słowiańską i sakrament ołtarza podoboi za cenę uznania papieża i dogmatu katolickiego, a wzamian zato otrzymać równouprawnienie duchowieństwa, t. j. zrównanie z łacińskiem, co było takim samym majakiem, jak owe obietnice Groźnego, bo dumny kler łaciński temuby się stanowczo opierał. Duchowieństwu ruskiemu wyższemu marzyło się więc o wejściu do senatu; magnatów ruskich (takiego księcia Ostrogskiego) bodło zaprzepaszczenie godności narodowej, zacofanie kulturalne; sama spólnota państwowa domagała się wyrównania, czegoby najlepiej unja kościelna dokonała. Ocierał się Skarga w Wilnie o Ruś nieustannie, więc też wystąpił r. 1577 (powtórnie 1590) z dziełem *O jedności Kościoła Bożego pod jednym pasterzem i o greckiem od tej jedności odstąpieniu*, kładąc nacisk, że prawdziwego Kościoła, nie prawdziwego słowa, szukać należy; że ruski bez głowy katolickiej uschnie. Nie dał się Skarga tem zrazić, że szyzmatycy wykupywali i niszczyli książkę, zamiast na nią odpowiedzieć, nie mając jeszcze w swojem gronie ludzi sposobnych. Zaczęły się umowy z władykami i metropolitą, których przecież król mianował nie tak z pośród czerńców, jak z pośród wysłużonych dworzan i rycerzy, co na stare lata, pożeniwszy synów, wczasów i dostatków władyczych zapragnęli. Tych władyków, opornych z początku, popchnął ku unji nietakt i wmieszanie się patrjarchy carogrodzkiego Jeremiego, który Ruś i Litwę objeżdżał i wiele wichrzył. Konszachty z Rzymem prowadzili władycy w największym sekrecie.

Ale rachuby ich zawiodły, bo nie udało się pozyskać nawet wszystkich władyków; lwowski i przemyski stanęli okuniem, a co gorsza, ks. Ostrogski, gdy mu się kierownictwo sprawą z rąk wymykało, oparł się najsilniej konszachtom z Rzymem, porównał władyków z Judaszem, i gdy na synodzie brzeskim 1596 roku ją obwołano, a Skarga stanął w jej obronie w dziełku *Synod brzeski i jego obrona*, rozpoczął najsilniejszą walkę na pióra i czynnie. Przeciw Skardze wystąpił kalwin Broniewski pod pseudonimem Filaleta (miłośnika prawdy), a z tytułem greckim *Apokrizis*, i zbijał zręcznie a wymownie wywody Skargi o prawomocności tego synodu, dedykując dzieło Zamoyskiemu, a otrzymując wioski od Ostrogskiego jako nagrodę. Książę zaś szukał pomocy u protestantów, którzy chętnie rękę podali, chociaż przymierze było nienaturalne, bo wszelkie podszywania się protestantów pod cerkiew grecką do niczego nie wiodły wobec głębi dzielącej te wyznania. Gdy więc pierwszy zamach rozbił się o Ostrogskiego i dwu władyków, ochłonęła polska opieszałość, i niebawem pozostawiono unitów z metropolitą, bardzo czynnym i zręcznym Hipacym Pociejem, aby się sami z szyzmatykami ucierali, których podtrzymywał autorytet patrjarchy carogrodzkiego, sługi tureckiego, nieuznawanego przez Polaków i unitów. Do szermierki z protestantami przybyła jezuitom walka z szyzmą, którą jednakże głównie Pociej odprawiał; rozwinęła się w XVII wieku.

Walka z protestantyzmem rozruszała śpiączkę prawosławnych, ale dopiero walka z unją ocuciła ich zupełnie; chwycili się tej samej broni, której przeciw nim użyto, i chociaż w pierw-

szych zapasach protestanci ich zastępywali (np. arjanin Motowiło — książę Kurbski przeraził się, czytając jego wywody, polecone mu przez Ostrogskiego), niebawem zaczęły się szale wyrównywać. Różnice i walki wyznaniowe nie przeszkadzały temu, żeby Ruś nie czerpała ze źródeł polskich. Sama niczego nie dostarczała, bo odpisy czy druki ksiąg cerkiewnych, nawet jeśli się tekst nieco modernizowało (np. w ewangelji peresopnickiej), lub jeśli dla wiary polski antitrynitarski przekład na ruskie przesadzano, nie stanowiły literatury. W braku własnej zasilano się oddawna tekstami polskiemi, które dosłownie na ruskie przelewano. Tak po raz pierwszy przełamano zaczarowane koło bizantyńskie i nie pytano nawet o silne różnice dogmatyczne, właściwe dziełom łacińskim. Wiek szesnasty zaznał ich sporą liczbę; narazie nie przekraczała ta literatura granic Rzeczypospolitej. Tłumaczono więc *Kronikę świata* Marcina Bielskiego, która nareszcie wypierała przestarzałe, jednostronne chronografy; historję-romans o Aleksandrze Wielkim, co się obok innych jej tłumaczeń z greckiego ukazała; historję o rycerzu Tundalu, Irlandczyku, co w kraju odwiecznych wizyj czyściec (nieuznawany przecież przez cerkiew) i piekło odwiedził; historję o Atyli (autora Węgra, z polskiego tłumaczenia); niektóre tłumaczenia (np. historję o przeniesieniu Trzech Króli do Kolonji; ewangelję Nikodemową i akty Piłatowe; legendę o św. Aleksym) odsuwają nawet do końca XV wieku (?). Pominąwszy te tłumaczenia, czytała Ruś polskie oryginały, przejmowała się ich stylem i formą i przyswajała sobie wiersz polski, narazie tylko w dedykacjach go używając. Polacy z literatury ruskiej nie korzystali, bo przetłumaczenie kroniczki litewskiej (ruskiej) na łacinę, a statutu litewskiego na polskie nie może za to uchodzić. Ziomek chełmski, kanonik krakowski, potem biskup chełmski (mimo sprzeciwu Rzymu), a wkońcu arcybiskup i prymas, Uchański, należał do tych wyjątkowych Polaków, co z literaturą cerkiewną byli obeznani; sam przetłumaczył z cerkiewnego na

polskie (zachowując niejeden termin «słowiański») katechezy («pouczenia czyli ogłoszenia uczytelne») patrjarchy jerozolimskiego Cyryla (księgi o wierze i sakramentach), cieszył się z słowiańskiego wykładu psałterza Teodoreta (czy o ten psałterz dopominał się u niego Kochanowski?) i poszukiwał rękopisów słowiańskich na Bałkanie. Budny znał cerkiewszczyznę znakomicie, a opowiadał niesłychane dziwy o «mądrości» igumena dermańskiego; korzystał świadomie z przekładu biblji słowiańskiej, a interesowali się nim i inni arjanie (Czechowic) w celach polemicznych; ale Budny może Białorusin z pochodzenia. Orzechowski szczycił się ruską od matki krwią, bronił Rusi (przeciw powtarzaniu chrztu), ale, humanista, z ruskich źródeł nie czerpał. Biskup kijowski Wereszczyński, Rusin ze krwi, ale Lach ze chrztu, próbował w dedykacji do cara jakiejś rusko-polskiej mieszaniny. Zresztą marzono o kandydaturze Groźnego czy Fiedora, lecz na wymianę literacką czy kulturalną to nie starczyło, a granic moskiewskich strzeżono jak najpilniej. Wyjątkowo zjawił się z poselstwem dyplomatycznem i brat czeski, i w dysputę teologiczną z Groźnym się wdawał; Possewinowi gorzej się to odpłaciło.

Zato na Wschodzie, śród szlachty polskiej, nie gardzono ludową pieśnią ruską, która, całkiem inaczej niż polskie śpiewki, pociągała miękkim liryzmem w erotyku, a epicznem zacięciem w dumach. Sęp Szarzyński z pod Lwowa zasłuchał się w pieśń ruską («Terpyż hołowońko do szczasnoj hodyny» zaczyna jedna jego elegja miłosna), a Szczęsny Herburt pieśń ruską wstawiał; Rej na Rusi zamłodu wyrósł, ale pieśni ruskiej bezpośrednio nie naśladował. Stryjkowski znał ruskie kroniki znakomicie.

Zupełnie inaczej odnosiła się Ruś szlachecka do kultury polskiej; moda, wpływy i autorytet, urok wyższości, pociągały do niej nieprzeparcie. Przecież syn wodza Rusi przeszedł na katolicyzm, a masowy odpad szlachty ku katolicyzmowi, wprost lub drogą okolną na protestantyzm, zaczął się niepowstrzymany już w XVI wieku. Różnica między szlachtą prawosławną a katolicką

była nadzwyczajna i upokarzała Ruś, która się prostoty staroświeckiej chętnie pozbywała; drwiny z «Litwinów» i ich niekulturalności były na porządku dziennym (są nawet w *Facecjach* Rejowych). Wyjazdy zagranicę dopełniały miary, i rzadko wytrwał taki podróżnik (np. brat Lwa Sapiehy) przy prawosławiu, przy wierze i trybie ojców. Tuszył Zamoyski nadzieję, że nawet jego Akademja wywrze wpływ podobny. Ale unja zawiodła: niewielu z szlachty garnęło się do niej, raczej odrazu na katolicyzm przechodzili i tem pomieszali szyki Pociejowi i władykom unickim, którzy musieli unję gwałtem zaszczepiać. Więc już wiek XVI wytknął drogę przyszłej ewolucji: szlachta wynarodowi się zupełnie; i między mieszczanami, acz w nierównie mniejszej mierze, zajdą wypadki porzucenia prawosławia, ale lud zostanie przy niem, a Kozacy okażą się najdzielniejszymi jego obrońcami, tak że nawet władyków nastraszą.

Bo oto zjawił się w ustroju Rusi nowy czynnik, który dodatnio i ujemnie już w tym wieku wystąpił — Kozactwo. Na pograniczu stepowem, wobec stałych najazdów-napadów tatarskich, sadowili się ludzie, przybysze zewsząd, ale przeważnie z ruskiego, kijowskiego sąsiedztwa; śród nich wszelkie szumowiny społeczne, polskie i inne, myśliwi, rybacy, rataje, i w kupach luźnych, odrywani od zajęć gospodarczych stawaniem pod bronią, czy dla odparcia najazdu, czy dla własnej wyprawy łupieskiej, organizujący się wojskowo pod obranymi dowódcami pułkowymi, niezawiśli od władz miejscowych (kijowskich), z kilku warownemi punktami: Czerkas, Siczy nad Dnieprem, nazywani w XV wieku Kozakami. Nazwa tatarska, t. j. 'wolny'; śród nich były i inne: *kureń, kosz, asauła, ataman,* bo pierwotnie zbiegi tatarscy gęsto się zjawiali; nazwy Kozaków, spisywanych w rejestrach żołdowych, obfitują w tatarskie, ale później element ruski, prawosławny, zupełnie przeważał. Bitne te niby kolonje wojskowe zaczęły w XVI wieku wobec niedostatecznego strzeżenia granic od stepów nabierać własnego znaczenia, dały się używać dla obrony i odwetu, i już Zygmunt August nadał im pewną organizację, którą Batory potwierdził i rozszerzył. I okazało to niepozorne z początku Kozactwo nadzwyczajną siłę przyciągającą: zbiegli chłopi powiększali ich szeregi, i hasła socjalnej walki przeciw uciskom panów-kolonizatorów i ich urzędników wybuchały już w ostatniem dziesięcioleciu, przeciw tej szlachcie polskiej, która się nad Dzikiemi Polami, na Ukrainie i Podolu zadomowiła. Żądni łupów i mszcząc się za napady tatarskie, urządzali Kozacy nabiegi na Krym i Wołoszczyznę, napastowali wybrzeża, wypadając w swych lekkich czajkach, przewlekanych nad porohami dnieprowemi, na morze Czarne, i przez to pobudzali rząd turecki do nieustannych skarg i represyj. Wcześnie więc upatrywali Habsburgowie, walcząc z Turkami, sprzymierzeńców śród Kozaków, i już w XVI wieku zaczynały się obopólne porozumiewania. Wyznaniowych różnic ten wiek jeszcze nie znał, liczni byli między nimi Polacy (np. Zborowski Samuel brał udział w ich wycieczkach); dopiero walki o unję rozkołysały w Kozactwie antagonizm wyznaniowy, i poduszczani przez popów przybierali rolę obrońców starego prawosławia.

Reformacja nie ogarniała ludu, nie organizowała propagandy śród niego, zwracała się wyłącznie ku inteligencji, więc nie pomyślała o Rusi-Litwie wcale, gdzie, dla zupełnej niekulturalności, miejsca dla niej nie było. Wydali wprawdzie różnowiercy wileńscy (Budny, r. 1562 i 1563) katechizm kalwiński po rusku (poświęcając go synom Mikołaja Czarnego, a przeznaczając dla dziatwy ruskiej) i rzecz o usprawiedliwieniu grzesznika przed Bogiem, ale na tem przestali; przekłady ewangelji z tłumaczeń arjańskich (Czechowica) zostały w rękopisie, lub nie dokończono druku. Zato wpłynęła Ruś sama na arjaństwo polskie. Racjonalizm w zabarwieniu żydowskiem miał w Kijowie, a stąd w Nowogrodzie i Moskwie, zwolenników; tępiono ich niemiłosiernie, ale nie zadeptano wszelkich iskier, które raz po raz tlały. Za Groźnego uciekło z Moskwy siedmiu popów, podej-

rzanych o racjonalizm; schronili się na Litwę i Ruś (Wołyń); jedni wytrwali przy prawosławiu i gorąco go przeciw różnowiercom bronili; inni, mianowicie Teodozy Kosy (t. j. Zez), przeszli do najskrajniejszego judaizmu, przeczyli chrześcijaństwu i porządkowi społecznemu; teodozjanizm miał licznych zwolenników śród Rusi, a z nimi łączyli się arjanie; jeden z nich zdobył się na grube fałszerstwo. Arjanie twierdzili bowiem, że znaleziono około r. 1567 w cerkwi starosamborskiej oryginał listu Połowca Smery do Włodzimierza; książę wysłał go do zbadania wiar chrześcijańskich, a on znalazł w Aleksandrji chrześcijan, tępionych srogo przez Greków, i opisał ich wiarę, zakrawającą zupełnie na polskie arjaństwo, z przepowiedniami o zjawieniu się śród Słowian apostołów prawdziwej wiary, którzy Greków osądzą i obalą i tryumf odniosą; list był w języku cerkiewnym, żelaznemi literami na miedzianych tablicach; posiadamy nawet kopję jednego wiersza, gdy zresztą mamy tylko jego łacińskie tłumaczenie. Dalej wiemy tylko o luźnych arjanach śród Rusi, np. sługa księcia Ostrogskiego, Motowiło, który wygotował odpowiedź na książkę Skargi; albo Czaplic, szydzący z prawosławia i popów; niejednego nawet przed sądy świeckie o bluźnierstwo pozywano. Zdaje się jednak wielką przesadą, co Skarga (1596 r.) twierdził, jakoby w samem województwie nowogrodzkiem z 600 rodzin szlacheckich tylko szesnaście przy prawosławiu wytrwało, a około 650 cerkwi prawosławnych arjanie zabrali. Właśnie na Rusi litewskiej arjaństwo wcześnie zaginęło, tylko zbór w Lubczu dotrwał do r. 1655; nowogrodzki zamknął Zygmunt III 1618 r., a inne już w XVI wieku poznikały. Natomiast w wołyńskiem i kijowskiem województwie zakwitło arjaństwo, ale dopiero w pierwszej połowie XVII wieku (zob. niżej).

Składały się więc stosunki na Rusi niby jak w samej Koronie, z jedną walną różnicą: tego złotego pokoju, w jakim Korona przez cały wiek opływała, Ruś, a zwłaszcza Podole wcale

nie znało, trwogą ustawiczną przed najazdami tatarskiemi przejęte. Były nieraz długoletnie ich przerwy, np. gdy Tatar Moskwę plądrował, ale pokój od ich strony nie był ani trwały, ani pewny, a skutki najazdu okropne. Oto świadka naocznego, B. Paprockiego, *Historja żałosna o prędkości i okrutności tatarskiej a o srogiem mordowaniu i popsowaniu ziemi ruskiej i podolskiej, które się stało księżyca października r. 1575* (co wywołało i wymowny wiersz Kochanowskiego, II, 5, «Wieczna sromota i nienagrodzona szkoda Polaku!» i t. d.) — Tatarzyn:

Dziatki małe rozcinał, a głowy zejmował
Starym, którzy nie mogli za nim prędko chodzić,
Które jak psy na smyczy tak raczyli wodzić.
Wziąwszy żonę przed mężem, niecnotliwe zbytki
Płodził i z panienkami, a męczył dobytki;
Odarł skórę na grzbiecie biednemu wołowi,
A tamże ręce, nogi wiązał człowiekowi.
Dziecię, które płakało, ująwszy za nogi,
Wnet uderzył o ziemię; tamże podle drogi,
Kędy szedł niecnotliwiec, leżało ich wiele,
Któremi się żywemi karmili psy śmiele;
Kruki zuchwałe klwały po głowie, po ręce,
A ono tylko wrzaska leżąc w ciężkiej męce...
Tam się ręką zasłania a owę ptak kluje;
Objadłszy wszystkie plecy k piersiom przyskakuje,
Najdzie człowiek, cóż ma rzec? zakopać żywego
Nie godzi się, a dobić, nie da mu żal tego.
A drugie ogłodniałe usty mlaska, jęczy,
Tylko znać, że w zgłodniałem ciele duch się kręci.
Starych żonek i mężów dosyć naścinali,
Którzy to sobie sami u nich upraszali,
A na wieczną niewolę wodzić się nie dali.

Na Pawła Ciemierzyńskiego przypadli bez wieści,

Dosyć długo mężnie bronił się i żony,
Która mu zaskoczywszy pod bok z prawej strony,
Obłapiwszy prosiła, chcąc go mieć żywego,
Aby się podał w ręce poganina złego;

zabrali ich i wszystek dobytek, resztę spalili; pani Narajewska uszła szczęśliwie, lecz jej «trzy panienki dorosłe z wielkiemi klejnoty» zabrali,

a takowego szpiega miała w swoim domu,
wiedział jak krzczone imię było u nich komu;

nuż Skniłowska sędzina z dziewką urodziwą zawiedziona,

Owa inszych niemało poczciwych szlachcianek,
Którym już rąbków trzeba, nie stoją o wianek.

Kozacy odpłacali najazdem, wet za wet; Różyński

Bohdan, hetman on sławny, szlaki osadziwszy,
Część niżowych Kozaków swoich wyprawiwszy,
Pustoszyli im ziemię, dzieci wycinali,
Matkom oczy łupili a piersi rzezali,
Miasta, wsi popaliwszy, nazad się wrócili. [1]

Podobne sceny nieraz się powtarzały; zdrady było wiele, bo po zamkach chowano Tatarów w służbie albo załodze, którzy uciekali; w Sieniawie (u hetmana Sieniawskiego, gdy Tatarzy go oblegli) Tatarki działa wodą pozalewały, że nie można było ognia dawać. Niedbałość polska, zadowolona, że nad Wisłą i Wartą jeszcze Tatarów nie było, zawierzała straż i odwet Kozakom, ani przeczuwając, jakiego strasznego wroga sobie w nich wychowywała, jak się pogarda chłopem zemścić miała: już Batory wieszczył, że z tej małej ich garstki coś wielkiego urośnie.

LITWA RDZENNA

Na Litwie i Żmudzi dokonywał się zupełny rozbrat między szlachtą i mieszczaństwem a prostym ludem. Tamci się pol-

[1] «Człowiek dziw na Podolu, psi tylko brzechają», kończy Paprocki, zwracając się z korną prośbą do Boga (jedyny to wzlot poetycki w całej niepoetyckiej puściźnie jego), co nas za grzechy skarał (własne winy zwalać na Boga, najwygodniej).

szczyli: szlachta bezpośrednio, zapominając własny język, mieniając go na ruski w sądzie, a polski w towarzystwie i domu; mieszczanie poprzez niemieckie i ruskie. Już pojawiały się jednak śród duchowieństwa jednostki z ludu, a zawiewał od Prus Książęcych prąd nowowierczy, który się właśnie do ludu w imię wiary zwracał i dlatego musiał do niego w zrozumiałym dlań języku ojczystym przemawiać. Szkoły katedralne i nieliczne parafjalne uczyły po łacinie i polsku, bakałarzowali w nich Polacy, którzy po litewsku nie umieli; między liczną drobną szlachtą żmudzką znalazł się rychlej niż we właściwej Litwie ktoś, co języka ludowego się nie wyrzekał. W miastach byli i Niemcy, szczególniej w Kownie, a przez nich szerzyło się od Prus pierwsze luterstwo, i sięgało to do dworów wielkopańskich (Kieżgajły i Radziwiłłów), to do młodych plebanów, którym jednak oficjali biskupi w Miednikach i Wilnie nie pobłażali, bo chociaż np. taki biskup miednicki (żmudzki) Wierzbicki wszystkiem innem był, tylko nie wzorowym pasterzem, nie cierpiał «herezji», i niebawem musieli reformatorzy (luteranie) kraj opuszczać: pierwszy ks. Tortyłowicz, za nim Kulwa, Rapagelon i inni. Przyjęcie było otwarte i gościnne w luterskich Prusiech, gdzie książę niezbędnie potrzebował duchownych Polaków-Litwinów, nie znachodząc ich między swoimi poddanymi, Mazurami i Litwinami (pruskimi), i zaszedł ciekawy fakt, że na pruskiej Litwie polscy Litwini luteranizm szerzyli, że wszelkie początki od nich wyszły; że się oni o polskie np. pieśni kościelne opierali; że kulturę duchowną między pruskimi Litwinami polscy zaprowadzali. Mieli oni wedle zamiaru książęcego i po polsku pracować, tłumacząc np. biblję i t. d., aby z Królewca Wilno i Kraków zawojować zczasem; ale ta ich działalność nie należy już do dziejów polskich.

Na Litwie samej ubytku najlepszych sił nic nie nagrodziło; luteranów pruskich odstręczał kalwinizm litewski, a o lud nikt się nie troszczył; pomyślano o katechizmie ruskim, — litewskiego nie było, chyba go kto z Królewca przemycał. Dopiero

jezuici z Wilna urządzali stałe misje na połów duszyczek i z ich sprawozdań poznać możemy cały opłakany stan rzeczy: nawet starzy ludzie nic o kościele czy wierze nie wiedzieli. Teraz zmieniło się wszystko ku lepszemu, bo i kalwini zerwali się do pracy, i w ostatnim dziesiątku wieku pojawiały się w zawody katechizmy i postyle, tłumaczone z polskich, Ledesmy (katechizm katolicki), protestancki, postyle Wujka (mniejsza, bardziej popularna) i Rejowa; tak zaczęto zaspokajać głód słowa Bożego.

Życie samo, magnackie, szlacheckie, miejskie, od polskiego się nie różniło, chyba że było nieraz uboższe i prostsze; więcej różnicy było śród ludu, mianowicie na Żmudzi, zupełnie odosobnionej, niewystawionej nawet na wpływy ruskie. Tu zachowało się pogaństwo do XVI wieku, a zdał o niem sprawę Kaliszanin Jakób Laskowski, rewizor ziemi żmudzkiej za Zygmunta Augusta; sam nie jął się pióra, ale udzielił wiadomości Janowi Łasickiemu (który się do Braci Czeskich przypisał) w Wilnie, a ten to ogłosił, chociaż w druku rzecz się z winy drukarza szwajcarskiego dopiero r. 1616 pojawiła, napisana i wysłana r. 1580. Laskowski opisał najpierw patrjarchalny tryb chłopa żmudzkiego, który się i z bartnictwa żywił, sam prządł, w chacie stożkowatej całą chudobę trzymał, i jak najskromniej, np. bez żelaza, się urządzał. Dalej opisał Laskowski jego wiarę, ale tu zaszło później znaczne nieporozumienie, bo po półtorawiekowym przeciągu i tu nie ostało się właściwe pogaństwo: złoto jego rozmieniano na miedziaki. Nie zorjentowali się w tem uczeni w wieku XIX-ym i w tem, co było tylko rozkładem, dojrzeli jakąś fazę pierwotną. Właściwych mitów Laskowski wcale nie podał, nie znalazł ich czy szukać nie umiał (fabrykowano je w XIX wieku), a mniemane bóstwa jego, to przeważnie tylko duchy opiekuńcze barci, sadu, stajni, obory, domostwa, gumna, lasu i wody, drogi i targu, rodziny i grobu; co jezuici albo Stryjkowski opowiadają, niebardzo się z tem zgadza, także i dawne ruskie źródło znacznie odstępuje. Stała więc Żmudź rodzima na bardzo niskim poziomie, wyśmiewana jeszcze w XVII wieku dla swoich pierzyn bez piór itd., znana najdalej swojemi «żmudzinami» (małemi, ale wytrwałemi końmi). Oto list biskupa żmudzkiego, księcia Giedrojcia, do jenerała jezuitów z r. 1587:

«W bardzo wielkiej części mego biskupstwa niema nikogo, ktoby się raz w życiu spowiadał; nikogo, ktoby się raz komunikował; nikogo, ktoby umiał pacierz lub znak krzyża św.; nikogo, ktoby miał jakąkolwiek wiadomość o tajemnicach wiary. Zadowalają się jednem: my nie Lutrzy, w piątki mięsa nie jadamy. Powszechnie ofiarują gromom (t. j. Perkunowi gromowładcy), czczą węże (gospodarzy domu), szanują dęby (i lipy) jako święte (ofiarując im kury, miody, sery w razie choroby czy nieszczęścia, dla odwrócenia złego), dusze zmarłych raczą ucztami i wiele podobnych dziwów za grzechy nie liczą».

Późniejszy nieco historyk jezuicki pisał:

«Chociaż Litwa dawno nawrócona, nigdy jej początków wiary nie uczono dostatecznie; najpierw, bo nie było kleryków, świadomych litewszczyzny, plebani po miastach i wsiach byli Polacy, nieznający języka litewskiego, więc nie słuchali spowiedzi ani przepowiadali słowa Bożego; nawet w samem Wilnie, gdzie ośmnaście kościołów i pełno kleru katedralnego, a cztery zakony, nikt po litewsku kazać nie umiał, i lud oprócz samego chrztu nic o wierze nie wiedział. Dalej były na olbrzymiej przestrzeni tylko dwa biskupstwa, a parafij w obu ledwie 300. Dlatego czcili jako bogów węże, gady i inne stworzenia, ofiarowali im woły, prosięta, owce, kozy, koguty, kury; jedni bożków nasion, drudzy bydła, inni innych wedle ślepego pogaństwa upornie się trzymali. A chociaż Ruś chrześcijańska oddawna w Księstwie była, tylko w swoim języku lud nawracała i oń dbała».

Dla istotnego nawrócenia tej dziczy chciał biskup wileński, Walerjan Protasewicz Szuszkowski (od r. 1556) w Wilnie założyć seminarjum duchowne, coby kler litewski wypiastowało; myślał o przywołaniu sił niezbędnych z uniwersytetu krakowskiego; kanonik Wolski poradził mu znieść się z Hozjuszem, a Hozjusz i nuncjusz Commendone nastawali na powołanie jezuitów i założenie ich kolegjum w Wilnie; 1565 r. skłaniał się ku temu i Zygmunt August, ale już ze względu na protestantów Radziwił-

łów ociągał się i zwlekał z uniwersytetem jezuickim. Gdy biskup się przekonał, że króla stać tylko na obietnice, sam przystąpił do dzieła, kupił i urządził dom, ale jenerał fundacji nie przyjął narazie; dopiero r. 1569 przybyli trzej ojcowie i trzej braciszkowie do Wilna, gorąco przez biskupa witani, który od początku nie o kolegjum tylko, lecz o uniwersytecie myślał. Łatwo przekonał się prowincjał Maggio o potrzebie i korzyści uczelni i dla kraju i dla jezuitów, że nie będą musieli wysyłać swej młodzieży zagranicę dla studjów; przyjął więc fundację biskupią i narazie otwarto kolegjum r. 1570, licząc zgóry na jego rychłe przekształcenie w uniwersytet; w tym celu rozbudowywano i gmachy i naukę (r. 1572 rozpoczęto wykłady filozofji; 1574 katedra matematyki; 1578 trzy katedry teologiczne, brakowało czwartej, prawa kościelnego). Do gotowego więc dzieła przystąpił Batory i papież, gdy przywilejami i dyplomami z r. 1578 i 1579 potwierdzili fundację Protasewicza i usiłowania rektora St. Warszewickiego.

CZĘŚĆ DRUGA

WIEK SIEDMNASTY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PAŃSTWO

Wstęp. — Wady ustroju. — Ideologja szlachecka. — Sądy zagraniczne. — Mieszczanie. — Chłopi. — Żydzi.

WSTĘP

Siłę przyciągającą narodu, jego wpływy ościenne, wywołują nie jego potęga polityczna, przewaga wojskowa ani bogactwo ekonomiczne, lecz kultura, obyczajowość, oświata, i najpiękniejszy ich kwiat, sztuka. Przykładem Grecja, Włochy XV i XVI wieku, Polska po r. 1648. Moc jej i bogactwo ustępowały słabości i ubóstwu, ale kultura jej promieniowała aż do wrogiej Moskwy i do Jass opornych; nigdy nie sięgały tak daleko wpływy polskie, jak w latach wyraźnego już upadku, 1670—1690; przypomina się poniekąd wyrocznia Mickiewicza o rozszerzeniu granic za polepszeniem ducha, bo duch polski unosił się zwycięsko, mimo klęsk politycznych i ekonomicznych.

Złoty wiek dawnej Polski szlacheckiej, to lata 1548—1648; co wyprzedzało, łączyło się jeszcze z mrokiem średniowiecznym; co nastąpiło, zlewa się powoli z mrokiem saskim. Na wyżynie, osiągniętej u schyłku XVI wieku, wiek XVII od samego początku już się nie zatrzymał; słusznie już w r. 1612 nazwał Szymonowic marszałka Mikołaja Wolskiego «*ostatnim* z grona ludzi *chędogich*, którzy *ozdobnego* wieku *kwitnęli*»; luki po zgonie Zamoyskiego nikt już nie zapełnił. Przyczyną zaś tego narazie niedostrzegalnego, z każdym dziesiątkiem lat coraz wyraźniejszego zastoju było, że wiek XVII żył wyłącznie z kapitału zdobytego w wieku XVI, że nowego nie przysporzył.

Zabrakło bowiem przypływu nowych myśli ożywczych, tych bodźców, jakiemi się dla XVI wieku humanizm i reforma-

cja okazały; już wysilił się ich rozpęd, unieruchomiło się życie umysłowe, polityczne, ekonomiczne w dawno przetartych kolejach. Na Zachodzie było inaczej; tam uporał się absolutyzm z resztkami feudalizmu i tworzył nowożytne państwo; tam uporały się filozofja i nauki ścisłe z Arystotelesem i metafizyką; tam zajęła miejsce Włoch, które przez dwa wieki ster umysłowości europejskiej dzierżyły, kultura Wersalu i Paryża. Otóż żaden z tych bodźców nie tknął Polski; w porównaniu z wiekiem XVI rozluźniał się w XVII-ym jej związek z Zachodem, któremu zawdzięczała swoją kulturę. Opadał bowiem ilościowo i jakościowo tłumny wyjazd młodzieży zagranicę; najbliższe Niemcy zdziczały same w wojnie trzydziestoletniej, która Francję nad Ren zwabiła, a Włochy żyły również tylko z dawnego dorobku; Paryż zaś nie nęcił jeszcze masy szlacheckiej. Jej wystarczała coraz wyłączniej szkoła domowa, a tej zakres raczej się ścieśniał, nie dążyła już za europejską nową; mózgi polskie, nie odżywiane wiedzą ścisłą, powoli jakby zsychały. Wyjątkowo znachodzili się adepci myśli czy nauki zachodniej; obce książki, jakich dostarczałyby już tylko bibljoteki wielkopańskie, np. Opaleńskich, wychodziły zupełnie z obiegu, a niebawem stawały się i własne zbytkiem. Po r. 1640 nie drukowano już Kochanowskiego, już w drugiej połowie wieku skarżył się Wacław Potocki, że staropolska książka, to rzadkość; literatura złotego wieku ludziom siedmnastego nic już nie mówiła; o przedruku Modrzewskiego, co planowano w Strasburgu i Paryżu, w Polsce nikt ani pomyślał; popłacała *Apokalipsa* niby Orzechowskiego.

Polska szesnastowieczna ciążyła ku Krakowowi, ku Zachodowi; teraz stały się Kraków i Poznań jakby ukrainami; Kraków przynajmniej koronował jeszcze i grzebał królów, Wielkopolska zasuwała się powoli w cień. W ubogie, niekulturalne, zato arcykatolickie Mazowsze przesiedlił się nagle dwór, z nim stolica państwa, i na piaskach mazowieckich wznoszono na gwałt pałace i domy dla napływających dygnitarzy, czujących się tu nierównie bardziej obcymi, mieszkańcami na czas przelotny, niż w murach piastowej i jagiellońskiej stolicy; kogo urząd nie zmuszał, opuszczał najchętniej nową stolicę i dwór królewski.

Za geograficznem przesunięciem stolicy nastąpił przewrót polityczny, moralny i kulturalny. Demokracja szlachecka stanęła w jawnej opozycji przeciw dworowi; nawet osobista popularność Władysława IV nie przełamała oporu przeciw jego polityce; zadomowiona szlachta nie troszczyła się ani o flotę, ani o zabezpieczenie Ukrainy, żądna pokoju za każdą cenę, coby dozwalał jej wyzyskać w pełni wygody ekonomiczne, nacieszyć się swoim dobrobytem, ubożącym kraj. Jej krótkowzroczna polityka handlowa i cłowa przyspieszyła upadek miast, a polityki zewnętrznej nie uprawiała żadnej, nie mieszała się, bezmyślna, do niczego. Katolicyzm szlachty nie wadził jej bynajmniej wojować z sobkostwem duchowieństwa, tylko już nie o wiarę, jak niegdyś, lecz o dobra ziemskie, aby ich martwa ręka nie pochłonęła.

Brakło więc czegoś nowego, coby z Zachodem spajało, natomiast ścieśniały się węzły ze Wschodem, na który olbrzymia kolonizacja się skierowała. Piaszczyste Mazowsze i Wielkopolskę opuszczała szlachta (np. Chmielniccy), nie mogąca się wyżywić na coraz drobniejszych działkach; nęcił ją kraj mlekiem i miodem płynący; wobec latyfundjów nowych magnatów (Lubomirskich, Sieniawskich, Potockich i in.) ginęły mazowieckie i wielkopolskie majątki; zaciężyły nad Polską Ukraina, Podole, Pobereże, co do niedawna za mordownię uchodziło, słowu *zbereźny* 'łotrowski' życie dało. — Kolonizowano wprawdzie już od XV wieku tę Ruś, majątki ziemskie przechodziły do rąk polskich przez ożenek czy nadanie królewskie; budowano zameczki obronne w Sieniawie czy Szarogrodzie, ale myślano tylko o Królewcu i Pradze, o Padwie i Rzymie; zacofana Ruś śmieszyła pyszałkowstwem księżniczek wołyńskich albo bezdenną naiwnością «Litwinów» narówni z Tatarami, o czem fraszki Rejowe

świadczyły; Polska żyła wtedy z Zachodem, oddychała Europą. To się po r. 1600 odmieniło.

Dotąd zadowalali się panowie osadzaniem na mołdawskim stolcu hospodarskim Bazylidów czy Mohiłów, od Łaskiego do Zamoyskiego, prowadząc politykę na własną rękę; r. 1603 na samą Moskwę się rzucili. Nie odgadniemy, kim był Hriszka Otrepjew; nawet tajna policja Szujskiego nie wykryła, kto go w Moskwie wysforował na Godunowa; tak zręcznie pozacierano ślady. Winniśmy się zadowolić tanim domysłem, że to spólna robótka moskiewskich bojarów i panów «litewskich»; Zamoyski nie wiedział o niczem, «komedja» zaskoczyła go niespodzianie, ale czy Lew Sapieha toż samo o sobie mógłby zaprzysiąc? W każdy sposób wprowadzili Łżedymitra[1] do Moskwy awanturnicy polscy, z moralnym i materjalnym rozbitkiem Mniszkiem na czele, i nie rozszczepiały się odtąd dzieje moskiewskie i polskie. Witana tryumfalnie komedja skończyła się tragicznie «godami sycylijskiemi» i z unji planowanej wyroiły się wojny zabójcze, z dłuższemi przerwami jedna po drugiej, zakończone traktatem Grzymułtowskiego, t. j. zrzeczeniem się przez Polskę Kijowa i Zadnieprza za ułudę przymierza przeciw Turkom. Ciągnęły się już przez wiek XV i XVI czerwoną nicią te spory, ale jakżeż daleko od Orszy i Pskowa do Moskwy i Kłuszyna, do Wilna i Szeremeta, a cóż dopiero do dziejów nowej kultury rusko-polskiej.

Wojny domowe, nieznane wiekowi złotemu, towarzyszyły jakby na umysł zewnętrznym i wpływały najniekorzystniej na ich przebieg. Byłoż «malkontentów» zawsze sporo, ale teraz dopiero rozsadzała ramy państwa nieufność wobec dworu, niestety, aż nadto uzasadniona; ta uniemożliwiła reformy a utrwaliła nierząd coraz groźniejszy; regaliści i jezuici okazali się bezsilnymi.

[1] Byłby nam obojętnym, gdyby nie był mieszańcem kultury polsko-ruskiej; pierwszy, ale nie ostatni okaz.

Do wrogów wschodnich przybył najniepotrzebniej, bo w dynastycznych widokach wyzwany, wróg nowy i odemścił się srogo wybór «Szwedzika» na tron polski; cała polityka najniepopularniejszego króla zasadzała się na pretensjach do utraconej, z winy własnej i jezuickiej, korony. Trzeci, największy zalew szwedzki miał, zdawało się, uczynić Polskę dependencją szwedzką, a zakończył się independencją pruską i zupełnem wyniszczeniem kraju, czemu Rakoczy z swymi Siedmiogrodzianami dzielnie pomagał. Heroiczny wysiłek narodowy oczyścił wkońcu kraj od obu rabusiów.

Najcięższe przeprawy zgotował Półksiężyc. Do nabiegów tatarskich przywykło się; podziwiano bohatera, jak Chmielecki, co gromił opryszków, ale tragedja cecorska pociągnęła za sobą chocimską, tatarska turecką. Cudem obroniono się przed olbrzymią, lecz źle prowadzoną armją. W XVI wieku nie było kwestji wschodniej, bo przezorna polityka jagiellońska dążyła ku zachowaniu pokoju z sułtanem. Mimo sprzecznych interesów węgierskich, mołdawskich, kozackich, nie dano się wciągnąć do świętej ligi antykatolickiej dla Habsburgów i papieża. Teraz niebezpieczeństwo tureckie okazało się nie urojeniem («strachy na Lachy», aby pobór wycisnąć); podsadziła się Turcja pod Karpaty, zdobyła Kamieniec, panujący nad Podolem, i zmusiła Polskę do haniebnego traktatu buczackiego. Żeby to niebezpieczeństwo raz na zawsze odwrócić, przystąpił Sobieski do ligi świętej, poszedł pod Wiedeń i w dzień po zwycięstwie, najświetniejszem w dziejach polskich, najgłośniejszem przynajmniej, opracowywał plany olbrzymiej walki zaczepnej z Półksiężycem w trzech częściach świata. Przygotowaniu i uskutecznianiu tych planów poświęcił ostatnie dziesięciolecie swych rządów. Niczego nie osiągnął skutkiem zdrady sprzymierzeńców (Moskwa mimo traktatu Grzymułtowskiego, jaki król zalewając się łzami podpisał, na placu boju nie stanęła); skutkiem zawodnictwa z cesarzem (który w imię zmurszałych tytułów węgierskich rościł prawa do Moł-

dawji, celu zabiegów polskich); skutkiem intryg francuskich; skutkiem zawodu tatarskiego i perskiego. Wtedy to po raz ostatni wystąpiła Polska jako podmiot w polityce światowej, aby po roku 1696 służyć już tylko za jej przedmiot.

Na takiem ponurem tle wojen, które jedna drugą spychały, rozegrała się najstraszniejsza, kozacka, co Rzeczypospolitej ranę zadała, którą wypłynęła jej krew żywotna, z której się nie wyleczyła. Wojny kozackie przekazał wiek XVI nowemu, ale z niemi Polska zawsze się uporała; roku 1648 byłoby się to samo powtórzyło i byłby Chmielnicki zęby skruszył o granit Polski, gdyby nie zdrada, nieznana XVI wiekowi, i Tatarzy, z którymi się Kozacy XVI wieku nie bratali. Dzicz kozacka nie byłaby nawet Kudaku zdobyła, gdyby nie przymierze tatarskie, okupione jasyrem ruskim; gdy Tatarów mu zabrakło, rzucił się Chmielnicki carowi pod nogi i zaprzepaścił Ukrainę. Wojny kozackie odarły Polskę na zawsze z aureoli władzy i zwycięstw; nawet chamy tatarskie zaczęły ją lekceważyć i ponawiały swe nabiegi mimo zwycięstw Sobieskiego, chocimskiego i wiedeńskiego, właśnie jego dobra pustosząc nielitościwie.

Nie zaznała Polska wojny trzydziestoletniej, która kulturę niemiecką o cały wiek cofnęła, lecz wyniki piętnastoletniej (1648—1663) były nierównie straszniejsze dla Polski. Dzicz tatarsko-kozacka zmiotła kulturę z całego Wschodu; Ukraina zmieniła się w Ruinę; z kolegjów jezuickich nie pozostały ani mury; Żydzi z bogaczów stali się żebrakami; na targach wschodnich spadły ceny niewolników, bo dzięki Chmielnickiemu pędzono ich do Krymu setkami tysięcy; z osad ludnych pozostały tylko czarniejsze śród pogorzelisk plamy; Litwie i Koronie nie folgował zbój moskiewski, szwedzki, siedmiogrodzki; egzulantów smoleńskich, bracławskich, podolskich, skazano na nędzę. Do strat materjalnych, już nigdy nie wyrównanych (miasta nie podniosły się odtąd nigdy), przybyły moralne, bo wzmogła się nienawiść wyznaniowa; wojna z lutrem Szwedem i z Półksiężycem

przybrała odcień religijnej: wypędzono Szwedów, ale i arjan, a kwitnące Braci Czeskich Leszno spalono do cna.

Kultura polska odcierpiała krótsze spustoszenie nierównie dotkliwiej, niż niemiecka dłuższe, bo była daty świeższej, mniej silnie zakorzeniona. Dla niej ułożyły się tragicznie dzieje: zdrada magnatów, planowana r. 1608, dokonana r. 1655, do której się i różnowiercy ile sił przyłożyli; konfederacje wojskowe, obezwładniające zwycięski oręż polski w najkrytyczniejszej chwili; wojny domowe, wzniecane z równych pobudek a z nierównym wynikiem (Gąsawa a Mątwy!); nowi wrogowie: Szwedzi i Turcy; rebelja kozacka. Były świetne zwycięstwa na każdym teatrze wojny, czy w Inflantach, czy na dalekiej lub bliskiej Rusi, czy pod Chocimem i Wiedniem; okryła się broń polska nieśmiertelną chwałą, ale wycieńczono siły, wypłynęła najdzielniejsza krew, wyczerpano zasoby energji i dobrobytu. Szlachta ociężała, przestała liczyć na własne siły, zaspokajała się myślą, że przeznaczeniem Polski dochodzić do ostatnich kresów zguby, aby cudem, łaskawym dopustem Bożym, ocaleć.

Byle głębszy umysł odczuł Piławce jako klęskę niepowetowaną nigdy; wyznawał jawnie Ł. Opaleński:

> stąd początek złego, stąd upadły siły
> wszystkie oraz; śmiele rzekę, że skrzydła rozpięte
> orła polskiego jednem nieszczęściem obcięte;

tak samo Wacław Potocki; inni tłumaczyli tę klęskę tem, że szlachta się zależała, odwykła od bojów. Jako przedmurze chrześcijaństwa słynęła Polska przez całe dwa wieki, od kiedy po roku 1471 papież i Wenecja wciągały Polskę do ligi antytureckiej; wypełniła tę rolę dopiero pod Chocimem 1621, 1674, i pod Wiedniem 1683 r., lecz i tu nowego celu sobie nie założyła. Już wysuwano zagranicą, co się później w samą Polskę na jej zgubę wszczepiło, że zazdrość sąsiadów jej byt zabezpiecza, że żaden nie dopuści jej zaboru komu innemu, ale coraz uporniej pojawiała się groźna myśl o rozbiorze.

WADY USTROJU

Wady ustrojowe, które się już w wieku XVI zaznaczały, występowały coraz jaskrawiej: elekcja, niedopuszczająca wyboru *vivente rege*, coby kraj od wichrzeń bezkrólewia chroniło; *liberum veto*, wskutek czego mniejszość nie uginała się pod votum większości; brak skarbu, narażający kraj na olbrzymie straty dla konfederacyj niepłatnego wojska; nowe urządzenie (acz na papierze tylko) przestarzałego zupełnie pospolitego ruszenia, które, jak w r. 1621, o wiele groźniejszem się okazało dla swoich, niż dla wroga. Ale i po szkodzie nie był Polak «mądr»; ani karykatura elekcji (czy Walezego, kiedy «elekt» po kilku miesiącach uciekł sromotnie — dziwy o tem opowiadano zagranicą jeszcze w XVII wieku; czy Wiśniowieckiego), ani walka Zygmunta z Maksymiljanem nie pouczyły nikogo; tak samo nie poskutkowały ani pierwsza konfederacja żołnierska, zwiastunka groźna przyszłych, ani rozerwanie sejmu przez jednostkę: w tem wszystkiem upatrywano, przeciwnie, jakieś arkana-misterja «złotej wolności».

Rak anarchji toczył powoli wnętrzności. W imię zagrożonej wolności powiodło się magnatom dwukrotnie poprowadzić szlachtę przeciw królowi, a Sobieskiemu Pacowie i Sapiehowie krzyżowali plany. Powaga monarsza malała nagle; niepopularność Zygmunta III, otaczającego się Szwedami i Niemcami; Jana Kazimierza, pionka posuwanego przez Marję Ludwikę; Wiśniowieckiego, kpa ukoronowanego — spiknęły się, aby szlachtę uruchomić przeciw każdej robocie dworskiej, w której zawsze tylko zadatki absolutyzmu i zamachy na wolność upatrywała. Że śród absolutyzmu, na kontynencie wszechwładnego, jedyna Polska hasło wolności piastowała; że każdy szlachcic liczył się jej bohaterem, w jej obronie korda dobywał, byłoby walną zasługą narodu, który wolnością, jedynem do niej dążeniem, wszystkich «republikanów» świata przewyższał, gdyby ta wolność liczyła się z karnością, t. j. z potrzebami państwa, i nie wyrodziła się w anarchję. Powaga, nie tronu, ale nawet i prawa upadała widocznie, rozpasywała się bezkarność samowoli; pisano mądre ustawy, ale ich nie wprowadzano w życie, i nawet Żydzi z nich kpili; druga połowa wieku przedstawia się też w porównaniu z pierwszą nierównie groźniej. Gdy w XVI wieku jeszcze szlachta o swoich losach rozstrzygała, egzekucję, unję, konfederację, trzy elekcje zwycięsko przeciw magnatom przewiodła, przesunęła się teraz przewaga ku możnowładztwu i nawet Sobieski nie miał rąk wolnych. Już chodziła szlachta na pasku Jaśnie Wielmożnych; przeprowadziła jeszcze wybór Wiśniowieckiego na swoją zgubę, i Sobieskiego na swoje ocalenie, ale potem wybór Niemca, niemożliwy w wieku XVI, dowiódł wyczerpania szlachty. Przeprowadziwszy ustawę, wykluczającą rodaka od tronu, miała do wyboru wszelakich Niemców i Francuza (Conti); jawne niemal przekupstwo grasowało jak nigdy przedtem ani potem. Ponieważ Niemcy wkońcu złożyli miljonowe fundusze w gotówce na Sasa, a Francuzi tylko wekslami szermowali, zwyciężył Sas, katolik najświeższej daty, bez religji i sumienia. Straszne zubożenie kraju, zniechęcenie szlachty ku wszelkiej polityce, uniewinnia częściowo ten wybór fatalny, ale zrzeczenie się wszelkiej akcji, pacyfizm bezwzględny przejął szlachtę oddawna. A wynik był ten, że w ciągu całego wieku nie skorzystano z żadnej sposobności (jeśli wojnę o Smoleńsk i plany moskiewskie pominiemy); ani podczas wojny trzydziestoletniej nikt np. o odzyskaniu Śląska nie pomyślał; Bałtyk zaniedbał i Sobieski, planów i zachodów Władysława IV nie podejmując na nowo; apel Prus Książęcych (Kalksteina i in.) do zwierzchniczej niedawno jeszcze Korony skończył się jawnem pogwałceniem (uprowadzeniem Kalksteina); pochody Sobieskiego dla zdobycia nowych przestworów na południu zmarnowały się fatalnie; gdy Europę coraz nowe wojny rozrywały, tonęła szlachta we śnie błogim, wyrzekłszy się wszelkiej polityki zewnętrznej. Parlamentaryzm jej wyradzał się w karykaturę. Zawsze wymagano jednomyślności w przyjmowaniu uchwał, t. zn.

mniejszość poddawała się większości. Dopiero w XVII wieku mniejszość, zamiast ulec, opuszczała salę sejmową i uniemożliwiała pracę, bo ta stanowiła całość i sprzeciwienie się jednej uchwale pociągało upadek wszystkich. Ale r. 1652 poseł z Upity, jednostka, nie mniejszość czy stronnictwo, unieruchomił sejm, i marszałek, zamiast przeciw takiemu gwałtowi zaprotestować i nań nie zważać, zalał się łzami i sejm pożegnał. Nawet na takim jawnym nonsensie nie skończyło się; później zrywano sejmy jeszcze nie istniejące, bo przed wyborem marszałka, a że *exempla trahunt*, więc raz nawet trybunał zerwano. Lecz nie był to jedyny cios śmiertelny dla powagi i władzy sejmowej; podrywały ją sejmiki, wybierające posłów albo słuchające ich «relacji» z sesji ubiegłej. Dawały i dawniej sejmiki posłom na drogę instrukcje, przeważnie w rzeczach lokalnej wagi, żeby się o to i o to upominali, ale teraz uczyniły te instrukcje obowiązującemi, t. j. wymagały od posłów, aby tamowali *activitatem* sejmową, nie dopuszczali do obrad, póki nie załatwią wpierw tej lub owej «instancji», i wzywały ich do zrywania sejmu, gdyby nie uwzględniono ich żądań. Takim sposobem przesuwało się znaczenie sejmu do sejmików i partykularyzm zwyciężył nad państwowością. Dla dopełnienia karykatury nie było nawet regulaminu sejmowego; każdy gadał co chciał i jak długo chciał; marszałek nie mógł zmusić do trzymania się porządku dziennego; powaga jego zawisła tylko od stopnia szacunku osobistego, czy znaczenia tej partji, do której należał. Każdy z sejmujących widział te niedorzeczności, ale godzono się na nie w ukrytej myśli, że może wypadnie się samemu tego wygodnego środka uchwycić, który przedstawiał najpewniejszą obronę przeciw zamachowi *absoluti dominii* (zmory trapiącej szlachtę); obawiano się wreszcie tworzenia precedensu dla innych reform. I zdano bez skrupułu, wylewając łzy krokodylowe, cały sejm i całą jego żmudną pracę na złą wolę jednostki; *liberum veto* stało się kamieniem węgielnym ustroju Polski.

Wyjątkowo odzywał się głos przestrogi, najracjonalniejszy w Łukasza Opaleńskiego, marszałka zerwanego świeżo sejmu, *Rozmowie plebana z ziemianinem albo Dyskursie o postanowieniu teraźniejszem Rzeczypospolitej i o sposobie zawierania sejmów* (1641). Pierwszy dzień tej rozmowy poświęcono władzy królewskiej, którą koniecznie wzmocnić należy, i okazaniu, że sławiona wolność jest istotną niewolą, szczególniej jeśli sprzeciw jednego wszystkich hamuje. Te utopje odrzucił szlachcic i żądał na drugi dzień konkretnych środków dla «zawierania» sejmów. Pleban podał trafne: wymagał władzy dla marszałka; zatamowania nieskończonego gadulstwa (wot senatorskich, relacyj hetmańskich, i t. p.); usunięcia «arbitrów» (obcych) z sali sejmowej; rozdziału materyj, w jakim je porządku traktować; wyboru komisji dla spraw specjalnych, i t. d.; już rozlegała się skarga o posłach przekupnych. Ale był to głos wołającego na puszczy. Zupełna zawisłość szlachty od magnatów była już faktem; już należało się opierać o czyjeś plecy silne, aby nie narażać na szwank życia czy mienia, aby liczyć na «krescytywę» czyto w formie wygodnej dzierżawy w dobrach magnackich, czyto w posuwaniu na urzędy albo w ekspektatywie na, jeśli nie całe starostwa, to choćby na jakieś cło czy inne obrywki. Szlachta, zagarnąwszy wszelkie przywileje i korzyści, była przekonana, że nikt jej nie dorównał, że strzegła, jedyna w Europie (o Anglji nie wiedziała), i wolności i szlachectwa, jakiem Bóg Polskę uraczył; arcyludzki jego początek iluzji nie naruszał.

IDEOLOGJA SZLACHECKA

Podstawę władzy zyskała szlachta w paktach z dynastją węgierską i litewską, a doprowadziła ją do szczytów w ciągu XVI wieku; stan posiadania zabezpieczyła również teoretycznie, uzasadniając swojem pojęciem o szlachectwie jego jedynowładztwo w kraju. Szlachta bowiem stworzyła państwo krwawemi wy-

sługami; ona jedyna je broni, więc tylko ona powołana do jego rządów; wyklucza od nich mieszczan i chłopów, bo ci państwa ani tworzyli, ani bronili; mieszczanie są zajęci przemysłem i handlem, ten zaś samemi godziwemi środkami nigdy nie obstoi, i dlatego szlachta się go zrzekła; już w XV wieku stawiano na równi szlachtę szynkującą z łotrującą; obie mógł chłop bezkarnie lżyć! Chłop znowu tylko gmerze w roli, niezdolny do niczego innego. Więc wyodrębnił się stan rycerski od każdego innego.

Pierwsza, a właściwie jedyna jego cecha, to rodowitość; do szlachty należy, kto z nią połączony krwią od przodków w męskiej i żeńskiej linji. Syn szlachcica od matki albo babki mieszczki nie uchodził za pełnego szlachcica; kapituły nie dopuszczały go do kanonij. Krew szlachecka czysta winna płynąć w jego żyłach, bez przymieszki nieszlacheckiej, i to nie od dziś, więc gdy w imię krwawych wysług czy z jakich innych względów obcego czy ziomka zaszczycono nobilitacją, to przecież w zwykłej drodze nie zostawał pełnym szlachcicem — tej pełni nabywał dopiero prawnuk jego. Szlachta jest więc ciałem zamkniętem i wchodzi się do niego nie tak nobilitacją królewską, jak przyjęciem do herbu; imię na *-ski* jest formalnością, istotę stanowi herb, a dowolnie herbów mnożyć się nie godzi. Prawda, są herbyrody starsze i młodsze (już w XV wieku oskarżył szlachcic przeciwnika, że go zelżył, twierdząc: mój herb jest w kronikach, a twego tam niema), ale to nie rozstrzyga, tak samo jak równości szlacheckiej nie wadzi większy lub mniejszy majątek. Wadzi jej jakiekolwiek różnicowanie godności. W hierarchji społecznej stawał wyżej wojewoda niż szlachcic zagrodowy, ale honorowi osobistemu czyli raczej kastowemu to ujmy nie czyniło, bo godności się nie dziedziczyło i wojewodzic mógł zejść, mimo tytułu ojcowskiego, na najpospolitszego szlachetkę. Poza różnicami, jakie urząd (dożywotni, nie dziedziczny) nakładał, nie znosiła więc szlachta żadnych dalszych, nie uznawała żadnych hrabiów czy książąt, i właśnie w trzydziestych latach prowadzono o to ostre walki z powodu «księcia» Ossolińskiego.[1] Jak tytułów, tak nie znoszono także orderów; gdy Władysław IV wraz z kanclerzem Ossolińskim ułożyli r. 1634 «Kawalerję»,[2] takie powstało wzburzenie między szlachtą, że gotowego już projektu sejm nie zatwierdził; po spółczesnych rękopisach szlacheckich nie brak paszkwilów na nią; jeden, w ulubionym wtedy stylu nakamiennym, kończył westchnieniem poety: «Niemasz Cię, Orszulo moja».

Po nobilitacji albo otrzymywał nowy szlachcic swój osobny herb, albo raczej przyjmował go ktoś herbowy do swego klejnotu; niegdyś bez ograniczeń to uchodziło, ale żeby zapobiec

[1] Adama Grodzieckiego kasztelana *Przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich w polskiem królestwie i w państwach do niego należących* r. 1634 (pod anagramem: Macieja Dargodzkiego) wytoczyła 50 argumentów przeciw obcym tytułom i dodała list podskarbiego koronnego Firleja do syna (Jędrzeja, późniejszego biskupa przemyskiego) w Ingolsztadzie, gdy się tam o rangi kłócono: Firlej opowiadał o powstaniu tytułów na onym zjeździe wiedeńskim z r. 1515, gdzie je młodzi, nie starsi, przyjęli. Argument 19 brzmiał: ze zmianą myśli i ziemię odmienią «jako Osmólski do Norymbergu na lepszy rząd albo i jako Ferensbach do Niemiec lepszego szczęścia szukać jechał». Należy się obawiać, żeby zczasem «kto z tych tytulatów, doskrabawszy się potęgi (o co przy kunszaftach z obcymi nie trudno), nie chciał garlić (dusić) Rzeczypospolitej. Inny dostojnik prawił: Gustaw (Adolf) poprawi Polakom ustaw. Zostawiał tylko (i to z widoczną niechęcią) tych kilka tytułów kniaziowskich — kniaź, t. j. kniei pan, — które unja 1569 r. uznała. Odpisał na to Jeremjasz Bielejowski i poświęcił Jerem. Wiśniowieckiemu: *Obronę tytułów książęcych od Rzeczy pospolitej uchwałą sejmową pozwolonych,* r. 1641. Obrona, bardzo słaba, odwoływała się właściwie jedynie na dawność i oświadczała się równie energicznie przeciw wszelkim nowym tytułom, bo autor był w gruncie tego samego zdania, co Grodziecki.

[2] Wedle niebardzo wiarogodnego opisu J. Fryd. Sapiehy (w łacińskiem dziele o orderze Augusta II z r. 1730) był to krzyżyk (obraz Matki Boskiej; na odwrocie orzeł biały), zawieszony na złotym łańcuchu o ogniwach (naprzemiany snopek strzał i lilja) z napisami. Papież Urban VIII potwierdził statut tego orderu Niepokalanego Poczęcia N. P. M. w 22 paragrafach; order miał liczyć najwyżej 72 kawalerów, z tych jedna trzecia mogli być cudzoziemcy (monarchowie i in.). Sejm wszystko odrzucił.

nadużyciom, zakazano surowo samowolnego przyjmowania do herbu pod karą utraty szlachectwa i majątku. *Księga Chamów (Liber Plebeanorum),* srogi pamflet na łyków i chłopskich synków, podszywających się, najczęściej za pomocą swych panów albo za datkiem sporym, pod herbowną szlachtę, pamflet głównie Małopolski i Rusi tyczący, do dziś niedrukowany, a zawierający kronikę skandaliczną pierwszej połowy wieku, przytaczał liczne przykłady podobnego nadużycia; wiele tam plotek i nieścisłości, ale jedyna to dawna księga tego rodzaju i druku się domaga koniecznie; dla kultury źródło arcyważne. [1]

Wymagania rodowitości wychodziły z zasady dziedziczności, zauważanej i w przyrodzie; sowa nie zrodzi jastrzębia, ani mieszczanin rycerza. Z dziedziczną krwią przechodzą dziedzicznie także rysy fizyczne i moralne, nawyczki i nałogi (chłopu należy się jeść, szlachcie pić; chłopska natura kraść, i t. d.), tak że od samego narodzenia szlachcic przeznaczony do czegoś wyższego, choćby bez żadnej własnej zasługi. Wprawdzie wymagała

[1] Dr Helena Polaczkówna zbadała kopję Ossolińską *(Miesięcznik Heraldyczny* III, Lwów 1911); petersburski rękopis Załuskiego, to oryginał — z zostawianemi dla dopełniań białemi kartami, bez kryptogramów, ale z cyrylickiemi ustępami (bez osobliwszego znaczenia). Nie dla heraldyki, lecz dla dziejów obyczajowości źródło to wielkiej wagi i zasłużyło na całkowity przedruk, nie na «przesianie». Wspomina między innymi alchemika Sędziwoja; siostra Rusinowskiego była jego kochanką przez lat kilkanaście; za furtką św. Anny mieszkał w Krakowie aż do r. 1626, poczem wyjechał do Niemiec i tam mieszkał. Na wewnętrznej okładce górnej wypisano: «iuramento obsignatus liber iste ne... manus insignis Valeriani Zbylut Necande Sieciechowski concredatur». Tytuł ten sam, co w kopji Ossolińskiej, z drobnemi odmianami (na lepsze). Jakiejś zapiski, coby się do króla Jana (Sobieskiego) ściągała, w oryginale niema, który czasy Zygmunta i Władysława wyłącznie uwzględniał (oprócz polemiki z Paprockim). I inna szlachta spisywała «chamów»; p. Sobiepański pod Sieradzem miał pisaną księgę «genealogję siła plebejuszów». *Księga Chamów* bywa też i znakomitym komentarzem do wierszów Hier. Morsztyna i in., opowiada szczegółowo odnośne anegdoty.

literatura moralizująca, od Modrzewskiego począwszy, osobistych zasług, któremiby rycerz-szlachcic zarabiał na honor klejnotu; zżymała się, że sam przypadek urodzenia już zgóry stanowi o wartości człowieka, bo «U świata szlachcic — uczciwy, Chocia będzie djabeł żywy, A kto robi, to gbur prawy»; moraliści wymawiali nieraz, że nie ród, ale czyny o szlachectwie świadczą, żądali od Zborowskich czynów Zborowskich, ale to były frazesy humanistyczne, których na serjo nie brano; czem marniejsza była osoba, tem goręcej przodków sławiono, a w dymie kadzideł panegirycznych zacierały się rysy choćby nicponia. Znano się zresztą na tem i szydzono nieraz np. z Paprockiego i jego «domu starożytnego», w którym młody (niepewny) szlachcic siedział, a panegiryki słynęły jako *gę-gę* (domyśl się *l-* początkowego).

Do rodowitości przystępowała osiadłość, *bene natus* winien być i *possessionatus;* kto nie posiadał majątku ziemskiego, nie używał pełni praw szlacheckich, bywał np. wykluczany od wyborów. Bo Polak rzeczony od pola, więc na polu służyć ma, czy na wojnie, czy, jak od XVI wieku regułą bywało, na roli, czy sam, czy za siebie każąc chłopom swoim robić. Handel i przemysł kalają szlachcica; kto się łokciem lub funtem bawi, albo kto miejskie prawo przyjmie, traci szlachectwo; wraca doń znowu, skoro miasto pożegna na zawsze; ale dzieci, urodzone wtenczas, gdy się ojciec-szlachcic miastem bawił, traciły szlachectwo (wedle uchwały sejmowej 1633 r., później powtarzanej). Takie potępienie godziwej pracy (obce Anglji) psuło ludzi w Polsce gorzej niż gdziekolwiek indziej; i wydzierał się kto mógł ze stanu niższego, a zarzucić komu nieszlachectwo, *imparitatem,* równało się śmierci cywilnej; tą bronią możniejsi nieraz wojowali; wystarczy przypomnieć opały Matuszewicza, gdy mu Czartoryscy wbrew wszelkiej słuszności *imparitatem* zarzucić kazali (połowa XVIII wieku). Nieposesjonat *(gołota, odardus)* służył wojskowo lub na dworze pańskim, nim się do posiadłości np. przyżenił.

Pogarda godziwego rzemiosła i zarobku była na kontynencie niemal powszechna, ale Polska liczyła dziewięćkroć więcej szlachty-próżniaków niż każdy inny kraj; w Polsce też rządu nie było, coby pilnował korzyści i potrzeb państwowych; Polska nie znała wreszcie stanu miejskiego, coby zczasem zrównoważył szlachecki. Więc mniejsza o to, że szlachta zabraniała miejskim synkom noszenia karmazynu, używania czerwonej pieczęci, że takiego *generosus* czytała *genere sus,* że przezywała mieszczan zamsikami, szycami, szołdrami, łykami; lecz to zdeklasowanie całego stanu czyniło go dla szlachty niedostępnym, upewniało ją w własnem próżniactwie i zmuszało zubożoną do chwytania się najryzykowniejszych środków, byle nie uczciwej pracy.

Z takiego układu wynikało samo przez się (rzecz w innych krajach nigdy nie słychana), że choć cała szlachta czuła się jednem wielkiem bractwem o cechach jakby mistycznych, ci, co się tym samym herbem pieczętowali (znowu rzecz gdzie indziej nieznana), uważali się za istotnych krewnych, choćby ich najdalsze przestrzenie dzieliły. Nabierała przez to genealogja nadzwyczajnego znaczenia, i mógł być szlachcic analfabetą, ale szczycił się niepomału, jeśli mógł w prostej czy bocznej linji, śród stryjców herbowych, wyliczać infuły, stołki czy drążki senatorskie. Próżność więc kwitła w najlepsze mimo wszelkiego gardłowania o równości i wysadzała się na tytułowanie dzieci wedle godności ojcowskiej i po śmierci ojca, jakby wojewodzic miał po śmierci wojewody choćby najlżejszą łączność z województwem. Drugą odnogę tytułomanji tworzyły niezliczone godności miejscowe, całkiem tytularne zazwyczaj, dla wszelkich powiatowych wielkości, i zdarzało się, że ten sam tytuł przysługiwał kilku osobom; kancelarja królewska niezawsze się o nieomylność starała; w tytuły opływała Litwa aż do śmieszności. W siedmnastym wieku wmawiano dla większego splendoru rodu zagraniczne jego pochodzenie; to odziedziczył ten wiek od poprzednich.

Że szlachcic z jawną pogardą na chamskie odrośle miejskie czy wiejskie spoglądał; że szlachty zagranicznej, choćby duków i parów, za równą nie uznawał; że magnat, nie książę np. Potocki, chętnie prawdziwego księcia (z ruskich przedlubelskich) na marszałka swego dworu obierał, to wszystko wynikało z dumy szlacheckiej. Ale ona także obowiązywała: do słowności (*verbum nobile debet esse stabile,* gdy w XVI wieku jeszcze się wymawiano: «aza ja Czech, abym słowo dzierżał?»); do nieznoszenia żadnej obelgi (czasem, «pod dobrą datą», urażano się o byle słówko, np. o «braciszka» — «ja cały brat»), przyczem chodziło o odruch natychmiastowy, bez owych formalności pojedynkowych, u zagranicznej szlachty obowiązujących. I zdawało się szlachcie, że gmach jej władzy, oparty na darmochach chłopskich i wygórowanej ambicji, wieki przetrwa, pod osobliwszą łaską Boską i opieką N. P. Marji, królowej polskiej.

Nie znoszono terminów «mniejsza» i «większa» szlachta, bo to się z równością nie zgadza, ale rozróżniano: *nobilis* o każdym szlachcicu; *generosus,* gdy urząd posiadał; najwyżej *magnificus;* za Sasów zjawił się wreszcie *illustrissimus* — ale wszystko *par super parem.* Tytuł przysługujący pierwotnie tylko królowi, *Wasza Miłość,* spospolitował się zupełnie i skracał w *Wasz Mość* a dalej w *Waść, Aść* i t. d.; to zastąpiło już w XVII wieku dawne ogólne *Wy,* którego w XVI wieku nawet żona do męża używała; *pan* jeszcze nie istniał, o *ty* zapomniano od wieków, chyba król go używał. Słusznie strofowano, że nawet rodzice synom «waszmościali».

Pomimo wszelkiego respektu przed panami zdobywała się szlachta zawsze jeszcze na ostrą ich krytykę. Gdy np. w grozie przed najściem tureckiem r. 1672 A. Lubomirski, wojewoda krakowski, Jan Wielopolski, stolnik kor., A. Morsztyn, podskarbi, z żonami pouciekali do Prus, do Gdańska, a inni w swoich zamkach się chowali, wystosował Wacław Potocki *Braterską admonicję do JWMP. Braci starszych* (I, 164—167), najsilniejszy wiersz, jaki kiedykolwiek napisał:

Nie pisać, ale każdemu plwać w oczy
Z takich wyrodków nieszczęśliwych trzeba...
Wstydźcie się baby, trzebienie i karli...
Czemuż na palcach nosicie sygnety?
Czemu po ścianach malujecie herby?
Gdy kufle wasza cecha, i kalety,
Kiedyście z synów stali się pasierby.
Śmielsze gdzie indziej rodzą się kobiety —
Pan co tysiącem pługów orze niwy,
Już ma we Gdańsku skarby i archiwy.
Insi do Rzymu bez wszelkiej sromoty,
Kiedy bić Turków, udają się z woty.
Co rok, pięćdziesiąt tysięcy intraty
Z starostwa i ma z królewskiego grodu,
A wżdy tak skąpy, zły i żydowaty,
Że na hajduków zamkowych dochodu
Żebrze, na swoje garnąc go prywaty,
A teraz, kiedy trzeba wyniść w pole,
Niechaj mi oko każdy nim wykole:
Już on ma swoję gdzie indziej wyprawę, i t. d.

Szlachta miała także inne przyczyny do sarkania na panów; mimo teoretycznej równości przychodziło jej znosić, obok wszelkiego sobkostwa, porywy samowoli pańskiej; wobec panów ukazywała się wcale usłużną, tem srożej uciskała niższych, jak obcy (Beauplan) zauważył. Na Litwie było z panami jeszcze wiele gorzej; litewski szlachcic, niedawno jeszcze niemy wobec panów-rad, ustępował znacznie przed koronnym w samopoczuciu swojem; Radziwiłłowie i Ostrogscy, Pacowie i Sapiehowie, mieli w Litwie nierównie większe znaczenie, niż Lubomirscy i Potoccy w Koronie. Sapiehowie przebrali wkońcu miarę w ucisku szlachty, w lokowaniu wojska w dobrach szlacheckich (wolnych przecież od postoju), i innych nadużyciach, ale Sobieski nie mógł ich zahamować; wplątali się i w walkę z biskupem wileńskim Brzostowskim, a wkońcu za podniętą pp. Kryszpinów stanęła przeciw nim cała wolna szlachta i w walce bratobójczej pod Olkienikami 1700 r. złamała przewagę Sapiehów, którzy gotowi byli wezwać

obcą pomoc (szwedzką). Już w XVI wieku była szlachta tego przekonania, że tylko zupełna równość szlachty zapewni jej wolność: utraciła ją szlachta czeska (wolność elekcji i t. d.), bo rozpadła się na wyższą i niższą, niby jak w Litwie, gdzie Radziwiłły i Chodkiewicze ze wszech sił unji się przeciwili, która tę różnicę, a z nią także przemoc panów zgładziła. Rozumiemy więc opór szlachty przeciw tytułom, orderom i t. p.

Dziedziczna *virtus* wyróżniała szlachtę; objawiała się na wojnie (wojenne zasługi jedynie upoważniały nobilitację) i w obronie wolności przeciw zamachom królewskim, w rokoszu. Dla jego uświetnienia zmyślono (nie wiemy napewno, kto i kiedy) «rokosz gliniański», «acz go za niegodny dziejopisowie sądzą», bo u Kromera i in. wzmianki o nim nie było. Król Ludwik zamierzał Ruś Czerwoną od Korony oddzielić i spraktykował w tym celu sześciu dostojników złotem, ale na wiadomość o tem zwołał w. marszałek Rafał Granowski pospolite ruszenie pod Gliniany; tych sześciu towarzyszących królowi wyzwano do koła, gdzie im zdradę udowodniono; ścięto ich i pod 'majestatem' ułożono. Na drugi dzień przyjęto króla uroczyście; Granowski w przemowie żądał zachowania praw i wolności, objawił zdradę i karę, jaka zdrajców spotkała, i pokazał trupy; król struchlały nadał wolności i t. d. Opisał to między innymi W. Potocki w osobnym wierszu, i święcie wierzyła szlachta w tę bajkę, którą dopiero Załuski za Augusta III podważył; każdy mówca opozycyjny potrząsał groźnie «Glinianami», jak i Jazłowiecki w swej skandalicznej korespondencji z Djabłem Stadnickim r. 1606, który się jednak na Długosza powoływał, nieznającego wcale tej bajdy.

SĄDY ZAGRANICZNE

Rok 1648, słup graniczny między Polską zamożną, ludną, potężną, a ubogą, pustą i słabą, ujrzał książkę, sławiącą moc i bogactwo Polski. Szkot-Francuz Jan Barklay wyraził się roku

1614 w *Icon animorum,* t. j. w opisie pięciu narodów, tłumaczonym nieraz na polskie, z przekąsem o nędznych domach, o rozrzutności, heretyctwie, anarchji, pysze, przywilejach i gwałtach szlacheckich. Spóźnioną aż nadto odpowiedzią była *Polonia defensa contra Joannem Barclaium* (Gdańsk 1648, dzieło Łukasza Opaleńskiego). Autor bronił wszystkiego co polskie, słusznie i niesłusznie; brak kary śmierci odpowiada wedle niego celowi kary (nie zemsty), poprawienia grzesznika; przybyły z obczyzny kacerstwa, ale po rozwadze spokojnej wracają zwiedzeni do wiary przodków, co cała szlachta napewne uczyni, a ta jedynie rozstrzyga, bo o ministrów i mieszczan niema co pytać, jako o nieszlachtę. Nasze obyczaje nie są tak zepsute, jak francuskie; szlachta oddaje się studjom, francuska kultowi ciała; gdy w Paryżu zapytał o akademję (Sorbonę), zaprowadzono go do akademji szermierki i jazdy konnej. Klimat surowszy; mniej wielkich budowli, ale co za bogactwa! Wysłano raz do Gdańska 5.000 statków, przeciętnie wysyłają 4.000 wraz z tratwami, wartości około 300.000 talarów, a to ledwie trzecia część wywozu, idącego na Śląsk i Pomorze; z Piławy wywozi Litwa 15.000 łasztów zboża, a z Kłajpedy 23.000 ton pieńki.[1] Na jarmarku jarosławskim sprzedają nieraz 30.000 wołów, a 7—8.000 koni; rocznie gonią z Polski 60.000 wołów. Hodowla bydła kwitnie, szczególniej w Wielkopolsce; jeden właściciel przezimuje do 30.000 owiec. Na Rusi wybierano dziesięcinę z bydła co siedm lat; gdy dostał jeden właściciel 10.000 sztuk bydła, podzielił swe dobra tak, że rocznie ponad 1.000 dostaje; różni mogliby mieć 500—600 tym sposobem. Inni zbierają 20.000 kop oziminy i tyleż jarzyny, bez tego, co chłopi składają. Stawy spuszcza się co trzy lata, prowent z jednego 10—30.000 złotych, mimo tanich cen na ryby. Ruscy panowie otrzymują od poddanych dziesięciny mio-

[1] Marszałek M. Wolski obliczał przed r. 1630 wywóz z Gdańska i Królewca na 3 i pół miljona zł.; przywóz rzeczy zbytku na 2 i pół miljona.

dowej 1.000 rączek po 10 zł., ale miodów, chociaż na Litwie o Witoldowych mówią, wybredniejsi już nie używają; Węgry są ich piwnicą. Wielcy panowie posiadają nad 20—30 miasteczek i 300 wsi; mogą z nich wystawić 1.000 pieszych i 1.000 dragonów-kozaków, a w razie potrzeby i 3—4.000; hetman Koniecpolski miał świeżo w pochodzie przeciw Tatarom oprócz wojska koronnego 18.000 doborowego żołnierza, dostarczonego przez panów. Równie bogate urządzenie dworów; starzy dworzanie w sześciokonnych powozach, o stałej płacy 500—1.000 talarów, lub wsiami wyposażani; komorników młodszych, służących na 2—3 konie, bywa nieraz nad 20—30; paziowie wreszcie; zatem wielka liczba służby, mianowicie muzyków (jeden pan wydawał na nich samych, oprócz stołu, 5—6.000 talarów) i kucharzy; wkońcu straż przyboczna, setka dragonów niemieckich, albo kozaków wołoskich, albo hajduków węgierskich.[1] Szkodzi tylko zbytek; od kupców

[1] Że Opaleński bynajmniej nie przesadzał, dowodzi opis dworu wojewody krakowskiego, Stanisława Lubomirskiego (1583—1649), jaki po wielu latach r. 1697 podstoli żytomierski i kuchmistrz Lubomirskich, St. Czerniecki, w książce *Dwór, wspaniałość, powaga i rządy JOKs. St. Lub.* zestawił. Marszałków było dwóch; pisarzy pokojowych czteru; sług rękodajnych jurgieltników 60; krajczych czteru; kozaków srebrnych 60 (z szlachty, kozaków i in.; jechali przed karetą pańską, za nią ich czeladź); komorników (młodzież szlachecka, rozwożąca korespondencję i t. p.) kilkunastu, zacnych rodzin; przyjaciół, nawet senatorów nieraz, w liczbie nieustalonej, biorących ćwierćroczne czesne po kilka tysięcy złotych; pokojowych około 20, t. j. młodzieży kształcącej się na dworze pańskim, ćwiczącej się w zapasach i turniejach; ubiorów dostarczano im od dworu. Koniuszych dwu, kawalkantów trzech (jeden Włoch), koni cugów (jednej maści) 20, rumaków 60, 60 masztalerzów do nich z 60 mierzynami. Dragonów, Niemców przeważnie, 200, z dwoma kornetami; odprawiali warty, jeździli za karetą; mieli swoich trębaczów. Piechoty węgierskiej nadwornej 400 pod czteroma chorągwiami i rotmistrzami, z własną muzyką (szyposzy i doboszy). Gdy dwór miał ruszać, oni występowali naprzód; za nimi na drugi dzień rumaki; na trzeci muzyka; na czwarty myślistwo, a na piąty sam wojewoda z dworem. Kapela liczyła wokalistów: trzech dyskantystów (Włochów kastratów); trzech altystów; czteru tenorystów;

holandzkich wiadomo, że Polska sama spotrzebuje więcej korzeni niż cała reszta Europy, a Włochy winneby zarzucić uprawę jedwabiu, gdyby nie miały odbytu polskiego. W Paryżu, co za niebezpieczeństwo nocą po ulicach; zupełne bezpieczeństwo panowało pod Warszawą, chociaż 200.000 ludzi przez pół roku się chowało: cała szlachta w czerni, dla czci króla nieboszczyka, co obcych w zadziwienie wprawiało.

Pojedynek Barklaja-Opaleńskiego powtarzał się nieraz; nie znał go XVI wiek; jedyne głosy niechętne o Polsce wychodziły wtedy od Franzuców Walezego (zob. wyżej); zresztą zażywała Polska zasłużonej chwały, od protestantów za wolność sumienia, od republikanów za ograniczenie władzy królewskiej, od humanistów za kulturę obyczajową (wyższą niż niemiecka) i umiejętną. Teraz nie podobała się już republikańska Polska nowym absolutystom Zachodu; protestantom jej uszczuplenie tolerancji; humanistom upadek nauk. Już odzywały się uszczypliwe docinki: to była Polska «otchłanią dla królów, niebem dla

pięciu basów. Instrumentalistów liczyła: trzynastu skrzypków, z których niejeden był także znakomitym kornecistą i puzanistą; jeden storcista i jeden organista. Kapelanów było dwóch bernardynów. Myśliwców, sokolników i rarożników było 30; jastrzębi wojewoda nie przyjmował; coraz obdarowywano go sforami ogarów, smyczami chartów, sokołami, rarogami. Kuchmistrzów dwóch; kucharzy 12; dla nich sześć wozów konnych, a dwa dla naczynia; pasztetników 3; piekarzy 4. Przy śmierci zostawił wojewoda gotówką w skarbie 400.000 talarów i 100.000 czerwonych złotych, sukna postawów 400, wina węgierskiego 350 beczek, 8 lad wina włoskiego; wszystko wypili goście pogrzebowi. Rzeczy ruchome, od koni, karet, do sukna, cyny i miedzi, łyżek srebrnych, rozdali synowie między sługi dworskie; złotem i srebrem (wanny, cebry z drągami, flasze, kubki i t. d.) podzielili się między sobą, jak i całą kapelę rozebrali. Fortece wystawił wojewoda trzy: w Wiśniczu, Łańcucie i Połonnem na Wołyniu, każda z czterystu piechoty, 80 działami i z prowiantem trzechletnim; piechota wybrana z włości pańskich; osobni puszkarze do dział; prochownia w każdej fortecy. O kościołach i klasztorach (pijarów w Podolińcu na Spiszu, słynnych dobrą szkołą) nie wspominamy.

szlachty, czyśćcem dla duchowieństwa, piekłem dla chłopów, rajem dla Żydów, kopalnią złota dla kupców»; to Polacy «żyją bez prawa, stroją się jak anieli, biesiadują jak królowie, mieszkają jak świnie, śpią jak psy, giną jak chcą i kiedy chcą na wolności». Nierównie dotkliwszy był ów atak bardzo poczytnego Barklaja; spółcześnie (r. 1613) Niemiec, T. Lansius, wydawał roztrząsania o pierwszeństwie śród ludów Europy, *pro* i *contra;* mówca za Polską przemawiał słabo, tem ostrzej zwalczał go przeciwnik z powodu polskiego barbarzyństwa w życiu, ucisku chłopów, buty szlachty. Jemu odpowiedział Szymon Starowolski (zob. niżej) r. 1631 w osobnem pisemku *Przeciw obmówcom Polski;* zaznaczył, że brak nam przywar sąsiedzkich (pychy niemieckiej, próżności francuskiej i t. p.), zwyrodnienia Europy; sławił tolerancję, bronił nawet główszczyzny i ucisku chłopów (od rodu szlachcie posłusznych, nigdy się nie buntujących), a ograniczenia władzy królewskiej dla usunięcia wszelkiej tyranji. Ton pisma był skromniejszy, niż u Opaleńskiego. Najkrócej sprawił się A. Fredro 1660 r.; pocieszał się młodością Północy wobec starczego Zachodu, wykwintnością szlachty, losem chłopa nieuniknionym.

Nową nutę wprowadził zabór szwedzki; Karol Gustaw nietylko orężem, ale i piórem dowodził prawa Szwecji nad Polską, a posłużył się w tym celu autorytetem jurysty-historyka helmstadzkiego H. Conringa, który śród innych broszur wydał r. 1655 *List do Nikanora o sprawiedliwości wojny szwedzkiej* (kilkanaście wydań i tłumaczeń), gdzie gwałt szwedzki przedstawiał jako dobrodziejstwo dla Polski, jako jej ocalenie, bo śród zbytków i anarchji nie mogłaby się sama na to zdobyć; szwedzka siła uporządkuje Polskę. Dodał r. 1655 panegiryk Komeńskiego (zob. niżej), dmący w tę samą nutę: Karol Gustaw przywróci dawną swobodę polską dla wszystkich, nie dla samej szlachty, zapewni dysydentom wolność wyznania. Odpowiadali jacyś obcy, Nikanor i inni, zaprzeczając Szwedom wszelkiego prawa «leczenia Polski». H. Conring w wykładach uniwersyteckich poszedł dalej;

w *Skarbie państw* poświęcił osobny rozdział Polsce, dowodząc, że jedynym jej celem jest zbytkowne życie szlachty, a cel to niemoralny i szkodliwy. Młody słuchacz jego, Jan Sachs ze Wschowy, pisarz toruński, odpowiedział mu r. 1665 pod przybranem Fr. Mariniusa nazwiskiem, dziełem p. t. *De scopo* (o celu) *reipublicae Poloniae adversus H. Conringium dissertatio* etc.; dowiódł tendencyjności jego i złośliwości, wykazywał, że celem Polski jest równość i powodzenie dla wszystkich obywateli, bronił elekcji (z wykluczaniem ziomka dla równości szlacheckiej), porównywał wszelkie urządzenia polskie z obcemi, minął kilka punktów drażliwych, nastawał na wolności sumień. Uczeń inny Conringa odpowiedział Sachsowi, ale mu nie dorównał.

Później sprawa elekcji po Janie Kazimierzu rozruszała pióra obce, by o Polsce i jej ustroju pisali, np. młody Leibnic, słynny później filozof, który w usługach kandydata, księcia Neuburskiego, w nieomylny sposób matematyczny dowodził (w *Próbie wywodów politycznych* 1669 r.), że wolność szlachecka, to dobro nieocenione, i tylko ją ubezpieczyć należy, znosząc ją ostatecznie, szczególnie w czas bezkrólewia; że władza zwierzchnicza jest w ręku szlachty (republika demokratyczna), ale forma rządu jest monarchiczna. W tej niezgodzie nie upatrywał ani on, ani inni obcy nic nadzwyczajnego w Europie, ani też nic niebezpiecznego dla Polski samej; owszem, znachodzili się nawet, co nawet *liberum veto* chwalili, ostatni obrońcy suwerenności ludów w czasach potężniejącego absolutyzmu. Prawo sprzeciwu, to dusza wolności polskiej, a do niej nad wszystko inne przywiązana zuchwałość szlachecka, chociaż ona osłabia siły wielkiego królestwa. Śród opisów i samej Polski i jej ustroju wyróżniały się obfitością i dokładnością szczegółów opisy «Sieura de Hauteville» (K. de Tende, dworzanina Jana Kazimierza i Sobieskiego), *Relation historique de la Pologne,* 1686, i lekarza Irlandczyka B. O'Connora *History of Poland,* 1696; tom pierwszy, dzieje; drugi, uwagi w formie listów. Hauteville spostrzegał bacznie i słabe

strony ujawniał, np. że niema posła, coby wytrzymał próbę 2.000 dukatów, a na sejmach zaczyna się pracować dopiero, gdy wyszafowano środki na dobre wino węgierskie; że Polacy bardzo kochają pieniądze i niema takiego upokorzenia, na któreby się nie zdobyli wobec tych, których o nie proszą, ale kto ich dobrze zna, nie da im pieniędzy, chyba że chce je stracić. Prawo życia i śmierci nad poddanym posiada szlachta, lecz go nie wykonywa, jak inni nie zabijają swoich wołów czy koni, bo chłopi odpowiadają tym zwierzętom (podobieństwo to spółcześnie dosyć często wysuwano), ale nieraz dochodzi do bezkarnego zabójstwa, czyto po pijanemu, czy dla innej chuci. Connora zajęło szczególnie sejmowanie polskie, które z angielskiem porównywał; gorszyło go, że posłowie przychodzili często pijani i pletli po kilka godzin bez sensu, a marszałek to znosił, niechcąc narazić sejmu na zerwanie; oburzało go *liberum veto;* dla nieograniczonej władzy każdego posła państwo całe podane w niewolę głupocie albo zuchwalstwu jednostek. Dziwić się tylko trzeba, że wobec takich braków utrzymało się potężne państwo, i cud ten przypisują Bogu, który chce ocalić przedmurze chrześcijaństwa.[1] Już Con-

[1] To przekonanie o osobliwszej opiece Boskiej nad Polską było dawne i ogólne, wedle Opaleńskiego (satyra III, 6):

Pan Bóg nas ma jak błaznów. I to prawdy blisko,
Że między ludźmi Polak jest Boże igrzysko.
Kiedyby nas wszechmocna Boska nie trzymała
Ręka, jużbyśmy dawno rąk nieprzyjacielskich
Nie uszli a, że przydam, i ostatniej zguby.
Ten nas trzyma, ten nas sam okrywa i szczyci.

Następuje porównanie: chłopcy targają błazna, ten wrzeszczy, aż się to panu uprzykrzy i chłopców odpędzi:

Tak Pan Bóg czasem czeka, aż nieprzyjaciele
Do woli się ucieszą, zewsząd obracając
Mizerną naszą Polskę, dopiero gdy nazbyt (naprzykrzą się),
Zawoła: ciszej Turcy, ciszej Tatarowie!...
Opatrzność zgoła Boża nad nami Polaki.

nor wysuwał zasadę, że poręką bytowania Polski jest niezgoda i zawiść sąsiadów, którym nie zależy na powrocie Polski do dawnej potęgi, ani na jej zniszczeniu, aby ten, ktoby ją posiadł, nie doszedł do nadzwyczajnej przewagi. Angielscy podróżnicy i politycy, acz mało o Polskę dbali, a jeszcze mniej ją znali, wyrażali się o niej dosyć życzliwie; podobał się im jej feudalny ustrój średniowieczny i jej wolność a ograniczenie władzy królewskiej, dwuizbowość jej parlamentu. Z pośród tego chóru wyróżniał się zgrzytliwie sąd Samuela Collinsa, lekarza Aleksieja Michajłowicza, który, Moskwie nieżyczliwy, stawiał nad nią Polaków, bo mogą się uczyć i wyjeżdżać zagranicę, czego obojga Moskalom nie wolno; bo dotrzymują wierniej słowa i zobowiązania (Moskal je łamie, skoro to z korzyścią dla niego). Lecz dalej żadnej suchej nitki na Polakach nie zostawił: gościnni oni, ale gdy pokażą gościom, co mają, zbywają ich jak najrychlej; chełpliwi, wszystko u nich lepiej (skarga dosyć ogólna); twardy ich język (sześć spółgłosek na jedną samogłoskę) i oni sami tacyż; *lues* u nich w domu ogólna i Moskale ją od nich do siebie zawieźli po zdobyciu Wilna; *plica polonica* (zob. niżej) powszechna. — Może protestantyzm Anglika tłumaczy tę niechęć przeciw katolickiej Polsce.[1]

Sądy niemieckich podróżników bywały zgryźliwsze; raziła ich zbytnia wolność, widoczny brak administracji, samowola panów; nieraz można znaleźć u nich szczegóły, na które pisarze domowi nie zwracali uwagi, np. że w Polsce mięsa nie kupuje się na funty, lecz na całe sztuki; to objaśnia fraszkę Potockiego o dwu Mazurach, «cerklujących» pieczeń na piasku. Niejedno dziwi, np. uwaga Werduna o braku ogrodów (nie wystarczały mu chyba ogródki przed dworkami i chatami?), o tem, że w Polsce widzi się niewielu starców. Po domach wszystko drewniane

[1] Opis Collinsa wydano w przekładzie niemieckim, nr. 2 Bibljoteki Slawistycznej hamburskiej.

(mowa o niebogatych), z wyjątkiem paru garnków i odzieży. Uprawiają starannie jarzyny, szczególniej buraki, kapustę; ogórki jedzono surowo, jak jabłka; gorzałkę palą nie z wina, lecz ze zboża (o gorzałce z owsa a piwie z sieczki bywały docinki we fraszkach Potockiego i in.), najgorszą z pokrzyw (?); uprawiają i tytoń, chociaż go niewielu używa (palą fajki; inni zażywają w proszku; najrzadziej żują), głównie żołnierze i rzemieślnicy, co z zagranicy do tego wzwyczajeni. Protestantów raził kult świętych, — np. Lubomirska, wojewodzina krakowska, gdy jej dzieci marły, ofiarowała do Częstochowy dziecko z srebra w wadze jednolatka, i t. p.

W samej Polsce nie brakło dotkliwych uwag; jest taki «hieroglifik na Polskę» w *Wirydarzu* Trembeckiego, I, 127; po owych pierwszych zwrotach o raju żydowskim i t. d. idzie dalej: «Bogata w wełnę, uboga w sukno; mnóstwo lnu sadzi, obce płótno nosi; ubogie dostatki objawia i tak siebie samą durzy; nie kupuje niczego co niedrogie, taniem pogardza; zbytek kobiet, złote góry dla obcych; ciągłe rozjazdy; stała gościna; niepokój prawny; odmiana słowa; żaden wzgląd na przyszłość: z czego się śmieje każdy naród». Częste to po rękopisach; raz wymieniono jako autora «Stanisław Zaręba starosta grabowski». W *Robaku Sumienia* Starowolskiego autor żąda, żeby ludzkiem obchodzeniem się z chłopem «wyglozowano» ową notę o Polsce jako piekle chłopskiem, i przytacza dalej owe «epiteta polskie», poczęści te same co właśnie wymienione; nowo dodane: «pomieszanie osób (wszystkie stany jednako się noszą); częstość jarmarków; obłuda kacerzy; wolność rozrzutnych; skażenie obyczajów; szynk pijaków; objawianie rad; niedbalstwo zdobytego; odmiana praw». Niejeden rys trafnie tu ujęto.

O zupełnem zrównaniu szlachty polskiej a litewskiej nie było jeszcze mowy; mimo Unji, w praktyce życiowej były różnice znaczne. Języka aktowego i sądowego ruskiego nie zastąpiła (jak w Polsce) łacina, lecz język polski; strzegła Litwa zazdrośnie

swojej autonomji, nie znosiła Koroniarzy na swoich urzędach (nawet Radziwiłł, biskup krakowski, nie wymógł podobnego ustępstwa dla Wilna). Nie wytracił się do szczętu dawny separatyzm; jeszcze w XVII wieku dawano się z tem słyszeć na Litwie, co Korona wcale obojętnie przyjmowała (W. Potocki życzył szczęśliwej drogi, a około r. 1700 głośno się z tem noszono); sympatje carskie były dosyć dawne. W Litwie był stosunek szlachty do panów inny, nierównie ulegiejszy niż w Koronie; co Sapiehowie broili, na to nie byliby się Potoccy w Koronie nigdy odważyli. Tryb życia był nierównie skromniejszy niż w Koronie, wina nie pijano, zadowalano się miodem i piwem; strój był prostszy; szczególniej kobiety pozostawały wtyle za koronnemi. Jak silny bywał antagonizm, o tem świadczył i Pasek w swoich wileńskich awanturach, chociaż wierszów ubliżających Litwie wtedy na ścianie nie napisał; później je dodał, gdy ze strachu ochłonął. Inni wyliczali jako sześć dziwów w Litwie: Mało pościeli a wiele piór (słomy), mało trzewików a wiele skór (łyka); wiele pościeli bez piór (słomy), wiele trzewików bez skór (łapcie łyczane); wiele miast bez murów (miasteczek), wiele panów bez gburów (poddanych).

MIESZCZANIE

Szlacheckiemu starał się stan miejski choćby zewnętrznie, w zbytkach stroju i stołu dorównać, ale znaczenie własne utracił zupełnie. Wprawdzie nobilitowano Lwów r. 1659 za zasługi wobec ojczyzny, t. j. nadano mu te same przywileje, jakie Kraków i Wilno posiadały, a więc udział w elekcjach, ucałowanie ręki królewskiej, jego obywatelom tytuł *nobilis et famatus* i prawo nabywania majątków ziemskich, ale w praktyce pozostało wszystko po dawnemu, a jaką ta praktyka była, pokazał np. Koniecpolski, gdy zasłużonego, powszechnie szanowanego, bogatego mieszczanina Kampiana (Novicampianus) pozwał 1629 r. jako potomka swego zbiegłego chłopa Marcina i majątek jego; musiał

mu się syn okupić 3.000 złotych; zelżyć, poranić «mieszczanka» niewiele kosztowało. Żyły jeszcze dawne tradycje zamożnego i wykształconego mieszczaństwa; tak np. Lwowianin Castelli w broszurze łacińskiej *Symbola boni affectus* i t. d. z r. 1665 wyliczał znakomitości lwowskie: lekarza, nowego Eskulapa, Anczewskiego; drugiego Archimedesa, Alembeka;[1] wielkiego uczonego Kranza; bystrego poetę, silnego mówcę, subtelnego filozofa i poważnego historyka, Kuszewica;[2] szczęśliwego lekarza Józefowica; jurystę Koczankowica; najbardziej wykształconego Zimorowica; znawcę praw Załęskiego; Altimaiera, dbałego o dobro pospolite; służących sprawiedliwości Krala, Kozłowskiego, Ubaldiniego.

Jeszcze nie ustawał napływ cudzoziemców, rychło się polszczących, — Cetysy w Krakowie, we Lwowie Grek-szyzmatyk Langisz, handlujący z Carogrodem; zięć tegoż, Mezapeta, posiadał w swojej bibljotece r. 1650 same lekkie rzeczy: *Pieśni wszelakie*, *Nędza z Biedą* (zob. niżej), *Meluzyna*, *Fortunat*, *Ścieżka do miłości*, *Rozmowa z Rabinem* (Korony? zob. niżej), *Złota wolność koronna*, *Wieczność piekielna*, *Tobiasz pobożny*, *Nowiny nowe od Gustawa do cesarza, i t. d.* Miasta były już dawno spolszczone i język niemiecki we Lwowie zaginął zupełnie od r. 1525; po roku 1520 są same polskie (i łacińskie) akty radzieckie.

---

[1] Almpeck z Fryburga w Bryzgowji miał wedle inwentarza z r. 1678 bibljotekę z 1248 książkami i 102 obrazy, między niemi szkoły włoskiej; w bibljotece posiadał m. in. *Proverbia germanico-polona*, *Klucz języków*, *Pękacz* (?), *Gospodarz*, *Lyrica* Krasuski, *Poemata* Boguslai, *De generoso Demonski* (?) i in. Nie zna poniekąd tych dzieł Estreicher.

[2] Samuel Kuszewic, z Chełmna, profesor krakowski i doktor praw rzymski, syndyk, burmistrz i wójt lwowski (1607—1666), autor panegiryków kilku i ascetyków, jurysta (spis o forum i jurysdykcji miast polskich), historyk wojen kozackich, zostawił prace w rękopisie; listy jego wydał St. Tomaszewski w źródłowej publikacji ukraińskiej. Por. *Prace Historyczne Koła historyków uniw. Jana Kazimierza*, Lwów 1929, str. 280—294.

W pierwszem trzydziestoleciu napozór nic się nie odmieniło, dostatki miejskie nie szczuplały widocznie; ruch handlowy był ożywiony; taki handlarz lwowski, złotnik Siedmiogrodzki (z Siedmiogrodu), obracał stoma tysiącami, przebiegając nietylko całą Polskę, ale i obce kraje; miał do skarbu moskiewskiego jakieś pretensje o 356.000 zł., a w kraju wszelakich dłużników. Jarmarki ściągały tłumy kupców z dalekich stron; zawsze jeszcze jarosławskie górowały obok lubelskich i lwowskich, wspominane już w wieku XV-ym (spółcześnie z krakowskiemi i lwowskiemi), chociaż Jarosław prawa składu nie posiadał (miasto przeszło już w XIV wieku na własność prywatną); trzy razy do roku odbywały się tu jarmarki, trwające, jak największy, sierpniowy, do czteru tygodni; nadpływali kupcy z całej Europy, źródła spółczesne polskie nazywają targ jarosławski największym w Europie po frankfurckim; najznaczniejszy był handel wołami (do 40.000 sztuk podczas jarmarku na Wiebowzięcie, 20.000 koni); straszny pożar 1625 r. pochłonął miasto całe, a towarów jarmarcznych na 10 miljonów zł.; gdy się znowu podniosło, zabiły handel klęski kozackie i in., a miasto upadło już w XVII wieku doszczętnie. Szkodziła już dawniej nagła dewaluacja monety. We Lwowie np. znaczył r. 1651 dukat siedm złotych, ale r. 1683 — trzynaście! Handel i przemysł upadały; handel przechodził w ręce ormiańskie i żydowskie, tylko przy handlu winnym i rybim zostali mieszczanie lwowscy. Żydowscy rzeźnicy i krawcy obsługiwali, mimo protestów cechowych, również chrześcijan; niektóre przemysły, np. pasamoniczny, szmuklerski, złotniczy, szmelcarski, opanowali Żydzi. Nie mogli im dorównać w zabiegliwości i oszczędności mieszczanie, tracąc coraz bardziej odbiorców. Lecz najcięższe klęski zadawały miastom najazdy łupieżcze (ilokrotnie musiał się Lwów okupywać Kozakom i Turkom! czego nie wywieźli Szwedzi z Krakowa!), pożary, mory. Szlachta, korzystając z wolności cłowej, omijała miasta, sprowadzała sama towary i wywoziła produkty, nie

opłacała podatków miejskich z swoich kamienic. Upadł Kraków przez samo przesiedlenie dworu do Warszawy; dla Wawelu, nawiedzanego przez pożary (r. 1595!), zaczynał się okres upadku — bo zaniedbania. Warszawa rosła, dygnitarze koronni, litewscy i mazowieccy budowali pałace, domy i dworki — wyliczał je Adam Jarzębski, muzyk królewski i budowniczy ujazdowski, w *Gościńcu*, 1643, — ale wystarczy porównać dwa plany miejskie, z r. 1650 i 1656, żeby uwidocznić sobie ruinę miasta, gdy przedmieścia spalono albo zburzono, ogrody poznikały, i t. d. Do 1648 r. panował jeszcze dawny dostatek, a z nim zbytek wszelaki, i pisał o Warszawiankach Jarzębski:

Hej, strojnoż tam panny chodzą,
Od złota, pereł, kamieni...
Matka za nią; dziewczę sprawne
Książki niesie, w złoto wprawne.
Jedna chodzi jak łąteczka;
Druga białe sznurowane
Ma buciki, bramowane;
Trzecia nosi pludereczki,
Ochraniając koszuleczki,
A pończoszki u niej złotem
Haftowane — wiedzże o tem!
Rękawiczki; perły drogie
Okryły je wkoło srogie.
Z cudzoziemska mantel na niej,
Szumna spodnica u pani.
Wkoło głowy one bryże,
Spinane z wlosami krezy;
Czepiec złoty od wymysłów...
Nuż zatyczki, cud powiedzieć,
Łańcuchy, drogie noszenia,
Binda z szmelcem, z rubinami,
A kapelusz z faworami, [1]
Z drogich pereł opasanie —
Zwyczajne ich ukazanie.

---

[1] wstążkami.

Kiedy idzie przez ulicę,
Trzyma rękami spodnicę,
Żebyś widział niższe rzeczy,
Bieluczny trzewiczek grzeczy.

Tak samo było po innych miastach i napróżno domagano się praw zbytkowych, któreby mieszczanom zabraniały używania drogich materyj, butów safjanowych, sygnetów kosztownych. Skuteczniej niż satyry i morały działały stacje żołnierzy obcych i swoich; mieszkańcy dwu miast podgórskich rozbiegli się z rozpaczy na wsze strony, gdy w ciągu paru lat pięćdziesiąt chorągwi pokolei w nich gospodarowały. Tak pustoszały miasta królewskie i duchowne; z prywatnych wyciskał właściciel ostatni grosz.

Do r. 1648 żyło się jeszcze dostatnio; jak się mieszczki krakowskie bawiły, opisał student akademji Wład. Jeżowski w *Oekonomji* z r. 1638 i 1648; plagjat to z *Zabaw Orackich* Słupskiego z r. 1618, ale bardzo rozszerzony wszelakiemi dodatkami; między niemi i «Zbytki teraźniejsze miejskich białychgłów». Zarzuca im, że coraz nowe mody wymyślają; dalej, że noszą się jak szlachcianki; gdy u tych co zobaczą, męża tak długo męczą, aż im to samo sprawi; że chętnie się zapijają; zamożniejsze szłyby za szlachciców, zostają nieraz w staropanieństwie, ale i tym, co tego dopną, nienajlepiej się wiedzie, bo narażają się w posiedzeniach i zjazdach na ubliżenie i zelżenie; dostaje się przy tem i mieszczanom, bo

szlacheckie przezwiska
Używają częstokroć i rzemieśniczyska.
Dobrze rzemieślnikowi mieć przezwisko na *-wicz*,
Nie na *-ski*, szlachecka to, warowniej *Kuklowicz*.

Inne wyrzuty ogólnikowe: napada ostro na Żydów i panów, co ich bronią; szydzi z pań, co się służbie prowadzić każą, jakby były chrome; ale wspomina i o damach, co rade czytają; sarka na służbę, wymagającą drogich ubiorów; «karazja» im wadzi, innym już i «lundysz», wymagają «bławatów».

W gminach samych toczył «pospolity człowiek» walkę z radą, spychającą ciężary na pospólstwo, obławiającą się wszelakiemi pożytkami; urząd czterdziestu mężów dla kontroli wydatków niewiele zmienił.

Z dziejów handlowych przytoczyliśmy wyżej kilka liczb, ale te miejskiego handlu mało tyczyły. Lwów wybił się po dłuższej przerwie (spowodowanej przez zabory tureckie nad morzem Czarnem) znowu na czoło handlu wschodniego, ale ten nie przybrał już rozmiarów piętnastowiecznych i zbyt wiele odpadało z niego dla Ormjan i Żydów. Wosk, ryby, wino, stanowiły główne jego artykuły; wosk był dwojaki, wysyłkowy i gorszy woskobojniowy; sprzedawano go na kamienie (po 32 funty; 5 kamieni = cetnar, a 11 kamieni = szyffunt, 5 szyffuntów = beczka, a 12 beczek = łaszt, t. j. około 120 cetnarów); łaszt żyta kosztował 40 zł., łaszt pszenicy 55 zł. w XVI wieku; 3.500 kamieni wosku kosztowało 68.000 zł.; 230 kuf wina po 30 talarów, — w takich liczbach toczyły się wielkie interesy. Ale ani lwowski ani krakowski handel nie znosiły porównania z gdańskim, bogacącym się z Polski; panowie polscy byli też w Gdańsku bardzo obdłużeni; u kupca hamburskiego, który objął rachunki gdańskie, winien był Potocki 83.000 talarów, Sieniawski 33.000 i t. d. Ustawał dawny handel sztychowy, t. j. towar za towar, np. kupił r. 1559 Haz za 300 litrów jedwabiu burskiego 1.600 tachrów (tuzinów) nożów beckich, czwalinków; noże beckie, setka, zł. 42, zaś czeskich 20. W nazwach artykułów, materyj, trudno się nieraz rozpoznać; taksy wojewodzińskie, z których już kilka i dla XVII wieku ogłoszono, dają znakomity pogląd, czem handlowano.

CHŁOPI

Kilka odgłosów z różnych lat i stron wykaże, jak się los chłopów stale pogarszał, szczególnie w dobrach prywatnych, gdy odcięto im wszelką drogę dochodzenia sprawiedliwości. Szlachcic z ziemi sandomierskiej pisał r. 1606: [1]

«Pospólstwa *miseranda facies,* nie ludzie, ale bydło, dobrze ich w pług nie zaprzęgają. A czemużby też nas nie miała bojaźń Boska ruszyć? Bliźnić też to nasz. Więceśmy uknowali statut o zbiegłych kmieciach, dać zań 500 grzywien, a kiedy szlachcica zabiją, dobrze mniej! A jakoż nie ma uciekać, kiedy mu niewola? Pan na jeden dzień z domu po pięciorgu wygania na robotę: jedne orać, drugie siać, trzecie młócić, czwarte pleć, piąte siano grabić, i tak nie zostanie w chałupie ktoby groch uwarzył: namarłszy się głodu, niebożęta muszą precz».

Autor rzekł «biednemu, chudemu, odrapanemu, co coś wielkiego dźwigał: Nieboże, napracujesz się tu na tym świecie, już też i z nogami pójdziesz do nieba po śmierci. Ale on: i tam ja muszę być za panem, a któżby tam panu w piekle drwa woził, rąbał etc. Muszęć i tam za nim... Niemasz uboższych chłopów we wszystkiem chrześcijaństwie jako są u nas».

To katolik-rokoszanin.

Z tej samej ziemi sandomierskiej pisał pastor Kraiński w *Postyli* z r. 1611 o panach:

«miasto zmiłowania, robót ulżenia, czynszów ujęcia — niemiłosiernie się obchodzą z poddanymi swymi; ról ujmują, dobre biorą a złe dają; czynszów i robót przyczyniają; winy wielkie zdzierają; do ciężkiego więzienia o ladaco sadzają; biją, katują, żyły podrzynają (by ucieczce zapobiec), piętnują; gorzej aniżeli Tatarzy z nimi się obchodzą, prawie (wcale) ich żywo łapią, krew a pot ich piją. Tak ich ciężko drą, iż gdyby szatę u drugiego i u żony i dziewki jego ścisnął, wyszłaby podobno krew».

Magnat wielkopolski, katolik Opaleński, pisał r. 1650 «na ciężary i opresją chłopską»:

Rozumiem, że Bóg Polski za nico nie karze
Więcej, jak za poddanych srogą opresyę.

---

[1] «Rewersał» i t. d., *Pisma rokoszowe* II, 249.

Serce się oraz lęka, skóra drży, wspomniawszy
Na tę niewolę. która cięższa niż pogańska.
Łają i kaznodzieje, łają spowiednicy,
Piekłem grożą! Nic na tem! Sami to biskupi
Przez swoich ekonomów czynią i prałatów,
A bodaj i nie więcej! Ma szlachcic ubogi
Zasłonę, kiedy widzi, że przedniejszy grzeszą.
Naprzód, jakie ciężary w samych robociznach!
Gdzie bywało dwadzieścia kmieci albo więcej,
Tam ich ośm albo dziesięć, a przecież to zrobić
Każą dziesięci, co ich dwadzieścia robiło.
Gdzie przedtem wychodziło ludzi po jednemu
Z domu, potem i po dwu, po trzech i po czterech.
Gdzie dwa dni albo i trzy robili w tygodniu,
Teraz nie mają czasem wolnego żadnego.
Gdzie wolny szynk piw bywał, zwłaszcza w księżych dobrach,
Teraz i to odjęto i pić każą piwo,
Któremby same trzeba dyabły truć w piekle...
Powiedzą słudzy, czeladź: chłop tu jest bogaty...
(Szyją buty) chudzinie, o przyczynkę nie trudno, winują
Stem, drugiem, grzywien chłopa, ledwie że i duszy
Nie wydrą z niego — czemu? że jest najbogatszy.
O drugim zaś powiedzą: ma roli dostatek. (Wziąć mu ją),
Ba, i wszystkich pozrzucać z ról, a folwark tamże
Założyć. Stanie się to w jednymże tygodniu;
Płaczą chudziny, ojciec, matka, dzieci, wszyscy...
(Azaż nowina męczyć ludzie?) Urzędnik da chłopa obiesić,
O czem nawet pan nie wie. — Ale cóż wżdy zrobił?
To poddany nie człowiek? «Ej nic! daj mi pokój.
Wiem co czynię». — Znajdzie się drugi, co piętnuje,
Co bije do umoru, co w tarasie zgnoi,
Co rózgami siec każe, jako dzieci w szkole,
Sędziwych i poczciwych starców bez przyczyny.
Będzie czasem stąd pretekst, że nie piją w karczmie,
Choć złe, choć kwaśne piwsko, choć się wszem złym godzi...
A przecież je pić musim, bo pan karczmarzowi
Oddaje pewną liczbę beczek do tygodnia,
Za które karczmarz musi oddać mu pieniądze,
Lub wypijem, lubo nie. Karczmarz zaś dochodzi
Na nas straty, dobrze to wprzód obrachowawszy,

Wiele rozmiarów przyjdzie na każdego chłopa.
Jeśli w karczmie nie będzie, zaniosą do domu
One piwa rozmiary. Pij, choć złe, a nie chcesz,
Wylej choć świniom, przecież zapłać karczmarzowi.
Toż i z owsem i z mąką i z solą, z śledziami
Czynią, któremi chłopów coraz zarzucają.
Włodarze sami, o mój Boże! co więc czynią,
I jako z chudzinami często wymyślają.
Czemu? bo tak pan kazał — pana trzeba słuchać.

Przy końcu wieku było jeszcze gorzej. Szlachcic podgórski (W. Potocki), u schyłku życia patrząc na «opresję chłopską» (a na Podgórzu nie było najgorzej, z powodu bliskości gór i Węgier), wybuchł w skargę:

(Chłop) wzgardzeńszy od żyda abo od cygana.
Wszyscy go z skóry łupią, począwszy od pana...
Niejeden też się wiesi, woli na powrozie,
Niż mrzeć od bicia abo w gąsiorze na mrozie...
(Panowie) śmieją iść, zatrapiwszy człeka, do kościoła,
Pełne oczy krwie, pełne krzyku mając uszy!
Hycel psa do jednego razu bije w mieście,
Jemu trzeba tysiąca, mało kijów dwieście,
Na człeka, na bliźniego, co mu winien tyle,
Nie znając miłosierdzia co wody z kamienia.
Wół w niedzielę ma pokój od jarzma, od pługu,
Kmieć z kuny lub gąsiora, nie odda-li długu,
Choć nigdy nie pożyczał od pana szeląga,
Z skóry szyję w robocie oblazłą wyciąga.
Skoro się kmieć wyrobi, żebrze chleba póty,
Póki chodzi, aż zdechnie pod cudzemi płoty.
(Chłopi) bliźnimi, bo są ludzie wedle apostoła,
Bracią, jednego z nami członkami Kościoła:
Czemuż się katolicy dziś na to odważą
Swoją handlować bracią, pogańską przedażą,
Z bydlem wraz inwentując katolików kmieci,
Gdzie mu wszystko, począwszy od żony, od dzieci,
Duszę nawet wolno wziąć z gardła temu, co go
Zapłacił, a dopieroż jeśli kupił drogo!

Najstraszniej niszczyli dobra a z niemi i chłopów niesumienni dzierżawcy — innych chyba nie było. Dzierżawy trwały krótko, zazwyczaj tylko lat kilka, i dzierżawca wyciągał ile możności z majątku; przychodziło o to do licznych procesów i trudno się rozeznać w wiarygodności opisów, składanych przed sądem przez jedną i drugą stronę (por. niżej). Bierność, indolencja, fatalizm chłopa-niewolnika nie przerwały się nawet r. 1648; tylko na Podgórzu zdołał Kostka Napierski wzbudzić echo dalekie walk ukrainnych, co stłumił krwawo biskup krakowski; r. 1656 w napadach na podgórskich panów-różnowierców, na ich domy i majątki, mścił chłop, pod pozorem wyznania, dawne uciski. Bunt kozacki i klęski polskie nie zdołały rozdmuchać pożogi nawet na Rusi Czerwonej; i wracali niebawem zbiegowie z za Wisły i z Gdańska, aby obejmować dawne posiadłości. Przy końcu wieku zdawało się, że odżyły na kresach stosunki normalne, a chłop rozpijał się, ubożał, dziczał; szkółki, niechętnie przez pana widziane, znikały ze wsi, i słowa poety o «wsi spokojnej, wsi wesołej» odnosiły się tylko do «dworu», szydząc z niedoli chłopskiej.

ŻYDZI

Gdy na Zachodzie Żydów coraz wydalano, nietylko z Hiszpanji i Francji,[1] ale i z miast czeskich i niemieckich, zażywali oni w Polsce stosunkowo znacznej swobody, mogli się osiedlać w całym kraju; życie i mienie ich zabezpieczały im sądy, a gminy ich rządziły się same. Były i tu ograniczenia; żądano od nich dla odznaki żółtych biretów; wydzielano im osobne ulice-ghetta; zabraniano im przyjmowania służących

[1] W Paryżu umarł żyd włoski, Montalto, zawołany lekarz Marji Medici, która go z sobą do Francji zabrała; ponieważ w całej Francji nie było żadnego cmentarza żydowskiego, wywieziono zwłoki jego do Amsterdamu.

chrześcijańskich, wykonywania przemysłu i handlu; dozwolone było im, ze względu na przepisy ich rytualne, rzeźnictwo i krawiectwo, ale tylko dla nich samych, dalej, jako handel, sprzedawanie niewykupionych zastawów i lichwa jako jedyny zarobek; mieli zaś pożyczać nie na weksle ani na nieruchomości, tylko na zastaw. Omijało ich życie te zastrzeżenia na papierze, legalne, ale nie faktyczne, i coraz wybuchały z tego powodu spory z mieszczanami, zazdrosnymi o dostatki i wpływy żydowskie. I tak powiodło się Krakowianom Żydów, mimo protekcji Kallimachowej, r. 1495 z miasta na Kaźmierz wydalić; tylko wyjątkowo, z osobliwszej łaski królewskiej, mógł Żyd mieszkać w Krakowie. Nienawiść wyznaniowa na podłożu ekonomicznem wybuchała i tu w niezbyt licznych ani silnych pogromach, począwszy jeszcze od r. 1407, od podżegania księdza Budka, który pierwszy w Polsce z kazalnicy szerzył baśni o mordzie rytualnym i znieważaniu hostji; w najgorszym pogromie w Krakowie ośmiu Żydów zamordowano (r. 1637); stale zato ulegali Żydzi napaściom żaków i młodzieży rzemieślniczej, którym należało się okupować. Nieustanne były spory z mieszczanami: mieszczanie oskarżali ich o wykonywanie rzemiosła i handlu; oni, oparci o dwór królewski (byli przecież bankierami królewskimi) i o okupioną łaskę wojewody, zagarniali coraz nowe gałęzie (szczególniej w złotnictwie i szmuklerstwie) i wdzierali się z podgrodzia do miasta. Wstrętne baśni o mordzie rytualnym (godne procesów o czary, tylko nieskończenie mniej liczne) zakłócały od czasu do czasu ich spokój i prowadziły na stos nawet znakomitych Żydów, co nie chcieli ocalić życia przejściem na katolicyzm. Przeciw Żydom lekarzom, kształconym we Włoszech — bo szkoła krakowska nie była im dla wiary dostępna — występował nawet Kościół, dbały o zbawienie dusz, narażonych na niebezpieczeństwo.

Rozpierali się zato Żydzi na cłach i mytach, a niebawem przeszli do młynów i karczem, dalej do podatków i dzierżaw,

podstawiając nieraz chrześcijan; byliż jedynymi kapitalistami już od wczesnego średniowiecza, gdy klasztorom lichwy zabroniono, i do nich uciekał się każdy potrzebujący. Żyli też dostatnio, szczególnie kłół w oczy zbytek przy weselach, a muzycy żydowscy rzępolili i chrześcijanom, o co znowu były zatargi z cechem; należenie do cechu było zaś ze względu na cechowe praktyki religijne niemożliwe.

Śród Żydów samych zaszły w ciągu XVI i XVII wieku znaczne zmiany: z dobrobytem i liczbą (największa w Krakowie, t. j. Kaźmierzu, podwójna np. wobec Poznania, jak z pogłównego wynika) zjawiła się potrzeba nauki. Żadna gmina nie obchodziła się bez chajderu, szkoły początkowej, gdzie chłopców uczono hebrajskiego czytania i pisania, a kursywy dla potocznego niemieckiego języka-żargonu; urząd «szkolnika» był wcale rozległy, gdy nauki udzielali belferzy-bachorowie. W większej gminie utrzymywał rektor własną szkołę, jeszybę, gdzie uczył dalej talmudu, t. j. wykładu Pisma i komentarzy do niego; wziętość jeszyby zależała od osoby rektora, gdy rabin nad rytuałem i gminnem życiem czuwał, ale często łączono oba urzędy (rektora i rabina). Jeszyby Żydów polskich i litewskich szczyciły się znakomitościami, które zwabiały uczniów nawet z zagranicy, nawet z Włoch; Adam Polak uchodził za twórcę scholastyki talmudowej, wojującej definicjami i argucjami najsubtelniejszemi; największej sławy zażywali Mojżesz Isserles w Krakowie (zmarły r. 1572, porównywany do Majmonidesa hiszpańskiego), Szalom Szachna w Lublinie i Salomon Luria w Ostrogu. Kwitło i drukarstwo w Krakowie i Lublinie; druki «Izaka drukarza» równały się niemal weneckim, ale drukarnie polskie nie wytrzymywały długo konkurencji włoskiej i niemieckiej. Naukę ceniono nadzwyczaj; uczony, t. j. talmudysta, był pewien najlepszej partji i czci największej.

Dobrobyt i oświatę żydowską podciął na zawsze rok 1648 i 1649; wymordowali Kozacy Żydów, np. w Niemirowie, tysią-

cami; domagali się od Lwowa wydania im Żydów; wszystko co ocalało uciekało na zachód, i mnóstwo zubożałego zupełnie żydostwa okazało się ciężarem nieznośnym nawet dla gmin najzamożniejszych. W drugiej połowie wieku upadła zupełnie nauka, zaprzestano druku, zadowalano się powtarzaniem w nieskończoność wykrętów dialektycznych; żydostwo podupadło strasznie — moralnie i materjalnie.

«Niewierni» (termin urzędowy) tworzyli, wedle swego zakonu, zwyczaju, przesądu, świat odrębny, z dziwnemi nieraz praktykami: starczyło np. dla zawarcia małżeństwa, żeby mężczyzna rzucił chustę na kobietę, odmawiając pewną formułę; u położnicy czuwano, żeby zła Lilith (strzyga, żona Adama) nie porwała dziecka, i t. p. Żeniono się wcześnie; dziewczyna dwunastoletnia nieraz wychodziła zamąż; o miłości nie było mowy, bo z reguły narzeczeni nie widywali się wcale przed ślubem. Parę łączyli wyłącznie rodzice za pośrednictwem swata, szadchen, opłacanego wedle taksy (procent od posagu, i t. d.); zawierano te śluby na wielkich zjazdach, na jarmarku jarosławskim nieraz do dwu tysięcy. Ręka ojcowska ciążyła nad synem; córki uczono mniej, wystarczało im czytanie żargonu, więc dla nich i biblję i powieści na żargon tłumaczono. Wychowanie było staranniejsze niż u chrześcijan; analfabetów nie było; w szkole trawiono nad talmudem (objaśnianiem Pisma) wszystek czas; nauczyciel uczył godzin dwanaście; w licznych egzaminach tygodniowych badano postęp dzieci. Dla syna były dwie drogi: albo handel, albo nauka, ale i uczony łączył nieraz obie profesje. Rytuał wymagał osobnej łaźni, rzeźni, bożnicy, cmentarza (okopiska), szkoły; dla ubogich uczniów były rozmaite ułatwienia (obiady u bogatszych, i t. p.). Dobroczynność wobec spółwierców była nadzwyczajna; szpitale, goszczenie obcych ubogich (np. ofiar roku 1648), posag dla ubogich dziewczyn, składki na przekupstwo wojewody, podwojewodziego, sędziów, — te i podobne wydatki rozkładano na całą gminę. Życie rodzinne

było wzorowe; przestępstwa wiary małżeńskiej, cudzołóstwo należały, inaczej niż u chrześcijan, do nadzwyczajnych wyjątków. Warunki zdrowotne były fatalne z powodu strasznej ciasnoty pomieszczenia; przez nią niebezpieczeństwo pożaru było groźne, i uskarżali się mieszczanie, że to u Żydów wszczynają się pożary; mór wybierał między nimi liczne ofiary. Posądzano ich o czary i gusła, że inkluzów w szklankach chowają; w istocie całkiem wyjątkowo alchemją i kabałą się trudnili. Pomawiano ich, że szpiegują dla Turków; wymienił Miczyński mianowicie Szymona, który na sejmach bywa, wysoki, białokurowaty, w szłyku, przepasany taśmą turecką, w szarym kopieniaku. Oskarżano ich o oszustwa, np. że karazje śląskie, gorsze i na postawie o 10 łokci krótsze, jako morawskie sprzedają, i t. p. Oburzano się, że taki Żyd Lewko w Krakowie jak szlachcic jaki «kotczym» jeździ z kilką pachołków. Napastowano żydów-lekarzy, np. Szaystopa z Frankfurtu, ale byli oni i na dworze królewskim. Stale oskarżano ich o spółkę ze złodziejami. — Mieli jednak licznych obrońców, szczególniej między panami.

Zazdroszczono im ich bogactwa, o którem testamenty świadczyły, a nienawidzono dla wiary, więc tylko jednostki wydobywały się nad pogardę, jaką dla ogółu żywiono, szczególniej lekarze, jakimi się królowie (Zygmuntowie wszyscy) i panowie otaczali; dalej bankierzy; uczonych cenili nader wysoko spółwyznawcy, nie znali ich ani uznawali chrześcijanie dla niedostępnego języka, jakim wyłącznie pisali. Przychodzili zewsząd, z Czech zwłaszcza, i Żydzi krakowscy wiedli spory z czeskimi na początku XVI wieku; przez cały XVI-ty napływali także ze Wschodu, od Konstantynopola, «Frenki» z hiszpańskiem, zbarbaryzowanem narzeczem i niepokoili swojemi zabiegami i wpływami (u Zygmunta Augusta szczególniej) polskich: oni torowali drogę posłom polskim do sułtana, np. Taranowskiemu; zgubili się jednak z końcem wieku. Do najznakomitszych należeli przybysze z Włoch, Saul Wahl (mniemany król

polski jednej nocy), właściwie Katzenellenbogen; Kalahora (Żyd hiszpański); Nachman we Lwowie (który bóżnicę nową wystawił), Isserle i in., ale i z nich spłonął niejeden na stosie dla mniemanej obrazy religji katolickiej albo dla zmyślonej z głupoty i nienawiści zbrodni rytualnej. Najliczniejsze gminy były krakowska, lwowska (podwójna, miejska i przedmiejska), lubelska, brzeska (litewska, stąd Wahl pochodził), ostrogska i wileńska. Z końcem wieku XV było ich około 50, a przybywały coraz nowe.

Samorząd żydowski przypominał miejską radę, z senjorami, ławą i «mężami dobrymi». Na czele gminy stał ów «kahał», władając w sprawach podatkowych, w procesach śród gminy, zastępując ją na zewnątrz, ciążąc i nad rabinem. Senjorowie zbierali się dla omawiania spólnych spraw (nakładano na Żydów sumy ryczałtowe, które na województwa rozdzielać wypadało) w jarmarki jarosławskie i lubelskie, a ze zjazdów tych wypłynęła stała organizacja t. zw. waadów, niby rad żydowskich (taki sam waad był na Litwie i jego protokoły dochowały się dotąd), wydających ustawy, rozkładających podatki, i t. d. Tak samo jak w gminach miejskich, uskarżali się ubodzy również w żydowskich na samowolę kahału, uciskającego ich niepomiernemi poborami. Te «sejmy czteru ziem» żydowskie zaczęły się stale od r. 1580, narazie spólne z litewskiem żydostwem, które się jednak r. 1623 wydzieliło i odtąd odrębne prowadziło życie. «Senjorowie» burmistrzowali każdy miesięcznie (parnas); obok nich istniało także «czterdziestu mężów» jako rada obszerniejsza. Próby centralizacji, narzucane przez króla, zawodziły; każda gmina rządziła się sama; rozkładała po swojemu pogłówne, które wypłacano skarbowi ryczałtem, ale kahały lwowski i krakowski, mniej poznański, były zarazem «ziemskiemi», rządziły «przykahałkami».

Już przy końcu XVI wieku zaczęła się literatura antysemicka; por. ks. Piotra Mojeckiego *Żydowskie okrucieństwa, mordy i zabobony*, Kraków 1589, albo wiersze Klonowica w *Victoria Deorum*, ale to były wyjątki; dopiero w wieku XVII rozpasał się antysemityzm w najlepsze, chociaż nic nie osiągnął wobec silnego poparcia, jakiego Żydzi w sferach wyższych doznawali. Jarzębski w opisie Warszawy 1643 r. prawił o Żydach:

Państwo mówi, że z onymi
Dobrze nam, choć z niewiernymi:
U nich jest towar kosmaty,[1]
Złoto, srebro i bławaty,
Sznurki, guzy wszystko tanie.
I pieniędzy też dostanie
Lub na zastaw, na frymarki.
Codzienne u nich jarmarki
Krom szabasu; w ten nie robią,
Myśląc, że jutro zarobią.
Słabiuchne życie u niego:
Co za szaty! wnidź do niego,
Aż on gryzie rzodkieweczkę,
Ogóreczki, marcheweczkę.
Tem się kontentuje żydek,
A zbiera pieniążki, brzydek,
Któremi *panu* wygadza
I na zastawę dogadza.
Z małego zysku przedaje,
Na strawę niewiele daje...
Gorsi niżeli pohańce,
Obroń ich nas, Panie Boże!

Na tę nutę nastrojona ta literatura, np. dzieło (kilka wydań) dr. Sebastjana Miczyńskiego: *Zwierciadło Korony Polskiej, urazy ciężkie i utrapienia wielkie, które ponosi od żydów, wyrażające, synom koronnym na sejm walny r. 1618 wystawione.* Artykułów 21 wylicza te «urazy»: upadłe przez Żydów miasta; gdzie twój kwiat, Krakowie? ledwie tu już znaleźć jedną kamienicę wolną od wyderkaufu; liczne cechy zupełnie już przez

[1] futra.

nich zubożały, nawet introligatorzy i drukarze; wzdrożyli, w góry zajeżdżając, u chłopów deszczułki do oprawy ksiąg albo skórę; u Marangoniego sprzedaje Żyd książki łacińskie z Wenecji, a nawet paciorki; mają tu trzy drukarnie, a dwie w Lublinie, gdzie nietylko żydowskie księgi drukują; u Żyda najlepiej kupisz i sprzedasz, w biedzie on najlepiej pomoże, usłuży — tak pospolicie mówią. Iluż oni zniszczyli kupców, wziąwszy towary lub pieniądze i uciekłszy z tem poza Polskę albo na Ruś! Oni posyłają rocznie sułtanowi 50.000 zł., niby dla poratowania ubogich ziomków; oni zdradzają nasze tajemnice, wywożą do Konstantynopola nasze konstytucje; autor przytacza nazwiska. Radzi ich wygnać; Bóg błogosławi tym, co to czynią; bogatsze są kraje i miasta, gdzie ich nie znoszą; widzimy to nawet na «surowej» Moskwie; Tytus i Trajan panami świata zostali zato, że Żydów gnębili; jeśliż ich zatrzymacie, niechże przynajmniej nam nie panują; «Ba Żydzie! na mikstat do rusztaba, do szuflowania rynsztoków, karcz kopać»; ale robota ręczna ich mierzi.

To samo prawił medyk biskupa warmijskiego Seb. Śleszkowicz r. 1621 w książce o wymownym tytule: *Odkrycie zdrad, złośliwych ceremonij, tajemnych rad, praktyk szkodliwych Rzeczypospolitej i straszliwych zamysłów żydowskich, z 78 nieomylnych autorów i z samego doświadczenia krótko zebranych* i t. d. Biadał silnie na gorzałkę, którą szynkują, co nam zboże, zdrowie i pieniądze niszczy; niejeden myśli, że niczego nie pił, jeśli kwarty do dna nie dopije. Radził osiedlać ich na wsi jako rolników; uczyć tylko łaciny, nie hebrajskiego ani niemieckiego; w każdej ich wsi (pod starostą chrześcijańskim) kościół wybudować i t. d.

Obaj autorowie zwracali się ostro przeciw tym, co Żydów wspierali; niedarmo, skoro r. 1618 wyszedł mandat królewski, zakazujący druku i sprzedawania owego *Zwierciadła* z powodu tumultów i napaści na Żydów, jakie wywołało. Obaj powtarzali baśni o wytaczaniu krwi chrześcijańskiej i kłóciu hostji (Żydzi

rodzą się ślepi i do przejrzenia owej krwi potrzebują albo hostji; zwalczał tę baśń biskup Witwicki); powoływali miasta, skąd Żydów świeżo wygnano (*Lament żydów wychodzących z Frankfurtu*, wydane w Krakowie), gdzie im nocować nie wolno, albo dłużej trzech dni przebywać.

Jan Achacy Kmita, najzagorzalszy antysemita, poeta niezgorszy, wydał wierszem *Proces sprawy bocheńskiej z Żydami o Najśw. Sakrament od Żydów u świętokradźców kupiony i cudownie okazany* (1606). Roku 1602 Żyd Bodek w Bochni chciał od jakiegoś Mazura kupić hostję, sprzedał ją Dudka; ten po długiej chorobie wyzdrowiawszy, wydał wszystko; Dudkę spalono na stosie, Mazur umarł na torturach, Bodek uciekł; Żydów wypędzono z Bochni w dwumilowym okręgu. Kmita był niestrudzony w fabrykowaniu wszelakich pamfletów, a znachodził także naśladowców.

Processus causae inter instigatorem Iudicii tribunalis Regii et perfidum Marcum Iudaeum in eodem tribunali... anno currente 1636 agitatae decretumque in ea contra eundem perfidum Marcum inlatum (Kraków 1636; podpisany przez notarjusza ziemskiego, M. Stoińskiego). Marek był chirurgiem; gdy w Lublinie jego i kilku innych Żydów oskarżono o zabójstwo chłopca, zwabili do swego domu karmelitę-reformata Pawła, rzucili się nań (było ich czteru, między nimi i luter Schmidt, niby lekarz), rozcięli bok; Marek natoczył dwie miednice krwi, mamrocząc; Marek przyznał się, Paweł świadczył; Marka ćwiartowano, wsadzono na kół i spalono. Powoływano nieraz świadectwo Skargi, który w żywocie Szymona z Trydentu opisał mord dziecka w Puniach r. 1574, którego był niemal napoły świadkiem; dalej mord dziecka w Woźnikach pod Lublinem z r. 1598, którego «opis urzędowy kardynała Maciejowskiego jezuici od dziesięciu lat posiadają i wydadzą» (nie wiem, czy wydali); Żyda ćwiartowano; dalej z diarjusza ks. T. Tretera, kustosza warmijskiego, opis mordu (krew zażyli pijąc w winie i lejąc w kołacz), a drugi,

kradzieży hostji w Pułtusku r. 1598. Wszystkie takie procesy powtarzały się jednostajnie; nieraz odwoływali chrześcijanie swoje zeznania jako fałszywe, wymuszone na torturze, ale to Żydowi nie pomagało.

Zwano Polskę rajem żydowskim, bo im wolno było swobodnie po całym kraju zawładnąć czy targiem miejscowym, czy arendami wszelakiemi, lecz raj ten nie wyglądał zbyt różowo i słusznie szydził jezuita Pęski w *Domina Palatii:* uciekałbym z takiego raju, gdzie zawsze Żyd «aż po szyję błotem się zaszarga, a parchem śmierdzi na ćwierć mili, lada klechom kozubały daje, a od samych łokietnych dzieci prześladowania znosi», ależ i on przyznaje głębokie wkorzenienie się ich w Polsce, z którejby ich potrafił wygnać chyba archanioł z mieczem ognistym.

Najgorzej było na Rusi-Ukrainie. Panom było wygodniej wydzierżawiać Żydom wszelkie pożytki: pobory, myta, wyszynk i t. d., a Żydzi wybierali to z naddatkiem od chłopa-kozaka. Najdotkliwszy był zakaz warzenia piwa i miodu dla domowego użytku; Żydzi wpadali do chałup, niszczyli kotły i naczynia i narzucali chłopom gwałtem swoją «żyburę». Tradycja późniejsza wyolbrzymiała ten ucisk: chłop-kozak musiał stać z odkrytą głową przed Żydem, jegomościł mu, a Żyd i cerkiew dzierżawił i tylko za opłatą oddawał klucze dla odprawiania obrządków, ślubów czy chrzcin. Bajki to; nic podobnego w istocie nigdy nie było; nawet pop nie wydzierżawiał cerkwi Żydom, żeby parafjanie u nich wykupywali klucze (bo i to twierdzono). Ale te wymysły cechują stosunki ówczesne, ich ducha, tłumaczą nienawiść, która się w strasznej rzezi niemirowskiej, i innych, wyładowała.

Żydzi-rabanici przyszli z Zachodu, z Czech, głównie z Pragi, i z Niemiec, jak sam żargon (dawna niemczyzna górna) dowodził; ale obok rabanitów byli, nierównie mniej liczni, karaimowie, którzy przyszli ze Wschodu, od Krymu, jak ich tatarskie narzecze świadczy. Tworzyli nieliczne gminy, we Lwowie (rychło

zaginęła), Kulikowie pode Lwowem, Haliczu (gdzie do dziś ich resztki istnieją), Łucku i Trokach (najznaczniejsza gmina liczbą i tradycjami dawnej, wielkiej nauki; Izak z Trok, zob. niżej, był karaitą; do dziś dnia tam istnieją). Niedobory liczebne nadstawiali karaici wygórowanemi pretensjami, jakoby oni byli właściwymi piastunami tradycji i obrządku, czego w dziewiętnastym wieku bronili nawet fałszerstwami historycznemi z grobowców niby i innych pamiątek.

Apostazje były nader wyjątkowe; w Polsce, przynajmniej w Krakowie, żaden przechrzta nie otrzymał za to szlachectwa. Inaczej było na Litwie, gdzie tradycje szlachectwa nie były tak zakorzenione jak w Koronie, dopiero zczasem z niemi się zrównywały; tu istotnie takie nadużycie istniało; tu udzielano neofitom (bo Żydzi własnych przezwisk nie mieli, nazywani wedle ojca i miejsca pobytu) imion szlacheckich na *-ski,* między innemi od miesięcy chrztu, więc Majewski, Wrześniowski, i t. p. Obok powodzi najuszczypliwszych pisemek antysemickich, dysput o wiarę nie prowadzono (dzieło Izaka z Trok było wyjątkowem zjawiskiem). Wyróżniała się po stronie katolickiej franciszkana ks. Marka Korony *Rozmowa teologa katolickiego z rabinem żydem przy arjaninie, nieprawym chrześcijaninie* i t. d., r. 1645; autor w przedmowie żałował, że podobnych dysputacyj się nie urządza, «a daleko więcej boleję, gdy ich (żydów) *non rationibus*... ale argumentami kozubalnej szkoły (zob. niżej) *insequuntur*... zaczem nie godzi się żydów szarpać i takowemi argumentami okładać», chociaż i on królom i książętom przyznawał obowiązek zmuszania Żydów do chrześcijaństwa strachem i groźbami. Jego rabin argumentował zupełnie trybem scholastycznym.[1]

[1] Polemika arjańska z r. 1581 (zob. wyżej) ma być zmyślona; przynajmniej twierdzi Dr Majer Bałaban, *Studja historyczne,* 1927, str. 82: «Jakób z Bełżyc a w każdym razie jego *Odpis* zmyślony, t. j. że Czechowic stworzył tę osobę dla swego dialogu». Dowodów autora nie znam — czy wobec czujności jezuitów zdobyłby się arjanin na podobny wymysł?

Los Żydów bywał niepewny; i szlachta nawet tak niechętnie patrzyła na wdzieranie się Żydów do ceł, myt i «mińcy», że ustawy sejmowe coraz w wieku XVI tego zabraniały surowo, a pierwszą czynnością sejmu żydowskiego z r. 1580 był zakaz, aby Żydzi (na Zachodzie) nie obejmowali posad, jakie dla dochodu szlachta dla siebie zachowywała; zakazy okazały się formalnemi, nikt na nie nie zważał. Na Wschodzie (Rusi) konkurowali z nimi Ormjanie. Zawsze groziły im — obok potworności zmyślonych mordów rytualnych, których dwie próbki przytoczyliśmy — pogromy od młodzieży, czy w Krakowie, czy we Lwowie, gdzie do uczniów szkoły katedralnej przyłączyli się w napadach na Żydów od r. 1609 jezuiccy: tu doszło r. 1663 do istotnego pogromu, którego ofiarą padło około 200 Żydów; z mordem łączono zawsze plądrowanie domów i sklepów. Żydzi bronili się nieraz i płacili wet za wet; szczególnie rzeźnicy żydowscy odbijali od tchórzliwej rzeszy i poturbowali nieraz chrześcijan.

Wyróżniały się wszelakie rodziny, nieraz i przez trzy pokolenia, słynne majątkiem («panami» tytułowane) i nauką; były nawet dzielne kobiety, np. «Złota Róża» Nachmanowa we Lwowie, bohaterka mitów późniejszych, która poświęciła niby dla ludu swego piękność i życie, wplątana w spór zacięty z jezuitami o synagogę nową lwowską. Nie brakło fałszywych Mesjaszów; najsłynniejszy ów Sabataj Cewi z Anatolji, w którego i Żydzi polscy uwierzyli (por. fraszkę W. Potockiego o arendarzu). U nas nie wiedziano wiele o życiu, wierze, tradycjach żydowskich; nieco wiadomości posiadał ów Kmita, więcej Jezuita w pamflecie na Lutrów z r. 1640 (zob. niżej).

TATARZY; ORMJANIE

Tatarzy, przesiedleni z Krymu za Witolda, osiedli na Litwie, obdarzeni ziemią, obowiązani do służby wojskowej; pozostawieni własnej wierze, obyczajom, językowi, nie asymilowali się z ludnością okoliczną, tworzyli śród niej żywioł obcy i musieli wkońcu obruszyć na siebie niezadowolenie, tem silniejsze, im korzystniejszem okazywało się ich położenie, szczególnie gdy przystąpiły pobudki prywatne. Zamordowali Tatarzy wileńscy ojca p. Czyżewskiemu i to go skłoniło do rozpoczęcia przeciw nim kampanji literackiej; wydał r. 1616 *Alkoran to jest zakon abo wiara zabobonnej i obłędliwej sekty mahometańskiej* i t. d., a powtórzył to r. 1640 jako *Alfurkan tatarski to jest relacja pewna o przyściu abo o przygnaniu Tatar do W. Ks. Lit. i dlaczego im nawiązkę szlachecką dano, a iż nie są szlachtą ani kniaziami ani ziemianinami w W. Ks. Lit., ale prostem chłopstwem,* i t. d. Tatarzy wileńscy, jak moskiewscy, uważali się wobec Rusi, swych dawnych służalców, zawsze za kniaziów i szlachtę, chociaż trudnili się głównie furmanką, handlem cebulami i ogórkami, garbarstwem («kory dubią, lada korojad, skórodub»), czarowaniem («burtowaniem») i rozbojami na górach ponarskich. Nawiązkę szlachecką nadano im niby w nadziei, że zostaną chrześcijanami (podobnie z Żydami-przechrztami!), ale przez całych lat dwieście jedyny z nich Tarasowski przeszedł na naszą wiarę. Oni nie wychodzą na «kunigistę» (pańszczyznę, po litewsku), i stąd ich zbytki; należy chłopów, którzy pod nimi służą, uwolnić, a ich schłopić, zabraniać im kupna majątków ziemskich, zmusić do wysprzedaży, nakazać im strój «dzikiej abo makowej farby i żółte kłobuki», zabronić im noszenia broni i służby wojskowej, niech raczej płacą pogłówne (jak Żydzi); jak Żydzi we Włoszech muszą co soboty słuchać kazania katolickiego, toż należy im co piątku nakazać; niech służą na grodzie, niech im nie wolno jako poganom świadczyć, niech się nie uczą czytać ani po

polsku ani po rusku, bo rozczytują się tylko w *Statucie* na naszą szkodę. O czeladź naszym bywa przytrudniej, bo wszystko spieszy do Tatarów i ich bezprawia; oni żenią się z chrześcijankami albo cudzołożą z niemi i zmuszają służbę do pracy niedzielnej; gorsi oni niż Żydzi, śmierdzą tak samo; ich nazwę 'koziniec' odmieniano w 'kniaź'. Autor nie zostawił na nich suchej nitki, opisał ich zwyczaje, wytknął znaczną liczbę (Tatar Smólski twierdził, że ich nad 10.000 stanie do konfederacji. — Istotnie tworzyli w połowie wieku piętnaście lekkich chorągwi i zdradzili dla Turków r. 1672 chrześcijan, osiedleni jako «Lipkowie» i «Czeremisy» pod Kamieńcem; przeszli poczęści do Turcji, resztę Sobieski przywiódł napowrót do służby i odtąd nie zdradzali nigdy Rzeczypospolitej. Ocaleli do dzisiaj.

W ciągu XVII wieku przeprowadził Rzym unję Ormjan polskich z Kościołem katolickim, zostawiając ich przy języku i niektórych osobliwościach obrzędowych; szło z tem do pary powolne, zupełne ich spolszczenie; zapomnieli języka ojczystego i tylko nazwiska na *-owicz* i *-ewicz* ich wkońcu wyróżniały (Minasowicz, Piramowicz, i t. p.); ale w XVII wieku opinja szlachecka ich nie uznawała, brzydziła się związkiem małżeńskim, stawiając ich na równi z cyganami i żydami, z którymi zawodniczyli w handlu, szczególnie wschodnim. Obruszano się np. na p. Hadziewicza, który także w literaturze ascetycznej zapisał swe imię obok St. H. Lubomirskiego, — jako wydawca czy autor niektórych jego wierszów? Zabiegliwość ormjańska zbogacała kupców tej nacji, która we Lwowie obok innych nacyj górowała; *serkizami* (dla postu) przezywali ich Rusini.

NA BAŁKANIE

Żył Polak, szczególnie kresowiec, z Podola czy Ukrainy, i w Turcji, jako więzień, zakładnik lub poseł, i diarjusze legacyj carogrodzkich często o nich wspominają, np. diarjusz młodego Lubienieckiego z r. 1640. W Sylistrji widział on Dydyńską, która się tam bogato wydała, owdowiała, chciałaby wrócić, dóbr nieruchomych się wyrzec, miała gotówki do 80.000 zł., ale Turcy jej strzegli. Rozmawiał z jeńcami, którzy nieraz uciekali, lecz ich zawsze u przeprawy dunajskiej chwytano; jeden z nich, Hawryło, syn Hrycia Płuta z Tenetyszcz pod Lwowem; sprzedał go Tatar Turkowi za konia; kazał prosić wuja swego Steczka w Równem, aby go za 10.000 aspr (po dwa szelągi) wykupił. W Carogrodzie siedzieli Polacy dla wyuczenia się języka tureckiego, Starkowieski i Leszczyński z Wielkiej Polski; Magnuski się sturczył, jak Królikowski i Komorowski, którzy wolno chodzili i pożenili się; mówił mi Królikowski, że mam pół żony, pół... Maryna Semionowna z Wiśniowca po 20 latach niewoli wolną została. Piotr z Komarna, surmacz Ostroroga, po drodze schwytany przez Tatarów, został malarzem, ponieważ który Polak rzemiosła nie umie, wsadzają go na galery, gdzie mu śmierć głodowa pewna, bo prócz trochy sucharu i wody nic innego nie dostanie. Na galerze na każdej ławie siedziało pięciu półnagich, «jak w infimie żaczęta», a kat z lagą albo powrozami smarowanemi smołą zacinał coraz jednego lub drugiego; bardzo było nie w smak Turkom, gdy dla posła czteru musieli dać wykupić; Polacy nieraz pisarzami na galerze bywali. Raz udał się galernikom zamach na dozorców i załogę, opanowali okręt i przybili do brzegu szczęśliwie: wydano o tem broszury po włosku i po polsku.

Diarjusze zaznaczają wszelakie szczegóły obyczajowe tureckie; Samuel Twardowski opisywał jeszcze stary, pierwotny Stambuł, Lubieniecki również niejedno podpatrzył i donosił to o bankiecie, jaki sułtan dla posła wydał, to o uczcie u paszy («częstowali nas po włosku *bez przynuki,* nie tak jak my ich»; «co u nas szlachcic piękniej je obiad»), o koniach sułtańskich (co koń konia lepszy; źrebięta zaraz zaszywają, żeby ich słońce nie żgło), o Turkiniach, jak je opatrują, i t. d. Ks. Młodzia-

nowski (*Kazania*, I, 227) widział w Arabji, około Alepo, wszystkich Polaków i Ruś poturczonych, przynajmniej zewnętrznie, skoro wszelką nadzieję powrotu do ojczyzny utracili. Słowianami bałkańskimi zajmowano się jako domniemanymi pomocnikami w przyszłej walce z półksiężycem; ci więcej nieco o Polsce wiedzieli, a jeszcze więcej na nią, jako na wybawicielkę, liczyli.

SKARB I SĄDY

Pieniądz przechodził w tym wieku smutne koleje. Jednostką pozostał złoty, lecz naturę odmienił, bo go wybijano tylko w srebrze, zachowując dawną nazwę. Pierwotnie, na początku jeszcze XVI wieku był złoty (czerwonym złotym później przezwany, t. j. dukat) tej wartości co złote srebrne po 30 groszy, albo talary, jakie na wzór czeskich Zygmunt I od r. 1528 bić kazał. Ale niedługo utrzymał się «złoty» na tej wysokości: już r. 1548 dawano za czerwony złoty 51 groszy i wartość «złotego» upadała coraz niżej, nawet wobec talara. Mimo to była moneta polska, zwłaszcza wobec śląskiej, lichej, za Batorego i Zygmunta III wysokiej próby, a skutek był ten, że ją Ślązacy i Żydzi z kraju wywozili, a lichą obcą monetę wwozili, co wobec zbyt małej ilości monety polskiej obiegowej i zbyt drobnej [1] okazało się niezbędnem. Srebro w złotym było coraz lichsze, aż doszło za mincarza Tymfa (toruńczyk Tümpe) w latach 1663 i następnych do tego, że wybijano 30 złotówek z jednej grzywny (pół funta) srebra, pół na pół z miedzią; tych «tynfów» wybito sześć miljonów sztuk. Już przedtem, r. 1659, wypuścił mincarz Boratyni na przeszło 20 miljonów zł., gdy sejm tylko na 2 miljony pozwolił, szóstaków z samej miedzi-kotliny. Bicie monety i zysk stąd płynący należały do króla, ale Zygmunt III i Władysław odstąpili je Rzeczypospolitej, która je wydzierżawiała mińcarzom, bijącym w Bydgoszczy, Krakowie, Lwowie. Prawo bicia monety mieli także biskupi i miasta wielkie, ale z niego nie korzystano. Fałszowano monetę na obszerną skalę, t. zw. klepacze, a pomawiano o to i panów, np. Stadnickiego Djabła. Wyjątkowo pozwalano prywatnym na bicie monety, np. Żółkiewskim, gdy całe srebro domowe przetapiali na wykup zwłok hetmana. Skargi na «hawrusów» (Żydów), wyławiających dobrą monetę, na Ślązaków, którzy swemi «ortami» (czwarta część talara) zalewali Polskę, dostawała się aż do wierszów (*Suplikacja do Zygmunta III od pospolitego człowieka dla ortów uciśnionego)*; poważnemi były prace Jana Groswagnera, np. *Dyskurs o cenie pieniędzy teraźniejszej i o niektórych skutkach jej*, 1632 r.; polecał wybijanie polskiej monety na równej stopie z obcą, aby ustało jej upośledzenie (talar polski tracił 10% przy zmianie na obcy); protestował daremnie przeciw obniżce talara wobec dukata, ale to wymógł napływ srebra z Ameryki do Europy; kraje o monecie srebrnej, jak Polska, cierpiały przez to dotkliwie.

[1] Gdy wypłacano gotówką kilka tysięcy złotych, przybierano ludzi do ich niesienia; nieraz o tem mowa, np. u Paska (str. 327) i in.

Podstawą budżetu krajowego był pobór, który sejm ordynaryjny (zwoływany co dwa lata) albo ekstraordynaryjny uchwalał, a chłop płacił; do tego dochodził szos z miast. Stały pobór, 30 groszy od łanu, zaprowadzony jeszcze w XVI wieku, za Batorego, zwano symplą (w niej rozeszło się dawne «łanowe»); w razie potrzeby podwyższano symplę na duplę, triplę, i t. d. Dalszy stały dochód był z dóbr królewskich, podzielonych na ekonomje (przeznaczone wyłącznie dla króla) i na starostwa (niegrodowe) albo tenuty, jakiemi wyposażano urzędy albo zasłużonych *(panis bene merentium)*, nadając je im dożywotnio; o intratne starostwa toczyły się nieraz zażarte walki, wyrabiano sobie ekspektatywy na nie, wypraszano je dla kobiet i dzieci; ze starostw szła do skarbu kwarta, znacznie w ciągu wieku podnoszona. Dalsze dochody stanowiły cła, olbora, najobfitsze sól wielicka i ruska; wreszcie czopowe (od napojów); pogłówne od

Żydów. Nowe pobory, pogłówne od wszystkich bez wyjątku, podymne, t. j. od domu zamiast łanowego, uchwalały sejmy, chociaż nieraz uchwał w życie nie wprowadzano.

Gospodarka poborowa była bardzo niesumienna; rachunki dochodów i wydatków przedstawiał podskarbi sejmowi do sprawdzania, co grubo opłacał; zato zyskiwał zgodę; — Niema zgody! zawołał któryś z posłów, opowiada Jabłonowski. — A kto to taki i taki syn, któremum jeszcze nie dał? zawołał podskarbi; ale nie zgłosił się ów poseł, bo i on był na liście kupionych. Opaleński «na skarb i nieporządek w nim» pisał:

Podskarbi po podskarbim następuje, przecież
Każdy z nich albo skubie, albo takich chowa
Przy sobie skarbowych sług... Tychby to powieszać,
Co owo z karwaszami [1] do skarbu przystają,
A teraz kilkadziesiąt tysiącami liczą
Nie przez całe trzy lata. Ty się chłopku szacuj
Ubogi, i podatki oddawaj zupełne.
Twoje podymne, pobór, obróci się wkrótce
Albo na komedye albo na kanaki... [2]
O pisarzach co powiem? O mój Panie! jako
Często konie, kobierce, rydwany sprawują
Za tento zbiór publiczny. Żołnierz o żołd woła:
Niestało już podatków, na retentach siła
Zostało...
Na prochy, więc na szpiegi, nuż i upominki
Tatarskie, które rzadko Krymu — wiem — dochodzą,
Siła regestra wezmą. Aleć sejm nadchodzi;
Podskarbiego nie widzieć... Przyjeżdża, wołają:
Crucifige, [3] bij, zabij tego franta, co to
Kradnie Rzeczpospolitą. Nazajutrz poproszą
Na bankiet zawołany wszystkich panów posłów,
Albo wżdy co gębiatszych. Bankiet szumny. Piją...
Upominki się kurzą, tego koń z siądzeniem,
Owego czarka potka, tego portugały, [4]
Trzeciego sól, czwartego kilka beczek wina —
Aż tu dobra rachuba!... Snadniej na łajanie

[1] goło. [2] naczółka. [3] ukrzyżuj. [4] dukaty.

I przymówki wytrzymać jednego tam sejmu,
A kilkakroć i więcej sto tysięcy ukraść.

Intratę podskarbiego liczono na 600.000 zł. rocznie.

Wymiar sprawiedliwości był bardzo nierówny: kto się czuł silnym, mało dbał o dekret, choćby trybunalski, o kondemnatę, banicję, infamję — Łaszcz podszywał sobie niemi delję! i na innych ciążyło sporo wyroków, lecz to nie przerywało im snu słodkiego. Na sędziów trybunalskich były wszelakie sposoby; nie podkupywano ich wprost pieniądzmi, posyłano zato dary: cug koni, karetę, fasy win, kosztowny sygnet czy laskę lub zbroję; szafowano i wdziękami kobiecemi na nieużytych; promocja, widoki na łaskę pańską dokonały reszty. Już mawiali sędziowie, że sesje to dla nich złote żniwo, a Samuel Twardowski przyznawał się, że «gdyby czasem nie Lutrzy oparli się sami, snadźby wszystek trybunał wzgórę stał nogami».

Nierównie mniej w Polsce rdzennej, tem więcej na kresach, nietylko na Ukrainie, ale i na Rusi Czerwonej, w ziemi przemyskiej czy halickiej, samowola panów granic nie znała; zabójstwa, zajazdy bywały na porządku dziennym, czego dowodzą wypisy z aktów grodzkich, jakie czyto Łoziński *(Prawem i lewem)* czy dr A. Rolle w *Szkicach* licznych przytaczają. Wystarczy porównać owe listy, jakie r. 1606 Jazłowiecki i Stadnicki Djabeł wymieniali, aby powziąć pojęcie o sądownictwie dawnem i wymiarze sprawiedliwości. Djabeł wyrzuca Jazłowieckiemu:

«Ja młodzi szlacheckiej na głos w nocy nie strzelam, ja młodzi szlacheckiej miasto czapki z głowy kopją żywota nie biorę, ja głowy Kopycińskiego na wety nie każę sobie nosić... (ja za szlachcicami poczciwymi) opiwszy się po gospodach miejskich z dobytą szablą nie biegam i rozsiekiwać ich nie każę, ani na to hajduków chowam».

Jazłowiecki odpowiada:

«Uszy, nosy ludziom szlacheckim urzynasz; szlachtę zabijasz niewinnie, o czem dobrze wiedzą panowie Krzeszowie, paniom uczciwym w maszkarach języki urzynasz; najechałeś dom szlachecki Korniaktów, tam

jakoś plądrował, o tem wiedzą wszyscy; w kłodzie urznąłeś uszy i nos szlachcicowi zacnemu Gierałtowskiemu, siedm szlachciców straciłeś dla domowej suspicji, pieniądze kujesz i do Konstantynopola talery na frymark za czerwone złote odsyłasz, i teraz nalazłby się sklep pod ziemią murowany w Łańcucie i chłopi przykowani, którzy świata nie widzą, co pieniądze kują». Zarzucają sobie nawzajem kłamstwo: «masz jeszcze tych, pytał Stadnicki, coś im Kopycińskiego z zasłupia zabić kazał?»

Bieg sprawiedliwości był nadzwyczaj zawikłany. Miano temu zaradzić przez «korektę prawa», o której na początku wieku wiele rozprawiano, pisano, projekty drukowano; skończyło się na niczem, ku wielkiemu zadowoleniu patronów-mecenasów, którzy różnemi kruczkami sprawy w nieskończoność przewlekali, tak że synowie a nawet wnuci końca się nie doczekiwali, szczególniej w trybunale koronnym, bo w litewskim bywał dekret niewzruszony, skoro nie było nań kontrowersji; w koronnym zaś wymagano aż czworakiego dekretu na *res iudicata*, więc apelowały strony od jednego trybunału do następnego. Kruczki adwokackie wywoływały nieraz zajścia tragiczne: tak Krzysztof Arciszewski zamordował Jaruzela Brzezińskiego, patrona zawołanego, i musiał z kraju uchodzić.

Sprawy należały do wszelakich regestrów; po r. 1660 przybył jeden nowy, regestr arjanizmu; przeznaczony, aby przeszkodzić powrotowi albo ukrywaniu arjanów, rozszerzył się na wszelkie sprawy o bluźnierstwo, o nieodbywanie spowiedzi wielkanocnej przez lat kilka, o pozostawanie w klątwie kościelnej (np. o dziesięciny) przez rok i sześć niedziel, o życie gorszące, a podsunięto tu, bezprawnie, i sprawy o budowanie nowych albo naprawę dawnych zborów (bez pozwolenia stanów czy biskupa); był ten regestr bardzo groźny, gdyż jego sprawy wyprzedzały wszystkie inne.

Otaczano deputatów trybunalskich, prezydenta (duchownego) i marszałka (świeckiego), nadzwyczajnemi honorami, szczególniej przy otwarciu kadencji, przy reasumpcji, odbywającej się z honorami wojskowemi.

Palestra (adwokatura) nabywała coraz większego znaczenia (nie dziw, skoro na deputatów obierano laików); o jej «presumpcji» por. niżej. Na palestrę składali się patronowie (adwokaci) i rejenci (niby notarjusze) z swymi dependentami, nabierającymi praktyką wiedzy prawniczej. O ich wykrętach opowiadano dziwy, ale wyroki wypadały też takie, że wedle podania Chrystus na krucyfiksie trybunalskim twarz odwrócił nabok, a nocą djabli tę samę sprawę sprawiedliwiej osądzili.

WOJSKO

Z wiekiem siedmnastym żaden inny się nie zrównał, z jego tryumfami i klęskami, najmniej szesnasty, wiek złotego pokoju; nawet Grunwald ustąpił bitwie wiedeńskiej, a Orsza czy Obertyn Kirchholmowi, Kłuszynowi, Chocimowi; Pilawce zaś o wiele gorsze niż Chojnica. Nigdy przedtem ani potem wrogie siły nie zalewały tak całego kraju; nigdy też nie dochodził tak daleko szczęk broni polskiej: nad morzem Lodowatem, nad Renem, pod Wiedniem, w Multanach. Nie zsiadała też szlachta całemi laty z koni, i nigdy potem nie wystawiła tak licznych, tak bitnych wojsk. Charakter wieku był bohaterski i tragiczny; wschodził i zachodził w krwawej łunie bojowej, w wojnach domowych, w niepokojących spiskach wojskowych.

Na początku wieku stał na czele wojska uczeń Batorego i starożytnych, Zamoyski, dalej Żółkiewski; potem Koniecpolski, niezdolny już do fantastycznych zwycięstw kłuszyńskich czy kirchholmskich; obok nich godny uczeń Radziwiłła Pioruna, Chodkiewicz: tradycja wodzów była więc nieprzerwana, a tak samo i wojska, urządzonego zawsze jeszcze po Batorowemu. Więc obok kwarty, rozlokowanej naprzeciw stepowi, liczne wojska zaciężne, Węgry, Niemcy, Wołoszy, ale głównie swoi; każdy walcząc inaczej: usarja, konnica ciężka, którą i spieszyć można; mniej ciężka, pancerni albo kozacy — na Litwie petyhorcami

zwani (t. j. Czerkiesi); jeszcze leksza, Tatary, Kozacy, Wołoszy; obok nich piechota zaciężna, węgierska przeważnie; silna kozacka (do 30.000 ludzi) i znaczna wybraniecka; artylerja słaba; siła główna w niepowstrzymanym ataku ciężkiej jazdy. Ale skarb ubogi; zalegają «ćwierci», niewypłacane wojsku, które się «buntuje», t. j. konfederuje, aby wymóc zapłatę, obsiadając i objadając dobra królewskie i duchowne, aż sejm r. 1613 olbrzymie uchwalił podatki na tę zapłatę; przykład tego spisku był jednak demoralizujący, fatalny. Znaczną rolę odgrywały roty nadworne magnatów i króla, a podczas wojny stawali w szeregach i niepłatni wolontarjusze (sabatowie i in.), którzy na zdobycz czyhali. Najsłynniejsi z nich Lisowczycy (Lisy), wedle rotmistrza swego Lisowskiego przezwani, którzy do Złotej Baby docierali, a na Śląsku i Węgrzech, w Austrji i Niemczech wszystkim kacerzom panicznego napędzali strachu; literatura sławiła czyny tych «elearów polskich» (t. j. żołnierzy przodujących), nietylko Dębołęcki, ich spowiednik, ale i wszelacy anonimi. Burzliwym żywiołem stawali się coraz bardziej Kozacy, niezadowoleni z ograniczania ich liczby do szczupłego «regestru» («łejstrowyje»), a jeszcze bardziej z tamowania im wycieczek na morze, na Wołoszczyznę, zawiedzeni co do swych zasług (bez nich byłby Chocim 1621 r. w drugą Cecorę się obrócił). Młoda, niepokaźna flota wytrzymała dzielnie chrzest ogniowy, ale niebawem uległa zniszczeniu.

Zygmunt III był niewojenny; inaczej syn jego, znający się na sztuce wojennej, wysoko ją ceniący, marzący więc o stworzeniu z Polski militarnej potęgi na lądzie i morzu, coby złamała Islam; niedopisał pacyfizm szlachty, która o żadnej zaczepnej wojnie ani słyszeć chciała. Nie ziściły się więc górne plany królewskie, owszem wywołały w dalszym ciągu katastrofę kozacką. Władysław IV był nietylko wodzem, ale i organizatorem wojska polskiego. Obok kwarcianego stanęły teraz dwa «autoramenty», cudzoziemski i polski. Już za Zygmunta III pojawiła się w wojsku polskiem niemiecka kawalerja, ciężko uzbrojeni rajtarzy i arkebuzerzy, i lekko uzbrojeni dragoni, zdolni do służby konnej i pieszej; teraz sformowano z nich konnicę i piechotę pod niemieckimi oficerami i z niemiecką komendą, chociaż szeregowca zaciągano w kraju, po dobrach królewskich i duchownych. Niechętnem okiem patrzano na ten obcy żywioł. Na autorament narodowy składała się wyłącznie jazda, z chorągwiami, t. j. rotami: ciężka, husarze; kilkakroć liczniejsi pancerni; najmniej liczne lekkie chorągwie (bez misiurki, hełmu i pancerza). Władysław stworzył artylerję, łączącą się z inżynierją; dla niej budował arsenały-cekauzy we Lwowie (gdzie miała powstać i szkoła artyleryjska) i in., dla niej fortece, między innemi Kudak na Dnieprze, który całą Sicz nadzorował tak, że ani czółna nie można było spuścić; Kozacy pierwszą, mniejszą, fortecę natychmiast spalili; postawił Detkant (inżynier królewski) nową, nierównie silniejszą, o którą się długo napróżno kusili. Wracali teraz do kraju Polacy z zagranicznej służby, z Wallensteinowskiej, holenderskiej i in., obyci jak najlepiej z nową «fozą» wojenną, uruchomiającą niedołężne ciężkie szyki, zastępującą spiśników muszkieterami, tworzącą nowe typy forteczne. Arciszewscy, Grodziccy (Krzysztof Grodzicki bronił r. 1648 Kudaku po bohatersku), Przyjemski i in. odznaczyli się w wojnie trzydziestoletniej; Krzysztof Arciszewski, arjanin, był zwycięskim admirałem holandzkim na drugiej półkuli i Stany oddawały mu zasłużone hołdy. Jeżdżono zagranicę dla sztuki wojennej, np. Jerzy Lubomirski lub Jan Sobieski; — tego dawniej, oprócz Łaskich, nikt w Polsce nie czynił, przejęty obłędem, że zagranicą niczego się nie douczy.

Wojny kozackie zniszczyły nowe wojsko; stracono całą artylerję i trzeba ją było na nowo formować; kwiat wojska poległ pod Żółtemi Wodami, Korsuniem, Batohem (Przyjemski, Marek Sobieski); hetmani dostali się do niewoli. Zbaraż wytrzymał bohatersko oblężenie, a zwycięstwo beresteckie (nie wyzyskane zu-

pełnie, bo pospolite ruszenie wracało na żniwa do domu), okryło nowe wojska nieśmiertelną sławą; część jej należała się i królowi, który z poświęceniem swojej osoby i trudy obozowe dzielił i odważnie się wystawiał i na radzie wojennej szczęśliwie rozstrzygał. W następnych kampanjach przeciw coraz nowym wrogom podzielili się równą sławą Jerzy Lubomirski i Stefan Czarnecki, a u ich boku sposobił się na największego wodza polskiego Jan Sobieski. Zwycięstw ostatecznie znowu nie wyzyskano, — czyto że przed Warszawą pospolite ruszenie zawcześnie się rozjeżdżało, czyto że zwycięski, ale niepłatny żołnierz dla dochodzenia swych zasług, zamiast na wroga, w «świętym związku» na króla i ziomków rękę podnosił. Wkońcu przyszło i do bratobójczej wojny; pod Mątwami padł cały kwiat Czarneczyków.

Przeprowadzono tymczasem znaczne zmiany. Wojsko kwarciane przestało istnieć jako osobny korpus, zlano je z całym komputem, t. j. tą liczbą wojska, jaką sejm naznaczał. Tak powstało pierwsze wojsko stałe, ale sejm uchwalał liczbę jego bardzo dowolnie, od kilku do kilkudziesięciu tysiący. To nowe wojsko nabrało cechy terytorjalnej, bo opłaty dla niego nie wpływały już do centralnego skarbu rawskiego, lecz każde województwo stawiało ‘powiatowego’ żołnierza wedle skali podatkowej, utrzymywało go, a chwilowo nawet mianowało szarże oficerskie. Nakoniec zamiast «stacyj» (leż zimowych), w dobrach królewskich i duchownych, gdzie żołnierze dopuszczali się jawnych zdzierstw, wprowadzono opłatę, hybernę, którą towarzysze z pod chorągwi wybrani odbierali.

W ostatniem trzydziestoleciu górował nad wojskiem genjusz Sobieskiego, jednego z największych wodzów tego wieku (tak bogatego w wielkich wodzów od Gustawa Adolfa do Turenjusza i Eugenjusza Sabaudzkiego), a wyprawa wiedeńska zakończyła godnie najświetniejsze dzieje oręża polskiego: i wielkością wysiłku (sejm 1683 r. potroił wojsko koronne, a podwoił litewskie, 36.000 i 12.000; w wojsku koronnem 24.000 jazdy narodowej, a 12.000 piechoty i dragonów; w jeździe 4.000 usarzy, 16.000 pancernych, 4.000 lekkich), i szybkością niesłychaną długiego a uciążliwego przemarszu, i genjalnym planem, genjalnie wykonanym. Żadne zwycięstwo polskie nie odbiło się równym tryumfem w całem chrześcijaństwie (chyba lutrzy gdańscy niechętnie pomrukiwali) i nigdy nie grano o wyższy zakład. Jak niegdyś pod Grunwaldem, tak i tu zwyciężał nietylko oręż, ale i duch: późno, ale wkońcu dojrzała i Polska do prawdziwej wyprawy krzyżowej; podniecenie religijne wodza, wojska i kraju było nadzwyczajne; byli to rycerze Marji, królowej korony polskiej. A literatura światowa o Wiedeńskiej (zbiór hrabiego węgierskiego, dziś w Ameryce) objęła około 10.000 okazów.

Ale tu przerwały się tryumfy wojskowości polskiej. Po trzydziestu pięciu latach nieustannych niemal wysiłków (1648—1683) opadło szlachtę śmiertelne znużenie; wprawdzie uchwalały sejmy dawny komput i dalej, ale — na papierze, bo szlachta o dalszych walkach nie chciała nic wiedzieć: wróg był złamany, a że tam Kamieniec turecki tkwił palem w cielsku podolskiem, o to nad Wisłą i Wartą niewielu biadało. Stan wojska pogorszał się zaś stale — z winy szarż wyższych. One rozkradały niemiłosiernie podatki wojewódzkie; tuczyły siebie, a żołnierz głodny i schorzały wałęsał się cieniem po kraju; wystarcza, co W. Potocki coraz na ten temat prawił; rotmistrz pobierał żołd, ale dla żołnierzy fikcyjnych, nie miał ich nigdy tylu w chorągwi, ilu wykazywał dla żołdu, a jakże niedostateczne było ich uzbrojenie, którego koszty do jego kieszeni wpływały! Nietylko liczba, ale i sprawność tego wojska była niedostateczna, skoro go nie tknęła spółczesna odmiana wojskowości zachodniej. Jeszcze zawsze jazda stanowiła jego główną siłę (wszyscy wodzowie polscy byli «najezdnicy»), gdy w Europie już piechota i jej ogień górę wzięły; z ostatnim wielkim artylerzystą, Kąckim, zginęła też artylerja; o fortecach nie było nawet mowy; broń była przesta-

rzała. U sąsiadów rosły stałe armje do niebywałych rozmiarów; lekka broń skałkowa z bajonetem zastąpiła ciężkie muszkiety i spiśników, dawniej wiele liczniejszych niż muszkieterzy; stosunek liczebny odmieniał się coraz na niekorzyść spiśników, aż ich całkiem usunięto — szpontony oficerskie XVIII wieku, to chyba ich spóźnione echo. Co do fortyfikacyj, wystarczy przytoczyć imię Vaubana, nieznane w Polsce spółczesnej, zbędne w kraju bez fortec (oprócz częstochowskiej i kilku ordynackich, jak Zamość lub Ostróg), a z obnażonemi granicami; przy samym końcu wieku wrócił Kamieniec, nie siłą odbity, lecz na mocy traktatu. August II wawrzynów marzonych nie zebrał.

Spółczesna literatura, szczególnie satyryczna, miała dla wojska tylko ostre przycinki, nie mogła mu wybaczyć konfederacyj i niszczenia kraju przez stacje; Starowolski opowiadał (zob. wyżej), że mieszkańcy dwu miasteczek rzucili je w rozpaczy, gdy w ciągu paru lat pięćdziesiąt chorągwi przez nie przeszło, a każda «stacje» (prowiant) wybierała. O pospolitem ruszeniu nie było zdania odmiennego, potępiano je w czambuł, Pilawiec nigdy mu nie zapomniano: «Ręka nas dotknęła Pańska i rozum odjęła, Jak to więc zawsze mówimy, Kiedy co sami pokpimy» (Łukasz Opaleński). Szydzono z niekarności wojska; z trybu wojennego bez amunicji wojennej: «Jednem nabiciem odprawiamy kampanję», «Doma Aleksandry za stołem bijemy, A na wojnę bez prochów i lontów idziemy»; z przechwałek: «Cóż? morskich tych szewluhów (nicponiów), śmierdzących śledziami (mowa o Szwedach), Nie mieliby za morze zasiec nahajkami?», inni udają wojskowych:

Służyli, a wprawdzie pięknie, lecz w tańcu,
Przy winie, skrzypkach i łojowem słońcu;

ociekli krwią, chyba z nosa albo w syntaksie pod magistrem Smagą; naśmiewano się z zaciągów «cudzoziemskich», co to

Ledwo *Gib fajer* a *Werdo* zrozumie,
Już że niemiecki tryb, powiada, umie.

Satyryk szydził słusznie z dożywotniej godności hetmańskiej; żądał, żeby głową okupił, jeśliby głową podrwił. Najostrzej osądzał W. Potocki nędzę wojskową, słaniających się od głodu i zimna dragonów, butę towarzyszy, brak pogotowia (na kilkaset mil otwartych granic tyleż żołnierzy!) i «municyj» (twierdz).

Ale i wojskowi mieli przyczynę do żalów; wymownie wyraził to Zbygniew Morsztyn, sam dzielny żołnierz, w *Muzie Domowej*, opisując trudy kampanji:

A choć kto uszedł, kiedy nago z błota
Wylazł, ustała do służby ochota.
Bo o czem służyć będziesz? czy nie o tych
Czterdziestu złotych?

Byśmy przynajmniej od tych wdzięczność znali,
Za którycheśmy się krwią oblewali —
Ale kiedy na żołnierza, co żywo,
Pogląda krzywo.

Więc kiedyśmy my tak źli wojennicy,
Niechże się sami biją kapuśnicy;
Miasto ferezyj niech wdzieją pancerze,
A my pacierze,

Z desperacyi zostawszy mnichami,
Będziemy za nich mówić z ich żonkami;
Będziem w domach ich gospodarzowali,
Orali, siali.

A w miękkich leżąc jak oni pierzynach,
Będziem się także pytać o nowinach:
Czy już tam nasi Moskwę w pień wycięli?
Czy cara wzięli?

W wojsku, szczególnie w dragonji i piechocie, przeważał tryb i słownictwo niemieckie, ale nie obeszło się to bez protestów; obiegał nawet wiersz *Do JMM., co opuścili zwyczaje polskie, a manjery się niemieckiej i strojów jej chwycili:* oni

Śmierdzące pludry więcej niż portki kochają,
Bo na miejsce onych swych sławnych pułkowników

Stworzyli obersztерów, jakichsi fendryków,
A miasto poruczników jacyś lejtnantowie;
Tu pan major, tu kapral, usiędą syrantowie.
Poginęli strażnicy, tylko wachmistrzowie,
Niemasz obożnych, tylko kwatermistrzowie...
Weźcie znowu portki na się, a w komesz[1] z pludrami!

Fredro czyli porucznik (jego) Lipowski w *Piechotnem ćwiczeniu* używał nazw: pułkownik, pułkowniczy, strażnik (major); komendy niemieckiej już nie odmieniono, chociaż na nią sarkano. — Tradycja utrzymywała wiele przeżytków, o czem w Europie już ani słyszano, np. łuki i strzały popłacały u nas po dawnemu, niby broń narodowa, i kupcy lwowscy sprowadzali z Carogrodu sajdaki po 45 zł., dziesiątki strzał po 6, łuki po 18 zł. Ale tradycja zachowała i inne szczegóły; moraliści (Falibogowski, Starowolski) nie mogli dosyć narzekać na zbytek panujący w wojsku wobec dawnej prostoty: Chodził dawniej żołnierz w białych karazjowych kurtach i czerwonych delurach; tylko rotmistrz «w falendysie», w futrze z lisów albo «egipskich baranków»; za tem większego junaka uchodził, kto miał więcej pręgów na kurcie od rdzy zbrojowej; spodniego ubrania z aksamitu czy jedwabiu przeszywanych bawełną nie miał ani hetman; uchodziło za znaczną ozdobę, jeśli kto miał aksamitną hamelikę (ładownicę), albo takie wyłożki na rękawach. Nasi ojcowie w obozie wodę tylko pijali, dodając nieco czosnku albo *kruty*, a kaszę na drewnianym *krzynowie* jadali. Nie mógł się Falibogowski dosyć nadziwić, widząc towarzysza w haftowanej pościeli, a mnóstwo dań na jego stole. Sarkano i na cudzoziemskie zaciągi, że droższe niż nasze, psują wiele prochu, strzelają cały dzień a zabiją kilku (jak to pod Zborowem widziano); mniej też wytrzymali na nasz klimat i życie.

Na swawolę żołnierzy ułożył pleban markuszewski Nieradzki sto epigramów łacińskich, a tłumaczyli to na polskie częściowo Kuligowski w *Demokrycie*, a w całości *Kirys hartowny*. Dla ratowania honoru twierdził Kuligowski, że one odnoszą się do barbarzyńców-Tatarów w wojsku, którzy gorzej plądrują niż Tatarzy właściwi, i przeciw cudzoziemskim szewcom i krawcom, Francuzom i Niemcom, którzy i w jego folwarku plądrowali; «bodaj tych krawców z naszej krainy wygnano, A Sarmatom, do wojny zgodniejszym, rząd dano». Raczej będzie dobrym żołnierzem szlachcic, ale «który z chama, ten nie folguje i krwi szlacheckiej», bo «żywy Póki świat, chłop nie będzie szlachetnym życzliwy». — Wojsko litewskie, jedna trzecia koronnego, bywało przez hetmana wielkiego litewskiego lepiej sprawiane; szczególniej łożył na to i własne koszty Kazimierz Sapieha, choćby dla osobistych zamiarów.

[1] precz!

Strój wojskowy bywał, szczególnie w pierwszej połowie wieku w jeździe, niejednolity; każdy dogadzał swojej fantazji; przeważały wschodnie wzory, tureckie i tatarskie; «delury z pętlicami, telie perskie, rumskie ferezyje, Szarawary janczarskie, macedońskie szturmaki a Karmańska głowa, na której wygolona czupryna Łaszczowa» (Twardowski, *Satyr*, 1640). Piechota natomiast nosiła się po «hajducku», i sprzeciwiał się temu Fredro-Lipowski jako ubliżającemu, bo lokajskiemu strojowi.

Samo słownictwo broni dowodziło, jak głęboko sięgały wpływy wschodnie, — owe kałkany (tarcze okrągłe), sajdaki, buzdygany i t. d. Przyczyniły się do tego zorjentalizowania łupy wojenne, po Chocimiu i Wiedniu; roku 1673 «nasiało się po wszystkiej Polszcze rzeczy tureckich, owych haftowanych rzeczy ślicznych, koni pięknych, łubiów (pokrycie łuku) bogatych i innych różnych specjałów» (Pasek). Jeszcze obficiej obłowiono się pod Wiedniem; potracono wiele na długim, ciężkim przemarszu, ale i po Parkanach «leda luźny pachołek w szubie i zawoju tureckim na onych gładkich arabskich prezentuje się skoczkach»; 1673 r. «naprowadzono do Polski wielbłądów siła, tak, że go dostał i za podjezdka». Wiadomo, jak Sobieski właśnie

cenił broń orjentalną. Praktycznem uzbrojenie nie było; towarzysz pancerny ponawieszał na sobie tyle rzeczy, że budził wielki podziw, ale nie wielki strach, — słowa Beauplana, który wyliczał Francuzom na uciechę, co to pan rotmistrz na sobie i koniu dźwigał, i słusznie pytał, jak taki walczyć może? Gdy w Europie ulżono rynsztunku i obmyślano potrzeby wojska, u nas zaniedbano to zupełnie.

Wojsko ciążyło nieraz dotkliwie nad krajem; związkowi np., choćby Baranowskiego z roku 1696 i 1697, wymuszali kontrybucje na miastach niby Tatarzy czy Kozacy, podeptawszy powagę hetmańską. Ale to była rzecz wyjątkowa; w obozie popłacały zresztą «artykuły wojenne», a te były wcale srogie: kara śmierci za wszelką burdę, za wzniecenie trwogi (alarm fałszywy) i t. d., nieraz złagodzona na wypędzenie z wojska za wdaniem się towarzyszy. Zwykłą karą, hańbiącą i dotkliwą, były *praszczęta;* puszczano w praszczęta, t. j. przepędzano przez szyki, okładające pałkami czy rózgami plecy winnego.

W potocznem życiu nie można było poznać, «kto reczkę sieje, kto żołnierz»; «chodź zdrów w kirejce, gdyś zabił Turczyna»; kirejka była istotnym przywilejem żołnierskim, i szlachcica-domatora, który ją zawdział, żołnierze sromotnie obili; burka znowu okrywała hetmana, nim na pospolity ubiór zeszła. Inne szczegóły: tylko przy hetmanie odzywały się kotły; na ucztach hetmańskich podawano pieczeń z łoszaka tradycjonalną, chociaż jej nie jedzono, i t. p.

RUINA KRAJU

Wojny, trapiące kraj od roku 1648, a przedłużające się w wiek następny, zniszczyły kraj doszczętnie. Kwitnęła w pierwszej połowie wieku Polska, której złotego pokoju zazdrościli sąsiedzi — wzdychaliż do niego Ślązacy, żałując, że już do Polski nie należą; teraz sama pogrążyła się w nędzy materjalnej, za

którą poszła moralna i umysłowa. Opisy obcych podróżników, np. Ulryka Werduma z lat około 1670 r., wystawiają Polskę jako kraj przeważnie lesisty, gdzie rzadkie, nieludne osady. Na jakie pustki i doły piwniczne Pasek w Wilnie, po spaleniu przedmieść przez Moskali, natrafił, opowiedział w *Pamiętnikach,* a rzadko które miasto uszło podobnemu nawiedzeniu. Do pożogi wojennej przystępowały klęski elementarne, mory i głody, powodzie i pożary. Na Ukrainie jeszcze i szarańcza, której spustoszenia Beauplan obszernie opisał; i jemu opowiadano, że na jej skrzydłach chaldejskiemi znakami «Gniew Boży» był wypisany; pokrywała drogi, konie wzdrygały się przed nią, a straszny fetor z tratowanej powstawał: on jechał trzymając pod nosem chustę maczaną w occie.

Z Ukrainy uciekało co żyło, i dopiero pod koniec wieku powracali panowie do dóbr, zgniótłszy wprzód bunt kozacki Palejowy, nie bez pomocy rosyjskiej. Liczba ludności, w porównaniu z r. 1648, spadła znacznie; mówią, że tylko dwie trzecie pozostały; najobfitsze strony leżały odłogiem i głód trapił niedobitków. Wywóz zbożowy opadł nadzwyczaj; dobrobyt był zupełnie zachwiany.

Ruina gospodarcza zaczęła się zresztą przed Kozakami i Szwedami. Dzierżawcy niszczyli dobra (por. niżej) i już Falibogowski biadał nad gospodarstwem: gdzie dawniej sto łanów uprawiano, dziś ledwie połowę; arendy to poczyniły: gdzie dawniej 50 gospodarzów było, dziś ledwie dziesięć, «dziś majętności jako straszydła stoją» (podobnie i zamki, które od dołu do góry przejrzeć można); dawni panowie inaczej o poddanych dbali, np. kasztelan krakowski Jordan wymagał podwody tylko na taką odległość, żeby chłop na noc do domu mógł wrócić. Opaleński (zob. wyżej) potwierdza te wywody.

BIBLJOGRAFJA

Źródła dziejowe nadpływają jak najobficiej z kronik, pamiętników, archiwów państw europejskich, czego nie wymieniamy, jak i opracowań źródłowych, śród których dla barwności i szczegółowości opisu dzieła K. Szajnochy, L. Kubali, W. Czermaka się wyróżniają. Nie posiadamy dotąd diarjuszów sejmowych, które narazie tylko z XVI wieku wydano; one rzucają wiele światła na usposobienie i myśli, np. diarjusz tego sejmu (r. 1638), który Raków skasował. Dla kilku ustępów wymieniono już w tekście źródła. Dla historji Żydów dzieła Dr Majera Bałabana o żydach krakowskich (tom pierwszy, obejmujący wieki XV, XVI, XVII) i lwowskich (na przełomie wieku XVI i XVII) i luźne jego rozprawy. Dla historji mieszczan Wł. Łoziński, *Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku,* Lwów 1892. Dla stosunków prawnych na Rusi Czerwonej podstawowe dzieło Wł. Łozińskiego, *Prawem i Lewem,* 1903, gdzie najobszerniej wyłożono wojnę domową zaciągami obcemi (sabatów węgierskich) między Djabłem Stadnickim a Opaleńskim w pierwszem dziesięcioleciu wieku, zakończoną zabójstwem Djabła, który jednak godne Djablęta pozostawił. Z aktów sądów wielkopolskich wybrał garść szczegółów (i o pogromach żydowskich) Białkowski w szkicu z r. 1926: okazało się, że napiętnowana przez Krz. Opaleńskiego pani Breza zbrodnicze instynkty od własnej matki, równej djablicy, odziedziczyła; obie panie, jak i Djabeł Łańcucki, raczej do psychopatologji, niż do dziejów kultury należą. *Pisma rokoszowe,* wydane w trzech tomach przez prof. Czubka (1916—1918), przyniosły wiele szczegółów nietylko dla lat 1606—1608. Sądy zagraniczne o Polsce zebrał St. Kot w dziele: *Rzeczpospolita polska w literaturze politycznej Zachodu,* Kraków 1919. Ksawerego Liskego, *Cudzoziemcy w Polsce,* Lwów 1876, utknęło na pierwszym tomie: Beauplana *Opis Ukrainy*, gdzie tylko ustęp końcowy o Polakach prawi (r. 1663), wydali Rosjanie w oryginale i przekładzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

ŻYCIE RODZINNE I TOWARZYSKIE

Wychowanie. — Małżeństwo. — Kobiety. — Zbytek

WYCHOWANIE

Wychowanie bywało wcale nie osobliwsze. Opisał je Krzysztof Opaleński:

Naprzód gdy od mamki
Dziecię odsadzą w drugim i to ledwie roku,
Że utyje jak cielę, tamże go zostawią
Do kilku lat, aż zgnije między fraucymerem.
Całują, pieszczą, muszczą... papinkami karmią,
Wołowego nie dać mu mięsa ani grochu.
(I) zmarnieje w więzieniu dziewczem, niż dorośćie,
Gdy mu i na piędź wyniść z izby nie dopuszczą,
Chyba zatkawszy gębkę i nosek i uszka.
A na cóż go tak długo tuczysz w tym karmniku?...
Dopierożci zaledwie po różnych przymówkach
I krewnych i przyjaciół pośle go do szkoły,
Przykazawszy surowie i pedagogowi
I tym, którzy są przy nim, aby długo sypiał,
Aby rózga na ciałku jego nie postała...
Powraca już do domu... cóż wżdy po nim w domu?
Pije ojciec w dzień i w noc, nie wyda go synek,
Gra kostek... zwadźca on, rad podwiczki pilnuje...
Tak mu tedy ten miły dom i pomieszkanie
Przy tatusiu wynidzie. Aż się też namyśli
Wysłać go gdzie daleko w cudzoziemskie kraje...
Wraca się pan syn ze Włoch *tandem* do ojczyzny.
I potoż to całe ośm lat w Rzymie, w Paryżu
Potrzeba było mieszkać? i na to się ten koszt
Siedmiudziesiąt tysięcy obrócił i nad to?
Lecz tego nie żałować, bo się grać na lutni,
Śpiewać, skakać galardy, ba i po francusku
Nauczył dyskurować, więc i alamode
Chodzić, stroić... powiada o damach, baletach.

W zwierciedle ustawicznie, ni tam małpa jaka,
Muszcze się, goli brodę i dwa razy o dzień,
Monstruje, perfumuje, pudruje i trefi
Włosy, z których żelazo ledwie kiedy znijdzie.
Siła przejął zwyczajów, umie i kapłona
Drewnianego rozebrać, a zjeść prawdziwego...
(Syn się wrócił, co z nim?) poślesz go do dworu,
Czy do wojska? — Nic z tego; niech się domem bawi.
Tuć się siła nauczy, pić a kosterować,
Warcabami kołatać, kart grać do umoru;
Nuż utracać, pachołków przyjmować, po miastach
Hulać, krzosać, wadzić się, sąsiadów najeżdżać,
Rodziców nie szanować, rady ich nie słuchać,
Równych sobie znieważać, aż też utną rączkę
I onę piękną gębkę sprośnie nakarbują.

Były znakomite wyjątki, ale przeważał tryb przez satyryka napiętnowany. Młodzież oddawano teraz do szkół «bławatno, pierno, kowano, szabeltaszno, jako na zaloty»; gdzieżby się na to dawniej odważono, gdy się przed rektorem musiano okazywać w czarnym giermaku, ani z szablą, «ani pod piórkiem, chyba za uchem, albo na sklepistych butkach». Tak samo pogorszyła się służba, pachołcy; skromny, co od zbytków odradzał, to bałamut, jako u pana tako u skoczylasów, wystarzał się z rozumu; «ale który się ono tobołą albo ładownicą przepasze, sajdakiem opierzy, dobry kufel duszkiem zmoże, to grzeczny pachołek». Przez złe wychowanie zmarnieli książęta Słuccy; Pileckiego do szkoły jeszcze mamka odprowadzała, stracił też majątek; wszystko utratnicy: ali lej, rozlej, aż wioski lecą, skaczą galardy. Dziś szatę sprawił, jutro z nią do żyda, do Marka w szóste położenie, a Marek jeszcze szydzi, że aksamit nienajlepszy. Tak ma być u pana, choć się już klują kolana; buczno było, teraz prędko się wypierzył, aryjańską (szary byt) przyjął; może prosi jakiego pana, by go wziął za sztafiera (lokaja) swego. Leśniowski, podczaszy lwowski, zamierzał przedstawić, jakby młodzież zagranicą od zbytków odwodzić, do ćwiczeń przynaglać —

dwaj jego synowie dali mu do tego aż nadto powodu; śmierć go uprzedziła. W drugiej połowie wieku wyjeżdżano już znacznie mniej zagranicę, większość szlachty nie opuszczała Polski. Posyłano synów do dworów, ale i tam ustała karność.

Dawny tryb patrjarchalny ciążył najbardziej jeszcze nad córkami, co żadnej woli własnej nie miały, wypychane zamąż wedle nakazu rodzicielskiego czy opiekuna, który zato wymagał pokwitowania z najnierzetelniejszej gospodarki w majątku pupilki. Taką np. Annę Stanisławską, bogatą i piękną pannę (ostatnią z rodu), wydał tyran ojciec za kretyna «Kazimierka» Warszyckiego, potwora fizycznego i moralnego,[1] i Anna znosiła piekło cierpliwie; dopiero gdy Kazimierek wypaplał, że p. Stanisławski (wojewoda kijowski) umarł, co przed Anną starannie ukrywano, rzuciła się do rozwodu i osiadła w klasztorze na Pradze podczas procesu, popierana przez macochę, której łaskę znacznemi ofiarami materjalnemi okupiła. Biografja Anny, przez nią samą wierszami w 76 trenach napisana, to świetna kartka z dziejów rodzinnych. Po rozwodzie[2] starał się o jej rękę wdowiec Oleśnicki, przeszkadzali inni plotkami, że otruł pierwszą żonę, że chory z życia rozwiązłego i t. p.; że Anna złośliwa i t. p. Wkońcu się pobrali; pożycie szczęśliwe śmierć przerwała; rezolutna Anna nie dała się wyrugować z wiana swego, Szczekarzowic, które jej Czartoryska zajechała. Po śmierci drugiego

[1] Całe jego bohaterstwo było uciekać pod łóżko przed rózgą ojca, kasztelana krakowskiego; tam nie mógł go stary dosięgnąć. Zmyślano o nim niesłychane dziwy; chciał kościół i plebanję spalić, bo go w kościele pchły kąsały i t. p., a Anusię dusił za gardło, bo chciał widzieć, jak dusza z ciała wychodzi, i t. p. Uwiecznił go i W. Potocki, I, 339.

[2] Słynny był na całą Polskę; uwiecznił go A. Morsztyn wierszami, krążącemi w szlacheckich *Silva Rerum:* «Pannam, bo męża nie mam, alem przecie żona», i t. d., p. *Wirydarz Trębeckiego* II, 369. Warszyccy przeszkadzali ile sił rozwodowi; po jego uzyskaniu składała Anna rachunki, oddawała klejnoty staroświeckie, które chyba kowal, nie złotnik, wyrabiał; Anusia oburza się i śmieje ze skąpstwa p. kasztelana.

męża konkurowało znowu wielu o jej rękę; wyszła wkońcu za Zbąskiego, gdy Sobieski, dawny jej protektor, sam się za nim wstawił; żyli szczęśliwie mimo wszelkich plotkarzy i procesu o Szczekarzowice, które mąż dla miłego spokoju ustąpił, czego mu Anusia długo przebaczyć nie mogła; Zbąski umarł od rany pod Wiedniem. *Transakcję* Anusi, napisaną r. 1685, należałoby tu całą przedrukować, — dla życia sfer wyższych dokument to znakomity.

Synowie zażywali większej swobody, już dlatego, że mogli rzucić dom ojcowski, ale i oni stali pod silnym rygorem. Bywało rozmaicie: bogatego Staszkowskiego syn okiem nie mrugnął, gdy mu ojciec u stołu przed gośćmi policzek wyciął, ale gdy Gromacki syna uderzył, ten mu oddał policzek, «zatem obadwa jęli się za boże poszycia (włosy), zdużał młodszy starszego, i gdy już do drzwi doszło i ojciec obawiał się przenosin za próg, zawołał: stój zdrajca, pótym ja swego ojca wodził!» Wychowanie synów było bardzo nierówne; jeszcze w pierwszej połowie wieku bywała szlachta «chora na rękę» (t. j. nie umiejąca pisać), a obok tego przykłady wzorowego wychowania, szczególniej synów wielkopańskich (Firlejów, Sobieskich i in.), z instrukcjami i listami ojców, świadczącemi o nadzwyczajnej zabiegliwości, by usposobić synów na godnych obywateli «w todze i sagu» (wojennym). O szkołach zob. niżej. Wychowanie córek wymagało najmniej zachodu: było domowe, co najwyżej klasztorne i dworskie; książką ich nie zabawiano, chyba modlitewną; nauk nie udzielano; patrząc na sprawy domowe, wyuczały się nieskomplikowanego gospodarstwa; uczono je tańca, śpiewu, robót ręcznych, klawicymbału.

MAŁŻEŃSTWO

Gdybyśmy zawierzali literaturze samej, przyszłoby bardzo powątpiewać o powszechnem szczęśliwem pożyciu małżeńskiem, ale literatura, szczególnie moralizująca i satyryczna, pomija normę, spokój, ciszę, a chwyta się rysów wybijających nad ogół. Stąd więc te liczne skargi o niewiarę i zdradę, o płochość i lekkomyślność, o trwonienie majątków na stroje i życie wystawne, — ale to raczej wyjątki, nie reguła; szczególnie częste skargi na babożeniów i starców, biorących panienki. Mimo tego zastrzeżenia opinje niekorzystne są tak liczne, że nie można ich pomijać; pochodzą nie od księży, ale i od laików z najrozmaitszych stron i warstw. Skarżą się na coraz liczniejsze rozwody i indulty, na dwużennych, nawet na kazirodztwo (chociaż rzecz o Oświęcimach, bracie i siostrze, do bajek należy), a szczególnie pomawiają panie o związki z służebnymi lub przyjaciółmi. Już w *Apoftegmatach* Kochanowskiego położnica «pociesza» męża: «nie frasuj się, nie twojeć» (dziecko). Niezawsze to plotką bywało: żona podczaszego lit. Radziwiłła z Tatarem męża, Janem Osmólskim flirtowała, a gdy tego «doszło», Osmólski uciekł do Lwowa; ale wytropił go tam podczaszy i oskarżywszy niby o złodziejstwo, utopić kazał (dorobiono do tego, co pani na błagania Osmólskiego o ratunek odpowiedzieć miała: po smacznym kąsku napić się nie wadzi); opisała to najdokładniej, z wymienieniem nazwisk i t. d., *Księga Chamów;* poeta z Radziwiłłowego dworu bez nazwisk to samo opowiedział, a za nim i W. Potocki.

W sprzeczności z temi skargami zostaje smaganie każdego przekroczenia normy obowiązującej, niezrozumiałe wobec jakiejś istotnej rozwiązłości obyczajowej. Znamy przykłady, że za flirt panny z fraucymeru dworskiego z sługą pańskim oboje ukarano śmiercią. A co się nakpiono z amorów Sobieskiego i Marysieńki, jeszcze Zamoyskiej! Krążył o tem bardzo uszczypliwy wiersz A. Morsztyna: *Serenada północna na ślub niezwyczajny intonowana w Warszawie,* i t. d.[1] Jakże gorszono się, gdy r. 1638 pojął A. Grudziński siostrę wujeczną![2] Juwenal polski, Krzy-

[1] *Wirydarz poetycki,* I, 128—130; częsty po rękopisach.
[2] *Wirydarz,* I, 31 i II, 362.

sztof Opaleński, winę «zepsucia stanu białogłowskiego» upatrywał w samem wychowaniu:

Ledwie dziewczynie siedm lat, już jej wspominają
Młodzianów różnych, gachów. Do taneczka z chłopcy
Mało nie co dzień;... piosneczki śpiewają:[1]
Miasto świętych żywotów będzie tam co w druczku
O zalotach i różnych przebiegach młodzieńskich.
Jeśli też do kościoła przyjdzie, więcej oczka
Po gachach młodych chodzą, niżli po ołtarzach.
W mieście na zjeździe jakim pod sądy i roki
Z okienka ustawicznie na tego, owego.
(Na biesiadę albo wesele) pani matka z córką
Nie omieszka. Dlaczegoż? Aby się ćwiczyła.
Upewniam, że wyćwiczy; usłyszy to, owo
W taneczku, albo kiedy w nocy z hukiem przyjdą
Swawolnicy weselni, nocni kulikowie...
Dopieroż gdy podroście, pani matki prosi,
Aby jej nie trzymała w domu; (o klasztorze ani mowy).
Za kogoż chcesz Anusiu? pyta ojciec. Ów się
Najbardziej mi podobał, co ma czarny wąsik...
Zostawszy tedy żoną, dopieroż króluje
I męża za nos wodzi, sługami, czeladzią (rządzi jak chce),
Dobrze, że sam małżonek po łbu nie oberwie...
Ty już chrzciny gotujesz, zapraszasz sąsiadów,
Izby szumnie obijasz, kolebkę sporządzasz
Kosztowną dla tego to dziecięcia, którego
Nie tyś chudzino ojcem, mylisz się w tem, ale
Albo Janusz woźnica, albo hajduk Giergiel...
(Męża całuje,) A myśli o kim drugim. O, kiedybyś kazał
Pootwierać pultynki, skrzynki, szkatułeczki,
Cobyś tam listów znalazł i sekretnych cedul (od gachów).
Dosyć, że temi czasy nie krają nożami
Obrusów przed takiemi, jako przedtem było;
Teraz, bodajby który obrus został cały.
Ale ty cyt! i ja cyt! Wiemy na się obie:
Jeśli obrus pokrajesz, pokraje ja twoję

[1] Skarga powszechna na wszeteczne piosnki, których się dziatwa od czeladzi uczyła.

Gębę, jako tu pani pannie uczyniła...
Jaka w nich ambicyja honorów i chciwość!
O, jak męża namawia: co dać, to dać, byle
Kasztelaniją kupić,... a ta wziąwszy statut,
Rachuje, daleko tam pan siedzi od króla,
Na drągu jako raróg? obawia się bowiem,
Aby jej na weselu która nie posiadła...
To śmieszna, gdy o miejsca i ławki certują
W kościele, gdy się mają za równe każdemu.

Mówi i o jej strojach:

Znijdą się tedy wszystkie panny do pokoju
Rano dla ubierania. Tam wżdy o dwunastej
Na półzegarzu wstanie; niż koszulę weźmie,
Niż pończoszki, trzewiczki, godzina wyciecze.
Potem zaś do zwierciadła. Jedne włosy trefią,
Drugie wieże budują na głowie i baszty;
Trzecie tam opinają i stroją ten ołtarz.
Pyta się, jako kształtnie; dawają swe vota (panny)...
Więc gdy mąż tylko w domu, okudłana chodzi.

Miłości ku dzieciom nie ma. Owdowiawszy, rychło się pocieszy:

O takie nie trudno,
Co wdowami po śmierci w czwarty tydzień idą (zamąż)...
(A) druga i za pieska kochanego, kiedy
Zachoruje, dałaby żywot męża swego (na okup).
Byle pieniądze miała, niech się z gachy liże
I przy małżonku samym, nic to nie zawadzi.
Wolę prostą szlachciankę, niż córkę hetmańską;
Wolęć tak żyć w pokoju, niż mi masz wyrzucać
Infuły i pieczęci, laski i buławy (twego rodu)...
Cóż o owych rzeczecie, co się sobie mądre
Zdadzą, co więc łaciną w mowie narabiają?
Dyskuruje o wojnach, hetmanach, o sejmach,
Kądzieli zapomniawszy albo igły z nicią.
Drugie zaś znajdziesz, co się pieszczotami bawią,
Co sobie miękkie słówka w usteczkach formują...
Białagłowa nie wie, co strata substancyej;
Nie miarkuje się wedle swojej kondycyej,
Ani się swoją mierzy piędzią, ale cudzą.

Satyra piętnuje wielkie panie, wyjątki uogólniając, wedle stałej Opaleńskiego zasady; przyznawał sam, że są «które pod niebiosa godzi się wywyższyć; Dobrym Bóg zapłać, a złe niech dyabeł weźmie».

Po rękopisach obiegały *Artykuły panieńskie posłane na sejm walny koronny od wszystkich panien przez pewne na to obrane posełki r. 1637.* Odmienne to zupełnie od podobnych drukowanych *Artykułów* sowizdrzalskich, trącących pornografją. I tu wiele żartów, przesady, karykatury, ale pod żartami kryje się prawda: mianowicie, jak trudno bywało o męża! Nie chcą więc panny długotrwałych zalotów, najdłużej ćwierć roku; niech patrzą cnoty i piękności, nie pieniędzy, ale że piękne rzadkie, więc sprzedający środki upiększania (rumienidła, woreczki kamforowe) mają być wolni od cła i «czwartego grosza». Zapusty niech trwają 12 tygodni i trzy dni. Cztery razy do roku zebrania po powiatach, żeby się poznawano i zaręczano; kto się nie stawi, gardłem płaci; słowa dotrzymywać pod wysoką karą. Panny niech nie wychodzą za narzuconego im przez rodziców, lecz kogo same obiorą. Mąż niech nie skąpi na suknie i stroje. Wdowy nad lat 40 niech się modlą i przędą, niech nie odwabiają nam młodzieńców dla grosza; żeni się młody ze starą, niech mu wszystko zapisze i najdalej w pół roku umrze, o co on się starać będzie. Panny zaś wychodzą za wdowców, tylko jeśli nie będą wspominali nigdy nieboszczki, ani pytali o posag; wszystko mają zapisać i rychło umrzeć. Ponieważ mężczyźni zaloty do 40 roku odsuwają, winien się każdy pod karą śmierci i utraty majątku do 20 (24) roku ożenić. Zabrania się obcych tańców, bo kiedy się dobra myśl ma zaczynać, wnoszą młodzieńcy «galardy, pargameski, hajduka, wekiery (nazwa pałki i tańca), a my oczy wytrzeszczamy». Mężowie po weselu zabraniają żonom zabaw i tańców; ma to być żonom jeszcze przez lat dziewięć dozwolone. Żeń się równy z równą, więc ślepy z rozoką, garbaty z guzowatą, i t. d.; niezdatni do małżeństwa niech po koniec życia wojskowo służą. Zabrania się rodzicom córki dla własnej wygody zbyt długo w domu trzymać; braciom i opiekunom ich nie wydawać, aby w ich dobrach brodzili a je skąpo żywili. Ponieważ Niemiec nigdy Polakowi bratem nie będzie, więc nie wolno się żenić z Niemką z fraucymeru królewskiego, albo z wydalonych ze Śląska. Znosimy dziurawe dożywocia (t. j. przy nowem małżeństwie) i wyliczanie się z inwentarza; niech i na Litwie, jak w Koronie, starczy zapis oprawy w grodzie, i t. d.

Myśl o mężu, obawa przed sianiem rutki na wieńce dla innych (staropanieństwo) trapiła panny, stąd ich litanje do wszystkich świętych, humorystycznie (dla rymu) układane, np.:

Ufam ja świętej Agacie,
Że nie będzie w pożyczanej szacie;[1]
O miły święty Wincenty,
By nie miał gęby przeciętej;
O Michale archaniele,
By nie miał długów wiele;
Proszę o to świętej Marty,
By nie grał zapalczywie w karty;
Proszę świętej Maurycjanny,
Bym chowała grzeczne panny;
Proszę świętego Adama,
By dla siebie, nie dla pana;
Uproś to święta Łucyja,
Niech mnie nie surowie bija;
O miły święty Jakóbie,
Niechże mnie za łeb nie skubie;
Moja dusza o to prosi,
Niechże się krótko nie nosi, i t. d.

Kończy się to dwuwierszem:

O miły święty Bazyli,
Byśmy z sobą długo żyli.

---

[1] bo i to się trafiało; szczególniej pożyczano na zaloty cugi i karety.

Podobnych litanij jest więcej, np.:

Miły święty Hieronimie,
Niechaj w kuchni i kominie
Kucharze obiad gotują,
Bowiem mi się oczy psują,
Kiedy ono na kominku
Piwa tylko kęs do kminku
Miasto kapłona zagrzeją,
A słudzy się z tego śmieją, i t. d.

W *Pacierzu* prosi panna, «Abym z dobrym dobytkiem siedmiu pochowała» i «Niech nie chodzi (mąż) rwać ziela na cudze ogrody». Młodzieniec zaś prosi, aby była «wzrostu wielkiego i też wziątku niemałego... aby dziatek niewiele»; nie taka, coby długo w klasztorze była, boć będzie chciała wszelkie miejsca odpustowe nawiedzać, a dom, gdzie dewotkę czują, radzi jezuici i mnisi nawiedzają — daj ją (Boże) memu wrogowi, nie mnie; ani dworka, co przywykła do zbytku w stroju i mnie uczyć będzie, jak mam żyć», i t. d.

«Konfundowały» panny młodzieńców pieśnią:

Pocóżeście przyjechali,
Darmo buty wydeptali?
Nie pójdę za Waszmić,
Bo Waszmić niemasz nic, i t. d.;

ale młodzieńcy się odcinali:

Chciałem Waśnić mieć za swoję,
Lecz się teraz Waśnić boję,

i nicują jej urodę:

Szyja i pierś była pełną,
Boś je wyścielała wełną;
Ramię jedno troszkę krzywe,
Drugie także djabeł dziwy, i t. d.[1]

[1] *Wirydarz,* I, 132.

I tu szydzą z «Litwinów» i ich komplementów:

Tęsknię do ciebie jak cielę do krowy;
Kisnę jak ciasto w dzieży,
Bowiemeś cudna jak rajska koza, i t. d.

Świetny opis wesela szlacheckiego dał Olbrycht Karmanowski w wierszu p. t. *Wesele towarzyskie,*[1] pełnym przycinków sarkastycznych; nie zrównają z jego obcesowością i dokładnością wszystkich szczegółów *Kołacze* Szymonowica, poetyczniejsze i skromniejsze. Drugi obraz flamandzki wesela szlacheckiego dał p. Sakowicz w *Epitalamium* z r. 1634;[2] nie sielanka to, jak *Kołacze,* lecz zdjęcie z natury, nawet z zachowaniem nazwisk obu par oblubieńców na głębokiem Podolu.

KOBIETY

Sprawa kobieca zabrała w literaturze po polsku (nie po łacinie, skoro się do kobiet zwracała) nierównie więcej miejsca i znaczenia, niż dawniej. Zajmował się nią niegdyś Rej w *Warwasie* i w ustępach o strojach *Krótkiej Rozprawy* i Marcin Bielski w *Sejmie niewieścim,* korzystając z *Senatulus Mulierum* Erazma Roterdamczyka; obok nich grubiański mazur Paprocki, który dla swojej *Nauki rozmaitych filozofów obierania żony* i dla *Dziesięciorga przykazań mężowych* okradał starożytnych, a polecał na złą żonę:

Jedno kij, tę receptę miej na nią za pasem;
Będzieli warcholiła, pogłaskuj jej czasem;

podobnie w *Próbie cnót* na hardą a dumną:

Bijże a ręku nie żałuj,
Po lędźwiach ją smolno smaruj;
Wężowej jest natury,
Dosięgaj dziewiątej skóry;

[1] *Wirydarz,* I, 112—116.
[2] W *Silva Rerum* Czartoryskich, nr. 362.

ale ktoby dobrą żonę bił,

Godzien ten utopienia w plugawem jezierze,
Abo na wieczną hańbę niech się w koszu rzeże!

Inaczej w XVII wieku. Jeśli wtedy erotyk wydobył się na czoło liryki, wobec dawnego jej ubóstwa, cóż dopiero w literaturze gnomicznej i satyrycznej, nieraz wyłącznie kobietom poświęcanej. Szczególniej druga połowa wieku obfitowała w prozaiczną i poetycką polemikę; zaczęło ją *Złote jarzmo małżeńskie,* na które odpowiedziała niby jedna dama dworska (w istocie p. sędzia Żydowski): *Gorzka wolność młodzieńska.* Obok niej *Baba abo stary inwentarz Prokopa Matlaszewskiego z Babożenic; Wiersz o fortelach i obyczajach białogłowskich; Cztery części świata natury białogłowskiej od I(akóba) B(oczyłowica) opisane r. 1691; Świeże Adwizy z koła panieńskiego,* 1673, i inne.

Rzeczy to bardzo nierównej wagi. Najświetniejsza, to pana sędziego, który zawodowi prawniczemu wstydu nie przyniósł; zjadliwą skargę na mężczyzn włożył w usta pani; jej aluzje płciowe są tak sromotnie-dowcipne, że dziś ich wszystkich drukowaćby nie można. Świetną prozę własną przeplatały przysłowia hiszpańskie, włoskie, niemieckie; cytacje obszerne z rękopisów poetów polskich (np. przyjaciela, W. Potockiego; z rubasznej komedji o Lopezie Lubomirskiego i in.; dowód najlepszy, jak druki odpisy zastępowały); Żydowski był i erudyt znaczny, i dowcipu niezgorszego. Obie płci zarzucają sobie brak wiary małżeńskiej; defektów męskich mszczą panie; nie przekonały ich przykłady biblijne; dzisiejsi mężowie, gdyby wszystkie swoje cnoty złożyli, nie wyłataliby jednego Józefa, odbiegając płaszczów u cudzych żon z obawy przed mężem. Panie tu niewinne, płacą chyba wet za wet; w innych pismach natomiast płeć piękna pokutuje za wszystko. Panienki zamłodu uczą się od matek samych wszelakich sposobów, chodzą żując imbier, cytwar, krupy tatarczane lub kredeczkę; w stroju, twarzy, postawie mizdrzą się i krygują; niejedna samych zdrobniałych słóweczek używa (grzeczniusieńkie, smacznusienieczkie, bielusieńkie, i t. p.); myślą tylko o chłopcach, modlą się i zamawiają msze na św. patrona tego, za któregoby się rade wydały. Żona żałuje, że jej więcej nie służą, że się jednym winna zadowolić; jak mu schlebia, słodkich słówek nadaje, szydząc z niego, myśląc o innym; wina i niejednego męża, co rad, że się żona innym, np. gościom, podoba. Wdowy rzucają żałobę jak najrychlej, myślą tylko o nowem zamęściu, wabią strojem, twarzą (szczypie policzki, by czerwone były), wychwalaniem swych zalet, parenteli, dostatków, cnoty; jedna nad drugą się sadzi. Baby trapi zawiść, pięknzą się «rumienidłem», wstawianiem srebrnych zębów w drucie i t. d.

Krócej i dobitniej wyraził W. Potocki w *Sylorecie* (a przejął te oktawy Żydowski w *Złotem jarzmie*) przez usta mizogyna Dauleta, dlaczego się nie myśli żenić; każda ma wadę:

Bogata zwykle męża lekce waży;
Uboga będzie na rodzinę kradła;
Nadobnej zawsze trzeba chować straży;
Szpetna, jakby też liznął kto kowadła;
Lada czego więc młodej się zabaży,
A stare wadzą podejrzeniem stadła;
Wysokiej siła wychodzi na bramy;
Mała do złostki skłonna i do plotek;
Dworka nic tylko stroje, figle, kramy;
Domowa trusia jako morski kotek,
Choć się na strojach francuskich nie znamy,
Nakładzie na się pstrocizn i błyskotek;
Jeśli się kędy dowie o biesiedzie,
Choć nieproszona, w pólbarańczu jedzie, i t. d.

Ależ te wyrzuty, to jednostronny akt oskarżenia męski. Raz tylko ujął sprawę Żydowski od strony kobiet i wytknął ułomności męskie, a można je pomnożyć choćby o ten fakt, że niejeden szlachcic, zamiast podróży albo służby wojskowej, żenił się, «choć w szkole gdzieś dopiero o łacinę go wytną», a «mło-

dzi owi od podołku i ruchu kujani domowi» tylko chłopieli. Już wiodą panie mężczyzn w tańcu do ich znużenia — zła to na przyszłe pożycie oznaka. *Humory białej płci,* wcale ładny wiersz, [1] wylicza je wszystkie.

Literatura sowizdrzalska wytykała mieszczkom te same wady, tylko nierównie drastyczniej i bez obwijaków; dodawała jednę, że się mieszczki rade spijają; pisarz i żak uprawiali u nich tę samą rolę, co u jaśnie wielmożnych pań Janusz albo Giergiel. Ciekawe jednak tu i tam, że nie stworzono osobnego wyrazu dla «żelozji»: włoski termin *(gelosia)* obiegał i w Polsce; niewątpliwie bywali tu mężowie mniej zazdrośni.

ZBYTEK

Na zbytkowne życie uskarżano się w całej Europie, ale tam sumy wydawane na zbytek pozostawały w całości, albo po największej części w kraju, gdy u nas największa ich część była dla kraju stracona, bogaciła obcych. Płci obie nie miały sobie pod tym względem nic do wyrzucenia, bo jeśli panie więcej nierównie na stroje łożyły (i mężczyźni nie byli na tym punkcie bez «ale»), to ci winem węgierskiem aż nadto rachunek wyrównywali. Stroje i wino były tylko pozycjami w deficycie narodowym; równie tyle pochłaniała służba, najniepotrzebniej mnożona — ci wszyscy rękodajni słudzy byli zawadą (prowadząc panią uszargali ją tylko), nie pomocą. I myślistwo kosztowało wiele, ale chyba znacznych panów; gra w karty (w kostki mało grano, o szachach głucho) jeszcze nie grasowała epidemicznie. Wobec szalonego zbytku — szczególniej w powozach i cugach: sześciokonne karety dla pani czy pana rozumiały się same przez się — uderzało nieraz brudne skąpstwo, które zresztą narodowi obcem było; przy znanej gościnności przychodziło tu nieraz do

[1] *Wirydarz,* I, 63.

konfliktów, jakie W. Potocki i inni fraszkopisarze wyzyskiwali, bo skąpy obawiał się zawstydzenia. Wiersz *Marnotrawcom przestroga* [1] wylicza krótko a węzłowato, jakiemi sposobami tracono majątki.

Stroje kobiece przybierały coraz inne kształty i nazwy. Panny wieńców już nie nosiły, zdano to kucharkom; gdy pannę w wieńcu ujrzano: «Wej czubata kurka». Stare kuczmy, co podobne do turbana, tylko mniejsze były, równie z mody wyszły, ale czapki zostały. Dla sukien i zarzutek moc krojów i nazw; Samuel Twardowski skromnie wymienił «Krymki, Szwedki, Nocenty, Ankry, Ingerniny», ale Łącznowolski w *Nowem Zwierciedle Mód* (1682) daje «szat rejestrowanie»:

Szustokor,
Kawalerki, Kapoty, Westy, Mantolety,
Rejteroki, Piekarnie, Manty i Kolety;
Kopertyny abo więc Pondelaris daje,
Gdy niezłocistą krawiec suknię kraje,
A jeśli złotem szata będzie się świeciła,
Pondewenis korona będzie ją zdobiła.

W *Compendium medicum* z r. 1703 podobnie:

stroją «głowy fantazjami, Kornetami, [2] batalniami, Kwefy i bawoletami, I ze włosów garsetami, Także z koron beginami, [3] Z dziwnemi angażantami... Niemasz teraz palatynki, Ni sztynkierki, ni szmacinki... Manty zwane szamerlany, Kamizele, robdeszany, Kawalerki i z westami. I hazuczki z korszetami, Także z rogów sznurówkami, Podkładając je breklami»... [4] «szarpy zwane sperpentaljo, reyteroki z kopertynami, pondewenis, ponderaty» i t. d.

Na ten nierozsądny zbytek (bo żeby to na mury, szkoły, pałace!) skarga powszechna:

[1] *Wirydarz,* I, 59.
[2] rogi na głowach zowią damy kornetami, r. 1682.
[3] korony od drzewa, drewniane, r. 1682.
[4] «Jest to kij, co go zprzodku pod kabat wsuwają, Ale źle, niech go raczej na grzbiet obracają», r. 1682.

Nic to na wiosce jednej siedzącemu kupić
Za tysiąc, dwa, soboli, rysiów, złotogłowów,
Aksamitów, tabinów z złotem i ze srebrem.
Wszystko na grzbiecie u nas, dostatki w pozorze...
Nie obaczysz nikogo pieniężnego w Polsce,
Okrom Włocha a Niemca. Zbytek poje wszystko,
Mianowicie gdy słudzy na młodego trafią;
Wszystkie prowenta pójdą na koniki, pieski,
Za charta nic to nie jest dać i parę koni.
— Kosztuje mię Mość Panie ten rumak czterysta
Talarów, — a nie dał zań ledwie trzysta złotych...
Wszystko potem obróci na kupno rumaków,
Aż też przyjdzie zastawić ferezyją z siebie.
Żydkowie temu radzi, zewsząd go obchodzą,
Rychło się ferezyje, kontusze, hazuki
I żupany przypławią do rąk ich w zastawę.

To Opaleński o mężczyznach, ależ cały chór pisarzy tego samego zdania, np.:

Ledwie dziś znać Polaka. Włoszy, Francuzowie
Po dworach wielkich wszędzie. Źle o polskiej mowie;
Zginąć jej i ze strojem, bo dziś stradyjety
Nastały, saltabrety, wymyślne kolety.

Elegant opisany tak:

Francuski wąsik, czupryna zjeżona;
Mycka z serduszkiem na bakier spuszczona;
Kurteczka by drwił na piędzi od pasa;
Brzuch podkasany; sam chłop jak kiełbasa;
Portki nie portki, ni też szarawary,
Pludry nie pludry, i sam strój bez miary;
Wiszą u zadu jak wory chołoszne (spodnie).

Na pludry szczególnie nastawano: «czasby lisowski już ten strój zagubić».[1] Jeszcze wiele ostrzej wyrażał się Twardowski:

nic w takiem ojczyzny
Ubóstwie kształtniejszego jako husarszczyzny
Z Ordyńska, Diarbecka, i tylkoż że nowe

[1] *Wirydarz*, I, 57.

Koralowe, siarczyste i limoniowe
Dnia jednego kolory przy galonie złotym,
A lazuru i działkom przydanego potym
Nie zajrzeć karmazynu...
Miasta się rozhulały, akkomodowane
Także szlachcie i na nić coraz taksowane
Kramy, budy, rzemiosła... aż też barwy starej
Po wsiach było nie widzieć w sukni chłopa szarej.

Ze strojami[1] do pary szedł zbytek w stołach:

(Za cnych przodków) nie znano na stołach bogatych,
Co to pasztet, co ciasto albo galaredy;
O biankach nie pytaj, ani marcepanach,
Chybaby na weselu. Misy więc stawiano,
Jednę z mięsem wołowem, drugie z jarzynami,
A czwartą z grochem, w którym słonina pływała
Jak wieloryb po morzu. Półmisków nie było,
A pogotowiu srebrnych. Niedawne to czasy,
Gdy dla gry samej tylko pierwszy talerz srebrny
Na stole był widziany. Sam król jadł na srebrze,
Wszyscy inszy na cynie... zjadł, coć było w pierzu,
Choć w nieobitej izbie, nie na olenderskim
Obrusie, nie na srebrze. A wy papinkarze..., i t. d.

Roku 1606 *Rewersał listu* i t. d.[2] bardzo mądrze przeciw zbytkom wystąpił, żądając «proporcji»:

«Więc życie szlacheckie, limonie, oliwki, salsesany, cukry etc. dobre to rzeczy; ale kto nie ma tysiąca kóp żyta urodzaju, dobry mu ogórek, kiełbasa, chrzan, rzodkiew, rzeżucha etc. Nie proporcja zaprawdę, aksamitna delia, a białe karazjowe portki; baczmagi czarne, kord z węgorzanką, a chłopiec boso. Nuż sług niepotrzebnych chowanie, co owo jedno wąsy kręcą, nogi wystawiają, a nic więcej nie umieją, jedno się z miednicą a z nalewką (do umycia rąk przed stołem) kłaniają. Wieręć to nie proporcja: w gumnie pięć brogów żyta, a dziesięć kręciwąsów w izbie prze-

[1] Panie płaciły więcej krawcowi za robotę, niż kupcowi za materję; Polak nie pytał, co materja i t. p. kosztuje, tylko sam podawał cenę i podrażał towar. Z Polski wychodził miljon złotych rocznie za sam safjan i kordyban (na buty).
[2] *Pisma rokoszowe*, II, 240—257.

woźne piwo piją... Nie proporcja, dać łamane serwety na stół, a piwo zgniłe; ma być wino do łamanych serwet. I to nie proporcja: dać wino na stół, a muzyka dudy; do wina ma być regał, a do piwa dudy».

Jeszcze słynęła Polska dobremi piwami; wyliczał je Trębecki:

Leszczyńskie;
Łagodne, z gęstą pianą obaczysz Brzezińskie,
Albo Łowieckie, co więc chłopom gęby krzywi,
Albo Wareckie, którem Warszawa się żywi.
Ujskie i to przyjemne, gdy nieprzepalone;
Wielickie nie mniej sławne. Nie gań Żólkiewskiego;
We Lwowie będąc miej się do Jezuickiego;
Zielone Biłgorajskie jak lipiec się pije.
Na Międzyrzeckie każdy podróżnik się kasze;
(Kolno też) o lepszą z swojem piwem z Prus idzie birami.

W. Potocki małogoskie wychwalał, ale drogiem je mianował. Obok piwa miodu używano; u wielkich panów stały miody w fasach o żelaznych obręczach, a korzeniem zaszytym w workach podprawione. Z win obok zwycięskiego pochodu węgierskich utrzymywały się jeszcze kandyjska małmazja i muszkatel i wina hiszpańskie; francuskich, reńskich, rzadko używano. Gorzałka, *ros solis* i inne gdańskie wyroby, rozlewała się coraz silniej, chociaż chłop i mieszczanin zalewali się jeszcze żyburąpiwskiem; zwali ją mądrochną, prostuszką, gochną, a wywodzili od *gorzał Ka* (niby alchemik jakiś).

Potraw staropolskich nie wyliczamy; o ich mnóstwie poucza *Postny Obiad,* wiersz humorystyczny z r. 1652, i książka St. Czerneckiego, *Compendium ferculorum albo Zebranie potraw* r. 1682: sekretarz królewski, był kuchmistrzem u wojewody krakowskiego Lubomirskiego. Mylił się, że to on pierwszy coś podobnego wydał: wyszło pierwsze kuchmistrzostwo polskie już r. 1544, ale to był dosłowny przekład z czeskiego. Czerniecki wyliczał najpierw zasoby kuchenne, naczynia (szpikulce, wierciochy, obłożyny, przygłowniki i in.), jarzyny (między niemi: popie jajka, bulwy, brochul, kolender); potem sto potraw mięsnych,

sto rybich a sto mlecznych, z dodatkami i sekretami kuchmistrzowskiemi, np. dać całego szczupaka, głowa smażona, środek warzony do rosołu-kaszanatu, i pieczony ogon; albo kapłon w flaszce, o czem i Kochowski pisał; albo jucha z wszelakiego mięsiwa, włożyć do niej sznur pereł i dukata, dla chorych. Potrawy wydawano jednę po drugiej, co ucztę bardzo przedłużało, albo wszystkie naraz, co je ziębiło; na wielu miejscach nie znano jeszcze «potazjów albo zup», zadowalano się «szafrannemi, pieprznemi» potrawami; kuchnia polska spożywała mnóstwo korzenia; obcy skarżyli się, że mięso warzono napoły surowo, albo je nadto przysmażano, że chleba nigdy dobrze nie wypiekano; posypywano niegdyś każdą potrawę tartym chlebem. Zasadą było u Czernieckiego: lepiej za talar szkody, niż za pół grosza wstydu.

Beauplan, który 27 lat Zygmuntowi i Władysławowi służył jako inżynier, opisał dla swoich Francuzów jak najdokładniej znaczniejszą ucztę. W sali obszernej trzy stoły w podkowę ustawiano; w kącie *służba* (kredens) na szkła i srebro za balasami, gdzie nikt prócz szafarza nie wchodził; do wysokości męża ponastawiano tace i talerze; nad drzwiami galerja dla muzyków i chłopców-śpiewaków. Wchodzących przyjmowało czteru rękodajnych: jeden z wielką miednicą, drugi z nalewką srebrną, dwaj trzymali długi ręcznik. Zasiadano wedle godności, za każdym panem jego pachołek albo ich dwu, szlachcice nieraz, którzy mu talerz odmieniali; na każdym talerzu pod serwetą, małą jak chustka do nosa, chleb, którego niewiele spożywano. Zup nie było; były dwa dania; pierwsze wszelkie mięsiwo warzone; po sprzątnięciu drugie, pieczyste, dziczyzna; nie dawano wcale, albo nader rzadko, gołębi i królików (poznać Francuza!); przytem kasza, pirogi z serem, groch tarty i inne jarzyny, wkońcu jakieś łazanki w utartym białym maku. Mięsa warzone w czworakiej jusze, szafranowej (żółtej), czerwonej (z wiśni), czarnej (z powideł), szarej (z cebuli tartej). Pan, oddając słudze talerz,

kładzie nań co i ile mu się spodoba z półmisków; słudzy uchodzą z swojemi talerzami pod ścianę i tam się raczą wcale hałaśliwie. Po drugiem daniu wety, sery i t. p. Wszystko bardzo korzenne, Francuz nie dałby swej jednej potrawy za tych dziesięć. Jedno znakomicie sporządzają: ryby. Podczas obiadu piją tylko piwo; założywszy gruntowny fundament, zabierają się do wina (białego) i spijają wszelkie możliwe toasty; puhar krąży od gospodarza do gości. Tak samo raczą się słudzy i zaczyna się ogólna pijatyka, w której i muzycy i szafarze udział biorą; dzieją się przy tem bezeceństwa, pijana służba wyciera talerze o obicia albo o rękawy pańskie. Trwa uczta godzin kilka; jedni zasypiają, drudzy wychodzą na dwór i wracają do nowej z winem potyczki, opowiadając o zwycięstwach odnoszonych w takich turniejach. Koszta takiej uczty nadzwyczajne, ale nie dlatego, żeby przyprawa sama ich wymagała; niema wcale osobliwszej, wszystko dosyć prymitywne, ale mnóstwo stanowi; wydadzą na szkła 300 talarów, ależ każde szkło tylko parę groszy kosztuje. Raził Francuza sposób ucztowania jeszcze bardziej niż wojowania; przyznawał, że to, coby u Francuza już za ucztę osobliwszą liczono, u Polaka stołem codziennym było. Jak francuska kuchnia nad polską, tak ta górowała nad moskiewską, o której się Pasek dosyć naopowiadał. I litewska miała swe specjalności, np. boćwinę. Dla potrawy niejednej obiegały dziwne nazwy, np. koci wrzask dla rzepy, dla flaków nalewajki, i in. Znakomity opis delikatnego «bankietu włoskiego» a czego się żołądek szlachecki dopominał, dał Potocki, I, 34: każda uwaga w tym przydługim wierszu charakterystyczna, a rysy nie osobiste tylko, lecz rasowe niemal. [1]

[1] Gdy do włoskiego bankietu nie trzeba ani noża ani gęby nawet, bo nosem *Lacrima Christi* i jarzynki, wróbelki, gołębięta wącha, to polska biesiada taka:

Po wczorajszym bankiecie wynidę z pokoju,
Aż w izbie pełno krwi, szkła, obu końców gnoju;

Zbytek nie był kwalifikowany, ale dymensjonalny, nie wyróżniał się wyrafinowaniem, lecz imponował wielością, ogromem (tak samo było i ze stołem). Magnata otaczały orszaki wręcz nieprawdopodobne dla cudzoziemca; najmniejsza przejażdżka poruszała całe tłumy dworzan i służby; nawet mierny szlachcic utrzymywał ich wiele — choćby dla własnego bezpieczeństwa, szczególnie gdy miał warcholnego sąsiada; lecz w orszaku samym bez zbytku panował tryb przeciętny. W pewnych okolicznościach, jako poseł np. w Rzymie czy Paryżu (po Marję Ludwikę), występował czy Ossoliński czy Opaleński z istotnym, niesamowitym przepychem: ubodzy Włosi, skromni Francuzi podziwiali niesłychane u nich i niewidziane bogactwa w stroju dworzan-służby i w rzędach koni; przepych trącił Wschodem, bajką z *Tysiąca i jednej nocy*. Szczegółów nie przytaczamy; wjazdowi Ossolińskiego do Rzymu zawdzięczamy znakomite Della Belli ryciny, z których bije blask nadzwyczajny. Nie dziw, że magnat, np. Opaleński, zgóry nieco patrzył na wysoką szlachtę francuską, która się na podobny przepych zdobyć nie mogła. Z dworem magnackim i królewski niezawsze zrównał, a co do etykiety, niewiele się różniły; sztywnej hiszpańskiej nawet za

Temu księdza, owemu balwierza prowadzą;
Ci jednają, a drudzy dopiero się wadzą.
Ten okradziony biada, bez czapki, bez szabli,
Ten się potłukł, ten bluje... (I, 33);

że to nie przesada, poucza *Schadzka Ziemiańska* Piotra Zbylitowskiego z początku wieku. O podobnych wierszach Potockiego wyraził się W. Łoziński, że uciekać od nich, zatkawszy nos i uszy; nie zważył, że pisał je Potocki nie dla potomności, nie dla druku, lecz dla siebie i najpoufniejszego kółka; że za niedyskrecję, która wszystko bez osłon opisuje, on nie odpowiada; nawet żona jego wypominała mu podobnie:

Jeśli co kiedy żonie w moich żartach wadzi,
Na rozpuszczoną brodę pamiętać mi radzi,

(I, 41) — ale w żartach poufnych uchodzi, co się do druku nie nadaje wcale. Przecież sam Potocki wyłączał z druku (w *Poczcie Herbów*), co tylko do *Odjemka* prywatnego się godziło.

Wazów nie uprawiano, a po Wazach nimb królewski zbladł zupełnie.

Życia towarzyskiego w szerszem znaczeniu słowa nie było, bo udział kobiet był minimalny (siedziały przy osobnych stołach albo oddzielnie), a szlachta w miastach nie żyła; dwór królewski, acz bardzo wystawny za Zygmunta III i Władysława, zbyt mało przyciągał: kilku senatorów, rezydujących przy królu, i kilkunastu dworzan, pisarzy (sekretarzy), fraucymer królowej, składało się na dwór; wysocy jego urzędnicy (wielki kuchmistrz, łowczy i t. d.) świecili przeważnie nieobecnością.

Żyło się po wsiach (a mieszczanie po miastach) w najbliższem sąsiedztwie: łowy i wesela, chrzciny i pogrzeby, wjazdy na urząd uroczyste i zapusty (kulik) zbierały liczniejsze grona i dawały «asumpt» do niezliczonych mów. Szczególniej ceremonjał weselny w nie obfitował, każdy moment (wymiana pierścionków, ofiarowanie darów, marcypanów, wyjazd do kościoła czy do kaplicy zamkowej, pokładziny) wymagał osobnych przemów, które z lubością wychodziły od herbów pary — parodjowano je po rękopisach w t. zw. oracjach «serbskich» o nieskromnych aluzjach.

Zabawiano się tańcami; były najrozmaitsze, znamy nieraz tylko nazwiska. Wymienia je Hieronim Morsztyn w *Światowej Rozkoszy* (1606): lipka; fortunny; Maciej; Konrat; świeczkowy; wyrwaniec; goniony; młynek; wymyślne do fochów cynary. W relacji o poselstwie do Turek r. 1640 opowiada Lubieniecki o «figlarzach» tureckich, skaczących, ukazujących pieniądz jeden drugiemu, «i zaś umykając, — nakształt *czapkowego*[1] było to, co w Polszcze tańcują». W *Gorzkiej wolności młodzieńskiej* opowiada dama (właściwie p. Żydowski): za naszych ojców «pedają», że dziewczynie i słowa rozmawiać nie dawano i ledwie ją przed ślubem okazywano; dziś są na to towarzystwa i tańce,

[1] Może od tego czapkowego tańca poszedł ów zwyczaj weselny odbierania czapki, wsadzania jej pannie młodej na głowę?

żebyście się młodzież pannom słusznie przypatrzyli: «na to *świeczkowy*, żeby lepiej ją widział przy świecy, którą przed sobą nosi;[1] na to *mieniony*, żeby z boku obaczył; na to *goniony*, aby widział, jeśli nie kaleka albo nie dychawiczna; na to *śpiewany kowal*, żeby słyszał, jeśli niemota; na to *Niemiec*, żebyście jak w garnce kołatali, czy dobra miedź i złość jeśli się w niej nie ozwie; nato *angielskie tańce* świeżo wprowadzone, żebyście ku sobie rękami klaskali, motali się z sobą». Tańce polskie były pięknym okazem kultury polskiej i rozszerzyły się szeroko po świecie: polonez i mazur (*goniony* dawny).

Obok tańców były gry towarzyskie, które z nazwisk znamy, np. w *Światowej Rozkoszy: «trawkę, gąskę, murkę* grać». Na dworze królewskim (jeszcze i za Sasów!) grę uprawiano z Niemiec wprowadzoną (za Zygmunta III?) i nazwę niemiecką zachowującą: Wirchaus (albo Wirtszaft), rodzaj maskarady w chłopów, kupców, murzynów, turków i ich żony; losowano o role: chłopa polskiego czy obcego, wójta, gospodyni, szynkarza i t. d., i ubierano się i zachowywano odpowiednio;[2] gospodarz podejmował gości, kupiec rozdawał podarki, i t. d.

[1] Taniec z świecami w rękach *(Fackeltanz)* przechował się na dworze berlińskim do naszych czasów; ministrowie go raz do roku na balu dworskim odprawiali; zniósł ten zwyczaj dopiero Bismarck, oświadczywszy, że nigdy go nie odprawi.

[2] W rękopisach istnieją *Obserwacje niektóre wirchausu chłopskiego*, wiersze A. Morsztyna. Król został chłopem angielskim (w Anglji «chłopem być lepiej niż królem» wobec losu Karola I!), kanclerz Ossoliński wójtem, więc przed nim wytaczał Morsztyn skargę na «chłopa angielskiego»:

Wójtowską swą powagą przywiedź go do tego,
By go też i gąsiorem (więzieniem) postraszyć się miało,
Żeby mi się od niego w rychle dosyć stało,

w tem, co mi obiecał; żona w. kuchmistrza, Mniszkowa, została żoną tegoż chłopa, więc żart na jej «krok szeroki», ale:

Ostatni wiersz kto pisał, niechaj nie wie Mniszek,
Boby zaś, żeby mnie struł, nie dowarzył kiszek.

Zabawiano się zawsze jeszcze błaznami; jeszcze Sobieski miał błaznów, Winnickiego i Wiesiołowskiego, miał ich i August III; u wojewody St. Lubomirskiego był Słowikowski, ale to nie błazen, sowizdrzał raczej z bardzo nieestetycznemi żartami (na lekarza-żyda i in.). Na dworach wielkich pań były karlice, nie wszystkim pożądane; Radziwiłłówna np. nie przyjęła ofiarowanej jej na weselu karlicy, bo się niemi Radziwiłłowie brzydzą: plotkarki to i złośliwe, a co gorsza, może się kobieta w nie zapatrzyć.

Widowiska teatralne (o operze zob. niżej) mało popłacały; lwia część ich, szkolne jezuickie, uniwersyteckie i in., to nie teatr; studenci krakowscy nieraz w całym zespole grali lepiej nierównie, niż jakaś improwizowana z dworzan i sług rękodajnych «trupa», co komedją naprędce skleconą miała uświetnić czy ostatki zapust czy fest domowy — tak powstała komedja Baryki *Z chłopa król,* odegrana na dworze p. Łubieńskiego przed wielu gośćmi po koronacji Władysława IV. Takich improwizowanych widowisk dramatycznych było więcej; nie zastąpiły jednak zespołu istotnych aktorów, np. trupy niemieckiej *(Englische Komödianten),* bawiącej czas dłuższy na dworze Zygmunta III.

Życie towarzyskie dyktowało modę w strojach, powozach i t. d. Zbytniej jednostajności nie było, naśladowano coraz nowe mody, szczególniej panie rzucały się na wszelkie nowinki, szerzone od dworu przez obie Francuzki: był to pierwszy napływ francuszczyzny, szkodliwy dla kieszeni mężowej. Z biegiem lat ustalał się coraz typ stroju polskiego, męskiego: samo słownictwo węgierskie (delja, kontusz, żupan, kopieniak i t. d.) wskazuje pochodzenie. Strój nie był kosztowny sam przez się; podrożały go niesłychanie dodatki: guzy, łańcuchy, manele, guziki srebrne, złote i drogiemi kamieniami wysadzane; dygnitarz nosił na sobie nieraz całe wsi, a ubiór koronacyjny Zygmunta III malkontent na miljon złotych oceniał. Na prowincji, na Podgórzu np., zamożniejszy nawet szlachcic mógł stary, skromny tryb

w stroju, powozie, mieszkaniu zachowywać, nie wysadzać się na wymyślne potrawy, ale W. Potocki (tu znać eks-arjanina chyba) w osobnym wierszu usprawiedliwiał oszczędne życie wobec zarzutów skąpstwa czy niedbalstwa.

Do życia towarzyskiego należały podróże: szlachcic bywał ciągle na nogach, odwiedzał krewnych, sądy, sejmiki, zamłodu i zagranicę, niby dla przyjrzenia się obcym porządkom. O studja już w XVI wieku nie wszystkim chodziło; w XVII to już wyjątkowo popłacało; pod pozorem nauki trawiono zagranicą czas i grosz, i ojcowie obawiali się złych skutków tych rozjazdów, upominali szczególniej synów, żeby się nie znosili z Polakami, ich jak najbardziej unikali; na tak złe mniemanie już w tym wieku zarobili nasi podróżnicy; wyrzucano im, że przywożą tylko wady obce i pogardę swojszczyzny. Ale i w domu i zagranicą ujmował sobie Polak ludzi uprzejmością i żywością, odbijającą od ciężkości niemieckiej; Beauplan wyraźnie zaznaczał to podobieństwo do Francuzów; grzeczność była rysem wybitnym i imponowała Niemcom jak i Moskalom, więc zażywał naród słusznie najlepszej sławy; naśladowano jego tańce i stroje, nie jego husarzy, jako bardzo okazałej, ale zbyt kosztownej broni. Są świadectwa obcych, taki profesor frankfurcki Frencelius w wierszu «o Polakach podróżujących» dał najpiękniejsze, wysławiając ich obyczaje. Powoli się to odmieniało na gorsze i już z lat około roku 1670 dochodzą nas przykre odgłosy, np. Ulryka Werduma, oskarżającego o rozpustę, nawet kazirodztwo, krzywoprzysięstwa (ile złotych, tyle przysiąg możesz mieć!), manję komplementów niesłychaną na świecie, przeklinania takie same; uznaje zdolności, ale wytyka niedbalstwo i próżniactwo; są bardzo ciekawi, rozpytują chętnie obcych, i t. d.

BIBLJOGRAFJA

Po mistrzowsku opracował Władysław Łoziński *Życie polskie w dawnych wiekach* (Lwów 1912, wydanie trzecie); jest to właściwie «życie pańskie siedmnastowieczne»; autor innych warstw albo wcale nie tykał, albo mało je uwzględniał; znawstwo i miłość tej przeszłości złożyły się na świetny jej obraz; literatura dawna, pamiętniki, akty sądowe i resztki materjalne (broni, sprzętów i t. d.) były mu źródłami znakomicie wyzyskanemi. Co do pamiętników — nieocenionego gawędziarza-zmyślacza Paska, otrzymaliśmy w wiernym przedruku J. Czubka, Kraków 1928; Olbrychta Radziwiłła ciekawe zapiski znamy z dawnego tłumaczenia polskiego (jak dzieła historyczne Orzelskiego z nowego); niejedno zalega jeszcze w rękopisach (np. wiersze-autobiografja Stanisławskiej), chociaż Kubala i in. i te już wyzyskali. Literaturę satyryczną i moralizującą, Opaleńskiego, Twardowskiego, Starowolskiego, wydawał Turowski z oryginałów; brak dotąd najciekawszej, *Co Nowego* Łukasza Opaleńskiego, dalej satyr Jurkowskiego, Rysińskiego i in., których śród rzadkich druków (rękopisów) w Ossolineum lub u Czartoryskich szukać należy. Wiele najcenniejszego materjału zawiera *Ogród Fraszek* W. Potockiego, nierównie mniej *Wirydarz poetycki* Trembeckiego; oba wydane przez Brücknera we Lwowie 1907—1911; o *Ogrodzie* zob. niżej; dzieło Trembeckiego zawiera wiersze luźne poetów anonimowych i znanych z imienia (Morsztynów, W. Potockiego i in.), lecz w nich przeważa element osobisty, nadają się mniej do odwzorowania samej epoki, przemawiającej nieskończenie żywiej i pełniej z *Ogrodu*, który dla życia szlacheckiego Paska nawet przewyższa.

ROZDZIAŁ TRZECI

WIARA

Reakcja katolicka. — Zakony. — Różnowierstwo. — Wzrost fanatyzmu. — Prześladowanie arjan. — Zabobony i czary.

REAKCJA KATOLICKA

Stawkę o władanie duchem narodowym przegrało nieodwołalnie różnowierstwo już na przełomie obu wieków. Nie przewidziano rozmiarów klęski; już w połowie siedmnastego wieku (Ł. Opaleński r. 1648) mogli świeccy, nie fanatycy, nie jezuici, reformację przedstawiać jako obłęd chwilowy, wywołany przez obcych, z zagranicy, którego się szlachta rychło na zawsze pozbędzie, a za nią cały naród. Katolicyzm wracał w dawny stan posiadania, powiększył go nawet znacznie w ciągu wieku, gdy Ormjanie przyjęli unję z Rzymem, prawosławni po wielkiej części do Moskwy odpadli, a Ruś polska, z drobnemi wyjątkami, Rzym uznała. Ale ów powrotny katolicyzm nie był już ten światły, co Trydent wydał, reformę dyscypliny przeprowadził, o szkołach i seminarjach stanowił, lecz zawodził powoli na dawno opuszczone tory średniowieczne, które, zdawało się, na zawsze dla reformacji porzucił. Zamiast ducha chrześcijańskiego panowała wszechwładnie obrzędowość i wszelkie dawne jej praktyki, posty,[1] dróżki, wota, relikwje, kult świętych i Maryjny, nadmiar świąt i procesyj, przesądy, zabobony i egzorcyzmy.

[1] Posty, oprócz nakazanych, kościelnych, bywały także dobrowolne; poszczono np. w środy i w soboty (oprócz piątku) z dewocji; post bywał trojaki, na maśle, na oleju (oliwie) i suchy. Postów przestrzegano bardzo gorliwie; na Mazowszu złamanie postu groziło niebezpieczeństwem życia. Gotował Włoch w piątek wyzinę, Mazur pałką garnek mu rozbił, myśląc, że to cielęcina; Bogusław Radziwiłł omal życiem nie przypłacił mięsa w post; opat Paulmiers usprawiedliwiał się niemieckim zwyczajem, że w Łowiczu w piątek ser jadł. Nie jedzono mięsa przed świętami Maryjnemi;

Mnożyły się druki ascetyczne; co zaniedbano w średniowieczu, teraz uzupełniano. I tak pojawiło się r. 1612 po raz pierwszy, powtórzone dwukrotnie jeszcze, olbrzymie średniowieczne *Wielkie Zwierciadło Przykładów,* foljant o półtora tysiąca stronic, z około 2000 budującemi «przykładami», legendami i innemi zmyśleniami z *Historyj Rzymskich* i podobnych ciemnych «autorów», niewyczerpana kopalnia pobożnych anegdot dla użytku kaznodziei, tak popularna, że ją z polskiego i na ruskie i dla Moskwy przełożono. Ksiądz Bolesławjusz w *Trąbie przeraźliwej* cuda średniowieczne o czyśćcu i piekle wznawiał. Roku 1651 wyszedł równie średniowieczny *Lucidarius,* zob. niżej. Opecowy *Żywot Chrystusów,* którego powodzenie reformacja przerwała, wznowiono po stukilkudziesięciu latach i coraz drukowano (tłumaczono nawet na litewskie). Poczet kazań luźnych i zbiorów tomowych, modlitewników (pod najdziwaczniejszemi tytułami), rozmyślań pobożnych, żywotów świętych, historyj zakonnych, był nieskończony; nie zadowalano się produkcją krajową, sięgano po ascetyki obce, tłumaczono np. dzieła bardzo cenionego jezuity Drekseljusza (Monachjum wydało w ciągu niewielu lat 170.000 ich egzemplarzy); kanclerz w. lit. Olbrycht Radziwiłł (jemu dedykował Drekseljusz inne dzieło) lub jezuita Chomętowski tłumaczyli dwa dzieła jego, a oba przyswoiła sobie i Ruś; nie brak Hiszpanów i Włochów. Ustały na zawsze przedruki

---

osobno odprawiano nowenny, septenny, kwindenny, przed lub po jakim świętym (np. św. Antonim, dla odnalezienia zguby i pod.), t. j. posty jednego dnia przez 9, 7, 5 tygodni do świętego z jakiegoś osobliwszego wotum, połączone często ze spowiedzią i komunją.

Bractw było wiele, najliczniejsze różańcowe (dominikańskie) i szkaplerzowe; tamte okazalsze, z procesjami i ucztami, starszeństwami śród braci i sióstr, księdzem promotorem; te pospolitsze; oba z postami, szczególnie środowemi. Inne bractwa były sodalisów Marjańskich, dla młodzieży głównie; «literackie» dla mieszczan (z osobnym ołtarzem, gdzie do mszy śpiewali po łacinie, więc dlatego literatami zwani). Do jednego z tych bractw należał niemal każdy.

psałterza Kochanowskiego, a nie lepiej było z biblją: «bibliej zakazano», skarżył Sowizdrzał Baltyzer już r. 1615.

I kaznodziejstwo nawróciło na tory średniowieczne, z których je reformacja zepchnęła. Mniejsza o to, że odbił się na niem barok: wyszukaność, wymuszoność, koncepty, symbole, alegorje, anegdoty, historje dziwaczne, jakby z bestjarjuszów średniowiecznych wyjęte, zamiast słowa Bożego. Szlachetny umiar kazań Skargi zapomniano; wobec mnóstwa kazań i kaznodziei sadzono się na niezwykłe ujęcia najzwyklejszych tematów, na wszelakie efekty, nawet niezgodne z powagą kazalnicy; wpadano w tony osobliwszej poufałości z rzeczami najświętszemi, pieszczono się z niemi nie bez rubaszności istotnej. Bywała wprawdzie kazalnica, gdy wolne słowo w druku się zjawiać nie mogło, trybuną ostrej nieraz prawdy; kaznodzieja jezuita roztrząsał sumienia deputatom trybunalskim i sejmowym niezgorzej, wznosił się nawet do wzruszających obrazów, np. gdy wedle jezuity Młodzianowskiego «turban turecki wpłynął do Kamieńca na fali krzywdy i ucisku chłopskiego»; ależ samo duchowieństwo przyczyniało się do przytępienia zmysłu moralnego przez zeświecczenie i niemoralność własne.

Wystarczy przytoczyć Prażmowskiego arcybiskupa; temu groził kasztelan krakowski Warszycki «drewnem, którego sutana i z najdłuższym ogonem nie okryłaby», a p. Kochanowski wytykał mu między innemi «zasługami» i kartkę miłosną w te słowa: «twoje śliczne i oczom moim milusieńkie pozdrawiam drobiażdżki i one jako najprędzej pocałować życzę». Był Prażmowski gorszącym wyjątkiem, ależ nie jedynym; inni dostojnicy dbali przynajmniej o pozory; nie było takiej jawnej korupcji i symonji jak za Bony, mimo to zostawiało życie duchowieństwa wiele do życzenia. [1] Nie strzegło ono wiary, lecz prawowierności;

---

[1] «Wynieśli się i księża wzgórę, jakie szaty, sobole, rysie, galanterje, dwory, barwy, czeladź, jednochodniki, wozy, pojazdy, bankiety! Więc

dbało, żeby żadna myśl śmielsza i słowo wolniejsze nie przedostały się do uszu wiernych (por. akcję biskupią przeciw książce Bolestraszyckiego, zob. niżej); tępiło «heretyków» ile sił, wojowało z szlachtą o dobra ziemskie, politykowało aż nadto (Prażmowski, Olszowski i in.), zaniedbywało naukę, spychając ją na zakonników, szczególniej na jezuitów; fabrykowało cuda, np. czerwoną wodę w rurmusie lwowskim, niby Turków oznaczające, i inne.

Z pod formuły średniowiecznej wydostał się naród w XVI wieku szczęśliwie; teraz się pod nią ponownie zaciągał. Wpływ zmaterjalizowanego katolicyzmu dał się niebawem silniej odczuwać; przecież piastowało duchowieństwo cenzurę książek i wychowanie młodzieży, więc rozporządzało olbrzymiemi środkami na kształtowanie ducha narodowego. Nie podlegały mu wprawdzie druki protestanckie; wychodziły więc w Gdańsku, Toruniu, Lesznie, Brzegu biblje i śpiewniki luterskie i kalwińskie, ale już wyjątkowo zjawiały się postyle i polemiczne książki różnowiercze — arjańskim niebawem koniec na zawsze położono. Jeszcze zjawiał się tu i ówdzie protest, np. ostatni może w *Liście szlachcica do szlachcica o wojnie kozackiej w r. 1648 i 1649:*

---

oni opaci, jakie tam ekscesy, zbytki — półtora mnicha chowa w klasztorze, a ma 10.000 zł. intraty... prawieć *pauperes,* a drugiemu pożółkł brzuch od zbytku, jako tłustemu karpiowi... kanonicy krakowscy, łakomstwo ich opanowało, żaden się nie święci na kapłaństwo, aby się P. Bogu oddał, ale *propter beneficia; simonia* w nich, obłuda. Azaż się W. M. nie napatrzył, kiedy który przychodzi w sobolej i rysiej szubie, ponty (czubu) pomuskiwając, a królowi tak się niziuchno kłania, dobrze że nie wyrzecze: dlatego, abyś mi dał co... Szatan zopakował (odmienił) te rzeczy (powołanie stanu świeckiego i duchownego); duchowni wszystko odjęli świeckim. Już tam u nich pompa, zbytek; gospodarstwa nawet i stroje ich teraźniejsze, tacy galanci; wolałbym na księdza patrzyć niż na najstrojniejszego usarza, bym panną był. Dla zbytków potrzebni, dłużni, jako głodni wilcy czekają na śmierć jeden drugiego dla beneficyj wyższych» *(Rewersal katolika* z r. 1606, *Pisma rokoszowe,* II, 243). Były zabawne przekroczenia reguły; mnich jadł mięso wychyliwszy się za okno, aby nie w klasztorze, i t. p.

Przystąpiła na Lutry *tyrannis* przeklęta,
Która się pod płaszczykiem *zeli* zda być święta....
Dosyć was długo księża za nosy wodzili, i t. d.

Ale i w katolickich drukach cenzura duchowna robiła spustoszenia; życie literaturze sowizdrzalskiej przeciął biskup Szyszkowski, wprowadzając ją w czambuł na indeks ksiąg zakazanych; cenzor akademicki pokiereszował wiersze Kochowskiego, ale jezuicie mimo to nie dosyć uczynił, — więc i Jan Kochanowski nie uszedł podejrzenia, jakoby był różnowiercą, i bronił pamięć drogą mistrza Kochowski, a protestanci uwierzyli, jakoby Kochanowski do nich należał.

Wychowanie młodzieży zdane było, jeśli o szlachecką chodziło, całkiem na łaskę zakonną, t. j. jezuicką. Należało przeszkodzić możliwości wszelkiego nowego od katolicyzmu odstępstwa; nie nauka, ale wychowanie było celem zakonu, i do tego celu dostosowano i naukę i wychowanie. Nie mógł z każdego ucznia powstać *sodalis Marianus,* tylko wybór dostępował tego zaszczytu; zato wychodził każdy ze szkoły jako przekonany wróg różnowierstwa i przyszły jego tępiciel. Pobożność zakładało już pierwsze wychowanie domowe, żegnaniem i modlitewkami; szkoła dalej to prowadziła miesięczną spowiedzią, obieraniem osobliwszego patrona, udziałem we wszystkich nabożeństwach (niemi zaczynano i dzień i rok szkolny), procesjami do miejsc odpustowych, napastowaniem różnowierców. Z takich nawyczek wychodzili późniejsi rygoryści i przybierało całe społeczeństwo coraz więcej cech ascezy. Więc nie dziw, że wobec takiej jednostronności poziom oświaty się zniżał. Jak w krajach romańskich, tak i w Polsce uniemożliwiła reakcja katolicka swobodę myśli i słowa, ale w Polsce z nierównie gorszym skutkiem z powodu młodszości jej kultury: odwykano od książki, od krytyki i myśli, powtarzano wyuczone frazesy, wypatrywano pewność zbawienia, nie znoszono wątpliwości, dociekań, cóż dopiero porzucenia drogi świątobliwej.

ZAKONY I KLASZTORY

Jak gwałtowną była odmiana i silną reakcja, dowodziły najwidoczniej losy braci zakonnej wszelkich reguł i obu płci. Wiek poprzedni znał mało nowych fundacyj, ani nie znał nowych zakonów, oprócz jezuitów; gorszył się próżniactwem mnichów a rozpustą zakonnic; w wieku XVII trudno policzyć nowe fundacje i nowe zakony; tyle ich nowa gorliwość i szczodrość katolicka natworzyły.

Bernardyni (prawie nieznani pod tą nazwą zagranicą) podzielili r. 1628 na kapitule warszawskiej pierwotną prowincję polską na cztery (wielko- i małopolską, litewską i ruską) i liczyli 57 klasztorów; obok nich przybrały i bernardynki (od końca XVI w.), które dawniej tylko tercjarkami, napoły świeckiemi, bywały, regułę zakonną i posiadały liczne klasztory (w Wilnie dwa, w Warszawie, Krakowie i t. d.). Dominikanie mieli, po srogich walkach wewnętrznych, od połowy wieku trzy prowincje, polską z 55 klasztorami męskiemi (10 żeńskiemi); ruską z 69 (i trzema); litewską z 38 (i jednym); do nich doliczyliśmy i klasztory «obserwantów», z obostrzoną regułą, wprowadzonych przez Jana Kazimierza. Misjonarzy sprowadziła z Paryża Marja Ludwika do Warszawy, niebawem rozszerzyły się ich domy po całej Polsce; oni utrzymywali misje między ludem i seminarja duchowne dla wychowania księży; mieli wkońcu 32 domy, śród nich 20 seminarjów. Augustjanów przybyło w tym wieku kilkanaście fundacyj. Liczba karmelitów podwoiła się, tak że r. 1687 rozdzielono prowincję polską na dwie, polską i ruską, każda po 17 konwentów, które się niebawem znowu rozdzieliły wedle tego, czy zachowywały starą, łagodniejszą regułę, czy nową, obostrzoną; ostatecznie było ich klasztorów 56 i 9 rezydencyj; do nich przybyli w XVII wieku karmelici bosi z około 20 klasztorami; nieliczne były klasztory karmelitanek, trzewiczkowe dwa, a bosych ośm. Kapucynów, z ostrą ich regułą włoską, niestosowną dla klimatu polskiego, więc tu nieco złagodzoną, wprowadził Sobieski, ślubując ich fundację przed wyprawą wiedeńską; kustodję polską podniesiono w XVIII wieku do godności prowincji, liczącej 9 klasztorów i 9 rezydencyj. W XVII wieku przybyły dwa słynne eremy kartuskie, gidelski w sieradzkiem i bogaty nadzwyczaj brzeski Sapiehów w województwie brzesko-litewskiem. Marków (kanoników regularnych) było na Litwie więcej (15 klasztorów) niż w Polsce (6). Pijarów (oddanych głównie szkolnictwu *(scholarum piarum)* sprowadził Władysław IV do Warszawy (festyn opisał Jarzębski r. 1643), a Lubomirski do Podolińca na Spiszu (słynne gimnazjum z nowicjatem) i do Rzeszowa; liczba tych kolegjów rychło rosła, w XVIII wieku liczyła prowincja ich polska 24 kolegja i rezydencje, litewska wkońcu 14. Sakramentki sprowadziła z Francji Marja Kazimiera (ślubem za wyprawę wiedeńską) do Warszawy, drugi ich dom we Lwowie; oba gorliwie nawiedzane przez arystokrację, która córki w nich kształciła. Franciszkanów polskich (z wikarjatami litewskim i ruskim) wydzielono r. 1517 z dawnej czesko-polskiej prowincji; r. 1625 rozdzielono prowincję polską na polską i ruską; polska liczyła cztery kustodje: gnieźnieńską, krakowską, lubelską i chełmińską, razem 18 klasztorów; ruska cztery: lwowską, przemyską, wileńską i kowieńską; z powodu zbytniego obszaru oddzielono r. 1686 nową prowincję litewską o czteru kustodjach: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i połockiej; każda kustodja liczyła od 5 do 8 klasztorów (w prowincji litewskiej było ich 30; w ruskiej 12). Franciszkanki, zwane klaryskami, podwoiły liczbę klasztorów (6 w Polsce, na Rusi i Litwie ich nie było). Reformaci (odmianka franciszkanów) przybyli do Polski 1622 r. i rozszerzyli się tak rychło, że rozdzielono ich na cztery prowincje, mało- i wielkopolską, pruską i ruską; klasztorów pod gwardjanami było 61. Trynitarzy, trudniących się wykupem więźniów chrześcijańskich z niewoli tatarskiej i tureckiej, wprowadzono za Sobieskiego, posiadali 5 klasztorów, w Warszawie

na Solcu i indziej. Kamedułów (kamaldulów) sprowadził pierwszy z Włoch Mikołaj Wolski, marszałek nadworny Zygmunta III, do swej Woli Justowskiej, na górę przezwaną Bielanami od tych białych mnichów, gdzie im kościół i klasztor fundował r. 1605. Obok tych Bielan krakowskich były warszawskie, gdy Władysław IV za Smoleńsk r. 1641 na «górze królewskiej» ich osadził.[1] Dwa inne ich eremy założyli ostatni potomkowie dwu słynnych rodów, Jan Tęczyński w Rytwianach w ziemi sandomierskiej, i (ordynat) Józef Myszkowski w Szańcu w tejże ziemi (ten dopiero r. 1722, «erem margrabski»). Słynny był erem w Pożajściu kanclerza litewskiego Krzysztofa Paca (dlatego «eremem pokoju» przezywany). Najbogatszy był wigierski, Jana Kazimierza z r. 1667, w trockiem województwie wyspa wigierska.

Wszystkie zakony przewyższyli liczbą, znaczeniem i majątkiem jezuici, którym do licznych szesnastowiecznych przybywały coraz nowe kolegja, w Łomży 1608, w Płocku 1611, w Krożach na Żmudzi 1616, i t. d. Rozdzieleni na cztery prowincje: mało- i wielkopolską, mazowiecką, litewską, liczyli wkońcu (w XVIII wieku) 51 kolegjów, rezydencyj 18, domów i stacyj misyjnych przeszło 60, szkół 66 (z tych wyższych 23), konwiktów szlacheckich 15, dwa seminarja duchowne, dwie akademje, księży 1177, kleryków 599 i braciszków 583 (w r. 1772); majątek nieruchomy szacowano na 33 miljonów złotych. Potęgę materjalną przewyższała moralna; oni rządzili sumieniami, począwszy od króla (przez jego spowiedników; O. Vota Sobieskim kierował; cóż dopiero Zygmunt III!); od sejmów i trybunałów, których kadencje kazaniami nastrajali; od młodzieży, którą w kolegjach do bractw *(sodalis Marianus)* wprawiali. Nie poufalili się zbyt, jak

[1] Opis uroczystości podał Jarzębski w *Gościńcu* z r. 1643, wiersze 3000—3070, jak to król «na pamiątkę, widząc mury smoleńskie z Pokrowskiej góry», kamedułów fundował; Jarzębski był sam obecny, gdy «częstowano pańsko, szczodrze».

np. bernardyni; zachowywali godność stanu, czystość obyczaju, rygor zakonny, ogładę umysłową, strój obcy, miękkość formy a nieugiętość zasad. Rządzili wszystkiem i wszędzie; rozdawali urzędy i starostwa, kierowali ożenkami i testamentami; słynęli nabożeństwem wystawnem i budownictwem kościelnem, literaturą i propagandą, misjami i dyplomacją. Srożyła się szlachta, że monarchizm i absolutyzm piastują; oburzali różnowiercy, że młodzież i motłoch przeciw nim podburzają; walczyła akademja o zagrożony monopol nauczania; zazdroszczono im dostatków i wpływów; sarkano na zawisłość od obcych. Ale wkońcu odpierali zwycięsko wszelkie napaści, i chociaż nigdy popularności nie zdobyli, trzęśli dworem, episkopatem, szlachtą. Byli nadzwyczaj ostrożni w doborze członków; wypychali w świat z zakonu, co im nie odpowiadało; długoletnie próby wytrzymywał nowicjusz; cechy międzynarodowej nie stracili, chociaż przystosowali się do ludzi i kraju. Ich kazania a pisma najuszczypliwsze, gdzie na «świnistrach» suchej nitki nie zostawiali, od nazwisk aż do brudnego ciała i kultu Bakcha, wyhodowały nienawiść wyznaniową najdzielniej; nie tamowali swej młodzieży w «posyłaniu do Abrama» miejskich synków, np. w Brunsbergu; opierali się skutecznie w Krakowie wyborowi protestanta do rady miejskiej; oni nie dopuścili do «procesu konfederacji» jawnie i tajnie; na nich więc spada spora wina w rozżarzaniu nienawiści wyznaniowej w tolerancyjnej do niedawna Polsce.

Nie brakło na początku wieku głosów przeciwnych; *Consilium de recuperanda pace,* za wypędzeniem jezuitów, napisał rokoszanin-katolik Herburt (?), a drukowała i tłumaczyła zagranica kilkanaście razy; *Monita privata Societatis Iesu*[1] (je-

[1] Autorstwo *Monitów* odkrył poczęści jezuita Szembek w dziełku p. t. *O śmierci ks. Tylickiego biskupa krakowskiego list do ks. Gębickiego* i t. d. 1617 r. Autor *Monitów* zemścił się za wydalenie z zakonu i znalazł posłuch; Tylicki wezwał go i zagroził mu procesem jakby o fałszerstwo monety; on wymienił osobę wysoko postawioną, aby odstraszyć bi-

zuity!, Tomasza Zachorowskiego), tłumaczone na różne języki i wydawane po dziś dzień jako autentyczne, kompromitowały zakon; ścierali się z nim akademicy (zob. niżej). Znalazł więc właśnie u nas zakon wrogów, domagających się wypędzenia zakonu i konfiskaty dóbr, co najmniej zaś oddalenia od dworu i zamknięcia po klasztorach; szczególnie napastowano Skargę, który się i w broszurach anonimowych rokoszanom (oni to walczyli z nim zawzięcie) odcinał.

Zakon sam w drugiej połowie wieku podupadł, bo żar pierwotny wystygł, skoro nie było przeciwnika, coby go rozżarzał; pozostały formy, duch je opuścił. Pozostała nadzwyczajna ogłada, budząca ogólny szacunek. W kolegjach ten sam Alwar, rozkład godzin i pensów, ale uważali starsi, że młodzi profesorowie programu się trzymali całkiem mechanicznie. Zwężono go poniekąd o grekę (opuszczono ją w nowem wydaniu słownika Knapjusza, zob. niżej). Dysputować o wierze nie było z kim, więc urządzano *pro forma* jałowe dysputy między sobą. Straty materjalne na wschodzie, dokąd zakon już nie wracał, rychło przebolano, ale jak cały kraj, tak i zakon ulegał powolnemu marazmowi. Literackich i uczonych tradycyj nie zatracił; celował nad innemi zakonami, nawet nad dominikanami, coraz uboższymi w talenty, liczbą autorów, ale nie wydał już ani jednego łacinnika, jakich miał tylu w pierwszej połowie wieku; nawet

---

skupa, ale ten wyznaczył komisję na odkrycie sprawcy. — R. 1615 naklejono na drzwiach kościelnych w Krakowie «karteluszów plugawych» na jezuitów (jakie przed laty francuscy kacerze wydrukowali) i ogłoszono je, a posądzano akademików o autorstwo. W rękopisach są istotnie podobne kartelusze, np. u Czartoryskich nr. 2526, str. 253, *Rhytmy na wygnanie jezuitów* z Wenecji, z włoskiego na polskie tłumaczone, gdzie niby Wenecja jezuitów apostrofuje: «Idźcież piekielnych lasów gawroni wrzaskliwi... Idźcież pikulikowie, chytrzy martauzowie dzieci ludzkich... W Bodze Harpje żarliwe, krucy obrzydliwi, Sępowie na ścierw ludzki łakomi, waśniwi, Fora stąd» i t. d., ale początek «wenecki» nieco podejrzany; czy to nie robótka domowa? (*pikulik*, 'djabełek', *martauz* 'ludokradca').

kaznodziejstwo jego, po Młodzianowskim, nie odznaczyło się rozgłośnem imieniem; ogólny spadek intelektualny i jego nie oszczędził.

ATAKI NA RÓŻNOWIERCÓW

Różnowierstwo wkraczało w ten wiek już pokonane; cała magnaterja je porzuciła, gdy birżańscy Radziwiłłowie wymarli, a Leszczyńscy się kalwińskiego wyparli, które już tylko na Litwie jako tako śród szlachty ocalało. Arjan wypędzono z kraju; nikt się za nimi nie ujął, bo przeważał w nich żywioł mieszczański i obcy. Na wolność szlachty różnowierczej odgrażano się coraz jawniej; cierpiano ich jeszcze między sobą, ale do czasu. Ustawała powoli wszelka polemika literacka, do niedawna tak żywa; jeszcze w pierwszem dwudziestoleciu wymieniano strzały, jeszcze postyla Kraińskiego (1611 r.) nie skąpiła najsroższych wycieczek i szyderstw antykatolickich, napadając na modlitewniki (*Hortulusy* dawne), na obrzędy, na kult świętych, ale zwycięscy jezuici ostrzeliwali plac, a drukowali najczęściej pod obcem imieniem satyry wierszem i prozą, czasem dowcipne, zawsze brutalne. Taki jezuita Sawicki wydał cały ich szereg pod imieniem ks. Cichockiego (i w obronie jezuitów przeciw *Consilium* Herburta) i Linowskiego (obaj księża dobrze znani), a pod pseudonimem Jana z Prus Gołubskiego cztery broszury, jedna jadowitsza niż druga; jezuita Marcin Łaszcz pisał świetnie jako Isiora, Tworzydło, Paulin, Słupski, Skarga (!!), Żebrowski; jezuita Wojciech Rościszewski pisał uczone dzieła i karczemne plotki jako Olbrycht Borkowski, Jan Bobola, Przedborowski, Międzyboż, i t. d.

Właśnie jezuici przejęli na swoje barki cały ciężar i odpowiedzialność za tę literaturę, uczoną i popularną, godzącą w różnowierców; ksiądz świecki, szlachcic lub mieszczanin wyjątkowo się tu przyplątali. Broszurkami, świstkami paroćwiartkowemi

napadali już nie na wiarę-wyznanie, lecz na osoby; przedrzeźniali je nielitościwie, przekręcali nazwiska konfuzji (konfesji), świnistrów, błaznodziejów, odpłacając im onych jebuzeitów, kątalików, bajęd, konewni, jak niegdyś protestanci katolików, agendy, kanonje czcili. Parodjowali jezuici psalmy, modlitwy, nabożeństwa protestanckie; wydali nawet pod imieniem superintendenta Turnowskiego zmyślone *Krześciańskie zboru Pańskiego konstytucje* i *Monita calvinistarum privata et publica*, odwdzięczając się za podobne antyjezuickie. Niesposób pominąć milczeniem próbek tej polemiki, dziś niemożliwej nawet w rewolwerowem pisemku, ciekawej dla ludzi i wieku.

Gdy r. 1610 umarł Andrzej Wolan, głowa kalwinów litewskich, słynny wymową, nauką, ciętością, skoligowany z zacnemi familjami w Koronie i Litwie, poważny sędziwym wiekiem i służbą krajową, wydano roku 1611 *Synod ministrów heretyckich, na którym radzą o zgodzie z Katolikami i o Patronie.* Zasmuceni i stroskani ministrowie radzą nad obiorem nowego patrona; podają różnych, Kuflowskiego (swego przyjaciela), Chlebowskiego, co każdego przemoże, Gachowskiego i t. d., nawet papieża; inaczej źle z nami będzie. — Urządźmy wszystko jak w katolickim Kościele, nakupmy obrazów i posągów; inni protestują: mamy dosyć obrazów w domu, które całować musimy; jeszcze inni radzą przekupić studentów, niech nam nie «bantują» (plądrują) zborów. Między te narady wplatają ministrowie przygody swoje i zborowe; widzimy więc, że to wszystko ludzie od warsztatu i pługa, nie od nauki; taki szewc, teraz prezydent, Maciej, sławi, co pierwej posiadał: klepaczów pięć toczonych, dwa pocięgle nowe... ćwieków pełną gratnicę; również kowal Jurek: ująwszy się forszlaka tom ja prał w kowadło — a teraz co? strachy i niewygody. Opowiada przecież Stanisław o napadzie krakowskim na zbór: wylicza, co poutracał, ale te sprzęty jego strasznie ubożuchne, garnki łagowskie i t. p.; ledwom życie salwował, z strachu wiele naszych na ciekączkę cierpi, ze mnie

omal nie wylazły «trzoba», nasułem (nasypałem) był miasto kul w amelją (ładownicę) grochu — widać Bóg o nas zapomniał, porna (porwana) djabłu ta wiara, lepszyć żywot łyczany niż jedwabne mary. Z trudem pociesza go Krzysztof: przyczynią mu «dziesięcin i wzoru» (pola). Inni jednak wolą to nowe, niż dawniejsze rzemiosło, np. Jakób Beuthner (znana osobistość), kuśnierz były: «wżdy wolę predykować niźli skrobać futra»; również Jacieński, który rzucił gospodarkę podgórską «około Nowotańca»; albo mnich Filip, co srebro klasztorne zastawił, zamknięty za to «*nu ja figas* do Węgier».

Nic nie uradzono; następuje więc kazanie synodowe, ale kaznodzieja wymawia się, że biblję, choć była bez początku i końca, przepił, i każe zaraz z katechizmu śpiewać pieśń:

Rano wstawszy więc do chleba
I pacierza nie potrzeba...
W piątek gomółka na pośnik,
W niedzielę z sobą miłośnik, i t. d. —

a potem śniadanie sobie zarobić, t. j. wyjść w pole i kraść chłopom husy i barany. Złodziejów prześladują chłopi; ci w okropnym strachu intonują psalm:

Panie! jak ich wiele jest, którzy się zebrali,
A z uporu, ze złości, przeciw nam powstali.
Wiele ich, którzy mówią nędznej duszy mojej:
Hej! niemać ten ładunku w amelijej swojej.
Napadły twoich wiernych niemałe tęsknice,
Bo mają harkabuzy, kije i kłonice.

Nareszcie uciekli szczęśliwie, zamknęli się i śpiewają:

Nie strach mię nic tysiąca ludu złośliwego,
Nie dobędą podwoja tak barzo mocnego, i t. d.

Gotują śniadanie i śpiewają przed ucztą:

Błogosław nam nasz Panie! nasze zdobywanie;
Ci, co nas przeklinają, obróć swój gniew na nie.
Błogosław nam te dary, któreśmy zdobyli,

Z wielką pracą, staraniem, gdy nas nie pobili.
Błogosławcież już Pana, błogosławcie ludzie,
Bo widzicie, jak z kuchnie nam pożytek idzie,
Jedne rzeczy z rosołem, a drugie z korzeniem, i t. d.

Teraz dopiero zdobywają się na kazanie i przemowę:

Westchnicie sercem wszyscy, przy takim obiedzie,
My mamy w piątek mięso, papieżnicy śledzie —

naco posty, o których w Piśmie św. wzmianki niemasz? — naco modlitwy kościelne («popróżnicy portki drzeć a łatać karwasze», t. j. narękawki)? — naco spowiedź (przyczem jeszcze księdza okradną, znana z *Facecyj* anegdota o tem)? — naco popiół w popielec (kiedy opiły i w błocie wytarzać się może)? — naco wstrzemięźliwość? (cudza żonka smaczna, jak ryba z cudzej sadzawki). Następują nauki życiowe: powie ci coś ktoś, porwi go zaraz za łeb, wyjedź mu wałacha; nie daj sobie w nos dmuchać, w gębę go zaraz dmuchni; łaje ci pijanemu żona, potłucz ją i graty — czyżby lepiej, żeby piwo skwaśniało? na ulicy: zamsy, wiechy obcinaj, powywracaj beczki. Podobne nauki panienkom, jak mają oczkami z poza książki do nabożeństwa mrugać, i t. d.; poleca ich względom żaczków, szynkarzom samych siebie: kręci się około ciebie karczma, leż spokojnie pod stołem. Kazanie ukończone; nuż każdy z swoją do tańca, lekko, jak szkapy z rydwanem. Przedtem jeszcze śpiewają pobożne pieśni:

Krzyczym k Tobie, wieczny, miły Panie...
Racz wysłuchać Twoje syny,
Któreś Ty polepił z gliny.
Ledwie z Polski już nie uciekamy...
Nie dopuszczaj nas popalić,

bo któż będzie Cię chwalić? Nasza cnota zgasła: objaw nam, czy będziemy zbawieni, i t. d.

Konkluzja synodu odbywa się w wielkim strachu; nic nie uradzili, pieniądze darmo strawili; żony o to «poszaleją, na nas się gniewając do zdechu»; każdy z dziesięciu ministrów odpowiada, jakby się z ambarasu wywikłać; przystają na radę ostatniego: jakoby ledwie uszli największych niebezpieczeństw, chciano im oczy wyłupić i t. d., i rozchodzą się z smutnem wyznaniem:

Żon się swoich boimy, wstydamy się panów,
Byłoćby z nas niemało dobrych chrześcijanów...

Rzeczywiście, kobiety i świeccy prześcigali w ferworze protestanckim samych ministrów, niemi stały zbory.

Lisowczycy dali się protestantom w znaki, więc radość z powodu tego u pamfleciarzy, por. *List o Lisowczykach* (z roku 1620 i 1636) *do Domin. Martin Luter od śląskich i czeskich Efangelikow przez X. Nikiel Habspert minister ferbi dei zboru wrocławskiego z miemieckiego* (tak zawsze u ludu!) *na polskiego przełożony*, łamaną polszczyzną i dziwaczną — w uszach polskich — wymową łacińską, wyszydzaną nieraz (np. w drugiem wydaniu *Flisa* Klonowicowego). Przedmowę «Xiędzofi Kasper Mydlorzofi Lubelskiemu» i list do niego, jako do nauczyciela miłego swego («mój parzo ukakany», i t. d.), pisze Nikiel, donosząc o strasznym uczynku Lisowczyków, którzy ministrowi prochu w pludry nasypali i w powietrze go wysadzili; wetknięto mu przed tem ów list do Lutra, opisujący «jako cerpem chrześcijannofie od sk....syn lisowczykowie», jak oni wszystko wyszperają i plądrują, a «czury» (ciurowie) ich gorszy od samego djabła; nasze żony wolą ich niż nas; więc zmiłuj się nad wiernym narodem twoim, pluder twoich z Witembergu zażyjemy miasto chorągwi.

Dowcipniejsza i uszczypliwsza rzecz jezuity wileńskiego Chądzyńskiego, Mazura rodem, p. t. *Relacya a oraz Suplika zboru wileńskiego saskiego do Hern Martin Lutra za predykantem Burchardym, ministrem swoim, który 1623 roku 14. października... po kury laząc z drabiny spadł i szyję szczęśliwie złamać raczył... na piersi jemu w trunnie położona w... Wilnie.* Chądzyński nie ceremonjował się z «sługą w winnicy na Nie-

mieckiej ulicy», co z drabiny spadł, łażąc po kokosz jarzębatą dla gości protestantów, — na jego miejsce dostaliśmy świeżo z Poznania wyświeconego Schwana Dąbrowskiego; Chądzyński napada na Dąbrowskiego o to, jak on katolikom świętych kradnie, Wojciecha i Stanisława do luterskiej sekty wciągając; jak djabłów przy chrzcie wyklina, i t. d.; śmieje się też z jego *Raju Dusznego* (modlitewnika), gdyż mogłoby się i w Wilnie powtórzyć, co w raju się działo (zwodzenie i wyświecenie, jak z Poznania; — rychła śmierć Dąbrowskiego uprzedziła spełnienie wróżby). O tem wszystkiem donosi owa *Suplika* Lutrowi, kończąc słowami:

Zaczym od nas Katrynkę swą obłap, prosimy,
My też po jednej za twą duszę wypełnimy.

Odpowiedź Lutrową przynosi kominem duch święty (djabeł), a odczytuje ją Dąbrowski na kazaniu: trzecia część djabłów już po niemiecku rozprawia, pijemy tu i gramy, a czasem i do bitki przychodzi; gdy Lucyper niedawno na przyjęcie Burcharda biesiadę wyprawił, żarliśmy się z Kalwinem; on mi wyrzucał, żem trzeci dzień po ślubie już syna miał, i t. d., a tak mnie w rękę ukąsił, że odpowiedź muszę kanclerzowi memu, Melanchtonowi, dyktować. Burchard kuchtą został i smaży djabłom saskie i kalwińskie dusze; żydowskie i tatarskie, bo śmierdzą, dla Cerbera inni smażą. Burchard, choć mowę stracił, tu «złożył jakąś dumę na Mihalską nutę» (jak serbscy śpiewacy) o swoim trafunku. Dambrowski niech naszym miłym sąsiadom, djabłom, pokój da: niech świętych nie zabiera, trzymajcież się owych 99 łokci moich pluder; niech cechu ojcowskiego (dratwy) nie rzuca; — zrodziła go matka, gdy się z psem o zdechłą świnię wadziła, i wnet jej sprandykował (spraktykował, wywróżył) ktoś, że syn jej będzie świnistrem. Podjudza wreszcie kupców-sasów przeciw szlachcie-kalwinom, by ich i z Wilna, jak z Gdańska, nie rugowali; Kalwin zresztą bardzo smętny dla wypadków czeskich. Kończy wezwaniem: i hurysz (hurra!) za mną do djabła.

Piśmidło Chądzyńskiego znalazło w r. 1625 naśladowców: prostactwem przesadził jeszcze autor *Roku Trybunalskiego*, «M. P., na ten czas student lubelski» (a więc z kolegjum jezuickiego). Ansę do tej broszury dał wyrok trybunalski, świadczący, jak nietolerancja nawet w gronie sędziowskiem wybujała: roku 1623 pozwał trybunał przez instygatora swego ministrów o schadzki, zabraniając ich na przyszłość, jak i budowania zborów i szkół, co trybunał następny (roku 1624) potwierdził; następny palił przez kata nietylko książkę Bolestraszyckiego, ale i książkę arjana Śleszyńskiego. Otóż charakterystyczne dla stosunków polskich, że protestanci, chociaż ich garstka tak mała, o zakazy mało dbali (bo kto w Polsce prawa słuchał?); por. nisemko pod tytułem *Głos anonima ewangelika do króla i stanów na sejm r. 1631* o despektowanie ewangelików, idących z nabożeństwa, podczas trybunału roku 1630, — więc odprawiali ewangelicy pod bokiem trybunału swe schadzki.

Otóż zbiera się «synod krasnołgawy», z samych rzemieślników złożony; ministraszowie i ministrzęta, ci luterscy bikanci, pozwani przed trybunał, ale wypraszają ich żony, «smutnoradosny lament» swym mężom wyprawiając, każda wedle swej roli-nazwy, te «luterskie badawije» (rumaki), więcej nieustraszone, niż owi «świstelnicy».

Rozmawia autor z superintendentem lubelskim, ks. Niewierskim, przestraszonym srodze: «ix pix bombix Niewierski nam waledykuje» i chce do Włodawy uciekać — «zarwana tam psu sława», tu o życie chodzi. Zresztą te same «dowcipy» z pludrami luterskiemi i z «prandykowaniem», tylko jeszcze niesmaczniejsze.

Najciekawszy z tych pamfletów, dziełko dowcipnego jezuity wileńskiego, silącego się nie na gburskie połajanki tylko, jak inni: *Witanie na pierwszy wjazd z Królewca do kadłubka* (zboru) *saskiego wileńskiego ixa*[1] *Her N. Lutermachra* (tu herb

[1] Pisali się i ministrowie *x*, t. j. ksiądz, zaprzeczano im tego, dozwolono tylko *ix*.

jego: szczeciny z gnipiem krzywym, pole *album graecum)*, drukowane «w Witenbergu (!) 1642 r. dnia wczorajszego». Do czytelnika auspurskiego (wyznania) pisze *Bilger Reinhercigius*, rozżalony, że zborzyszcze bez błaznodziei widział; nowego ministra, jako mądrego bardzo, wita heksametrami aż z sześciu języków zmieszanemi, układając je ze słów greckich, łacińskich, niemieckich, polskich, litewskich i ruskich, np.:

Od Galgen pryszoł, lecz entade sidera weizdi.[1]
Su dich przyniosłeś hreckoje gamma[2] tibi.
Du kanst greckie logos, kadu tua burna hłaholi.[3]

«Na predygu niedzielnym» «z garbarza wielki świnister» przytoczył greckie teksty; otóż saskie niewiasty, których Luter dotąd «gryką» nie trapił, dziękują za «gryczaki» i śpiewają mu (na nutę «po straconej o polskich synach») pieśń:

Pierwsze g r y c z a n e kazanie
Powątliło dżdżu wylanie,
Dając znać, że się uszarga,
Co tak dzielnie greką marga.
Ba i Nalewajcy sami[4]
Będą nas zwać złodziejami,
Że greczyznę odejmujem,
Nią się darmo popisujem.
Dość nam Dreck, Speck, Szmeh, Sprach jeden!

Po tej pieśni list wierszowany, w najpyszniejszej białoruszczyźnie: «Sieńko Nalewajko pouczycielowi saskiemu pauczenje o hreczysie pryjatelskoje posyłajet» (bo do greki-hreczychi prawosławni jedyni sobie prawo rościli), szydząc przytem z greki i gryki, odsyłając do Kijowa i Moskwy:

Użoż heto po lichu Sasy podureli,
Koli nam tut hreczychu usieńku otnieli.

[1] tutaj na gwiazdy patrzy. [2] z sobą... szubienicę.
[3] kiedy twe usta mówią.
[4] Nalewajkami (kozakami) przezywano w Wilnie stale prawosławnych, między którymi kozacy rej wodzili.

Ochcimnie,[1] po hreczesku brusisz wielmi mnoho,
A sztob tobie daw w hubu, nietucie[2] nikoho.
Prydet na tia Mohiła,[3] szto i horsz umiejet,
Koli tolko hreczycha nowaja pospiejet,[4]
W Mohiłu bladin syn, k Moskwie na nauku,
Lichoje hadyniszcze, nemećkij pauku

(odrzekłbyś się, związany w Moskwie, i Lutra i djabła samego);

Da i u nas[5] tutka jeść i żołud welikij,
Dionizej, Dorochfiej, umiejut laliki.[6]
A w Kijewi t'ma ludej so wsiemi swiatcami
Upierod hutoryli[7] z starymi hrekami.

Odbierasz nam wszystko, ale nie z nami, z Lachami swarz się:

Z Lachami tiaży sia, dietki maleńkije
Bolsz u nich ukiemili[8] niż wsi Lutorskije, i t. d.

Kończy ta wieża Babel językowa najciekawszą hebrajszczyzną, dowodzącą, jaki jezuita mistrz w przedrzeźnianiu. Ale śmieszne te chryje wywoływały wcale nieśmieszne skutki.

WZROST FANATYZMU

Rósł fanatyzm pospólstwa w ciągłych zamachach na zbory poznańskie i wileńskie (w Krakowie ich już nie było); na domy prywatne złotników krakowskich; na pogrzeby (opłacali się różnowiercy, niby jak żydzi, żakom za nienapastowanie orszaku żałobnego). Wkońcu i poznańskie zbory (luterski i braci czeskich) uległy zburzeniu, coraz ponawianemu; wileński przeniesiono za miasto. Zbór krakowski uszedł do Aleksandrowic Karnińskiego pod Krakowem, ale żacy i motłoch zburzyli go r. 1613, więc przeniesiono go do Wielkiejnocy Wielowiejskiego i Łuczanowic; cmentarz łuczanowski zniszczył motłoch 1626 r., a kościół, dom pastora i dwór wielkonocki r. 1655, mordując wdowę a raniąc

[1] biada! [2] niemasz. [3] kijowski. [4] nadejdzie. [5] w Wilnie. [6] logiki. [7] gwarzyli. [8] pojęli.

w szpitalu starca. Że wobec takich napaści różnowiercy nastawali na obwarowanie «konfederacji» i zrywali sejmy, gdy nie mogli się dobić «procesu», łatwo zrozumieć. O opór duchowieństwa rozbijały się wszelkie układy, a najbardziej zawinili jezuici, Skarga i Barszcz, gdy r. 1606, w ostatnią noc przed zawarciem sejmu, namówili króla, senatorów duchownych i kilku posłów, aby odrzucili przyjętą już (i przez duchownych) dawną, nieco obostrzoną konstytucję, warującą pokój pożądany, bo i duchowni burzyciele pokoju mieli odpowiadać przed sądem świeckim. Sejm zerwano, a rokosz Zebrzydowskiego (fanatyka katolickiego, nienawidzącego konfederacji!) dojrzał; duchowni wychodzili z założenia, że pokoju między Bogiem a djabłem (konfederacją) być nie może.

Wywoływali czasem różnowiercy rozruch; młody Włoch Franco Franci w Wilnie 1611 r., gdy katolicy z królową i królewiczem odprawiali procesję Bożego Ciała, po kazaniu ministra Chrząstowskiego przeciw owemu «bałwochwalstwu» wyszedł ze zboru i wołał, że Ciało jest chlebem, nie Ciałem. Obity, wrzucony do więzienia, skazany na śmierć; wydarto mu język, ćwiertowano go i wbito części na pal. Nie wystarczyło to młodzieży jezuickiej, która, wracając z pielgrzymki do Trok, napadła zbór kalwiński, dwóch ministrów zabiła, wszystko zniszczyła. Tegoż roku (1611) socynjanin Tyszkowic, że wzgardził przed sądem przysięgą na św. Trójcę i krucyfiks znieważył, podległ tej samej katowni; w r. 1564 nierównie sroższy despekt Bożego Ciała uszedł Otwinowskiemu bezkarnie, a sądy nie przyjmowały przysięgi na krzyż i na św. Trójcę, obrazy i posągi bezkarnie siekano.

Gdy r. 1627 szlachta okoliczna do Krakowa na kontrakty liczniej się zjechała, przybył i arjanin Lubieniecki. Poszukiwali go żacy, nakoniec wyłapali go na ulicy Florjańskiej 19 stycznia, obili w oczach szlachty, która brata-szlachcica z powodu wiary jego wcale nie broniła; chcieli go potem w Rudawie utopić, ale namyśliwszy się, wlekli go przez rynek; tu udało mu się schronić do kamienicy i ujść napaści, zostawiwszy wierzchnie odzienie w ich rękach. Literatura godnie wtórowała tym ekscesom; nie było obelgi, którąby nie obrzucali jezuici, księża, świeccy różnowierców; np. Zełgowius z Zygrowius, co i biskupem będzie, «jakich na św. Gaweł widamy» (średniowieczny zwyczaj szkolny); wojowali «pludrami Luterowemi», które jako największa świętość w Witenbergu wiszą (odpłacając za napady różnowiercze na kult świętych katolickich, wykazujące ich powstanie).

W miastach głównych zborów już nie było; tylko Wilno miało ich dwa: luterski, do dziś istniejący przy ulicy Niemieckiej, mniej nagabywany skutkiem nieznacznej roli luterstwa na Litwie, i helwecki, kalwiński, który dla licznej szlachty-wyznawców był solą w oku jezuickim studentom i motłochowi; burzono go też r. 1591 (spaliło go dziesięciu studentów jezuickich, imiennie wymienionych w skardze Radziwiłła, Naruszewicza, Sapiehy i Talwosza); r. 1611 (zob. wyżej) — winni pouciekali; r. 1639, niby na prowokację kalwińską, że na św. Michała strzelano ze zboru (strzelali chłopcy na kawki), sejm rozkazał zbór znieść, t. j. ów dwór Hornostajowski z nadania Mikołaja Rudego, za murami na cmentarzu nowy wystawić; ministrowie uciekli zagranicę, Krzysztof Radziwiłł umarł ze zgryzoty. Na nowy zbór napadnięto 1682 r., poczyniono szkody na 280.000 złotych, a najhaniebniej spustoszono cmentarz, pastwiąc się nad wywlekanemi z trumien zwłokami; winni byli rektor akademji Kitnowski i uczniowie jego; wyrok zapadł ostatecznie 1686 r. (!); skazanym na śmierć dwom uczniom jezuickim i dwom z motłochu ułatwiono ucieczkę. Niszczenie zborów po mniejszych gminach pomijamy; pożoga kalwińskiego Leszna osobną stanowiła kartę. Że miasta protestanckie, np. luterski Toruń, katolikom nienawiścią równą (acz z musu znacznie skromniejszą) odpłacały, to było całkiem w duchu czasu.

Rok 1627 dowiódł, że nawet trybunał koronny miarę

wszelką utracił. Przetłumaczył Samuel Bolestraszycki francuską książkę kalwina Piotra de Moulins *La nouveauté du papisme opposée à l'antiquité du christianisme*, i poświęcił przekład królewnie Annie, luterce, siostrze Zygmuntowej, dla luterstwa nie żyjącej z bratem. Biskup przemyski Grochowski zaskarżył do trybunału; trybunał skazał tłumacza na grzywny i wieżę, książkę kat spalił, a trybunał zakazał (do czego żadnego prawa nie miał) jej czytania, dla szlachty pod winą infamji i konfiskaty mienia, dla plebejów pod gardłem; równocześnie zakazał wszelkich zborów i schadzek na nabożeństwo (po domach prywatnych!). Sejm uchylił te dowolności trybunalskie, lecz motłoch zburzył zbory publiczne i prywatne w Lublinie, i przeniesiono je do Piasek. Wstąpienie na tron Władysława, wykonywającego silnie a sprężyście konstytucję o tumultach, karzącego obie strony, zaznaczyło się rychło srogim ciosem na znienawidzonych powszechnie arjan. Że scholarze rakowscy ubliżyli na przechadzce krzyżowi, odpokutowało uciemiężone arjaństwo: zborów i schadzek surowo zakazano, ministrów rozprószono, książki i zbiory zniszczono.

PRZEŚLADOWANIE ARJAN

Najbardziej znienawidzono arjan; względem nich wszystko było dozwolone. Około r. 1615 wydano przeciw nim osobne pisemko (*Appendix* i t. d.), gdzie po 20 anegdotach o różnych arjanach wypisano ich «pokorę»:

«Pismem się ustawicznie bawić dla wykrętów; papieża antychrystem zwać, Częstochowę Baalem; ani we zborze ani na weselu nie grać ani tańcować, tylko najadszy się, napiwszy, z pokorą piosneczki z katechizmu śpiewać; świetno nie chodzić; łańcucha, pierścieni, Boże zachowaj wdziać; pozłocistej szabli nie przypasywać; jałmużnę dla okazania dać; sługom nie łajać, tylko katolikom; poddane głaskać, aby ich wysławiali przed ludźmi; świąt nie święcić; w piątek pieczeń, a w niedzielę rybkę zjeść; za króla Boga prosić we zborze, a doma go przeklinać; o konfederację i o zbór rakowski na sejmie praktyki czynić; lichwę brać; z Żydami narabiać; cicho mówić; słówka podchwytywać, szkalować, potwarzać, pochlebiać, machlować, łgać i zwodzić; synody składać; do obrzezania miasto ponurzania zbór sposobić; katolików niszczyć; pieniądze zbierać; Turka oczekiwać. A toż macie Nurki, wolą zostać Turki, Niż w Trójcy jednego Boga chwalić prawego».

W wierszu wstępnym przestrzegał anonim «nieszczęsny Raków»: twoi przodkowie sadzili się na lodzie, lód stajał, oni się w piekle potopili, i tobie to się stanie, «synagodze łotrowskiej, która acz dziś świeci, przyjdzie ten czas, gdy ją Bóg wygładzi z pamięci».

Ależ w szlacheckiej Polsce wolno było jak kto chce; arjaństwo, zniesione urzędowo w Lubelskiem, zakwitło na Wołyniu i w Kijowszczyźnie; tu znalazło kilka środowisk, jak Kisielin i Beresko Czapliców-Szpanowskich, bogatego i rozrodzonego rodu. Po zburzeniu Rakowa przeniesiono tu szkoły, które się rozwinęły w całą akademję z seminarjum dla kształcenia duchownych; rektorami byli Twardochleb, Hryniewicz-Gejżanowski, który przybrał imię Trębeckiego,[1] Rupniowski; tu odbywały się synody, na które zewsząd do 3000 osób przybywało; miasteczko było całe arjańskie; chłopów arjan uwalniali Czaplicowie od danin i robocizny. Biskup łucki i dziekan włodzimierski pozwali Czapliców i ministrów o szerzenie zakazanej «czartowskiej» sekty i sąd nakazał r. 1644 zniszczenie zboru i szkoły; ministrowie i bakałarze jako infamisi musieli się rozjechać.

Drugie środowisko wołyńskie, to Lachowce Sieniutów, którzy też w Wielkopolsce dzierżyli Kobylin (stąd ich związek z Samuelem Twardowskim, wielkopolaninem); w Lachowcach utrzymywali wspaniały zbór i urządzali synody, coraz nagabywani przez dominikanów tamtejszych na podstawie testamentu

[1] Czapliców i Trębeckich znamy i z literatury pięknej, Trębeckiego *Wirydarz poetycki* ma śród wierszów Zb. Morsztyna wiersze na słynnego z swej prawości Czaplica.

ich fundatora; r. 1644 uzyskali dominikanie w trybunale banicję na wszystkich arjan. Trzecie, to Hoszcza Hojskich,[1] gdzie (wojewoda) Adam Kisiel, gdy Hoszczę nabył, arjan u siebie chował, o co go sąsiad przed trybunał pozwał. Skargi na arjan coraz napływały, o zbeszczeszczenie cerkwi, rąbanie obrazów («bałwanów»), o bluźnierstwa wszelakie; posłowie ruscy żądali daremnie zniesienia surowych wyroków trybunalskich, w trybunale bowiem rozstrzygali mimo małej liczby duchowni deputaci, do *iudicium compositum* stawiając tyluż członków (6), co i świeccy, a z tych ile możności usuwając takich, co byliby im niechętni.

Jak z Lublina do Chełmszczyzny, tak z Wołynia przesiąkł arjanizm do sąsiedniego żytomierskiego powiatu województwa kijowskiego; tu odegrał Czerniachów Niemiryczów, starego i bogatego rodu, tę rolę, co Kisielin Czapliców, i temu samemu uległ zniszczeniu. Jerzy Niemirycz, najznakomitszy z rodu wykształceniem (uczeń Rakowa, Lejdy i Paryża), majątkiem, odwagą cywilną i zdolnością organizacyjną, napróżno protestował jako poseł przeciw wyrokowi sejmowemu na Raków i tem gorliwiej zajął się losem spółwyznawców; utrzymywał u siebie np. banitów Stoińskich i przysługiwał się arjanom nawet na piśmie, szydząc z katolików. Gdy ubiegał się o podkomorstwo kijowskie, zapytany, jak arjanin na trójcę św. przysięgać będzie, odpowiedział, że dla podkomorstwa gotów i na czwórkę przysiąc, co nań skargę o bluźnierstwo fanatyka Jana Tyszkiewicza sprowadziło, z której się z trudem wyplątał. Roku 1646, mimo jego związków z dworem i przychylności króla, skazał go trybunał na 10.000 zł. grzywny i zamknięcie wszelkich zborów w jego dobrach; — nie

[1] Tu kształcił się śród arjan Pseudodymitr — pisał ks. Janusz Ostrogski Zygmuntowi III, że Dymitr w Hoszczy «ceremonje anabaptystów odprawował»; nauczycielem jego był Mateusz Twardochleb, który r. 1605 do Moskwy jeździł; diarjusz jego podróży zaginął; jeździli i inni arjanie do niego, np. Morzkowski, a sekretarzami jego byli znani arjanie Buczyńscy.

dbał on wiele o wyrok, ale rok 1648 i 1649 przyniósł ostateczną zagładę arjaństwa, które w zawierusze kozackiej albo zginęło (jak w rzezi starokonstantynowskiej), albo się rozpierzchło. Arjanin Niemirycz walczył dzielnie przeciw Kozakom i szlachta kijowska polecała go na sejmie 1651 r. królowi do nagrody. Nie skończyła się na tem przemiana p. Jerzego; wrócił do prawosławia pierwotnego, wstąpił w szeregi Chmielnickiego i został prawą ręką Wyhowskiego; on układał ugodę hadziacką, chcąc stworzyć Wielkie Księstwo Ruskie z zupełną autonomją, republikę do tego za wzorem holandzkim, i wystosował nawet odezwę do różnowierców, aby przechodzili na prawosławie jako wierni synowie W. Księstwa, na co Samuel Przypkowski po polsku i po łacinie odpowiadał. Ale kanclerza tego W. Księstwa zamordowali nocą chłopi, bojący się powrotu panów, r. 1660.[1]

Najazd szwedzki 1655 r. dopełnił klęski różnowierców: witali oni z radością Karola Gustawa jako zbawiciela, kalwini i arjanie dopuszczali się zdrady stanu szczególniej przy oblężeniu Krakowa[2] i gdy konfederacja tyszowiecka a obrona Często-

[1] Drugi brat, Władysław, znany z korespondencji z czyśćca: jezuici znaleźli bowiem w jego trumnie list, przez niego z zaświata pisany, o zbawczości komunji św. katolickiej. Trzeci, Stefan, podkomorzy kijowski po Jerzym, wysyłał 1664 r. bratanków zagranicę i sam za nimi dla wiedzy wyjechał; wrócił po wielu latach i porzucił arjaństwo, którego się żona do śmierci trzymała; umarł wojewodą kijowskim. Jerzy (?) Niemirycz ma być tłumaczem dzieła wydanego r. 1695, *La Vérité et la Religion en visite chez les théologiens en y cherchant leurs filles, la Charité et la Tolérance* — w duchu arjańskim; inny Niemirycz (rodzinę jeszcze w XVIII wieku napastowano o świętokradztwo, o despekt z hostją) wybrał i przełożył wierszem wolnym, wcale nieźle, bajki Lafontenowe w r. 1699, aby syna Augusta II wyuczyć na nich po polsku, co wobec tej ciemięgi byłoby próżną pracą.

[2] Por. broszurę *Przysługa ariańska, którą się Koronie Polskiej podczas wojny szwedzkiej przysłużyli*, i t. d., napisaną przeciw popielcznikom arjan. Oni to w Krakowie chełpili się i usługiwali Szwedom; oni pisali odezwy Wircowe, bo Wirc nie miał około siebie nikogo, «ktoby tak

chowy Szwedów nadwątliła, padli ofiarą mordowani na Podgórzu przez chłopów arjanie. Sejmy zaś r. 1658 i 1659 orzekły, że ktoby po 10 lipca 1660 r. ważył się wyznawać albo opowiadać sektę arjańską, która Synowi Bożemu przedwieczności ujmuje, albo jej wyznawców chronił, podlega infamji i konfiskacie dóbr, winien więc po tym terminie albo przyjąć katolicyzm (nie inne wyznanie!), albo wysprzedać się i opuścić ojczyznę. Tak rozpoczęli arjanie polscy szereg wygnań, na jakie później hugenotów francuskich i protestantów salcburskich skazano. Jedni wyszli na tułaczkę, znośną tylko w Siedmiogrodzie i w Prusiech Wschodnich, gdzie im Bogusław Radziwiłł jako namiestnik u elektora wyrobił przyjęcie, napastowani coraz przez bigotów luterskich, w Kąsinowie i Rudawkach około Łku, między Mazurami protestantami; rozpłynęli się między nimi w ciągu XVIII wieku, r. 1811 rozwiązała się gmina o paru polskich nazwiskach (Morsztyn, Szlichtyng). Nie wszyscy jednak arjanie przy wierze wytrwali; niemała ich liczba przeszła dla miłej ojczyzny na znienawidzony katolicyzm i spotkała się z ostremi o to wyrzutami. [1]

Sejm koronny nie zadowolił się zwycięstwem nad korną gromadką; r. 1662 zabrał się do kobiet-arjanek i podciągnął je

---

wysoką polszczyzną pisać abo mówić mógł, jedno Stegman, Lubieniecki, Wespazjan Szlichting»; ci należeli ciągle do jego najzaufańszych, ku wielkiemu zgorszeniu Fersena i innych szwedzkich pułkowników (Lutrów). Szwedzi byliby rychlej Kraków opuścili; zatrzymywali ich tu arjanie, Żydzi i Szoci.

[1] Por. *Obrona zacnych i pobożnych ludzi, którzy zbrzydziwszy się bluźnierstwami sekty arjańskiej, do Kościoła się katolickiego udali — przeciwko paskwilowi od jakiegoś ministra arjańskiego przeciw nim napisanemu, po Podgórzu rozsianemu.* W Krakowie 1660 r., przez jezuitę Czchowczyka (Cichovius), «pogromcę djabła arjańskiego», co wadliwość argumentów obelgami i potwarzami łatał. Na ten sam paszkwil, znając dobrze autora-wuja, odpisał wierszem, dotknięty do żywego, Wacław Potocki, jeden z «apostatów».

pod barbarzyńskie prawa r. 1658 i 1659, do czego podniecał kazaniami sejmowemi fanatyk jezuicki, ks. Karwat. Ale arjanki bywały stalszemi chrystjankami, niż ich mężowie: Wacław Potocki został katolikiem, ale żona wytrwała w arjaństwie do śmierci; co mu to przysporzyło kosztów i trudów! — donosicieli, czyhających na kaduki (konfiskaty) arjańskie, nigdy nie brakło. I bratowa tegoż Wacława, Zofja z Taszyckich Potocka (żona Jana, stolnika bielskiego), wytrwała przeciw mężowi w arjaństwie aż do śmierci r. 1693, jak i jej córka, Aleksandra Mierzeńska; wnuczkę Zofję, chociaż ojciec był już katolikiem, wychowała arjanką — ostatnią chyba w Sądecczyźnie; ojciec i córka dostali o to pozew na trybunał r. 1693 (za donosem innych Potockich, którzy na spadek po starej Zofji czyhali). Ustawa sejmowa 1662 roku zarzucała tym arjankom, że sługi arjanki chowają, z ministrami «listowanie» mają i dzieci w temże bluźnierstwie ćwiczyć pozwalają. Tak się rozegrała tragedja arjańska. Wybrało się ich pół tysiąca do Siedmiogrodu; zrabowani przez żołnierstwo węgierskie, zdziesiątkowani przez śmierć, ledwie dotarli do Koloszwaru, ale wspomagani przez braci i z Holandji, pracą usilną doszli do dobrobytu; o swej Polsce nie zapominali; wysłali roku 1711 ludzi, aby zbadali warunki powrotu możliwego, lecz po tem, co ci donieśli, myśl zarzucili. Roku 1792 zmarł ostatni ich kaznodzieja polski; Koloszwar przechował choć resztki protokółów synodalnych polskich.

Dzieje arjaństwa polskiego nie skończyły się w r. 1660 i dysputacją rożnowską (z ks. Cichowjuszem) u p. Wielopolskiego, lecz należały odtąd do zachodniego ruchu religijnego i w nim odegrały znaczącą rolę. Wszędzie jednak, także w Holandji, potępiano socynjan; obrzucenie tą nazwą wystarczało do zniesławienia, stąd chętnie się jej wypierano. Taki Andrzej Wiszowaty, uparty «Litwin», który się do arjan podgórskich przyżenił, był typową figurą arjaństwa, jakie po r. 1660 przeniosło się na szerokie pole zachodnich walk religijnych. Zamłodu wy-

chowany na stypendjach synodowych zagranicą, potem przerzucany przez synody jako kaznodzieja znakomity od jednego zboru do drugiego, rozjeżdżał po wszystkich placówkach, niestrudzony szermierz słowa Bożego, podtrzymywał wątpiących; znużony i wyczerpany osiadł w Amsterdamie i czuwał nad wydaniem spuścizny duchowej wyznania, które na «kolegjantów» (Remonstrantów), a przez nich na Spinozę wpływało.

Ścięto i spalono Kazimierza Łyszczyńskiego, bo wina jego była w oczach spółczesnych okropna: heretyk odstępował tylko od wiary, ateusz od samego Boga, i wobec takiej zbrodni prawa nie było; uwięziono szlachcica nie pokonanego prawem, niby *in flagranti;* nie dopuszczono go do przysięgi, skoro Boga nie uznawał, czemu on usilnie przeczył, ale to mu nie pomogło.

Ubogi szlachcic, wychowanek jezuitów wileńskich, wykluczony z powodu swych mniemań wolnomyślnych, podsędek brzeski, poseł sejmowy, został w Warszawie 1688 r. uwięziony za poduszczeniem duchowieństwa; instygator W. Ks. Litewskiego Brzoska oskarżył go o dopiski ateuszowskie, np. w dziele J. H. Alstediusa o teologji przyrodzonej dodał: «nie Bóg stworzył człowieka, lecz człowiek Boga»; on się daremnie tego zdania wypierał i usprawiedliwiał zwrot «my ateusze» i litości królewskiej nadarmo wzywał; wmieszał się w sprawę i nuncjusz papieski z protestem, że rzecz o wiarę do sądu sejmowego oddano. Odwołał wszystko i wyznał skruchę przed ludem w kościele; jedyna spotkała go łaska, że go najpierw ścięto, o co usilnie prosił; nieco podejrzana była przy tem rola biskupa poznańskiego (Witwickiego, archidiakonat warszawski należał bowiem do jego diecezji), a jeszcze bardziej delatora.[1]

[1] Zagranicą, w Niemczech, nabrała ta sprawa nierównie większego rozgłosu niż u nas; pojawiły się natychmiast sprawozdania niemieckie (r. 1689): *Ausführliche Relation von dem Gefängnis* etc. Arnold, *Ketzerhistorie,* twierdził, że niewinnego spalono; przeciw niemu wystąpił z obszernem pismem rektor gimnazjum elbląskiego, G. D. Seyler, *Acta Lysczynskiana, das ist ausführliche Nachricht von dem Leben, Schriften und Schicksal des berüchtigten polnischen Atheisten K. L.,* Królewiec 1740; przedrukował ową relację z r. 1689 pastor gdański Benedykt Figken w dziele *Historia Fanaticorum,* Frankfurt nad Menem, r. 1701, str. 77—82.

COLLOQUIUM CHARITATIVUM

Mniej dramatyczne były dzieje innych wyznań; w Koronie zakończyły się niemal przed r. 1660; na Litwie po «Potopie» odżywały powoli spustoszone przez wojnę zbory kalwińskie, mimo że postradały opiekę potężnych Radziwiłłów; Birże, Słuck i ich szkoły istniały dalej, pastorowie pracowali nieprzerwanie, narażani na napaści motłochu i na pretensje proboszczów katolickich. W Koronie zaszły, mianowicie po 1640 r., odstępstwa ostatniej szlachty protestanckiej, powrót do religji przodków; tacy dwaj Słupeccy (Groty), pomni biskupa krakowskiego, Jana Grota (kanonisty niegdyś bolońskiego, ucznia słynnego Calderiniego, a spółucznia późniejszego papieża Jana XXII), po pobycie w Rzymie, gdzie się przeświadczyli o niesłusznych zarzutach protestantów przeciw trybowi rzymskiemu, wrócili do katolicyzmu. Trzeci Słupecki, Jerzy, uczeń słynnego Grotiusa w Paryżu, «irenicznie» (t. j. dla pojednania Kościołów) przez mistrza usposobiony, zachwiał się w wierze o prawdziwości wyznania kalwińskiego, jakoby ono właśnie bliżej niż rzymskie stało ku apostolskiemu; nie spieszył z jego opuszczeniem; badał sam Ojców Kościoła i pisma nowe, Bellarmina i in. Gdy się o tem dowiedziano, wystosował doń list Zbygniew Gorajski, kasztelan chełmski, jeden z ostatnich senatorów protestanckich, dyrektor kalwinów na rozmowie toruńskiej 1645 r., przestrzegając go przed katolickiemi skłonnościami Grotiusa, polecając mu dzieła kalwinów francuskich; list ten z odpowiedzią, pozornie wymijającą, zdradzającą jednak wyraźnie zwrot ku katolicyzmowi, wydrukował r. 1644 Słupecki: powaga, spokój, głęboki rozmysł cechowały oba pisma; Słupecki w tymże może roku zbór na zawsze opuścił,

chociaż matka, Leszczyńska z domu, przy kalwińistwie do śmierci wytrwała.

Niejednego raziło, że młode przecież zbory papieża stale antychrystem piętnowały,— widział w tem Grotius słusznie jedną z walnych przeszkód połączenia wyznań. Wolnomyślny Władysław IV łudził się nadzieją, jakoby zwołaniem przedstawicieli trzech obrządków na rozprawę w miłości *(colloquium charitativum)* do Torunia [1] mogło się udać ich pogodzenie. Kiedy na Za-

[1] Na żądanie króla zaprosił synod warszawski różnowierców na zjazd do Torunia 1644 r.; ci prosili króla o jego obecność, dla rozstrzygania w ostatniej instancji, i dlatego odroczono rozmowę na rok 1645. Otwarto ją w sali ratuszowej; króla zastępowali kanclerz Ossoliński i zastępca tegoż, Leszczyński kasztelan gnieźnieński; katolików prowadził biskup żmudzki Tyszkiewicz, luteran Zygmunt Guldenstern, starosta sztumski, kalwinów Zbygniew Gorajski kasztelan chełmski; teologów-delegatów katolickich było 28, luterskich 28, kalwińskich 24 (między oboma także teologowie niemieccy zagraniczni); obrady toczyły się po łacinie. Po pięknem zagajeniu przez Ossolińskiego zaczęły się natychmiast spory co do porządku obrad; gdy przystąpiono do odczytywania wyznań wiary, czuli się to katolicy, to różnowiercy, urażonymi; potem wszczęli luteranie spór z kalwinami o pierwszeństwo. Poselstwo do króla (jezuity Schönhofa, lutra Guldensterna, kalwina Reja) przywiozło wezwanie (od kanclerza), aby każde wyznanie równych używało praw i żeby godzono się w miłości. Gdy spory nie ustawały, zamknął Leszczyński zjazd po 36 sesjach, żałując, że brak skutku; poczem wymieniano i podpisano protokóły. Tyszkiewicz odznaczał się łagodnością, więc przykrego rozdźwięku nie było, ale odgłos tego niezwykłego kroku rychło niestety przebrzmiał.

Literatura spółczesna wcale obfita; najwięcej tych druków posiada gdańska bibljoteka miejska. Rozpoczyna ją *Epistola Synodi provinciae Polonae, celebratae Varsaviae a. d. 1643, 12 nov. ad dissidentes,* i t. d., *qua ad amicum congressum etc. invitantur* (na 10 października 1644; trzy rozmaite odbitki). Wyznania pospieszyły z przedstawieniami swej wiary, np. *Generalis confessio doctrinae ecclesiarum reformatarum etc. ad liquidationem controversiarum maturandam proposita, exhibita 1. sept. 1645;* podpisali ją między innymi Gorajski, St. Drohojowski, Adam Rej, Jan Zbąski, Maciej Głoskowski komornik kaliski (od zborów wielkopolskich), Jan Gliński, Wojciech Derpowski; potem ministrowie, między nimi dwaj

chodzie różnowiercy się wzajem o wiarę mordowali, można było w Polsce pokusić się o polubowną ich zgodę. Od obrad wykluczono zgóry arjan. Niebawem okazało się, że celu, jaki sobie król wytknął, nie osiągnie, i «rozmowa», witana chętnie w Europie przez Grotiusa i innych ireników, spełzła na niczem, przyniosła jednak zaszczyt moralny i królowi, i Polsce. Trudno było myśleć o zgodzie z Rzymianami, skoro jej nie było śród różnowierców samych.

Zgodę sandomierską potwierdzano wprawdzie na następnych synodach generalnych; po raz ostatni na toruńskim z roku 1595, gdzie ją podpisali trzej superintendenci (Glicner luterski; Jezierski kalwiński; Turnowski braci czeskich), i zobowiązywali każdego duchownego podpisem do jej zachowania; obu poznańskich pastorów (niemieckiego Gericke i polskiego Luperiana), którzy ją namiętnie zwalczali, usunięto z urzędu. Ale ze śmiercią Glicnera zerwali luteranie ugodę; jego następcy już się do niej nie przyznawali, a pruscy duchowni już w Toruniu 1595 r. od niej się odchylili i niebawem najostrzej braci czeskich (jako odstępców do kalwińistwa) zwalczali; grudziądzki pastor Morgenstern nazywał ich «wrogami prawdy». W rozmowie toruńskiej 1645 r. gdański pastor Calow i profesor frankfurcki Hülsemann, jako delegat fakultetu teologicznego, oświadczali się, jezuitom ku uciesze, ostro przeciw kalwinom. [1] Więc odbywały się

Węgierscy, Tomasz i Wojciech (senjor dystryktu krakowskiego). To samo, bez podpisów, wydano po łacinie i polsku *(Generalis Confessio* etc.; *Ogólne wyznanie nauki zborów reformowanych* i t. d., 1645). Zagraniczne druki były: *De colloquio charitativo etc. theologi evangelici iudicium ac consilium* (przesłane braci polskiej z Niemiec, Amsterdam z 24 lutego 1645, na końcu wyciąg z listu Wergerjusza do Zygmunta Augusta 1558 r.); *Scripta partis catholicae reformatae* etc. (których «część rzymska» do protokółu nie wciągnęła, z uwagami rzymskiemi i naszemi), Berlin 1650, i inne.

[1] Całkiem wyjątkowem było wystąpienie obu Bytnerów, ojca (Bartłomieja) i syna (Jana), senjorów wielkopolskich, przejętych duchem irenicz-

w wieku XVII synody prowincjonalne zawsze odrębnie; lutrzy w Miłosławiu, Śmiglu, Wschowie, Bojanowie, Lesznie; kalwini w Chmielniku, Wodzisławiu, Okszy; litewscy kalwini odprawiali synody corocznie. Wyjątkowo dochodziło do kroków spólnych, mimo zaciętości luterskiej po dojściu do skutku ich «Concordji»; więc pozwalano sobie używania tego samego zboru (np. kalwini w Piaskach i Węgrowie luteranom), albo przy pogrzebie luterki, siostry Zygmunta III, 1636 r., albo przy debatach sejmowych o konfederację; bracia czescy połączyli się z kalwinami zupełnie.

Z osobą i dziełami Hugona Grotiusa odżyło (nie u nas, lecz na Zachodzie) dzieło Modrzewskiego; i Grotius i przeciwnicy jego, zawzięci kalwini, powoływali się na księgi Modrzewskiego o Kościele, sławiąc objektywność i gruntowność wywodów, spierając się tylko o ich ścisłe wyrozumienie. Kalwini nasi tracili nieraz wybitnych członków i na rzecz arjan; taki Żmudzin Crusius np. (z Połągi), wielbiciel niegdyś astronoma Keplera, który się z nim rozszedł dla poczucia religijnego, dał się przez Ruara ku arjanom przeciągnąć; kalwin Chrząstowski nie godził się na tryb życia ministrów swego wyznania, na ich chełpliwość i próżność, i przenosił nad nich skromnych zawsze arjan. Arjanie próżno starali się o pogodzenie z kalwinami — ogień z wodą, jak to ministrowie kalwińscy nazywali; przepaść dzieliła wyznania w Polsce, jak i w Niemczech, gdzie np. luteranie arjanina Lubienieckiego, malarza nadwornego, wkońcu z akademji sztuk pięknych wygryźli. Spory te były wodą na młyn katolicki.

---

nym, właśnie u luteranów najrzadszym; odznaczył się nim szczególniej Jan, który, wstępując w ślady ojca, wzywał do zgody wszystkich protestantów, nawet arjan, boć wszyscy chrześcijanie braćmi być winni; zwątpił tylko o pozyskaniu katolików. Zanim pokój religijny nastąpi, winni się panujący wystrzegać wszelkich niesnasek: sobór powszechny rozstrzygnie pytania dogmatyczne i urządzi Kościół. Że odezwa bez skutku przebrzmiała, nie umniejsza to zasługi autorskiej; w Polsce nawet luteranie zgodliwsi bywali.

Na protesty przeciw uciskowi sumień zdobywali się prześladowani, np. Wacław Potocki, z arjanina katolik, w wierszu *Kaduki arjańskie:*

Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki.
Czemuż to? Bo źle wierzył. Takowej nauki
W żadnem piśmie nie czytał...
Wżdyć wiara jest dar Boży. Anuż tego daru
Temu nieborakowi nie chciał Bóg dać, to mu
Wioskę wziąć, to go wygnać na tułactwo z domu?
A o naszej co mówią aryani wierze?
To, co my o ich: że w niej nie ważne pacierze.
Czemuż my ich, nie oni z ojczyzny nas ruszą?
Bo nas więcej, niźli ich...
Nie żeby oni jaką zasłużyli winę,
Tylko że słabsi, przeto z nimi za drabinę...
I kalwini nie wierzą kościelnej nauki,
Czemuż na nich takiejże nie zażyjem sztuki?
I ci w Polsce nie wieczni! Skoro się przerzedzą,
Upewniam, że Angliją z Holendry nawiedzą...

Że się proroctwo niezupełnie sprawdziło, nie zasługa katolickiej Polski. Zbygniew Morsztyn, który dla arjaństwa Polskę rzucił, wyśpiewał r. 1661 *Pieśń o ucisku:*

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy!
Usłysz krzyk sierot twoich, usłysz płacz rzewliwy!
Ciężka krzywda, o Boże! Ty na swojej ziemi
Wszystkich cierpisz... a tu ludzkie plemię
Samo na się zajadłe, ciężko następuje
Na swych bliźnich i z Twojej ziemi ich ruguje,
Którąś przestronną stworzył, a my nie możemy
W niej żyć, choć, że i dla nas stworzona jest, wiemy.
Ty, zdawszy rządy królom, wolnowładny Panie!
Nad sercem i sumieniem ludzkiem panowanie
Sameś sobie zostawił. Aleć się wdzierają
W Twe prawa i gwałtem je ludzie odbierają, i t. d.

PRZESĄDY, ZABOBONY, CZARY

Z prześladowaniami o wiarę wrócono do wieku XV; zapomniano o wolności sumień, właśnie u nas, zdawało się, zapewnionej na zawsze; potępiano «konfederację» XVI wieku, ależ na tem, na ciągłem poświadczaniu gorliwości katolickiej (objawianej i w uciskaniu szyzmatyków na Białej Rusi, dokąd ramię kozackie nie sięgało), na budowie świątyń i fundacji klasztorów, nie zakończyło się dzieło reakcji. Jak w literaturze asceza i pogrom różnowierstwa, tak odżyły w praktyce codziennej wszelkie dawne przesądy i zabobony, z jakiemi się w XV wieku spotykaliśmy, i nie myślimy ich wyliczać; ale wiek XVII pomnożył regestr ciemnoty o najwstrętniejszą i najstraszniejszą pozycję, o procesy o czary.

Naszej młodszości cywilizacji zawdzięczaliśmy, że sprawy o czary zaczęły się u nas później niż na Zachodzie; gdy we Francji i Niemczech już w zawody palono czarownice (bo w tem jednem ubiegły kobiety nieszczęśliwe mężczyzn, jako wybrane narzędzie szatańskie), gdy już r. 1489 wyszedł *Młot na czarownice (Malleus maleficarum)* dominikanów-inkwizytorów niemieckich, Henryka Institoris i Jakóba Sprengera (księga to podstawowa dla śledzeń i karań tych przewinień), uzyskawszy już roku 1484 bullę-przywilej na to od papieża Innocentego VIII, u nas nawet jeszcze przez cały wiek XVI było o tem w sądach głucho. Rozpasały się instynkty krwiożercze dopiero w XVII-ym; zwłokę odrobiono, niestety, zupełnie. Bo oto co pisał Opaleński 1650 roku:

Kiedy wiosna nastąpi a deszcz ustał w maju,
Czarownice przyczyną. Zdechł wół jeden, drugi,
Albo tam co z przychowków, czarownice winą.
Każą tedy niewinną babę wziąć i męczyć,
Aż ich z piętnaście wyda. Ciągnie kat i pali,
Aż powie i powoła wszystkie, co ich we wsi,
A baba dziw, że pana z panią nie powoła,
K t ó r y c h b y r a c z e j s p a l i ć z a t o, że niewinnie
Męczyć i tracić każą swoich bez przyczyny.

I tak nie będzie we wsi trzydzieści człowieka,
A piętnaście pogłowia spalą!
Nie wspomnię, jacy w takim sądzie zasiadają,
Chłopstwo głupie, ławnicy, albo i ci, którzy
Przyczynkę jaką mają na niewinnych chłopków.

Spółcześnie niemal odezwał się równie ludzki a mądry głos w dziełku, wydanem bezimiennie: *Czarownica powołana abo krótka nauka i przestroga z strony czarownic, zebrana z rozmaitych doktorów* i t. d., w Poznaniu r. 1639. Przestrzegało ono przed nadużywaniem zeznań wymęczonych ciągnieniem (t. j. na torturach), przed «lekkomyślnych niewieścisk potwarzami i mowami pełnemi niestatku, przed sędziami, co na proste plotki najniewinniejsze osoby posądzają, obrony żadnej im nie pozwalają i tak długo je męczą, aż im żywot zbrzydnie i same na się, acz niewinne, wszystko, co sędzia sobie życzy, wyznają, żeby tylko koniec temu okrucieństwu położyć». I w liście pasterskim, do Instrukcji rzymskiej papieskiej o sądach nad czarownicami (z roku 1657) w wydaniu polskiem dodanym, biskup poznański Czartoryski kazał sędziom sądzić zbrodnie jawne (mordy, gwałty, oszustwa), nie tajemne, zabronił męczyć podejrzane; zakazał pławienia, tortur, sądów świeckich (co wilczem prawem zawładły procesami o czary, choć te do duchownych należały) — wszystko mądrze, poczciwie, przekonywująco; groził sędziom odtąd klątwą — cóż z tego, kiedy bez najmniejszego skutku. Żadna uboga kobieta, szczególnie starsza, nie była pewna życia; byle złość, głupota lub plotka starczyły, by ją na stos wysłać, — tylko dla bogatych znachodzili się obrońcy, jeśli ogółem kto się odważył je oskarżyć. Co osiągano czarami, uczył djabeł Rogalec w *Sejmie piekielnym straszliwym*, naprawiając w kościele podczas nabożeństwa dziewki:

Jednej każę, aby strzępków w kościele dostała
Od chorągwi, od obrusów, by przy sobie miała:
Jako ludzie kupą chodzą za temi strzępkami,
Tak za tobą będą chodzić, ba i djabli sami.

A drugiej każę napalić w ogniu trupich kości,
Żeby drugie osypała, naczyniła złości.
Dostawszy jej wieńca z głowy, włóż na trupią głowę,
A z konwie obrączki popal: osyp trzecią owę...
Trzecią uczę, chceli, żeby młodzieńca miała,
Żeby włosów z jego głowy, jak może, dostała;
K temu wosku z krzcielnej świece, a świeczkę udziałaj
Z onych włosów, którą sobie we czwartki zapalaj;
Póki ono światło będzie u ciebie gorzało,
Póty się mu serce będzie ku tobie pręgało —

a więc najzwyklejsze środki sympatji, co tylko od głupoty, nie od czarta, swą moc miały. Czarowano święconemi rzeczami:

Nuż w sobotę wielkanocną, kiedy wodę święcą,
To się w ten czas po chałupach czarownice kręcą,
Biegają około domu, brząkając w siekacze,
A druga wlazłszy na gniazdo, z kokoszami gdacze;
Wziąwszy ognia święconego, dobytek nim kadzi;
Do siedmi kościołów każe po wodę czeladzi.
Święcone w dzień wielkanocny wkoło domu noszą,
Aby wężów nie widali, kiełbas o to proszą, i t. d.;

ależ to samo wytknął już Rej w *Postyli* na wielkanocną niedzielę. Gorzej było, że uczyły:

Jako owcom i mleko odjąć cudzym krowom...
Jak sąsiedzkie przewabić żyto na swe pole,

i nie było szkody na zdrowiu czy mieniu, którejby się czarownica nie dopuściła:

Człowieka *osuć*, ostudzić, oślepić, pokrzywić,
Małżeństwo w sobie *ostroczyć*,[1] człowieka nie żywić,
Wrzekomo uroki leczyć, abo ogień żegnać,
Anioła z domu wypędzić a djabła tam wegnać,
Śmieciami ciskać, gdy księża chodzą po kolędzie,
Do poduszki się wyścigać tam, kędy ksiądz siędzie.

Rozumie się, że Żydom nie przepuszczano; wedle Miczyńskiego (zob. wyżej) kupowali mleka kobiecego dla szerzenia moru śród gojów; to mleko ma lać po odprawieniu guseł i zabobonów chłopek wisielcowi w ucho i pytać go, coby słyszał. Kobieta sprzedała raz żydom mleko krowie zamiast niewieściego; gdy chłopek pytał wisielca, co słyszy, ten odpowiedział: ryk bydła; zasmucili się żydzi, wyłajali kobietę, ale wkrótce nastąpił gwałtowny mór na bydło w całej Polszcze!

[1] *Ostroczyć*, wzbudzić nienawiść wzajemną; *osuć*, patrz wyżej *osypać* (to samo).

Komedje spółczesne znały wróżki z zaklęciami djabelskiemi, ależ to rzeczy licho zmyślone, np. w *Komedji Rybałtowskiej* r. 1615 babka występuje «z ożogiem i kurzawą: *Amen dico*, Przez kierz łyko, Ichty pichty, Szychty rychty, Przez te krysy Djabeł łysy»; on się zjawia: czego chcesz? «By w tym gmachu Nigdy strachu Ni widano Ni słychano, Koper zwarem Kotkien szaysen... Ich pitych marchwic». W komedji *Marancji* wróżka przywoływa Rokietkę zaklęciem: bzdurum badurum Bożą i świętych pomocą (!); potem silniejszem i t. d., ale baba łgarka, śmieje się z naiwności dziewczyn, daje im nasięzdrzą («gdy go na szyi nosisz, każdyć zadudkuje») i grabki nietoperzowe, aby kogo przyciągnąć lub odrzucić, i t. d.

Zachowały się liczne akty procesowe, powtarzające z drobnemi odmiankami zawsze to samo. Przynoszono nieszczęsną ofiarę nieraz w beczce, żeby dotykaniem ziemi nie nabierała mocy djabelskiej; golono włosy, bo i w nich moc djabelska ją strzec gotowa; katownię samą (ciąganie na skrzypcu i t. p.) opisał Kitowicz jak najdokładniej. Poszlaki były stale te same: czarownica zawieszała kłódkę, zakopywała strzępki, zbierała i warzyła zioła, podkradała się do stajni, a potem ktoś zaczął schnąć czy chorować, krowy przestawały dawać mleko i t. d.; najgorsze czary, gdy wywoływała posuchę; chmury się zgęszczały, ona wychodziła i rozganiała je; to znowu umiała deszcz, ba i gromy przywoływać; wzbudzanie afektu, miłości czy nienawiści, czyniło ją pożądaną u kobiet.

Śród jednostajnych wyliczań (zmieniały się tylko nazwiska i daty) wyróżniała się tu i ówdzie jakaś ciekawsza wzmianka, np. autor *Wiersza o fortelach i obyczajach białogłowskich* w roz-

dziale o babach twierdził, jakoby sam słyszał na Rusi: czarownicę przypiekano, «wzniowszy jej opak obie ręce» pod ramionami rozpaloną blachą; ona wyznawała: wstawała we czwartki rano, szła przeciw wschodzącemu słońcu, najczęściej na rozdrożu, «nawspak», i prawiła: jeśli coś przez cię, zły duchu, mogę, to pokaż mi twą siłę, wypełń moje czarowanie; przytem sypała makiem albo proso liczyła, na co djabeł natychmiast skądsiś jej zaryczał: masz wszystko, czego żądasz, przyjaciółko. — Na Rusi mniej palono czarownic niż w Polsce, zato było ich tam nierównie więcej; były dla nich wszędzie łyse góry (najsłynniejsza kijowska), a gdzie gór nie było, łyse błota dla ich sobótek; słownictwo, np. *wiedźma, kołtun, upir* (dopiero w XVIII wieku wsławiony), z Rusi wyszło; tam było centrum czarów; otaczał się przecież Chmielnicki wiedźmami; o trzech pisał Kuczwarewic w *Relacji ekspedycji zbaraskiej* (Lublin 1650): harcowała na przedzie «siostra Duńcowa, która czarom wielce swym ufała», ale padła zabita, inną uwiedli z sobą Kozacy; Sołochę,

> Drugą ich czarownicę, nasi załapili,
> Którą potem zmęczoną na stosie spalili;

(Sołocha, t. j. Sołomonja, stało się nawet imieniem pospolitem dla wiedźm); sama opowiadała, a potwierdzali inni, że pod Pilawcami rozjeżdżała na koniu Chmielnickiego, «będąc w kochaniu u niego»;

> Na mękach nie wołała, ale spała sobie;
> Gdy ją palono, tylko rzekła: otóż tobie.

BIBLJOGRAFJA

Wzrost nietolerancji skreślił W. Sobieski, *Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta Trzeciego,* Warszawa 1902, co dopełniłem wedle literatury przedmiotu w *Przewodniku naukowo-literackim,* Lwów 1902. Jezuity Wielewickiego *Diarjusz kolegjum św. Barbary krakowskiego,* wydany w trzech tomach przez Akademję, poucza wymownie o praktykach przeciw różnowiercom. O czarach zebrał materjał z druków dawnych Juljan Tuwim, *Czary i czarty polskie, oraz wypisy czarnoksięskie,* Warszawa 1924.

ROZDZIAŁ CZWARTY

SZKOŁA. — NAUKA

Szkoły początkowe i wyższe. — Uniwersytet. Walka z jezuitami. — Akademja zamojska. — Szkoły różnowiercze. — Nauka. Teologja. — Inne nauki. — Podręczniki. — Nauka arjańska. — Bibljografja.

SZKOŁY POCZĄTKOWE I WYŻSZE

W Europie szkolnictwo podnosiło się powoli; w Anglji znoszono się z Komeńskim o poprawę nauczania; u nas upadało. Napozór zostało wszystko po dawnemu; każde miasteczko, każda parafja wiejska miały swoją szkółkę. Uczono codzień (oprócz niedzieli) rano i po obiedzie przez trzy lub cztery godziny; rano rzeczy trudniejsze (gramatyka), po obiedzie łatwiejsze (czytano autorów); dla malców wystarczały dwie godziny rano i po południu, kończyło się sylabizowaniem i wyuczaniem napamięć dystychów Katona lub innych wierszów moralnych; dla braku nauczycieli i miejsca siedzieli malcy i starsi razem; dyscyplina była twarda. W sobotę dawano cięgi tygodniowe; powtarzano pensum tygodniowe, dodawano naukę rachunków i kalendarzową; uczono zawsze katechizmu, łaciny i ministrantury. Pod wpływem rywalizacji z szkołami różnowierczemi czuwało duchowieństwo nad szkołą, szczególnie nad prawowiernością mistrza.

Zczasem ostygł zapał duchowieństwa, gdy różnowiercza bezsilność się objawiła; szkoły wiejskie i małomiejskie zaczęły upadać; wymagania nauki od mistrza malały. Zamiast magistra albo bakałarza wystarczył klecha, t. j. młodzieniec, który się w szkole uczył, aby później sam w niej nauczał; niewiele ksiądz proboszcz od niego łaciny żądał, ale tego, żeby był prawowierny, księdzu w gospodarstwie pomagał, skromną płacą się zadowalał; więc klechy mizerję szkolną rzucali, aby na drugiem miejscu lepszego szczęścia próbować lub się z szkołą na zawsze poże-

gnać; przykuwał się klecha do miejsca, skoro się ożenił, bo z żoną i dziatwą niesposób było posadę rzucać. Chodziło głównie o to, aby chłopców śpiewu i ministrantury wyuczył, i pogorszyło się położenie klechów, gdy organy po farach zaprowadzano, a do nich osobnego organistę najmowano, który chłopców śpiewu uczył. Liczba uczniów stałą nie była; były szkoły bez uczniów, w innych od dwu do czterdziestu; ich «kwartały» «suchedniowe» były marnym, ale stałym dochodem klechy; przybywało do tego, co od proboszcza dostawał (co najmniej obiady w niedziele i święta), i to, co od gminy («petycje», gdy po żniwach do gospodarzy się zgłaszał; kolędy, dzieląc się z proboszczem, i in.). Znośniejszy był los klechy-bakałarza w miasteczku, bo najpierw nie był ks. proboszcz jego jedynym panem (mieszała się rada miejska do niego), dalej uczniów było więcej, a przedewszystkiem łączył «rektor» szkołę z urzędem pisarskim; cierpiała przez to szkoła, bo pisarz miejski już nie o nią głównie dbał.

Wobec jawnego upadku dawnej szkoły — odczuwano szczególnie braki w śpiewie — zakrzątał się biskup krakowski Tylicki, aby ją do dawnego stanu przyprowadzić, i na synodzie diecezjalnym z r. 1612 ułożyła akademja program nauki szkolnej, obowiązujący dla wszystkich szkół parafjalnych. Program był o tyle postępowy, że np. polecał, zamiast owej srogiej dyscypliny, która nienawiść młodzieży przeciw dawnej szkole budziła, jako istnej katowni, nie uczelni, środki łagodniejsze; co do zakresu był nadto obszerny, nawet greki wymagał i lektury Owidjusza, Wergiljusza i Cycerona: był to więc program dla wyższej szkoły miejskiej; kładł zato nacisk, za wzorem szkół jezuickich, na praktyki religijne, w mierze obcej dawnej szkole, i na katechizm, którego w przekładzie polskim uczono. Naukę dzielił dla malców i doroślejszych, ale dla tych dalszego rozkładu lekcyj wedle klas nie dawał (tem różniły się dodatnio szkoły jezuickie, gdzie każda klasa miała swoje osobliwsze pensum i nigdy ich razem nie mieszano). Zatrzymał program 1612 r. nawet dysputacje uczniowskie, co się o byle tajniki gramatyczne toczyły: gramatyka łacińska profesora krakowskiego Piotrowskiego (z r. 1639, nierównie łatwiejsza niż Alwar jezuicki) i satyra polska pijara Piotrowskiego z roku 1770 jaskrawych dostarczają o tem szczegółów. W Krakowie i Lwowie szkoły główne podchodziły pod ten program, ale jakiej łaciny, i jak, na partykularzu uczono, o tem opowiadały spółczesne satyryczne dialogi, gdzie się Janas Knutel i inne klechy nią popisywali.

Był to jeszcze złoty wiek szkolnictwa polskiego, które w drugiej połowie XVII wieku upadło. Płonęły wsi i miasteczka, a spalonej szkoły już nikt nie odbudowywał; rozbiegli się chłopi i mieszczanie przed strasznym uciskiem wojska obcego i koronnego; duchowieństwo zapominało o szkole, nawet nazwa klechy wychodziła z użycia; bakałarz (chociaż nigdy nie promowany) wojował ze wszystkimi; szlachta patrzyła jak najniechętniej na posyłkę chłopców do szkoły, nie uznając jakiejkolwiek tego potrzeby; coraz cięższy ucisk chłopa uniemożliwiał mu ten zbytek. Przy końcu wieku zginęły szkółki wiejskie doszczętnie.

Szkoły miejskie podnosiły się nieraz, szczególniej gdy akademja kolonje urządzała. Aby nie biedzić się z malcami, stworzyła akademja i dla nich początkową szkołę jako typ pośredni między szkółką parafjalną a uniwersytetem, w Krakowie 1588 r., gimnazjum Nowodworskiem później przezwaną (następnie gimnazjum św. Anny), a na wzór tego zakładu zreformował biskup Rozrażewski r. 1616 podupadłe gimnazjum Lubrańskie w Poznaniu i oddał je akademji (narazie były tam i kursy prawne i filozoficzne, co jednak niedługo trwało); powstały w ciągu XVII wieku po wielu innych miastach kolonje akademickie, dzięki niechęci przeciw jezuitom, szczególnie przez kler świecki żywionej; byli i świeccy panowie, co dla tej samej niechęci akademję funduszami na kolonje wspierali. To było chyba najznaczniejszym postępem akademji; że się te kolonje-filje niczem od trybu akademickiego (na mniejszą skalę coprawda) nie różniły, wy-

pływa już z tego, że je akademja wyłącznie swoimi wychowankami obsadzała.

Dla odnowionego gimnazjum ułożył profesor krakowski Janidło *Sanctiones et leges collegii Lubransciani* (Kraków 1619): nauka trwa trzy godziny przed, a dwie po południu; rano nauka gramatyki («etymologji» i składni) na autorach (Owidjusz, listy Cycerona); po południu lektura (Owidjusz) i greka (!), żywoty królów polskich, zadanie polskie domowe do przetłumaczenia na łacinę; w sobotę egzamin całotygodniowy i dysputacje; po południu rachunki, kaligrafja, *Cyziojan*, list polski sztuczny, doborowemi wyrazami złożony. W retoryce i poetyce ich przepisy; Wergiljusz; po południu mowa Cycerona, jakiś łatwiejszy historyk; w soboty recytacja mowy, po południu Prudentius albo inny poeta chrześcijański, matematyka i dialektyka; w klasie filozoficznej tematy filozoficzne, a w soboty *conclusiones*. W *schola iuridica:* odczytywanie abbrewiatur *iuris,* objaśnianie «rubryk»; instytucje cesarskie; po południu filozofja moralna; w soboty dobre «reguły praw». Przy kończeniu półroczy wykłady z Liwjusza i innych historyków; dysputacje treści politycznej i moralnej.

Były takie kolonje w Tucholi na Pomorzu, w Białej Radziwiłłowskiej na Podlasiu (z kursami wyższemi, jak i w Chełmnie), w Ołyce, w Gnieźnie (dawna szkoła metropolitalna), w Stanisławowie i t. d.; albo poddawały się akademji dawne szkoły, lwowska, chełmińska i in. Akademja wyznaczała im dyrektora i nauczycieli, dozorowała przez wizytacje, zawiadywała ich funduszami, ustanawiała przepisy, sformowane dla szkoły Nowodworskiej ostatecznie r. 1603. Uczono w nich łaciny krócej i zwięźlej niż u jezuitów; uczono matematyki, historji polskiej (greka rychło odpadła); «kolonje akademickie» cieszyły się uznaniem.

O szkole dla dziewcząt nie było mowy; wystarczało wychowanie domowe, klasztorne, dworskie wkońcu, gdy panienkę oddawano do fraucymeru jakiejś znacznej pani, gdzie pod dozorem «starej pani», ochmistrzyni, panienki szycia, muzyczki (i pisma) się uczyły. Własna pilność zapełniała braki szkoły i wiek XVII widział coraz więcej pań piszących, choćby wiersze.

UNIWERSYTET; WALKA Z JEZUITAMI

Grono nauczycielskie było wcale pokaźne; *collegium maius* liczyło profesorów-kolegjatów 19, z tych 11 teologów, 7 filozofów, jeden astrolog; *collegium minus* liczyło 13 filozofów albo humanistów; *collegium iuridicum* 7; *medicum* 4; dalej około 20 uczących po bursach i szkołach, «nadzwyczajnych». Teologja urządzona jak w Paryżu, dla tomistów i skotystów, praktyczna i teoretyczna, *casus conscientiae* dla spowiedników, i t. d. Na filozofji rozpoczynał się corocznie kurs Arystotelesów; dla początkujących i tych, co się Arystotelesowi poświęcać nie myśleli, byle uczony traktat. Dochody były następujące: 130 grzywien na soli bocheńskiej; 108 grzywien od Zygmunta Augusta dla «profesorów królewskich» (ich sześciu otrzymywało ćwierćrocznie po sześć złotych); fundusz Tylickiego (najznaczniejszy; profesor *eloquentiae* pobierał paręset złotych, co poczęści zastępcom oddawał); fundusz Nowodworskiego, z którego nauczyciele w «klasach» otrzymywali rocznie po 60 zł.; medycy mieli ponad 10 grzywien każdy; wkońcu beneficja kościelne, złączone z kolegjaturami, przynoszące od 7 do 12 grzywien; stary, «co się miejsca harowaniem dograba», otrzymywał jakąś parafję albo kanonję, ale te wymagały pracy duchownej. Przystępowały jeszcze «prowenta» na stół spólny. Dochód roczny zwykłego akademika wahał się między 7—30 grzywnami; kupowano z tego książki, ubiór (więc niejeden i w zimie w lekkim *muchajerze* chodził, bo nie było go stać na dobry *falundysz),* i płacono tygodniowo na stół, na który była jeszcze przeznaczona wioska i «kilkanaście niebogatych czynszów».

Wyposażenie było więc nad wyraz liche i nie dziwiono się zbyt, że pracy naukowej tych profesorów niewiele było widać. Dzieła uczone XVII wieku pisali dominikanie i jezuici, wyjątkowo franciszkanie i księża świeccy; akademicy pisali panegiryki, niemal wyłącznie łacińskie, najrzadziej polskie, i kalendarze; kpili z nich dlatego jezuici, a Brożek tego obronić nie umiał. Tak samo pisał Ł. Opaleński: «w Krakowie drukarze milczą, oprócz minucyj (kalendarzy); żywi ich sam ks. Starowolski; akademicy patrzą *in posteriora Aristotelis* i jego mądre portki na swem ramieniu noszą, a po sześć groszy do św. Florjana na msze i nieszpory muszą iść pieszo». Od jezuitów przejęła akademja ich tryb dla budzenia emulacji w swoich «klasach» (niższych szkołach), gdzie już *cretales* i *lignatum* (opłata paliwa) nie wybierano, tylko 8 groszy na suchedni; taka szkoła była potrzebna, «w którejby się (chłopiec) ochrosnął i otrząsł z pedanjej dla bojaźni feruły»; takiej szkoły jezuici nie mieli.

Główną czynność skierowała akademja przeciw jezuitom; ta karta jej dziejów mniej budzi sympatji, bo słuszność była raczej po stronie zakonu; że zakon mimo to dał za wygraną i wbrew woli królewskiej, a nawet i Rzymu, wkońcu ustąpił, dowodziło tylko wszechmocy szlacheckiej, która przeciw królowi i papieżowi swoje przewiodła, nabechtana przez wrogów zakonu, których mu i w Małopolsce nie brakło (Zbarascy, Herburt i inni). Na kilku miejscach, w Poznaniu, Krakowie i Lwowie, kusili się jezuici o podniesienie swych kolegjów, jak wileńskiego, na stopień akademji, i uniwersytet zawsze się temu zwycięsko oparł. Bronił on swego średniowiecznego monopolu nauki przeciw zakusom zakonu, który nawet gotów był swoich uczniów poddać poza szkołą pod rygor rektorski, ale i tą koncesją nic nie wskórał. Zaczęło się to w Poznaniu 1613 r.; król już zezwolił, ale wydany dla jezuitów przywilej sam cofnął; zaogniło się w Krakowie w latach 1620—1639; sprawę wytaczano nietylko w akcjach, protestach, replikach sądowych, lecz posypał się grad

broszur *pro* i *contra*, satyrycznych i kąśliwych. Najsłynniejszy między niemi *Gratis* r. 1625 z pod pióra ks. Brożka[1] (Broscius). Były to cztery dialogi: *Gratis, Przywilej, Konsens, Varietas;* nicowały one mniemane zasługi i argumenty jezuickie, np. że uczą darmo, *gratis* (ileż to *gratis* Polskę kosztuje!), że powołują się na konsens akademji, ale wyłudzony, i t. d. Ksiądz nie drukował pamfletu w Krakowie samym, lecz trzy pierwsze dialogi w pokątnej różnowierczej drukareńce; gdy to wytropiono, skazanoby drukarza na śmierć, ale go jezuici odprosili; skończyło się na chłoście u pręgierza, wyświeceniu i spaleniu książki przez kata. Brożek czwartego dialogu *(Varietas)* już nie odważył się ogłosić; występowali tam i sami jezuici, znakomicie scharakteryzowani; czepiał się jednak zbyt pedantycznie błahostek i zapchał go cytacjami łacińskiemi; trzy pierwsze bardziej aktualne, nie prawiły o rzeczach egzotycznych, chińskich, japońskich, abisyńskich, jak czwarty. Ataki sejmowe i literackie mistrzów popierała ich młodzież pięściami, niebardzo przez akademję hamowana; młodzież nie dbała o zakazy królewskie, czepiała się i straży starościńskiej; ta wkońcu strzelała i studenta Przepiórkę, Mazura, zabiła, co akademja naturalnie jezuitom na karb włożyła.

[1] Zaszczytu wielkiego ta polemika Brożkowi nie przynosi. On mówił wręcz nieprawdę, np. jakoby akademja «nie udawała się za antypapami *tempore schismatis*», gdy właśnie akademja przy antypapie wytrwała, chociaż uniwersytety obce go już porzuciły! I co o wyłudzonym niby od akademji «konsensie» prawił, bardzo podejrzane. Najniepotrzebniej śledził «odmienność» jezuicką *(Varietas)* w ich publikacjach zagranicznych, co nas ani ziębiły ani grzały; miał nierównie wymowniejszy przykład doma, gdy jezuici wyrzucili z *Kazań Sejmowych* Skargi szóste i inne zmiany wprowadzili. Złośliwości swojej dawał upust na każdym kroku, np. «raki» o Hiszpanach «socjuszowi», Bogu ducha winnemu, przypisał. Wierszyka na jezuitów p. t. *Gratis* Brożek nie ułożył; odpisał tylko dawną robótkę najzażartszego wroga jezuitów, Szczęsnego Herburta, z r. 1607 (jeśli Herburt sam jej skądinąd nie wziął?). Ostatni dialog *(Varietas)*, najzłośliwszy, ale najmniej ciekawy, wydobyto świeżo z rękopisów.

Nie zadowalano się broszurami; odpowiedź Józefa Pięknorzeckiego (t. j. jezuity Szembeka) p. t. *Gratis plebański, gratis wyćwiczony w jezuickich szkołach krakowskich, mędrszym niż przyszedł do domu się wracający*, z r. 1627, liczyła 481 stron. Pisma pojawiały się bez imion lub pod zmyślonemi; akademickie pisał wszystkie Brożek (i pod imieniem bakałarza Seb. Koszuckiego), jezuickie Szembek, bo styl cięty i myśli stale się powtarzały. Jezuici mieli słuszność za sobą, bo bula papieska dozwalała im otwierania szkół wszędzie, bez zważania na czyjeś dawniejsze przywileje; słusznie przytaczali, jak to Sorbona paryska walczyła przeciw szkołom dominikańskim, których miejsce teraz jezuickie zajęły, wystawione na te same zarzuty. Ale podniesiono w ciągu dyskusji i zasadnicze pytanie: do kogo właściwie należy opieka nad wychowaniem? czy do duchowieństwa, czy do państwa? jeśli do duchowieństwa, to jakiem prawem wnieśli akademicy rzecz przed sejmiki? I Brożek odpowiadał: państwu to należy; czyż jezuici i dziewczęta uczyć będą? Ale akademja przestraszyła się widocznie konsekwencyj i tego pytania dalej nie poruszano. Inną wniósł Brożek sprawę: jeśli jezuici zwyciężą, urządzą monarchję szkolną; my wszyscy będziemy jako tako wykształceni, zginą nauki, będzie tylko słychać o gramatyce, retoryce, *humanitas* i odpisywanych kursach, a zaśpiewamy *de profundis* Arystotelesowi, Platonowi i matematyce; jezuici tracą czas na gramatyce tylko, piszą tezy albo przerabiają starzyznę: gdyby starzy homiljarze powstali z grobów, odebraliby im wiele jako swoją własność. Nie szło akademji zbyt wiele o naukę, raczej o monopol własny, a nauka na tem chyba straciła, bo akademja jezuicka w Krakowie możeby się, dla spółzawodnictwa, wzniosła na wyżyny ingolsztadzkiej czy gradeckiej, które tylu Polaków jeszcze w XVII wieku nęciły. Zresztą jezuici dla swych kolegjów i dla akademji wileńskiej poza teologję i filozofję nigdy nie wychodzili; prób z jurysprudencją, a szczególniej z medycyną, na serjo nie podejmowali; może więc nauka istotnej straty nie doznała, boć i w dyplomach królewskich dla Poznania i Lwowa zawsze tylko o te dwa wydziały chodziło. W każdy sposób uniwersytet, wyczerpawszy zasoby na tę niesłuszną sprawę, spał na oba uszy, aż go ks. Kołłątaj po półtora wieku obudził.

AKADEMJA ZAMOJSKA. SZKOŁY RÓŻNOWIERCZE

Akademja zamojska nadziei, jakie jej założyciel wyraził, a król r. 1601 powtórzył, nie spełniła. Weszła w życie już 1595 roku, ale dokument fundacyjny dopiero 1600 r. kanclerz ogłosił. Żadnej akademji równie szczegółowego programu przy jej zakładaniu nie narzucono, ale już z tego programu widoczna, że nie chodziło o uniwersytet, lecz o gimnazjum wyższe, sturmowskie, tego rodzaju np. co «akademja» Lubrańskiego w Poznaniu, chociaż myślało się może o paryskiem *Collège de France*. Wydziału teologicznego wcale nie było, dopiero w kilkadziesiąt lat później synowa kanclerza wyposażyła seminarjum duchowne (z pięciu profesorami) przy «akademji». Medycyny również nie uczono; nie zastąpiło tego braku, że profesor fizyki także podręcznik Galena wykładał; prawa cesarskiego i polskiego uczyło dwu; z dziesięciu więc profesur ośm było filozoficznych, z nich dwie dla początkujących; w klasie pierwszej uczono przecież dzieci alfabetu (polskiego wedle Kochanowskiego!); na naukę greki kładł kanclerz wielką wagę; nie zaniedbywał katechizmu i «konfesji» Hozjuszowej.

Podstawy nowej szkoły były zbyt wąskie, tak pod względem naukowym, jak i ekonomicznym. Dochód ze wsi Bukowiny (tysiąca złotych) nie starczył na skromne płace profesorskie (po 230 zł. dla pierwszych siedmiu, a 150 i 130 dla ostatnich trzech); czego niedostawało, miałby skarb zamojski dopłacać; głównem uposażeniem było połączenie akademji z kapitułą zamojską; trzy prałatury i cztery kanonje były zastrzeżone dla profesorów, nad którymi scholastyk (z pośród nich wyszły) prze-

wodził (obok dorocznego rektora i dziekana); liczono więc zgóry, jak w Krakowie, na osoby duchowne; świeckich opatrywanoby wójtostwami. Przy akademji urządzono także drukarnię.

Szczupłości funduszów, pomnażanych nieco zczasem przez syna (Tomasza) i wnuka (Jana), jak i przez inne osoby (dopiero syn np. wybudował osobny gmach dla akademji), odpowiadała również i szczupłość sił naukowych. Pierwszy komplet obejmował siły obiecujące (jurysta Drezner, filolog Burski, gramatyk Ursinus-Niedźwiedzki), które się zczasem wydoskonaliły, lecz nie było śród nich żadnego już głośnego imienia, a czem dalej w lata, bywał zespół tem słabszy, i zeszła wkońcu akademja na zwykłą filję uniwersytetu krakowskiego, z tą jednak różnicą, że sama nadawała tytuły uczone, promowała swych uczni na bakalaureat i magisterjum. Było kilka burs dla młodzieży ubogiej, ale wszystko skąpo wymierzone; gdyby Zamoyski dłużej żył, byłby niejednemu brakowi pewnie zaradził, opiekunowie zaś młodziutkiego Tomasza mieli ręce skrępowane, właśnie w początkach szkoły, t. j. w jej rozstrzygającym okresie. Nie dziw więc, że szczupłą była także liczba uczniów, nigdy stu nie przekroczyła, a zwykle około pięćdziesiątki się wahała. Wielkiego rozgłosu szkoła nigdy nie nabrała, i gdyby nie kalendarze Duńczewskiego, bardzo popularne, o jej istnieniu poza murami zamojskiemi niewieleby wiedziano; zadaniu swemu, być pochodnią światła i nauki na Rusi, przygotowywać nie duchownych ani bakałarzy, ale obywateli, o czem Zamoyski marzył, nigdy nie dorównała. Wegetowała jeszcze w XVIII wieku i doczekała się zaboru austrjackiego; rząd na jej miejsce we Lwowie później uniwersytet założył.

Należy jednak wyznać, że zamiary były najlepsze, że przedwczesna śmierć Zamoyskiego, który dopiero w ostatniem dziesięcioleciu spracowanego, ofiarnego żywota nad szkołą skutecznie się biedził, była właściwą klęską dla zakładu: już r. 1607 pisał Szymonowic, jego kierownik niemal duchowny, do filologa

Casaubona w Paryżu: «śmierć Jana Zamoyskiego wielką stratą nietylko dla Rzeczypospolitej, lecz i dla literatury. Świetny jego zakład chociaż bez niego, ledwie podtrzymywamy, ale gdybyśmy go jakokolwiek podtrzymywać mogli, przecież nie starczy nas na wypielęgnowanie wyższych umysłów». R. 1615 pisał zaś Tomasz Zamoyski do Szymonowica z Paryża, że trapi go srodze brak profesorów, i prosi go usilnie, żeby ile sił zaradzał temu i akademję choćby na dotychczasowym poziomie utrzymał; ale ani tego dla braku ludzi (branych z Krakowa) i środków nie udało się osiągnąć.

Dla kolegjów jezuickich obowiązywała dawna *Ratio studiorum*, ale duch wygasał, szczególniej w drugiej połowie wieku zaznaczało się skostnienie, a więc i powolny upadek tych szkół, które nie dorównywały zagranicznym zakładom jezuickim w takim Gracu czy Ingolsztadzie. Greka znikła oddawna z programu; pielęgnowano troskliwie dramat szkolny i inne występy publiczne (przy zagajaniu lub kończeniu roku szkolnego lub przy witaniu dostojników), uczono stylu i wymowy emfatycznej, dbano o ducha pobożności, a surową dyscyplinę zwalniano chyba przy napaściach na ewangelików lub walkach z uczniami szkół akademickich czy pijarskich. Pijarskie nie różniły się bynajmniej od jezuickich; nie troszczyły się o dziatwę biedną, opuszczoną, dla której je fundator Józef Kalasanty w Rzymie utworzył; dawały średnie wykształcenie w swoich kolegjach: warszawskiem, podolinieckiem na Spiszu (stosunkowo najsłynniejszem; tu oddał syna swego na naukę Stanisław Lubomirski, który je wyposażył) i wielu innych; piotrkowskie właśnie odznaczyło się bójkami z uczniami jezuickimi, co się przez całe lata przeciągały, aż je nuncjusz uśmierzył surowym zakazem noszenia jakiejkolwiek broni (bo to było u wszystkich studentów zwyczajem).

Nierównie lepsze bywały szkoły różnowiercze, chociaż niektóre znikały równie prędko niemal, jak powstawały; ofiarność spółwyznawców i zabiegliwość «scholarchów» wydawały nieraz

znakomite owoce. Wysoko stały szkoły pruskie: gdańska, toruńska, elbląska, grudziądzka; liczyły śród nauczycieli uczonych, jak np. Hartknoch w Toruniu (autor *Preussische Kirchenhistorie* r. 1686, albo łacińskiej historji Polski i opisu jej rządu, zacięty luter); uczyły języka polskiego (Toruń od początków; Gdańsk od r. 1589), do profesorów polszczyzny należał niezgorszy poeta, Jan Rybiński, z rodziny czeskiej; przyciągały szlachtę różnowierczą. Dalej dwie litewskie, kalwińskie (co przetrwały do r. 1824 i 1914), radziwiłłowskie, w Kiejdanach i Słucku; dla gimnazjum słuckiego zakupił Bogusław Radziwiłł bibljotekę jego rektora, Dobrzańskiego, za 4.000 zł.; dziś ona w bibljotece synodalnej wileńskiej. Małopolskie ginęły już w XVII wieku, utrzymały się nieco dłużej w Bełżycach i w Chmielniku (zniesione dekretem trybunalskim r. 1691; bełżyckiemu zapisała Anna Słupecka, zob. wyżej, wszystkie swoje kosztowności; dotrwało do r. 1663).

Najwyżej wzniosła się, europejskiej, ba, światowej sławy doszła dzięki Komeńskiemu szkoła leszczyńska w Lesznie. Założona r. 1555 przez Rafała Leszczyńskiego, a podniesiona do stopnia gimnazjum przez młodszego Rafała r. 1624, miała za rektora historyka kościelnego Andrzeja Węgierskiego (zob. niż.), a od r. 1629 brata czeskiego Jana Amosa Komeńskiego, później ostatniego biskupa braci czeskich. Wywędrowali oni z Moraw przed prześladowaniem habsburskiem do Leszna, gdzie im Rafał Leszczyński zapewnił przyjęcie; wywdzięczył mu się za gościnność Komeński dziełem, powstałem w Lesznie r. 1631, tłumaczonem na wszystkie języki europejskie i kilka azyjskich: *Janua linguarum reserata* (brama języków rozwarta), rodzaj czytanki, po której w Saros Pataku na Węgrzech nastąpił jeszcze popularniejszy *Orbis pictus* (świat w obrazkach), pierwsza poglądowa czytanka (ze 150 obrazkami do tekstu); od tych dwu książeczek wyroiła się cała światowa literatura elementarna. Szkoła w Lesznie liczyła dziesięciu nauczycieli, uwzględniała język ojczysty, uprawiała realja, ułatwiała znakomicie naukę łaciny, uwzględniała rozwój umysłowy dziecka, układała stopnie nauczania, ale zaważyła narazie więcej zagranicą niż na rodzinie, chociaż przekłady polskie zjawiały się rychło po łacińskich oryginałach («Komenjusze» przedrukowywali pijarzy w XVIII wieku nieraz). W ocenę dydaktycznych wartości tych i innych dzieł Komeńskiego, w pytania o ich oryginalności (Komeński był uczniem uniwersytetów niemieckich, Herborna i Heidelberga, i znał dobrze całą spółczesną literaturę, Bakona i in.) i ich jednostronności tu nie wchodzić. Po ojcu Rafale syn Bogusław, acz konwertyta, nie przestał się opiekować szkołą i Komeńskim; z nim układał Krzysztof Opaleński plan swojej szkoły sierakowskiej i wprowadzał go w życie, ale szkoła ze śmiercią rychłą fundatora upadła. Sam Amos witał najeźdźcę szwedzkiego entuzjastycznym panegirykiem, a miasto nakłonił do podobnego przyjęcia, więc gdy wojska polskie zwycięskie r. 1656 do Leszna docierały, musiał z jednomyślnymi uciekać; w pożarze Leszna spłonęła jego bogata bibljoteka wraz z jego rękopisami. Pobyt leszczyński zapisał się w jego biografji przejściami z znanem medjum Poniatowską, w której wizje i objawienia święcie wierzył. Wnukiem jego był Daniel Ernest Jabłoński, rektor szkoły leszczyńskiej od r. 1686 do 1691 (zob. niżej).

Wobec zaostrzającej się z każdym dziesiątkiem lat niechęci luterskiej przeciw kalwinom i braciom czeskim, postarali się lutrzy o własny wyższy zakład naukowy w Wielkopolsce; urządzili go w Bojanowie i przetrwała ta szkoła do upadku Rzeczypospolitej. Fundusze dla niej zbierali drogą składek zagranicą; Jan Herbinius, pastor luterski w Grudziądzu (tłumacz na polskie konfesji augsburskiej, nie jedyny zresztą), wystosował w tym celu list okrężny do jednowierców zagranicznych, w którym losy i ciosy wyznania ewangelickiego w Polsce opisał. Mieli lutrzy także i gimnazjum w Wilnie: oba były jedyne polskie, bo wszelkie inne luterskie były niemieckie, jako przeznaczone dla mie-

szczan-Niemców Wschowy, Rawicza, Zdun. Różnowiercy dbali nierównie więcej niż katolicy o wychowanie młodzieży; szwankowało tylko i u nich wychowanie dziewcząt, ograniczone do *minimum*.

Wysoko stanęła szkoła arjańska rakowska, Atenami sarmackiemi górnie przezywana. Świeżo założony Raków, pierwotnie ewangelicki, został wnet po r. 1570 środowiskiem arjan, ich Rzymem, szczególniej kiedy właściciel, wojewodzic podolski Sienieński, przeszedł z kalwińśtwa na arjanizm (r. 1599). Szkoła powstała po r. 1602, pięcioklasowa, z bardzo obszernym programem, uczęszczana nawet przez ewangelików i katolików; liczba uczniów miała i tysiąca dochodzić; arjanie nie nakłaniali (inaczej niż jezuici) obcej młodzieży do swego wyznania. Rektor jej, Joachim Stegman (wychodźca dla wiary z marchji brandenburskiej), wydając r. 1627 *Institutionum mathematicarum libri duo* (które dowodzą wysokiego poziomu naukowego), poświęcił pierwszą księgę trzem młodym Tarłom (synom wojewody lubelskiego), katolikom; w przedmowie czytamy: «wszyscy prawie, którzy się u nas uczycie, szlacheckiego jesteście pochodzenia, i wątpliwe, by ktokolwiek z was zajął kiedyś szkolną katedrę, dlatego też szkoła nasza różny od wielu innych cel sobie zadaje. Na przyszłe życie wasze i waszych towarzyszy uwagę zwracamy, dla niego was uczymy i przygotowujemy. A wiele wam w życiu potrzeba: łaciny jako języka uniwersalnego, logiki i retoryki (nie dla pustych rozpraw), etyki, ekonomiki, polityki, historji, dalej poznania rzeczy boskich i natury; do jej tajemnic was prowadzimy, w tym celu wam ten podręcznik ofiarujemy... O przedmiotach niebieskich dla naszych spółwyznawców szkoła nasza dba obficie; dla was zaś i innych, którzy różnego jesteście od nas wyznania, przeszkód żadnych nie kładziemy, byście je skądinąd zaczerpnęli». Rektorami tej szkoły były znakomitości arjańskie: Szmalc, Crell, Ruar i in.; ostatnim był Jan Statorjusz Stoiński: za jego rektorstwa zaszedł ów wypadek z krzyżem (różnie opowiadany), dla którego sejm r. 1638 zamknął na zawsze (pod karą 10.000 złotych) zbór, szkołę i drukarnię; protestacja posłów różnowierczych nie odniosła żadnego skutku.

Na Podgórzu, drugiem (obok Lubelszczyzny) ośrodku arjaństwa małopolskiego, zasłynęła szkoła w Lusławicach Taszyckich i Błońskich; tu przetrwał zbór arjański niemal cały wiek; tu ukryto drukarnię rakowską. Szkołą rządzili Wojciech Kaliszczyk 1600 roku i inni znakomitsi arjanie; była ona potrzebna, skoro sam Taszycki miał 20 synów, a przyjeżdżano tu i z Węgier i Siedmiogrodu na nauki; szkoła i zbór upadły, gdy Achacy Taszycki, jeden z owych 20, przeżywszy braci i synów, «jaskinię łotrowską i synagogę arjańską» darował OO. reformatom. Szkolnictwo arjańskie kwitło i przy innych zborach, w Robkowej na Podgórzu, i indziej.

Śród nauczycieli zborowych było wielu Niemców, gdyż po łacinie nauki dawano, np. w Lusławicach (po zburzeniu Rakowa i Kisielina) był rektorem szkoły uczony Walenty Baumgarten z Kłajpedy pruskiej; uczyli pod nim Marcin Wilhelm, Chrystjan Dirner z Magdeburga, Freder von Honstet z Brunszwigu; trzech Stegmanów uczyło w szkołach arjańskich.

NAUKA. TEOLOGJA

Pracy naukowej Potop i Ruina mało sprzyjały; co celniejsze, należało jeszcze do pierwszej połowy wieku, posługiwało się wyłącznie łaciną, a uprawiało głównie teologję. Wawrzynów nie zbierali wyłącznie jezuici; dominikanie ich nieraz ubiegli; wyróżnił się szczególniej Abraham Bzovius (zm. r. 1637 w Rzymie), co wdzięczny za objawienie mu się bł. Hiacynta (Jacka) w ciężkiej chorobie, wstąpił do jego zakonu, w którym różne urzędy i godności piastował; był i przeorem dominikanów wrocławskich, gdy motłoch napadł klasztor, co w łacińskiej *Tragedji wrocławskiej opisał*. Znakomity teolog, wsławił się licznemi dziełami

z historji zakonnej, a w świecie katolickim dalszym ciągiem roczników kościelnych *(Annales ecclesiastici)* Baronjusza; napisał tomy XIII—XIX; XX i XXI (do r. 1572) ogłoszono po jego śmierci; wydał wpierw wyciąg poprzednich tomów Baronjuszowych, poczem mu papież ciąg dalszy zlecił, z czego się świetnie wywiązał. Ale rozdrażnił Bawarczyków twierdzeniem o nieprawowitości ich Ludwika IV jako cesarza; franciszkanów, twierdzeniem o ciemności *(tenebricosus)* ich Skota (powtarzając zdanie Joviusa); jezuitów, odnosząc proroctwo św. Hildegardy o nowym zakonie do spółczesności; protestantów, wysławiając w dziele *Romanus Pontifex* (1619) cnoty i zasługi wszystkich papieży od św. Piotra do Pawła V. Drukował a jeszcze więcej pisał liczne dzieła kaznodziejskie po łacinie (polskie zaginęły); bawił wiele lat we Włoszech, nie przyjmując ani biskupstwa, ani kardynalstwa; brał wybitny udział w walce dominikanów ruskich o utworzenie osobnej dla nich prowincji, czemu się silnie sprzeciwiał; przychodziło do scen gorszących.[1] Pisarz to bardzo ruchliwy. Spółcześnie odznaczył się franciszkanin Piotr Poznańczyk obszernemi komentarzami, drukowanemi i zagranicą, do dzieł Skota.

Uczonym był także konwertyta (z żydów ruskich w Łucku, który również matkę swoją nawrócił) Seweryn z Lubomla Rusin, słynny też jako kaznodzieja; gdy mu płuca służbę wymó-

[1] Dominikan Bartłomiej z Przemyśla, znakomity kaznodzieja, każąc w katedrze krakowskiej, bił stale na nierząd polski; raz, kończąc kazanie, zamilkł i dodał po chwili: «ba nietylkoć my wołamy, ale i nasz Zygmunt brzmi: wszędy błędy, wszędy błędy (z przewłoką), a największe na Kanoniczej ulicy, ba i u nas też w klasztorze, i zszedł z kazalnicy, uchyliwszy kaptura. Ks. Falibogowski zagadnął go później: «wżdyście swoich ogrodzić mogli»; odrzekł: «taż teraz i dominikanie naprzeciw siebie działa wytaczają» (z powodu owych sporów). W pierwszej połowie wieku słynęli właśnie kaznodzieje dominikańscy; Fabian Birkowski po Skardze berło wymowy kościelnej piastował (zob. niżej). O kazaniach polskich owego Bartłomieja z Przemyśla wspomniał i Starowolski w *Hecatontas*, zob. niżej.

wiły, rozprawiał się z herezjami w olbrzymim tomie: *Monotessaron evangelicum seu catena aurea* etc. (Kraków 1607, więcej niż 1.000 stron największego formatu); dalszych tomów już nie wydał; nadzwyczajne tu jego oczytanie w pismach protestantów (Brenz, Chemnitz i in.), z obszernym wykładem właściwości hebrajszczyzny, na które przy badaniu pisma baczyć należy; tom zawierał około 4.000 «dystynkcyj» dla objaśniania Pisma św. Był przedtem w Rzymie prokuratorem przy procesie kanonicznym św. Jacka i wydał r. 1594 obszerne dzieło o świętym, tłumaczone na francuskie r. 1602 i polskie r. 1595. Pisał dla kaznodziei przeciw kacerzom *Theatrum seu officina concionatorum*, i t. d., a niejedno zostało w rękopisie, książeczka np. przeciw szyzmatykom, ziomkom jego. Nauki nabrał w hiszpańskich klasztorach dominikańskich i z wdzięcznością wspominał swych mistrzów *in studio Salmantino*.

Wielką nauką (i znawstwem greki) popisywał się inny dominikan, Biernat Kołek-Paxillus z Brzeska; wydał przeciw szyzmie i socynjanom: *Monomachia pro defensione fidei s. Trinitatis* etc., tom I, Kraków 1616, zwyż tysiąca stron, poświęcony Januszowi Ostrogskiemu (który łożył koszta na druk), jako pierwszemu z tego rodu, który odrzucił zbrodniczą szyzmę i młodszego brata, Konstantego, z licznym dworem obojga płci Kościołowi pozyskał, wyposażył klasztor franciszkanów w Międzyrzeczu, dominikanów w Konstantynowie, dziesięć kościołów i t. d. W obszernym liście do szyzmatyków opowiadał, jak na misji wołyńskiej polemizował z szyzmatykami i niejednego nawrócił; ton jego umiarkowany, zato w następnym liście do socynjanów o katechizm rakowski pofolgował namiętności i oburzeniu (niby jak i Skarga, którego «zjadła złość na arjany»). W tym pierwszym tomie zebrał i objaśnił wszelkie miejsca z dawnej patrologji, dotyczące nauki o Trójcy; w dwu następnych miał je od Anzelma do św. Tomasza, i od kardynała Bessariona do Sokołowskiego doprowadzić, ale tych już nie wydał; był zaciętym tomistą.

Nierównie obfitsza i różnorodniejsza była praca Szymona Okolskiego, przeora konstantynowskiego i prowincjała prowincji ruskiej (której był gorącym obrońcą nawet przeciw Bzowskiemu); kaznodzieja obozowy u Mik. Potockiego w wyprawach przeciw Kozakom, które we dwu diarjuszach opisał, wydanych r. 1638 i 1639. Ogłosił liczne zbiory kazań i luźne kazania pod wszelakiemi barokowemi tytułami; sławił dzieje swojej prowincji ruskiej (*Russia florida rosis et liliis* etc.), objawiał cuda Matki Boskiej Podkamieńskiej i Podhajeckiej; najbardziej zasłynął wielkiem dziełem heraldycznem, *Orbis Polonus* w trzech tomach (1641 i nast.; Wacław Potocki użył go jako podstawy dla swego *Pocztu Herbów*), chociaż nie uszedł wszelakiej krytyce, zarzucającej, że przemilczał o niejednym znaczniejszym rodzie, a drobniejsze wysuwał: «siła drew ten głupi mnich popisał» (Ł. Opaleński).

Inne zakony i duchowni świeccy wypisywali dzieje zakonne (np. Szczygielskiego *Tinecia*), albo biskupie (np. Damalewicza *Arcybiskupi gnieźnieńscy* i in.). Jezuici odznaczali się w nieskończonym szeregu zbiorów kaznodziejskich i luźnych kazań, przeważnie w narodowym języku (Młodzianowski, Lorencowicz i in.); dalej dziełami ascetycznemi łacińskiemi i polskiemi Drekseljusza (patrz wyżej), Tylkowskiego, D. Drużbickiego i in. Z ich prac historycznych wyróżniły się dzieła do historji litewskiej uczonego teologa i prokanclerza uniwersytetu wileńskiego Alb. Wijuka Kojałowicza (a było ich trzech jezuitów-literatów); jego herbarz szlachty litewskiej dopiero Piekosiński z rękopisu wydał; dziełko o sporach Chodkiewiczów i Radziwiłłów jezuici zatłoczyli; jego *Miscellanea rerum ad statum ecclesiasticum* (na Litwie) *pertinentium*, Wilno 1650, wyliczały autorów jezuitów (litewskich) i ich dzieła, nazywały jezuitę St. Grodzickiego «apostołem Litwy» (dla nawracania kacerzy), zachowały cenne nieraz wiadomości o autorach i dziełach (sławiły np. ucznia Sarbiewskiego, Mikołaja Kmicica, który najbliżej mistrza doszedł, ale przedwcześnie zmarł; uczył poetyki w Wilnie). I on poświadczał, że studenci akademji wileńskiej byli «wędzidłem na kacerzy»; anabaptyści i adamici (!) ze strachu przed nimi Wilno opuścili, albo się do luteranów i kalwinów przygarnęli. Napisał obszerną historję Litwy do r. 1578, wszystko po łacinie; wiele zaległo w rękopisach innych rzeczy. Są i kazania jego.[1]

Cześć nauki polskiej podtrzymywał najdzielniej wobec zagranicy polihistor Szymon Starowolski, laik, który dopiero na stare lata (r. 1640) duchownym został i kanonikiem krakowskim umarł. Bywalec, zwiedzał cały Zachód, szczególniej jako dyrektor młodzi wielkopańskiej, sekretarz przedtem u Chodkiewicza, później i u innych panów; autor kilkudziesięciu dzieł z najrozmaitszych dziedzin. Pierwszy to nasz historyk literatury: *Scriptorum polonicorum Hecatontas seu centum illustrium Poloniae scriptorum elogia et vitae,* pierwsze wydanie we Frankfurcie 1625 r., drugie, znacznie rozszerzone, w Wenecji 1627. Jest to biografja i bibljografja (niestety, bardzo często zbyt ogólnikowa) autorów polskich, ułożonych wedle godności, najpierw ze stanu duchownego (arcybiskupów, biskupów i t. d.), począwszy od Hozjusza, potem świeckiego (począwszy od Zamoyskiego); pro-

---

[1]) Dzieła ascetyczne, nieraz znacznych rozmiarów, w obu językach, płodzili głównie zakonnicy, ubiegając świeckich duchownych; dzieła dwu jezuitów, Drekseljusza i Drużbickiego, jeszcze w XIX wieku przedrukowywano. Drużbicki Drekseljusza przewyższał wszelakiemi rozmyślaniami i naukami (np. o życiu nowicjuszów i ich wotach), nawet wierszami na mękę Pańską i in.; wraz z innym jezuitą napisał żywot jezuity Męcińskiego, męczennika za wiarę w Japonji. Dzieła obu wydawano zagranicą, nawet w Hiszpanji; szczególnie liczne były przedruki praskie tamtejszych jezuitów. *Słonecznik* Drekseljusza (czyli zrównanie woli ludzkiej z Bożą) przetłumaczył kanclerz Radziwiłł; jezuita Chomętowski przełożył, nieco rozszerzył i do stosunków naszych przybliżył *Wieczność piekielną, Obrazu Wieczności część wtórą.* Wychodziły one i niezliczone inne w XVII wieku, ale trąciły silnie jeszcze średniowiecczyzną; służyły rozwielmożnieniu ascezy, ducha nie podnosiły, szkodziły raczej jednostronnością.

testantów opuszczał, np. Reja; o poetów mniej dbał, ale z jego zestawień widzimy jawnie, jakie straty literatura zaznaczyć może, ilu autorów, ilu dzieł nie posiadamy, które Starowolski znał; ciekawe nieraz jego dopiski krytyczne, np. że używania łaciny ubyło, «codziennie powstają nowe szkoły, codziennie mniej wykształconych»; nadmienia między innemi, że widział w Moskwie wiele ksiąg cerkiewnych, przetłumaczonych przez Jana Głogowczyka, a wydanych kosztem J. Hallera (mowa o Swejboldzie Fiolu!), a w Moskwie i na Rusi praskie księgi Dr. Skoriny; szczególniej ciekawe, co o Herburcie podał: «scripsit et satiram Rutenum aliaque carmina polonica excellentissima», śmierć przeszkodziła wydaniu, z szkodą dla literatury. Dziełko pierwszorzędnej wagi, dotąd za mało cenione. Podobnie pisał o wojownikach i o mówcach polskich, ale mniej treściwie; jego dziełko o Polsce, w pięciu wydaniach, najlepsze z takich podręczników; zdobył się także na ogólnikową pochwałę nauki historycznej dla młodzieży i jej korzyści (*Penu historicum,* Wenecja 1620); osobno zwalczał tych, co Polsce uwłaczali, a sławił uniwersytet krakowski; wydał wielki zbiór nagrobków i napisów, *Monumenta Sarmatarum* 1655 (nieraz jedyne nasze źródło); podręczniki soborów i prawa kościelnego; opisał wedle źródeł włoskich i polskich dwór cesarza tureckiego, co także na rosyjskie (cerkiewne) przetłumaczono. Oprócz tego wiele ascetyków, zbiorów kazań polskich, *Świątnica Pańska, Arka testamentu, Wieniec* i t. d., dalej rzeczy o muzyce (muzyków wyliczał i w owej *Hecatontas),* o wojskowości z licznemi przykładami ze starożytności i Polski (w Amsterdamie 1640, ośm ksiąg). A do tego wszystkiego liczne pisemka polskie wierszem i prozą, polityczne i satyryczne, oznaczane przez S. S. lub bezimienne, i obszerne traktaty moralno-satyryczne (*Poprawa obyczajów* i t. p.), ważne już dlatego, że uzupełniają i potwierdzają satyry Opaleńskiego, u nas o zbytek pesymizmu i o przesadę oskarżane. Biadał wymownie nad niedolą ojczyzny po 1648 r. Wszystko co pisał, miało na celu publiczne

dobro czy sławę polską: dla świata, po łacinie, bronił i sławił Polskę, po polsku prawił ziomkom najdotkliwszą prawdę, najgorsze zarzuty, narówni z Opaleńskim (zob. niżej).

INNE NAUKI

Największem dziełem filologicznem całego wieku był *Thesaurus polono-latino-graecus seu promptuarium linguae latinae et graecae in tres tomos divisum,* słownik polsko-łaciński-grecki, drugie, znacznie poprawione i pomnożone wydanie, Kraków 1643 (pierwsze 1621), już po śmierci autora, jezuity Grzegorza Cnapiusa; w późniejszych wydaniach opuszczali jezuici grekę, którą Cnapius uwzględniał, «skoro w naszych szkołach nie ostatnie zajmuje miejsce». Znakomite to dzieło podstawowe dla całej leksykografji polskiej; dopiero Linde zastąpił je po niemal dwustu latach. I łaciński i polski dział równie starannie opracowany, zarazem niby rodzaj encyklopedji podręcznej, z licznemi objaśnieniami, dowodzącemi krytycznych zdolności (np. to, co o mniemanym śnie zimowym jaskółek naszych prawił; co do krasnoludków, potwierdzał, co Pasek, zob. niżej, opowiada); wyborny znawca polszczyzny, jak najstaranniej, ostatni już, jej brzmienia pochylone *é, ó* oznaczał. Tom trzeci tego dzieła zawierał przysłowia polskie, nierównie obfitsze, niż u Salomona Rysińskiego (zob. niżej).

Ostatnim znacznym matematykiem krakowskim był chłopski syn Jan Brożek (1585—1652) z Kurzelowa; matematyków było na uniwersytecie sporo, ale wykładali naukę wedle losu; żaden z nich «cyferkami» wyłącznie się nie bawił. Uczeń Krakowa, dokształcił się w Padwie, gdzie uzyskał doktorat medycyny; korespondował z Galileuszem; był astrologiem uniwersyteckim, chociaż wkońcu nauce tej nieco sceptycznie się przeciwstawiał. Przeważało w nim poniekąd średniowiecze, więc zwalczał całkiem teoretycznie eksperymenty warszawskie kapucyna O. Magni

(o próżni Torricellego); przeciw Ramusowi bronił Arystotelesa, ale biadał nad zaniedbaniem ścisłych nauk; podtrzymywał ile sił studjum greki; jego książka *Arithmetica integrorum* (dalszej części, o ułamkach, już nie wydał) z r. 1620 była podręcznikiem dla młodzieży. Sam stał na poziomie nauki europejskiej, czytał co świeżo zagranicą wychodziło, starał się usilnie własnemi legatami o dobrobyt akademji i inne około niej położył zasługi. Nie doceniali go koledzy, bo ich scholastyczna filozofja jego nie nęciła: «kto się matematyki nie uczył, wielu rzeczy nie zrozumie, ale teraz polega filozofja na samej logice, fizyce, metafizyce, dalej już nic, i nie dziwno mi, który zawsze brzydziłem sobie te kursy, których *extra scholam vix aliquis usus,* gustu w nich nie mając dla niesposobnego *ingenium,* że do tamtego miejsca (tj. do uniwersytetu) szczęścia nie mam». Hołdował iatrochemji i iatromatematyce, która się związku między medycyną a matematyką, chemją a algebrą doszukiwała, wedle Theofrasta Paracelsa.

Medyków było wielu, i to znamienitych, ale cóż, o medycynie nie pisali, np. taki lekarz znakomity kardynała Maciejowskiego i Mniszków jak Petrycy, Horacego ody w więzieniu moskiewskiem wedle okoliczności przerabiał, Arystotelesa z łacińskich przekładów tłumaczył i własnemi, ciekawemi dodatkami pomnażał, ale jako lekarz zadowolił się dwoma pisemkami o morze i przymiocie; inny, Śleszkowski, antisemitica wydawał; Joannicy *Zielnik* Syreńskiego (prawda że z niezliczonemi receptami) w druku nadzorował. Nie zdobyli się nawet na dzieła, jakie Oczko po polsku w XVI wieku ogłaszał. Najobszerniejsze polskie, to Erazma Syksta *O cieplicach we Skle* (pode Lwowem) *ksiąg troje,* Zamość 1627 (między innemi i z wierszami pochwalnemi Solciusa, medyka, rektora akademji zamojskiej); dzieło przetłumaczono z jakiegoś osobliwszego nabożeństwa dla Moskwy; dwie pierwsze księgi były treści ogólnikowej (można je pominąć, kto nie chce wiele czytać, zauważył autor); trzecia uczyła używania cieplic szkielskich; sam autor zaznacza, że lekarze mało co czytają! Rozdział ostatni poświęcił Sykst gośćcowi albo kołtunowi, nowej, ciężkiej chorobie, co się najpierw na Rusi «na Pokuciu przy Bieszczadach pojawiła i codzień dalej szerzy»; wiele o niej przesądów; «rozumieją o tej chorobie jako o niejakiej bestji, której kiedy się czego zabaży (zachce), tedy jej potrzeba dodać, aby jakiej szkody nie uczyniła; (jeśli słabym wino smakuje), to polubił gościec wino i piją go nadmiar; potem już nie polubił gościec wina, i piją co innego; składają wszystko na gościec, jakby inne niemocy powymierały»; wzmianka o winie, zamożniejszych wskazuje.[1] Wody szkielskie polecał i «na owe blachy, które po ciele się pokazują, co więc ludzie prości nazywają ostudami i wiele baśni o nich plotą». Podobne, mniejsze dziełko, wydał Jan Petrycy *O wodach w Drużbaku i Łękowej* r. 1635. Przy mnóstwie medyków, mianowicie krakowskich, brak obfitszej literatury medycznej, która na jakość z szesnastowieczną nie mogła się równać; nawet nowych *Zielników* nie drukowano, a *Lekarstwa doświadczone* należały do najpierwotniejszych.

Nie upadły odrazu nauki ścisłe, i mimo ubóstwa odnośnej literatury zapisało się kilka imion niezgorzej. Najświetniejsze gdańszczanina, Jana Hewelke czy Heweljusza (zmarłego 1687 roku), znakomitego astronoma-obserwatora, który Pole (Janinę) Sobieskich jako *Scutum Sobiescianum* śród gwiazdozbiorów za-

[1] Rzecz o *kołtunie* (nazwa ruska, od kiełtania; polska *krzczyca* od karku; *gościec,* czeskie *hostec,* eufemistyczna, jak np. *ciota* dla febry lub czarownicy, mylnie i *gwozdziec* lub *goździec,* niby od bólu wiercącego) doszła sławy europejskiej, gdy rektor świeżej akademji zamojskiej, Starnigel (lwowianin), zwrócił się do akademji padewskiej r. 1599 z opisem tej choroby (o której już Oczko wspominał), i z pytaniem o sposoby leczenia; ta *plica — polonica* nazwana, bo niby najwięcej w Polsce miała grasować — wywołała olbrzymią literaturę, począwszy od odpowiedzi padewskiej doktora Saxonia z r. 1600 (było i orzeczenie medyków krakowskich, Pipana i in.), liczącą ośmsetkilkadziesiąt rozpraw. Mylnie podciągano pod kołtun różne choroby, ischias, lues, suchoty i t. d. I Beauplan o niej pisał obszerniej.

wiesił, księżycową powierzchnię badał i odrysował *(Selenografja), Kometografję* wydał, lunety budował, pomiary najrozmaitsze w astronomji praktycznej do nadzwyczajnej dokładności posuwał. Arjanin, Stanisław Lubieniecki młodszy, w Amsterdamie r. 1668 *Theatrum Cometicum* wydał, opis wszelkich kometów od starożytności po rok 1665. Godnie stanął obok nich jezuita Adam Kochański (zmarły r. 1700), profesor matematyki po zagranicznych kolegjach jezuickich, wkońcu bibljotekarz Sobieskiego, korespondent Leibnica i spółpracownik lipskich *Acta Eruditorum*, stosujący matematykę do astronomji i mechaniki, kuszący się o *perpetuum mobile* (t. j. o możliwości jego). Młodszy kolega Brożka, krakowianin Stanisław Pudłowski, uczeń Galileusza, korzystał z nowo wynalezionej lunety dla badań astronomicznych i podał myśl, dla usunięcia różnic miar, ustalenia jednej powszechnej miary (jak później metr wprowadzono), dla której proponował długość wahadła sekundowego, jakie sam dla Krakowa obliczył. Alexius Silvius z Kalisza stworzył zagranicą wspaniałe planetarium helio-centryczne i wydał w Lesznie 1651 roku traktat o wszelakich pytaniach kalendarzowych i chronologicznych. W pierwszej połowie wieku zapisało się wielu innych niezgorzej w dziejach tych nauk, np. Paweł Herka, uczeń i następca Brożka, przyznał kometom naturę kosmiczną, nie meteorową. Wawrzyniec Susliga dowiódł, że era dionizjańska rachuby chrześcijańskiej o cztery lata pomylona; Jan Smogulecki, że plamy słoneczne są wytworami masy i na powierzchni słońca, nie planetami jakiemiś, itd. Znakomite dzieło o artylerji napisał Siemionowicz: *Artis magnae artilleriae pars prima*, z obszernem opisaniem sporządzania saletry.

W drugiej połowie wieku obok wymienionych odznaczyli się dwaj jezuici: Stanisław Solski dziełami łacińskiemi treści matematycznej i mechaniki stosowanej; Wojciech Tylkowski wydawał od r. 1669—1692 po łacinie wszelkie ciekawości arytmetyki, meteorologji, fizyki i geometrji pod odpowiedniemi tytułami

(Arithmetica curiosa i t. d.), po polsku *Uczone rozmowy wszystką w sobie prawie* (całkiem) *zawierające filozofję*, 1692. Było to nowe opracowanie *Problematów Arystotelesowych*, które Glaber r. 1535 pierwszy wybrał i przetłumaczył, co trochę zmienione przedrukował jako własne Kalikst Sakowicz (znany polemista w rzeczach unji): *Problemata albo pytania o przyrodzeniu człowieczem*, 1620 r. Praca Tylkowskiego, nierównie obszerniejsza, dała niby encyklopedję całej wiedzy o przyrodzie, człowieku, metafizyce, w formie pytań i odpowiedzi: rzecz ściśle scholastyczna, średniowieczna, z teorjami dymów i wilgotności w ciele ludzkiem, i t. p. Dla ocenienia poziomu tej filozofji posłużą niektóre pytania i odpowiedzi: Czemu niektórzy, gdy czego pilnie słuchają, gębę otwierają? Czemu oczy są w głowie? Czemu psi nie jedzą leleniego (zamiast jeleniego, po wielkopolsku) ogona? — bo u lelenia żółć w ogonie. Czemu kokosz nierada pływa? Kto gwiazdy i planety obraca? — Aniołowie dobrzy, aby tak człowiekowi służyli, co i sami filozofowie pogańscy uznali; gwiazdy zaś i planety są martwe rzeczy i duszy niemające, i tak same chodzić nie mogą.[1] Czy może kto być swoim ojcem? Etyka jego zawiera pytania: Skąd się poczęło, że u panów trąbią do stołu? Bo starzy, kiedy mieli zasiadać do stołu, dawali znać ubogim, aby oni też dla siebie po jałmużnę przychodzili. Kto w karty grać może bezpiecznie? Który ma niepotrzebne pieniądze. Kto najdłużej żyje? Który ma albo wiele synów albo wiele ksiąg... Schodzimy na pochyłość «saską». Podobną średniowieczczyzną tchnęła polska przeróbka *Lucydarjusza*, którego już Maksym Grek w Moskwie około r. 1530 trafniej «Tenebrarjuszem» przezywał, w pytaniach między mistrzem a uczniem o świecie, Bogu

[1] Taką samą odpowiedź dali djacy moskiewscy «Litwinowi» Zizaniemu r. 1626, gdy go strofowali o umiejętny wykład astronomji w jego katechizmie; on ich zapytał, a jakżeż to po waszemu? oni odpowiedzieli słowami Tylkowskiego, tylko opuścili wzmiankę o filozofach, bo właśnie przeciw tym «Jellinom» się zwracali.

i t. d. pod tytułem *Objaśnienia trudności theologicznych* i t. d., Kraków 1651, za staraniem ks. W. Waśniowskiego.

Śród podobnych popularyzatorów nauki wyróżniał się medyk Sebastjan Petrycy z Pilzna (1554—1626), który spolszczył *Ekonomikę, Politykę* i *Etykę* Arystotelesa i Pseudoarystotelesa w latach 1601—1618, z obszernym komentarzem. Tłumaczył z przekładów łacińskich, a dodawał «przestrogi» i «przydatki», gdzie w duchu i metodzie średniowiecznej dyskutował za i przeciw twierdzeniom filozofa; i w tych dodatkach czerpał z obcych źródeł, ale uzupełniał je, mianowicie w *Polityce,* t. j. rządzie Rzeczypospolitej, stałem uwzględnianiem stosunków polskich, ze stanowiska mieszczanina, prawnie upośledzonego. Uwagi te, rozrzucone po księgach *Polityki,* rzucają ogółem niezgorsze światło na ówczesne stosunki, co wołały o naprawę. Przekupstwo przedarło się już do trybunału, który niejeden deputat «złotem żniwem» dla siebie nazywał; złe obyczaje i herezje wnieśli albo cudzoziemcy (na których, zwłaszcza Niemców, autor bardzo podejrzliwie patrzył), albo my sami z podróży do cudzych krajów i z nauki cudzych języków; silna nietolerancja wyznaniowa odznaczała mieszczanina; Żydów nienawidził. Argumentacja była całkiem scholastyczna, np. co o muzyce mówił, odsądzając ją od nauki godnej poważnego męża, bo poeci przy bogach i bohaterach o muzyce nie wspominają, chyba u opiłych; muzyka rozumu nie ostrzy, «bo ledakto na dudziech może bąkać, na rożku za bydłem pastuszy terlikają». Przesądy takież: doświadczona rzecz jest, że krzywoprzysiężca nad rok dłużej żyć nie może; że djabłów wyganiają (wyzdrowiał przez to B. Maciejowski w Nancy); że napisać na serze *prax max emax,* to sera tego złodziej nie przełknie; na ból zębów nowy nóż w ścianę wbić i t. p. Ale astrologji mało dowierzał.

Ujmował się za pospólstwem, któremu źle w dobrach pańskich, bo tam zdane na samowolę pańską, lepiej w królewskich, bo może pana w sądzie oskarżyć, aby się nigdy prawa nie doczekać; zato pańscy wolni od stacyj, ceł, myt, podwodów; «owa wszędzie biada, wszędzie niewola, wszędzie ucisk i udręczenie serca na pospólstwo nędzne!» Panowie częstują drobną szlachtę dla pozyskania jej głosów, bo «dobrobierca» stosuje się całkiem wedle dobrodzieja; w Polsce niema wolności, jest samowola z powodu późnej sprawiedliwości i braku egzekutywy; proces w trybunale wlecze się lat sześć; w sądach sejmowych będzie zawsze kryminałów na kilka tysięcy, ale dawnych, odbieżałych albo zaniedbanych, kilkadziesiąt tysięcy. Już tu skargi na starostów, że «zamki gnoją»; wyjątek stanowił taki Mikołaj Wolski, marszałek nadworny, który zamki w Rabsztynie i Krzepicach wznosił, chociaż to nie jego dziedzictwo, poprawiał mury, ozdabiał obrazami, słupami, ciosami; on wprowadził do Polski wyrób szklenic weneckich z kryształu i czynienie mosiądzu z miedzi.

Ciekawe uwagi o nauce i wychowaniu: nauki u nas w pogardzie; we Francji doktor zostaje szlachcicem, u nas «taż baba na tychże kolech»; naszych uczonych i zagranica ceniła, w Padwie zajmowali katedry Strus z Poznania, doktor medyk, i Krokier, profesor krakowski jurysta, a był Mikołajewski medyk Polak u króla hiszpańskiego. Nie widziałem, żeby w Padwie szlachcic, a było ich wielu, filozofji się uczył, a gdy Włoch któregoś zapytał, czy się będzie doktoryzował, odrzekł: «u nas szlachta doktorami nie bywa». Dawniej było inaczej, szczycili się Ocieski,[1] Dębiński, Tęczyński, tytułami akademickiemi, a biskupi krakowscy aż do Tomickiego byli wszyscy doktorami. Młodzież kra-

---

[1] Istotnie opowiadają o kanclerzu Janie Ocieskim, że wymagał, aby sapient (bedel) uniwersytecki, gdy na Nowy Rok z berłami srebrnemi, darem królewskim, gratulować do niego przychodził, tytuł bakałarza obok innych wymienił; jeśli sapient zapomniał o tem, kanclerz wołał: «znowu *by ty zabit* (jego zwrot zwykły) zmyliłeś», poczem przepijał na cześć akademji i rektora i sapientowi 10 talarów wypłacać kazał — tu w Krakowie we własnym domu na Grodzkiej ulicy, dziś jezuickim przy bursie jurystów (Falibogowski r. 1626).

kowska akademicka swawolna, bo jej już doma wszystkiego dozwalają; jezuicka skromniejsza dla podłej obawy przed karą, gdy nasza *virtutis amore* się rządzi. Ale ojciec wszystkiego synkowi dopuszcza, szablę mu przypasze, chwali mu, jeśli słudze da pogębek, choć gęby nie dosięgnie, «będzie czysty chłop». Opowiada, że starzy Polacy swe wojny Niemcami wiedli i ich potem szczególniej na Podgórzu osiedlali, gdzie przedtem tylko po niemiecku mówiono i ślady tego jeszcze zostały; przeciwnik twierdzi, że to byli chyba Czesi, którzy wiele po niemiecku mówią, siedząc między Niemcami; nazwy *Pilzno, Krosno, Jasło, Biecz, Łańcut,* powtarzają się niemal tak samo w Czechach; dalej Ślązacy, co również po niemiecku mówią, śląskie nazwy miejskie wskazują na *Sławków, Chrzanów, Bioron* itd.; — przykład tego, jak on *pro et contra* rzecz traktuje. Do obyczajowości polskiej sporo tu uwag, zgodnych z innemi; nastaje na zbytek niewieści, osobny urząd winien nad tem czuwać (mianowicie zabraniał mieszczkom szat szlacheckich); we Włoszech niema kupców polskich, ale włoscy kupcy polskich w Krakowie zatłoczyli; narzekał na Ormjan, których do Lwowa przyjęto jako «łazęków i przekupniów drobnych», teraz Polaków z miasta wyganiają, żenią się między sobą, mają pokryjomu własne państwo, i t. d. Boli go pycha szlachty, co na mieszczan podejrzliwie patrzą, ich za psów mają — dawniej było inaczej; nadmierna gościnność gospodarza, gdy rad chce trzeźwym być, gwałtem opaja, albo gość końmi i służbą ubogiego szlachcica wyniszcza: «coś poszło na samojedź». O uniwersytecie wiele wzmianek, o bursach, aby i ubodzy studjować mogli; jak dziś z szkoły tej dobrzy mężowie umykają się, gdzie indziej lepiej rozumieją, dla nędznej płacy, o którą jeszcze i ubiegać się należy.

W uwagach o wychowaniu powtarzał Arystotelesowe; jako lekarz zawodowy polecał sport umiarkowany; zauważył, że dzieci pańskie, chowane na papinkach, słabsze są od innych; rozróżniał ściśle naukę szlachecką od plebejuszowskiej; szlachtę należy wprawiać w naukę, rycerstwo i gospodarstwo, plebejusza w rzemiosło albo kupiectwo; z nauk przysługuje szlachcie wymowa, poezja, historja, filozofja, prawo; mieszczaninowi nauki fachowe (medycyna i in.); razi go, że do syna lub córki mówią: panie synu, panno córko, zróbcie to, zamiast prostego rozkazu: synu zrób! Wychowanie kobiet ma być niewolnicze (szyć, prząść i t. p.) i najmoralniejsze (wstydliwość, małomówność, opieka starszej i t. p.), ale dziewczęta mają być miłe i wesołe. Jeszcze dalej zabrnął A. A. Olizarowski, krótkotrwały profesor prawa w akademji wileńskiej (gdy podkanclerzy litewski, Kaz. Lew Sapieha, ufundował na czterech profesorów fakultet prawniczy, który niedługo istniał), w dziele *De politica hominum societate* (3 księgi, 1651 r.), głównie kompilacyjnem, gdzie się i za chłopami w ich strasznym ucisku ujął, i mieszczan, zwłaszcza wileńskich, o niesłychany zbytek (równanie się z panami) ostro strofował. Narzuciłby kobietom strój zaniedbany, robotę domową, żeby im ręce stwardniały i myśl płocha nie postała, pokarm najprostszy; nie przyznawał im nauki (oprócz elementarnej), aby mężów nie oszukiwały; odmawiał im, co chłopcom przyznawał, np. gimnastykę.

Gdańszczanin B. Keckerman, profesor filozofji w gimnazjum gdańskiem, słynął jako autor licznych podręczników logiki, poetyki, polityki i in., a jego *Systema* i t. d. wychodziły po łacinie w Niemczech, w Londynie, i doczekały się licznych wydań. Wyłącznie zagranicą drukował przez cały wiek Jon Jonston, z szkockiej familji urodzony w Szamotułach, który po podróżach zagranicznych (i do Szkocji) jako mentor a później lekarz Bogusława Leszczyńskiego, na stałe w Lesznie osiadł, a w Niemczech swoje podręczniki dla przyrodoznawstwa, a więc podręczniki dendrografji, nauki o rybach, ptactwie i t. d., podobne i dla historji powszechnej drukował: poligraf to, liczbą wydanych dzieł imponujący. Z gdańskiego i toruńskiego środowiska możnaby więcej wymienić nazwisk, szczególnie między historykami,

np. konwertytę Pastoriusa, cenionego też jako poeta łaciński; panegirysta to zawołany, autor dzieła o wojnie kozackiej; Wassenberga, historyka Władysława IV, Hartknocha (zob. niżej) i in.; czem niżej opadał poziom nauki w Koronie, tem wyżej wznosił się w Prusiech, gdzie dobrej dawnej tradycji nie zrywano.

Nienajgorzej wiodło się botanice opisowej. Już wiek XVI położył był podstawy wszelakiemi *Zielnikami* i *Ogrodami zdrowia,* gdzie botanikę wciągnięto do lekarskiej nauki. Jan Zamelius, wychowanek szkoły krakowskiej, r. 1602 ufundował katedrę botaniki opisowej na wydziale lekarskim, a jej piastun, Szymon Syreński, zestawił *Zielnik,* obszerną kompilację, opis roślin (bo dalej nie doszedł wskutek wczesnego zgonu; nawet roślin nie wyczerpał) z mnóstwem recept; dzieło wydał po jego śmierci następca jego, Gabrjel Joannicy (autor flory krakowskiej 1610 r.), za zapomogą królewny Anny (siostry Zygmunta III), wielkiej miłośniczki roślin. Władysław IV i Jan Kazimierz tak dalece dbali o ogrody i rośliny wszelakie, że M. Bernhard, chirurg królewski, mógł r. 1652 ogłosić spis hodowanych roślin w tych ogrodach «botanicznych», wcześniejszych niż np. ogród botaniczny berliński kurfirsta wielkiego; dodał do spisu rzecz o florze warszawskiej. I Gdańszczanie nie pozostawali wtyle. Dla wszelkich spisów obowiązywał język łaciński, tylko zielniki posługiwały się polskim.

Nieobfity był dział nauk politycznych, z którego język narodowy był zgóry niemal wykluczony; całkiem wyjątkowo ukazywało się jakieś pisemko polskie, np. Łukasza Opaleńskiego o sejmowaniu (ob. wyżej), albo anonima *Recepta na to, abyśmy się długo w ojczystej ziemi osiedzieli* (1682, jest i tłumaczenie niemieckie);[1] tłumaczono na polskie obcą łacinę, np. Lipsiusza

[1] Jest to broszura antyturecka, dzwoni na gwałt przeciw temu niebezpieczeństwu, wprowadza Ojczyznę, strofującą ostro wyrodków-synów za brak patrjotyzmu, nieznoszenie prawdy, zbytki, ucisk chłopów.

Polityka pańskie, t. j. nauka, jako pan i każdy przełożony rządnie żyć i sprawować się ma. Zresztą wszystko po łacinie; były to rzeczy szkolarskie, dysputacje z obcych uniwersytetów, np. A. Dunina Karwickiego *Oratio de eversione rerum publicarum,* Strasburg 1664, gdzie był z bratem i z dyrektorem ich obu Micińskim; albo Andrzeja Reja *Discursus politici* etc., Hanau 1612, z nauki Keckermana gdańskiej: Rej, uczeń akademji lejdejskiej, imponował znajomością języków i oczytaniem, przytaczał i zbijał zdanie Włocha, że gdy wszelkie państwa *stant ordine,* jedyna Polska *stat confusione.* Obok rozpraw-deklamacyj humanistycznych dzieła domorosłych polityków, np. starego Andrz. Korycińskiego, kasztelana wiślickiego, *Perspectiva politica regno Poloniae elaborata* etc., 1652, uwagi wuja dla siostrzeńca, po śmierci wydane, obszerna alegorja od zegara. Inteligencji politycznej w tej chryi brak zupełny. Ciekawsze nierównie dla mnóstwa nieznanych skądinąd szczegółów i dzieł *Palatium reginae Libertatis,* dzieło jezuity Pęskiego (z kolegjum jarosławskiego), napisane r. 1671, drukowane w znacznem skróceniu w XVIII w. jako *Domina Palatii* i przypisywane rozmaitym autorom. Są to dyskursy przyjacielskie o wszelakich materjach politycznych, czerpane także i z dzieł obu Opaleńskich; autor zaznaczał wyraźnie, że wolimy wolność choćby w błocie, niż niewolę w złocie; upatrywał z Fredrą i innymi statystami w *liberum veto* i w ziemiaństwie poręczenie najpewniejsze tej wolności. Kończy ten szereg Kaz. Zawadzkiego łacińskie *Zwierciadło anomalji państwa polskiego,* 1693 (przedrukowane w wieku XVIII przez jezuitów dla nietolerancji autorskiej), walczy przeciw magnatom, miastom pruskim, dysydentom, gani wszechwładzę hetmanów, zrywanie sejmów, ale drży o złotą wolność.

Nakoniec pisali inni, przeważnie mieszczanie, rzeczy zupełnie abstrakcyjne, nie ważąc się tykać wprost rzeczy domowych. Np. taki Kasper Siemek pisał dialog *Lacon seu de reipublicae recte instituendae arcanis* r. 1635, 9 dialogów między

Augustem a Lakonem, każdy dialog innej materji politycznej przydzielony, o senacie, fakcjach, równości i nierówności, i t. d. [1] Podobne są prace Lemki i in. o wychowaniu synów książęcych, o powinnościach dobrego obywatela i t. p.

W Elzewirach (słynnych drukach lejdejskich) opis Polski rozmaitych autorów (z r. 1627) zaczyna *Polonia seu brevis descriptio statuum regni Poloniae* St. Krzystanowica z r. 1607, lwiowianina, jurysty, bawiącego całemi latami na uniwersytetach zagranicznych jako preceptor paniczów polskich (między innymi Adama Żółkiewskiego, obranego rektorem uniwersytetu w Fryburgu badeńskim r. 1603); autor kilku rozpraw prawniczych, potępił ustawy angielskie przeciw katolikom (z powodu spisku prochowego) w dziełku wydanem w Paryżu r. 1607 *Examen catholicum edicti anglicani* etc., gdzie z najżywszem oburzeniem potępiał protestantów angielskich, a najbardziej Elżbietę, spotwarzając kobietę i królową na podstawie słuchów, jakie go w Anglji doszły; przeciw temu paszkwilowi bronił Fr. Bacon (późniejszy lord-kanclerz) jej pamięci *In felicem memoriam* itd. Cały dział naukowej literatury politycznej (o aktualnej nie mówimy) pozostał daleko wtyle za wiekiem poprzednim, nie wydał sam nic wielkiego, nawet Orzechowskiemu nie zrównał.

PODRĘCZNIKI

Podręczników wiek szesnasty, z wyjątkiem katechizmów i gramatyk, nie opracowywał; zastępowała je tradycja bezpośrednia, nikt np. nie myślał o gospodarowaniu wedle książek, o jakiejś agronomicznej literaturze. Było kilka świetnych wyjątków, np. *Nauka stawowa* Strumieńskiego, lub *Myślistwo ptasze*

[1] Dziesiąty dialog miał rozprawiać, «ne se religiosi publico regimini immisceant, sed is tamen dialogus ab ipso autore suppressus est, ne esset scandali aut alicuius offensionis occasio», dopisał ktoś na ostatniej karcie berlińskiego egzemplarza.

Cygańskiego, którym żadne późniejsze dzieło nie dorównało. Teraz zapełniano ten brak; gospodarstwo tradycyjne, chów bydła, koni i pszczół, wyzyskiwanie siły roboczej chłopa, budowla dworów i dworków, miernictwo i t. d., dopraszały się niemal ujęcia jakiegoś książkowego. O umiejętnem traktowaniu, o polepszeniach i postępach, jakie się zagranicą już zaznaczały, [1] nie było jeszcze mowy. Pierwszą encyklopedję gospodarczą, obejmującą wszelkie działy, nawet osobliwsze słownictwo flisowskie, opracował J. K. Haur, *Ekonomika ziemiańska generalna* r. 1675, co w późniejszych wydaniach (1679, 1689) kilkakrotnie rozszerzał *(Skład albo skarbiec znakomitych sekretów oekonomji ziemiańskiej);* zyskało ono nadzwyczajną popularność. Obejmowało całość gospodarstwa rolnego i domowego (rzeczy doświadczone i bajki i przesądy wszelakie), całą dawniejszą literaturę, domową i obcą, moc szczegółów najrozmaitszych, wiele uwag trafnych (np. jakie rośliny wyczerpują silniej rolę i t. p.), ale brak jakiegoś wyższego poglądu. W XVIII wieku wydawali jezuici nieraz wybór czy skrócenie «Haura».

Wyprzedziły Haura nie tak *Księgi o gospodarstwie* Piotra Krescentyna, średniowieczna kompilacja włoska, przetłumaczona r. 1549, ponownie wydana r. 1577, jak raczej dzieła Gostomskiego i Ostroroga. Anzelm Gostomski, wojewoda rawski, protestant, opisał w szesnastu listach *Ekonomję albo gospodarstwo ziemiańskie,* wydaną r. 1588, przedrukowaną bez imienia autorskiego jeszcze r. 1644. Jest to właściwie książka o nadzorze i rozkładzie robót w celu powiększenia majątku, co się wojewodzie znakomicie udało; jest dla niego chłop tylko siłą roboczą, wymagającą pilnego nadzoru, bo to natura złodziejska, nie mówiąc

[1] Tak wyróżnił się w Anglji dziełami wydanemi w latach 1650—1655 Samuel Hartlib z Prus Królewskich, z Elbląga, kalwin, który Prusy porzucił i około podniesienia rolnictwa angielskiego sam lub z innymi razem usilnie pracował, wprowadzając nowe rośliny, ulepszając posiewy, proponując założenie akademji rolniczej i t. p.; pisał po angielsku.

o młynarzu i kowalu, przysłowiowych mistrzach tej sztuki; wszelkie wywody oparte widocznie na licznych próbach i doświadczeniach. Ostatni list, to niby wyciąg wszystkich poprzednich; pisane to na obce nalegania, nie z myślą o druku, więc brak wykończenia. Również nie myślał o druku Jan Ostroróg, luter, co wrócił do katolicyzmu, uczeń Sturma strasburski, wojewoda poznański, Zamoyszczyk (syna do Zamościa, nie do jezuitów oddał, chociaż był ich obrońcą, bo obawiał się ich długiej nauki, zbyt zakonnej, o zbyt wysokim poziomie). Przesiadywał w Komarnie na Rusi i «na horyzont komarzeński» spisywał swe uwagi; ponieważ go stale o odpisy upraszano, wydał drukiem *Myślistwo z ogary* r. 1618 (kilka przedruków): o ogarach, o psiech, o myślistwie; inne, *Kalendarz gospodarski, Chowanie źrebców, Zwierzyniec,* pozostały w rękopisie (tam i rzecz o szachach, ze wzmianką, że w Polszcze spisał szachowe książki Jakób Stety?); wydrukował 1614 r. w Zamościu *Naukę koło pasiek z informacji p. Wal. Kąckiego a 1612 w Komarnie u mnie spisaną,* bardzo rzeczową.[1]

Bogatszą była literatura o koniach. Mamy łacińską: Jan Bauman-Budownicki, *Equestria* i t. d., w Krakowie 1640 r., dla młodzieży krakowskiej, w pytaniach i odpowiedziach, rzecz całkiem krótka. Nierównie ważniejsze polskie. Celowali w sztuce jezdeckiej na całą Europę Włosi, i wedle dzieł włoskich obu Ferrara (ojca i syna) oraz wedle własnych doświadczeń spisał Krzysztof Dorohostajski, protestant, uczeń Sturma, wielki marszałek litewski, i wydał r. 1603 w Krakowie swoje *Hippika albo o koniach,*

[1] Obok ruskich pasiek wyróżniało się bartnictwo mazowieckie, kurpiowskie, z własnemi porządkami i ustawami, które dla starostwa przasnyskiego zebrał r. 1559 Krzysztof Niszczycki, a dla łomżyńskiego St. Skrodzki z Kolna, korzystając walnie z artykułów poprzednika, r. 1616. Oburzał się niesłychanie Olizarowski (zob. wyżej) na niesumienność pańską, odbierającą wilczem prawem, a tytułem jakiejś urojonej spółki, połowę zebranego miodu od chłopów.

we czterech księgach;[1] pierwsza, o maści i t. p.; druga, o chowie; trzecia, o munsztukach; czwarta, o chorobach — nie wszystkich, by nie rozszerzać zbytnio książki (*Lekarstwa końskie* spisał już Biernat Lubelczyk, wydane r. 1532). Niebawem wydał i Krzysztof Pieniążek podobną rzecz, 1607 r., a 1613 wyszło bezimiennie *Gospodarstwo jezdeckie i myśliwskie,* korzystające bez ceremonji z Pieniążka.

Teodora Rogali Zawadzkiego *Pamięć robót gospodarskich i dozoru gospodarskiego* z r. 1637 jest tylko streszczeniem obszernego dzieła ziemiańskiego, na piętnaście ksiąg rozłożonego, które obejmowało nawet «aptekę domową», nie mówiąc o stadzie, bydle i ptactwie domowem; o winnicy, ogrodzie i sadzie i t. d. Zawadzki (bardzo zasłużony jako prawnik wszelakiemi podręcznikami prawniczemi i in.) i Gostomski nie opierali się o źródła obce, czerpali wyłącznie z praktyki, nie pytali o to, jak z roli największą korzyść wydobywać, lecz jak ją przed wszelką szkodą zachowywać, jak ją ogradzać, jak rozkładać robotę i t. d., o oszczędzaniu rąk i pracy nigdy nie pomyśleli, rozporządzając pańszczyzną, t. j. darmochami. Haur nierównie od nich uczeńszy, ale nierównie mniej doświadczony; zresztą i w nim barok się odezwał.

Niezaprzeczoną zasługą wieku było, że na najrozmaitszych polach pierwsze stawiał kroki, że zapełniał luki, pozostałe po wieku XVI. Przykłady *Hippik*, nauki pszczelnictwa, ekonomji gospodarskiej coraz się powtarzały, np. *Krótka nauka budownicza* z r. 1659 była również pierwszą (potem jezuita Solski *Architekta polskiego* wydał obszerniej r. 1690); autor pisał dla

[1] Autor wyraźnie zaznacza, że jego książka pierwsza tego rodzaju w Polsce; przytaczają jednak jakiegoś A. Micińskiego, koniuszego Zygmunta Augusta, książkę *O ograch i świerzopach* z r. 1570, gdzie opisane i stadniny wielkoksiążęce, i nieudale próby oswajania dzikich koni na Litwie. Żaden bibljograf nie widział podobnego druku, więc wolno zapytać wobec świadectwa Dorohostajskiego, czy to nie raczej jakiś rękopis?

polskiego nieba, odradzał stawiania zamków, t. j. budynków z dziedzińcem ze czterech stron zawartym, bo jeśli dziedziniec mały, słońce nie dochodzi, jeśli wielki, to koszt zbytni, więc raczej stawiać pałace (z podwórzem przed niemi, na budynki wszelakie, stajnie, gumna i t. p.), podłużne, o dwóch piętrach, murowane, albo dwory o jednem piętrze z drzewa albo muru; częste wzmianki o fetorach (w inwentarzach rażą nieustanne pozycje o «komórkach potrzebnych») wskazują niedomagania pod tym względem.

Ten wiek dał też pierwszego Baedekera polskiego. Byłoż opisanie *O Rzymie pogańskim i chrześcijańskim ksiąg dwoje* (r. 1648) ks. Wargockiego, ale z nowego Rzymu otrzymało się właściwie tylko spis kościołów i ich relikwij, niby jak w owej niezdarnej *Peregrynacji* mazurskiej z XVI wieku; opisy Krakowa (Pruszcza) wyliczały również tylko świątynie. Dopiero nową stolicę, Warszawę, godnie światu polskiemu wystawiał (szkoda tylko, że w bardzo kulawych wierszach) muzyk i budowniczy Władysława IV, Adam Jarzębski, r. 1643 w *Gościńcu;* zaczął od Pragi, przejechał do Starego Miasta, a po niem Nowe opisał, wyliczał nietylko kościoły, ale opisał zamek królewski, pałace i dwory, oprowadzał po salach i sklepach u Kazanowskiego i Ossolińskiego, pokazywał zastawę stołową, obrazy, posągi, ogrody, obszerniej i ratuszem się zajął.

Wydał nakoniec ten wiek i pierwsze gazety. Dotąd tylko ciekawe jakieś zdarzenie, klęska miasta (ogień lub powódź), śmierć wojownika (np. Chmieleckiego, pogromcy Tatarów), bitwa znaczna, egzekucja, trzęsienie ziemi włoskiej, zjawienie komety i t. p. wywoływały pieśń o tem lub relację prozą; teraz zaczął Gorczyn (wierszokleta zresztą) wydawać w Krakowie 1661 roku *Merkurjusz Polski, dzieje wszystkiego świata w sobie zamykający dla informacji powszechnej* (dodawano i numery «ekstraordynaryjne»); wychodził co tydzień, po koniec 1661 r.; zamieszczał manifesty, odezwy, relacje krajowe i zagraniczne — tych nieraz brakowało, bo zawiodła poczta gdańska. Przedsiębiorstwo upadło chyba dla braku odbierających te awizy: za mało widocznie nęciły; krąg czytelnictwa stale się ścieśniał, zamiast się rozszerzać.

NAUKA ARJAŃSKA

Najciekawszą stronicę w dziejach umysłowych zajęła kapliczka arjańska, szczelnie odosobniona od społeczeństwa, wyklinana i potwarzana, ale gdy kultura całej Polski promieniowała niepowstrzymanie tylko na Wschód, na dzicz moskiewską i wołoską, arjanie jako «bracia polscy» na Zachodzie, we Francji, mniej w Anglji, najwięcej w Holandji (w Lejdzie, Roterdamie, Amsterdamie) znakomicie się zapisali, na myśl zachodnią religijną silnie wpłynęli. Gdy luterstwo i kalwiństwo zupełnie kostniały, odznaczało się arjaństwo niezwykłą ruchliwością, lata 1600—1650 były szczytem jego wpływów i znaczenia. Arjanie wysyłali całą swą młodzież zagranicę, docierając, gdy ich z Altdorfu dla wiary wyświecono, do Lejdy i Franekeru, wszędzie wyznanie propagując; ich katechizm rakowski z r. 1606, przetłumaczony na kilka języków, był jednem z najgłośniejszych pism religijnych wieku w Europie, zwalczany gorąco (i przez Komeńskiego) i broniony nie mniej żarliwie. Do Rakowa, Lusławic, Robkowej zdążali Siedmiogrodzianie i Węgrzy, stąd sprowadzali kaznodziei i nauczycieli do Koloszwaru; arjanie korespondowali z znakomitościami europejskiemi, z Hugonem Grotiusem, z Mersennem w Paryżu. Ich dzieła wydawano w Holandji; olbrzymia *Bibliotheca Fratrum Polonorum,* zbiór pism Socyna i in., w 10 tomach, pojawiła się w Amsterdamie-Eleutheropoli; z nimi polemizowali naukowo kalwini, jak nasi ziomkowie Jan Makowski i Mikołaj Arnold z Leszna, profesorowie franekerscy; r. 1654 wydał Arnold dzieło zbiorowe *Religio So-*

ciniana refutata, gdzie włączył przyczynki pięciu studentów polskich.

Było śród znakomitości arjańskich wielu Niemców, którzy dla wiary z ojczyzny do nas uchodzili i nieraz zupełnie się polszczyli, przynajmniej w drugiem pokoleniu (np. córka holsztyńczyka Marcina Ruara, głównego kierownika propagandy arjańskiej zagranicznej, modliła się z polskich Jana Stoińskiego *Modlitw Nabożnych* 1633 r.), jeśli nie natychmiast, jak słynny uczony i kaznodzieja Walenty Smalcius z Gotha, niestrudzony szermierz przeciw Śmigleckiemu i innym jezuitom. Obok Smalca i Ruara zapisali się świetnie w literaturze arjańskiej Volkelius, Crellius, baron austrjacki Wolzogen; dzieła ich czytano i komentowano w Paryżu i Lejdzie, obok nich stawali godnie Samuel Przypkowski, Adam Gosławski, Morzkowski, Andrzej Wiszowaty, Lubienieccy.

Młodzież arjańska, szlachta jak Sienieńscy, Taszyccy, Morsztynowie, Łyczkowie, Niemirycze, Suchodolscy i in. wraz z swoimi preceptorami, przewozili do Lejdy i in. całe kufry druków rakowskich i rozwijali silną propagandę, nawracali r. 1597 w Lejdzie Sonera, pioniera socynjanizmu w Altdorfie; w Heidelbergu Vorstiusa, którego zamierzano sprowadzić na rektora do Lusławic. Za propagandy Ruara i Wiszowatego, który korespondował z kalwinem paryskim Sorbière, nawet katolicy francuscy, Mersenne i in., nawiązywali stosunki z Rakowianami, czerpiąc od nich argumentów przeciw coraz liczniejszym libertynom i ateuszom, bo mimo całego swego racjonalizmu stali Rakowianie niewzruszenie przy wierze w osobowego Boga. Byli nawet niekonsekwentni; w imię logiki, którą cenili jako dar boski, odrzucali wszystko alogiczne, nie zgadzali się na żaden dogmat, któregoby logicznie nie dało się uzasadnić, omijali więc dogmaty o Trójcy i o uczłowieczeniu Słowa, nie uznawali sakramentów, ale oddzielali wiarę samą jako rozumem niedościgniona i zwalczali ateizm; w biblji uznawali niejedno nadrozumowe, lecz nic

przeciwnego rozumowi; i dla nich było Pismo św. zasadą, i ich usprawiedliwiała wiara a spływały się im religja i obyczajność. Drugie, co zyskiwało im uznanie u wszystkich, którzy, jak Grotius czy Francuzi umiarkowani, znużeni walkami i nienawiścią wyznaniowemi, pragnęli pokoju, możliwego tylko przy wolności sumienia, była gorączkowa niemal walka wszystkich arjan o tę wolność, bez której ich własny byt wisiał na włosku: główną część pracy literackiej Samuel Przypkowski obronie wolności sumienia poświęcił i znachodził ogólny poklask; tu zeszli się holandzcy remonstranci (arminjanie), którzy opuścili urzędowy kalwinizm z powodu jego nieustępliwego dogmatyzmu, z socynjanami, i pomagali im rzetelnie, szczególniej laicy śród nich, chociaż nie zgadzali się z ich chrystologją, której socynjanie zażarcie bronili (człowiek Jezus, po śmierci Chrystus-Bóg).

Ale socynjanie nie opowiadali się bynajmniej wyłącznie przy dogmatyce, kładli główny nacisk na życie wedle ewangelji. Socyn wprawdzie odwiódł ich ostatecznie od anarchji i komunizmu, co groziły zupełnem rozbiciem zborku rakowskiego, poddał ich rządowi zborowemu — już nie wymagano od byle kogo tylko «natchnienia», aby z katedry prorokował, lecz żądano najgruntowniejszej nauki i w tym celu rozsyłano młodzież po świecie. Usunął Socyn wszelkie skrajności, ale żądał życia ewangelicznego, cichego, szarego, skromnego. Świat bróździł po swojemu i śród nich; na synodach występowano gorliwie przeciw zbytkowi, co było nieraz daremnem wołaniem.

Arjanie wydaleni z Polski wzmocnili unitaryzm siedmiogrodzki, w którym się wkońcu rozpłynęli; w Holandji ulegli poniekąd wpływom remonstrantów i późniejsze wydania katechizmu rakowskiego nosiły tego wyraźne ślady; w Anglji palił kat kilkakrotnie katechizm rakowski, ofiarowany w przekładzie łacińskim nawet królowi Jakóbowi I; mimo to można i tu odszukać wpływy rakowskie. One utorowały drogę unitaryzmowi, do dziś w Anglji, a szczególniej w Ameryce (dokąd dostali się dwaj

Crellowie) rozszerzonemu, a z ich pism czerpali argumenty wszelcy wolnomyśliciele, od Bayle'a począwszy.

Duch kosmopolityczny wiał z tej kapliczki, stojącej otworem dla wszystkich prześladowanych o wiarę; z zagranicą najżywsze utrzymywała stosunki, gdzie obcy, najpierw Włosi, potem Niemcy, nadawali kierunek myślom, gdzie wymagano od każdego nietylko silnej wiary, ale i wiedzy. Żadne inne wyznanie nie mogło się w tym wieku szczycić podobną nauką swych członków; arjanin musiał znać Pismo św., by każdej chwili mógł swej wiary bronić; Wacław Potocki znał je nawylot i mógł każdego duchownego skonfundować; gdy córeczkę Jana Stoińskiego pastor kalwiński zagadnął, w jakiego Chrystusa wierzy, stworzyciela czy stworzonego, odparła zwycięsko: w Chrystusa Odkupiciela.

BIBLJOGRAFJA

Całą polemikę Akademji z jezuitami zebrał Radzimiński w rękopisie Bibljoteki Jagiellońskiej. Dzieje Akademji zamojskiej skreślili ks. Wadowski i Jan Kochanowski. *Dzieje gimnazjum toruńskiego 1568—1772*, tom pierwszy, wiek XVI, napisał St. Tync (Toruń 1928). Monografję o Starowolskim przygotowywał Teodor Wierzbowski, autor monografij o K. Warszewickim i Uchańskim; o Brożku napisał prof. J. Franke, Kraków 1883. Wiktor Wąsik wydał: *Sebastjan Petrycy z Pilzna i epoka (Ze studjów nad dziejami filozofji w Polsce i recepcją Arystotelesa)*, Warszawa 1923 i 1929, dotąd niedokończone, gdzie wykazał sposób pracy i źródła tego moralizatora i popularyzatora. Nauce i działalności arjan w XVII wieku poświęcił kilka prac Ludwik Chmaj.

ROZDZIAŁ PIĄTY

LITERATURA

Literatura łacińska. — Literatura polska. — Kaznodziejstwo. — Literatura piękna. — Przekłady. — Literatura sowizdrzalska. — Bajki. Zagadki. Przysłowia. — Literatura anegdotyczna. — Wierszomanja. — Literatura niedrukowana. — Literatura podróżnicza. — Makaron. — Bibljografja.

LITERATURA ŁACIŃSKA

Średniowieczny monopol łaciny nadwątlił wiek XVI; XVII-ty był mu podobny. Łacina pozostała jednak i nadal językiem sądowym; aktowym, chociaż coraz więcej pism polskich wychodziło z kancelarji królewskiej i z sądów; kościelnym; szkolnym. Znajomość jej była niezbędna szlachcicowi, który i majątek i imię swoje łaciną wywodził. Jedynym też celem wychowania szkolnego było zdobycie tej łaciny, skoro w życiu prywatnem i publicznem, w mowie i piśmie, przeplatano polszczyznę gotowemi frazesami łacińskiemi. Tą przywarą nasiąknął już wiek poprzedni; ubożyła ona nietylko język, lecz i myśl samą, która zadowalała się przeżuwaniem gotowych obcych zwrotów, nie wysilała się na własne, i gnuśniała. Zło narastało powoli; gdy w XVI wieku w mowę poselską czy trybunalską wciskały się raczej luźne łacińskie słówka, w XVII zaczęła łacina przygniatać polszczyznę, która czasem niby ramkami dla niej służyła.[1] Wystrzegali się inni tej pstrocizny i dowodzili żywym przykładem,

---

[1] Np. prymas Radziejowski pisał w uniwersale do szlachty z powodu związku Baranowskiego r. 1696: «*apprehendować* przyszło, że ta *konfederacja* bardziej w sobie ma *colorem et praetextum,* niżeli *realitatem* odzyskania zasłużonych przez wojsko *stipendiorum,* ponieważ nie czekano *ewentum konwokacji,* która *satisfactię* wojsku obmyślić miała, a stąd *non vanus metus* szkodliwych *in publicum konsekwencyj*». Albo w liście województw wielkopolskich: «Ale z drugiej strony *integritatem* prawa i *fortun* naszych *circa defensionem naturalem substancjami* i zdrowiem naszem zaszczycać *deklarujemy* się, wszelką *in vim* tego namówiwszy gotowość». Wystarczy przypomnieć, jak brzmi «Pasek» w oryginale, nie w popularnych wydawnictwach.

że przy dobrej woli można wszystko wyrazić i po polsku, ale naśladowców nie znachodzili; inni, Petrycy, Opaleński, Fredro, ganili tę zgubną przywyczkę, chociaż sami nieraz tak grzeszyli. To przejmowanie się łaciną nie ograniczało się do wyrazów: szlachta wmawiała w siebie spadek antyku; anarchiczna i sobkowska w istocie, zdobiła się cnotami starorzymskiemi.

Mieszanina pojęć fałszowała także rzecz samą, szczególnie w obszernych dziełach historycznych, posługujących się wyłącznie łaciną. Kto myślał o zagranicy, wybierał język uniwersalny, więc wszyscy, od Piaseckiego i Łubieńskiego aż do historjografa Sobieskiego, Kochowskiego, pisali wyłącznie po łacinie; o tłumaczeniu nikt nie myślał, chociaż na początku wieku Kromera i Gwagnina przekładami uprzystępniono ogółowi. Rozumiemy, że Starowolski lub Łukasz Opaleński stając w obronie Polski przeciw obcym, albo Olszewski w cenzurze kandydatów obcych do korony, łaciną szermowali, ale pocóż było każde pisemko w materji politycznej w łacinę ubierać? Kółko czytelników zgóry się zwężało mimo powszechnej znajomości łaciny; sam wybór języka uczonego zwalniał innych od czytania.

Szkoła produkowała mnóstwo łaciny wierszem i prozą, szczególniej dla panegiryków, jakiemi ogół z byle przyczyny raczono: nie obchodziły się pogrzeb czy wesele, wjazd dostojnika duchownego czy świeckiego, imieniny czy urodziny «mecenasa», tytuły bakałarza czy magistra, bez panegiryków łacińskich, nierównie rzadziej polskich. Obok cnót i zasług, istniejących w wyobraźni pochlebcy, kadzono dumie rodowej wyliczaniem «koligacyj», splendorów domowych i rodowych, szczytnością herbuklejnotu, a liczba tych podrzutków szkolarskich rosła z każdym lat dziesiątkiem i zachwaszczała niwę literacką, a ogłupiała ludzi; kłamliwość ich była przysłowiową.

Oprócz panegiryków, ksiąg dziejowych (nawet herbarze szlacheckie były teraz tylko łacińskie, chociaż «Paprocki» w XVI wieku był polski), teologja łaciny używała z konieczności, gdy

obcy, Socyn, Volkelius, Crellius, Wolzogen i inni głos zabierali i ku całemu światu chrześcijańskiemu się zwracali, gdy im Śmiglecki i inni jezuici odpowiadali. W ascetyce (modlitwach, rozmyślaniach) przeważał język narodowy, gdy się do ogółu zwracano, ale traktaty moralizujące, etyczne, pisali po łacinie i wawrzyny zagranicą zbierali Ł. Opaleński, Fredro, Lubomirski.

Poezja łacińska święciła tryumfy w pierwszej połowie wieku; obok Szymonowica-filologa, pisującego coraz mniej i niepokaźniej, wybił się na czoło Mazur Sarbiewski; lirykami ascetycznemi przeważnie i gnomicznemi na sławę Horacego chrześcijańskiego zarobił; otaczał go jego zakon (jezuicki) całą ławą rymopisów, Inez (Hiszpan), Karwat i in., ale żaden mu nie dorównał. O wielkie rzeczy, epopeje, tragedje (oprócz obowiązkowych szkolnych), nie kuszono się wiele (*Lechias* i t. p.).

LITERATURA POLSKA. KAZNODZIEJSTWO

Ascetyczna literatura zatłoczyła wszelką inną; śród niej wyróżniała się homiletyka; nawet protestancka mogła w pierwszej połowie wieku zapisać kilka większych pozycyj; katolicką ledwie obejrzeć; oprócz licznych zbiorów kazań całorocznych byle zgon jakiegoś osobnika wywoływał kazanie pogrzebowe, częste i po drukach, gdy protestanckie rzadsze.

Postyle różnowiercze były ciągiem dalszym postyl Rejowej i Żarnowczyka; inaczej u katolików, którzy w ciągu wieku z dawnemi tradycjami i wzorami zerwali. Po Skardze zasłynął ten, co nad jego grobem przemawiał, dominikan Fabian Birkowski, najznakomitszy mówca kościelny w pierwszej fazie baroku. Nierównie większej nauki niż Skarga (był pierwotnie mistrzem krakowskim, zanim do zakonu wstąpił), nierównie silniejszego temperamentu i ognia (obozem i prochem tchnęły jego kazania), równie świątobliwy w myśli i czynie, równie skromny i poświęcony swemu powołaniu, tęskniący do celi zakonnej, nie do dworu

i obozu, dokąd go urząd wołał, nie osiągnął wyżyn wymowy Skargi, chociaż się na nim wzorował. Brakło mu umiaru, bo już wstępował barok w swoje prawa. A więc wyliczania bez końca i miary; subtelne, naciągane porównania; lubowanie się w alegorjach; gonienie za efektem; gwałtowność języka, wycieczki i napastowania różnowierców, szczególnie Gustawa Adolfa. Siła słowa była porywająca, głębokie milczenie panowało, gdy zaczynał prawić, a wzruszał do łez. Osobliwość jego kaznodziejcza występowała mniej w wielkim zbiorze *Kazań na niedziele i święta doroczne* (od r. 1620 nieraz wydawane i pomnażane), więcej w luźnych, poświęcanych wypadkom, w których i sam brał udział jako kaznodzieja obozowy (towarzyszył Władysławowi IV jako nadworny), albo dobry znajomy tego, czyj zgon opłakiwał. Zaczął od kazania na zgon Zamoyskiego, a skończył kazaniami na zgon Zygmunta III i królowej Konstancji 1632 r. (1636 umarł niemal 70-letni). «Słupem ognistym» nazwał go jezuita Makowski w kazaniu pogrzebowem i zaznaczył wyraźnie, że «dla polszczyzny radzi go czytali», sadził się bowiem na słowa wytworne, a mimo to jasne i piękne. Błędy gromił ostro, był nadzwyczaj prawdomówny i nie szczędził nikogo, więc groził i straszył nie mniej niż Skarga. Już on ofiarowywał na kolędę wszelakim stanom wszelkie rozmaitości (co później do uprzykrzenia naśladowano; najsłynniejsze, to *Kokosz* ks. Mijakowskiego), więc biorąc asumpt z księgi Jozuego, anioła królowi, Jerycho królewiczowi, wodę Jordanu senatorom, króli żołnierzom, ziemię obiecaną szlachcie, arkę przymierza biskupowi krakowskiemu, słońce wstrzymane prałatom, trąby kaznodziejom, klątwę Jozuego prokuratorom. On wstąpił na tę pochyłość, po której kaznodziejstwo katolickie zupełnie się zsunąć miało.

Byłyż najrozmaitsze typy śród kaznodziei; taki ks. Piekarski jezuita np., krewny Paska i kapelan Czarnieczczyków, kaznodzieja nadworny Jana Kazimierza, Michała i Sobieskiego, zacięty regalista i chwalca Marji Ludwiki, wszedł w konflikt z Lubomirskim, który do siebie odniósł słowa kaznodziei i kijem mu pogroził, na co jezuita swoje szlachectwo wysunął («jestem nie Baranowicz ani Półbaranowicz, ale Półkozic»); nadzwyczaj był poważany jako mówca. Lorencowicz, jezuita z zamożnych mieszczan lwowskich, był spokojny, zrównoważony, nieco oschły, szczególniej w porównaniu z jezuitą Młodzianowskim, najświetniejszym kaznodzieją drugiej połowy wieku. Młodzianowski widział wiele świata, był w Persji i Małej Azji, zwiedzał Grób Pański i w kazaniu pasyjnem opisywał jak najdokładniej miejsca święte, ich wygląd dzisiejszy; nie należy go też opuszczać w rzędzie naszych pielgrzymów do Ziemi św., więcej o niej mówi, niż wszyscy inni razem. Rysów obyczajowych u niego pełno; nie podobało mu się, że rodzice dzieciom zbytnio «jasiali i pasiali» (o pieszczotach w nazwie), że je zawcześnie, już w trzynaście lat, ze szkół odbierali; zapewniał, że studenci dopiero od wojny szwedzkiej poczęli się golić, przedtem była to rzecz niesłychana (II, 384). Opowiadał, że wedle uwagi posła moskiewskiego nabożeństwo polskie zasadzało się na tem: czupryną trząsnąć, wąsy pogładzić, usiąść. Z kacerstwem już się nie liczył: wedle niego zastał Zygmunt III tylko siedmiu katolickich senatorów, teraz już tylko jeden protestant; w radzie miejskiej poznańskiej była większość różnowierców, dziś niema tam żadnego; powoli staje się u nas ta wiara wyłącznie wiarą kupiecką; nigdy nie było kacerstwa w rodach Opaleńskich, Czarnkowskich, Kostków.

Postyle protestanckie były nierównie skromniejsze, nie obfitowały w historje, alegorje, anegdoty, rubaszne poufałości, przemawiały prościej i szczerzej do sumień i serc, z niewielu wyjątkami. Takim była postyla Krzysztofa Kraińskiego z r. 1611, olbrzym o niemal półtoratysiąca stron *folio*, poświęcony zajadłej polemice z Rzymem, ciekawy dla szczegółów tej polemiki, sięgającej do źródeł średniowiecznych i do stosunków (obchodów, wierzeń) spółczesnych, dzieło nie tak kaznodziejcze, jak dogmatyczne, kalwińskie. Drugi wyjątek, to kazania i postyla ks. Ada-

ma Gdacjusza, luteranina, byłego konrektora szkoły saskiej wileńskiej, potem fararza kluczborskiego na Śląsku, który z popularnością, prostotą, szczerością do prostaczków się zwracał. Kreślił liczne obrazki z życia, np. o strojach pań i mężczyzn (panie to rozpuszczają włosy jak chłopi, noszą peruki, czepce cienkie i kapice, i trudno mężatki od panien odróżnić; panowie golą brody nawet w podeszłych leciech); albo o skąpstwie: w niedzielę do mieszka i skrzynki kościelnej nic nie kładą, udając jakoby kłaść mieli, albo kładą pieniądze złe, haftki, igiełki, kąsek wosku; albo o wierze w gusła i czary i t. d.; popularność nabywał też mnóstwem opowiadań i anegdot budujących. Silny u niego wpływ niemieckiego kaznodziejstwa i literatury, natomiast język bardzo oryginalny, śląski.

Między temi dwoma przeciwnemi okazami poruszały się inne postyle; najlepsza między niemi Samuela Dambrowskiego, luterska znowu, z r. 1620, nieraz przedrukowana (pięciokrotnie w XIX wieku); i ona czerpała z źródeł niemieckich, głównie z postyl kaznodziei wschowskiego, Herbergera, o równie wybitnym tonie serdecznym; polecała się ludzkością, łagodnością, skromnością słowa; żadna inna dawna postyla nie zrównała pod tym względem z Dambrowskim, którego polemika katolicka nielitościwie żarła. Inne postyle, oryginalne czy tłumaczone (a było ich sporo i obszernych), pomijamy. Jedno im wszystkim spólne, biadanie nad niestatkami, t. j. nad apostatami; zbory tracą grunt pod nogami; ani myślą o przeprowadzeniu zasady: *cuius regio eius et religio* (na którejby sami pod katolickim królem jak najgorzej wyszli). Postylografja, przeznaczona i dla użytku domowego, ginie z wiekiem XVII; wywołała ją reformacja, a z jej upadkiem zamilkła i ona; nie ubiegała się nigdy o oryginalność, powtarzała poprzedników, nie gardząc i średniowiecznymi; walczyła ze wzrastającą obojętnością wiernych, ale utrzymała język czysty, nie makaronizowała nigdy i starała się o jasność myśli i wykładu, co w mętniejszej coraz aurze też było zasługą.

LITERATURA PIĘKNA

Pisemnictwo w języku narodowym przybrało olbrzymie rozmiary; żyło wprawdzie poczęści z zasobów XVI-go wieku, np. cała beletrystyka ludowa; powieści o Meluzynie, Magiellonie, cesarzu Ottonie, Siedmiu Mędrcach i t. d., nie pomnożyły się o nowe; przedrukowywano stare teksty z nowemi błędami. Zawsze jeszcze, szczególnie w pierwszej połowie wieku, górował Kochanowski, którego naśladowano albo okradano, ale poza tem szło ono i własnemi torami. Odrzuciło najpierw różnowierczą spuściznę; zapomniało o Reju (czy poecie, czy kaznodzieju), nie wznowiło żadnego pisma «kacerskiego». Pogłębiło zato cechę katolicką i ascetyczną, a stworzyło liczne nowe kierunki; odmieniło treść i formę pisemnictwa. I tak stworzył Szymonowic sielankę, a Piotr Kochanowski epopeję romansową; Twardowski historyczną; tłumaczenia zbogacały systematycznie literaturę, już nietylko z klasycznej, ale i z włoskiej i francuskiej czerpiąc. Nawet mieszczaństwo przyszło, jako stan, po raz pierwszy i ostatni do głosu i uzupełniło literaturę szlachecką pieśnią o własnej doli-niedoli, gdy zresztą mieszczanie tylko szlachcie wtórowali.

Humanista Szymonowic sprzeniewierzył się muzom klasycznym raczej przelotnie, ale właśnie tem wyjściem poza obowiązujący dla niego program estetyczny zyskał niezwiędłą sławę i naśladowców śród szlachty i mieszczan (ziomek jego Zimorowic np.). Nie zerwał wprawdzie pęt klasycyzmu i mitologji, ani wytrącił bukolik Wergilowych z rąk polskich, ale śród naśladowanych stworzył i oryginalne «sielanki» (on ten wyraz zadomowił), a ośmielił i innych do podobnych, chociaż szlachta, Chełchowski, Wieszczycki (obaj w jednym roku, 1639), później Gawiński i inni tematów ludowych mało dotykali, aluzyj spółczesnych i osobistych, nierzadkich u Szymonowica i Zimorowica, raczej unikali. W parę lat później wprowadził Piotr Kochanowski, spolszczeniem nietylko co do słowa ale i co do ducha *Jerozolimy Wyzwolonej*, literaturę narodową na nowe tory, heroiczno-

romansowe; naśladował go ściśle epik «Częstochowy», a całe zeń oktawy przywłaszczał sobie jeszcze w czasach saskich autor *Pirama i Tizby*. I rozwinął się dział epiczny, nieistniejący w literaturze szesnastowiecznej, jak najpotężniej, — nie było gałęzi jego, którejby nie uprawiano: romansowa, historyczna, opisowa, religijna, gnomiczna epika znalazły godnych przedstawicieli. W religijnej po Rożniatowskim (1618) następowały obszerne Mesjady Odymalskiego i Gawłowickiego, a i legend świętych przybywało niemało i tłumaczeń nie brakło, od Sannazara i Mariniego począwszy. W romansowej wierszowano i nowele Bokacjusza; Twardowskiego *Paskwalina* wdziękiem wysłowienia i oryginalnością fabuły niepoślednie zajęła miejsce; zarywała ona i o alegorję, która w *Argenidzie* Barklajowej a przeróbce Potockiego jeszcze wyraźniejsza; tam moralna, tu polityczna.

Najszerzej wezbrała epika historyczna, oddająca dokładnie bieg wypadków; co na kompozycji artystycznej traciła, zyskiwała na wierności niemal dokumentalnej. Twardowski nie był pierwszy, ale najsłynniejszy, bo ogłoszeniem *Legacji* carogrodzkiej (1634), *Władysława IV* i *Wojny Domowej* wywołał cały rój podobnych historyj o Kamieńcu, Chocimie, Wiedniu; niejeden, np. Borzymowski, rzeczywistość dziejową z prywatną przygodą i fantazją mieszał, podczas gdy Kochowski czy rokosz Lubomirskiego czy Wiedeńską z zaświatem łączył.

Lirykę erotyczną i religijną piastowali powołani i niepowołani. Erotyczną szerzyły po całej Polsce coraz nowe zbiorki wszelkich *Tańców, Padwanów, Baletów, Kurantów*, pozaczytywane w strzępy; dalej *Roksolanki* młodszego Zimorowica, nadobne, łagodne. Nierównie więcej drukowano religijnych, które poczęści o Mesjady, poczęści o gnomiczną poezję zaczepiały, wiersze Kochowskiego, Potockiego *Nowy Zaciąg*, jeżeli nie alegorją zaprawiane, jak u Kacpra Twardowskiego. Nie było niemal autora, coby podobnych pieśni nie tworzył. Lirykę historyczną na lata 1648—1672 Kochowski wyśpiewał.

PRZEKŁADY

Wiek XVI nie znał tłumaczeń, prócz z łaciny, a i tych niewiele (o prozie nie mówimy): *Eneida, Georgica* (niewydrukowane); parę tragedyj, Seneki i Buchanana; komedje Plauta, komedje szkolne różnych Niemców; dalej ustępy z Owidjusza, między niemi i *Ars amandi;* wyjątkowo zawieruszyła się tu i jakaś włoszczyzna. Wiek XVII dopiero uzupełnił te braki, nawet kilku tłumaczeniami jednego i tego samego utworu, np. *Przemian* Owidjuszowych, Horacego, *Pharsalji* Lukanowej i in.; tylko z greki już nie tłumaczono. Włoska i francuska literatura nie pozostały wtyle: przekłady z Petrarki, z tekstów operowych włoskich (Jagodyńskiego i Twardowskiego), z epopei Tassa i Mariniego, z dramatów pasterskich Guariniego i Tassa, z bajek Verdizottiego, z komicznej i ascetycznej prozy (starego Piekarskiego); z Francuzów zjawili się Du Moulins, Bartas, Corneille, Racine, Lafontaine.

Przekładano głównie z łaciny; nawet teksty hiszpańskie i włoskie (Ribadenejry, Machiawela i in.) wyszły z łacińskich tłumaczeń, nie z oryginałów; zresztą włoszczyzna zawsze jeszcze górowała; przekłady z francuskiego ginęły obok niej zupełnie, a z niemieckiego czy czeskiego nie było co przekładać; za wzór właściwy uchodziły dalej utwory klasyczne, i to rzymskie, bo o greckich mowy już nie było. Co i jak tłumaczono z łaciny? Nie prozę (nieco Cycerona wyjąwszy), lecz wiersze, Wergilego, Owidjusza, Horacego, Lukana i in., ale drogi tłumaczeń rozchodziły się stale; jedni puszczali wodze rozwlekłości (Chróściński oddawał nieraz jeden heksametr całą oktawą), drudzy narabiali ścisłością, trzynastozgłoskowcem polskim za heksametr łaciński; Otwinowski *Przemiany* Owidjuszowe tłumaczył (1638) jak najrozwleklej, Żebrowski jak najściślej (niemal równocześnie, 1636), a tak samo Lukana *Pharsalję* Chróściński: 10.800 wierszów za 8.000 oryginału, gdy Bardzińskiego przekład

spółczesny liczbę wierszów oryginału zachował, ale Żebrowski wywiązał się nierównie lepiej z zadania ścisłości i zwięzłości, korzystając z bogactw narzeczowych, czego Bardziński ani próbował. Nie brakło i nowszych latynistów, Pontana, Wernulea (belgijskiego), nawet średniowiecznych ascetów. Dalsza różnica polegała na sile spolszczania: Petrycy ody Horacego nie tłumaczył, lecz omawiał, przenosząc w nie dzieje Samozwańca, Maryny i własne; W. Potocki w *Argenidzie* Barklajowej polskie uwzględniał rządy. Niezrównana ciętość czy lakoniczność wiersza łacińskiego ginęła w rozwlekłej, bladej polszczyźnie, i nie bez przyczyny oświadczał się Potocki przeciw przekładom, które sile czy jasności oryginałów nie dorównują; onby raczej prozę łacińską wierszem polskim «przysmaczał».

Uderza nierówność języka literackiego; poezja a proza kroczyły odmiennemi torami. Proza «makaronizowała», wyjątkowo pisali bez domieszki łaciny Fredro czy Lubomirski; poezja nie makaronizowała, chociaż ją przetykały wyrazy obce, włoskie, łacińskie, wschodnie; Żebrowski wplatał najrzadsze okazy; Zimorowic ruskim sielankom nadał rusyzmami kolorytu miejscowego; Kochowski i Potocki nie żachali się nigdy wyrazów narzeczowych albo przestarzałych. Obaj podziwiali szczerze Kochanowskiego, ale ich język raczej Rejowy; Lubomirskiego, A. Morsztyna, nierównie gładszy, bez prowincjalizmów i archaizmów. Poprawności dawnej (np. Grochowskiego) niema śladu, chyba u pisarzy bez temperamentu, z wyrazem wodnistym, ubogim słownikiem, którzy na liczbę przeważali, ale Twardowski, Potocki, Kochowski jędrnością i barwnością właściwe piętno językowi poetyckiemu nadali. Nie było w tem nic wyszukanego, sztucznego, i dlatego tak pociąga dziś ten język, nierównie soczystszy i barwniejszy, niż szesnastowieczny, który za regułą łacińską od «solecyzmów» stronił. W poezji nie ubożał więc język, co mu w prozie już widocznie groziło.

Nierównie ważniejsza inna cecha tej poezji: nosiła ona tak

samo odcień tragiczności, jak od pogodnej swobody złotego wieku odbijały ponure katastrofy i świetne tryumfy. Satyra np. u Kochanowskiego mimo cierpkich przymówek wcale nie zgryźliwa, Horacego przypominała; u Juwenalów XVII w. pieniła się od gniewu i wstydu. Co najdziwniejsze, ustała w drugiej, o wiele gorszej połowie wieku, która znała tylko przedruki dawniejszej, na nową się nie zdobywała, jakby katastrofy po r. 1648 zwichnęły lot ducha polskiego; miejsce satyry zajęły paszkwile i pamflety, wtórujące w jednym ciągu machjawelizmowi dworu, niedołęstwu Michała, zamieszaniu po zgonie Sobieskiego.

Wyróżnił się mieszczanin-bakałarz Jurkowski na początku wieku (1604—1607), gdy namiętnie napadał na swawolę i łotrostwo, w pomysłach groteskowych niemal (szczególnie w *Poselstwie z Dzikich Pól);* żądał tępienia występków, wysyłał w Dzikie Pola Połoków (t. j. pijaków, tak trawestował Polaków, jaratyków, żydów (oboje charakterystyczne dla mieszczanina), judaszów wszelkich, aby się «zła ojczyzna z dobrą rozstrzygnęła», bo

> Już mówią sami, że nas wywiesić z połowę
> Trzeba, chceli mieć Polska całą zewsząd głowę;

a w innem dziełku biadał, gdy «korekta praw», ciągle podejmowana, do skutku nie dochodziła:

> Tak swawola, gdy z burdą [1] korektę praw zwłóczy,
> Już ojczyznę w śmiertelną koszulę obłóczy...
> Karność, siostrę wolności, z Polski wyrzuconą
> Kto przywróci?

Nie widział mężów, bo jak dzieci «Wiatr sieją, dym kupują, mak drobią, świat wiją, Sitem wodę czerpają, w murze cegły myją». Ale mieszczanina bolała tylko bezkarność, panoszenie się zbrodni, walka bratobójcza («gdy Moskwę bić, toście w się sami udezyli»); w wadliwość samego ustroju, w wybryki Jaśnie Wiel-

[1] hałaśliwie.

możnych nie wchodził. Dopełniali jego wywody szlachcice: Twardowski w *Satyrze,* naśladując fikcję Kochanowskiego, schodząc również z pola polityki na moralizacje; bezwzględniej zaś magnat, któremu wszystko uchodziło, więc i potępienie w czambuł całego pokolenia. Czoło satyry polskiej zajęły obszernością planu i bezwzględnością tonu *Satyry albo przestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polszcze należące* r. 1650 (liczne później wydania, pod innemi tytułami, i skracane), Krzysztofa Opaleńskiego, wojewody poznańskiego, który po Marję Ludwikę dla Władysława IV jeździł, a pod Uściem Karolowi Gustawowi pospolitaków wydał. Najniesłuszniej potępiano te satyry, jako grubo przesadzone, jako oczernienie społeczeństwa, gdy im co najwyżej zarzucić można, że luźne spostrzeżenia zbyt uogólniały; wszystko w nich prawda, ależ to nie wszystka prawda; Starowolski i inni mówili to samo albo i jeszcze gorsze; nikt ze spółczesnych nie zarzucił Opaleńskiemu przesady, tylko o zdradę własną go karał. Gorzej, że autor niedowcipny; Łukasz Opaleński stał o wiele wyżej. Kreślił, co na poetę, którym nie był «statysta», wystarcza, zewnętrzne okazy, nie wchodził w związki, przyczyny; nie badał, tylko opisywał. A zamiast złemu zaradzać, pocieszał się stale najbanalniejszą, najtańszą myślą, że Bóg złościom nie folguje; że dom na nieprawdzie zbudowany runie, potomków liczyć nie będzie — największe rodowitej szlachty utrapienie; ciągle się też zastrzegał, że dobrych nie tyka; pobożniś, obmowy nie znosił, więc i osób nie wymieniał nigdy, chyba chwaląc Chmieleckiego albo Koniecpolskiego. Nie przepuścił zato nikomu i niczemu: od pierwszej satyry pierwszej księgi *Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzi,* aż do dziesiątej satyry księgi piątej *Diogenes z laterną ludzi szukający,* przechodził szczegółowo objawy zepsucia w prywacie i publice, przeplatając je moralizacjami ogólnikowemi, szczególniej w księdze czwartej. Nierówne małżeństwa; gonienie za posagiem; zbytki w bankietach, strojach, pogrzebach; nabożnisie i oziębli; wyjadacze; sługi

nie do usługi; zły przykład ojcowski; leniwcy; fałszywe przyjaźni; pijaństwo; brak szpitali; obyczaje duchownych, zakonników, białogłów; daremne testamenty; posyłanie synów do obcych krajów — oto tematy dyskursów «prywatnych»; na «publikę» złożyły się skargi na nierząd w obozie, sądzie i skarbie; podczas *interregnum;* w egzekucji praw i wyroków; na niezdarność hetmanów; ogołocenie granic. Najszczegółowiej wyłożył projekty o urządzeniu miast, o hybernie, o słobodach ukrainnych; są to całe traktaty, szydzące z «poetyckiej» formy. Najogólniejsze były dwie: że wszystko (mianowicie posłowie i sędziowie) kupne; że daremnie szukał człowieka śród szlachty, posłów, senatu, dworu.

Wykład jednostajny, mdły, przetykany bajkami, anegdotami historycznemi (z Kromera), wspomnieniami osobistemi, zdobywał się tylko miejscami na silniejszy, Juwenalowy ton, zresztą zupełnie prozaiczny, co brak rymu podkreśla; ale dla obyczajowości skarbnica to niewyczerpana. Niejedna uwaga bardzo trafna, np. co do religji w osadach ukrainnych, trzeba,

Aby ta jedna w wszystkiej Rusi tylko była,
A *exosum* unitów, nieunitów *nomen*
Cale wykorzenione, a jedyna grecka
Wiara oswobodzona od błędów wszelakich... (??)
Więc też i katolicką tamże *promowować,*
Ale bez *kontencyi* i swarów, przestrzegam...
Dla czego plebanije, kościoły, klasztory
Fundować, zakonników tu z pośród nas przenieść.

Inne cenne uwagi o podniesieniu miast:

Szlachta powszechnie u nas na to się zawzięła,
Oprymować wolności miejskie, i kijem zbić
Mieszczanka nie nowina, bo to chłop, nie szlachcic.
Gdyby od *opresyi* wolny był stan miejski
I od wzgardy, upewniam, nie cisnąłby się tak
Do tej *preeminencji* szlacheckiej, jak teraz
Rad nierad musi. Czemu? Uchodząc *kontemptów*
Stanu swego miejskiego...

Albo jak starostowie o zamki dbają:

Woli i wał rozrzucić, jeżeli przeszkadza
Ogrodowi, gdzieby się kapusta rodziła;
W sklepach [1] prochów nie znajdziesz, chyba sól gdzie z żupy,
Którą arendarz w nichże na wyższy grosz chowa.
W cekauzie [2] połcie wiszą, a miasto dział w bramach
Znajdziesz wozy, któremi drzewo z boru wozi.
Straż na blankach: kilkoro świni, co wał ryją.
Uchowaj Boże łożyć na naprawę zgniłych
Dachów i inszych w zamku budynków. Co po tem?
Nie dlategom starosta, abym zamku bronił,
Ale abym *intratę* brał za me zasługi.

Żołnierz ukrainny nie jest na strzeżenie granic, ale jest na:

Opresyę wolności i głosu wolnego,
Na ten czas *interregni* umyślnie chowany;
Sprowadzi go albowiem hetman pod Warszawę
A to, aby dowodził swego i tem dopiął
Wakancyi u króla, które już ułapił
Obietnicą, a nasze głosy pójdą w kawy. [3]
Ten będzie królem obran, kogo wojsko zechce
I z inszymi możnymi. Wy, panowie szlachta
Drobna! przyjechaliście nie króla obierać,
Ale groch...

Dowcipów słownych nie brak; więc szydzi z nauki chłopców:

Rośnie Jaś jak cielątko, będzie wołek z niego.
Piszą wszyscy, że się Jaś uczy arcy dobrze,
Bo umie *in Barbara* coś argumentować,
Nie w szkole, ale w mieście kędy, w cudzych domach.
Gdy nie będzie *celarent,* albo też *da raptim,* [4]
To nastąpi *ferio,* argument u męża
Potężny, który jego wszytkie insze zbije.

---

[1] piwnicach. [2] arsenale. [3] rozlecą się.
[4] *Barbara, celarent* (niby «ukryliby»), *da raptim* («daj nagle»), *ferio* («biję»), nazwy argumentów średniowieczne, tu przedrzeźnione na ucieczkę pagacha-Jasia od Barbary.

LITERATURA SOWIZDRZALSKA

Czem *Ogród Fraszek* W. Potockiego (zob. niżej) był dla życia obywatelskiego, tem było dla życia warstw najniższych «Sowizdrzalstwo», skarb dla historyka zdeklasowanej kultury polskiej. To nie «literatura mieszczańska», skoro autor-mieszczanin starał się naśladować autora-szlachcica; skoro Petrycy, Siemek, Temberski, Zimorowic (łacinnik), Boczyłowic i t. d. pisali tak samo jak szlachta; zresztą na literaturę mieszczańską złożyły się dwie trzecie panegiryków, a jedna trzecia ascetyków.

Literatura sowizdrzalska powstała i kwitła między r. 1605 a 1625, i jeszcze bardziej niż czas, miała ograniczone swe pole: krążyła po Podgórzu, po ziemi całej krakowskiej, w samym Krakowie; obracała się śród rzemieślników, po cechach, najczęściej śród szewców, krawców, kotlarzy; dalej śród bakałarzy, klechów, lokatów, dzwonników; w szynku i karczmie, śród przekupek i służących, żydów i chłopów; żołnierzy (konfederatów i pospolitaków), furmanów, hajduków; nie brak i «pań wesołych», wypróżniających chłopcom kalety; opojów i darmojadów, kosterów i włóczęgów; dziadów i żebraków: wszystko, co wykluczone ze świata szlacheckiego, jedynie nam znanego z literatury pięknej. Otóż walne jej dopełnienie daje Sowizdrzalstwo, przedstawiając ów świat polski «przenicowany», wprowadzając od szczęku wojennego i kwileń sielankowych do wszelkiej mizerji szkolnej; do towarzystw wędrownych wszelkich cechów; do ofiar głodu i chłodu, co chwytały się oburącz jakiejś podstawy, aby nie upaść na samo dno nędzy. Literatura to anonimowa; wystawiała jako autorów: Januariusa Sowizraliusa; Jana z Wychylówki albo z Kijan; Dzwonowskiego (bo głos dzwonu daleko się roznosi); Trzyptrzyckiego, — a tytuły bywały odpowiednie: *Siekanka, Nawara* czy *Prażonka, Sekrety białogłowskie, Sejmy panieńskie pod osobliwszą pieczątką, Niepospolite ruszenie albo Gęsia wojna* i t. p. Spraw wyznaniowych nie tykali, bo wszelakie

paszkwile na różnowierców (*Wyprawa ministrów do Inflant* albo *na Podole; List ministrów na Kozaków* i t. p.) niekoniecznie ich pióra. Nie wiemy, skąd przyszli, nie wiemy, gdzie zniknęli, gdy ich dotknęła klątwa biskupia, t. j. pomieszczenie na indeksie ksiąg zabronionych, których księgarz pod karą sprzedawać nie śmiał; niecne ich żarty i grubiańska mowa. Główny zrąb autorów, niewątpliwie bakałarze, co i łaciny liznęli, Kochanowskiego pilnie czytali (dawali go dwukrotnie oprawiać, bo na wędrówkach zaczytany się rozlatywał) i jeden drugiego bezwstydnie okradali; struny życia żakowskiego (miłostek, awantur) coraz pobrzękiwały. Nie należą do nich zbiorki pieśni tanecznych (*Koncertów, Kurantów, Baletów, Padwanów*), pieśni erotycznych, odmieniających na wsze łady kilka oklepanych motywów (rozłąki, niewiary, afektów, ofert i t. d.), wojujących nawet najpospolitszą mitologją; spólne im z Sowizdrzałami to, że wychodziły bezimiennie, w Krakowie, w tym samym czasie, ale ich nie prześladowano; ciągnęły się też przez cały wiek dalej, coraz mniej ezecne, coraz wstydliwsze, ale i mdlejsze.

Sowizdrzalstwo podszywało się pod osobę, która wyrosła na ziemi dolno-niemieckiej, a w Polsce tak się zadomowiła, że Niemca daleko prześcignęła. *Eulenspiegel* oryginału, chłop, drwił sobie z rozumów i porządków mieszczan, z ich pedanterji i nieobrotności, z ich zarozumiałości i krótkowidztwa, nieraz w arcy-nieestetyczny sposób; jego żarty śmierdziały. Od Sowizdrzała (bo tak go spolszczyli, gdy ani Francuzi ani Czesi nazwy Eulenspiegla, *espiègle*, nie odmieniali) przejęli nasi tylko firmę, ale rozkładali pod nią inny towar, żarty, anegdoty rodzime i przywoźne, docinki stanom (lekarzom, «minucjarzom», t. j. autorom kalendarzy, których łgarstwa nielitościwie przedrzeźniali), rzemiosłom, osobom (duchownych ostrożni nigdy nie tykali), zajęciom szkolnym (przezabawnie łacinę wykładali, np. eklogębukłagę (!) Wergiljuszową: *Tityre tu patulae* etc.) — wszystko nader dosadnie i prozaicznie, zato barwnie; nawet ceny wszelakie z czasów drożyzny albo z dawnej taniości wymieniali: buty dziś talara, niegdyś 6 groszy i t. d. Z poezją klasyczną, humanistyczną, był rozbrat zupełny a celowy; i innej poezji tu nie było, było zato życie, a czasem swoją serdecznością tak czytelnika uchwyci, że zapomina się o wszelkiej banalności, np. obszerne *Zamknienie Nowego Sowizdrzała*, wyliczające humorystycznie bogactwa podgórskie (kwiaty, zioła, wody, drzewa itd., tylko mięsa niema, ani niczego, co potrzebne), może się śmiało równać z podobną fraszką Potockiego o *Inwentarzu podgórskich majętności*. I nieraz śmiał się Sowizdrzał przez łzy, a o plugastwach swego imiennika dawno zapomniał.

Rozdzielali Sowizdrzali wiersze na stateczne, śmieszne i *obscoena* (dla swej obcesowości wcale nie ponętne); mieszali wiersze najluźniejszej treści; albo uprawiali jednę materję, nawet jako całkowitą «komedję».

Zaczął to poniekąd papiernik krakowski, co się później na Litwę przeniósł, Adam Wodzisławczyk (parę nazwisk autorskich ocalało), *Krotofilami uciesznemi* i *Przygodami trefnemi*, niby naśladując *Fraszki* Kochanowskiego; następowały dalej: *Nowy Sowizdrzał; Fraszki Sowizdrzała Nowego; Fraszki Nowe Sowizdrzałowe* (Kraków 1615); *Burleszki albo żarty; Kiermasz na Zawiślu;* podobne były po zbiorkach pieśni tanecznych, w *Dzwonku serdecznym, do którego się zbiegają tak młodzieńcy jako i panny*, z r. 1620; w *Wesołej ochocie* z r. 1647; *Nowych pieśniach dworskich;* w *Pieśniach i tańcach* z r. 1614 i t. d., a inne dostawały się między wiersze szlacheckie, np. Szlichtyngowe. Twierdzili np. ogólnie, że

Barwierzowa, kantorka, malarka, kleszyna,
Wszystko djabeł, chudzina i organiścina,

albo: Żacy, organistowie, balwierze, malarze, ci wszyscy złe żony mają... u nich zawsze jak w browarze kłopot, przeklinanie (bo to należy do dobrego waru!); oni dostają tylko, co djabeł przez płot przerzuca. Albo żarty o zgorzeniu piekła, i t. p.

Przytaczali obce i rodzime anegdoty, o księdzu Woronieckim (za króla Stefana), p. Stawskim, wojewodzie Mieleckim, co trafnie dworował; jak Niemiec w Zamościu do Hutmana pieczeń nosił, a zaprowadzono go do hetmana, i in. Opowiadali dziwy o podgórskich miasteczkach, np.:

W Bobowej, w Ciężkowicach, są takie zegary,
Więc raz bije pięćdziesiąt, drugi raz dwie kopie;
Południe wtenczas, kiedy bydło z pola ryczy;

chwalili się ze swoich urzędów; byłem podczaszym, t. j.

Kazano mi nalewać krowom we żłób wody,
Tom się i sam napijał; zawsze były gody;

parodjowali znakomicie nauki potrzebne do rzemiosła, wiersze moralne Katonowe, np. o wdzięcznem przyjęciu skromnego daru:

Jeślić kto da wiercimakiem,
Nie swarz się z nim, nieborakiem;
Przyjmij, choć cię boli szyja,
Bo nie miał dłuższego kija.

Warstwy, o których w literaturze szlacheckiej głucho, dochodziły tu do głosu, np. kucharki i służące, uprzykrzenie dzisiejszych pań; już Sowizdrzał dał «pieśń o kuchareczkach» (zaginęła); ocalała *Pieśń nowa o szynkarkach i szafarkach, co ze wsi do Krakowa na służbę przychodzą,* coście ich to «na swoje złe teraz rozpieściły, pączków, krepli z powidłami jadać poneciły»; za byle jaką płacę służyć nie chcą, bo za cóż kupowałyby sobie «trzewiczki weneckie, angielskie pończoszki lub niemieckie kołnierze?» W święto biegną na Kaźmierz, aby tam z galancikiem «mikusia» zatańczyć i do domu go potem zaprosić, gdzie go kosztem swej pani mile raczą. Nie zapomnieli Sowizdrzali także o palaczach tytoniu, i od lat trzydziestych nie brak wierszów o tabace, np. *Nauka jako o dobrem, także o złem używaniu proszku tabakowego* z r. 1650: temi czasy, jak naród niemiecki, tak i polski w niej się zakochał, że już niemasz ani chłopka ani flisa ani najlichszego żebraka, coby pudełka tabaki, choć mu na chlebie

schodzi, sobie sporządzić nie umiał. Już r. 1636 wydano *Poswarek tabaki z gorzałką,* gdzie zalety cudzoziemskiej tabaki i domowej gorzałki spierają się w znanej formie «tenzony».[1] Roku 1636 wyszedł i *Proces Włóczęgi z Tabaką,* jaki rozsądza burmistrz Oblewa: włóczęga składa winę na tabakę, że nią umorzonego obłupiono, aleź on pijany usnął w rynsztoku; formę procesu miejskiego zachował autor «Moczygębski» wiernie. Wyprzedziła te wiersze broszura: *Nowe lekarstwo w Polszcze Tabak dla starych Pianiców z Sereguzy przywiezione,* gdzie pieśń końcowa zaczyna się: Olenderski Mars Bruder, Pociągnąwszy do pluder, Wziął z dybsaka (kieszeni) tabaki, Częstował nią Polaki, i t. d. Tabak przyszedł z Niemiec, bo autor *Nauki* z r. 1650 napisał ją najpierw po niemiecku, Niemcom na naukę. Dodał pierwszy szlachecki wiersz o tabace, Szlichtynga, ofiarowany Januszowi Radziwiłłowi, gdy był jeszcze podkomorzym W. Ks. Lit. Przeniósł rzecz naturalnie na Olimp; Jowisz sprosił bogów na bankiet, Ceres nawarzyła piwa «*zielonego,* Z szczeropszenicznych słodów nakształt śmigielskiego, Lubo też jako Leszno... albo nakształt brzezińskich»; alić Wulkan z worka dobył «smrodliwej rurki i tabaki»; Jowisz kazał ją zrzucić z nieba, spadła do Indyj, skąd ją Hiszpan do Europy przywiózł, Mazur od Szweda ją dostał:

Pojrzy, ali z Mazura już śmierdzi tabaka,
Aż już i wdzięczna Polska bawi się tabaką,
Psując dowcip i rozum by trucizną jaką...
Porwana psu tabaka i jego macierzy,
A szlachetne węgierskie wino niech się szerzy.

Zamożni tabakiem gardzili, «pili» go Kozacy, furmani, żołnierze, zażywając «proszku» i po sto razy na dzień, lub kurząc pipek trzydzieści, z czego zęby i dziąsła czarne. Szoci fa-

[1] W średniowieczu ulubionej; u nas dopiero w XVII w. częściej uprawianej, np. *Poswarek wina z wodą* (w dwu rozmaitych redakcjach); *Spór duszy z ciałem* — motyw średniowieczny, ascetyczny, słynna *Visio Philoberti,* trafem chyba niezachowana u nas.

ryńską i prostą sprzedają. Bartłomiej Zimorowic wiersze młodości porównał do «blazgonienia» i «krząkania»,

> Jako gdy kto tabaką dymną mózg podkurzy,
> Że mu się rozum zaćmi, fantazya wzburzy.

Takiegoż o niej mniemania był i Andrzej Morsztyn; ale ten się podobnie (pierwszy Polak) i o kawie wyraził; wyliczając wszelkie możliwe trunki (piwa polskie i niemieckie, wina i t. d.), wspomniał:

> W Malcieśmy, pomnę, kosztowali kafy,
> Trunku dla Turków. Ale tak szkarady
> Napój, tak brzydka trucizna i jady,
> Co żadnej śliny nie puszcza za zęby,
> Niech chrześcijańskiej nie plugawią gęby;

pierwsza to wzmianka o kawie, o której już wiek XVIII zupełnie odmiennego był zdania; Kulczyckiego, pierwszego kawiarza wiedeńskiego, znamy z oblężenia Wiednia. Co do tabaki, w drugiej połowie wieku zażywały jej już i panie, bo «zbytnie wyciąga z głowy wilgotności», a sejm 1660 r. nałożył na nią cło; Gdacjusz, kaznodzieja śląski, kazał «tabacznikom», gdy widzą dym z «pipy», wspominać na dym piekielny. Dosadny paszkwil na tabakę napisał około r. 1680 Trembecki,[1] gdzie ją z piekła wywiódł, a ziomków zaklinał, by nie pili smrodliwego ziela i Szotów z nią wyrzucili, którzy «jeszcze gdy jej nad zamiar w swoich budach mają, żeby się zdała świeżą, zawsze na nią szczają». Jeszcze w XVIII wieku używano do tego uryny w Warszawie.

Plagą krajową było natrętne żebractwo; akt oskarżenia, wypisany przeciw niemu r. 1553, wznowił dosadniej roku 1612 (i częściej) Januarius Sowizralius w pisemku p. t. *Peregrynacja dziadowska, zwłaszcza owych jarmarczników, trzęsigłowów;* podsłuchał rozmowę «staraków» w Jodłowej pod Pilznem i zapewniał: «com pisał, to prawdziwie, bom sam tego świadom»; od-

[1] *Wirydarz* I, 99—105.

krywał niecne ich praktyki, jak udają nawet wilkołaków, wyjąc po wilczemu i kąsając bydło — w tych latach odżyły bowiem dawne o nich podania z nadzwyczajną siłą; dziady rozchodzą się i po lutrach i żydach, trafią i do arjan, co to

> Mając tej i owej wiary po kawalcu,
> Aleć to najstraszniejsze, że się chrzczą w Dunajcu...
> Chrzcielnica dobrze głębsza, niżeli w Jordanie;
> Post największy w niedzielę, w piątek wszystko jedzą.

Jeszcze gorsze są ich baby, umieją czarować, prościzną się udziałać (udawać prostotę), pannę ostroczyć; we czwartki schodzą się z djabłami na krzyżowych drogach:

> Objadę w oczu mgnieniu podgórskie granice,
> Wywróciwszy odziemną koszulę na nice,

chlubi się baba; umie się odmieniać przy pełni i nowiu: w nocy zowią mię wielką niewiastą, śmiercią; w południe przypołudnicą; nad wieczór wiedźmą albo latawicą, bo porożumiewam się z latawcem, duchem wprawdzie powietrznym, ale przybierającym złudne ciało.

I żydzi się przed Sowizdrzałami nie uchronili, por. wiersz *Kozubales abo Obrona wszystkich żydów, niech ich nie siepają, Gdyż komu, co jest słuszna, kozubales dają,* z r. 1626 (i później nieraz); jak ta opłata powstała: Cyreneusz krzyż Pański dźwigał, skradli mu przy tem żydzi gęś i kozub, więc prawem otrzymał zato korzenie od starszych, a grosze od pospólstwa (‘biegunowie, co we wsi, w mieście, szalęcy biegają, kmin do pieprzu, a krokos też w szafran mieszają’); żydówki tego nie płacą, bo ich wykupiła św. Werona, ani boruchowie-szkolnicy, «bo w kieszeni talmud, nie czeskie chowają». Miejsca podkrakowskie wymienione.[1]

Jadowitsza była *Wyprawa żydowska na wojnę* 1606 r.: Sprzykrzył się im ucisk, więc wojnę wypowiadają, ich 800 wy-

[1] Przedrukował cały wiersz Dr. M. Bałaban w dziele o *Żydach krakowskich,* I.

branych poproszą króla o kilku hajduków, żeby ich w marszu nie napadnięto; ale hultajstwo ich rozbiło; gdy hetman ich gromi, czemu na hultajów nie strzelali, bronią się: «u nas strzałki stoją po czerwonemu, oni nie stoją z duszą i po złotemu». Szlachta broń u żydów pozastawiała, a sama handlu się jęła, tak, że cła królewskie przepadły; zasada szlachecka: «Łokciem nie mierz, lepiej postawami, Szlachectwo traci, kto kwartą szynkuje, lepiej beczką, więcej utarguje»; kupcy nie wiedzą, co mają czynić przed szlachtą. Ta *Wyprawa* w licznych, coraz śmieszniejszych odmiankach ciągnęła się przez ten wiek i następny, i do ludu zeszła.

Znamienną cechą Sowizdrzalstwa była ludowość. Klechy wiejscy i małomiasteczkowi znali lud polski, ale i ruski (na Podgórzu i w Lubelskiem), jego lirykę, nierównie bogatszą i rzewniejszą niż polska, i układając wiersze taneczne, naśladowali ruskie. Nie w szesnastym wieku; całkiem wyjątkowo zaczął Szarzyński jedną pieśń miłosną wierszem ruskim (»terpiż hołowońko do szczesnoj hodyny»), a Szczęsny Herburt pieśni ruskie pisywał. Nasi pieśniarze uprawiali pieśni ruskie, albo przynajmniej początek ruski z dalszym ciągiem polskim i luźnemi rusyzmami. Lwowianin Gawatowic (później kanonik Gawat, autor ascetyków) wystawił na jarmarku w Kamionce Strumiłowej, gdzie bakałarzował, r. 1619, z swoimi żakami tragedję o św. Janie Chrzcicielu, a przydał dwa intermedja chłopskie wyborną ruszczyzną; w jednem sprzedaje Stecko kota w worze Klimkowi, co go zagadnął:

> Szczo tut ty pobratyme sobie porablajesz?
> Każy myni, jak żywesz ta i jak sia majesz?

Stecko:

> Ja tut nie roblu niczoho, Oś idu do domu swoho i t. d.;

w drugiem głodni wołowcy o jeden pieróg się swarzą. Ruszczyzna wyborna, ale autor — Polak.

To wyjaśnia inną, nierównie ciekawszą próbę ruską autora

Polaka, znakomitą baladę *Kulina*, t. j. o zwiedzionej i porzuconej dziewczynie; trzynaście strof arcykunsztownie zbudowanych wystawiły tragedję tę w samych pytaniach i odpowiedziach, bez słówka opowiadania. Dziewczyna pyta Kozaka: Hoj, Kozaczejku, paneż mój! Dałekże majesz domek swój? (Ten odpowiada:) Pry bereżi, pry dunaju, Tam ja swoju chyżu maju: Lis załenyj, Ozdobłeny Krasnym ćwitem, Hustym listem; To dom mój, To pokój, Kulina! — Kulina pyta dalej, na czem pojadą? jakież pokarm, rozkosz, pościel będą? i zgadza się: Duszo moja, Ja już twoja. W drodze jednak wątpi, czy koń ich uniesie; czy daleko do domu? a jakiż ten dom? bo widzi, że skarb jego błahy; co mi tu za biesiada, puść mnie raczej do domu. — Da, odjeżdżaj Ku czortom! Zawodzi poniewczasie dziewczyna: Szczosz diłaty? Preklinaty, By propał, Co mnie wział, Diwczynu Zwiedynu! Kulina. — Najładniejsza to balada polska [1] przed Mickiewiczem,

---

[1] Polska, bo autor Polak; przeczą temu Ukraińcy, np. Jul. A. Jaworskij w *Naukowom Zbornyku* Proświty w Użgorodzie 1929, str. 197—257. Wydrukowano tę baladę jako «pieśń kozaka Płachty» przy sowizdrzalskiem: *Sejmu domowego artykułów sześć* z r. 1625 (i częściej). W XVIII i XIX wieku zapisano ją nieraz z ust ludu galicyjskiego ruskiego, ale zniekształconą, bo dorobiono najzbędniejszy początek, banalne opowiadanie typowe, jak się oboje poznali. Że to nie pieśń ludowa, dowodziła już sama forma kunsztowna; że to pieśń Polaka, dowodzi jej inaczej niezrozumiała, nadzwyczajna, natychmiastowa popularność, dowodzą jej rażące polonizmy, niemożliwe w ustach Rusina, np. «O północy, Ze wszej mocy Ocucim, Przewrócim Dewońku, Serdeńku», lub «Pry krynicy Bez *tesknicy*... Obłapiaty», lub «To *piesz* pójdem» i t. p. Nie zawahał się nawet Polak urabiać niesłychane słowa ruskie, np. dla rymu do *terem* (rusyzm dobrze znany w polskich pieśniach weselnych lubelskich) dorobił *cherem* zamiast *chorom* (polskie *chrom, chromina,* nie *chram*, jak nasi moderniści piszą), albo polski *giermak* zruszczył na niesłychanego nigdy *hormaka.* Otóż Jaworskij, nie mogąc sobie inaczej poradzić, wyrzucał takie wiersze, jakoby «wydawca (Jan Dzwonowski, Sowizdrzał) te wiersze pieśni, których nie rozumiał albo które się jemu nie spodobały, zamienił na własne, samowolne»: bardzo to dogodny wybieg czystej fantazji.

Kulina bynajmniej nie jedyna polsko-ruska pieśń. W *Wesołej ochocie*

a co najciekawsze, stała się odrazu ogromnie popularną, cytowali ją w sowizdrzalskim *Mięsopuście* z r. 1622 i Starowolski w *Stacjach* 1624 r., i naśladują powszechnie aż do XVIII wieku w wierszach ascetycznych. Świadczy to o rozpowszechnianiu melodyj, z jednego końca Rzeczypospolitej na drugi, w najkrótszym czasie. [1]

z r. 1647 jest pieśń: «Pod lipoju stojała, Z mileńkim rozmawiała. Rusaja kosa, czarnoje oczy, Komu się dostać macie? Czyli mużowi złemu» i t. d. po polsku, ale koniec znowu po rusku: «Da pijdem sobie spaty, Daj też obłapiaty. Podźże mileńka, podźże duszeńka, Nie budet tobie krywdy». W *Pieśniach* (b. m. i r.) 15 taniec jest znakomitym dialogiem (może tego samego autora, co *Kulinę* napisał?) między dziewczyną a paniczem (?), między innemi: «Prynese koli bies Lisowczyki, Zaroblu sebe na czerewiki; on: Nie żdaj ty na Lisowczyki, Dam ja tebe na czerewiki; ona: Ne choczu tebe, wolu Lisaka, Z ostrohami krasnoho kozaka. Ditko te prosyt z czerewikami, Maju ja chodaki z chołoszenkami (spodniami). Nicoho, tak powiedała maty, Iż w chołoszeńkach harast skakaty». W *Nowych pieśniach dworskich* (ocalał z nich tylko jeden arkuszyk) nry 24, 25 i 27 ruskie: Da pojdu ja, pojdu, da po podsynejku, stychonka stupajuczy, Da znajdu ja, znajdu swoju milenkoju (oni tak zawsze *-oju* zamiast *-uju* pisali!) z innym rozmawlajuczy; Ja za neju chożu, czerewiczki noszu, rutiany wianok proszu i t. d. A ja sobi budu takowej szukaty, szczo nedast dołho prochaty». Nr. 25 kończy: Nakłady mene na oczy zemli *żminkoju* (‘garścią’, w tekście pomylone: *żonkoju*). Nr. 27: Przestań Jasiu z weczora chodity, Mene młodoju z rozumu zwodity... Wolu z kozakom Pod kopieniakom, Niźli z toboju Pod perinoju; Pod kopieniakom witer przewiwaje, Pod perinoju duszno bywaje; to niby echo *Kuliny*.

[1] Już w r. 1618 wyszedł *Kozaczek duchowny na dwa chóry, anielski i djabelski* («śpiewaj Kozaczka, abyś Hajduka nie skakał» i inne sowizdrzalstwo na karcie tytułowej); pierwsza zwrotka: «O klejnoteńku, duszo cna, Gdzież twa knieja, Gdzie nadzieja? Jam od Boga I u Boga; Tam me progi, Tam me drogi, Gdzie pozorne Kraje górne; Zapach, światło Tam wyborne. W niebie żyć, Wiecznie być! Duszyno! (Chór djabelski zaczyna: Ach kozo, koźle, duszo zła, Gdzież twa fara? Gdzie twa kara? i t. d.). Spółcześnie wyszła «Nadobna pieśń o *Kozaczku* duchownym» (zaczyna: O mizerna duszo moja, Gdzie ty zażywasz pokoja?... W piekle być, Już tam żyć, Na wieki; refren po każdej zwrotce, prócz dwu ostatnich) i druga

Nadzwyczajna nieskromność tej literatury kark jej też utrąciła, bo dla niej potępił całą biskup krakowski. Aluzje płciowe zaczynały się nieraz na karcie tytułowej, szły dalej wprost albo pod przejrzystą alegorją, np. o grze szachowej; o młynie, o pływaniu, sieczeniu łąki i t. p. — Andrzej Morsztyn nie potrzebował włoskich wzorów, miał domowych aż nadto. Literatura czeska XVI i XVII wieku, wobec polskiej staropanieńska, nie znosiła nawet w przekładach polskiej swobody, i tłumacz *Tragedji żebraczej* wyraźnie zaznaczył, że opuszczał polskie nieskromności (może więc czeski *Warwas* nie wszystko z Rejowego powtórzył?). Powtarzali Sowizdrzali np. «Marcinową powieść» z *Fraszek* Kochanowskiego! Szlachecka poezja XVII wieku dopuszczała się i gorszych wybryków, ależ światła dziennego nie widywała, gdy Sowizdrzali (np. wiersze Frąca, t. j. Franta) *urbi et orbi* nago się okazywali; jedyna ich zasługa, że granic «naturaljów» nie przekraczali, dla żadnych perwersyj u nich (jak i u Kochanowskiego) miejsca nie było.

I tu przywłaszczała sobie zczasem szlachta wiersze sowizdrzalskie, np. polską *Ars amandi* p. t. *Lekcje Kupidynowe*, dowcipne i lubieżne, przypisał Trembecki w *Wirydarzu* Szlich-

«Nadobna pieśń o *Kozaczku* duchownym» (zaczyna: «O kochaneczku, panie mój, Powiedz, gdzie mój prawy pokój» i t. d.); w rękopisie jest «*Kozaczek* duchowny, czasu moru w Wielkiej Polsce 1630 r. o śmierci dumający» (zaczyna: Hoż przesławny Polaninie, Czem teraz cześć swoja słynie? Czy rycerskim, mężnym bojem? Czy kupnym, krwawym pokojem? i t. d.). Jeszcze pieśń skaplerzowa *Kozak* w książce z r. 1704 pisana na tę nutę: «Witaj Panie! My poddani Do nóg padamy, Lecz nie insze Mamy czynsze Tylko serca» i t. d. J. Jaworskij zdobył się nawet na taki pomysł, że *Kulina* jest parodją jednej z tych nabożnych pieśni, — wolne żarty, które sam tytuł *Kozaczek* usuwa. Jest w rękopisie ruskim z końca XVII wieku «Pieśń grzesznych ludej», naśladowanie i rozszerzenie polskiego *Kozaczka duchownego* (zaczyna: Och mizernyj człowiecze, Gdeż to sobie zażywajesz pokoja? i t. d.). Z *Kozaczka* (duchownego) cytował jezuita Szembek refren «djabelski» w r. 1627; *Symfonje Anielskie* Dachnowskiego z roku 1630 znały go również.

tyngowi; wymienił je *index* zakazanych ksiąg biskupa Szyszkowskiego z r. 1617, druku dotąd nie odnaleziono; posiadamy je w kilku, wcale (szczególniej w dalszych «lekcjach») odmiennych odpisach; są wskazówki, że to robota sowizdrzalska Kacpra Twardowskiego, który następną ciężką chorobę za karę Boską uznał i odtąd sowizdrzalstwo zarzucił; rzecz sama wcale udatna, nie spadła do pornografji sowizdrzalskiej, przypominałaby raczej fakturę szlachecką A. Morsztyna, chociaż go czasem wyprzedziła znacznie; stoi na równej stopie z *Roksolankami* Szymona Zimorowica, które jednak nie lubieżne, tylko delikatne. Pornografja sowizdrzalska (szczególniej takiego «Franta», znanego tylko z urywku) wcale nie obojętna dla dziejów świata białogłowskiego; dowodzi przebiegłości i ułomności kobiet a brutalstwa i słabości mężczyzn; o «czystości» pożycia wystawia bardzo brzydkie świadectwo; satyrę Opaleńskiego dosadnie uzupełnia i potwierdza.

Skromność i wstydliwość były bowiem wówczas raczej pozorne; nie znoszono jawnych skandalów, wyzywania opinji publicznej, która stawała się tem drażliwszą, im więcej w ukryciu grzeszono; obłuda zataczała coraz szersze kręgi, a plotki i obmowy szły z nią o lepsze; kokieterję i flirt zwano mizdrzeniem i krygowaniem się; obawa przed staropanieństwem górowała.

W dialogach i komedjach sowizdrzalskich główną rolę odgrywała mizerja żaków, kantorów, klechów, co porzucali niewdzięczne rzemiosło, innego się chwytając, ale dostawali się z deszczu pod rynnę i do starego zawodu wracali. Np. *Szkolna mizerya w dyalog zebrana, w której się zamykają wszystkie uciechy i rozkoszy (których niemasz) szkolne* z r. 1633; *Colloquium* (Rozmowa) *Janasa Knutla z Chlebówki magistrata*... opisał Jan Łopeski 1633 r. (autor i pisemek ascetycznych); *Potkanie Jannasa z Gregoriasem Klechą* r. 1646 makaronizuje:

Fuerunt dworacy pod murzyny na winie;
Venientes żacy poczęli *quator vocis* dumę Żarnowskiego. (?)
Tunc ego uno dici: śpiewaj co innego,
Nolumus has frantowskie pieśni*as nunc audire,*
Bowiem też już mięsopust *tempus est finire:*
Jam nunc est popiel*cum post tempus* szalon*um;*
Już nie trzeba wspominać piekieln*um daemonum.*
Et quare non de psalmis vel de tempo canis?
Niesporyż to grosz, *fratres,* i z grzechem ten *panis* i t. d.

Synod klechów podgórskich z r. 1609 zaczął tę literaturę, nieraz wcale dosadną; w *Komedji rybałtowskiej nowej* z r. 1615 żebrzą głodni klecha, kantor i dzwonnik u chłopa, oskubanego właśnie przez konfederatów; nadchodzi nowy konfederat i poczyna sobie jak najbutniej, ale ci czterej zmawiają się nań i dostałby znaczne cięgi, gdyby go nie ocalił w imię koleżeństwa broni Albertus, znany z swej wyprawy na Podole 1590 r.

Takie dialogi podobały się nadzwyczaj, i nie zawahał się nawet Starowolski w podobny sposób «stacje» (wybieranie porcyj z dóbr duchownych przez żołnierzy) napiętnować, *O stacyej, żołnierz z teologiem* r. 1624; żołnierz, co służył na sześć koni, wraca na chromej «parepie», więc powetuje straty na księdzu, bo:

Jam potrzebny, a księża nad potrzebę mają,
A przytem do herezyej dużo się skłaniają,
Bo heretyckich książąt na srebrze wybite
Obrazy zachowują, w szkatułach pokryte;

gdy mu ksiądz piekłem grozi:

Co księże? już ośm lat, jak piekło zgorzało;
Djabli boją się Boga, iż piekło spalili;
Wszyscy się na wędzonce jednej obiesili...
Także kozackie dusze z piekła spalonego
Zniosły przednią gorzałkę do kraju ruskiego.

Gorzałka uchodziła za kapałkę djabelskiego nosa.

Przyjęcia doznawali Sowizdrzali rozmaitego. Zaczytano ich wiersze doszczętnie; sami powtarzali się i tytuły nieraz mylą, np. *Biesiad rozkosznych* (Baltyzera z kaliskiego powiatu) *część*

wtóra zawiera fraszki części pierwszej,[1] dodając nowe; okradano się w zawody; pojęcia własności literackiej nie było.[2] W żadnym wieku nie kwitł tak plagjat, jak w siedmnastym; nawet zawołani poeci, taki np. Daniel Naborowski, przywłaszczali sobie najswobodniej obcy utwór, np. *Czwartak* Żabczyca, aby z lekką odmianą za swój go wydawać; *Wizerunek wiecznej sławy Sauromatów starych* zjawiał się w latach 1613—1645 pod imieniem pięciu kolejno autorów: Paszkowskiego, Chlebowskiego i t. d. Często zacierano ślady zbyt wyraźne, np. Jan Woźnicki, gdy kradł *Pielgrzyma Wielkanocnego* (r. 1612) z świeżo wydanych *Rytmów* Miaskowskiego, tekst znaczniej odmieniał; podobnie poczynał sobie Jeżowski r. 1638 z wierszami Słupskiego z r. 1618, a Górnickiego Suski okradał. Żabczyc skarżył się na «łowiczów», ale sam bierał skąd inąd wiersz gotowy, a w swoich *Polytykach dworskich* (zbiorze sentencyj, co i na ruskie niezdarnie przełożono) splądrował obce dzieło. Z powodu takiej dowolności trudno nieraz dotrzeć do właściwego autora. Niejeden wiersz przez dwa wieki wydawano, opuszczając lub zmieniając coś niecoś, np. *Nędza z Biedą z Polski idą w obce i nie-*

[1] Ta część pierwsza daje na odwrocie karty tytułowej pyszną «relację mazowiecką»; Mazur zwraca się do «pierca-opiekuratora» o «nagwazdanie genalij» przeciw surzemu (szwagrowi) Stesowi, którego on na czci chlusnął miodownikiem i wybił mu pięć zębów; Stes dziś twierdzi, że sześć. Wobec stałych natrząsań z Mazurów warto przypomnieć za innym sowizdrzalskim utworem (Adrjana Tyszki z r. 1617, *Maszkara mięsopustna)* oryginalny pomysł:

Naszy to Mazurowie w obyczaju mieli,
Że do kogo tam jaką przywarę wiedzieli,
To mu usnąć przed sobą na stole kazali,
I tak o jego zbrodniach głosem rozmawiali.

[2] Autor *Prażonki* ofuknął przedrukowującego go Szeligę:
«Ty drukarzu z Dobromila, Potka cię nieszczęsna chwila Za to, że ty wiersze moje Robisz na pożytki swoje. Uczyń sobie albo kupuj, A tak świebodnie wydrukuj. Uczyć się było skandować, Nie ludzką pracą machlować. Przyjmijże to w upominku, Z Kurwanowa miejski synku!»

znające ich narody (kilka wydań): po roku 1620, gdy ustały gwałty Lisowczyków, gdy minęły lata moru i głodu, wstąpiła nagle otucha w serca i temu dał wyraz Sowizdrzał, wyprawiając obie «pałuby» na Śląsk i do Niemiec. Spotykają po drodze szlachcica, chłopa, mnicha, babę, i narzucają się im, ale ci je odganiają; spotykają się i z djabłem i prawią o rozmaitych:

Pięknyć djabeł niemiecki i foremny, sztuczny,
Jedno nazbyt poważny, a do tego buczny;
Ruski zaś gamratliwy, ba i wnet ukradnie,

(bo nazwę Rusina stale z ruchaniem łączono); polski zwinny, zabawny, zuchwały; wraca do swoich miłych Polaków z nowym dla nich regestrem; jak to tam z nimi będzie w dzień sądu:

Straszliwy to czas będzie i gniewu srogiego,
Dzień gorczycy i czosnku, dzień chrzanu gorzkiego,
Drugi płacząc zakrzywi gębę na pół mili, —

w takim dobrym humorze parodjuje się i *Dies irae*. Śmierć występuje, żaczek się od niej wyprasza, niech zabiera bogaczy, po których nam się dostaje *żołtarz* śpiewać, *Requiem, Libera, Salve, Conductus* i insze *Obsequie,* wigilje; żal mu umierać, żal Anuśki i dziewcząt, skorych

Nakarmić, napoić szkolnego młodzieńca,
Koszulę dać i chustkę, nie wspominam wieńca.

Żartobliwe to raczej pisemko, mówi i o takich, co z biedy «cnotę musieli zastawić i jej dotąd nie wykupili», i t. d.

Sejm piekielny miał w wieku XVII dziewięć wydań, w XVIII dwa, jedno w XIX jeszcze. Książę piekielny, Lucyper, rozsyła po świecie uniwersał, zwołując djabłów, by przed nim sprawę zdawali; stawają Belzebub, Cerberus, Pluto, Lewitan; Beljal; Szkolny djabeł; Rogalec czarownik; karczemny djabeł Asmodeus; Paskuda, zalotnik; Bies, ruski djabeł; Dzietko, biesów brat, i t. d., i opowiadają, jak ludzi zwodzą na złości, przeklinania (dziecię jeszcze mówić nie umie poprawnie, a już djabłów liczy), przesądy i czary. Niewyczerpane to źródło dla ludo-

znawstwa; pomysł sam nie oryginalny, bo podobnych poselstw i sejmów nie brakło i dawniej, ale treść domowa; późniejsze wydania skracały nieraz, opuszczały łacińskie relacje i co już nie odpowiadało czasowi, np. *Nuntius apostaticus* (parodja z *apostolicus)* od kacerzy zginął w wydaniach XVIII wieku. Oto np. z przesądów:

Do Nowego Lata przędzy nigdy nie motają;
Że wilka we wsi zamota, taką wiarę mają.

Do Trzech Króli żadna nie przędzie,

Chust nie warzy ani pierze, w żarnach mleć nie będzie;

djabeł Lelek, ślepy w dzień, widzi w nocy:

Gram, tańcuję po chałupach, a odzieram dachy,
We czwartków dzień po wieczerzy broję troje dziwy...
Przeto warzy w czwartkowy dzień ubogim nie dają,
Tak z naczyniem niepomytem to dla nas chowają;
Wtenczas chodzą, nas wzywając, na rozstajne drogi,
Czarne kury ofiarują, chwalą nas za bogi, i t. d.

Zakazy biskupie bywały wcale uzasadnione, chociaż nieraz i mniej winnych sięgały, np. potępiono wszystkie pisma Jana Danieckiego, płodnego wierszopisa z pierwszej ćwierci wieku (okolicznościowego i ascetycznego), ależ zasłużyły na potępienie tylko jego *Zabawy* z r. 1606; [1] on podzielił je na troje, jak Wodzisławczyk r. 1609 (za jego wzorem) swoje *Przypowieści*, t. j.:

Stateczne naprzód; w środku zaś śmiech mają;
Ostatnie, co jest uczciwe, nie znają,

ależ te ostatnie zabrały połowę całej książeczki:

Białagłowa jeśliby się też napierała (je czytać),
Tylko żeby nie widział nikt, niechby czytała,

---

[1] Jeśli czasem fraszka Danieckiego zgadza się z fraszką A. Morsztyna, to niekoniecznie Morsztyn ją sobie od niego przyswoił (np. Danieckiego «Na kogoś» = A. Morsztyn «Do Walka», *Wirydarz*, I, str. 208); może obaj czerpali z obcego, spólnego źródła.

Bo ony statek lubią; lecz kiedy nadchodzi
Wieczór a statku niemasz, niestatek dogodzi;

wiersze są takie, że «nie przeszłyby cało bez wydatnych skreśleń przez dzisiejszą cenzurę»; tych wybryków Sowizdrzali rzadko się dopuszczali, mimo to podpadli pod cenzurę. Gdy literatura szlachecka często obczyzną narabiała, sowizdrzalska (acz nie wolna od błazeństw, np. *Naenia na śmierć Matysa Odludka, książęcia ultajskiego, w. hetmana łotrowskiego,* co tylko o braku dowcipu świadczyło) nierównie więcej rodzima, i to jej zasługa istotna.

BAJKI. ZAGADKI. PRZYSŁOWIA.

Literatura XVII wieku, nierównie bogatsza we wszelkie rodzaje niż szesnastowieczna, objęła i bajkę-klechdę fantastyczną. Wiek poprzedni jej wcale nie uwzględniał, bo co u Reja i in. «bają o żelaznym wilku», poszło ze zmyślonej tradycji litewskiej o Gedyminie, który we śnie żelaznego wilka ujrzał i na miejscu snu Wilno założył — może to tylko dorobione do wilczycy rzymskiej (boć Litwini z Włoch wyszli!!), i do początkowej zgłoski *wil-*. Bardzo niezdarną bajkę ułożył Krzysztof Kobyleński w *Epigramatach* z r. 1558 w dodatku o siostrze i bracie i ich przemianach w baranka i t. d. Jarosz Morsztyn nierównie składniej obszerną bajkę prozą *O królewnie Banialuce* [1] wypisał, w szczegółach ją znaczniej odmienił, początek i koniec (alegorję połączenia Litwy z Polską) dorobił — ale to pierwsza zupełna bajka; Herburt w paszkwilu rokoszańskim (II, 124) «o czerwonym kapturku bez końca i początku» z bajki zapisał.

---

[1] *Banialuka* jest odmianką bajki nr. 93 u braci Grimmów, o zaczarowanej królewnie (piąta odmianka owego motywu); Morsztyn usunął wątki o zaczarowanym zamku, dokąd łani-królewna strzelca zwabiła, aby ją, wytrzymawszy ciężkie próby strachów nocnych, wyswobodził; dał zamiast tego byle rzecz o królewiczu-strzelcu, polującym na zwierzynę i po-

Jeden z Sowizdrzałów zapewniał, że będzie opisywał «świat wywrócony»; ślubu tego dokonał w pisemku p. t. *Peregrynacja Maćkowa z Chodawki* i t. d. (r. 1612 i częściej), gdzie głupi Mazur łże, że aż deski się gną; autor, co podpisał się *Januarius Sowizralius pede propria,* narzecze sparodjował znakomicie, a treść zapchał kłamstwami w rodzaju słynnego barona Münchhausen, co nie mogąc zleźć z drzewa, poszedł do domu po siekierę, ściął je, i tak się wyswobodził, i t. d.; oprócz tych łgarstw są i inne wątki bajkowe, znane z literatury niemieckiej, o kraju jęczmiennym (podobnym do Szlarafji — *pays de Cocagne),* o dziwacznej kuchni (sęki jodłowe z sałatą i t. p., wątek i gdzie indziej obrabiany, np. w *Co nowego),* i in.; w wieku XVI tylko raz, we *Wróżkach* Podworzeckiego 1589 r., była podobna wzmianka o płotach z kiełbas, rzekach miodu i mleka i t. d. [1]

---

znającym królewnę. Ona w żałobie po rodzicach nie może mu teraz oddać swej ręki; umawiają się na później, ale na miejscu spotkania śpi rycerz jak zabity — uśpiony przez zdradę służącego, podkupionego przez damę, która sama chciała wyjść za królewicza. Narzeczona zrozpaczona uchodzi; rycerz karze sługę i wybiera się w świat w pogoni za narzeczoną. Po wielu trudach (zebrane wszystko ptactwo polskie z swojemi głosami, motyw barokowy) odnalazł ją; przebrany za ogrodnika, walczy i zwycięża niepoznany w turnieju o jej rękę — koniec zwykły, tylko na polityczne dzieje polskie skierowany. Imiona *(Banialuka,* sługa *Daskraj)* Morsztyn zmyślił (właśnie na Bałkanie, w Bośnji, gdzie Banjaluka leży, niema śladu tej powieści, znanej na Zachodzie głównie, i tam powstałej?); por. E. Moor, *Über das Märchen Nr. 93.* Budapeszt 1927 *(Gragger-Gedenkbuch).*

[1] Godne uzupełnienie *Peregrynacji* stanowi *Komedja o Wawrzku do szkoły i ze szkoły:* Mazur, co sam u *Zegzultów* (jezuitów) kęs nie cały tydzień studował, oddaje *kałamarzowi* synka, aby w jego szkole *klorem* został; ale bakałarz obił Wawrzka i ojciec odbiera go napowrót, żeby nie nazywali go nabździszkołą. W rękopisach XVII wieku nie brak wzmianek o Szlarafji, np. w liście śmiesznym do panny opis jej: W dyrlandziskiej ziemi trzy mile za światem w sławnem mieście Chamchołowie rzeka idzie mleczna a brzegi jaglane; po rynku chodzi wół upieczony z nożami u boku, a sałatą pod ogonem; tylko krajać i jeść i za siedm mil na wychód biegać. Wiadomość przyniósł chłop na piądź bez czegoś, z brodą na łokieć,

Same Münchhausiady i «łacina strzelecka» powtarzały się w *Aktach Rzeczypospolitej Babińskiej;* posiadamy je tylko z (pierwszej) połowy wieku, a świadczą bardzo niekorzystnie o inteligencji babińskiej; jest w nich i opis Szlarafji, niby w mieście Krzczelowie. [1]

Inne rodomontady dał Dzwonowski w *Kozaku Płachcie* (przy *Artykułach sejmu walnego* 1625 r.); wobec jego czynów Herkulesowe niczem; stary Piekarski, podkomorzy brzeski, tłumaczył w *Bohatyrze Strasznym* i w *Suplemencie Bohatyra Strasznego* włoskiego *Capitano Spavento,* najśmieszniej i najrubaszniej zarazem, z barokowem przedrzeźnianiem wszelkiej możliwości.

Gdy bajki odsyłano do nianiek, bawiono się zagadkami szczególniej w szkole dla ostrzenia dowcipu, chociaż ich nie drukowano; Rej, Kochanowski ledwie po jednej bardzo nieforemnej utworzyli (Kochanowski zastąpił niby Rejową!). Wiek XVII i w poezji poważnej i żartobliwej, i w prozie je uprawiał; niemasz *Silva Rerum* (zob. niżej), coby ich mniej lub więcej nie dawała. Andrzej i Zbygniew Morsztyni kunsztowne tworzyli, Andrzej siostrze zbiorek posyłał, z wcale ładnemi pomysłami. Przeważały krótsze, prozaiczne, biblijne i szkolne, np. «Z moc-

---

rycerz sławny, bo przed kurą na płot uciekał, ale dziesięć much przed sobą pędził. Niewybredny humor popisywał się chętnie podobnemi niedorzecznościami; pleciono «dziwy albo absurda» (np. Wróbl siedzi na kościele, napinając kusze, Stamtąd woła na wilka: umykaj swej dusze... Stodoła się rozigrała, sarnę ułowiła, Co stępa obaczywszy oknem wyskoczyła, i t. d.); zestawiano najosobliwsze spisy potraw pierwszego i drugiego noszenia i śniadania po przepiciu *(Wirydarz,* I, 22—25, między innemi: maźnice z czarną juchą, wilczy ogon do żółtej juchy a z szafranem, w jednym pasztecie gramatyka brzozowym sokiem smarowana, krówki solone miasto kawioru, i t. d.; inny spis, str. 85; filozoficzne *menu* w *Co nowego* i t. p.).

[1] *Akta Babińskie* (wydane przez St. Windakiewicza) surowo a słusznie ocenił K a z. B a r t o s z e w i c z w rozprawie, powtórzonej w jego *Szkicach i portretach literackich,* I, Kraków 1930.

nego moc wyszła, a z pożerającego słodkość» — Samson ze lwem i plastrem miodu.[1] Z powieści ludowych, z «Apolonjusza», o wodzie i rybach:

Jest dom jeden chwalebny,
Wszystkiemu światu potrzebny;
Gospodarza rodzi,
Zdrowie jego wodzi:
Tam mąż na konia wsiędzie,
Gospodarza kratą obwiedzie,
I obwiódszy wywlecze,
Dom przez kratę uciecze;

dziś jeszcze śród ludu krąży, a i Kochanowski ją w łacinę oprawił. I tu nie brak aluzyj płciowych, mianowicie brzmi tekst zagadki bardzo wszetecznie, ale rozwiązanie tem skromniejsze, np. «W co pannę pchnąć, aby z niej woda ciekła?» W sadzawkę. «Co pannie czynić, żeby dziecię miała?» Dać jej w ręce. «Siadła panna podle drogi, Rozłożyła swoje nogi, Przyszedł do niej człowieczy duch, Ujął ją za brzuch, Panie Boże dopomagaj?» Pług. I podobne. Sadzono się i na długie wymysły, por. *Wirydarz*, I, 72—83, 40 zagadek; inna o świecy gadka:

Córkam rodu podłego, między pany siadam;
Wszystkich cichuchno słucham, sama nic nie gadam.
Ojcam miała głupiego (wół), drągiem go zabito;
Po śmierci wyszłam na świat (łój), zaraz mię powito;
Potem zamąż (knot) wydano, za skrzętnego chłopa;
Baba mi ślub dawała, nie czekając popa.
Łożnicę nam obojgu w łaźni uczyniono,
Nagusienko wyrwawszy, na mróz iść kazano, i t. d.

Ciekawsze, niż zagadki, przysłowia. I tu wiele obcego, przywoźnego, z łaciny i szkoły, ale są i rodzime, niektóre po-

[1] Albo dziś jeszcze znają w Rościszewie zagadkę z dziejów Miltiadesa, jak go córka w więzieniu karmiła (niby Lilla u Słowackiego): «Byłam jego córką, teraz jestem mać» i t. d.; dosłownie tak samo w rękopisie XVII wieku (Akad. nr. 511).

czątku prasłowiańskiego. Najwcześniej zebrał je Biernat Lubelczyk przy swoim *Ezopie*, każdej bajce w tytule przysłowie przypisując polskie; brakło jednak zbioru osobliwszego, w czem znowu nas Czesi uprzedzili (Srnec wydał r. 1587 zbiór obfity). Dopiero Salomon Rysiński z kółka Radziwiłłowych poetów zebrał i wydał (w porządku alfabetowym), 1618, nieraz przedrukowywany i rozszerzany zbiór «przypowieści»; i tu znać brak uszanowania tradycji, bo zapisano przypowieść, ale nie znamy już anegdoty, co ją wydała; jak zawsze bywa, najmniej «historycznych («plecie jak Piekarski na mękach» i t. p.), najwięcej obojętnych, prywatnych; dla rymu dorabiano (już od średniowiecza) nazwiska i stwarzano pozorną «historję», np. przysłowie pierwotne: *experto crede* (dla rymu dodano *Roberto), Strachy na Lachy* i t. p. Rysiński zebrał przysłowia «ludowe»;[1] A. M. Fredro sam układał swe przypowieści-morały i wyprzedził niemi

[1] Pierwsze wydanie ma tytuł łaciński: *Proverbiorum polonicorum... centuriae X et VIII;* w obszernej przedmowie łacińskiej wychwalał Rysiński język «sarmacki», jego dawność, rozległość i wdzięki; zaznaczał, że Polacy są urodzeni mówcy i obcej mowy łatwo się wyuczają: Polak w trzy lata opanuje zupełnie obcą mowę, obcy polskiej ani za lat trzydzieści. Przysłowia zapisywał z ust (ale są i literackie i tłumaczone zewsząd) i nie odmieniał ich prostoty sarmackiej. Są «historyczne» bez historji, np.: «Pewnyby Turski z ogary a Szufnarowski z karaśmi; Nie wadzi na Bocka rzucić; Własny nieboszczyk Dąbski, co w stojączki zdechł; Własny Trębeckiego djabeł, trudno się go skropić; Wolałbym w Markowej świnie paść; Nie brój Rachembergu, przed czasem zginiesz; Podrwił świętopietrze«, i in. Do innych zanotowali «historje» wszelacy autorowie, np.: Otóż tobie Byśku mazia (chłopek małmazji drogo się napił); Przetociem nie ryczy, ano go doma nie (o cielęciu i nieobacznej gospodyni mąż powiedział); Gorsza sprawa niż w Osieku (niejedną osobno w druku mamy, np. w r. 1626 po łacinie); Nasza rzecz jak Rożkowa (t. j. coraz gorsza, wedle analogji łacińskiej). Niektóre z Reja i Kochanowskiego poszły; czy słusznie Janowi Olbrachtowi przypisano: Łacno w polu o krzemień, kiedy krzesiwo u pasa? Późniejsze wydania mylą słowa, np.: W maju się rodził, *harpapiem* (zamiast: *charpakiem,* bławatkiem) się bawi. Niektórych już nie rozumieć, np. Paparona gąska, Domator gniazdosz i in. Dla rymu: Przyjechała Nę-

La Rochefoucaulda i Anglików. Co niegdyś warstwy wyższe zajmowało, opadło zczasem w najniższe; lud więc powtarza przysłowia i zagadki, któremi dziś chyba dzieci zabawiamy.

LITERATURA ANEGDOTYCZNA

Anegdota nie ma miejsca w dziejach literatury, tem więcej w dziejach kultury; dobyta z życia samego, maluje je dosadniej i barwniej niż byle opis; okazuje ludzi niby w negliżu. O dowcipność nie chodzi, aktualność rozstrzyga, chociaż bardzo wiele anegdot zmyślono po fakcie, dla jego ilustracji, a wiele innych bywa przywoźnych, kursujących po Europie, których początek trudno nawet odnaleźć. Nasze zbiory anegdot późne i skąpe. Zaczął je Rej wierszami *Zwierzyńca,* ale w jego *Figlikach,* tak samo jak w pierwszym prozaicznym zbiorze *Facecyj polskich,* który i do Moskwy się dostał w XVII wieku *(Smiechotwornyje powiesti),* przeważały anegdoty obce, z niemieckich i łacińskich zbiorów (od Poggia, wydanego u nas w Krakowie 1592 r., począwszy, Bebel, Pauli i t. d.). Kochanowski począł zbierać «apoftegmata» prozą; zbiór jego niewielki ale znakomity, o dworzanach i duchownych Zygmuntowskich; Górnicki wplótł do prozy *Dworzanina* kilkanaście oryginalnych anegdot wobec przeważnej ilości z włoskiego źródła.

Wiek XVII rozszerzył znacznie te zasoby. Coraz przedrukowywał dawne *Facecje,* rozłożył je wedle podobieństwa treści na kilka traktatów i każdej anegdocie doczepił moralizacje, jakby w bajce zwierzęcej, zaprzęgając i anegdotę do służby etycznej. Zbiór anegdot starożytnych p. t. *Krótkie a węzłowate powieści* wydał Bieniasz Budny; coraz je powtarzano, bo każdy mówca, świecki czy duchowny, niemi się zasilał. Ależ i *Facecje* i Budny

dza do Swarzędza i in. Pardubickie rucznice, Kłatowskie sery, czeskie. St. Jabłonowski w więzieniu kenigsztajnskiem opracował pierwszy tę materję, niezawsze trafnie.

to obczyzna; *Appendix* (arjański) i *Prażonka* dawały kilkanaście swojskich, najwięcej zaś *Co nowego* z r. 1650 (nieraz przedrukowane) dostarczyło anegdot autentycznych, przytaczając stale nazwiska osób działających. Smaku one niewybrednego, a dowcipu słabego, ale historyczne, swojskie. [1] Istnieje bogaty zbiór w rękopisie Jagiellońskim nr. 116 z XVII wieku, z którego Ambroży Grabowski, znany antykwarjusz, korzystał, ale je przetrzebił. Bo nie nadają się, właśnie najlepsze z nich, do druku: wiek XVII mimo poczynającej się pruderji rzeczy dwuznacznych (a raczej wcale niedwuznacznych aluzyj płciowych) bynajmniej nie unikał i granice *naturalia non sunt turpia* śmiało przekraczał. Wobec rozkładu różnowierstwa, żarty na jego temat nie częste. Gra djabeł Stadnicki (kalwin) z Smolikiem (katolikiem) w karty; dostawszy króli i asów, twierdzi, że u niego pełno obrazów, jak w kościele katolickim, na co Smolik: a u mnie w garści pustki, jak w zborze luterskim albo chlewie: pomieniajmy się! «Pije Smolik na zdrowie trzech synów Stadnickiego i życzy mu, żeby jeden z nich został ministrem; na to Stadnicki: raczej widziałbym go katem. — No więc arcybiskupem? A to dobrze! Najlepszaż to próba twojej wiary, jeśli nie chcesz, by syn ją przepowiadał; ja swemu życzyłbym zakonu, cóż dopiero arcybiskup-

[1] Np. «Piotra Smolika dworzanina wielkiego, acz tedy rozsypką kładą się dworstwa jego», ale tylko jedno można powtórzyć nie obrażając uszu: Zdjął czapkę przed żydem; strofowany o to powiedział: drugi musi przed żydem kopieniak i delję zdjąć. Jak panią na miejskiem weselu krakowskiem, biegając często na ustęp, odbył; jak milczącym pannom usta otworzył; jak na innych, żartujących z niego, się pomścił; jak niewinności panieńskiej próbował, — wszystko zbyt prawdziwym Sowizdrzałem tchnie, żeby to tu powtarzać. Jest mowa o Danieckim, «poecie i dworzaninie», o Żabczycu «poecie». Cytuje jakąś nieznaną nam *Muzę dworską,* czerpie z Kochanowskiego. Jagodyńskiego; z Rusi, a szczególniej z Moskwy, dobiera rysów niekulturalności. Wydania różnią się poniekąd wzajemnie skutkiem wszelakich dodatków; autor zastrzegał się, że chce zastąpić plugawe angedoty Sowizdrzałowe, ale to mu się niebardzo powiodło.

stwa». Ogólnie powtarzano anegdotę, jak to protestant się dziwił, że katolik uchylił czapki przed krzyżem, ale nie przed szubienicą — przecież to jedno drzewo; na to katolik: a ty gdzie całujesz żonę? i t. d., — przecież to jedno ciało.

Na sejmiku środzkim przepił Jan Leszczyński, wojewodzic bełski, do sędziego wschowskiego Szlichtynga, lutra; ten się wymówił ślubem trzeźwości («mierności»); na co Leszczyński: wasz Luter złamał śluby czystości, ubóstwa, posłuszeństwa, więc możecie p. sędzio i wy złamać swój ślub mierności.

U spowiedzi mówi ksiądz babie: całuj ziemię; ona rozumiała 'że mię', i wymawia się, że stara, ale bierze się do jego ust; on jej głowę do ziemi nachylił. Kędy piwo dobre? pyta szlachcic; u gęby najlepsze; a gdzie ten Gęba? Zygmunt Grudziński, wojewoda kaliski, kupił za 300.000 zł. Wieleń u Kostków i gdy na sumę kupna dopożyczał pieniędzy, skarżył się: zamłodu nie dłużyłem się ani na chleb ani na karty, a oto na starość muszę się dłużyć na kostki. Batory słyszy, że dziewczynka woła na prosiaka 'maluśki', więc (po łacinie naturalnie) «może prosiak zostać kanonikiem krakowskim, bo ma *-ski* (szlacheckie)»; dziwi się, że prymas Uchański nie umie po łacinie, ale prymas dziwi się więcej, że król polski po polsku nie umie. Senator trędowaty i zyz odwrócił się tyłem do króla; wszyscy w śmiech, ale według Jakóba Sobieskiego, wojewody bełskiego, dobrze tak, bo jego tył ładniejszy, niż jego twarz. Zygmunt Skarszewski uchodził za dowcipnego dworzanina; ludzie byli w biblji oczytani, więc gdy ks. Zbaraski gości nieświeżym danielem uraczył, przypomniał zaraz Daniela z lwiej jamy i jego cuchnienie od strachu.

Uprawiano chętnie najstarszy dowcip, słowny. Skarży się Żabczyc (poeta Mniszków i in.), że nie może służby dostać, wymieniają mu służby (t. j. kredensy) u licznych panów. Dostaje się tu Mazurom, jak zwykle: biskup, kpiąc z jezuity Litwina, pyta go, jak kapelusz po litewsku *(kiepure)*; ale jezuita prosi biskupa, niech wpierw przetłumaczy na mazowieckie *noster paradisus*.

Wzywa Mazur lutra do kościoła. — Idę do zboru saskiego. — To ty *sach*? (powszechna nazwa psa, *szach*, szaszek, 'błazen'). Tradycję błaznów podtrzymywał cały wiek aż do dworu Jana III; słynął szczególnie błazen Stanisława Lubomirskiego, wojewody krakowskiego, Słowikowski: raz za przewinienie wychłostano go na progu, z głową w izbie, więc gdy wojewoda zapytał, co z nim było, odparł: że kogoś tam w sieni obito; on był w izbie. Nie brak scen rodzajowych: kasztelan Jan Grodziecki w Lesznie «lekarstwa zażywał»; służba wyszła patrzeć, jak złodzieja wieszają; wracających pyta: coście się nauczyli, wisieć czy wiesić? Gdy wojewodzianka Gostomska wychodziła za starego Chełmskiego (podkomorzego krakowskiego), rzekł p. Aleksander Jordan, że «jejmość brała *senes*»; gdy podkomorzemu żartem rzeczono, aby ikier rybich nie jadł, bo się w nim ryby rozmnożą, on na to: proszę zawczasu na spust.

Nawet w anegdotach kpiono z tytułów obcych, szczególnie dostawało się Ossolińskiemu za odrzucony przez sejm tytuł książęcy i Myszkowskiemu za «Gonzagę». Wdowa po księciu Radziwille, kasztelanie wileńskim, wyszła powtóre za Zebrzydowskiego, starostę nowomiejskiego; pyta jej Ossoliński, czy jej nie żal, że utraciła tytuł książęcy: Nie żal mi go dla tak grzecznego kawalera, a teżem go nie przez konstytucję (sejmową) utraciła. «Świec i marcypanów, bo domy Ichmości w łożnicy zalecają», zawołał podkomorzy czernichowski Kisiel, gdy Ossoliński i starosta liwski Oborski na sejmie starodawność domów (herbów) sobie wyrzucali; na co Oborski: «mego domu nie trzeba oświecać obcemi tytułami (przytyk do Ossolińskiego), ani cukrować, bo nigdy kwasem (przytyk do Kisiela) nie prześmiardł». Krzysztof Ossoliński, brat kanclerza, gdy na sejmie regaliści chcieli królowi donatywę na spłacenie długów przyznać, twierdził, że to nie uchodzi, postawmy mu raczej pomnik; więc Myszkowski (syn): u nas w kraju niema artysty po temu; na to Ossoliński:

mógłbyś Imp. nam z Mantui którego sprowadzić: «tykt» (przytyk) na całe życie mu został (po Mantui Gonzagów).

Opat trzemeszeński sławił na sejmiku środzkim r. 1635 bogactwa arcybiskupa lwowskiego, że ma «w płótnie samem» więcej niż sto tysięcy złotych, na co p. oberszter Krzysztof Przyjemski: ja ubogi nie dałbym przecież za sto tysięcy, co (u siebie) w płótnie mam. Zygmunt Skarszewski, wziąwszy nowy talerz (cynowy), powiedział, że świetny i piękny, póki na nim mięsa sztuka nie będzie, tak i z pannami się dzieje»; gdy francia z p. Grzybowskiego dla jego małego wzrostu szydzili, że nie będzie miał potomstwa, rzekł p. Zygmunt, «że i pod biedną muchą, gdy na świeże mięso padnie, zalęgą się robacy». Gdy królewicze 1633 r. na wierność Rzeczypospolitej przysięgać mieli, zapytał Jan Kazimierz marszałka koronnego Opaleńskiego, czy stojąc, — na co marszałek: dla zaszczytu przysięgi przyklęknijcie choćby na jedno kolano; a Jan Kazimierz: A czemuż WMości przysięgacie żonom stojąc? Dlatego je też zdradzamy często, odpowiedział marszałek. W Szadku na pogrzebie p. Wierzbowskiego dziękowała pani opatowi lędzkiemu, Madalińskiemu, za mszę i jego piękny głos, co jako dzwonysek (Wielkopolanie tak zdrabniają słowa) przy mszy brzmi; na to opat: fraszka dzwonek, ale gdybyś WMpani serce u niego widziała, podobałby się lepiej. Gdy p. Niemojewska na Kujawach u bogacza daremnie swego syna swatała, rzekła na odjezdnem do odwiedzających ją: ten pokój żydami śmierdzi; a on na to póżniej: w tym pokoju nocowała nierządnica, bo gdym wszedł i t. d.

Chociaż przytaczają nazwiska, nie wierzy się w autentyczność niejednego; np. gdy Adam Grodziecki wyjeżdża z biesiady, woła nań «ludzka i układna dama»: nie mijaj! A kędyż miałbym je podziać? Ona: WM. przekręca moje słowa, proszę tylko do siebie na zad (= gdy będzie powracał). «Wolałbym raczej na przzodek». Szlachcic, perorując, nazwał siebie *membrum Reipublicae;* — chyba *muliebre,* zauważył Grodziecki; poprawił się, nazwał się członkiem RP; — taki, jaki u naszych żonek, zawołał Jan Leszczyński. Tenże twierdził, że jego żona «tegoż płotu kołek»; raczej dołek, wedle Przecława Leszczyńskiego. Gdy biskup krakowski do Rzymu jechał i różni o przyczynę (kapelusz kardynalski? jurysdykcja nad klasztorami?) pytali, rzekł Skarszewski: ma biskup dosyć *cavola rapa* (a Rapową krakowianką opiekował się biskup), chciałby mieć teraz *cavolofiore.* Gdy młodziutkiego arcyksięcia za królewnę swatano, dziwił się Grodziecki, że on jeszcze *Musa* deklinować nie umie, a już mu każą *Amo* konjugować; on się skarżył, że między ekonomami królewskimi łatwiej o dziesięciu Małachowskich, niż o jednego Bonara *(malus—bonus);* że miasto chleba popiół jedzą (o wyrobie potażu) i bogacieją, i t. d.

Mało u nas o zachowanie tradycji dbano; Czesi nas i tu wyprzedzili, zebrali już w XV wieku dowcipy Papaczka, błazna Jerzego Podiebradzkiego, i drukowali je w XVI-ym, gdy u nas po takim Stańczyku ledwie coś ocalało; innych znamy tylko z nazwiska. Ks. Kuligowski wydrukował w *Demokrycie* kilkadziesiąt anegdot przyzwoitych, aby niemi nieprzyzwoite z posiedzeń rugować, ależ to jaje bez soli, przeważnie obce i nieciekawe.

WIERSZOMANJA

Co w druku ogłaszano, czy ascetyk czy panegiryk, przyjmowało albo udawało formę literacką; i nikłe talenty stosowały się do schematu, normy. Nie troszczyły się o nie wiersze niezliczone, jakie świat szlachecki tworzył, folgując dowcipowi, językowi, złośliwości. Wszystko, co w jakikolwiek sposób naruszało powagę, obyczaj, prawo, znachodziło piewcę-cenzora, który mniej lub więcej dowcipnie omawiał fakt, zgorszenie. Zgwałcił Rzepecki córkę (ścięty za to, a potem spalony, w drodze łaski, tej samej, co Łyszczyńskiego spotkała); zabił Boksza brata i ścięty

za to; wojował Radziwiłł (birżański) z krzyżami; przytrafił się Komuniace w izbie poselskiej traf nietrefny; żenił się Lampart Sierakowski; rozwodziła się panna Stanisławska z mężem, wychodziła inna zamąż po raz czwarty, itd. — na wszystko sypały się nieraz roje epigramów, dowcipów krótszych i dłuższych, opowiadań, dialogów, a napadnięty nieraz się odcinał tymże sposobem. Nikt tego zgóry do druku nie przeznaczał, bo i treść sama i wiersze o niej były zbyt błahe, drobne, improwizowane, ale wciągano je do *Silva Rerum* szlacheckiego. Nieraz całkiem prywatne porachunki, np. z takim p. Myszyńskim, znachodzimy zdziwieni w rękopisie i pytamy: co to tu robi? kogo, jeśli nie osobistego przeciwnika p. Myszyńskiego (jedynego chyba, co się na bakalarstwie kapitaliku dorobił), mógł ten wiersz zająć, skąd mu miejsce w zupełnie obcej księdze? Rozumiemy, jeżeli Daniel Naborowski opisze «walkę Marsa z Kupidynem» (jak się za włosy porwali Kazanowski z Daniłowiczem na bankiecie), albo ktoś obelżywe wiersze-paszkwile na kanclerza (Ossolińskiego), na niedołężnego Rewerę Potockiego, na regalistę Sobieskiego wypuści, żółci pofolguje, boć to o sprawę publiczną zahacza; ale dowcip ostrzyć na ludziach Bogu duszę winnych wydawałoby się czemś nienormalnem, gdyby nie owa wierszomanja, cecha wybitna całego wieku. Począwszy od królów (Władysław IV i Jan III pisywali wiersze), poprzez wszystkich świeckich dygnitarzy (duchownych należy jednak pominąć), aż do przyjaciół kuflowych i nienazwanych szaraczków, dosiadał każdy przy sposobności Pegaza i harcował nieraz wcale dowcipnie: w tych luźnych wierszach folgowano sobie, nie sadzono się na hiperbole poetyckie; oddychają one życiem, acz sztuka ich niewielka. Nie są to bynajmniej wyłącznie jakieś jadowite jamby; oto Pasek wybucha w skargi po utraconym wierzchowcu, inny pory roku opisze, wszeteczeństwa w wierszu płodzi; rozpisała się cała szlachta, chociaż nikomu z tych pisarzów myśl o druku ani przez myśl

przeszła. Ale obok tej w druku niemożliwej literatury, jeśli wierszydła tak nazwać się godzi, były i inne, równie z druku wykluczone, ale dla innych przyczyn.

LITERATURA NIEDRUKOWANA

Ukrywała się literatura nierównie ciekawsza i cenniejsza, której autor udzielał tylko znajomym i znawcom, nie wychylał się z nią na świat, zadowalał się uznaniem nielicznych, wybranych, albo cieszył się sam z własnego rozmachu. Niema podobnego drugiego wypadku w świecie, żeby w czasach kwitnącego, wolnego druku sięgać należało, niby jak w najgrubszem średniowieczu, do rękopisów. Chociaż świadczą wymownie o ludziach i czasach, na nie same nie wpływały, jako zakopane w ciemnicach domowych. Co żyło, pisało; drukowało niewielu, i to najwięcej niedołęg; co mądre, wielkie, piękne, było skazane na ukrycie, z którego je wiek XIX i XX wydobył.

Przyczynę tego opacznego stanu rzeczy najłatwiej złożyć na karb braku wolności słowa. Obok cenzury duchownej, którą każdy druk przechodził, nie znosiła obywatelska zbytniego sprzeciwiania się bieżącym zapatrywaniom; tylko magnat jak Krzysztof Opaleński bezkarnie ją wyzywał, ale i on nazwiska nie wymienił. Cenzura obywatelska z każdym lat dziesiątkiem stawała się nieustępliwszą; myśl należało przystosować do ogółu, więc precz z krytyką ustroju, tj. nieładu i anarchji, ucisku ludu, służbistości magnatom, niesumienności sędziów, kradzieży grosza publicznego, przewagi duchowieństwa. Przecież już Klonowic nie ważył się pisać w *Worku Judaszowym* o jego lwiej skórze! Satyr, jakie w pierwszej połowie wieku pisywali Klonowic, Opaleńscy i Twardowski w wierszu, a Starowolski w prozie, druga połowa nie znała zupełnie: pisał je Potocki, ale się z niemi starannie ukrywał; czem czas był podlejszy, tem zacięciej milczała satyra, której paszkwile nie zastąpiły.

Lecz ta obawa przed cenzurą duchowną (wałaszącą nietylko fraszki i liryki, ale groźną dla erotyki i romansu), przed cenzurą obywatelską, chroniącą wszelkie «arkana» przed niedyskretnem dotknięciem, nie wystarcza sama dla objaśnienia owej anomalji. Już w XVI wieku nie spieszono do druku, bo nie doceniano ogółu, nie ufano jego smakowi i przygotowaniu. Teraz, gdy się poziom kultury stale obniżał, nie stawano w jednym rzędzie z hałaśliwą, bezmyślną czeredą autorów panegiryków i ascetyków; zamiast ją zwalczać przykładem, piórem i słowem, zasklepiano się w domu, bawiono się tam zamłodu poezją, tam się swobodna twórczość skupiała, ale nie tworzono z niej rzemiosła, nie brano jej na serjo; Twardowski, Potocki, jedyni do końca długiego życia przy niej wytrwali; nawet Kochowski, Lubomirski, nie mówiąc o Morsztynach, porzucali ją zczasem. Druga połowa wieku jaskrawie świadczyła, jak smak, wymagania, zrozumienie osłabły, zajęcia literackie w szerszych kołach ustały. Więc nie nęciło nic do wychylania się na świat, echa nie było, ani sławy, rozgłosu; domator w życiu stawał się domatorem i w literaturze, spółzawodnictwa nie znano; o wydoskonaleniu nie myślano — bo i pocóż? Poeta zadowalał się pierwszym rzutem, nie piłował wierszów; schodził do grobu takim samym, jakim zamłodu zaczynał: W. Potocki był tu świetnym wyjątkiem.

Muzy stawały się «domowemi»; obsyłano się wierszami, żyło się i pisało «dla siebie», co najwyżej «dla niewielu»; nie ceniono własnych wyrobów; przypadek wygrzebywał z rupieci, pleśni, mólów, płody «niepróżnującego próżnowania». Złoty wiek minął bezpowrotnie; dawniejszą wrażliwość europejską zastąpiła gruboskórność sarmacka; coraz silniej zawiewał duch od Wschodu, coraz słabiej błyszczało światło Zachodu; przy końcu wieku pisywały już tylko niedobitki, które w jego połowie za pióro chwyciły; co się jeszcze w druku pojawiało, na druk nie zasłużyło. Sarmackie lenistwo zwyciężyło na całej linji; ale nim do tego przyszło, złożył wiek XVII-ty po rękopisach liczne, cenne świadectwa talentu literackiego i sumienia obywatelskiego, znacznie celujące nad każdym drukiem.

Wacław Potocki np. w druku a w rękopisach — co za różnica! *Poczet herbów*, nieskończona, nużąca chryja, robiona na urząd dla braci szlachty i jej klejnotomanji; *Argenida*, rozwałkowana; *Zaciąg*, ascetyka dosadna — i nic więcej. W rękopisie natomiast świetna *Wojna Chocimska*, szczyt epiki historycznej; *Ogród Fraszek*, żywe zwierciadło-kalejdoskop całego życia szlacheckiego na Podgórzu; *Moralia*, poezja gnomiczna (i satyryczna) wysokiej próby — oprócz nowel, trenów, sielanek i t. d. Dopiero gdy do rękopisów dotarto, ukazała się w całem świetle postać zapomnianego doszczętnie poety, świadka za całą epokę. To najjaśniejszy, ale nie jedyny przykład. Cóż więc kryje się po rękopisach XVII wieku?

Najpierw ta sama epika, którą i z druków Twardowskiego i innych znamy, od diarjusza poselstwa moskiewskiego 1600 r. Lwa Sapiehy, aż do opisów wjazdu Augusta II; z nich *Wojna Chocimska* i *Oblężenie Częstochowy* (to zupełnie do druku przygotowane) może dlatego zalegly w ciszy domowej i klasztornej (?), że poświęcone były temu, co wszelkie nadzieje rychło zawiódł, odrodkowi raczej niż synowi «Jaremy». Do epopei oryginalnych przybyły i tłumaczone, wielkie machiny włoskie, *Orland Szalony* i jeszcze większy *Adone;* pierwszy ocalał w dziesięciu odpisach, drugi we dwuch; mniejsze rozmiarami nowele; epikę religijną zastąpiły tłumaczenia z łaciny i włoskiego i oryginały: przewierszowanie legend wszystkich świętych Pańskich, przewierszowanie ewangelij Potockiego i in.

Liryka religijna, co od Kaspra Miaskowskiego, poety starej daty, począwszy, bujnie w druku kwitła, była w rękopisach jeszcze bogatsza, np. u Morsztynów, a ich sześciu pisało. Inna liryka, okolicznościowa, sielska, obozowa Zbygniewa Morsztyna (jedyna w swoim rodzaju), towarzyska, gnomiczna, była bogato

zastąpiona; tu i różnowiercy (Morsztyni, Trembecki, Naborowski, Karmanowski) dzielnie się zapisali, gdy zresztą ich udział w literaturze widocznie przerzedzał się, jak ich szeregi w życiu.

Dramat wlókł i po rękopisach nieszczególny żywot; co ocalało, nie przewyższało marnoty dramatów szkolnych jezuickich; tylko u Lubomirskiego, acz bardzo niewybrednego smaku, przypominało komedję włoską. Nie należy przytem zapominać, że niejedno, co się w druku ukazało (np. Lubomirskiego *Rozmowy*, A. Morsztyna *Psyche* i tragedje), nie z inicjatywy autorskiej wyszło; że to przyjaciele wymogli druk na obojętnym lub niechętnym autorze.

Nigdy nie dostawały się do druku pamiętniki, najciekawsza odrośl literatury i źródło nieprzepłacone dla dziejów obyczajowości; nieme w druku stulecie przemawia z rękopisów jak żywe. Zastąpione wszelkie stany i ziemie; zgłosiła się nawet płeć piękna w osobie Stanisławskiej. Mieli co opowiadać; byli w Moskwie i Carogrodzie, w Paryżu i Persji, i zdawali o wszystkiem sprawę, rzadko po łacinie (kanclerz w. lit. Radziwiłł), najczęściej po polsku, ale «makaronizując» szpetnie; kobieta czyściej pisała. Opowiadali albo żywo, obszernie, barwnie (wystarczy wymienić naiwnego, chytrego Mazura Paska i jego awantury w Danji, Wilnie, krakowskiej ziemi), albo krótko i sucho. Wiek szesnasty prócz jerozolimskiej podróży Sierotki [1] i paru drobiazgów (między niemi i Górnickiego) milczał, siedmnasty rozgadał się potężnie, ale nie w druku. Obok pamiętników, rzeczy polityczne z chwili bieżącej; rokosz Zebrzydowskiego albo wichrzenia po zgonie Jana III rozpasały pióra, ale te broszury wierszem i prozą, polskie, rzadziej łacińskie, te inwektywy na partje i kandydatów, dialogi i wieszczby, satyry i paszkwile, rozsądki i *iudicia*, protesty i apologje, cenzury i oracje, czem gwałtowniejsze, tem pewniej grzęzły w odpisach wyłącznie i dopiero dziś wywlekają je z zapomnienia; coprawda, wartości literackiej nie mają, nie sięgają wysłowieniem do broszur Orzechowskiego czy Solikowskiego.

[1] Należy dodać: *Itinerarium* Jana Tarnowskiego do Ziemi św. z roku z r. 1518, z którego ocalała obszerniejsza *Terminatio*, wydana przez Kaz. Hartleba z Tek Naruszewicza w *Kwartalniku Historycznym* XLIV, Lwów 1930, str. 50 i n. Tekst łaciński, wcale krótki, rozwodzi się obszerniej nad Synajem i klasztorem św. Katarzyny; dodany jest krótki przewodnik po polsku; oba teksty wyszły z otoczenia hetmańskiego. Por. dzieło Jana St. Bystronia, *Polacy w Ziemi św., Syrji i Egipcie 1147—1914*, Kraków 1930, str. 15—17.

Do jakiej zaciętości, niesłychanej w wieku XVI (chyba jeśli o Barbarę albo arjan rzecz szła), satyra dochodziła, świadczyły np. wiersze Szczęsnego Herburta, rokoszanina z r. 1607, na przeciwników «regalistów», np. na wojewodę poznańskiego Gostomskiego:

Zastarzałyś we złościach, zgrzybiałyś w niecnocie;
Nie schodzić nic do złych spraw na czerstwej ochocie.
Ciebie się stare zdawna przypowieści dzierżą,
A widzę z twarzy, że cię bynajmniej nie mierżą,
Boś uczynił tak właśnie, jako on kołodziej,
Porwałeś też kurwę pierwszą, będąc stary złodziej.
Dziwno mi, że synowi *kardasz* nie rzeczono,
Bo matkę za muchajer w Toruniu *swadźbiono*,
A jeszcze obrzezaniec Tatarzyn niecnota
Ledwie z sklepu wypuścił, starłszy pani kota. [1]

Na Tęczyńskich między innemi:

Odbiegłszy nas, stanęli przy królewskim boku,
Odąwszy się, by żaby, na dwie piędzi w kroku.
Zdrobniała w was uroda, zdrobniała i cnota:
Kto nie wiadom, mógłby rzec, że cudza robota. [2]

[1] *swadźbiono*, t. j. spółkował z nią Tatarzyn, więc syna *kardaszem* (bratem, słowo tatarskie) nazwać; *muchajer*, rodzaj sukna; *zetrzeć kota*, to samo co *swadźbić*. O jakiej przypowieści mowa, już nie wiadomo.

[2] Tęczyńscy byli dziwnie małego wzrostu.

Na Zbaraskich:

Kurewska twarz u obu, obyczaje zatem
Podobne kortezankom we Włoszech bogatym,
Które kwestu szukają z ciała swego psoty,
A ci obaj kwest mają z zdrady i niecnoty.[1]

Na Gulskich:

Familija krawczyków, przerzeczonych Gulskich,
Niewiele zabawiła kronikarzów polskich,
Chyba w księgach cechowych naleźć się co może,
Co do ozdoby domu waszego pomoże...
Zbiegaj ten dom wszerz i wzdłuż, nie najdziesz co pisać,
Chyba w kupy złożywszy, wszystko zaraz osrać.

Na biskupów Pstrokońskiego i Szyszkowskiego:

Wię i ty, głupia szkapo *varii coloris*,
Nuż szyszka, niepotrzebny on *fructus arboris*...
Widzę, że was na jedno kopyto zrobiono:
Bez wstydu, bez rozumu; znać, że się kwapiono.

Wreszcie na Skargę:

A ty *zyzanja*, starcze, jezuito Skarga,
U ciebie była zawsze niewstydliwa warga...
Wydałeś *skrypt*, stanowi swemu nieprzystojny...
Szczypać, łżyć, hańbić — to wasza robota.[2]

Z całej literatury «pisanej» najważniejszy dla kultury szlacheckiej zabytek, to *Ogród Fraszek* Wacława Potockiego, zbiór około dwu tysięcy numerów, krótszych i dłuższych (po kilkaset wierszów), anegdot i żartów, obcych i rodzimych; aluzyj od herbów; polemik (o rzeczach wiary, obrazach, postach, muzyce w kościele, i pod.); morałów; przycinków satyrycznych na

[1] *kwest*, zarobek.

[2] *zyzanja* — kąkol. *Skrypt* Skargi, to broszura jego spółczesna przeciw rokoszowi, który i w dialogach (bezimiennie wypuszczanych) zwalczał. Nie łagodniej obszedł się Herburt z St. Żółkiewskim, który jakoby zasad Zamoyskiego odstąpił za jurgielt z młynów gdańskich, i z Januszem Ostrogskim: oszukałeś ojczyznę, zdradziłeś swą cnotę i t. d. A tymczasem pij i t. d.

niedobory fizyczne (łysych, chromych) i moralne, prywatne i publiczne, o nierządzie w wojsku i sądach, sejmie i skarbie. Szlachcic podgórski, konwertyta z arjan, niezawisły od łaski pańskiej i królewskiej, miernie zamożny, oświecony, chociaż nie z szkół zagranicznych, służący Muzom niemal przez całe życie, ale szczególniej w drugiej jego połowie (1660—1695), złożył w pięciu częściach *Ogrodu* dorobek wieloletni spostrzeżeń, doświadczeń, uwag, wymysłów. Opisał do najdrobniejszych szczegółów życie szlacheckie od kolebki do mogiły, w szkole i grodzie, w obozie i karczmie, w kościele i kole sejmikowem; kłopoty rodzinne mężów i ojców; gospodarskie, z służbą i chłopami; przejścia w gościnie i domu, w zdrowiu i chorobie, na łowach i zapustach, imieninach i chrzcinach, weselach i pogrzebach; młodzież obojej płci, dorośli i starcy, witają nas dobrodusznie albo obłudnie, spowiadają się ze zgryzot, udręczeń, sarkają na losy i ludzi, szukają i dodają rady — galerja nieskończona szlachty na Podgórzu i w ziemi krakowskiej, wyjątkowo i w mieście samem, do której się i lekarz i szot i żyd przyplącze, częściej nierównie «towarzysz pancerny» albo i drab zuchwały, jako w pobliżu Bieszczadu. To życie sielskie, rodzinne, dalekie od dworu i stronnictw, od pogoni za zyskiem i zaszczytem, ustronne i ciche, odżyło w tym opisie-spowiedzi, okraszonym nadzwyczajną barwnością stylu i żywością słowa, nie przeznaczonym dla publiki, więc nie liczącym się z nią. Opis nie przebierał w obrazach i szczegółach, z sarmacką rubasznością, godzącą się jednak z wymaganiami estetycznemi istotnemi (raziło przecież autora wszelkie wykroczenie przeciw dobremu smakowi), obraża nasze przywyczki, bo nazywa wszystko po imieniu, wystrzega się wszelkiej lubieżności (nie Andrzej Morsztyn to), ale schodzi do wszeteczeństw, i dowodzi tylko, co w XVII wieku, jak i dziś, w posiedzeniu towarzyskiem popłacało, że niedaremnie ks. Kuligowski starał się przyzwoitemi żartami te nieprzyzwoite zastąpić, co mu się nie udało. Mimo tego wybryku pozostanie *Ogród Fraszek*

na zawsze olbrzymią mozaiką życia staroszlacheckiego, tem się tylko od najznakomitszej powieści obyczajowej różniąc, że brak mu zwartego wątku, że ciągle przeskakuje od publiki do domu, od żartu do wyrzutu i smutku, od anegdoty do elegji, od morału do pustactwa, od herbów do stajni i gumna.

Wacław Potocki nie jedyny zresztą fraszkopis XVII wieku, tylko największy, najobfitszy, najbystrzejszy; za nim zdąża Kochowski, bardzo do niego podobny (mimo swej ortodoksji, obcej eks-arjaninowi), i cały szereg owych Jagodyńskich, Gawińskich, i innych sowizdrzałów szlacheckich. A przyplącze się do nich z dalekiej ziemi białoruskiej Bratkowski, szlachcic-Ukrainiec, który za swoje przekonania społeczne głowę na rusztowaniu złożył. Niewielka sztuka w jego *Świecie po części przejrzanym*, naiwne to i rubaszne, sili się na dowcipy słowne, ale uzupełnia znakomicie owe podgórskie i małopolskie (Wielkopolska milczy) malowidła. Język nieforemny, inteligencja słaba, rozmach niewielki, ale wystarczy, aby dać poznać różnicę w wychowaniu, obyczaju, myśli, jakie panowały, mimo całej równości szlacheckiej, na dalekich przestworach Rzeczypospolitej, jak ta litewsko-ruska szlachta była zacofana wobec polskiej, od której przejmowała i język i formy towarzyskiego pożycia. W tej napozór jednolitej warstwie były przecież znaczne odmiany; już wtedy wyróżniał się dziki, niepohamowany kresowiec, głośny i huczny, od mruka «Litwina» (Białorusina), cichszego i skromniejszego, a obaj ustępowali przed nierównie kulturalniejszymi synami krakowskiej i poznańskiej ziemi, przed rządnym «Prusakiem» i ubogim (w porównaniu z innymi) Kaszubą.

LITERATURA PODRÓŻNICZA

Dziwnie rozdzieliły się literaturą łacina i polszczyzna, tamta panuje wyłącznie w prozie, ta w wierszu. Nie zostawił wiek cały ani jednego dzieła historycznego polskiego; nawet Sobieski (ojciec), Fredro i Kochowski pisali je po łacinie; zato sporo historji wierszowanej polskiej; Twardowskiego *Wojna Domowa* była dla Ukraińców wręcz dziełem historycznem, na które się powoływali i tłumaczyli; było inne, jeszcze obszerniejsze (niedrukowane, nieznanego autora), co ten sam przeciąg czasu jeszcze dokładniej opisało; krótszych polskich, poświęconych epizodom, oblężeniu Smoleńska (1610) czy Kamieńca, Szwedom na Żmudzi czy Moskalom Szeremeta, Hordzie czy Kozactwu (opisy Białobockiego), było sporo także w drukach. Podobnie miało się z opisami podróży. [1]

Zawsze jeszcze wiele podróżowali ruchliwi aż nadto Polacy; jezuici zapędzali się do Persji i Chin (są w druku i w licznych przekładach chińskie relacje jezuity Boyma z znanej rodziny lwowskiej); świeccy do Moskwy i Carogrodu, Paryża i Rzymu, ale nie zwierzali się z wrażeń, widoków, przygód, z jedynym wyjątkiem kasztelana Niemojowskiego, który Moskwę po polsku prozą opisał, kraj i ludzi-bydło. Zresztą zadowalano się w prozie suchem wyliczaniem noclegów, miast i zamków obcych; rzadko odbiegało pióro do szczegółów pobytu.

Inaczej w wierszu; w nim zostawił wiek najobszerniejsze opisy podróży i życia obcego. Zaczął tę serję Eljasz Pielgrzymowski, pisarz w. ks. lit., towarzysz poselstwa Lwa Sapiehy do Moskwy 1600 r., który diarjusz podróży dla Lwa na wiersze polskie przerobił i jemu oddał — w rękopisie, nie drukował tego: byliby się Moskale obrazili, jak ich Twardowski później «obraził», że aż kat w Warszawie dla zadośćuczynienia *Władysława IV* palił. Ciekawy to obraz Kremlu Godunowego, ze spisem dań na bankiecie carskim i znakomitemi uwagami o wszeteczeństwie, obłudzie, barbarzyństwie moskiewskiem. Jeszcze obszer-

[1] Do wymienionych wyżej dodaj Jana Goryńskiego *Peregrynację do Ziemi św.* około r. 1570, krótki diarjusz podróży licznej kompanji cudzoziemskiej, nie znacznej ani bogatej, trapionej przez Turków i Arabów; wydał go Wł. Baranowski r. 1914; p. Bystroń *(op. cit.)*, str. 21—27.

niej wypadł opis podróży carogrodzkiej w *Przeważnej Legacji* Twardowskiego, odbytej w orszaku wielkiego posła, księcia Zbaraskiego, do Porty, dla ratyfikowania umowy chocimskiej 1622 r. Opisał Twardowski wszystko, co dostrzegł w Stambule pierwotnym, nietkniętym przez Europę, — tak dokładnie, że wiersz polski przerobił na prozę łacińską i wydrukował Kuszewicz; przechadzamy się z nim po ulicach i podziwiamy Wschód z jego derwiszami i gołębiami, hanami (karczmami) i studniami, z dworem sułtańskim i janczarami. Podróż morską z Gdańska do Lubeki opisał wierszem kalwin litewski, Borzymowski, wplótłszy obszerny opis bitwy beresteckiej, ale przygody swoje okrasił wcale romantycznie, dowolnie, i niełatwo wymysłu od prawdy wyróżnić. Ci trzej ocalili honor turystyki polskiej, zbyt skąpej, bo mimo tych wierszów nie dał wiek XVII niczego, coby z *Opisem podróży do Ziemi św.* księcia Sierotki zrównało; zato nie zostawił XVI-ty niczego, coby tym wierszom przeciwstawić można (chyba łacińską *Roksolanję* Klonowica).

MAKARON

Uprawiał wiek XVII również makarony, ale ich nie drukował. Najobszerniejszy i najciekawszy *Macaronica Martholdi Mądzikovii* (czy jak tam inaczej), napisany około r. 1625 przez młodego Stanisława Orzelskiego, zanim się wybrał do Włoch, stęskniony za niemi niewymownie. Złączył siedm ustępów; najobszerniejszy szósty, nad 200 wierszów, opis klasztoru i hożego braciszka, wysłanego na kwestę, i przygody jego u pięknej pani; składał też hołdy Zygmuntowi i Władysławowi; po piekle się przechadzał, znajomych Krakowian tam witając, i wesele chłopskie, homeryczną zakończone bójką, szczegółowo opisał. Nienawidził rokoszan, więc wyliczał uciekających pod Guzowem:

> *Hic* Pierzchnicki *fuit,* Zagajewski, Tchórzewski, Zakrzewski,
> *Nec non* Zaleski, *quem* Przespolewski wyprzedza*t,*
> Zabłocki, Bieganowski *celer,* Chodakowski *sequuntur:*
> O niespokojn*as mentes,* o *pectora* ślepe!

A uciekali oni jak kot, któremu pęcherz z grochem uwiązano do ogona,

> Albo *velut* szlachcic, *cum lentis passibus ibat*
> *Ad* pospolit*um* ruszeni*um contra paganos,*
> *Et postquam iussus* do dom *patriamque reverti,*
> *Abicit arma procul,* woz*um deserit et omnia spernit,*
> Ostrog*as aptat* dwoi*as cursuque velocem*
> *Conscendit* koni*um nec retro respicit unquam.*

W piekle dantejskiem oglądał dzierżawców, niszczących dobra ziemskie:

> *En* doł*us immensus caeco* straszliw*us hiatu,*
> *Ubi* arendarz*os* wespół *cum* bydł*o* zamyk*ant.*
> *Adfert in medium* szerok*um* Detko *regestrum,*
> *Enumerans* sztuczn*os ipsorum nempe* wykręt*os,*
> *Exprobransque ipsis cupidum cum fraude* łakomstw*um.*
> *Hi sunt* ojczyzn*ae exitium, sentina malorum,*
> Pustosz*ant* wiosk*as,* rozpłasz*ant longe colonos,*
> *Affliguntque nimis,* wyciąg*ant stricte* robot*as,*
> *Nec* święta, *nec sanctam venerantur* niedziel*am.*
> *Corrodunt* zewsząd *nummos et* chciwie nabyw*ant,*
> Dziedziczn*os turbant dominos,* niesłusznie pozyw*ant,*
> *Atque* intercizas *vafri* na nice wywrac*ant.*
> *Ipsorum uxores* maślank*am* same przedaw*ant,*
> *Per fora divendunt* gniłk*as* dług*asque* gomółk*as;*
> *Attamen incedunt graviter, ducente* pachołk*o*
> Pod ręk*am, caudam* nazad *portante* karzełk*o;*
> *Pomposeque ferunt* kosmat*as vertice* kuczm*as;*
> *Sum* stan*is cupiunt* głupie zrówn*are* wysoc*is:*
> *Aethera mens habitat, sed* rzyć *immersa* popioł*o...*

W długim rzędzie samobójców, zbrodniarzy, złodziei, lejów (pijaków, z pysznie dobranemi imionami), poznał kupców krakowskich:

> *Cognovi* Winkler, Rhed*um,* Ionasz*umque* Stypler*um,*
> *Et* Raszk*um,* Szad*um* Montelupi*que,* Cellar*um,*
> Bolewicki, Cetys, Bok*um* Fricier*umque* łakom*um.*

Innumerosque alios szalbierzos *reperi* Szotos,
Qui portant krόbkas *humeris* pieniądzosque wyłudzant;

(nazwiska wszystkie znane). Dalej lekarzy; djabli:

Hic (dictu horrendum) miseros candente płomienio
Cristerant medicos, quibus est przestrona *potestas,*
Umęczandi *aegros,* ludzios niesłusznie *necandi.*
Hic Wędzonka *fuit,* Grodzicki, Ianicus *et* Oczko,
Et Zemelka, żydus Maier, *Gallusque* Moreski,
Grabianus, Kitloff, Posselius Mathesiusque,
Furfantus *quidam* Włochus *cognomine* Foelix.

Srożej prześladował adwokatów, dla zysku przewłaczających sprawy:

Et quamvis chłopi *fuerunt obscuro cubili*
Progeniti, temnunt szlachtam pysznieque poczynant;
Vix tangunt capite czapkam, rozmowa *nec ulla,*
Haud tollunt oculos sursum, sed pilnie na rękas
Patrzant, *si* brząkant *ducatis sive taleris...*
Hic Czosnowski *fuit,* Cyran, Wiatrowski, Górzycki;
Brzeziński Clemens, Lasowski, Zatajski, Nieradzki,
Niedzielski, Sarnowski *et* Zacharjaszek obiesius.[1]

W gaju rozkoszy widział poetów; pomijam starożytnych; z Włochów wymienił Petrarkę, Baptystę Mantuana, Ariosta, Guarina, Pontana, *Dantem praeterii rugosa fronte severum, Conspexi Tassum quodam* kątone *iacentem; Archipoeta bibitque unus* (?) *pro mile poetis; Hic est Coccaius* wychodi *ianitor alti;* Machiawel (którego strasznie oczerniał) i Aretyn. Z Niemców-pijaków

[1] W *Rewersale* z r. 1606 pisał szlachcic nienazwany, rokoszanin, o «prokuratorach»: «jako się bogacą, jaka presumpcja w nich, zacni ludzie przede drzwiami stoją u nich, a jakiemi figlami, szalbierstwy ci ludzie rosną»; jak po księdzu nie cieszy się ze zbioru jego pokolenie dalsze, «także i po tych najemnych łgarzach. Ano Dębowski, Odrzywolski, Kumelski, Milewski, Laskowski, Gryńcza i inszy, u djabła jedni są, a zbiór ich u dwu. Najemnymi łgarzami dlatego je zowię, że (w niesprawiedliwej kauzie) najmę prokuratora, a on za mnie łże i łże tak dobrze, że ziemia schnie, czyniąc z białego czarne, a z czarnego białe» (II, 254).

kpił niemiłosiernie; najprzykrzej dotykają wyzwiska na różnowierców, urodziny Kalwina przedstawił w przerażającej grotesce; najskromniejsze jeszcze, jego nagrobek:

Clauditur hoc grobo *rabies,* wścieklina, *libido,*
Impietas, monstrum, blasphemia, wzgarda *deorum,*
Cui Sathan ojcus *erat, genitrix* piekielna *megaera,*
Geneva sed funus, dederat Germania vitam.

Ależ i stary Miaskowski nie wzdrygał się przed podobnem oczernianiem Lutra. Jezuitów nie lubił, wytykał im wiele:

Optima wybierant *ingenia,* na swe kopytum
Wyprawiant stucznique *fiunt multumque sagaces...*
Ut capiant nummos, ludzis *morientibus adstant...*
Vota duo servant: casti semperque posłuszni
Esse volunt, nędzam *paupertatemque verentur*
Et niedostatkum *metuunt* głodumque *malignum,*
Unde majętnościas *et praedia multa* nabywant;

wypędzają ich z innych państw, — *quos tu prudens Lechita caveto!* Niektóre opisy, np. klasztoru brudnego, ubogiego, raz w rok zamiatanego, obwieszonego pajęczynami, o wygłodniałej braci, aż rażą realizmem; na weselu chłopskiem bójka:

Jecha *ferit* Jechus, czuprynam *vellicat ipsi,*
Cui penitus wszystkie *digitis haesere capilli...*
Exhalat nędznus *animam,* kozielca wywracans.
Sternit Wacha Walek, Kubam *petit obvius* Olek.
Nubila mieszantur *magno clamore* wołantum
Dziewkarum; drugie milczant *nec* bardzo wydzierant,
Quamvis każda *suam proprio de nomine* córkam
Matka *domum vocitet, sed tardis auribus omnem*
Excipiunt głosum *tacite nec verbera pensant.*

Zwracał się do Zygmunta III, niech raczy przyjąć te liche wiersze:

Haud equidem gładkos, *verum de corde* przychylno.
Nie opatrzenia żądo głodnus *nec* za to starostus
Esse velim, nie dbam dworskam *lizare* polewkam...
Caetera sunt fraszki, sama *est* Warszawia *zamek,*
Vistula quam lambit, celeberrima rzeka *Polonis.*

39*

Wyliczanie herezjarchów (między nimi i Erazm) kończył:

Niezliczni*que alii, qui tot trusere* do piekła
Dusz*as* przeklęt*a*, *quam* zmysl*avere*, nauk*a*.

Opaleński recytował: «niech ci makaron Orzelskiego dopowie»; rękopisy licznie różnią się tekstem i objętością. [1] Żaden inny makaron nie może równać się objętością ani ciętością; ma nieraz ładne pomysły; wymienia swoje Muzy: *Parnasi* odźwierna Polichna, Greta*que* Kumka *simul*, Zawichoyska, Stroichna, Radawten (od kart termin!), które mu «za zasługę dały wymiat*are Parnasi* komin*os*».

Osobliwością wieku były bibljoteczki pisane, jakie sobie szlachcic w domowem zaciszu dla własnej i potomków pamięci zakładał. Książek on z zasady nie kupował, oprócz «minucyj» (kalendarzy) z ich zawodnemi przepowiedniami czy pogody, czy aspektów politycznych; poczęści nie było co i kupować, bo zgóry trzy czwarte publikacyj stanowiły obojętne panegiryki i ckliwa ascetyka; zresztą domator do Krakowa i Warszawy, gdzie o książki było łatwo, nie zaglądał, a księgarz wędrowny, na targ lubelski czy jarosławski spieszący, z głównej drogi rzadko zbaczał. Więc nakupił szlachcic papieru i spisywał powoli, jak materjał napływał; to mowy wszelakie (weselne, pogrzebowe, sejmowe); to wiersze (pamflety, nowele, liryki, erotyczne czy religijne); to listy rodzinne, polemiczne, np. obelżywą strasznie korespondencję Djabła Łańcuckiego z Jazłowieckim, albo kasztelana Warszyckiego czy Kochanowskiego z arcybiskupem Prażmowskim — nawet Pasek ją sobie przepisał do własnego pamiętnika!; to wszelakie dyskursy i traktaty, np. o tytułach cudzoziemskich, o kawalerji (Władysława IV) zagrzebanej, o tem, czy św. Stanisława Kostkę jezuici czy szlachta sobie przywłaszczyć winni, i t. d. Znachodziły się obok tego zagadki; facecje obce i własne, recepty i wszelakie tajemnice kuchni czy apteczki; nieco i pornografji żartobliwej, np. t. zw. «mowy serbskie» weselne. Dalej rachunki gospodarcze, ceny, akty urzędowe czy procesowe, inwentarze. Wyjątkowo sortował autor-kopista staranniej treść i zbierał w jednym rękopisie wyłącznie wiersze, w drugim mowy; kazał luźne zeszyty oprawiać w grubą skórę i chrzcił ten zbiór, nieraz o tysiącu stronic, najrozmaiciej — myśmy przywykli do *Silva Rerum*, chociaż właśnie tego najodpowiedniejszego tytułu wiek XVII nie używał jeszcze; jest *Olla potrida, Penu synopticum*, i t. d. Takie *miscellanea* płonęły z drewnianemi dworkami szlachty (mieszczanie układali je zupełnie wyjątkowo), mimo to ocalała spora ich liczba, szczególnie z wieku XVIII.

[1] Korzystałem z czterech (Jagielloński; dwa akademickie; petersburski); w Warszawie jest ich więcej; próbkę wydał Załuski.

BIBLJOGRAFJA

Literaturę XVII wieku, łacińską i polską, znamy z druków spółczesnych i z rękopisów; przedruki nowe są rzadkie, szczególniej łacińskie, gdzie jedyny Sarbiewski wyjątek stanowi. Z rękopisów wydał Brückner *Ogród Fraszek* i *Wirydarz* (zob. wyżej), Akademja *Moralia* Potockiego; tegoż *Wojnę Chocimską* i wybór pism jego zob. w *Bibljotece Narodowej*. Najwięcej przedrukował Turowski, Twardowskiego, Kochowskiego i in., ale i to bardzo niewiele w porównaniu z zasobami istotnemi; nawet *Wojny Domowej* niema. Lepiej poszczęściło się Sielankom (w Bibl. Pisarzów polsk. Ak. Um.); gorzej Satyrom (brak *Coś Nowego* Ł. Opaleńskiego, i in.). Piotra Kochanowskiego wydobył J. Czubek z druków i rękopisów; A. Morsztyna wydał wiele, nie wszystko, Chmielowski; Hieronim, Zbygniew, Stanisław czekają na przedruk; najskąpiej wyszedł Lubomirski — brak zupełny nowych przedruków, są tylko z XVIII wieku; on domaga się koniecznie zupełnego wydania, coby nawet jego łacinę objęło, ale *Piramusa i Tyzbę*, jako nie jego, wykluczyło. Drukowano wszelakie drobiazgi, jak je traf nasuwał, Chelchowskiego, Wieszczyckiego, Dachnowskiego i in., rzeczy bez wartości; wiele nierównie godniejszych druków dotąd nie uwzględniono.

Literatura sowizdrzalska spoczywa dotąd w drukach oryginalnych: wszystkie zachowane zebrał i opisał jak najdokładniej K. Badecki

w *Literaturze mieszczańskiej* (Lwów 1925, z dopełnieniami w *Pamiętniku Literackim* XXV); zamierzał je wydać, czego niestety dla zbytnich kosztów dotąd nie ziścił.

Oprócz samych tekstów należałoby wspomnieć o biografjach i studjach literackich, poświęcanych prozie i poezji wieku. O kaznodziejach pisał J. Maks. Ossoliński jeszcze, nastąpiły nowe przyczynki o Lorencowiczu i in.; w *Pracach historyczno-literackich* Chrzanowskiego są szkice o Lubomirskim, W. Potockim i in. K. Heck nie dokończył obszernej monografji o B. Zimorowicu, któremu mylnie i *Roksolanki* brata przypisał; są monografje o Gawińskim, niewyczerpujące o Twardowskim i Kochowskim; z źródeł archiwalnych tylko o W. Potockim i Pasku. Literaturę dramatyczną, acz nader ubogą, opracował St. Windakiewicz w szkicu o *Teatrze ludowym* i w dziełku: *Teatr polski przed powstaniem sceny narodowej*, Kraków 1921. Przyczynki luźne zawiera *Pamiętnik Literacki*. Dzieła ogólne o literaturze wspomnieliśmy wyżej; Brücknera *Dzieje literatury polskiej* najszczegółowiej całość tego wieku opracowały.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SZTUKA

Wstęp. — Muzyka. — Architektura. — Malarstwo. — Rzeźbiarstwo. — Sztuka polska w Moskwie.

WSTĘP

Jagiellonowie, nawet obaj ostatni, zmysłu osobliwszego dla sztuk pięknych nie wyrobili; lubili rzetelnie muzykę, wokalną i instrumentalną; tę istotnie pielęgnowali; poza nią budowa kaplic i grobowców, zamawianie obrazów familijnych i medali, wyczerpywały ich zajęcia sztukami. Inaczej za dwu pierwszych Wazów. U Zygmunta III znaczyła sztuka nierównie więcej; sam malował, sprowadzał malarzy do kraju, patrzył chętnie na widowiska sceniczne, muzyki nie zaniedbywał — niestety, brakowało zupełnie nuty narodowej, starczyły jemu trupy aktorów niemieckich (angielskimi zwanych), a o wyhodowaniu talentów rodzimych ani myślał, nie wysyłał zagranicę zdolniejszych; zimny, sztywny ton jakby go nie opuszczał i w pielęgnowaniu sztuk pięknych, nie umiał, ale i nie starał się, rozruszać, przyciągnąć społeczeństwa.

Nierównie ruchliwszy i gorętszy Władysław IV zapałał istotnem amatorstwem opery i baletu; poznał się z niemi zagranicą i zaszczepił je w kraju, nie skąpiąc (aż do rozrzutności) kosztów i trudów; ściągał tłumy widzów, lecz obojętności narodowej wobec życia dworskiego i miejskiego, bez których opery i baletu niema, nie przełamał, i z przedwczesną śmiercią jego opera i balet jako stały repertuar zabaw dworskich przestały istnieć; powoływano je za Jana Kazimierza tylko chwilowo do życia i nie odmieniło się to za Sobieskiego. W porównaniu z operą inne sztuki piękne Władysław mało uprawiał; miał malarzy nadwornych, obcych, bo i ojciec i on myśleli o uświetnianiu

zwycięstw i zdobyczy wielkiemi płótnami, bo im obydwu sztuka miała ich tryumfami po świecie rozbrzmiewać, ale trafili na czasy upadku malarstwa wielkiego, monumentalnego, przynajmniej we Włoszech, dokąd przeważnie związki obu królów sięgały. Ani w architekturze ani w rzeźbiarstwie nie mogli się poszczycić Wazowie pomnikami, coby się zrównały z kaplicą Zygmuntowską. Ale pałace budowali, szczególniej w Warszawie, gdy raz Kraków opuścili, a za ich przykładem magnaci zawodniczyli w budowlach okazałych, nieraz niestety zgóry przeznaczonych na niedokonanie (dla rozmiarów zbyt wielkich), albo na rychłe zniszczenie, co już Barklay wytykał: *domus ducales struunt decore, magno splendore, sed mox erectas linquunt neglectas* etc.

W architekturze i rzeźbie stanął obok dworu i magnatów, a raczej przewyższył ich okazałością i trwałością, zakon jezuitów. Dla świątyń i kolegjów wyrobił własny, osobliwszy styl, nie narodowy, skoro gotowe plany wysyłano z Rzymu, albo naśladował własne, rzymskie budowle; przykładem swoim pociągnął inne także zakony, i bernardyni czy dominikanie budowali nowe świątynie i domy na wzór jezuickich; spotykamy się z niemi nietylko w Krakowie i Lwowie, Wilnie i Warszawie, gdzie powstają najokazalsze, ale na całej dawnej Rzeczypospolitej.

Nad sztukami pięknemi tego stulecia zawisł niemal wyłącznie wpływ włoski, nigdy tak wszechwładny, jak właśnie w XVII wieku. Zaczął się już w XV-ym, ale wtedy borykał się jeszcze z niemieckim; gotyk i formy przejściowe, mieszane, panowały, szczególnie w cechach, po dawnemu, ustąpiły ostatecznie dopiero teraz na zawsze. Włoscy malarze, architekci, muzycy, nieraz z uszczerbkiem sił domowych, szukających zajęcia zagranicą, mimo protestów cechowych opanowali warsztaty, pracownie, kapele, gdzie procent krajowców nieraz minimalny. Sztuka włoska zaś miała renesans już za sobą; już nie popłacały szlachetność i prostota linij, harmonja i symetrja części, spokój i pogoda w poglądzie na świat, ideały klasyczne, pogańskie używanie życia; linje się łamią, części górują nad całością, niespokój mąci symetrję, szczegóły przerastają, kłócą się z sobą (elementy klasyczne z chrześcijańskiemi), kształty coraz bujniejsze i masywniejsze, przytłaczają rozmiarami, gwałtownością ruchów, barwami krzyczącemi. Jesteśmy w pełni baroku, który nietylko w sztukach pięknych, ale nawet w literaturze pięknej, w jej zawichrzeniu i pompatyczności się odezwał.

Szczegóły tego okresu dotąd stosunkowo mało znane. O sobie sam niemal nic nie mówił, a pamięć o nim rychło zagasła wskutek odmiany gustu i stylu; więc posiadamy mnóstwo nazwisk (np. malarzy cechowych) i wzmianek gołosłownych; wiele obrazów, rzeźb, kościołów, a nie możemy ich łączyć z twórcami; również spadek muzyczny, nie najuboższy zresztą, nie doczekał się jeszcze wyczerpania. Rysów ściślej narodowych sztuka wtedy nie przybrała, kostjum jej obcym pozostał; prawda, bywało tak samo i poza naszemi granicami, barok zaciężył nad całą Europą. Inną cechą wieku było szerzenie sztuki polskiej daleko poza etniczne i polityczne granice: panowała ona i w Kijowie i w Moskwie, niemal wszechwładnie.

MUZYKA

Gdy w innych dziedzinach sztuk pięknych ważyły się wpływy włoskie (z Włoch północnych niemal wyłącznie) i niemiecko-holandzkie (idące najczęściej na Gdańsk), w muzyce jedynej wpływ włoski przez całe stulecie panował niepodzielnie. Miała kapela królewska i roranterja krakowska już w przeszłym wieku zasłużony rozgłos; teraz, za Zygmunta a szczególnie za Władysława, szczyciła się wirtuozami, śród których i polskie odznaczały się nazwiska, chociaż może Gomółki nie dosięgały. Przeważali znacznie obcy, Włosi, i tak np. w wydawnictwie zbiorowem *Melodiae sacrae* (pysznym druku krakowskim z Łazarzowej oficyny, Skalskiego, z r. 1604), *Vincentii Lilii Romani,*

t. j. 20 kompozycyj 15 muzyków królewskich; wszystko Włosi, kapelmistrz Pacelli, Hakenberger (polski Niemiec, później «archimuzyk» gdański), jedyny Andrzej Staniczewski Polak, chociaż w składzie kapeli samej Polacy mniej więcej połowę stanowili. W r. 1643 Jarzębski, sam muzyk królewski, opisywał kapelę:

Włoszy nadobnie śpiewają;
Trudno przebrać: Baltazaro,
W Rzymie taki sopran *raro*.
Masz tam z Forsztera altystę.[1]
I Copula z Dzian Maryją,
Gorgami subtelnie ryją.
Polacy sopranistowie
Dawni to wokalistowie —
Tam i Elert wiolista
Przedni, a Galot lutnista,
Simonides kornecista,
Dobry Graniczny sztorcista.
Puzanów jest kilka przednich...
Fletów, mutów używają,
Szałamaje i pomorty,
Tak teorby, kitarony.
Arfy rzadko zażywają,
Z lirą nieczęsto bywają.
Marek kapeli magistrem,
Skaki a wicemagistrem.
Pękiel, zacny organista
Dobry z nimże komponista
I Mielczewskiego też rzeczy.

Tu tylko kilka nazwisk wymieniono; Gallota wysławiali poeci; Jean le Laboureur pisał r. 1646:

«Muzykę królewską cenią jako pierwszą w Europie; złożona szczególnie z najlepszych głosów włoskich, kosztuje króla nadzwyczaj, tak w pensjach, jak w nagrodach i szczodrości; namiętność, którą żywi ku tej prawdziwie królewskiej rozrywce, nie dozwala mu nic poskąpić, aby przyciągnąć do swej służby wszystkie znakomitości».

---

[1] Słynny z fenomenalnego głosu.

Króla zaś naśladowali magnaci; Czerniecki donosi o Lubomirskim:

«kapela zaciągniona w r. 1645 z cudzych krajów przez Włocha Filipiniego, kawalkatora, a naprzód wokalistów, *discantistae castrati*, Izydor, Baltazar i Paul Filipini; *altistae*, Markiety, służył potem cesarzowi Ferdynandowi IV, Dzian Baptysta, Bonifacy; *tenoristae*, Matheo, służył potem (po śmierci Lubomirskiego) temuż cesarzowi, Benedykt, Lachini, który i na teorbie grał, Fryderyk niemiec, kapeli *magister; basistae:* ks. Jacek wenet, Karczowski polak, ks. Lukini franciszkan włoch, Kiczawski polak, ojciec organisty, ks. Wierzbicki polak, potem proboszcz starowiśnicki. *Instrumentalistae:* skrzypek włoch Wincenty, Stanisław polak, drugi Stanisław zarazem kornecista i puzanista; Wojciech, kornecista i kwartpuzanista, Hosztor z Wiśnicza, toż; Kiczawski, kornecista, Lichocki szlachcic, później prałat, Iwański szlachcic, Napolski, Benedykt z Polonnego, Swiechowski, kornecista i puzanista, Marczewski, kornecista, Heroldowski potem księdzem został, Polański storcista, szlachcic, organista Sobestjan: a wszyscy powinni byli uczyć każdy chłopca, którym barwę (liberję) jako i magistrom dawano ze skarbu i prowiantowano».

W literaturze muzycznej zapisali się wenecjanin Diomedes Cato, sprowadzony przez St. Kostkę, potem u króla; ośm jego tańców polskich umieścił Bésard w *Thesaurus harmonicus* z roku 1603, a Skalski wydał r. 1606 jego nuty na lutnię do rytmów Maryjnych łacińskich, przełożonych przez St. Grochowskiego; r. 1607 *Pieśń o św. Stanisławie* z nutami tegoż. W Wenecji r. 1611 wydał Mikołaj Zieleński, organista i mistrz kapeli prymasa Baranowskiego w Gnieźnie, *Offertoria* i *Communiones* w biegu całorocznym, za podnietą i za środki prymasowe, w partyturze *pro organo* i w ośmiu księgach głosowych; Zieleński dedykował prymasowi oba dzieła z Wenecji (czy wysłany tam przez prymasa dla nauki u najsłynniejszego podówczas muzyka Gabrielego?). Znawcy wyrażają się o tem «wielkiem dziele» z wysoką chwałą. W rękopisie pozostały «koncerty» (sonaty) Adama Jarzębskiego z r. 1627; formy swoje przejął od włoskich twórców nowoczesnej muzyki instrumentalnej. Najświetniejszym talentem wśród polskich muzyków królewskich był ks. Bar-

tłomiej Pękiel, wicekapelmistrz obok Marka Scacchiego, kompozytor kilku mszy, kantaty i innych utworów muzyki kościelnej; «silny w nich pierwiastek dramatyczny i krytyczny; nowe formy muzyczne przejmował rychło po stworzeniu ich na obczyźnie, starał się jednak nadać dziełom swoim cechy polskości. Pośród nielicznych kompozytorów polskich swojej epoki zajmuje Pękiel miejsce naczelne» (Jachimecki). W druku pojawiły się jego i Marcina Mielczewskiego kanony w dziele polemicznem Scacchiego *Cribrum musicum* przeciw gdańszczaninowi Siefertowi. Liczne kompozycje Mielczewskiego ocalały po obcych zbiorach, jego styl całkiem barokowy, nadużywa koloratury, gorgów, które u Pękiela jeszcze skromne. Po klasztorach utrzymywał się dawny kult muzyczny; franciszkanin A. Chyliński ogłosił w Antwerpji r. 1634 szesnaście kanonów; cysters St. Szarzyński pozostawił w rękopisach cenne sonaty, msze itd.; norbertanin Seb. Ant. Kaszczewski napisał między r. 1674 a 1693 liczne koncerty; Jacek Różycki, sekretarz Jana III, jego kapelmistrz nadworny, był autorem «mszy koncertowej»; ks. Grz. Gorczycki, bardzo konserwatywny kompozytor w licznych, jednolitych swych utworach; liczba tych kompozytorów klasztornych przeważnie dotąd nie wyczerpana, dzieła ich nieznane. Jezuici przyczynili się walnie do pielęgnowania muzyki kościelnej przez założenie r. 1639 stałej kapeli muzycznej przy kościele św. Barbary w Krakowie, a założyli dalej osobne kolegjum i bursę muzyczną w Krakowie (takie same r. 1657 w Lublinie); repertuar owej kapeli opierał się głównie na kompozycjach wychowanków bursy jezuickiej. Przez długie lata okraszała kapela każdą większą uroczystość, kościelną i świecką.

Muzyka świecka nie mogła się równać na ilość dzieł czy talentów z kościelną; repertuar dyletantów i profesjonistów składał się z dzieł obcych. Z jednym wyjątkiem: wcześniej niż po wielu innych krajach, zawitała do Polski opera włoska dzięki Władysławowi IV. Warszawa wyprzedziła Paryż. Jako przedstawiciel króla polskiego bawił królewicz na uroczystościach weselnych w domu Medyceuszów we Florencji r. 1625; dla niego wystawiono balet-operę (świeży wynalazek włoski) *Wybawienie Ruggiera z wyspy Alcyny* (epizod z *Orlanda Szalonego*), jedną z najwcześniejszych oper włoskich, z muzyką genjalną Franciszka Caccini; libretto było Saracinellego; piękny przekład, zachowujący metra włoskie, wydał, obecny przy widowisku, S. S. Jagodyński, w Krakowie 1628 r. Władysław zachwycił się kunsztownem widowiskiem i śliczną muzyką, zainteresował się teatrem, i już r. 1628 kazał w mięsopust wystawić mit *Galatei* z intermedjami, machinami (sprowadził do tego z Mantui inżyniera teatralnego). Gdy został królem i wojen zaniechał, powołał do życia r. 1637 teatr, pierwszy stały w Polsce; jeżeli bawił poza Warszawą, urządzał dla teatru budynek drewniany Bolzoni; w Warszawie wystawił na to salę w zamku architekt Locci (twórca kolumny Zygmuntowej), którą Jarzębski naiwnie opisał: (dla komedyj i tragedyj),

> Dla tych *theatrum* cudowne
> Z perspektywami budowne,
> Stoi zacne z kolumnami.
> Jedne kunszty na dół schodzą,
> Wagami do góry wchodzą;
> Drugie szruby obracają,
> Czynią z chmurami ciemności,
> Potem światłość przyjemności;

wylicza dalej wszelkie scenerje, baty na morzu, zwierzęta przechodzące; jak z drzewa

> Wyskoczy piękna osoba
> Na *theatrum* wdzięcznym głosem;
> Potem k niemu jedni wyszli,
> Za nim też i drudzy przyszli,
> Odprawując komedyją
> Śpiewaniem a melodyją
> Sztuczną, jakby rozmawiali
> Sobie i zaś przymawiali.

W klawicymbał pięknie grają,
Nogi im po włosku drgają.
Kagańców rzecz niezliczona...
Dwoiste ma okna w sobie:
W jednem staną dwie osobie.
Wzdłuż jej dość, ma szerokości,
Dostatek w niej bywa gości.

Łożył król na teatr nadzwyczajne trudy i koszty, jego ajenci włoscy wyszukali mu członków trupy (opera liczyła około 30, komedja 10); dyrektorem orkiestry został Marek Scacchi, śpiewaczka słynna Catanea opuściła Polskę niebawem; libretta komponował własne albo brał cudze Wirg. Puccitelli (np. Paschatiego *Dafnis,* co Twardowski naśladował), *Porwanie Heleny, Św. Cecylja, Opuszczona Armida, Eneasz, Śluby Kupida i Psychy, Narcyz odmieniony,* i t. d. (muzykę dorobił Scacchi). Historyk Wassenberg stwierdzał, że wszyscy, nawet ci, co wiele Europy zwiedzili, zeznawali, iż czegoś równego w pracy czy sztuce nie widzieli; inny widz naoczny, Tyrolczyk Schuple, po komedjach we Florencji i Mantui nie widział nigdy żadnej innej, coby zrównała z operą *Św. Cecylji,* dla Cecylji Renaty wystawioną; intermedja (sceny mitologiczne) przerywały akty, zapełniały przydługie pauzy, potrzebne dla ustawienia nowej scenerji; nad główną sceną była wystawiona mniejsza dla tych intermedjów. Obok oper dawano balety; ocalały trzy ich programy; wedle jednego, *L'Africa supplicante,* najsłynniejsza śpiewaczka, Catanea, jako murzynka, wzywała króla o pomoc przeciw barbarzyńskim narodom, poczem «murzyni» śpiewali chórem, a dziesięć baletnic-murzynek tańczyło; nastąpiły tańce gości dworskich, a murzynki wróciły jeszcze na ukończenie zabawy. Przedstawienia nie były chyba jednorazowe, wobec znacznych kosztów i długich przygotowań; powtarzano je pewnie kilka razy z rzędu; w pamięci potomnych głębiej się nie zapisały, już w *Co Nowego* z r. 1650 dosyć niejasna o nich wzmianka. Była to zabawa królewska i skończyła się z życiem Władysława; Jan

Kazimierz wypłacił jeszcze kilka półrocznych pensyj; Puccitelli opuścił Polskę 1649 r., a za nim i ulubieniec «Balcerek» (sopran Baltazar Ferri).

Koszty kapeli i opery były ogromne; już Zygmunt III nie żałował ich (ani trudu), aby najlepszych zbierać artystów; Zygmunt Myszkowski miał kapelę włoską, za odstąpienie kilku instrumentalistów dostał od króla starostwo; innym panom odbijał śpiewaków i lutnistów; gdy do Szwecji r. 1592 się wybierał, towarzyszyła mu kapela złożona z piszczków, lutnistów, organistów (między nimi Krzysztof Klaboni z kapeli Batorego) ośmiu; trębaczów pięciu (dwuch Węgrów między nimi), bębnistów dwuch; śpiewaków dziewięciu i sześć pacholąt dyszkancistów. Roku 1592 muzycy włoscy i polscy, osób 38, brali rocznie (z żup wielickich) złotych 12.724; kapela litewska (osobna), osób 15 (kilku Szwedów między nimi), 2.320 złotych, a dwuch bębnistów 288 zł., ale to tylko stała pensja; do tego przystępowały gratyfikacje, strawne, ubranie. Personel operowy Władysława IV, 20 śpiewaków, 50 instrumentalistów i chór, nie wystarczył Janowi Kazimierzowi, który zarazem pensje roczne, wynoszące dawniej po 300 zł. (bez diet), tak podwyższył, że wicedyrektor Pękiel pobierał 3.000 zł., inni wszyscy powyżej 1.000 zł.; jego cywilna kapela kosztowała rocznie 38—39.000 złotych (w wojskowej było 19 trębaczy); za naukę chłopca 360 złotych; na kolędę 300 zł.; na pogrzeb 350 zł. (za Zygmunta Augusta i jedno i drugie po parę złotych). Skutkiem tej rozrzutności wypróżniła się rychło kasa królewska (która też zaległości wszelakie, nieraz nad 3.000 zł., wypłacała) i świetna kapela rozprószyła się po świecie (do Wiednia poszedł Balcerek, inni wracali do Włoch i t. d.), a zostało przy królu tylko kilku.

Kraj cały rozbrzmiewał muzyką; nie było klasztoru, kościoła, bractwa, coby nie miały własnej kapeli; kapela krakowska rorantystów podupadła wprawdzie po przeniesieniu stolicy znacznie (nie wzbił się ponad mierność już żaden z jej dyre-

ktorów), ale powstawały coraz nowe, bo mnożyły się coraz fundacje na kapele śpiewacze (na ową jezuicką bractwa miłosierdzia przy św. Barbarze złożono 40.000 zł., oprócz paru nieruchomości). Szczególnie hojnymi okazywali się biskupi kujawscy; Maciej Łubieński wyposażył r. 1641 kapelę włocławską, złożoną z dyrektora chóru, storcisty, kornecisty, puzonisty, skrzypków i innych muzyków do śpiewu figuralnego, wraz z bursą muzyczną, wychowującą chłopców na muzyków. Płock miał kilka kapel; najlepsza przy katedrze, wyposażona przez biskupa Stanisława Łubieńskiego r. 1638 na siedmiu księży, 12 kleryków, 36 chłopców (z szkoły muzycznej przy katedrze) i kilkunastu instrumentalistów, a na wielkie uroczystości przybierano jeszcze instrumentalistów z jezuickiej i benedyktyńskiej kapeli płockiej. Wielu z nich kusiło się o komponowanie mszy, ofertorjów, litanij i t. d., które zresztą rzadko ponad dyletantyzm pospolity wybiegały.

Natomiast teorję opracowywano wyjątkowo; Starowolski po łacinie dał rzecz bardzo przestarzałą r. 1650; Aleksander Gorczyn malutką «tabulaturę muzyki» r. 1647,[1] której zasługa, że po polsku. Od r. 1643 do 1647 toczyła się żwawa polemika: Paweł Siefert, muzyk Zygmunta III, potem organista przy kościele N. P. M. w Gdańsku, dowodził przeciw kapelmistrzowi Forsterowi (tamże), że muzyka niemiecka stoi wyżej niż włoska, co tylko opery i śpiewki pisać umie, gdy niemiecka właściwej kompozycji uczy; w ten spór wmieszał się warszawski kapelmistrz Scacchi i dowiódł Siefertowi niesłuszność.

[1] W przedmowie zaznaczył brak u nas wiedzy teoretycznej: «bo jeśli tylko sami postronni wiedzieć *principia* kunsztów będą, a my tylko od nich z rąk wszystkiego patrzeć, jakichże pośmiewisk słyszeć nie będziemy, których i teraz dość się nasłuchamy, gdy porywamy to z chciwością, co jest u nich najlichszego, a nasze własne inwencje, gdy tylko po polsku, zarzucamy i nikczemnie szacujemy, lubo one nad tych wszystkich daleko bywają melodyjniejsze».

Budowa narzędzi muzycznych stała wysoko, szczególnie w Krakowie i Warszawie; fabryką krakowską lutni kierował Bartłomiej Kiejcher, muzyk królewski; organów, Hamel; wspaniałe organy u Bernardynów w Leżajsku, największe w kraju, zbudował r. 1682 organmistrz Jan Głowiński; jest to arcydzieło, chór rzeźbiony w szczegółach z nadzwyczajną sztuką. Skrzypce sławne budował Dankwart; w rachunkach podskarbińskich z r. 1650 «dano mu 900 zł. za dwie viole i troje skrzypiec dyszkantowych», a 100 zł. rocznej pensji; Andrzej Lochmann, «co pozytywy naprawuje», pobierał 300 zł. pensji. «Dwoje skrzypiec Damquartowe» zapisał inwentarz po skrzypku króla Michała, A. Farinacim. Bogactwo instrumentów widoczne z byle inwentarza szlacheckiego, np. r. 1612 inwentarz po Albercie Zielińskim, miernym szlachcicu, zdumiewa ilością pomortów, szałamajów, skrzypiec, serbów i t. d., co należały do jego orkiestry.

ARCHITEKTURA

Ton nadawali artyści włoscy; najznaczniejszy między nimi jezuita Jan Marja Bernardone, który z Rzymu przybył do Polski r. 1584 i wystawił w Nieświeżu z fundacji Sierotki kościół i kolegjum; wykonał plany dla kościoła i kolegjum w Kaliszu, fundacji prymasa Karnkowskiego; w Poznaniu przebudował kościół św. Stanisława i wystawił kolegjum; wkońcu wezwano go do Krakowa do kierowania budową kościoła św. Piotra, fundacji Zygmunta III. Wspaniała kopuła imponuje zewnątrz okazałością, a wewnątrz znakomicie obmyślanemi proporcjami do naw i chóru; nawy boczne, znacznie zmniejszone, schodziły w późniejszych budowlach do prostych kaplic; zato ambona, około której winni się wierni skupiać, naczelne zajęła miejsce. Od Bernardona pochodziły też plany innych kościołów, np. bernardyńskiego kościoła i klasztoru w Kalwarji Zebrzydowskiej, fundacji

40*

wojewody krakowskiego, albo odbudowy kościoła pp. brygidek w Gdańsku. We Lwowie wznosiło się spółcześnie dzieło Włocha, Piotra Borbone, cerkiew «wołoska» (bo za pieniądze wołoskich hospodarów budowana), z wieżą Korniaktowską (obywatela lwowskiego, po którym także słynna kamienica Korniaktowska, dzieło Borbona, w rynku); po śmierci Borbona prowadził budowę dalej Paweł Rzymianin; wybudował też kościół bernardynów we Lwowie.

Do znakomitych kościołów należał jezuicki kościół św. Kazimierza w Wilnie; skromniejszy był ich kościół warszawski,[1] gdy lwowski znowu okazalszy. Miejsce rzeźb zajmowały w kościołach jezuickich (a za niemi i w innych) stiuki, prace włoskich artystów, np. okazały kościół kamedułów na Bielanach pod Krakowem wzniósł architekt Andrzej Spezza, wewnętrzne sztukaterje wykonali Succatori i Castelli. Okazalszy był kościół św. Piotra na Antokolu w Wilnie, nad rzeką Wilją, fundacji hetmana Paca; budował Jan Zaor z Krakowa, sztukaterje wykonali Galli i Peretti z Medjolanu. Gdy się w Poznaniu kościół jezuicki Bernardonego zawalił, plan nowego (wedle rzymskiego *Il Gesù*) przedstawił O. Bartłomiej Wąsowski (autor podręcznika architektury wedle publikacyj włoskich, wydanego r. 1678), a budowę samą prowadził T. Poncino, następnie brat Wojciech Przybyłkowicz; najokazalsza to budowla barokowa, z pięknemi stiukami i bogatą polichromją. Z czasów Sobieskiego wybitniejsze kościoły, to pp. sakramentek w Warszawie (fundacji Marji Kazimiery) i św. Bonifacego w Czerniakowie; stawiał je brabantczyk Tylman (Gamerski, z Gammeren), u nas osiadły na stałe. Piękniejszy był kościół św. Anny w Krakowie, który zbudował Solari r. 1600 (z jego planu wyszedł i kościół pp. wizytek, tamże); bogate sztukaterje wykonali dwaj Fontanowie.

[1] Opisany przez Jarzębskiego r. 1643: «po niemiecku tam śpiewają psalmy; cudzoziemców pełniusieńko, wieża świetna, dzwony srogie».

Obok kościołów słynęły niektóre bogate kaplice, wzorowane ostatecznie na kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Najsłynniejsze kaplica Boymów i kaplica Kampianowska przy katedrze lwowskiej: tamta budowana w latach 1609—1619 przez miejscowych artystów pod kierunkiem Pfistera i Szolca; ta, dzieło Pawła Rzymianina, ukończona r. 1642 przez wrocławczyka Pfistera. Jeszcze słynniejsza dla swoich rzeźb i malatur kaplica św. Kazimierza z r. 1636 wedle projektu Dankertsa de Ry (zob. niżej). Inne słynne kaplice przy kościele OO. dominikanów w Krakowie (św. Jacka, Myszkowskich i Lubomirskich), Firlejów w Bejscach, Ligęzów w Bolesławiu (dzieło Tomasza z Raguzy), Wazów na Wawelu (wedle wzoru Zygmuntowskiej), Oświęcimów w Krośnie (z bogatą sztukaterją), i t. d.

Z budowli świeckich imponują przedewszystkiem pałace, głównie warszawskie; mniej zamek królewski, który zaczęto przebudowywać r. 1598 (dokończono r. 1621) wedle planów Andrzeja Hegnera Abrahamowicza. Opisał go Jarzębski r. 1643; pamiętał on jeszcze dawny, drewniany; teraz tu wszystko po pańsku, pokoje «dwiema rzędami w koło». «W jednym jest ściana sadzona Jak zwierciadło wygładzona, Od marmurów rozmaitych Różnej farby». Przy niej komin z metalu kształtny, tam i malowanie, co się działo w Moskwie, na wojnie tureckiej i in. Zaś od Wisły mury srogie; na tych królewicz (Karol) postawił zacny budynek; w bok stary zamek, w kuchnię odnowiony; w nim łaźnia, do cynowej sadzawki woda rurami bieży; w tej się państwo zwykło kąpać, ledwie do wzrostu nie będzie. W rogach (nowego zamku) wieżyczki pomniejsze, trzecia w środku zegarowa wysoka jest na staje; wierzch ma z miedzi, gałka złota. Drugi pałac (Kazimierowski) na Krakowskiem Przedmieściu, obszerniej opisany, mianowicie jego imponujący ogród. Najpierw kuchnia, obok niej dwa gmachy drewniane, jeden dla pokojowych, drugi dla fraucymeru («Jedne szyją, złotem robią; Drugie w płótnie wzorki drobią»); dalej woljera z ptakami, altana

z ogródkiem, gdzie statua cudowna (tu Herkules Nessa dusi i t. p.); sam pałac z wieżami i altankami z dalekim widokiem; pokoje wszystkie od marmuru, sztuczne malowania w wierzchu, zboku szumne obicia «fetocją» spinane; pokoje niewielkie, lecz pełno w nich kunsztów i złotych sztuk niderlandzkich; w kaplicy znakomity obraz św. Franciszka. Za pałacem zwierzyniec i ogród, wszędzie znakomite statuy, ogród pełen włoskich i zamorskich ziół i drzew, jest i tabak. Przeszedłszy ogród, psiarnia i sokolarnia, zboku stajnia z kawalkatorami cudzoziemskimi (ale Polak koniuszy nad nimi). Nakoniec pałac Ujazdowski (późniejsze Łazienki); na dole nie wszystko jeszcze pokończone; na górze pokoje: «Jak drzwi wszystkie otworzono, Przejrzeć wskróś jak wymierzono». Niemało godzin ubyło, przypatrując się obrazom (alegoryczne: Jak *Fides* Polski broni; insze od ceremonij, koronacji królowej, krzcin Władysława, przyjazdu Cecylji i t. d.); pod pałacem zwierzyniec z wszelakiemi perspektywami; obok stary dwór ujazdowski, drewniany, z ogrodami (figownią i in.).

Najobszerniej (w 650 wierszach, z których ze 150 dla rymu samego dodano) opisał Jarzębski pałac Kazanowskiego (przedtem Boboli, potem Radziejowskiego), z altaną, cekauzem pełnym broni; wielka galerja, «Obrazów pełno po stronach, Nad stołem nagie osoby»; na stołach leżą pozwijane obrazy; na innym sfery świata. Najpyszniejsza izba stołowa o dwoistych oknach, korona wisi w pośrodku, kowany lichtarz z zegarem; ganek dla kapeli otacza izbę; kosztowne jej obicia, szczerozłote, daleko po nie jeżdżono; stołki skórzane świecą się od złota; przy każdem oknie landszafty; za piecem sztuka: windują z piwnicy przez okno wina; w kredensie baryła szczero-srebrna na 30—40 garnców, Bacchus siedzi na niej w wieńcu, fontana szczero-srebrna wyrzuca wino wzwyż na kilka łokci. Inne pokoje równie bogate; w pokoju samego marszałka kotek morski na łańcuszku i papuga biała w kole skrzeczy; w jednym pokoju «zwierzyna, wszelkie sałaty, jarzyna, naturalnie zmalowane», dalej są okręty morskie, pozytywy i wszelka muzyka; w drugim zacna libraryja; na stole kosztowna broń, czary złote, kryształy, i szafy tych pełne; w łożnicy marszałkowej zegar co minuta rzuca gałki, chłopek wzad wyrzuca; inny z ptakami zamorskiemi, a sługę do nich chowano. W skarbnicy broń i obicia, kobierce perskie; w dalszej znowu broń, siodła i czapraki nieoszacowane, szuby sobole, srebra olbrzymie. W trzech piwnicach wina, w dalszych piwa; w sklepie nad piwnicami «malarze malują sztuki zacne, Olandrowie, nie Polacy, bo pludrowie»; w innym sklepie stołowe od srebra statki; jeszcze w innym białozory, psięta legawe na łóżku, sieci; nic to przynieść na jeden dzień kuropatw kilka stad; w innym grzeczny pacholik po francusku chodzi, ma spiżarnię pod sobą; «wyszedłem, aż poimańcy, Tatarowie-bisurmańcy, Mają piwnicę osobną».

Znacznie mniejszych rozmiarów był pałac kanclerza Ossolińskiego; odznaczał się mnóstwem posągów i obrazów; szczególniej wielka sala górna w nie obfitowała, obrazy familijne, malowane przez Ammana; w kątach drzewa stoją z gipsu i zwierzęta; drzwi z czarnego marmuru, a przy każdych portjera z herbami; posadzkę wypolerowano, że się w niej przejrzysz, piec może baszteczką nazwać; przy kominie odlewane wilki; wielki obraz mozaikowy; metalowe łowy z chłopami, końmi, ptakami; «Szafę srebrem opasano, Literami wypisano Złotemi w każdej szufladzie Dostatecznie, co jest w ladzie» (u kanclerza listy wszelakich nacyj i prowincyj leżały osobno); w kaplicy pałacowej kosztowny relikwjarz i najkosztowniejszy obraz. Jeszcze mniejszy pałac podskarbiego Daniłowicza; zato obfitował w kosztowności, zegarki, drogie kamienie i stajnie znakomite.

Równie okazałe, jeżeli nie świetniejsze jeszcze, były pałace pańskie liczne na prowincji: marszałka Wolskiego w Krzepicach z bogatą galerją obrazów, ale jej nagości pan marszałek na stare lata albo palił, albo im sukienki (jak Marja Teresa Rubensowi) domalowywać kazał; Wiśnicz Stanisława Lubomir-

skiego, wojewody krakowskiego, wystawnością niesłychaną przewyższający każdy inny; w Podhorcach Koniecpolskich; w Krzysztoporze Ossolińskich; w Krasiczynie Krasickich, w Janowcu Firlejów, w Brzeżanach Sieniawskich.

Nie pozostawały nieraz zbyt wtyle kamienice miejskie, imponujące fasadą, ozdobioną malowidłami lub stiukami, płaskorzeźbami, figurami stawianemi nad niemi; ocalały takie kamienice XVI- i XVII-wieczne we Lwowie w rynku, w Kazimierzu nad Wisłą, w Zamościu na rynku w domach z podcieniami wedle wzorów włoskich, z okazałym ratuszem.

MALARSTWO

W porównaniu z architekturą przedstawiało się malarstwo jak najubożej. Z obrazów stalugowych, które Jarzębski nieraz z niekłamanym podziwem opisywał lub wyliczał, nic nie ocalało. Malarzów i ich dzieł, obcych i swoich, było niemało; mieli królowie swoich nadwornych, nieraz nawet kilku; zatrudniali ich i magnaci, lecz z ziomków nie wybił się żaden większy talent; kilku najzdolniejszych pracowało wyłącznie zagranicą, a nieraz i zagranicą tylko się kształciło, np. obaj Lubienieccy, którzy jako arjanie, a więc z Polski wyświeceni, w Berlinie i Amsterdamie zasłynęli: Teodora, dyrektora akademji berlińskiej, wygryźli pastorowie z powodu arjaństwa; wrócił do Polski, lecz tu niema jego obrazów; Krzysztofa nic już z Polską nie łączyło. Marcin Teofil, zwany Polakiem, pracował wyłącznie w Tyrolu, i kościoły tyrolskie, od Trydentu do Insbruku, posiadają jego płótna.

Cechy malarskie (we Lwowie założył arcybiskup Solikowski cech malarzy polskich przeciw ruskiemu) wydawały licznych rzemieślników, żadnego artysty; na dwór obu Wazów tylko obcych przywoływano. Zygmunt III zaczął Niemcami i Flamandczykami, jak Jakób Troschel (zmarły r. 1624), uczeń Norymbergi; Augustyn John z Drezna; Jakób Mertens z Antwerpji (umarł r. 1609, wychowawszy całą szkołę w Krakowie), ale niebawem przeszedł do Włoch, do Wenecji, której malarzy szczególniej ulubił. Tomasz Dollabella, uczeń weneckiego Aliensa, przybył r. 1600 do Krakowa na miejsce swego mistrza, przez niego królowi polecony, i przez całe pół wieku tworzył w Krakowie i indziej wielkie obrazy historyczne i religijne, nieliczne wreszcie portrety wedle Tintoretta, gdy zresztą Pawła Veronese i innych naśladował; talent to eklektyczny, nie indywidualny, drugorzędny raczej. Dbał o największą ścisłość; jego wielkie płótna historyczne (wymieniał je Jarzębski w opisie zamku i pałacu warszawskiego) były głównie zbiorem portretów; o akcję mniej mu chodziło. Uświetniał dzieje polskie od 1600 do 1650 r.; dla Mniszków malował krakowskie zaślubiny i koronację moskiewską Maryny (i inne obrazy tej serji, z Wiśniowca do Moskwy wywiezione); malował zwycięstwa i wjazd Żółkiewskiego. Zaczął od obrazów dla zamku na Wawelu; tu miał pracownię, przeniesioną do Warszawy; rozjeżdżał po kraju, malował ściany i stropy pałacu biskupiego w Kielcach, dla dominikanów krakowskich (zginęły w pożarze 1850 r.) i t. d. Jego pomocnicy i uczniowie pracowali w jego stylu; malarstwo religijne zupełnie przeważało. Obok Dollabelli wyróżnił się Wojciech Borzymowski jako malarz religijny, służąc arcybiskupom gnieźnieńskim, lecz dzieł jego pendzla dochowało się jak najmniej; skromne ich resztki upoważniają do lepszego o nim mniemania.

Pielgrzymka zachodnia królewicza Władysława odbiła się korzystnie także w malarstwie; na miejsce upadającego włoskiego wstąpiło niderlandzkie, z którem się Władysław osobiście zapoznał; w Antwerpji pozował Rubensowi (którego *Zdjęcie z krzyża* r. 1621 do Kalisza Żeromski przywiózł); przywołał do Polski Piotra Dankertsa de Ry, z Amsterdamu rodem, który malował liczne portrety polskie (znane tylko z sztychów Falcka i in.), a kaplicę św. Kazimierza, wspaniały zabytek baroka, jako architekt i malarz w Wilnie stworzył. Polacy studjowali w Ni-

derlandach, tak obaj Tretki (zwani także Tricius i Tretkowski) u Foncka w Amsterdamie i u Jordaensa w Antwerpji; krakowianin Daniel Frecherus, znany z znakomitego portretu biskupa Trzebickiego z r. 1669, był również uczniem szkoły flamandzkiej. Liczniej bawili, choćby przelotnie, Niderlandczycy w Polsce, zasłynęli głównie portretami, znanemi przeważnie tylko z rycin, np. Pieter Claes z Soutman, Justus d'Egmont (malarz Marji Ludwiki) i in. Niemieckie wpływy działały także za Władysława IV, który miał nadwornego malarza Bartłomieja Strobela z Wrocławia i gdańszczanina Salomona Wagnera (z znaczną stałą pensją), portrecistę, znanego z sztychów tylko; dla Polski pracował i Jerzy Szultz, malarz gdański, szczególniej zaś dwaj słynni rytownicy gdańscy. Starszy, Wilhelm Hondius (z holenderskiej familji Hondt), którego Władysław powołał, osiadł w Gdańsku i tu rytował wedle własnych rysunków, zdejmowanych na miejscu, portrety (króla, Cecylji Renaty), widoki miejskie, sceny rodzajowe. Uczeń jego, gdańszczanin Jeremias Falck (Polonus, tak się podpisywał, rytownik królowej Chrystyny w Sztokholmie), rytował wiele portretów, królów i magnatów, kart tytułowych do dzieł polskich; we Włoszech rytował głównie obrazy religijne Maciej Morawa, «Polacco».

Typowym malarzem-eklektykiem religijnym był Franciszek Lekszycki, rodem krakowianin, samouk, kształcący się na sztychach dzieł słynnych malarzy; zyskał rychło rozgłos jako malarz religijny i uświetniał kościoły obrazami, rozjeżdżając po całym kraju, od swego bernardyńskiego klasztoru w Krakowie aż do Dubna, Wilna i Grodna, pracując przeważnie w kościołach swego zakonu; umarł r. 1668. Liczne jego obrazy nie przedstawiały większej wartości (brak im kolorytu np.), ale tworzyły całą szkołę, z której wyszedł np. *Taniec śmierci* Bernardynów krakowskich, temat od średniowiecza jeszcze ulubiony: kobiety tańczą ze śmiercią, w 14 bocznych scenach porywa kościotrup do tańców mężczyzn, od papieża do Turków i żydów.

W drugiej połowie wieku mnożyły się kościoły, ołtarze i obrazy, szczególniej gdy dawne freski zastępowano nowemi obrazami. Z obcych wyróżnił się Włoch Del Bene, sprowadzony przez Sapiehę; pałac antokolski Kazimierza Sapiehy, kaplica św. Kazimierza przy katedrze, klasztor kamedułów w Pożajściu na Litwie są zdobione jego obrazami i freskami; malował polskie obrazy historyczne, miał talentem, rozmachem, kolorytem przewyższać Dollabellę. Nad dekoracją kościoła św. Anny w Krakowie pracowali obok stiukatorów, braci Fontana, ich stiuki malowidłami uzupełniając, Hiszpan Pagani i Ślązak (?) Dankwart, który także Częstochowę ozdabiał, wcale zdolny, wywołujący nieraz złudzenie rzeźb. Marcina Altomonte z Neapolu powołał na swój dwór Sobieski; po dwudziestu latach przeniósł się do Austrji; malował portrety, np. słynny Marysieńki z wszystkiemi dziećmi, obrazy historyczne: olbrzymie płótna bitwy wiedeńskiej i pod Parkanami w farze żółkiewskiej; św. Jana z Dukli, rażącego Turków, u bernardynów lwowskich; chocimską Sobieskiego w krakowskim kościele św. Piotra; ozdabiał Wilanów, kościoły królewskie, pracował dla hetmana Jabłonowskiego. Francuz Des Portes malował parę królewską; szczególniej Marysienka dbała o swe portrety, jeden podarowała ambasadorowi francuskiemu, a jako wdowa, gdy go zwrócić nie chciał, sama gwałtem go wzięła. Jan III zapraszał zewsząd artystów, wyrabiał im indygenat polski, zatrudniał ich (np. Ferdynanda van Kessel, malarza zwierząt; Romeyna de Hoogh z Amsterdamu i in.), a nawet założył szkołę malarską w Wilanowie, aby w tej nader potrzebnej sztuce kształcić młodzież polską, jak Haur w *Ziemiańsktwie* (r. 1683) zapewniał.

RZEŹBIARSTWO

Jak w architekturze, krzyżowały się również w rzeźbiarstwie (i malarstwie) wpływy włoskie z niemiecko-flamandzkiemi. Z Lugano w Szwajcarji włoskiej wyszedł do Polski, szczególnie

do Krakowa, cały szereg rzeźbiarzy, mianowicie Canavesi'owie jeszcze w XVI wieku, a spółcześnie z nimi Flamand Herman van Hutten (spolszczył się później na Czapkę), pracujący we Lwowie i Krakowie, gdzie wpływał na florentczyka Santa Gucci, który wykonał grobowce Batorego, Anny Jagiellonki, Zygmunta Augusta na Wawelu, Tęczyńskiego i Cecylji szwedzkiej w Kraśniku i liczne inne grobowce, portale, kominki, tarcze herbowe i t. d.; florentczyk osiadł na stałe w Krakowie, żonaty z Polką. Innego Włocha, Bartłomieja Ridolfi z Werony, powołał Spytek Jordan z Melsztyna; dzieła tego rzeźbiarza, zachowane, łączyły się z Jordanami, z ich kaplicą i grobowcem Spytka w krakowskim kościele św. Katarzyny; wykonywał wiele innych prac podobnych, znakomity jako stiukator; do najcelniejszych należą grobowiec i stalle Montelupich krakowskich u N. P. Marji: półfigury w nyżach okala najbogatsza ornamentyka, a stalle łączą się z niemi wybornie; malarskie efekty osiągał używaniem różnobarwnego marmuru. Z Lugano pochodził i Jan Reitino; sprowadzony przez Zygmunta III, stworzył całą szkołę; z pod jego uczni dłóta wychodziły przeliczne grobowce, dekoracje pałacowe (odrzwia, portale, kominki); jeden ze słynniejszych, nagrobek Firlejowej w Krośnie u franciszkanów. Andrzej i Antoni Castellowie, również z Lugano, architekci i rzeźbiarze zarazem, budowali kaplicę Zbaraskich przy kościele dominikanów w Krakowie.

We Lwowie odznaczyli się dwaj Niemcy, Henryk Horst i wrocławianin Jan Pfister: obaj ozdobili kaplicę Sieniawskich w Brzeżanach; dwa grobowce Pfisterowe stoją nierównie wyżej niż Horstowe; zamówiła je wdowa po podczaszym koronnym Adamie Hieronimie dla męża, a zbiorowy dla trzech synów matrona Katarzyna z Sztembergu Kostczanka. Pfister wykonał i równe brzeżańskiemu arcydzieło, pomnik Ostrogskich w Tarnowie, przeładowane chyba mnóstwem figur, główek skrzydlatych, festonów, panoplij. W kaplicy św. Kazimierza, ufundowanej przez Zygmunta w Wilnie, potężny krucyfiks srebrny (Zbawiciel w wielkości naturalnej, pod nim posągi Marji i Jana) i dwaj aniołowie, podtrzymujący trumnę z relikwjami św. Kazimierza, to odlewy mistrzów augsburskich; wielki relikwjarz św. Stanisława w katedrze wawelskiej (trumna dźwigana przez aniołów, z płaskorzeźbami i modlącemi się aniołkami) wykonał Piotr von der Rennen w Gdańsku w latach 1669—1671. Polskich rzeźbiarzy (np. we Lwowie) przewijają się liczne nazwiska, cechowa ich robota, acz bardzo staranna.

Nie wypadła najlepiej kolumna Zygmuntowa przed zamkiem warszawskim, bo figura za mała w stosunku do zbyt wysokiej kolumny, ale podobne były liczne we Włoszech; wykonał figurę, samą w sobie bardzo udatną, zawołany rzeźbiarz włoski, Clemente Molli, część architektoniczną Constantino Toncalla, a odlewał w bronzie Daniel Thym w Warszawie. Figury na szczytach pałaców czy kościołów pojawiały się coraz częściej; pochodziły od gdańskich rzeźbiarzy, np. w pałacu Krasińskich z r. 1682; w tym pałacu i w wilanowskim pracował przez kilka lat Andreas Schlüter.

Snycerstwo utrzymywało się na dosyć wysokim poziomie; nieraz nie znamy twórców wcale pokaźnych dzieł, np. stall w kościele OO. bernardynów we Lwowie i Leżajsku, w Ołyce (dostarczał ich Niemiec lwowski, Melchior Erlenburg); uderza w nich nadzwyczajne bogactwo fantazji. Wszystko to Niemcy i Włosi (znakomici w stiuku); nazwisko polskie rzadko się między nimi przewija, np. Aleksandra Prochenkowicza, pracującego we Lwowie około połowy wieku. Ruina ekonomiczna zaznaczała się i tu wyraźnie; druga połowa wieku odbijała fatalnie od pierwszej, dopiero za Jana III rzeźbę mniej zaniedbywano, zato sama sztuka wyradzała się, przybierała, mianowicie w grobowcach, nadmierną napuszoność i patetyczność, a upadała staranność wykonania, coraz bardziej pobieżnego, pragnącego działać masowością samą.

SZTUKA POLSKA W MOSKWIE

Na osobną uwagę zasłużył olbrzymi niegdyś wpływ sztuki polskiej na Rosję w drugiej połowie XVII w., po pochodach smoleńskich cara Aleksieja, gdy egzulanci prawosławni albo dobrowolni przesiedleńcy ton nadawali muzyce i śpiewowi, malarstwu i rzeźbie, budownictwu i drobnej sztuce w Moskwie, w świeżych dworcach carskich, w siołach Izmajłowskiem i Kołomieńskiem, w nowojerozolimskim soborze patrjarchy Nikona, który uczcił jednego ze swoich majstrów, Piotra Zaborskiego, «wszelkich rękodzielnych chytrości wynalazcę», osobliwym nagrobkiem. Do nie tak dawna odliczano te zjawiska sztuki polskiej stale na karb południowo-(mało-)ruski, dziś rozpoznano w nich wręcz polskie pochodzenie. Więc dziś stawia się nad «południowe» wpływ polski na śpiew rosyjski; regensi (chóru) i kompozytorowie Polacy przeważyli nad ukraińskimi; między nimi odznaczał się teoretyk śpiewu, Mikołaj Dylecki. [1]

[1] Ponieważ nasi muzykolodzy o Dyleckim nic albo mało co wiedzą, należy rosyjskich uwzględnić.

Rosyjscy muzykolodzy (np. S. W. Smolenskij w przedmowie do przedruku *Muzyki* Dyleckiego, albo N. Findejzen, *Oczerki po istorii muzyki w Rossii,* Moskwa 1928, I, 293 i n.) powtarzają, że urodził się w Kijowie (??) około r. 1630 (??), kształcił się w Wilnie i Warszawie; z druku: *Toga złota w nowej świata metamorfozie szlachetnemu magistratowi wileńskiemu przez Mikołaja Dileckiego, akademika wileńskiego,* w Wilnie 1675 r., wynika, że był uczniem jezuitów. Roku 1677 w Smoleńsku napisał *Grammatika musikijskago pienja;* w przedmowie twierdził: «napisałem moją gramatykę nie tak obszernie, jak niegdyś w Wilnie (po polsku), daję ją teraz skróconą»; drugą redakcją jest *Idea grammatikii musikijskoj, sostawllennaja preżde Nik. Dileckim w Wilnie, posleżde imże perewedena na slawienskij dialekt w Moskwie,* 1679; trzecią *Musikija... sowerszi sia Nik. Pawlowiczem Dileckim* r. 1680 (wydał S. W. Smolenskij r. 1910 w Petersburgu; wszystkie rękopisy wyliczył Findejzen str. XXV). Dylecki przytaczał próbki polskich kompozytorów, Jana Ziuśki («staryj chudożnik», kompozytor pieśni Mojżeszowych); regenta (chóru) St. Rożyckiego; Mik. Zamarewicza; Marcina Mielczewskiego; w Moskwie był jego mecenasem Stroganow, jemu («panu swemu») poświęcił ostatnią redakcję swej *Gramatyki;* był chyba regensem jego słynnej kapeli. Znany on mniej jako kompozytor (jego *Cheruwimskaja* i in.), niż jako teoretyk i pedagog; «założyciel to nowej szkoły muzykalnej śpiewaków kierunku zachodniego w Rosji, z której wyszedł szereg ruskich kompozytorów na przełomie XVII i XVIII wieku. Dzieło jego dla swego czasu i dla Moskwy należy uznać jako całkowity traktat teoretyczny, wyjaśniający szczegółowo gramatyczną i techniczną istotę notacji linjowej, partesnego śpiewu i partesnej kompozycji». On wprowadził terminologję muzyczną (zachowywał i polskie terminy, np. *czwartki),* obowiązującą przez dziesiątki lat. Jego zadaniem było dać podręcznik dla kompozycyj stylu koncertowego, który odtąd szeroko zawładnął w praktyce śpiewu cerkiewnego; jego *Gramatyka* miała nadzwyczajne znaczenie, a jako jej rezultat wynikła obfita działalność wielu śpiewaków i regensów moskiewskich. Na ich czele Titow, który — jak Gomółka psałterz Kochanowskiego — Połockiego na nuty przełożył. Dylecki zastąpił stary system haczków *(krjuki)* nutami na linjach.

Nierównie różnorodniejszy był wpływ polski na malarstwo i rzeźbę. Pod wpływem polskim nabrały ikony bizantyńskie farb świeższych, ruchu swobodniejszego, tonu jaśniejszego; weszła rzeźba kamienna, dotąd w sztuce cerkiewnej wcale nieznana, do monasterów i dworców, i dopiero ukazy Piotra W. wyrugowały ją z cerkwi jako niezgodną z duchem greckim. Dziś znamy około 60 artystów Polaków, szczególnie z prowincyj kresowych, zatrudnianych w carskiej «Orużejnej Pałatie» przy rękodziełach z kruszców szlachetnych, zegarach i krzesłach, przy wielkich płótnach malowanych (z scenami biblijnemi i mitologicznemi), przy ikonach pendzla Wasyla (Pawła) Poznańskiego, najznakomitszego obok Uszakowa malarza religijnego całego wieku, Stanisława Łopuskiego z Smoleńska (od r. 1655 w Moskwie, «karmazyna», t. j. szlachcica, który wydoskonalił szereg uczniów), Mirowskiego (również «karmazyna», który domalowywał twarze na obrazach Niemca, Engelsa), Maziłowskiego, autora «lenczaftów» (krajobrazów) i fresków w komnatach carówien (uciekł on z Moskwy 1694 r.; Łopuskiego nagradzał car Ale-

ksiej dwukrotnie r. 1668 za to, że nie dał się komisarzom polskim nakłonić do powrotu do kraju).

Obok malarzy stawali rytownicy polscy, których nazwiska wydobyć można ze spisów rosyjskich «grawerów»; między nimi Daniel Gurczyn, carski aptekarz, medyk, poeta, rytownik sztychów przy własnych dziełach. Samo słownictwo techniczne, owe *lenczafty, framugi, gzymsy, kroksztyny, pokoje* i in., dowodzą polskiego początku.

Rzeźbę, obcą sztuce rosyjskiej, wykonywali artyści polscy; gzymsy okien, słupy w granitowej pałatie kremlowskiej, do dziś się zachowały. Gdy Starcew, budowniczy rosyjski, wznosił w Kijowie 1695 r. cerkwie, uważano, aby wprowadzał formy, przypominające polskie, jako bardzo lubiane u hetmana (Mazepy) i w jego otoczeniu. Zapiski XVII-wieczne, inwentarze i t. p., coraz wymieniały «polskoje dieło», «czasy bojewyje (zegar bijący) żeleznyje polskije», «stał na kriwych polskich nogach»; zegary w kołomieńskim dworcu i w Nowym Jerozolimie były dziełem Polaka, Wysockiego. Z 16 kandydatów, jakich car Aleksiej powołał do swojej Orużejnej Pałaty, było 3 Rosjan, 13 pochodziło z Polski, między nimi Michał Czarnorzecki, stolarz Kokotka, Klim(ko), Batura-Biełowiecki (ten podpisywał się łacińskiemi literami; wszyscy dopiero później przeszli na prawosławie).

U artystów powtarzało się toż samo, co w literaturze: ci polscy malarze i t. d. stali bliżej poglądom i uczuciom rosyjskim, niż Niemcy czy Anglicy, i dlatego przystosowali się nierównie lepiej i łatwiej do wymagań rosyjskich; przeskok nie był u nich tak nagły, gwałtowny. Przyszłe badania wykryją wiele nieznanych szczegółów (np. kompozycyj polskich w rękopiśmiennych zbiorach muzycznych), a znane już oświecą lepiej.[1]

[1] Wskazówki dla ustępu o malarzach i t. d. zawdzięczam pracom dr. Marjana Morelowskiego (z 1916—1921 r.), opartym na autopsji i badaniach rosyjskich (prof. Sobolewa, Uspienskiego i in.).

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PROMIENIOWANIE KULTURY POLSKIEJ

Ukraina. — Moskwa. — Rumunja. — Litwa.
Zakończenie.

UKRAINA

Najznamienniejszym faktem w dziejach kultury ruskiej XVII wieku jest zupełne jej przejęcie się wpływami polskiemi. Ani różnica wiary, ani klęski zadane Polsce szlacheckiej przez Ruś kozacką, nie powstrzymały zwycięskiego pochodu kultury polskiej do Kijowa, za Dniepr, do Moskwy samej. Ta kultura oddziaływała jednak tylko na warstwy jej przystępne, t. j. na wyższe duchowieństwo, na całą szlachtę (prawosławną czy unicką), na wyższe Kozactwo, na zamożniejsze mieszczaństwo; nie uchylały się przed nią, siłą faktu, nawet czerń i czerńcy. Starszyźnie kozackiej przyświecała jako ideał zawsze tylko szlachta polska, jej stanowisko i wpływy: naśladowali ją, ile zdążyli, hetmani, pułkownicy i pisarze pułkowi, i udało się im, mimo «czarnej rady», zamiar osiągnąć, zawładnąć chłopami niezgorzej niż «pany lachy»; chłop wkońcu wymieniał tyranów; miljony ludzi, co padły ofiarą (Jarema już r. 1651 o dwu miljonach prawił), spulchniły tylko Ukrainę pod przyszły posiew pańszczyźniany. Kulturalna Ukraina mówiła, myślała i pisała po polsku; archiepiskopi, archimandryci, rektorowie kolegjum Mohiłowego, pisali i po rusku, pisali to samo i po polsku; najpierwszy zbiór legend o świętych peczerskich (kijowskich) wyszedł w druku po polsku, a nawet obronę kolegjum Mohiłowego przeciw ujadaczom prawosławnym napisał Sylwester Kossow po polsku, z taką werwą, że mógłby mu byle polemista polski pozazdrościć. Kultura polska powlokła się pokostem ukraińskim.

Całe szkolnictwo ruskie (unickie czy prawosławne) przejęło się łaciną i polszczyzną; na podstawie łaciny mogli nawet Niemcy w szkołach ruskich uczyć, np. królewiecki profesor logiki, Wawrzyniec Weger, zmarły r. 1626, uczeń Królewca i Witenbergu, uczył poprzednio «in collegio religionis graecae apud Ruthenos Vilnae», a więc w szkole przy bractwie św. Ducha, szyzmatyckiej; inni Niemcy, Diplic, Gizel (ale ten pisał tylko po cerkiewnemu), podobnie się do Kijowa dostali. Piotr Mohiła, metropolita kijowski i założyciel kolegjum, wychowanek kultury polskiej, wprowadził tryb jezuicki do szkoły kijowskiej, i kolegjum kijowskie (w XVIII wieku dopiero akademją ochrzczone) odpowiadało w rozkładzie nauk zupełnie kolegjom jezuickim; urządzało widowiska sceniczne, deklamacje uczniowskie, przejęło się scholastyką średniowieczną. Wychowańcy tych szkół naśladowali spółczesną literaturę polską, kaznodziejską, polemiczną (walcząc z Mohametem, Żydami, Rzymem), panegiryczną. Wprowadzili wierszowanie polskie, acz niezgodne z wolnym akcentem ruskim, pomijając ten akcent, a licząc tylko zgłoski; dlatego nazwano te wiersze «sylabicznemi», a panowały one i w Moskwie, nietylko w Kijowie, aż je Łomonosow i Tredjakowskij jako przeciwne prozodji rosyjskiej wyrugowali; na Ukrainie panowały dalej przez cały wiek XVIII. Słownictwo, szczególniej abstrakcyjne, było całe polskie, nawet spójki (*wżdy* i inne) zachowywano polskie, i wiersze te, jeszcze więcej niż proza, czynią wrażenie jakoby były polskie, z cyrylicą w druku, a ruszczyzną w formach gramatycznych. Literatury tej, zbiorów kazań, wierszy religijnych i t. p., nie wyliczamy tu, dzieł Baranowicza, Galatowskiego i in., którzy niby do dwu literatur, do polskiej i ruskiej, należeli. Tradycji nie było, ani talentów; taki nieznużony wierszokleta, jak Baranowicz, rozbrajał swoją naiwnością, zabawiał wierszami częstochowskiemi; ziemia nie była jeszcze dosyć przeoraną, aby mogła talenty wydawać. Pisarze, wszyscy duchowni; pisma, wszystkie ascetyczne i polemiczne; scholastyka średniowieczna odżyła tu na nowo. Pisarz świecki należał do najrzadszych wyjątków; taki np. Daniel Bratkowski, podczaszy wendeński, który Augustowi II poświęcił swój *Świat po części przejrzany* (Kraków 1697); autor ukrainiec, co przywiązanie swe do Ukrainy głową zapłacił (powieść i dramat ukraiński nieraz jego losy tragiczne przedstawiały), dał zbiór fraszek, satyr i t. p., o bardzo małym dowcipie i mdłem wysłowieniu, ale ciekawy pod niejednym względem. Autor używał form i słów ruskich, np. zdrobniałe na *-ejko, braciszejku, Thosiejku; ni siuda ni tuda, duszejka smaczne piruszki gotuje* i t. p.; twierdził: u nas na Rusi przy witaniu gości zaraz na stół piwo i *aquavita*, tak że gość i nie rozezna, co jeść dadzą; w Polsce najpierw długie dyskursy, a dopiero po siedmiu godzinach ucztę sprawiają; «daj najpierw, potem praw, Lachu i Rusinie»; żartował z Mazurów, z Warszawy, gdzie piwo szlacheckie droższe, choć zwykle; najwięcej z Lublina, co mieszkom panuje; oskarżał o kradzieże poborców, niepłatność wojska i t. p. Ten Wołyniak najlepszym świadkiem, jak mimo wszelkich sprzeczności wyznaniowych i narodowych, a nawet społecznych, kultura polska wszechwładnie w życiu ruskiem zapanowała; tak mało było poczucia odrębności, że nie zawahał się burmistrz lwowski, dobry Polak-katolik, w swych sielankach udawać niby Rusina (lwowski był jeszcze prawosławnym, nie unitą) i w jego duchu prawić.

Sprawę unji zabagniono doszczętnie. Duchowieństwo polskie (inaczej niż Rzym, łudzący się stale nadzieją pozyskania szyzmy) stawało wobec unji wrogo lub obojętnie; nadzieje unitów, że choćby ich metropolita wejdzie do senatu, zawiodły zupełnie; pozostawiono unję samej sobie, energji niestrudzonego Pocieja, któremu żaden następca nie dorównał. Przezorni świeccy odradzali; Szczęsny Herburt (w jego i żony żyłach płynęła także krew ruska) w liście do biskupa przemyskiego nazywał unję obrazą cnej Rusi; wybuchnie stąd wojna, straszliwsza niż którakolwiek inna: «dziwna rzecz, że się WM. w tem obaczyć nie

możecie». Tak samo odradzał Krzysztof Opaleński. Nienawiść prawosławnych rosła, przyszło w Połocku do zabójstwa archiepiskopa-unity Józefata Kuncewicza, ale to sprawy unitów nie poprawiło; za Władysława IV zawiało na nich od dworu wręcz nieprzyjaźnie, bo obawiano się nowych trudności. Więc wlokła unja żywot suchotniczy; w pierwszej połowie wieku wrzała jeszcze żwawa polemika; Smotrycki z wymownego obrońcy dawnej wiary przodków, któremu Skarga sam jeszcze odpowiadał dotknięty do żywego, wkońcu przeszedł do unitów; inni unici (Sakowicz) rzucali unję dla katolicyzmu; prawosławnych bronił po polsku Mohiła (Pimen, t. j. pasterz). W drugiej połowie wieku wmieszali się jezuici do dysput z szyzmą, przypisywali sobie zwycięstwo, czemu przeciwnicy kłam zadawali; unitów już nie było stać na obronę; kler unicki spadał powoli na stopę szyzmatycką co do braku nauki, a bazyljanom nielepiej się wiodło; lud przyzwyczajał się powoli do unji; opór bierny, niekiedy i czynny, zamierał.

Unja z braku energicznego poparcia przegrała stawkę; rozdrażniono tylko Ruś, grzesząc przeciw najpospolitszej zasadzie: *quieta non movere,* i pasowano Kozaków na szermierzy za wiarę. Po odbudowie hierarchji prawosławnej, rozwalonej przez unję, narzucili się jej Kozacy na obrońców i wobec ich argumentowania dosadnego, np. wrzucania do Dniepru i gróźb śmierci, opuściło duchowieństwo prawosławne wszelką myśl o unji i nieprzejednane odpadło wkońcu (za utratą Zadnieprza i Kijowa) do Moskwy, aby tam dzięki swej wyższej kulturze polskiej wpływowe zająć stanowisko. Dawne bunty społeczne kozackie nabrały r. 1648 odcienia religijnego; nie szło o prawosławie, szło o rzeczy materjalne, ale dla mas wytknięto zręcznie hasło wiary uciemiężonej i zwracano się z równą albo gorszą srogością przeciw ruskim unitom, jak przeciw katolikom. Rozchodziło się o «regestr»; rząd uznawał tylko bardzo ograniczoną liczbę Kozaków, którym żołd wypłacał, gdy tysiące chłopstwa te szeregi rozpychały.[1] Rozchodziło się o wolny wyjazd łupieżczy na morze, czego bronił Kudak Getkanta i Beauplana, nie przepuszczając ani jednej czajki. Rozchodziło się o ucisk coraz nieznośniejszy, jakiego się dopuszczali dzierżawcy i ekonomowie, skoro lata wolnicy (oznaczane kołkami na słupie) upłynęły, co bolało tem nieznośniej, im więcej nęciła przyroda stepowa do nieograniczonego niczem używania najbogatszej ziemi. Ale te wszystkie podkłady ekonomiczne zasłaniała chorągiew z archaniołem Michałem, i hasło, wydane jeszcze przez «Chmiela»: strach Boży bije Lachy, i przekonanie pędzonych na wały albo uprowadzanych w jasyr chłopów, że giną dla wiary błahoczestywej, pewni miejsca w niebie nawet bez pisma do św. Piotra, nie przeczuwających, że w tym samym roku (1650) Chmielnicki poddawał sułtanowi Ukrainę i sułtan zapewniał nowemu wasalowi ochronę, póki będzie obowiązki wasalowe pełnił. Jak się wasalstwo tureckie odmieniło w moskiewskie, jak się rozwiały Wyhowskiego i Niemirycza mżonki o W. Księstwie Ruskiem, zupełnie autonomicznem, jak się ostatecznie zapasy polsko-moskiewskie zakończyły kapitulacją andruszowską i Grzymułtowskiego, należy do dziejów zewnętrznych; dla wewnętrznych górował fakt, że prawosławie w Polsce przez odpadnięcie prawosławnego Kijowa i Zadnieprza znaczenie utraciło, że unja, tj. — jak Kozacy szydzili — kość ruska, obrosła mięsem lackiem, jego miejsce zajęła; wyginął i typ drobnej szlachty prawosławnej, która się dała porwać ruchowi kozackiemu.

[1] Regestr liczył tylko 6—8.000 Kozaków, organizowanych w pułki-powiaty, pod starszyzną obieraną albo naznaczaną przez hetmanów kor.; oni tylko otrzymywali żołd (wcale nieregularnie płacony); ale pod Chocimem było ich 30.000! Więc tworzyło się na Siczy zaporoskiej oddawna drugie centrum Kozactwa, niezorganizowanego, anarchicznego i zawsze gotowego do wypraw zbójeckich; rząd nie miał dosyć siły, żeby zgnieść te watahy, chociaż się o to i kusił. Mściła się ta niezaradność, gdy Sicz rejestrowe Kozactwo do buntu porywała, co się nieraz i przed rokiem 1648 zdarzało, ale w małych rozmiarach.

Wpływ książki polskiej szerzył się niepowstrzymany, nawet śród parochów unickich i prawosławnych, korzystających z postyl polskich, mianowicie Rejowej, jako najpopularniejszej. Wyrzucał to unitom Sakowicz, wyśmiewał popa, który powoływał «świętego Reja» — okazało się, że to nie przesada, znalazły się «ewangelje uczytelne» ruskie z XVII i XVIII wieku, powtarzające wolnie albo dosłownie ustępy Rejowe. Ponieważ nie było literatury ruskiej, więc nie było śladów ruskich w polskiej, ale ustna, pieśń i duma ukraińska, szczególnie Polsce kresowej i litewskiej (t. j. białoruskiej) bynajmniej obcą nie była. Wojewoda Zawisza opowiada w pamiętniku pod r. 1710, że miał «łebską muzykę mińską» (żydowską?), która mu *staroświeckie taneczki* rzępoliła: *Albo mene barszczu dajte; Czerniec czernicu zawiow w piwnicu; Annusiu serdenko, palisz moju duszu* — to mogły być utwory bursaków ruskich. Już H. Morsztyn w *Światowej Rozkoszy* (1606) prawił, jak żołnierzom «serbin załośny» wygrywał «starodubskie dumy, jak przed laty Turków bili Polacy i mężne Chorwaty», a wzmianki o dumach kozackich ciągną się przez cały wiek.

MOSKWA

Nierównie efektowniejszym, zato nierównie mniej trwałym, był wpływ kultury polskiej na Moskwę. Zawiodły wprawdzie nadzieje, które konkwistadorów polskich wiodły za Samozwańcem do «Białokamiennej». Zdumieni Polacy ujrzeli przed sobą dorosłych wiekiem, dzieci umysłem, nic nie wiedzących o Bożym świecie poza swemi murami chińskiemi, chytrych prostaków, obłudnych i kłamliwych, nieufnych i zdradzieckich, w szatach niby z obrazów średniowiecznych, bez kobiet (bo strzeżonych w zaciszu domowem), bez sztuki czytana i pisania, bez muzyki, rzeźbiarstwa, druku, bez aptek i lekarzy, różniących się od Tatarów chrześcijaństwem powierzchownem, przesądnem,

brzydzących się katolikiem jak psem (po obu należało cerkiew oczyszczać), spodlonych do służalstwa, a zarozumiałych do śmiechu — opisali ich znakomicie Pielgrzymowski, Niemojewski i inni. Moskwa znowu gorszyła się orszakiem Samozwańca, muzyką, maszkarami, niezakrywaniem międzynoża, goleniem brody, pożywaniem cielęciny i innych «nieczystości», niewchodzeniem do łaźni po akcie, co wszystko przeświadczyło ją o nieprawości Samozwańca i rozjuszyło przeciw obcym, opadniętym znienacka i albo wymordowanym, albo obłupionym i więzionym latami: cały szereg dzieł polskich powstał w zamknieniu moskiewskiem. Chwilowa silna reakcja pogrążyła Moskwę w ciemnościach azyjskich, ale raz powzięty kontakt z Europą działał powoli swoje; nie można się już było obchodzić, jak Tatarzy, bez zbroi europejskiej, wojska zaciężnego, handlu angielskiego, specjałów zamorskich (do których oprócz gorzałki wnet i tabak przystąpił), bez poselstw zagranicznych, bez szkoły i nauki, co wkońcu powiodło do «rozkołu» — rozdarcia jednolitego dotąd narodu na starowierców, odtrącających wszelkie nowinki, zacofanych fanatyków, i na zwolenników «nowości» wszelakich. Dla nich była Polska Pomostem upragnionym, Ruś polska i litewska (ta nazwa ogarniała i tamtą) była przyrodzoną pośredniczką między Azją i Europą. «Litwę» pokonała Moskwa orężem, ale «Litwa» zdobyła ją sobie kulturą. O materjalnej, o napływie polskich malarzy, rzeźbiarzy, rękodzielników, była wyżej mowa, ale jeszcze szerszym pozostał zasiąg polskiej książki, mowy, myśli. Nieznana była Moskwie beletrystyka, nie było powieści krom kilku ascetycznych i *Aleksandrji;* nieznane były dzieje powszechne, krom kilku kompilacyj mniszych o dziejach starozakonnych i bizantyńskich; nie było żadnej nauki krom *słów* (kazań) o rzeczach wiary i przesądach (księgi jak *gromowniki, trepetniki* i t. d.); nie było wiedzy lekarskiej ani przyrodniczej; astronomja, matematyka i t. d. należały do *jelińswa,* którego dla zbawienia duszy strzec się należało; nie byłoby też nigdzie sposobu do ich nabywania, bo

szkoły, prócz rózgi djakowskiej, nie było, a druk był monopolem patrjarszym.

To wszystko odmieniało się powoli za rządów Aleksieja, syna głupiego Michała, za którego rządził ojciec-patrjarcha, gdy się wydobył z niewoli polskiej. Ruś polska i litewska posiadała już szkoły, naukę, druki; była prawosławna i używała tego samego języka na piśmie, więc warunki wymiany, wpływów, zetknięcia były ułatwione i skorzystała z nich Moskwa, acz nie bez wahań i zastrzeżeń; najważniejszem było, że tylko niewielu narazie czerpało z tych źródeł. Dla Moskwy tłumaczyła Ruś beletrystykę ludową polską, *Siedmiu Mędrców, Powieści rzymskie, Meluzynę, Magiellonę, Cesarza Ottona, Facecje* i in.; tłumaczenia ruskie pozbawiały się polonizmów i nabierały w swojej wędrówce rysów językowych moskiewskich. Kroniki Marcina Bielskiego i Stryjkowskiego weszły do Moskwy; przyswoiła ona sobie i zielniki, i inne traktaty medyczne (nawet o wodach we Szkle); nie zawahała się przed legendami średniowiecznemi *(Wielkiego Zwierciadła)* i traktatami ascetycznemi Drekseljusza i in. Niejedno ocalało u nich; np. w jedynym naszym egzemplarzu *Postępku prawa czartowskiego* (1570) brak początku — możemy go uzupełnić z siedmiu rękopisów tłumaczenia dosłownego moskiewskiego, a koniec średniowiecznego *Dialogu o śmierci* ocalał (w skróceniu) w trzech rękopisach moskiewskich. Na polu szkolnictwa wystąpiła najjawniej rola pośrednicząca Kijowa; łaciny wprost obawiało się sumienie prawosławne, ciążące ku grece obrzędowej, ale po wszelakich mniej udałych próbach przeszczepiono cały system szkół «litewskich» i kolegjum kijowskiego do Moskwy. Wychodźcy litewscy zawładnęli sterem umysłowym, w drukarni patrjarszej, czuwając nad nowemi księgami liturgicznemi, usuwając z nich błędy potworne i wszelakie dowolności, co się wkradły w ciągu wieków bez kontroli stosownej; sama nowa pisownia *Iisus* zamiast dawnego *Isus* wywołała wkońcu straszną burzę, jak i składanie dwu czy trzech palców

przy modlitwie. Szymon z Połocka został nadwornym niby poetą, nauczycielem dzieci carskich, rugował on swoim psałterzem Kochanowskiego, a układał wiersze sylabiczne, czy ascetyczne, czy na witania rocznic carskich. Najwyżej stanął pracą i nauką Dymitr Tuptalenko, później kanonizowany biskup rostowski, który stworzył jej *Żywoty Świętych* (niby jak Skarga) i seminarjum duchowne całkiem wedle wzorów kijowskich urządził. Oto najgłośniejsze imiona Litwinów i Czerkasów (tak Kozaków i Ukraińców chrzczono); po nich zasłynęli Teofan Prokopowicz, Jaworski i in., uczniowie kijowskich szkół, polskich, zagranicznych, którzy Piotrowi W. służyli jako wykonawcy jego zamiarów, twórcy jego *Reglamentu duchownego,* spółbojownicy w walce z atawizmem moskiewskim. Uzupełniały te wpływy polskie na dworze cara Aleksieja i syna Fiodora, na dworze Zofji (opiekunki małoletnich Iwana i Piotra) i kniazia Golicyna, strój polski, stoły polskie, obyczaj polski, a chociaż Piotr W. niebawem nawę państwa w innym obrócił kierunku, do Holandji, Paryża, Wenecji, Wiednia wprost ją powiódł, pozostały do dziś w języku rosyjskim, już nie moskiewskim tylko, wyrazy, świadczące o wpływie kulturalnym polskim, nawet wyrazy, które my sami dziś pozapominaliśmy, np. *turma* (wieża, *tjurma*), *spina* (z łaciny przez nasze pośrednictwo), *kirka* (nasze *kircha,* z niemieckiego); wyrazy z dziedziny stroju, pożywienia, budowli i t. d., np. *panczecha, bulka (bułocznik,* piekarz), *pokoi, risowat'* (rysować, rysunek i t. d.), *rachowat', malewat'* i t. d., a w dawnym języku, jeszcze Piotra W., było tych wyrazów o wiele więcej, np. *szlacheckij, koruna* i t. d.

RUMUNJA

Jeszcze szczuplejsze, niż w Moskwie, były w Jassach koła, podpadłe zupełnie wpływom polskim. Stosunki polityczne między Polską a Wołoszczyzną były odwieczne, przychodziło do

istotnego lennictwa, przerywanego krwawemi walkami, — szczególnie na przełomie wieku XV i XVI. W drugiej połowie XVI-go i pierwszych latach XVII-go brali magnaci polscy wbrew zamiarom królewskim czynny udział we wprowadzaniu i zrzucaniu hospodarów; najbardziej rodzina mołdawskich Mohiłów sprzęgła się z możnowładztwem polskiem, — śluby wzajemne, przenoszenie fantastycznych (bo miljonowych) skarbów Mohilanki i logofetowej Mauroisy do zamku podhajeckiego Golskich, znane z dziejów, a *Lament hospodarowej wołoskiej* obiegał nawet literaturę polską. Lud sam wchłonął w siebie nietylko pismo cerkiewne (cyrylicę, zastąpioną dopiero po pokoju paryskim 1856 r. przez łacinkę), ale i bułgarską cerkiewszczyznę, którą dopiero dzisiejszy język literacki ruguje, zastępując słowianizmy romanizmami, i odgradzał się już swojem prawosławiem od katolickiej Polski. W XVII wieku jednak ci Rumuni, co się nie zadowalali nauką djakowską, sięgnęli do najbliższej wyższej, do polskiej, i pierwsi pisarze rumuńscy tego wieku byli wychowankami polskiej szkoły i literatury. Najsłynniejszy z nich logofet Miron Kostyn, najwierniejszy Sobieskiego służebnik, który życiem tę gorliwość przypłacił, autor *Opisania ziemi mołdawskiej i multańskiej* z r. 1684, wierszami, i prozaicznej *Chroniki ziem mołdawskich i multańskich,* czerpiących z polskich historyków: jak na obcego, władał Kostyn znakomicie polszczyzną. Podobnie poprzednik jego, kronikarz Urechia, zostawał pod wpływem polskim. Równocześnie metropolita suczawski Dosytej, uprowadzony czy towarzyszący Sobieskiemu z Jass do Stryja i Żółkwi (gdzie umarł r. 1693), przewierszował pierwszy psałterz, wzorując się na Kochanowskim. Nieudałe pochody mołdawskie Sobieskiego, szczególnie z r. 1686, pozbawiły Polskę miru u Rumunów; przeważył wpływ rosyjski, uosobiony w Dymitrym Kantemirze (którego syn zagaił świecką literaturę rosyjską satyrami swemi). Jeszcze w XVIII i XIX wieku rodzina rumuńska (z polskiej szlachty) Hażdeu albo Hażden, słynna w literaturze rumuńskiej przez trzy pokolenia, należała, przynajmniej w osobie Tadeusza Hażdena, i do literatury polskiej, stanisławowskiej. Niemoc Polski saskiej zerwała dawne węzły, ale niezapomniane są początki literatury narodowej pod przewodnictwem i wzorem polskim.

LITWA

W tym samym wieku spotężniał i wpływ polski na Litwę etnograficzną, gdzie szlachecka przyjęła już dawno zupełnie kulturę polską z językiem i pismem, która jej zastąpiła miejsce ruskiej (litewskiej nie było nigdy żadnej). Gdy w pruskiej Litwie rząd książęcy i pastorowie luterscy dla celów nabożeństwa starali się o przekłady psałterza, pieśni, agendy, podjęto się tego samego na polskiej Litwie przez panów akatolików i księży jezuitów. Język litewski wtedy nie był ograniczony do wsi i chłopów, głównie żmudzkich, albo do niewielu wyrobników i służących wileńskich; znamienny fakt, że tłumaczono postylę Reja i Wujka; że drukowano litewskie katechizmy («księgi nabożeństwa») kalwińskie i jezuickie (katechizm jezuity Ledesmy w dwojakim przekładzie); że jezuita Szyrwid ogłosił i *Punkty Kazań* i słownik litewsko-polsko-łaciński (który kilku wydań doczekał; najważniejsza to praca dawnej leksykografji litewskiej; pomijamy tu inne, nieliczne, teksty ascetyczne; druk biblji litewskiej kalwińskiej, tak zwanej biblji Chylińskiego, przerwano, — to wszystko dowodzi, że były i śród inteligencji (bo chłop litewski był analfabetą) kółka, domagające się jakiejś książki litewskiej, że były gminy, dla których takie przekłady Reja i pieśni były potrzebą, bo bez niej nie objaśnić tych kosztownych wydawnictw. Że jezuici, wychowankowie uniwersytetu wileńskiego, zawstydzili księży świeckich, to wobec zapału, ożywiającego ich początki, łatwo zrozumieć. Biskup żmudzki (Giedrojć) sam rąk nie przykładał, ubolewał tylko nad pogaństwem istotnem, a rzekomem chrze-

ścijaństwem swych owieczek; jedyny ksiądz świecki, kanonik żmudzki Dauksza, wyprzedził jezuitów swojemi przekładami Wujka i Ledesmy, ale użył narzecza żmudzkiego, auksztocie (wileńszczyźnie) nieco obcego; jezuici posługiwali się tą «górną» litewszczyzną. Nie kończyli na tem: rok rocznie podejmowali z Wilna, potem i z Kroż, misje śród Litwy, władając jej językiem, i w dorocznych sprawozdaniach z czynności każdego kolegjum (nieraz i drukowanych, nietylko składanych do archiwów zakonnych) opowiadali o tych misjach, walczących z zabobonami; oni dopiero zupełną chrystjanizację Litwy przeprowadzili. Tak samo działali śród Łotwy, ale tu napotkali na opór pastorów, którzy już od połowy XVI wieku, acz nadzwyczaj opieszale, około chrystjanizacji swoich «Undeutsche» (i śród Estończyków) zabiegali; wkońcu rozstrzygnęły granice polityczne; w polskich Inflantach, skromnej resztce nabytków Batorego i Zamoyskiego, przywrócili katolicyzm wieśniaków, gdy cała dalsza Łotwa protestancką pozostała; tej Łotwie, z jej odrębnem narzeczem, nie poświęcili jednak jezuici tyle pracy, co Litwie, nierównie rozleglejszej i ludniejszej.

Nie przeszkodzili jezuici zupełnemu rozbratowi między inteligencją a gminem; aż do końca XVIII wieku pozostał szlachcie litewskiej język ludowy obcym; do nader nielicznych wyjątków należeli ci właściciele, coby się mogli porozumiewać z ludem w jego języku; ekonom lub jaki inny urzędnik pański był tłumaczem; w szlacheckich *Silva rerum* niesłychaną rzadkością bywa zapisanie kilku czy kilkuset wyrazów litewskich, niema mowy o jakichś tekstach. Jezuici, wprowadzając na scenę w intermedjach chłopa litewskiego, wyposażali go słowami luźnemi litewskiemi, a jeszcze częściej ową osobliwszą wymową litewską, nieznającą *ch* (*k* zamiast tego, np. *kleba*), ani różnicy między *r* a *rz*. W Wilnie odprawiali jezuici w jednym kościele nabożeństwo litewskie (kazania), ale od połowy XVIII wieku ich zaprzestali — nie było potrzeby. Na wsi ocalała litewszczyzna, chociaż granice jej szczuplały; z nazwisk miejscowych widoczny nierównie dalszy jej zasiąg dawniejszy; ustępowała przed Białorusią, przyjmując jej język, rzadziej polski, np. we wsiach podwileńskich, gdzie pod wpływem miasta gmin zupełnie spolszczał, tak że oddawna wieniec wsi polskich Wilno otaczał. Mimo powolnego wygładzania wszelkich różnic nie zatarły się pierwotne rysy etniczne; i spolszczony czy zruszczony Litwin pozostał nieruchawym, zato wytrwałym aż do zaciętości; małomównym, pobożnym, wiernym tradycji, oszczędnym, pracowitym na swej ubogiej ziemi; a powtarzały się te rysy również w szlachcie litewskiej, wyróżniając ją od porywczości, lekkości, otwartości polskiej, od jej zwinności i układności, która już w XVII wieku na przymioty francuskiej zakrawała. Pozostawała wtedy Litwa stanowczo wtyle, nie mogła się zrównać z Polską, bo jeżeli świecił dwór radziwiłłowski w Birżach i Kiejdanach polorem, to składali się nań przeważnie Polacy, Rysińscy, Naborowski, Morsztyni, Szlichtyngi, Karmanowscy i t. d. Wystarczy porównać, jak drobnym był wkład «litewski» w literaturę i naukę siedmnastowieczną. Z Wilna i Wołynia, Połocka i Smoleńska, Nowogródka i Mścisławia rzadki był literat czy erudyt, a po tych niewielu, których ks. Kojałowicz wymieniał, raczej nazwiska niż utwory pozostały; Jagodyński (poeta), Wojsznarowicz (mówca), Dorohostajski, Szemiot — oto najznaczniejsi.

Kultura, ogłada, obyczajowość nabrały w całej Polsce cech arystokratycznych, — nienapróżno nadawała szlachta całemu życiu cechy właściwe. To uznawali sąsiedzi, imponowało to Niemcom śląskim czy pruskim, którzy się chętnie do Polski garnęli. Ślązacy pojawili się na dworze Wazów, Opitz, zawołany poeta, był na służbie u Władysława IV, a poeci śląscy tłumaczyli Kochanowskiego; szczególniej w opałach wojny trzydziestoletniej zazdrościli Polsce dobrobytu i pokoju. Niemcy gdańscy, zawdzięczający wszystkie swe bogactwa wyłącznie roli pośrednika między producentem polskim a kupcem holandzkim, warując za-

zdrośnie wyjątkowe swe przywileje, na które szlachta nieraz sarkała (choć na żaden krok stanowczy się nie zdobyła), wobec żywiołu polskiego zachowywali się bardzo ostrożnie, nie znieśli szkoły polskiej, ale publicznych jej występów nie ułatwiali, np. przeszkadzali wystawianiu dramatów szkolnych polskich. W Królewcu żywioł polski nie był liczny, ale szlachta pruska, a nawet mieszczaństwo spoglądali z nietajoną życzliwością na Polskę, gdzie samowoli panującego były nałożone najściślejsze wodze, i tylko niemoc polityczna Polski po r. 1648, dręczonej zewsząd przez najeźdźców, przeszkodziła, że opór przeciw absolutyzmowi kurfirszta nie przybrał form ostrzejszych, że nie przyszło do interwencji, jakiej sobie życzyli Kalksteiny, że zrzekła się Polska praw swych lenniczych.

ZAKOŃCZENIE

Wieki szesnasty i siedmnasty stanowią całość: wschód to, południe i zachód kultury dawnej Polski, kultury nawskróś arystokratycznej, o wysokim poziomie. Poprzedzały ją całe wieki pracy przygotowawczej; na ubogiej ziemi, odciętej od morza, nieposiadającej własnego handlu (prócz tranzytowego), bogatej tylko w sól, drzewo, pszenicę, o niewysokim przemyśle, zadowalającym potrzeby domowe, mało liczącym na eksport (chyba wschodni), nie mogło rozwinąć się spółzawodnictwo z bogatym w środki i doświadczenia Zachodem. Powoli jednak pod zbawiennym wpływem ościennym, czeskim i niemieckim, otrząśnięto się z mroków zacofania, i politycznemu znaczeniu państwa zaczęło odpowiadać kulturalne; nauka krakowska ułatwiała kroki pierwsze wymiany ludzi i myśli z Pragą, Śląskiem, Węgrami i Włochami. Wiek XVI otworzył naoścież drzwi i okna, wywabił wszelką stęchliznę średniowieczną; masowy *exodus* młodzieży zagranicę, do Włoch i Niemiec, znaczny przypływ Włochów z Boną, ułatwił i przyspieszył wschód imponującej kultury. Teraz dopiero okazała się Polska przednią strażą Zachodu, nietylko jej przedmurzem przeciw islamowi, ale i pochodnią światła przeciw mrokom wschodnim; na Polsce kończyła się Europa.

Ale naród wcale nie był jej niewolnikiem tylko; jeżeli jednostki poddawały się zupełnie wpływom obcym, to inni warowali sobie niezależność, czerpali po swojemu ze spólnych źródeł antyku, nadawali własne piętno myślom i czynom. Naród pozostał słowiańskim, ze wszelkiemi właściwościami rasy, dodatniemi i ujemnemi, z wrażliwością, ruchliwością fizyczną i umysłową, otwartością i szczerością, z brakiem wytrwałości i przezorności; w najlepszych swoich przedstawicielach imponował taktem, rozwagą głęboką, brakiem fanatyzmu jakiegokolwiek, wyznaniowego czy narodowego, głębią poczucia sprawiedliwości, lekceważeniem oznak zewnętrznych i wszelkiej próżności. Droga do szczytów zdawała się odkrytą, lecz narazie niezbyt wielu na nią wstępowało.

Nie brakło wymownych przestróg, czy kaznodziei, jak Skarga, czy polityków, jak Zamoyski. Wskazywali mianowicie, czy Wereszczyński, biskup kijowski z krwi ruskiej, czy Grabowski, rdzenny Polak, na nadzwyczajne Ukrainy znaczenie i jako szkoły rycerskiej i jako kolonji olbrzymiej dla przyrostu ludności polskiej, — spostrzeżono się dopiero, gdy było zbyt późno, gdy zawierucha rozszalała, a po niej wrócono na dawne tory, jakby nie było niebezpieczeństwa żadnego. I oto nagle, zewsząd, ogarnęły płomienie gmach Rzeczypospolitej. Zagłada jej zdawała się nieuchronną, rozszarpali ją Moskwa, Szwedzi, Kozacy; otrząsł się przecież naród heroicznym wysiłkiem, ale zapłacił go wylewem krwi serdecznej. Zrywał się jeszcze do jednego i drugiego bohaterstwa, czy pod Chocimem czy pod Wiedniem, ale już zamknęła się przed nim droga wzwyż. Nie wytrzymała kultura tych ciosów zewnętrznych, załamała się pod niemi, i kwietyzm, opuszczenie rąk niewczesne, rezygnacja z jakiejkolwiek roli czynnej, opanowały jedyną warstwę, odpowiedzialną za cały naród.

Zemściła się teraz ta wyłączność: nie było nikogo, coby się jej przeciwstawił.

Punkt zwrotny, to rok 1648. Dotąd szło wszystko normalnie, acz powolnie; odtąd przerwał się wszelki postęp. Druga połowa wieku, to niby zaprzeczenie pierwszej; w wirze walk nieustannych, spustoszeń bezprzykładnych, wyczerpała się energja rasy, zaczęło się trwożliwe oglądanie, obawa przed jakąkolwiek zmianą, reformą, polityczną czy umysłową. Uchroniono się przed zagładą, i zamiast uchylić niebezpieczeństwa grożące — usunięte jednak narazie w dal, czy paktami żórawińskiemi czy traktatem Grzymułtowskiego — oddano się chwilowemu spokojowi snu, którego przerywać nie dozwolono nikomu. Przebudzić miano się z niego dopiero nad samą przepaścią.

Największej ucierpiała na tem kultura, która takich przestanków nie zna, w której każdy zastój jest równoznaczny z zacofaniem, jak to wykazała epoka następna, mrok saski.

SPIS TREŚCI TOMU II

CZĘŚĆ PIERWSZA: WIEK XVI

CZĘŚĆ DRUGA: WIEK XVII